

Johann Hari

# Ściągając krzyk

Dzieje wojny z narkotykami



**Johann Hari**

# **Ścigając krzyk**

**Dzieje wojny z narkotykami**

**Przełożył Janusz Ochab**



**Wołowiec 2018**

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Tytuł oryginału angielskiego *Chasing the Scream: The First and Last Days of the War on Drugs*

Projekt okładki Patryk Mogilnicki

Projekt typograficzny Robert Oleś / [d2d.pl](http://d2d.pl)

Copyright © by Johann Hari, 2015

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarne, 2018

Copyright © for the Polish translation by Janusz Ochab, 2018

Redakcja Maciej Robert

Korekta Marcin Piątek / [d2d.pl](http://d2d.pl), Joanna Bernatowicz / [d2d.pl](http://d2d.pl)

Redakcja techniczna Robert Oleś / [d2d.pl](http://d2d.pl)

Skład Ewa Ostafin / [d2d.pl](http://d2d.pl)

Skład wersji elektronicznej [d2d.pl](http://d2d.pl)

ISBN 978-83-8049-712-2

# Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Wstęp](#)

## **[CZEŚĆ I MOUNT RUSHMORE](#)**

[1 Czarna Ręka](#)

[2 Słońce i mięczaki](#)

[3 Na muszce pistoletu Harry'ego](#)

[4 Pocisk i narodziny nowego świata](#)

## **[CZEŚĆ II DUCHY](#)**

[5 Souls of Mischief](#)

[6 Trudno być Harrym](#)

[7 Grzyby](#)

## **[CZEŚĆ III ANIOŁY](#)**

[8 Stan wstydu](#)

[9 Bart Simpson i anioł z Juárez](#)

[10 Długi marsz Mariseli](#)

## **[CZEŚĆ IV ŚWIĄTYNIA](#)**

[11 Zrozpaczona mangusta](#)

[12 Miasto na końcu świata](#)

[13 Obojętność Batmana](#)

## **[CZEŚĆ V POKÓJ](#)**

[14 Bunt narkomanów](#)

[15 Podcięte skrzydła i nowa nadzieja](#)

[16 Duch 1974 roku](#)

[17 Człowiek w studni](#)

[18 W samo południe](#)

[EPILOG Jeśli jesteś sam](#)

[Kilka uwag o technice narracyjnej](#)

[Podziękowania](#)

[Bibliografia](#)

[Przypisy końcowe](#)

[Przypisy](#)

[Kolofon](#)

*Dla Josha, Aarona, Bena i Erin*

Nagrania audio cytatów zamieszczonych w tej książce i wypowiedzianych bezpośrednio podczas rozmowy z autorem dostępne są na stronie <http://www.chasingthescream.com> – można posłuchać głosów bohaterów książki, jednocześnie ją czytając.

*This document is protected using an electronic watermark*

Order ##6639 (p\*\*\*1@gmail.com)

## Wstęp

Niemal sto lat po tym, jak rozpoczęła się wojna z narkotykami, sam znalazłem się na polu jednej z pomniejszych jej bitew<sup>1</sup>. Na przedmieściach północnego Londynu jedna z moich najbliższych krewniaczek staczała się na dno, wracając do kokainy, podczas gdy na wschodzie miasta mój były chłopak kończył długi romans z heroiną i sięgał po fajkę do cracku. Obserwowałem to z pewnym dystansem, po części dlatego, że sam od lat łykałem całymi garściami grube białe tabletki na narkolepsję<sup>2</sup>. Nie cierpię na narkolepsję. Wiele lat wcześniej przeczytałem, że jeśli się je zażyje, można pisać całymi tygodniami bez przerw i bez odpoczynku. Podziałało – pracowałem jak nakręcony.

Wszystko to było mi dobrze znane. Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień dotyczy sytuacji, kiedy próbowałem wybudzić krewną z narkotykowej zapaści i nie byłem w stanie. Od tamtej pory jakoś dziwnie ciągnie mnie do narkomanów i do ludzi wychodzących z nałogu – czuję z nimi swego rodzaju pokrewieństwo, to moi pobratymcy, moi współplemieńcy, moi rodacy. Lecz wtedy po raz pierwszy zacząłem się zastanawiać, czy i ja się nie uzależniłem. Przerywałem długie sesje pisania tylko wtedy, gdy padałem ze zmęczenia i nie mogłem się obudzić przez kilka dni. Pewnego ranka zdałem sobie sprawę, że zaczynam pewnie przypominać tę krewną, którą próbowałem wybudzić wiele lat wcześniej<sup>3</sup>.

Nauczono mnie, jak powinienem reagować – zrobił to mój rząd i moja kultura – kiedy znajdę się w takiej sytuacji. Trzeba przystąpić do wojny. Wszyscy znamy ten scenariusz – jest wpisany w naszą podświadomość, jak kierunek, w którym należy spojrzeć przed przejściem przez ulicę. Traktować narkomanów jak przestępców. Prześladować ich. Zawstydząć. Zmuszać do rzucenia nałogu. To dominujący pogląd w niemal wszystkich krajach świata. Przez lata publicznie krytykowałem to podejście. Pisałem artykuły do gazet i występowałem w telewizji, tłumacząc, że karanie i potępienie narkomanów tylko pogarsza ich sytuację, przysparzając społeczeństwu całej masy innych problemów. Proponowałem inną strategię – stopniową legalizację narkotyków oraz wykorzystanie pieniędzy przeznaczonych obecnie na karanie narkomanów do stworzenia sprawnego systemu opieki.



Gdy jednak w narkotycznym otępieniu patrzyłem na tych bliskich mi ludzi, jakaś częśćka mojej jaźni zastanawiała się, czy naprawdę wierzę w to, co mówię. Głosy w moim umyśle przypominały surowego sierżanta ze starych filmów wojennych o Wietnamie, wrzeszczącego i obrzucającego młodych rekrutów obelgami. Jesteś idiotą, skoro to robisz. To karygodne. Jesteś głupcem, bo nie chcesz przestać. Ktoś powinien cię powstrzymać. Powinieneś zostać ukarany.

Tak więc, choć głośno krytykowałem wojnę z narkotykami, często toczyłem ją we własnej głowie. Nie twierdzę, że byłem rozdarty na pół – mój racjonalny umysł zawsze opowiadał się za zmianami – ale ten wewnętrzny konflikt nie ustawał.

Przez lata szukałem wyjścia z tego skażonego chemicznie impasu, aż pewnego dnia przyszła mi do głowy pewna myśl. Ja i ludzie, których kocham, to maleńkie plamki na znacznie większym płótnie. Jeśli zostanę tam, gdzie jestem – skupiony jedynie na kształcie tych plamek, jak przez wszystkie poprzednie lata – nigdy nie zrozumie więcej, niż rozumiem teraz. A gdybym tak znalazł jakiś sposób, żeby cofnąć się o kilka kroków i spojrzeć choć raz na cały obraz?

Zapisałem kilka pytań, które intrygowały mnie od lat. Dlaczego zaczęła się wojna z narkotykami i dlaczego trwa? Dlaczego niektórzy ludzie mogą używać narkotyków bez żadnych problemów, a inni nie? Co naprawdę jest przyczyną uzależnienia? Co się stanie, jeśli wybierzesz całkiem odmienną strategię? Postanowiłem wyruszyć w podróż przez linie frontu wojny z narkotykami, by znaleźć odpowiedź.

Wyprowadziłem się więc z mieszkania, wyrzuciłem resztę tabletek do toalety i ruszyłem w drogę. Wiedziałem, że wojna zaczęła się w Stanach Zjednoczonych, chociaż w tamtym momencie nie wiedziałem jeszcze kiedy ani jak. Przyjechałem do Nowego Jorku z listą ekspertów w tej dziedzinie<sup>4</sup>. Dziś wiem, że podjąłem słuszną decyzję, nie kupując biletu powrotnego, choć nie zdawałem sobie wtedy sprawy, że podczas tej podróży odwiedzę dziewięć krajów<sup>5</sup> i pokonam trzydzieści tysięcy mil, co zajmie mi aż trzy lata.

W trakcie podróży gromadziłem historie ludzi, których istnienia nawet nie podejrzewałem, wyprawiając się w drogę. To właśnie oni uczyli mnie, jak znaleźć odpowiedzi na pytania, z którymi tak długo się zmagalem. Transseksualny handlarz crackiem z Brooklynu, który chciał wiedzieć, kto zabił jego matkę. Pielęgniarka z Ciudad Juárez, która maszerowała przez

pustynię, szukając swojej córki. Przemyczone w czasie Holokaustu z budapeszteńskiego getta dziecko, które jako dorosły człowiek odkryło prawdziwe przyczyny uzależnienia. Narkoman dowodzący powstaniem w Vancouver. Seryjny zabójca z więzienia w Teksasie. Portugalski lekarz, który doprowadził do dekryminalizacji wszystkich narkotyków w swoim kraju, od marihuany po crack. Naukowiec z Los Angeles, który karmił halucynogenami mangustę, by zobaczyć, co się z nią stanie.

Oni – i wielu innych – byli moimi nauczycielami.

Byłem zdumiony tym, czego się od nich dowiedziałem. Okazuje się, że wiele naszych poglądów i podstawowych założeń dotyczących tego tematu jest błędnych. Narkotyki nie są tym, za co je uważamy. Uzależnienie od narkotyków nie jest takie, jak się nam wmawia. Wojna z narkotykami nie wygląda tak, jak przedstawiają to od stu lat politycy. Jeśli będziemy na to gotowi, poznamy całkiem inny obraz tego problemu – taki, który powinien nappełnić nas nadzieją.

## Część I

### Mount Rushmore

# 1

## Czarna Ręka

Czekając w sennej, skąpanej w blasku jarzeniówek kolejce do odprawy celnej na lotnisku JFK w Nowym Jorku, próbowałem sobie przypomnieć, kiedy dokładnie zaczęła się wojna z narkotykami. Wydawało mi się, że miało to miejsce w latach siedemdziesiątych, za prezydentury Richarda Nixona, kiedy powszechnie używano tego określenia. A może trochę później, w latach osiemdziesiątych, gdy Ameryką rządził Ronald Reagan, a hasło „*Just Say No*” [Po prostu powiedz „nie”] stało się drugim hymnem narodowym?

Kiedy jednak zacząłem jeździć po Nowym Jorku i rozmawiać z ekspertami, dotarło do mnie, że ta historia zaczęła się w istocie znacznie wcześniej. Sygnał do „nieustępliwej walki”<sup>6</sup> z narkotykami dał w latach trzydziestych minionego wieku człowiek, o którym dziś mało kto pamięta – a jednak to właśnie on ukształtował tę wojnę w stopniu większym niż ktokolwiek inny. Dowiedziałem się, że w bibliotece Pennsylvania State University można znaleźć mnóstwo pozostawionych przez niego dokumentów – jego dziennik, listy i wszystkie dokumenty – więc pojechałem tam i przeczytałem wszystko, co napisał Harry Anslinger i co napisano o nim. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, kim był ten człowiek<sup>7</sup> i jaki wpływ wywarł na nas wszystkich.

Dowiedziałem się z tych dokumentów, że wojna z narkotykami rozpętała się dzięki trzem postaciom, które można potraktować jako jej ojców założycieli. Gdyby gdziekolwiek istniał powiązany z delegalizacją narkotyków odpowiednik góry Rushmore, to właśnie ich kamienne twarze spoglądałyby tam w dal, niszcząc powoli w słońcu i deszczu. Szukałem informacji na ich temat w wielu archiwach, wypytywałem ludzi, którzy mogli ich jeszcze pamiętać. Teraz, trzy lata później, kiedy dysponuję już tą wiedzą, postrzegam tych ojców założycieli jako ludzi, którymi byli jeszcze przed początkiem tej wojny – jako dzieciaki rozproszone po całych Stanach Zjednoczonych, które nie wiedziały, co ma je wkrótce spotkać ani co później osiągną. Moim zdaniem właśnie w tym punkcie zaczyna się ta historia.

W 1904 roku dwunastoletni chłopiec wybrał się z wizytą do swojego sąsiada<sup>8</sup>. Kiedy wszedł do jego domu, stojącego pośród pól kukurydzy w zachodniej Pensylwanii, usłyszał krzyk. Głos dochodził gdzieś z góry. Ten dźwięk – rozpaczliwy, pełen bólu – zdumiał go i przeraził. Co się tu działo? Dlaczego dorosła kobieta wyła jak zwierzę<sup>9</sup>?

Jej mąż zbiegł po schodach i wydał chłopcu kilka krótkich poleceń: Weź mojego konia i gnaj do miasta najszybciej, jak tylko możesz. Zabierz paczkę z apteki. Przywieź ją tutaj. Natychmiast.

Chłopiec smagnął konie batem, przekonany, że jeśli nie zdąży, po powrocie na miejsce zostanie trupa. Gdy tylko wpadł do budynku i przekazał farmerowi torebkę ze specyfikami, ten podbiegł do swej żony. Jej krzyki ucichły, znów była spokojna. Chłopiec jednak nie odzyskał spokoju ducha – ani wtedy, ani nigdy potem.

„Nigdy nie zapomniałem tych krzyków”<sup>10</sup> – pisał wiele lat później. Od tego momentu nabrał przekonania, że wśród zwykłych ludzi ukrywają się tacy, którzy wyglądają na całkiem normalnych, ale w każdej chwili mogą „ulec emocjom i hysterii, stracić panowanie nad sobą, zapomnieć o rozsądku i dać się ponieść okrucieństwu”<sup>11</sup>, jeśli tylko uzyskają dostęp do potężnego, wyzwalającego środka, czyli narkotyków.

Gdy chłopiec stał się mężczyzną, zebrał niektóre z największych lęków amerykańskiej kultury – przed mniejszościami rasowymi, przed zatruciem narkotykowym oraz przed utratą kontroli – i przekuł je w globalną wojnę, która miała zapobiec takim krzykom. Ta wojna wywołała z kolei wiele innych krzyków. Można je usłyszeć każdego wieczora niemal we wszystkich miastach świata.

Tak właśnie Harry Anslinger przystąpił do wojny z narkotykami.

Innego popołudnia, kilka lat wcześniej, w dzielnicy Upper East Side na Manhattanie pewien bogaty kupiec, ortodoksyjny Żyd, natknął się we własnym domu na scenę, której nie mógł pojąć. Jego trzyletni syn stał nad swoim pogrążonym w głębokim śnie starszym bratem<sup>12</sup> i trzymał w ręce nóż, gotów do uderzenia. „Dlaczego, mój synu, dlaczego?” – spytał kupiec. Chłopczyk odpowiedział, że nienawidzi swojego brata.

Potem nienawidził jeszcze wielu ludzi<sup>13</sup> – w zasadzie niemal wszystkich. Twierdził, że „większość rasy ludzkiej to nieudacznicy i idioci o wypaczonych poglądach i ptasich mózdkach”. Gdy tylko miał dość władzy i pieniędzy, by uczynić to rękami innych, wbił nóż w setki innych

osób. W innych okolicznościach człowiek o tego rodzaju osobowości skończyłby w więzieniu, ale losy tego chłopca potoczyły się inaczej. Powierzono mu biznes, w którym jego skłonność do przemocy była nie tylko mile widziana, ale wręcz konieczna – nowo powstały rynek nielegalnych narkotyków w Ameryce Północnej. Gdy w końcu go zastrzelono – od tamtej nocy i miejsca, w którym stał nad śpiącym bratem, dzieliło go wówczas dwadzieścia przecnic, niezliczone morderstwa i wiele milionów dolarów – zginął jako wolny człowiek.

Tak właśnie Arnold Rothstein przystąpił do wojny narkotykowej.

Jeszcze innego popołudnia, w 1920 roku, sześciolatnia dziewczynka leżała na podłodze burdelu w Baltimore i słuchała jazzu. Jej matka uważała, że tego rodzaju muzyka to dzieło szatana i nie tolerowała jej w swoim domu<sup>14</sup>, więc dziewczynka zaproponowała burdelmamie z miejscowego domu rozpusty, że będzie wykonywała u niej pomniejszych prace porządkowe, ale pod jednym warunkiem: zamiast pobierać w zamian drobne sumy, jak inne dzieciaki, będzie mogła posłuchać muzyki w samotności. Jazz budził w niej uczucia, jakich nie potrafiła nawet opisać<sup>15</sup> – i postanowiła, że pewnego dnia sama będzie wywoływać podobne emocje u innych ludzi.

Nawet po tym, jak została zgwałcona, i po tym, jak zmuszono ją do prostytucji, i po tym, jak zaczęła wstrzykiwać sobie heroinę, by zapomnieć o bólu, wciąż znajdowała ukojenie w muzyce.

Tak właśnie Billie Holiday dołączyła do wojny narkotykowej.

W czasach, gdy Harry, Arnold i Billie przyszli na świat, narkotyki były na całym świecie łatwo dostępne. W amerykańskich aptekach można było bez problemu kupić produkty przygotowane z takich samych składników jak heroina i kokaina. Najpopularniejsze środki na kaszel sprzedawane w Stanach Zjednoczonych zawierały opioidy, nowy napój o nazwie Coca-Cola wytwarzano z tej samej rośliny, z której wyrabiano wciągającą przez nos kokainę, zaś w Wielkiej Brytanii najmodniejsze domy towarowe rozprawdzały eleganckie pudełeczka na heroinę przeznaczone dla dam z towarzystwa<sup>16</sup>.

Żyli jednak w czasach, gdy amerykańska kultura szukała ujścia dla rosnącego niepokoju – jakiegoś rzeczywistego, fizycznego obiektu, który mogłaby zniszczyć w nadziei, że zniszczy tym samym coraz silniejszy strach przed światem zmieniającym się szybciej, niż ich rodzice czy

dziadkowie mogliby sobie wyobrazić. Wybór padł właśnie na te specyfiki. W 1914 roku – ponad wiek temu – postanowiono: trzeba je zniszczyć. Zetrzeć z powierzchni ziemi. Uwolnić się.

Kiedy podjęto tę decyzję, Harry, Arnold i Billie znaleźli się na polu pierwszej bitwy i zmuszeni byli przystąpić do walki.

Kiedy Billie Holiday stała na scenie, jej włosy ściągnięte były mocno do tyłu, okrągła twarz lśniła w blasku reflektorów, a głos przenikało cierpienie<sup>17</sup>. Pewnego wieczora w 1939 roku<sup>18</sup> zaczęła śpiewać piosenkę, która później nabrała symbolicznego znaczenia:

Drzewa na Południu rodzą dziwne owoce,  
Krew na liściach i krew na korzeniach<sup>19</sup>.

Do tej pory czarnoskóre kobiety – z bardzo nielicznymi wyjątkami<sup>20</sup> – mogły występować na scenie tylko jako rozpromienione w sztucznych uśmiechach karykatury, pozbawione wszelkich prawdziwych uczuć. Lecz oto pojawiła się ona, Lady Day, czarnoskóra kobieta, która otwarcie wyrażała gniew i wściekłość wywołane masowymi mordami jej pobratymców<sup>21</sup> na Południu, widokiem ich ciał zawieszonych na drzewach.

„Dopiero teraz widać, że to było naprawdę bardzo odważne” – powiedziała mi chrzestna córka artystki, Lorraine Feather. W tym czasie „wszystkie piosenki były o miłości. Po prostu nie śpiewano o zabijaniu ludzi – o takich wstrętnych i okrutnych czynach. Tego się nie robiło. Nigdy”. A jeśli wyobrazimy sobie jeszcze, że to Afroamerykanka wykonywała taką piosenkę? O linczu? Billie zdecydowała się na to, bo uważała, że „opowiada o tym, co zabiło jej ojca”<sup>22</sup>, Clarence’a, na południu Stanów Zjednoczonych.

Publiczność słuchała jej w ciszy i skupieniu. Wiele lat później ten moment zostanie opisany jako „początek ruchu w obronie praw obywatelskich”<sup>23</sup>. Władze zabroniły Lady Day śpiewać tę piosenkę. Odmówiła.

Nazajutrz zaczęło ją prześladować Federalne Biuro ds. Narkotyków<sup>24</sup>, kierowane przez Harry’ego. Wkrótce on sam miał odegrać kluczową rolę w zabójstwie piosenkarki.

Już pierwszego dnia pracy Harry Anslinger stanął w obliczu problemu, o którym wszyscy wiedzieli. Został właśnie szefem Federalnego Biura ds.

Narkotyków<sup>25</sup> – maleńkiej agencji, ukrytej gdzieś głęboko we wnętrzu Ministerstwa Finansów w Waszyngtonie – wydawało się jednak, że ta instytucja zostanie lada dzień rozwiązana. Wcześniej był to Departament ds. Prohibicji, ale prohibicja została właśnie zniesiona, a ludzie Harry’ego potrzebowali jakiegoś nowego celu, i to szybko. Kiedy nowy szef dokonał przeglądu swojego personelu<sup>26</sup>, zaledwie na kilka lat przed konfliktem z Billie, zobaczył przygnębioną armię, która przez czternaście lat prowadziła wojnę z alkoholem tylko po to, by ostatecznie ujrzyć zwycięstwo alkoholu, i to przytłaczające. Ludzie ci uchodzili powszechnie za skorumpowanych i nieuczciwych<sup>27</sup>, a mimo to Harry miał uczynić z nich siłę, która na zawsze uwolni Stany Zjednoczone od narkotyków.

A była to tylko jedna z licznych przeszkód. Wiele środków psychoaktywnych, w tym marihuana, znajdowało się w legalnym obrocie<sup>28</sup>, a Sąd Najwyższy uznał niedawno, że ludzie uzależnieni od twardych narkotyków powinni być poddawani leczeniu, a nie prześladowani przez ludzi pokroju Harry’ego. Wtedy też – krótko przed mianowaniem go nowym szefem<sup>29</sup> – budżet agencji obcięto o siedemset tysięcy dolarów. Jaki sens miało istnienie tego departamentu i tego stanowiska? Wydawało się, że jego nowe królestwo, oparte na walce z narkotykami, lada moment upadnie i przejdzie do historii biurokracji.

W ciągu kilku lat stres związany z utrzymaniem tej instytucji przy życiu i stworzeniem odpowiedniej roli dla samego siebie pozbawił Harry’ego wszystkich włosów<sup>30</sup> i upodobił go, jak mówili jego podwładni, do przedstawionego w najprostszycy barwach wizerunku zapaśnika na wyblakłym plakacie<sup>31</sup>.

Harry uważał, że w sytuacji, gdy los przydziela mu słabe karty, należy zawsze odważnie podnieść stawkę<sup>32</sup>. Oznajmił, że wypłeni wszystkie narkotyki, wszędzie – i w ciągu trzydziestu lat zdołał zamienić ten upadający departament pełen rozgoryczonych ludzi w kwaterę główną globalnej wojny, która trwa już od ponad stu lat. Dokonał tego, bo był biurokratycznym geniuszem oraz – co istotniejsze – dlatego że amerykańska kultura pełna była ukrytych napięć, które rozładować mógł człowiek taki jak on, skłonny bez wahania i z pełną stanowczością odpowiedzieć na wszystkie pytania dotyczące narkotyków.

Od pamiętnej wizyty w domu sąsiada na wsi Harry wiedział, że chce doprowadzić do starcia narkotyków z powierzchnią ziemi – nikt jednak nie



przypuszczał, że zdoła wcielić swoje pragnienia w czyn, i to tak szybko. Jego ojciec był szwajcarskim fryzjerem<sup>33</sup>, który uciekł z domu w górach, by uniknąć służby wojskowej, i ostatecznie trafił do Pensylwanii, gdzie spłodził dziewięcioro dzieci. Nie był w stanie zapewnić im wszystkim wykształcenia, więc kiedy Harry, który był ósmym dzieckiem, miał czternaście lat, musiał rozpocząć pracę na kolei<sup>34</sup>. Był bardzo ambitnym chłopcem<sup>35</sup> – postanowił, że będzie pracował popołudniami i wieczorami, by rano móc chodzić do szkoły.

Ale to właśnie praca zarobkowa stała się dla niego najlepszą szkołą. Tam bowiem, układając tory w Pensylwanii, po raz pierwszy spotkał się z czymś mrocznym i skrytym – czymś, co stało się jego drugą obsesją. Jego zadaniem było nadzorowanie dużej grupy sycylijskich imigrantów<sup>36</sup>. Jak później wspominał, czasami słyszał, że z ponurymi minami rozmawiali półgłosem o czymś, co nazywali „Czarną Ręką”<sup>37</sup>.

Harry opisywał ich rozmowy w stylu typowym dla tanich thrillerów, których był wielbicielem. O takich rzeczach nie mówiło się przy obcych. Nie mówiło się o nich nawet przy członkach rodziny, jeśli nie było to absolutnie konieczne. Ale to coś mogło cię zniszczyć jednym uderzeniem. Czym mogła być ta Czarna Ręka?<sup>38</sup> Nikt nie chciał mu powiedzieć.

Lecz pewnego ranka Harry znalazł jednego ze swoich podwładnych<sup>39</sup> – Włocha o imieniu Giovanni – leżącego w rowie i brojącego krwią. Mężczyzna został wielokrotnie postrzelony. Kiedy ocknął się w szpitalu, Harry czuwał przy łóżku, gotów wysłuchać jego opowieści, ale Giovanni był zbyt przerażony, by z nim rozmawiać. Anslinger przez kilka godzin zapewniał go, że jest w stanie zapewnić bezpieczeństwo jemu oraz jego rodzinie.

W końcu Giovanni zaczął mówić. Wyznał, że został zastraszony i zmuszony do płacenia haraczu człowiekowi nazywanemu Big Mouth Sam, jednemu z oprychów należących do grupy o nazwie Mafia, która przybyła do Stanów Zjednoczonych z Sycylii i ukrywała się wśród sycylijskich imigrantów. Giovanni opowiadał, że zajmuje się ona różnego rodzaju przestępstwami, a ludzie pracujący na kolei muszą jej płacić „*terror tax*” [podatek od strachu] – albo dawałeś mafii pieniądze, albo trafiałeś do szpitala w stanie takim jak on lub jeszcze gorszym<sup>40</sup>.

Anslinger spotkał się z Big Mouth Samem – „przysadzistym, czarnowłosym imigrantem o potężnych ramionach” – i powiedział: „Jeśli

Giovanni umrze, dopilnuję, żebyś trafił na szubienicę. Rozumiesz?”<sup>41</sup>. Big Mouth próbował się bronić, ale Harry dodał: „Jeśli przeżyje, a ty kiedykolwiek będziesz robił problemy jemu albo któremukolwiek z moich ludzi, albo będziesz znów próbował ich zastraszać, własnoręcznie cię zabiję”.

Po tym wydarzeniu Anslinger zaczął mieć obsesję na punkcie mafii, a działo się to w czasach, gdy większość Amerykanów w ogóle nie chciała wierzyć w jej istnienie. Choć trudno nam dzisiaj w to uwierzyć, aż do lat sześćdziesiątych – i rządów J. Edgara Hoovera – wszyscy kolejni przedstawiciele organów ochrony porządku publicznego uważali mafię za niedorzeczną teorię spiskową, równie nierealną jak potwór z Loch Ness<sup>42</sup>. Doniesienia o działalności syndykatu zbrodni traktowano tak samo, jak dziś traktuje się rewelacje na temat miejsca narodzin prezydenta Obamy lub przekonanie, że losami świata kierują masoni – z niedowierzaniem, że ktokolwiek może myśleć poważnie o czymś tak niedorzecznym<sup>43</sup>.

Harry jednak zetknął się z mafią osobiście i był przekonany, że jeśli pójdzie śladem prowadzącym od Big Mouth Sama do zbirów stojących ponad nim, a potem do tych jeszcze wyżej, dotrze w końcu do ogromnej ogólnoświatowej sieci, a być może nawet do „tajnego rządu światowego”<sup>44</sup>, który z ukrycia kieruje wydarzeniami na Ziemi. Wkrótce zaczął gromadzić wszystkie informacje dotyczące mafii, bez względu na to, jak trywialne bądź mało wiarygodne było ich źródło. Wycinał sensacyjne historie z kolorowych czasopism i przechowywał je w przekonaniu, że kiedyś wykorzysta te informacje<sup>45</sup>.

Gdy rozpoczęła się I wojna światowa, Harry próbował zaciągnąć się do wojska, ale ponieważ nie widział na jedno oko – w dzieciństwie brat trafił go w twarz kamieniem – nie został przyjęty. Ponieważ jednak mówił płynnie po niemiecku, został amerykańskim przedstawicielem dyplomatycznym w Europie. Wkrótce popłynął do Wielkiej Brytanii, okrytej nieprzeniknioną, gęstą mgłą. Stamtąd udał się do Hamburga<sup>46</sup> i do Hagi<sup>47</sup>, gdzie miał wyciągać cenne informacje od miejscowych dyplomatów oraz pomagać Amerykanom w trudnej sytuacji. Trafiło do niego kilku zwolnionych ze służby marynarzy, którzy musieli wrócić do domu, ponieważ uzależnili się od heroiny. Patrząc na ich wymizerowane twarze<sup>48</sup>, Harry zrozumiał, że nienawiść do narkotyków, którą odczuwał

jako mały chłopiec, tylko przybiera na sile. Obiecał sobie, że położy temu kres.

Pod koniec wojny, gdy dla wszystkich stawało się jasne, że Niemcy przegrali, Harry otrzymał najważniejszą jak dotąd misję w swej karierze: miał przekazać tajną wiadomość pokonanemu niemieckiemu dyktatorowi. Zgodnie z tym, jak sam przedstawiał później tę historię, został odesłany do małego holenderskiego miasteczka Amerongen, gdzie w miejscowym zamku niemiecki cesarz przygotowywał się do abdykacji. Anslinger miał za zadanie udawać niemieckiego oficjela i przekazać wiadomość od prezydenta Woodrowa Wilsona, która brzmiała: „Nie rób tego”. Stany Zjednoczone chciały, by cesarz pozostał na tronie i zapobiegł w ten sposób „rewolucji, strajkom i chaosowi”<sup>49</sup>, które, zdaniem Amerykanów, byłyby efektem jego ustąpienia.

Strzegący bramy zamku holenderscy strażnicy kazali Harry’emu pokazać dokumenty potwierdzające jego tożsamość. „Pokażcie mi wasze dokumenty” – warknął po niemiecku Harry. Wystraszeni i przekonani, że to jeden z ludzi cesarza<sup>50</sup>, wpuścili Amerykanina do środka.

Anslinger zdołał przekazać wiadomość, ale było już za późno. Decyzja została podjęta<sup>51</sup>. Cesarz abdykował. Do końca życia Harry był przekonany, że gdyby przekazał prośbę prezydenta odrobinę wcześniej, „zawarty zostałby pokój satysfakcjonujący obie strony, dzięki czemu Hitler nie przejąłby władzy i nie doszłoby do wybuchu II wojny światowej”<sup>52</sup>. Anslinger nabrał przekonania, że losy ludzkości zależały wtedy od jego działań – po raz pierwszy, ale nie ostatni.

Przez jakiś czas podróżował po zrujnowanej Europie. „Trudno opisać uczucia, jakie wywołuje widok dużego miasta obróconego w perzynę, gdzie nie pozostał ani jeden budynek”<sup>53</sup> – pisał w swoim dzienniku. Zbombardowane mosty przywodziły mu na myśl wraki statków<sup>54</sup>. Fabryki albo zostały kompletnie zniszczone, albo wyprowadzono z nich cały sprzęt, który leżał później porzucony wzdłuż dróg, uszkodzony i bezużyteczny niczym metalowe upiory przeszłości. Wszędzie straszły olbrzymie leje po bombach i zasieki z drutu kolczastego. Wszelkie wcześniejsze wyobrażenia, jak pisał, „trzeba pomnożyć przez dwadzieścia”.

Tym jednak, co najbardziej wstrząsnęło Harrym, nie był wpływ wojny na budynki, ale na ludzi. Wydawało się, że stracili wszelkie poczucie przyzwoitości. Wygłodniali, zaczęli się buntować; wysyłano przeciw nim konne oddziały, znów płonęły całe ulice. Harry stał pewnego dnia

w hotelowym holu w Berlinie<sup>55</sup>, gdy rewolucjoniści z ruchu socjalistycznego otworzyli ogień w kierunku budynku, a krew stojącego obok człowieka trysnęła na jego ręce. Anslinger zaczynał dochodzić do wniosku, że cywilizacja jest równie krucha jak osobowość zapamiętanej z dzieciństwa żony farmera z Altoony. Łatwo ją zniszczyć. Od tamtej pory aż do końca życia Harry żył w głębokim przekonaniu, że amerykańskie społeczeństwo może ulec zapaści równie łatwo jak narody Europy<sup>56</sup>.

W 1926 roku został przeniesiony z ponurego gruzowiska Europy na oblane błękitną wodą wyspy Bahama<sup>57</sup>. Harry nie należał jednak do ludzi, którzy szukają pretekstu do wypoczynku. Był to szczytowy okres amerykańskiej prohibicji<sup>58</sup>: Amerykanie chcieli pić, a przemytnicy chcieli sprzedawać im swój towar, więc whisky lała się na Bahamach strumieniami. Harry był wściekły. Przemytnicy wywodzili się głównie z Antyli i Ameryki Środkowej, a Anslinger uważał, że roznoszą „obrzydliwe i zakaźne choroby”<sup>59</sup>, a każdy, kto będzie na tyle głupi, by kupować od nich alkohol, może się zarazić tymi chorobami.

„Dajcie mi naładowaną strzelbę, a rozprawię się z tymi gnojkami”<sup>60</sup> – powiedział jeden ze współpracowników Harry’ego, ten zaś, będąc zwolennikiem podobnej postawy, poinformował swoich szefów, że wie, jak skutecznie wcielić w życie prohibicję. Należy zastosować podejście siłowe. Wysłać okręty wojenne do patrolowania wybrzeży Ameryki i wyłapywania przemytników. Zakazać sprzedaży alkoholu do celów medycznych. Znacząco zwiększyć kary więzienia dla handlarzy, aż wszyscy trafią do więzienia<sup>61</sup>. Prowadzić bezlitosną walkę z alkoholem, aż ten stanie się tylko wspomnieniem.

W ciągu kilku lat Harry zrobił błyskawiczną karierę – od kompetentnego, choć sfrustrowanego agenta walczącego z alkoholem na Bahamach, do kierownika departamentu w Waszyngtonie. Jak tego dokonał? Trudno powiedzieć, lecz z pewnością nie bez znaczenia był fakt, że Anslinger poślubił niejaką Marthę Denniston, młodą kobietę należącą do jednej z najbogatszych rodzin Ameryki, Mellonów. Minister finansów, Andrew Mellon, był teraz bliskim krewnym Harry’ego, a Departament Prohibicji podlegał właśnie Ministerstwu Finansów.

Od momentu objęcia kierownictwa biura Harry był świadom, że jego pozycja jest bardzo słaba. Wojna z narkotykami – kokainą i heroiną, które zdelegalizowano w 1914 roku – nie dawała wystarczającej podstawy do

funkcjonowania tej instytucji. Tylko drobny ułamek społeczeństwa sięgał po te substancje, nie należało więc oczekiwać, że ze względu na nich państwo będzie utrzymywało cały departament. Anslinger potrzebował czegoś więcej.

Z tego powodu zaczął zwracać uwagę na intrygujące incydenty opisywane w gazetach. Opatrywano je tytułami podobnymi do tego z „New York Timesa” z szóstego lipca 1927 roku: *Meksykańska rodzina oszalała*<sup>62</sup>. Poniżej wyjaśniano: „Wdowa i jej czworo dzieci popadli w obłąd po zjedzeniu liści marihuany. Zdaniem lekarzy nie ma szans na uratowanie życia dzieci, a ich matka do końca życia pozostanie obłąkana”. Matka nie miała pieniędzy na jedzenie, postanowiła więc zjeść liście rosnącej w ogrodzie marihuany. Wkrótce potem „zaniepokojeni wybuchami szaleńczego śmiechu sąsiedzi wbiegli do domu i ujrzeli całą rodzinę pogrążoną w szaleństwie”.

Harry już znacznie wcześniej uznał, że marihuana czy haszysz to pozbawione większego znaczenia środki<sup>63</sup>, które tylko odciągałyby go od walki z naprawdę groźnymi narkotykami. Utrzymywał, że środki te nie uzależniają i że „nie ma chyba większej bzdury” niż twierdzenie, że mogą być przyczyną ciężkich przestępstw<sup>64</sup>.

Niemal z dnia na dzień zaczął jednak głosić całkiem odmienne poglądy. Dlaczego? Uważał, że dwie grupy etniczne budzące największy strach w Stanach Zjednoczonych<sup>65</sup> – meksykańscy imigranci i Afroamerykanie – korzystają z tych substancji znacznie częściej niż biali. Przedstawił komisji budżetowej Kongresu koszmarny scenariusz wydarzeń, do których mogło to doprowadzić. Przytaczał historie o „kolorowych studentach z University of Minnesota, którzy bawili się na przyjęciach z (białymi) studentkami i zdobywali ich współczucie opowieściami o prześladowaniu rasowym. Skutek: ciąża”<sup>66</sup>. Była to zaledwie pierwsza zapowiedź tego, co wkrótce miało się rozpętać.

Anslinger napisał do trzydziestu ekspertów naukowych, prosząc ich o odpowiedzi na serię pytań dotyczących marihuany. Dwudziestu dziewięciu z nich odpisało, że delegalizacja tej substancji będzie błędem i że prasa przedstawia ją w fałszywym świetle<sup>67</sup>. Harry postanowił ich zignorować i zacytował jedyne go eksperta, którego zdaniem marihuana to samo zło i należy ją wyplenić.

Na tej podstawie Anslinger ostrzegł społeczeństwo przed skutkami palenia marihuany. Jego zdaniem palacz wpada najpierw w „deliryczną

wściekłość”. Potem zostaje opętany „snami [...] o erotycznej treści”. Następnie „traci zdolność logicznego myślenia”, a na koniec dociera do tego, co nieuniknione: „obłądu”<sup>68</sup>. Taka osoba może się po prostu upalić, wyjść na ulicę i kogoś zabić<sup>69</sup>, zanim się zorientuje, że w ogóle opuściła pokój, bo marihuana „zamienia człowieka w dziką bestię”<sup>70</sup>. W istocie, „gdyby odrażający potwór doktora Frankensteina stanął twarzą w twarz z potworem Marijuana, padłby trupem z przerażenia”<sup>71</sup>.

Z Harrym skontaktował się doktor Michael V. Ball, który nie zgadzał się z tymi poglądami. Twierdził, że używał wyciągu z konopi indyjskich na studiach i że czuł wtedy jedynie senność. Uważał również, że opowieści o dramatycznych skutkach korzystania z tego narkotyku nie mogą być prawdą. Być może marihuana i haszysz w nielicznych przypadkach doprowadzają ludzi do obłądu, ale każdy, kto reaguje na nie w ten sposób, prawdopodobnie już wcześniej miał problemy ze zdrowiem psychicznym. Ball błagał Anslingera, by ten sfinansował rzetelne badania laboratoryjne, które pozwoliłyby im poznać prawdę.

Odpowiedź Anslingera była stanowcza. „Nie można dłużej tolerować zła, jakim jest marihuana”<sup>72</sup> – wyjaśniał, dodając, że nie będzie finansował żadnych niezależnych badań, ani wtedy, ani potem.

Przez lata lekarze przedstawiali Anslingerowi dowody na to, że się myli, a on zaczął odnosić się do nich z wrogością, mówiąc, że „stapają po cienkim lodzie”<sup>73</sup> i powinni trzymać język za zębami. Jednocześnie rozesłał listy do policjantów w całym kraju, nakazując im, by wyszukiwali sprawy, w których marihuana doprowadziła ludzi do zabójstwa – i takie historie zaczęły do niego spływać<sup>74</sup>.

Decydujące znaczenie, zarówno dla Harry’ego, jak i dla Ameryki, miała sprawa pewnego młodego człowieka, Victora Lacaty. Był to dwudziestojednoletni mężczyzna z Florydy, uchodzący wśród sąsiadów za „rozsądnego, raczej cichego młodzieńca”<sup>75</sup>, aż do dnia, w którym – jak mówiono – zaczął palić marihuanę. Owładnięty „narkotycznymi urojeniami”<sup>76</sup> nabrał przekonania, że atakują go ludzie, którzy chcą odciąć mu rękę, przeszedł więc do kontrataku, chwycił siekiere i porąbał na kawałki matkę, ojca, dwóch braci i siostrę.

Za namową Harry’ego prasa nagłośniła historię Lacaty<sup>77</sup>. Ludzie zaczęli wierzyć, że jeśli ich synowie zaczną palić marihuanę, również mogą porąbać ich na kawałki. Anslinger nie był autorem tych rewelacji – już pod



koniec XIX wieku w Meksyku powszechnie uważano, że po marihuanie człowiek staje się „loco” [szalony]<sup>78</sup>. Nie tylko on rozpowszechnił takie opowieści w Stanach Zjednoczonych – prasa również je uwielbiała, szczególnie media należące do Williama Randolpha Hearsta. Jednak Anslinger jako pierwszy wsparł je autorytetem rządowego departamentu, odpowiednio nagłośnił i uwiarygodnił stemplem rządowej powagi. Ostrzegał, że z obłoków narkotycznego dymu wynurzają się całe zastępy Victorów Lacatów.

Ostrzeżenia odniosły zamierzony skutek. Ludzie zaczęli się domagać, by Biuro ds. Narkotyków dostało więcej pieniędzy i uwolniło ich od tego straszliwego zagrożenia<sup>79</sup>. Problem Harry’ego – kruchość jego nowego imperium – powoli odchodził w przeszłość.

Wiele lat później profesor prawa John Kaplan przeanalizował sprawę Victora Lacaty i sprawdził jego dokumentację medyczną<sup>80</sup>. Okazało się, że zdaniem psychiatrów badających Lacatę młodzieniec cierpiał na „trwałe i głębokie” zaburzenia psychiczne<sup>81</sup>. Wielu członków jego rodziny miało podobne, równie poważne problemy ze zdrowiem psychicznym – troje z nich trafiło do zakładu dla obłąkanych – a nim doszło do tragedii, miejscowa policja przez wiele lat próbowała skierować Lacatę do szpitala psychiatrycznego. Sprzeciwiali się temu jego rodzice, twierdząc, że wolą opiekować się nim w domu. Psychiatrzy prawdopodobnie nie przykładali żadnej wagi do faktu, że młodzieniec palił marihuanę, ponieważ nawet nie wspomnieli o tym w jego dokumentacji.

Lecz Anslinger miał już swoją wymarzoną historię. Podczas słynnego wystąpienia w radiu mówił: „Rodzice, miejcie się na baczności! Waszym dzieciom [...] grozi nowe niebezpieczeństwo w postaci odurzającego papierosa, marihuany. Młodzi stają się niewolnikami tego narkotyku, pozostają w szponach nałogu, podkopują swoje zdrowie psychiczne, aż wpadają w obłąd i dopuszczają się aktów przemocy i morderstw”<sup>82</sup>.

Harry trzymał się tego poglądu bez względu na to, co mówiono mu na ten temat – po części dlatego, że zderzając się ze ścianą sceptycyzmu dotyczącego zgubnych skutków palenia marihuany, odkrywał coś nieprawdopodobnego. Wszyscy z niego sztychli, gdy twierdził, że mafia istnieje. „Gdzie masz dowody?” – pytali z pogardą. Lecz teraz, dzięki swoimi agentom, Anslinger zdobywał materiały dowodzące, że mafia nie tylko istnieje, ale jest większa, niż ktokolwiek przypuszczał. Tworzył kartotekę, która zawierała szczegółowe dane dotyczące ośmiuset mafiosów

działających na terenie kontynentalnych Stanów Zjednoczonych<sup>83</sup>. Prowadzone przez Anslingera akcje dowodziły, że się nie myli<sup>84</sup>, lecz władze wciąż nie chciały mu uwierzyć i starały się nie zajmować tym tematem. Niektórzy przedstawiciele władzy byli skorumpowani<sup>85</sup>, inni nie chcieli sobie psuć statystyk i stuprocentowej skuteczności<sup>86</sup>, podejmując się tak trudnej i niebezpiecznej krucjaty, jeszcze inni po prostu się bali. Kiedy szef policji w Nowym Orleanie<sup>87</sup>, David Hennessy, zaczął nazbyt interesować się mafią, został zamordowany.

Anslinger zaczął wierzyć, że wszystkie jego przeczucia okażą się równie trafne. Musiał tylko przeciwstawić się „ekspertom” i zaufać instynktowi. W końcu odkryje więcej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać.

Po jakimś czasie zintensyfikował kampanię. Zaczął ostrzegać, że najbardziej przerażające są skutki oddziaływania marihuany na czarnoskórych. Zapominają wtedy o właściwych barierach rasowych<sup>88</sup> i dają upust swoim żądzom skierowanym ku białym kobietom. Oczywiście w latach trzydziestych inaczej mówiło się o kwestiach rasowych, ale radykalizm poglądów Harry’ego szokował nawet wtedy. Gdy ujawniono, że w oficjalnej notatce służbowej nazywał podejrzanego „czarnuchem”, senator Joseph P. Guffey z rodzinnego stanu Anslingera, Pensylwanii, zażądał jego rezygnacji. Później, gdy jeden z bardzo nielicznych czarnoskórych agentów departamentu<sup>89</sup>, William B. Davis, skarżył się, że ludzie Harry’ego nazywają go „czarnuchem”, ten wyrzucił go z pracy.

Wkrótce Harry zaczął traktować w ten sposób wszystkich swoich krytyków. Kiedy Amerykańskie Towarzystwo Medyczne wydało raport podważający niektóre spośród głoszonych przez niego tez<sup>90</sup>, Anslinger ogłosił, że każdy z jego agentów przyłapany z egzemplarzem tego raportu w ręce będzie natychmiast zwolniony. Gdy dowiedział się, że pewien wykładowca akademicki, Alfred Lindesmith, namawia do traktowania narkomanów ze współczuciem i troską, kazał swoim agentom wystosować przeciwko niemu fałszywe oskarżenie<sup>91</sup> i obwinić go przed władzami uniwersytetu o współpracę z „organizacją przestępczą”<sup>92</sup>. Ponadto założył mu podsłuch<sup>93</sup> i wysłał do Lindesmitha oddział swoich ludzi, którzy kazali mu się zamknąć<sup>94</sup>. Harry nie mógł kontrolować przepływu narkotyków<sup>95</sup>, odkrył jednak, że może kontrolować przepływ idei – i uważał, że powinien zamknąć usta nie tylko naukowcom.



Z notatek pozostawionych przez Harry'ego wynika jasno, że miał obsesję na punkcie Billie Holiday, ja zaś odniosłem wrażenie, że historia tej obsesji ma drugie dno. Odszukałem więc wszystkich żyjących jeszcze ludzi, którzy znali Billie<sup>96</sup>, by ich o to wypytać. Jeden z nich – jej syn chrzestny Bevan Dufty – wyjaśnił mi, że jego matka była najlepszą przyjaciółką Billie i że jej zdaniem piosenkarka została w gruncie rzeczy zabita przez amerykańskie władze. Przechowywał na strychu jej pisma, do których nikt nie miał dostępu od wielu lat. Spytał, czy chciałbym je zobaczyć. Gdy zestawilem je z dokumentami pozostawionymi przez Harry'ego, z opowieściami przyjaciół Billie i z dziełami jej biografów, zacząłem lepiej pojmować całą tę historię.

Jazz był przeciwieństwem wszystkiego, w co wierzył Harry Anslinger. To muzyka improwizowana, swobodna, pozbawiona sztywnych ograniczeń. Kieruje się własnym rytmem. Co najgorsze, zrodziła się z mieszanki inspiracji europejskich, karaibskich i afrykańskich, które połączyły się ze sobą na wybrzeżach Ameryki. Dla Anslingera była to muzyczna anarchia, świadectwo nawrotu prymitywnych impulsów, które kryją się w czarnoskórych, gotowe do ujawnienia się w sprzyjających okolicznościach. „Brzmiało to jak odgłosy dżungli w samym środku nocy”<sup>97</sup> – pisał w notatkach. Ostrzegał, że w tej czarnej muzyce „zostają wskrzeszone bardzo stare, bezwstydnne obrzędy Zachodnich Indii”<sup>98</sup>. Życie jazzmanów „cuchnie zepsuciem”<sup>99</sup> – podsumowywał.

Agenci Harry'ego donosili: „Wielu jazzmanów jest przeświadczonych, że pod wpływem marihuany grają wyjątkowo pięknie, podczas gdy w rzeczywistości wszystko im się wtedy miesza, a ich muzyka jest okropna”<sup>100</sup>.

W Biurze uważano, że marihuana drastycznie ogranicza poczucie czasu<sup>101</sup> i dlatego jazz brzmi tak dziwacznie – muzycy żyli dosłownie innym, nieludzkim rytmem. „Muzyka jest pełna wdzięku – pisano w notatkach służbowych – ale nie ta muzyka”<sup>102</sup>. Harry traktował jazz jako jeszcze jeden dowód, że marihuana doprowadza ludzi do szaleństwa. Na przykład tekst piosenki *That Funny Reefer Man* zawiera wers „Gdy tylko przyjdzie mu to do głowy, może chodzić po oceanie”<sup>103</sup>. Agenci Harry'ego ostrzegali: „On naprawdę tak myśli”.

Anslinger obserwował ówczesną scenę muzyczną, wypełnioną ludźmi takimi jak Charlie Parker<sup>104</sup>, Louis Armstrong<sup>105</sup> czy Thelonious Monk<sup>106</sup>, i – jak ujął to dziennikarz Larry Sloman – pragnął ujrzeć ich wszystkich za kratkami<sup>107</sup>. W instrukcjach skierowanych do wszystkich agentów, którzy mieli śledzić muzyków, pisał: „Przygotujcie wszystkie sprawy dotyczące muzyków z waszych okręgów, którzy łamią prawo związane z używaniem marihuany. Kiedyś zorganizujemy wielki nalot i zgarniemy ich wszystkich jednego dnia, na terenie całego kraju. Dam wam znać, kiedy nastąpi ten dzień”<sup>108</sup>. Wszystkim agentom przeprowadzającym naloty radził zawsze: „Najpierw strzelajcie”<sup>109</sup>.

Zapewniał kongresmenów, że ta kampania nie dotknie „dobrych muzyków, tylko jazzowych”<sup>110</sup>. Jednak gdy Harry przeszedł do ataku, świat jazzu uratowała jedyna skuteczna w tej sytuacji broń: pełna solidarność. Ludzie Anslingera nie mogli znaleźć wśród muzyków jazzowych nikogo, kto chciałby donosić na innych<sup>111</sup>, a jeśli już któryś z nich trafił do więzienia, pozostali zrzucali się na kaucję<sup>112</sup>.

W końcu Ministerstwo Finansów powiadomiło Anslingera, że marnuje tylko czas<sup>113</sup>, walcząc ze społecznością, której nie da się rozbić. Harry postanowił więc zrealizować plan na mniejszą skalę i skupił całą uwagę na jednej osobie – być może najwybitniejszej piosenkarce w historii jazzu.

Billie Holiday urodziła się kilka miesięcy po uchwaleniu ustawy Harrisona<sup>114</sup>, pierwszego aktu prawnego delegalizującego kokainę i heroinę, i już do końca swych dni miała żyć w jej cieniu<sup>115</sup>. Wkrótce po narodzinach Billie jej dziewiętnastoletnia matka, Sadie, została prostytutką<sup>116</sup>, a jej siedemnastoletni ojciec zniknął. Później zmarł na zapalenie płuc na Południu, ponieważ nie mógł znaleźć szpitala, który podjąłby się leczenia osoby czarnoskórej<sup>117</sup>.

Dziewczynka wychowywała się na ulicach Baltimore – samotna i zbuntowana. Było to ostatnie duże amerykańskie miasto pozbawione kanalizacji<sup>118</sup>, więc Billie spędziła dzieciństwo w cuchnących oparach fermentujących odchodów<sup>119</sup>. Mieszkała w Pigtown, nędznej dzielnicy baraków i ruder. Codziennie mała Billie myła i pielęgnowała swoją prababcie, słuchając jej opowieści z czasów, gdy była niewolnicą na plantacji w Wirginii<sup>120</sup>.

Billie szybko pojęła, że nie ma wstępu do wielu miejsc tylko dlatego, że jest czarnoskóra. Obsługa pewnego baru z hot dogami wpuszczała ją do środka, jeśli nikt nie patrzył<sup>121</sup>, ale robiła jej awanturę, gdy próbowała jeść wewnątrz w obecności innych klientów. Billie czuła, że to niesprawiedliwe i że musi się zmienić, więc złożyła sobie samej obietnicę: „Jak miałam trzynaście lat, strasznie się pewnego razu wściekłam i poustawiałam wszystko po swojemu. Postanowiłam, że od tej pory robię i mówię tylko to, w co naprawdę wierzę. Żadnego »tak, proszę pana«, »dziękuję, proszę pani«. Nic z tych rzeczy. Chyba że sama chciałam tak powiedzieć. Trzeba być czarnym, biednym i oberwać setki razy po głowie, żeby wiedzieć, jak trudno osiągnąć coś tak prostego”<sup>122</sup>. Ta obietnica miała zmienić jej życie – i jej stosunek do Harry’ego.

Gdy miała dziesięć lat, w domu Billie pojawił się jeden z jej sąsiadów – czterdziestokilkuletni mężczyzna Wilbur Rich<sup>123</sup> – i oznajmił, że zaprowadzi dziewczynkę do jej matki, która poprosiła go o tę przysługę. Zabrał Billie do swojego domu i kazał jej tam czekać. Dziewczynka posłusznie siedziała i czekała, ale jej matka nie przychodziła. W końcu zapadła noc, Billie powiedziała mężczyźnie, że chce jej się spać. Ten zaoferował jej swoje łóżko. Gdy się położyła, obezwładnił ją i zgwałcił.

Dziewczynka krzyczała, próbowała drapać mężczyznę i mu się wyrywać<sup>124</sup>, wołała o pomoc. Ktoś musiał ją usłyszeć, ponieważ wkrótce przyjechała policja. Gdy funkcjonariusze wpadli do środka, od razu jednoznacznie ocenili sytuację. Stwierdzili, że Billie to dziwka, która próbuje zrobić tego biednego mężczyznę. Zamknięto ją na dwa dni w areszcie. Kilka miesięcy później Wilbur Rich został skazany na trzy miesiące więzienia, zaś Billie na rok pobytu w domu poprawczym<sup>125</sup>.

Zakonnice prowadzące zamknięty, ogrodzony murem ośrodek przyjrzały się jej uważnie, po czym uznały, że jest zepsuta i że przydałoby się jej trochę dyscypliny. Billie nie pozwalała się w żaden sposób kontrolować, więc postanowiły „dać jej nauczkę”<sup>126</sup>. Zaprowadziły ją do pokoju, w którym leżały ludzkie zwłoki, zamknęły ją tam i przetrzymały przez całą noc. Billie waliła w drzwi, aż jej pięści pokryły się krwią, ale nikt nie przyszedł jej z pomocą<sup>127</sup>.

Kiedy uciekła – z zakładu poprawczego i z Baltimore – chciała przede wszystkim odszukać swoją matkę<sup>128</sup>, którą ostatnio widziano w Harlemlu. Gdy przyjechała tam autobusem<sup>129</sup> w środku mroźnej zimy i odszukała

podany jej adres, okazało się, że to burdel. Jej matka pracowała tam za nędzne grosze i nie była w stanie jej utrzymać. Wkrótce Billie została wyrzucona na bruk. Była tak głodna, że nawet oddychanie sprawiało jej ból. Uznała w końcu, że zostało jej tylko jedno wyjście. Burdelmama oferowała jej pięćdziesiąt procent zarobku za seks z nieznajomymi<sup>130</sup>. Billie miała wtedy czternaście lat.

Wkrótce dziewczyna miała własnego alfonsa. Był to brutalny, nieokrzesany bandyta, niejaki Louis McKay, który później połamał jej żebra i pobił niemal do nieprzytomności. Co istotniejsze, wiele lat później poznał Harry'ego Anslingera i współpracował z nim. Po kilku latach matka Billie zaczęła ją namawiać, by wyszła za Louisa<sup>131</sup> – mówiła, że to przecież wyjątkowo miły mężczyzna.

Policja przyłapała Billie na prostytucji<sup>132</sup> i znów, zamiast ratować ją przed gwałtami i brutalnością alfonsów, postanowiła ją ukarać<sup>133</sup>. Dziewczyna trafiła do więzienia na Welfare Island, a kiedy stamtąd wyszła, zaczęła szukać najmocniejszych, najbardziej odurzających środków, jakie można było wtedy zdobyć. Najpierw sięgała najchętniej po „Białą Błyskawicę”<sup>134</sup>, toksyczną mieszanę zawierającą trzydziestopięcioprocentowy alkohol. Im była starsza, tym bardziej starała się zagłuszyć swój smutek coraz silniejszymi substancjami. Pewnego wieczora biały chłopak z Dallas nazywany Speck pokazał jej, jak wstrzykiwać sobie heroinę<sup>135</sup>. Wystarczy podgrzać ją na łyżce i wstrzyknąć prosto do żyły<sup>136</sup>. Kiedy nie odurzała się narkotykami ani alkoholem, wpadała w głęboką depresję<sup>137</sup> i była tak nieśmiała, że prawie się nie odzywała<sup>138</sup>. Wciąż zdarzało jej się budzić w nocy z krzykiem, gdy powracały do niej obrazy gwałtu i uwięzienia<sup>139</sup>. „Wpadłam w nałóg i wiem, że to nie jest dobre – wyznała kiedyś przyjaciółce – ale to jedyna rzecz, dzięki której wiem, że istnieje ktoś taki jak Billie Holiday. Ja jestem Billie Holiday”<sup>140</sup>.

Później jednak odkryła coś innego. Pewnego dnia szła wyglodniała wzdłuż Harlemu, wypytując we wszystkich barach po drodze, czy nie mają dla niej jakiejś pracy, ale wszędzie ją odrzucano. W końcu trafiła do lokalu o nazwie Log Cabin, gdzie powiedziała, że mogłaby pracować jako tancerka. Już po kilku ruchach stało się jednak oczywiste, że nie ma do tego talentu. Zdesperowana, zaproponowała właścicielowi, że coś zaśpiewa. Wskazał na starego pianistę siedzącego przy swoim instrumencie w rogu

lokalu i powiedział jej, żeby podała mu melodię<sup>141</sup>. Gdy zaśpiewała *Trav'lin' All Alone*, klienci odstawili drinki i zaczęli uważniej słuchać. Nim skończyła następny utwór<sup>142</sup>, *Body and Soul*, po ich policzkach płynęły łzy.

Śpiewała trochę delikatniej niż inni, lecz żyła ostrzej. Pewnego razu, w Wigilię, jakiś marynarz zobaczył ją przy barze i spytał barmana: „Od kiedy to obsługujesz czarne dziwki?”, a Billie pocięła mu twarz potłuczoną butelką<sup>143</sup>. Innym razem w innym barze grupa żołnierzy i marynarzy zaczęła gasić papierosy na jej futrze z norek<sup>144</sup>. Billie poprosiła przyjaciółkę, by pottrzymała jej futro, a sama chwyciła za ciężką popielniczkę w kształcie rombu i ogłuszyła nią marynarzy.

Traciła jednak ten instynkt i wolę walki, gdy chodziło o mężczyzn w jej życiu<sup>145</sup>. Louis McKay awansował z funkcji alfonsa do roli jej „menedżera” i męża: ukradł jej niemal wszystkie pieniądze. Po jej najwspanialszym występie w Carnegie Hall przywitał ją uderzeniem w twarz<sup>146</sup> – tak mocnym, że Billie dosłownie poleciała do tyłu. Wkrótce w jej życie miał wkroczyć Harry Anslinger, który – jak się później okazało – przez cały czas uważnie ją obserwował.

Harry słyszał plotki, że ta wschodząca czarna gwiazda sięga po heroinę, polecił więc jednemu ze swych agentów Jimmy’emu Fletcherowi, by śledził każdy jej krok<sup>147</sup>. Anslinger nie lubił zatrudniać czarnoskórych agentów, ale gdyby wysłał białych do Harlemu i Baltimore, miejscowi natychmiast nabraliby wobec nich podejrzeń<sup>148</sup>. Jimmy Fletcher był właściwym rozwiązaniem – człowiekiem, który miał działać na szkodę swoich pobratymców. Anslinger wielokrotnie powtarzał, że nie dopuści, by kiedykolwiek w jego biurze czarnoskóry był szefem białego. Jimmy mógł pracować w biurze, ale nie miał najmniejszych szans na awans. Musiał się pogodzić z tym, że zawsze będzie chłopcem na posyłki<sup>149</sup> – agentem pracującym na ulicy, który miał za zadanie ustalić, kto sprzedaje, kto dostarcza i kogo należy zgarnąć. Nosił przy sobie duże ilości narkotyków i mógł je sprzedawać, by zdobyć w ten sposób zaufanie ludzi, których zamierzał potem aresztować.

Wielu agentów pełniących podobną funkcję wstrzykiwało sobie heroinę wraz ze swoimi klientami<sup>150</sup>, by „udowodnić”, że nie pracują dla policji. Nie wiemy, czy Jimmy też tak postępował, wiemy jednak, że nie współczuł

narkomanom. „Nie znałem żadnej ofiary narkotyków – mówił. – Sami robicie z siebie ofiary, zostając ćpunami”<sup>151</sup>.

Jimmy po raz pierwszy spotkał Billie w mieszkaniu jej szwagra<sup>152</sup>, gdzie piła ogromne ilości alkoholu i wciągała równie porażające ilości kokainy. Następnym razem spotkali się w burdelu w Harlemie, gdzie Billie robiła dokładnie to samo. Miała ogromny talent nie tylko do śpiewania, ale i do przeklinania<sup>153</sup> – jeśli nazwała kogoś „skurwysynem”, należało to uznać za komplement<sup>154</sup>. Nie wiemy, kiedy po raz pierwszy zwróciła się w ten sposób do Jimmy’ego, ale dość szybko zauważyła, że obraca się w jej towarzystwie i obserwuje ją. Polubiła go.

Gdy Jimmy otrzymał rozkaz, by aresztować Billy, zapukał do jej drzwi, udając, że ma dla niej telegram. Biografka piosenkarki Julia Blackburn analizowała niegdyś jedyny zachowany wywiad z Jimmym Fletcherem – który zaginął potem w archiwum, gdzie go przechowywano – i opisała dokładnie to, co udało jej się zapamiętać.

– Włóż go pod drzwi! – krzyknęła Billie.

– Jest za duży, nie zmieści się! – odkrzyknął Jimmy.

Wpuściła go do środka. Była sama. Jimmy czuł się nieswojo.

– Billie, możemy to szybko załatwić. Jeśli coś masz, oddaj nam to od razu, i będzie po wszystkim, zgoda? – powiedział. – Nie będziemy wtedy niczego szukać, wyciągać twoich ubrań i tak dalej. To jak, zgadzasz się?<sup>155</sup> – spytał.

Lecz partner Jimmy’ego posłał już po policjantkę, która miała przeprowadzić rewizję osobistą.

– Nie musicie tego robić. Rozbiorę się – powiedziała Billie. – Chcę tylko wiedzieć, czy po przeszukaniu puścicie mnie wolno. Ta policjantka zajrzy mi tylko do cipki, nic więcej.

Rozebrała się i wysikała na ich oczach, oni zaś, chcąc nie chcąc, musieli na to patrzeć.

Śpiewając *Loverman, where can you be?*, Billie nie domagała się miłości nieznanego kochanka, lecz heroiny<sup>156</sup>. Kiedy jednak dowiedziała się, że jej przyjaciele ze świata jazzu używają tego samego narkotyku, błagała ich, by przestali<sup>157</sup>. Nigdy mnie nie naśladowajcie, prosiła. Nigdy nie róbcie tego, co ja.

Wiele razy próbowała z tym zerwać. Prosiła przyjaciół, by zamykali ją w swoich domach na wiele dni, podczas gdy ona walczyła z głodem



narkotycznym. Wracając do swoich dealerów, przeklinała swoją słabość, nazywała siebie „Holiday bez charakteru”<sup>158</sup>. Dlaczego nie mogła przestać? „Wyjście z nałogu jest wystarczająco trudne nawet wtedy, gdy otaczają cię ludzie, którym możesz zaufać, ci, którzy cię kochają i w ciebie wierzą. A ja nikogo takiego nie miałam”<sup>159</sup> – pisała. Sama dodawała później, że nie do końca było to prawdą, ponieważ miała agentów Anslingera. „Poświęcali swój czas, pieniądze i siły, żeby mnie dopaść. Nikt nie może tak żyć” – mówiła.

Podczas pierwszego nalotu na mieszkanie Billie Jimmy wziął ją na bok i obiecał, że osobiście wstawi się za nią u Anslingera. „Nie chcę, żebyś straciła pracę”<sup>160</sup> – mówił.

Wkrótce potem spotkali się w barze, Billie rozmawiała z nim przez kilka godzin, niańcząc swoją suczkę rasy chihuahua Moochy<sup>161</sup>. Pewnego wieczora w klubie Ebony tańczyli ze sobą – Billie Holiday i agent Anslingera, kołysząc się w rytm muzyki.

„Rozmawiałem z nią wiele razy, na wiele tematów” – wspominał po latach. „Należała do ludzi, którzy budzą powszechną sympatię, bo szczerze wszystkich kochała”<sup>162</sup>. Wyglądało na to, że człowiek, którego Anslinger nasłał na Billie Holiday, zakochał się w niej<sup>163</sup>. Choć była narkomanką, gdy zetknął się z nią twarzą w twarz, zapomniał o pogardzie, jaką żywił dla takich ludzi.

Pomimo zaskakującej postawy Jimmy’ego Anslinger mógł dopaść Billie, korzystając z pomocy, jakiej nie otrzymał w przypadku żadnej innej gwiazdy jazzu. Billie często przychodziła na występy tak mocno pobita przez Louisa McKaya, że przed wyjściem na scenę trzeba było owijać jej zębra taśmą<sup>164</sup>. Bała się pójść na policję, w końcu jednak znalazła w sobie dość odwagi, by położyć temu kres.

„Jak to możliwe, żebym miał iść do paki przez tę dziwkę?” – wściekał się McKay. „Przez tę podłą sukę? Jak mam jakąś kurwę, to dostaję od niej kasę albo nie chcę mieć z nią nic wspólnego. Nie będę się z suką certolił”<sup>165</sup>. Dowiedział się, że Harry Anslinger szuka informacji na jej temat i natychmiast się tym zainteresował. „Za dużo gówna uchodziło jej na sucho” – mówił, dodając, że chce „zobaczyć dupsko Holiday w ściekach cieśniny East River”. Był to prawdopodobnie moment, w którym rozstrzygnęły się losy Billie. „Wiem dość, żeby ją wykończyć” – odgrażał

się McKay. „Dokopię jej tak, że popamięta mnie do końca życia”. Pojechał do Waszyngtonu, by spotkać się z Harrym<sup>166</sup>, i obiecał, że mu ją wystawi.

Gdy ponownie wpadła w łapy Biura, wytoczono jej proces<sup>167</sup>. Stała przed sądem blada i zaszokowana. „Sprawa trafiła na wokandę jako »Stany Zjednoczone Ameryki przeciwko Billie Holiday« – wspominała. – Dokładnie tak właśnie się czułam”<sup>168</sup>. Powstrzymała się od płaczu na sali rozpraw<sup>169</sup>. Powiedziała sędziemu, że nie chce litości. Chciała tylko, by wysłano ją do szpitala, gdzie mogłaby się wreszcie uwolnić od nałogu. „Chcę się leczyć”<sup>170</sup> – tłumaczyła sędziemu.

Skazano ją na rok pobytu w więzieniu w Wirginii Zachodniej<sup>171</sup>, gdzie musiała z dnia na dzień odstawić narkotyki i pracować w miejscach takich jak chlewnia<sup>172</sup>. Przez cały ten czas nie zaśpiewała ani jednej nuty<sup>173</sup>. Wiele lat później, gdy opublikowano jej autobiografię, Billie odszukała Jimmy’ego Fletchera i przesłała mu egzemplarz z dedykacją<sup>174</sup>. Napisała w niej: „Większość federalnych to mili ludzie. Mają paskudną robotę i robią, co muszą. Co bardziej sympatyczni z nich szczerze się za to nienawidzą [...]. Być może wszystko skończyłoby się lepiej, gdyby byli trochę gorsi. Może wtedy tak bardzo bym im nie ufała”<sup>175</sup>. Miała rację. Jimmy do końca życia miał wyrzuty sumienia z powodu tego, co zrobił Lady Day. „Billie spłaciła swój dług wobec społeczeństwa” – napisała jedna z jej przyjaciółek. „Ale społeczeństwo nigdy nie spłaciło swego długu wobec niej”<sup>176</sup>.

Jako osoba skazana prawomocnym wyrokiem sądu Billie straciła prawo do występów publicznych, gdyż teoretycznie jej śpiew mógł mieć zgubny wpływ na morale publiczności. Oznaczało to, że nie może śpiewać w lokalach, gdzie podaje się alkohol<sup>177</sup> – czyli we wszystkich klubach jazzowych na terenie USA.

– Jak zadać komuś najgorszą torturę? – spytała mnie w 2013 roku przyjaciółka Billie, Yolande Bavan. – Zabrać mu to, co dla niego najcenniejsze.

Billie mogła znieść wiele, ale nie coś takiego.

– Rozpaczasz, bo jesteś bezsilny. Nie możesz robić tego, co jest twoją pasją, z czego żyjesz, i co przynosi radość tobie oraz ludziom na całym świecie – mówi Bavan.



Billie została w końcu uciszona. Nie miała dość pieniędzy, by o siebie zadbać czy choćby dobrze się odżywiać. Nie mogła nawet wynająć mieszkania pod własnym nazwiskiem.

Pewnego wieczora Billie upiła się i upadła. Kiedy jej przyjaciółka Greer Johnson weszła do pokoju, piosenkarka leżała na podłodze i szlochała.

– Kochanie, pieprzyć to! Bóg mi świadkiem, już nigdy nie będę śpiewała.

– A co do cholery mogłabyś robić, jeśli nie śpiewać? – spytała Greer (tak opisywała tę scenę Julia Blackburn).

– Gówno mnie to obchodzi!

– Jasne. A co będziesz robić potem, Billie?

– Znów będę śpiewać – mruknęła piosenkarka.

– Właśnie, do ciężkiej cholery, będziesz śpiewać!<sup>178</sup>

Inna przyjaciółka Billie powtarzała jej, że mogłaby zaoszczędzić dość pieniędzy, by zamieszkać w domu z ogrodem i mieć dzieci.

„Myślisz, że mogę to zrobić? Naprawdę tak myślisz?”<sup>179</sup> – pytała Billie z niedowierzaniem. Marzyła o tym, by kupić wielką farmę i urządzić tam sierociniec, w którym sama by gotowała<sup>180</sup>. Czasami wybierała się z wizytą do swojego malutkiego chrześniaka Bevana Dufty’ego, który mieszkał przy Dziewięćdziesiątej Czwartej Ulicy, i karmiła go piersią. Choć nie miała mleka, ta czynność przynosiła jej ulgę. „Stara, to jest moje dziecko” – mówiła ze śmiechem do jego matki.

Szukała również ukojenia, wracając do zwyczajów z dzieciństwa. Całymi dniami leżała w łóżku, czytała komiksy z Supermanem i chichotała. Pewnego dnia wybrała się z nastoletnią przyjaciółką do Central Parku<sup>181</sup>. Podały koniom LSD, a potem wybrały się na przejażdżkę dorożką. Woźnica był zdumiony, dlaczego konie nie szły swoją normalną trasą? Billie pokładała się ze śmiechu.

Zmuszona do kontaktów z innymi ludźmi, wpadała jednak w coraz większą paranoję. Skoro Jimmy Fletcher pracował dla Biura, to kto jeszcze mógł to robić? Przypuszczała – słusznie, jak się okazuje – że niektórzy ludzie z jej otoczenia donoszą na nią Anslingerowi.

„Nie wiadomo było, komu ufać – opowiadała mi przyjaciółka Billie Yolande Bavan. – Tak zwanym przyjaciółom? Czy rzeczywiście byli przyjaciółmi? Kim byli naprawdę?” Wszędzie, gdzie się pojawiała, przychodzili również agenci i szczegółowo o nią wypytywali<sup>182</sup>.

Zacząła odtrącać nawet tych nielicznych przyjaciół, którzy jeszcze przy niej zostali<sup>183</sup>. Bała się, że policja podłoży im narkotyki, a nie chciała, by coś takiego spotkało ludzi, których kochała.

Pewnego dnia doniesiono Anslingerowi, że niektóre spośród białych kobiet, nie mniej sławne niż Billie, również mają problem z narkotykami. Harry potraktował je jednak całkiem inaczej. Wezwał do siebie Judy Garland, także uzależnioną od heroiny. Ucieli sobie przyjemną pogawędkę<sup>184</sup>, podczas której Anslinger poradził aktorce, by robiła sobie dłuższe przerwy między kolejnymi filmami. Wysłał też do jej studia filmowego list z zapewnieniem, że aktorka nie ma żadnych problemów z narkotykami<sup>185</sup>. Dowiedziawszy się, że jego znajoma z waszyngtońskiego towarzystwa – „piękna, miła dama”, jak sam ją opisał – jest uzależniona od narkotyków, wyjaśnił, że nie może jej aresztować, bo „to zniszczyłoby [...] nieskazitelną reputację jednej z najbardziej szanowanych rodzin w kraju”<sup>186</sup>. Pomógł jej powoli uwolnić się od narkotyków, nie mieszając do tego policji ani swojego biura.

Kiedy siedziałem w jego archiwach i czytałem sterty wyblakłych dokumentów z czasów początków wojny narkotykowej, uderzyła mnie pewna prawidłowość, której początkowo nie potrafiłem zdefiniować.

Słyszymy dziś, że trzeba walczyć z narkotykami, by chronić młodzież i zapobiegać przypadkom głębokiego uzależnienia. Zakładamy, że właśnie takie argumenty stały za rozpoczęciem wojny narkotykowej. Ale to nieprawda. Pojawiały się tylko czasami, jako dodatkowe uwagi. Głównym powodem, dla którego zakazano używania narkotyków – powodem będącym obsesją ludzi odpowiedzialnych za wzniecenie tej wojny – było przeświadczenie, że Afroamerykanie, Meksykanie i Chińczycy używający tych substancji zapominają o swoim miejscu w społeczeństwie i stanowią zagrożenie dla białych ludzi<sup>187</sup>.

Potrzebowałem sporo czasu, by zrozumieć, że kontrast między rasizmem skierowanym przeciwko Billie a współczuciem ofiarowanym białym gwiazdom pokroju Judy Garland nie był przypadkowym niedopatrzaniem, lecz częścią fundamentów tej kampanii<sup>188</sup>.

Harry informował społeczeństwo, że „wzrost [uzależnienia od narkotyków] wynosi sto procent wśród Murzynów”<sup>189</sup>. Podkreślał, że to przerażające, ponieważ „populacja Murzynów [...] stanowi obecnie dziesięć procent całej ludności, ale aż sześćdziesiąt procent

narkomanów”<sup>190</sup>. Mógł prowadzić wojnę z narkotykami – mógł robić to, co robił – tylko dlatego, że była to reakcja na ukryte lęki Amerykanów. Możesz być świetnym surferem, ale i tak potrzebujesz dużej fali. W przypadku Harry’ego tą falą był strach przed ludźmi innych ras.

Po wejściu w życie ustawy Harrisona „New York Times” opublikował typową dla tamtych czasów historię. Artykuł zatytułowany *Czarni maniacy kokainy nowym zagrożeniem dla Południa* opowiadał o dowódcy policji z Północnej Karoliny, którego „poinformowano, że dobrze mu znany, spokojny dotąd Murzyn »wpadł w amok« po zażyciu kokainy i próbował zadźgać nożem sklepikarza. [...] Wiedząc, że musi zabić tego człowieka, bo inaczej sam zginie, policjant wyciągnął rewolwer, przystawił lufę do piersi Murzyna i wystrzelił, chcąc zabić go szybko i bezboleśnie, ale ten nawet się nie zachwiał”<sup>191</sup>. Ówczesna prasa twierdziła, że kokaina zamienia czarnoskórych w potwory o nadludzkich możliwościach, które nie przejmują się takimi drobiazgami jak strzał prosto w serce. Z tego właśnie powodu, uznanego oficjalnie przez władze, policja na Południu otrzymała broń o większym kalibrze<sup>192</sup>. Pewien lekarz ujął to w dosadny sposób. „Trudno zabić czarnucha na kokainie” – ostrzegał<sup>193</sup>.

Wielu białych Amerykanów nie chciało przyjąć do wiadomości, że być może Afroamerykanie czasem się buntują, bo muszą prowadzić życie takie jak niegdyś Billie Holiday – zamknięci w dzielnicach nędzy, bez szans na rozwój swoich talentów. Łatwiej było wierzyć, że przyczyną czarnego gniewu jest biały proszek i że pozbawieni tego proszku Afroamerykanie staną się potulni i znów padną na kolana. (Historia tego zjawiska została wiele lat później opisana w wyśmienitej książce Michelle Alexander *The New Jim Crow*).

Harry uważał, że podobnie należy traktować inną grupę etniczną<sup>194</sup>. W połowie XIX wieku do Stanów Zjednoczonych zaczęli napływać imigranci z Chin, którzy rywalizowali z białymi o miejsca pracy i szanse rozwoju<sup>195</sup>.

Co gorsza, Harry był przekonany, że rywalizują również o białe kobiety. Ostrzegał, że ze względu na swoją „szczególną orientalną bezwzględność”<sup>196</sup> Chińczycy „upodobali sobie szczególnie białe dziewczyny [...] z dobrych rodzin”. Zwabiali je do palarni opium – przywieźli tradycję palenia opium ze swojej ojczyzny – uzależniali je, a potem zmuszali do aktów „nieopisanej deprawacji seksualnej”, czyniąc

z nich niewolnice do końca życia. Anslinger szczegółowo opisywał ich burdele: jak dziewczyny powoli zdejmowały ubrania, jak wyglądały ich „majteczki”<sup>197</sup>, jak powoli całowały Chińczyków i co działo się potem...

Kiedy już chińscy dealerzy uzależnili kogoś od opioidów, śmiali mu się w twarz, podając prawdziwy powód, dla którego sprzedają narkotyki: w ten sposób starali się dopilnować, by „żółta rasa rządziła światem”<sup>198</sup>. „Są zbyt mądrzy, by dążyć do otwartej wojny, ale zamierzają wygrać dzięki sprytowi: atakując białą rasę przy pomocy środków odurzających i w odpowiedniej chwili przejmując władzę nad światem”<sup>199</sup> – tłumaczył pewien doświadczony sędzia.

Początkowo zwykli obywatele bronili się sami przed „żółtym zagrożeniem”. W Los Angeles tłumy białych zastrzeliły, powiesiły lub spaliły żywcem dwudziestu jeden Chińczyków<sup>200</sup>, podczas gdy w San Francisco władze próbowały siłą przenieść wszystkich mieszkańców chińskiej dzielnicy na tereny przeznaczone pod hodowlę świń lub inną działalność kojarzoną z brudem i chorobami. Zrezygnowały z tej polityki dopiero wtedy, gdy sąd uznał ją za niekonstytucyjną. Wtedy jednak zdecydowały się na inne rozwiązanie: przeprowadzono zmasowane naloty na chińskie domy i firmy, twierdząc, że już czas rozprawić się z palarniami opium. Agenci zrzucili zarekwirowany sprzęt do palenia opium na jedną wielką stertę i podpalili ją. Płomienie „strzelały na wysokość trzydziestu stóp”, jak zauważył jeden ze świadków. „Duszący dym okrył Chinatown niczym całun ciała zmarłego”<sup>201</sup>. Wkrótce potem w życie weszła ustawa Harrisona.

Harry Anslinger nie tworzył tych trendów. Jego geniusz polegał na czymś innym: potrafił przedstawić swoich agentów jako siłę, która zapanuje nad tymi kulturowymi wstrząsami. Wiedział, że aby zabezpieczyć przyszłość swego Biura, potrzebuje jakiegoś spektakularnego zwycięstwa nad narkomanią i nad czarnoskórymi, dlatego zwrócił się przeciwko Billie Holiday.

Chcąc ostatecznie zamknąć tę sprawę, sięgnął po swego najtwardszego agenta – człowieka, który na pewno nie zakochałby się w Billie ani w kimkolwiek innym.

Japończyk nie mógł oddychać. Pułkownik George White – wielki, otyły mężczyzna<sup>202</sup> – zaciskał dłonie na jego gardle i nie zamierzał rozluźnić uchwytu. Jego twarz była ostatnią rzeczą, jaką Japończyk widział w życiu.

Gdy już było po wszystkim, White powiedział władzom, że udusił tego „Japońca”, bo wziął go za szpiega. Swym przyjaciołom wyznał jednak, że wcale nie wiedział, czy to rzeczywiście był szpieg i ani trochę go to nie obchodziło. „Mam wielu przyjaciół, którzy są mordercami. I świetnie się bawiłem w ich towarzystwie” – chełpił się wiele lat później<sup>203</sup>. Chwalił się również przed znajomymi, że na ścianie w jego mieszkaniu wisi zdjęcie człowieka, którego udusił<sup>204</sup>, i że tamten stale go obserwuje. Kiedy więc rozkazano mu, by zajął się Billie, pułkownik White był zadowolony, że patrzy nań jego ostatnia ofiara.

Był ulubionym agentem Harry’ego Anslingera, a przejrzawszy akta Holiday, stwierdził, że to „bardzo atrakcyjna klientka”<sup>205</sup>, a ponieważ Biuro „nie wie, co z nią zrobić”, on może skorzystać z okazji i „dokopać jej”<sup>206</sup>.

W latach trzydziestych White był dziennikarzem w San Francisco, potem postanowił zatrudnić się w Federalnym Biurze ds. Narkotyków. Test osobowości, który na polecenie Anslingera wypełniali wszyscy kandydaci, wykazał, że White jest sadystą<sup>207</sup>. Szybko robił karierę w Biurze. Zdobył sobie rozgłos jako pierwszy i jedyny biały, który zdołał przeniknąć do chińskiego gangu narkotykowego, specjalnie w tym celu nauczył się nawet mandaryńskiego. W wolnym czasie pływał w brudnych wodach rzeki Hudson w Nowym Jorku<sup>208</sup>, jakby chciał udowodnić, że nawet one mu nie zaszkodzą.

Szczególnie irytował go fakt, że ta czarna kobieta nie znała swojego miejsca. „Obnosiła się ze swoim stylem życia, swoimi drogimi futrami, samochodami, biżuterią i sukniami. Wszędzie, gdzie poszła, udawała wielką damę”<sup>209</sup> – narzekał.

Kiedy pewnego deszczowego dnia przyszedł do niej do hotelu Mark Twain w San Francisco bez nakazu rewizji, Billie siedziała w swoim pokoju, ubrana w białą jedwabną piżamę<sup>210</sup>. Było to jedno z niewielu miejsc, gdzie wciąż mogła występować, a bardzo potrzebowała pieniędzy. Zapewniała policję, że już od ponad roku nie zażywa narkotyków. Ludzie White’a twierdzili z kolei, że znaleźli opium schowane w koszu na śmieci obok sąsiedniego pomieszczenia oraz sprzęt do wstrzykiwania heroiny w jej pokoju, oskarżyli ją więc o posiadanie narkotyków<sup>211</sup>. Później jednak, po uważniejszej analizie, dopatrzono się w tym raporcie pewnych niekonsekwencji: po pierwsze to mało prawdopodobne, by ktoś przechowywał opium w koszu na śmieci, a po drugie policjanci nie

dołączyli do materiału dowodowego sprzętu do wstrzykiwania heroiny – tłumaczyli, że zostawili go w hotelu. Gdy dziennikarze spytali o to White’a, zaczął na nich wrzeszczeć; jak zauważyli, jego reakcja „wydawała się dość nerwowa”<sup>212</sup>.

Tego wieczora White przyszedł na występ Billie w Café Society Uptown, gdzie prosił o swoje ulubione piosenki. Billie nigdy nie przestała wierzyć, że jej muzyka potrafi chwytać za serce i zmieniać ludzi. „Będą mnie pamiętać, kiedy to wszystko się skończy, gdy wreszcie przestaną mnie dręczyć”<sup>213</sup> – mówiła. George White najwyraźniej nie podzielał tego przekonania. „Nie zachwycił mnie występ pani Holiday”<sup>214</sup> – oświadczył jej menedżerowi oschłym tonem.

Billie utrzymywała, że to właśnie White podłożył narkotyki w jej pokoju, i natychmiast zaproponowała, że uda się do szpitala na obserwację. Mówiła, że nie wystąpią u niej żadne objawy odstawienia<sup>215</sup>, co dowiedzie, że jest czysta i że agenci próbują ją wrobić. Poddała się badaniu wycenionemu na tysiąc dolarów, podczas którego nawet nie drgnęła jej powieka<sup>216</sup>.

Jak się okazuje, George White wiele razy podkładał narkotyki kobietom. Lubił udawać, że jest artystą i zwabiać kobiety do swojego mieszkania w Greenwich Village<sup>217</sup>. Tam podawał im drinki z LSD i czekał na efekt<sup>218</sup>. Jedną z jego ofiar była młoda aktorka<sup>219</sup>, która mieszkała w tym samym budynku, jeszcze inną – ładna blond kelnerka z baru. Gdy okazało się, że nie interesuje jej seks z White’em, ten oszołomił ją narkotykami w nadziei, że to zmieni jej podejście<sup>220</sup>. „Pracowałem ciężko w winnicy [Pana], bo to była świetna, naprawdę świetna zabawa” – chwalił się potem. „Gdzie indziej [niż w Biurze ds. Narkotyków] pełnokrwisty amerykański chłopak mógłby kłamać, zabijać, oszukiwać, kraść, gwałcić i rabować z przyzwoleniem i błogosławieństwem tych z samej góry?”<sup>221</sup> Całkiem możliwe, że był na haju, gdy przyszedł aresztować Billie za samo posiadanie narkotyków.

Rozpoczęło się postępowanie w sprawie Billie. Jak pisała piosenkarka, „nagonka i stres sprawiły, że zaczęłam myśleć o ostatecznym rozwiązaniu, śmierci”<sup>222</sup>. Najlepsza przyjaciółka Billie powiedziała, że „przyprawiało ją to o zgryzotę, która zabiłaby konia”<sup>223</sup>. Podczas procesu ława przysięgłych złożona z dwunastu zwykłych obywateli zapoznała się z materiałem dowodowym i zeznaniami. Ostatecznie przysięgli stanęli po stronie Billie, a przeciwko Anslingerowi i White’owi, uznając ją za niewinną<sup>224</sup>. Niemniej



„nie była już u szczytu sławy” – pisał Harry Anslinger. „Coraz częściej łamał się jej głos”<sup>225</sup>.

Jeszcze przez kilka lat po procesie Billie wielu innych piosenkarzy i piosenkarek nie wykonywało piosenki *Strange Fruit* z obawy przed prześladowaniami ze strony władz. Jednak Billie Holiday nie dała się zastraszyć. Bez względu na to, jak ją traktowano, śpiewała ten utwór.

– Była silna, dawała z siebie wszystko – powiedziała mi jej przyjaciółka Annie Ross.

Tym samym Billie dotrzymała obietnicy, którą złożyła sobie samej w Baltimore, jeszcze jako mała dziewczynka. Nie zginała karku przed nikim.

Pewnego dnia młody muzyk Frankie Freedom właśnie podawał Billie owsiankę w jej mieszkaniu, gdy piosenkarka nagle zemdląca<sup>226</sup>. Miała wówczas czterdzieści cztery lata. Zawieziono ją do szpitala Knickerbocker na Manhattanie, gdzie musiała czekać półtorej godziny, aż ktoś się nią zajmie. Potem pracownicy szpitala orzekli, że Billie jest narkomanką i wyprosilili ją<sup>227</sup>. Na szczęście piosenkarkę rozpoznał jeden z kierowców karetki<sup>228</sup>, więc ostatecznie trafiła na publiczny oddział szpitala metropolitalnego w Nowym Jorku. Gdy tylko odłączyli ją od tlenu, zapaliła papierosa.

„Zawsze ktoś próbuje zamknąć mi usta, do cholery”<sup>229</sup> – powiedziała. Lekarze wyjaśnili jej jednak, że ma poważne problemy ze zdrowiem: była wychudzona, bo za mało jadła, miała marskość wątroby spowodowaną chronicznym piciem, palenie nadwerężyło jej płuca i serce, a na nogach pojawiły się wrzody, na skutek zastrzyków z heroiną, której znów zaczęła używać<sup>230</sup>. Ostrzegli ją również, że prawdopodobnie nie pożyje już zbyt długo. Ale Harry i tak nie zamierzał dać jej spokoju. „Przekonacie się. Aresztują mnie w tym cholernym łóżku”<sup>231</sup> – ostrzegła Billie ze swojego małego szarego pokoju w szpitalu.

Do szpitala wysłano agentów Biura, którzy donieśli potem, że znaleźli w sali Billie prawie jedną ósmą uncji heroiny ukrytą w kopercie z folii aluminiowej<sup>232</sup>. Twierdzili, że wisiała na gwoździu wbitym w ścianę<sup>233</sup> dwa metry od jej łóżka, w miejscu, do którego Billie nie mogła dosięgnąć. Zwołali ławę przysięgłych, by postawić piosenkarkę w stan oskarżenia<sup>234</sup>. Grozili, że jeśli nie ujawni tożsamości swojego dealera, zabiorą ją prosto do



więzienia<sup>235</sup>. Skonfiskowali jej komiksy, radio, gramofon, kwiaty, czekoladki i czasopisma<sup>236</sup>, przykuli ją kajdankami do łóżka<sup>237</sup> i postawili dwóch policjantów przy drzwiach. Nikt nie mógł do niej wejść bez specjalnego pisemnego zezwolenia<sup>238</sup>, a jej znajomym powiedziano, że nie mogą się z nią widywać<sup>239</sup>. Przyjaciółka Billie, Maely Dufty, nakrzyczała na policjantów<sup>240</sup> i wytknęła im, że nie można aresztować kogoś, kto znajduje się na liście pacjentów w stanie krytycznym. Wyjaśniono jej jednak, że problem został już rozwiązany: usunięto Billie z tej listy.

Dreńczona licznymi dolegliwościami Billie musiała na dodatek zmagać się samotnie z głodem narkotycznym i objawami odstawienia. Na żądanie przyjaciół piosenkarki sprowadzono do szpitala lekarza, który przepisał jej metadon. Po dziesięciu dniach leczenia Billie przybrała nieco na wadze i była w coraz lepszej formie. Potem jednak przestano jej podawać metadon<sup>241</sup> i znów poczuła się gorzej. Gdy w końcu wpuszczono do niej przyjaciółkę, Billie mówiła z przerażeniem: „Zabiją mnie. Zabiją mnie tutaj. Nie pozwól im na to”. Policjanci wyrzucili przyjaciółkę Billie z pokoju. „Miałam ogromną nadzieję, że wyjdzie z tego cało”<sup>242</sup> – mówiła stacji BBC inna znajoma Billie, Alice Vrbsky. Jednak to, jak traktowano piosenkarkę w szpitalu, przepełniło czarę.

Pewnego dnia pojawił się u niej Louis McKay – mąż, alfonś i donosiciel – który ostentacyjnie przeczytał jej nad łóżkiem *Psalm 23*. Okazało się, że chciał, by przekazała mu prawa do swojej autobiografii, ostatniej rzeczy, jaką jeszcze kontrolowała. Billie udawała, że jest nieprzytomna. Gdy tylko McKay wyszedł, otworzyła oczy. „Zawsze byłam religijna. Ale jeśli ten wstrętny skurwysyn też wierzy w Boga, będę to musiała przemyśleć”<sup>243</sup> – powiedziała.

Na ulicy przed szpitalem zebrali się demonstranci, którym przewodził pastor z Harlemu, wielebny Eugene Callender. Trzymali transparenty z napisem „Pozwólcie Lady żyć”. Callender jakiś czas wcześniej stworzył przy swoim kościele klinikę dla uzależnionych od heroiny<sup>244</sup>, a teraz prosił władze, by pozwoliły mu przenieść tam Billie i zaopiekować się nią. Jego rozumowanie było bardzo proste: narkomani „to istoty ludzkie, takie jak pan czy ja” – powiedział mi w 2013 roku. Kara tylko pogarsza ich sytuację, a współczucie może ich wyleczyć. Harry i jego ludzie odmówili pastorowi. Mimo że Billie wciąż leżała w szpitalu, zdjęli jej odciski palców i zrobili

zdjęcie do kartoteki<sup>245</sup>. Przesłuchiwali ją na szpitalnym łóżku, nie pozwalając, by skontaktowała się z prawnikiem<sup>246</sup>.

Billie nie miała żalu do poszczególnych agentów – całą winę składała na karb wojny z narkotykami, bo ta zmuszała policję, by traktowali chorych ludzi jak przestępców. „Trudno sobie wyobrazić, żeby rząd prześladował ludzi chorych na cukrzycę, obłożył insulinę wysokim podatkiem i sprawił, że trafiłaby na czarny rynek; by zabraniał lekarzom leczyć takich ludzi, a potem wysyłał ich do więzienia – pisała w swoim dzienniku. – Gdyby zrobili coś takiego, wszyscy uznaliby ich za wariatów. A przecież dzień w dzień traktuje się praktycznie tak samo chorych ludzi uzależnionych od narkotyków”<sup>247</sup>.

Jednak w jakimś stopniu Billie Holiday uważała, że zrobiła coś złego – i ze swoim nałogiem, i z całym życiem. Mówiła ludziom, że wolałaby raczej umrzeć, niż wrócić do więzienia, ale była przerażona myślą, że trafi do piekła<sup>248</sup> – tak właśnie mówiła jej matka przed wieloma laty, gdy mała Billie leżała na podłodze w burdelu, słuchała Louisa Armstronga i przenosiła się myślami w inny świat, z dala od Baltimore. „Była wyczerpana. Nie chciała dłużej przez to przechodzić” – powiedziała mi jedna z jej przyjaciółek.

Kiedy więc zmarła na szpitalnym łóżku, pilnowana przez policjantów, którzy mieli chronić przed nią społeczeństwo, wyglądała tak, „jakby została gwałtownie wyrwana z życia”<sup>249</sup>, jak opisała to dla BBC inna przyjaciółka Billie. Miała piętnaście banknotów pięćdziesięciodolarowych przywiązanych do nogi. Zamierzała dać je pielęgniarce, które się nią opiekowały, by w ten sposób im podziękować<sup>250</sup>.

Jej najlepsza przyjaciółka Maely Dufty mówiła każdemu, kto chciał jej słuchać, że Billie została w istocie zamordowana przez pracowników Biura ds. Narkotyków, którzy chcieli ją złamać – co jednak mogła zrobić? Podczas pogrzebu Billie porządku pilnowała cała armia policjantów<sup>251</sup> – obawiano się, że ludzie oburzeni okrutnym traktowaniem piosenkarki wywołają zamieszki. Wielebny Eugene Callender zdradził mi, co powiedział w mowie pogrzebowej: „Nie powinno nas tu być. Ta młoda dama została obdarzona przez Stwórcę ogromnym talentem [...]. Powinna dożyć co najmniej osiemdziesiątki”.

Federalne Biuro ds. Narkotyków widziało to inaczej. „Już więcej nie powie *Good Morning Heartache* [Dzień dobry, smutku]”<sup>252</sup> – pisał

z satysfakcją Harry Anslinger.

Łatwo dziś osądzać Harry'ego Anslingera. Trzeba jednak uczciwie przyznać, że prawie każdy, kto kiedykolwiek kochał człowieka uzależnionego – kto kiedykolwiek sam był uzależniony – ma w sobie ten impuls. Zniszczyć nałóg. Zabić go. Zdławić. Harry Anslinger to nasze mroczne pragnienia i impulsy, którym przydzielono departament w rządzie i licencję na zabijanie.

Zbierając materiały do tej książki, podróżowałem z dala od pól uprawnych Pensylwanii, lecz na każdym kroku miałem wrażenie, że ścigam krzyk, który przed wielu laty przeraził małego Harry'ego Anslingera i rozniósł się echem po całym świecie.

W swoich prywatnych dokumentach Harry przechowywał wiersz, który przysłał mu pewien człowiek zachwycony jego dokonaniem. Utwór adresowany był bezpośrednio do Anslingera i opisywał jego życiową misję: „Dopiero w dniu, gdy Wielki Sędzia ogłosi: Zmarł ostatni narkoman, dopiero wtedy będziesz mógł spocząć”<sup>253</sup>.

## 2

### Słońce i mięczaki

Przeglądając dokumenty pozostawione przez Anslingera, zwróciłem uwagę na powtarzające się nazwiska kilku ludzi, którzy doprowadzali go do wściekłości. Uważał ich za monstra, które próbują sabotować jego pracę i rozprzestrzeniać narkotyki po całej Ameryce. Kim byli ci ludzie? Kim byli na przykład Edward Williams i Henry Smith Williams?

Zacząłem szukać informacji w dokumentach Anslingera, w starych aktach sądowych i w pożółkłych książkach. Dzięki temu odkryłem historię, która przez ostatnie sześćdziesiąt lat była niemal całkiem zapomniana<sup>254</sup>, a dzięki swej sile może zmienić nasze postrzeganie wojny z narkotykami.

Wojna ta zrodziła się w Stanach Zjednoczonych – ale w nich też zrodził się opór wobec niej. Już na samym początku tych zmagania niektórzy dostrzegali, że wojna narkotykowa nie jest tym, za co uchodzi. Że jest czymś zupełnie innym. Harry Anslinger chciał mieć pewność, że nigdy tego nie zrozumiemy.

Na początku lat trzydziestych ubiegłego wieku w słonecznym Los Angeles mieszkał Henry Smith Williams, lekarz o pociągłej, ponurej twarzy. Nosił okulary w drucianych oprawkach<sup>255</sup>, przez które patrzył z góry na świat i niemal wszystkich jego mieszkańców. Ów lekarz podzielał w pełni poglądy Harry’ego Anslingera i nienawidził tych samych rzeczy. Uważał, że narkomani to „mięczaki”<sup>256</sup> i w ogóle nie powinni byli się urodzić, i pisał, że „twierdzenie głoszące, że każde ludzkie życie ma ogromną wartość [...] i że dlatego należy uważać je za skarb, to absurdalny banał. Świat wyglądałby znacznie lepiej, gdyby czterdzieści procent jego mieszkańców nigdy się nie urodziło”<sup>257</sup>. Jego zdaniem narkotyki prowadzą jedynie do zniszczenia i nikt nie powinien ich zażywać<sup>258</sup>.

Czasami jednak, gdy tworzy się jakaś historyczna tendencja, pojawia się ktoś, kto znacznie wcześniej niż inni widzi, co będzie ona oznaczała dla świata – czasami takim prorokiem jest ostatnia osoba, którą byśmy o to podejrzewali.

Henry Smith Williams zamierzał ogłosić w nowej, szczegółowo opracowanej książce, że dokonał niezwykłego odkrycia, które jego zdaniem położy kres wojnie z narkotykami. Choć Harry Anslinger w wypowiedziach publicznych nawoływał do walki z mafią, w rzeczywistości potajemnie dla niej pracował. Zdaniem Henry'ego wojnę narkotykową wywołano z jednego tylko powodu. Mafia płaciła Harry'emu Anslingerowi, by prowadził tę krucjatę, bo chciała przejąć cały rynek handlu narkotykami. Był to przekręt stulecia, który w końcu miał wyjść na jaw<sup>259</sup>.

Długa droga, która doprowadziła Henry'ego do tego przekonania, rozpoczęła się pewnego dnia w 1931 roku, kiedy w klinice prowadzonej przez jego brata Edwarda Williamsa pojawił się dygoczący mężczyzna. Bez wątpienia były to objawy głodu narkotycznego, a zatem człowiek ten trafił we właściwe miejsce – Edward był jednym z najlepszych na świecie ekspertów badających uzależnienie od opioidów<sup>260</sup>. „Mężczyzna jest wrakiem człowieka, bliskim całkowitego załamania” – pisał Henry. „Jest śmiertelnie blady. Pot leje się z niego strumieniami. Cały dygoce. Wydaje się, że jego życie jest zagrożone”<sup>261</sup>.

Obaj bracia od lat widywali podobnych ludzi w swoich gabinetach. Henry, jako zwolennik darwinizmu społecznego, uważał ich za słabeuszy, którzy przetrwali tylko dlatego, że troszczyło się o nich głupie społeczeństwo: w naturze zginęliby, robiąc miejsce ludziom o silniejszych genach. Edward nie mógł jednak patrzeć na ich cierpienie – zwłaszcza że wiedział, jak ich uratować. Dlatego właśnie pomógł stworzyć tę klinikę – i dlatego też wkrótce mógł zostać bez pracy.

„Czy lekarz nie może z tym nic zrobić? Ależ owszem, lekarz dobrze wie, jak należy postąpić w tej sytuacji. Wie, że musi jedynie napisać kilka słów na blankiecie recepty, który leży obok jego łokcia, a pacjent pójdzie chwiejnym krokiem do apteki i otrzyma lekarstwo, które w cudowny sposób przywróci mu normalny wygląd oraz komfort psychiczny i fizyczny” – tłumaczył. Dzięki receptce pacjent może legalnie nabyć środek, od którego się uzależnił. Nie zaszkodzi to jego organizmowi: wszyscy lekarze zgadzają się co do tego, że opioidy w czystej postaci nie niszczą ciała ani organów. Po zażyciu narkotyku pacjent się uspokoi. Znow będzie w stanie normalnie funkcjonować<sup>262</sup>. Będzie mógł pracować, utrzymywać rodzinę, kochać.

Edward Williams wypisał więc receptę. Robił to wiele razy i był pewien, że prawo jest po jego stronie. Umocnił się jeszcze w tym przekonaniu, gdy

w 1925 roku Sąd Najwyższy orzekł, że ustawa Harrisona nie pozwala rządowi karać lekarzy, którzy uważają, że przepisując heroinę swoim uzależnionym pacjentom, działają w ich najlepszym interesie<sup>263</sup>.

Lecz tamtego dnia 1931 roku narkoman w klinice Edwarda Williama nie był do końca tym, kim się wydawał. W rzeczywistości pracował dla Harry'ego Anslingera jako jeden z całej grupy „prowokatorów”, których Biuro rozesłało po kraju, by dobrać się do lekarzy. Grupę tę tworzyli zdesperowani narkomani, którzy za kilka dolarów wypłaconych przez Biuro mieli namówić lekarzy, by ci przyjęli ich i leczyli. Kiedy recepta została wypisana, policja wpadła do gabinetu i aresztowała Edwarda Williama, podobnie jak około dwudziestu tysięcy innych lekarzy na terenie całego kraju. Była to jedna z największych akcji władz wymierzonych przeciw lekarzom w całej historii Stanów Zjednoczonych.

Większość ludzi nękanych dotąd przez Biuro – narkomanów i Afroamerykanów – nie była w stanie skutecznie się bronić. Jednak Henry Smith Williams należał do najbardziej szanowanych ekspertów medycznych w całym kraju. Uważano, że wie o chemii i biologii krwinek więcej niż ktokolwiek inny w Ameryce. Był również autorem trzydziestojednotomowej historii nauki oraz wielu haseł w encyklopedii Britannica, które napisał w czasie wolnym od swego właściwego zajęcia, czyli leczenia (do tamtej pory przyjął ponad dziesięć tysięcy pacjentów)<sup>264</sup>. Kiedy więc aresztowano Edwarda, Henry postanowił przeprowadzić swoje prywatne śledztwo – i odkrył coś, czego z pewnością się nie spodziewał<sup>265</sup>.

Patrząc, jak policja niszczy karierę jego brata, Henry przypomniał sobie coś, co dopiero teraz wydało mu się istotne.

Nim sprzedaż narkotyków stała się przestępstwem, miał wielu pacjentów używających takich środków – ale sytuacja wyglądała wtedy zupełnie inaczej. Ludzie ci kupowali opioidy, w tym heroinę i morfinę, po niskiej cenie w miejscowej aptece. Sprzedawano je w butelkach jako „lekarstwa” lub „specyfiki” na wszelkie dolegliwości, od infekcji dróg oddechowych po stany depresyjne. Jeden z najpopularniejszych nazywał się „Mrs. Winslow's Soothing Syrup” [Kojący syrop pani Winslow]<sup>266</sup>, a każda uncja tego preparatu zawierała 65 miligramów czystej morfiny<sup>267</sup>. Henry przypomniał sobie, że większość nabywców syropu korzystała z niego bez żadnych problemów<sup>268</sup>. Większość ludzi, nawet narkomani, zażywała go tylko w małych dawkach.



„Nikt nie uważał, że korzystanie z tych leków ma jakieś znaczenie moralne” – tłumaczył. Jeden ze słynnych bojowników na rzecz prohibicji był uzależniony od morfiny i nikt nie brał tego za dziwactwo czy przejaw hipokryzji. Wiele kobiet, które codziennie zażywały opioidy w formie „syropów”, mówiło, że „padłyby na kolana i złożyły ręce do modlitwy za zagubione dusze, gdyby zobaczyły plamy po papierosach na dłoniach córki”<sup>269</sup>.

Tak jak większość ludzi pijących alkohol nie została alkoholikami, tak znacząca większość użytkowników tych produktów nie popadła w narkomanię. Wykorzystywali opioidy jako „wsparcie dla niestabilnego układu nerwowego”<sup>270</sup>, podobnie jak człowiek, który pije wino pod koniec stresującego dnia.

Nieliczni rzeczywiście się uzależniali, lecz tak czy inaczej większość z nich nadal pracowała i prowadziła stosunkowo normalne życie. Badania przeprowadzone na zlecenie rządu wykazały, że przed wprowadzeniem ścisłego zakazu sprzedaży i używania narkotyków trzy czwarte ludzi, którzy sami nazywali siebie nałogowcami (nie tylko użytkownikami, lecz nałogowcami), bez zarzutu wykonywało pracę na ważnych i cieszących się powszechnym poważaniem stanowiskach<sup>271</sup>. Około dwudziestu dwóch procent uzależnionych było bogatych<sup>272</sup>, a tylko sześć procent należało do biedoty. Ze względu na swój nałóg byli spokojniejsi i – choć byłoby dla nich lepiej, gdyby przestali sięgać po narkotyki – rzadko sprawiali problemy czy popełniali przestępstwa<sup>273</sup>. Jednak w 1914 roku uchwalono ustawę Harrisona, a szesnaście lat później do akcji wkroczył Anslinger, co znacząco podniosło wszystkie niepokojące wartości we wspomnianych powyżej statystykach.

Lekarze widzieli skutki tej zmiany podejścia do narkotyków. „Dziesiątki tysięcy ludzi, z różnych środowisk społecznych i zawodowych, gorączkowo szukało dostępu do środków, których nie mogli zdobyć w legalny sposób. Pragnęli narkotyków tak mocno, jak człowiek umierający z pragnienia chce wody. Musieli je zdobyć za wszelką cenę, bez względu na zagrożenia, jakie to ze sobą niosło. Czy możecie sobie wyobrazić, że w takiej sytuacji wciąż nie ma legalnego dostępu do narkotyków? [...] [Ustawodawcy] musieli wiedzieć, że jeśli takie prawo wejdzie w życie, powstanie cały nielegalny przemysł związany z narkotykami. Musieli wiedzieć, że w istocie powołują do istnienia podziemny świat szmuglerów i handlarzy narkotyków”<sup>274</sup>.



Każdy dealer narkotykowy mógł teraz narzucać niebotyczne ceny. W aptekach gram morfiny kosztował dwa lub trzy centy, przestępcze gangi za taką samą ilość żądały dolara<sup>275</sup>. Narkomani płacili tyle, ile im kazano płacić. Wtedy właśnie powstał dobrze nam znany świat narkomanów, którzy muszą się posunąć do przestępstwa, by zaspokoić głód i kupić odpowiednie środki u gangsterów. Bracia Williams widzieli na własne oczy, jak departament Anslingera wywołał dwie fale przestępczości. Najpierw stworzył armię gangsterów, którzy przemycali narkotyki do kraju i sprzedawali je nałogowcom. Innymi słowy: choć Harry Anslinger twierdził, że walczy z mafią, w rzeczywistości oddawał pod jej wyłączną kontrolę ogromny i bardzo dochodowy rynek.

Jako że ceny narkotyków wzrosły o ponad tysiąc procent, nałogowcy musieli dopuszczać się przestępstw, by zdobyć następną dawkę. „Skąd przeciętny narkoman, czyli według badań zwykły człowiek, mógł wziąć dziesięć do piętnastu dolarów dziennie na środek, którego koniecznie potrzebował? – pytał Henry Smith Williams. – Chyba łatwo to sobie wyobrazić. Nie mógł zdobyć takich kwot zwykłymi środkami. Musiał więc korzystać z innych, często nieuczciwych sposobów: żebrać, pożyczać, fałszować, kraść”. Mężczyźni, którzy znaleźli się w takiej sytuacji, zazwyczaj zostawali złodziejami, a kobiety prostytutkami.

„Rząd Stanów Zjednoczonych, reprezentowany przez swoich funkcjonariuszy, [stworzył] największą liczbę przestępców w historii”<sup>276</sup> – tłumaczył lekarz. Za każdym razem, gdy Harry Anslinger powiększał armię narkomanów uciekających się do przestępstw, tworzył też kolejne powody dla funkcjonowania i rozrostu swojego departamentu.

Początek drogi prowadzącej do aresztowania Edwarda Huntingtona Williama wyznaczyła chwila, w której lekarz doszedł do wniosku, że problem narkomanii można rozwiązać w inny sposób – skuteczny i całkowicie legalny.

Ustawa Harrisona z 1914 roku, która delegalizowała heroinę i kokainę, zawierała wyraźną i celowo stworzoną lukę prawną<sup>277</sup>. Zapisano w niej, że lekarze, weterynarze i dentyści mają prawo nadal przepisywać te substancje, jeśli uznają to za stosowne – i że dzięki temu można traktować narkomanów z należyтым współczuciem. Ów przepis trafił jednak od razu na śmietnik historii, jakby nigdy nie istniał – aż Edward Williams postanowił go odkopać i wykorzystać. Pomagał w budowie kliniki leczącej

bezpłatnie narkomanów, potem sam w niej pracował. Wypisał recepty wszystkim, którzy tego potrzebowali. I cierpliwie czekał na rezultaty.

Nawet on był zaskoczony tym, co zobaczył. Pacjenci, którzy trafiali do kliniki jako ludzkie wraki, bezrobotni i wycieńczeni fizycznie<sup>278</sup>, byli w stanie powoli i stopniowo wrócić do swojej pracy, utrzymywać rodziny i dbać o siebie, podobnie jak przed delegalizacją narkotyków. Do ich życia wracał spokój i porządek z czasów sprzed wprowadzenia prohibicji narkotykowej. Burmistrz Los Angeles uznał klinikę za wielki dar dla miasta<sup>279</sup>, a miejscowy prokurator federalny powiedział, że tego rodzaju kliniki zrobiły „więcej dobrego [...] w jeden dzień niż wszystkie represje w ciągu miesiąca”.

Jego słowa wywołały wściekłość w odległym o kilka tysięcy mil Federalnym Biurze ds. Narkotyków<sup>280</sup>. Harry wciąż przypominał sobie narkomanów, których widział w dzieciństwie i podczas pobytu w Europie, dlatego też pragnął powstrzymać tę zarazę. A może – jak zaczynał podejrzewać Henry Smith Williams – kierowały nim jakieś mroczniejsze motywy?

Harry powiedział, że budowanie klinik dla heroinistów jest równie sensowne jak „udostępnianie kleptomantom domów towarowych”<sup>281</sup>, w których mogliby kraść, co tylko zechcą. Tabloidy, odpowiednio poinstruowane przez Biuro, opisywały kliniki jako siedliska grzechu<sup>282</sup>, a wkrótce potem do boju ruszyła armia prowokatorów.

W jednej z zamkniętych przez Biuro klinik – w Portland w stanie Oregon – zrozpaczony lekarz pytał agenta, czy może w jakikolwiek legalny sposób pomóc narkomanom. „Tak, jasne, może pan zrobić coś pożytecznego. Zagonić całą tę bandę nad ocean i wrzucić ich do wody. Będzie z nich dobra karma dla ryb. Tylko do tego się nadają”<sup>283</sup> – odparł mężczyzna.

Gdy klinika w Los Angeles została zamknięta, a lekarze tacy jak Edward Williams aresztowani, niemal wszyscy narkomani stracili pracę<sup>284</sup> i znów musieli starać się różnymi sposobami zdobyć pieniądze. Stracili domy i weszli w konflikt z prawem, wielu z nich umarło<sup>285</sup>. Biuro otwarcie kontestowało orzeczenie Sądu Najwyższego w sprawie ustawy Harrisona, pozwalające lekarzom przepisywać narkotyki uzależnionym<sup>286</sup>. Tyle że „Sąd Najwyższy nie ma armii, która mogłaby egzekwować jego wyroki”<sup>287</sup> – stwierdzała z obojętnością prasa.

Oprócz Edwarda Williamsa o złamanie ustawy Harrisona oskarżonych zostało około dwudziestu tysięcy lekarzy, a dziewięćdziesiąt pięć procent z nich zostało skazanych<sup>288</sup>. Większość otrzymała karę w postaci wysokich grzywien, niektórym groziło jednak nawet pięć lat więzienia za każdą wypisaną receptę<sup>289</sup>. W wielu miejscach przerażeni przysięgli odmawiali wydawania wyroków<sup>290</sup>, widzieli bowiem, że lekarze chcieli tylko pomóc chorym w najlepszy dostępny im sposób. Anslinger jednak wciąż atakował z pełną mocą.

Harry chciał uderzyć w Edwarda Williamsa mocniej niż w jakiegokolwiek innego lekarza, ponieważ Edward cieszył się powszechnym szacunkiem, a wielu ludzi liczyło się z jego zdaniem. „Jeśli zostanie skazany, z pewnością skłoni to innych do większej powściągliwości”<sup>291</sup> – pisał Anslinger. Wystarczy zniszczyć kilku lekarzy, by uciszyć resztę. Sięgać po tych, którzy są najwyżej. Stawiać na maksymalne zastraszenie. Tak właśnie zawsze działał Anslinger. „Każdy, kto wydał jakąś pracę naukową, w jakikolwiek sposób krytykującą jego samego, jego Biuro lub jego filozofię, musiał trafić do więzienia” – powiedział później Howard Diller, jeden z jego agentów. „Albo na szafot”<sup>292</sup> – dodał.

Obserwując rozwój wojny narkotykowej, Henry Smith Williams – chłodny, wyrachowany, arogancki – czuł, jak i w nim rozpętuje się wojna. Po części uważał, że narkomani byli wytworem barbarzyńskich genów pozostałych z czasów jaskiniowców i że im szybciej wymrą, tym lepiej<sup>293</sup>. Widział też jednak twarze konkretnych ludzi doświadczonych cierpieniem. Obserwując działania Anslingera i ich skutki, zaczął się zastanawiać, co naprawdę nim kieruje.

Pojechał do Waszyngtonu, by spotkać się z Anslingerem osobiście i walczyć o reputację oraz wolność dla swojego brata<sup>294</sup>. Harry stanął twarzą w twarz z jedną ze swych ofiar, być może po raz pierwszy w życiu. Nie bronił się i nie przedstawiał argumentów, które tak ochoczo głosił gdzie indziej. Wycofał się. Powiedział, że „nic mu nie wiadomo o tym, by Biuro prowadziło sprawę przeciwko doktorowi Williamsowi, i nie rozumie, dlaczego taki człowiek został zaatakowany”<sup>295</sup>. Zwalił całą winę na swojego przedstawiciela w Los Angeles, wielkiego, rudowłosego mężczyznę, Chrisa Hansona. Jednak gdy Williams wyszedł, Anslinger

sztydził z niego i mówił, że Henry Smith Williams zachowywał się „w sposób histeryczny”<sup>296</sup>.

Podczas procesu wszystkich siedemnastu lekarzy wezwanych na świadków popierało Edwarda Williamsa<sup>297</sup>, lecz mimo to został uznany za winnego naruszenia ustawy Harrisona – a tym samym za winnego handlu narkotykami<sup>298</sup> – i skazany na rok nadzoru prokuratorskiego<sup>299</sup>. Oznaczało to, że nigdy już nie przepisze uzależnionemu recepty na narkotyk – i że przez kilka następnych pokoleń nie zrobi tego żaden lekarz w Stanach Zjednoczonych<sup>300</sup>. „Lekarze nie mogą już teraz leczyć narkomanów, nawet gdyby chcieli”<sup>301</sup> – chełpił się Harry.

Z Biura zaczęli odchodzić zniesmaczeni agenci. Jeden z nich, William G. Walker, powiedział: „Gdyby ktoś zobaczył, jak cierpią ci nieszczęśnicy [...], zrozumiałby na pewno, dlaczego powinniśmy zmienić podejście”<sup>302</sup>.

Pewien lekarz – pozbawiony prawa do wypisywania recept – doszedł do wniosku, że musi raz na zawsze położyć kres temu okrucieństwu. Pojechał do Waszyngtonu z pistoletem schowanym w kieszeni płaszcza. Zamierzał wejść do gabinetu Harry’ego Anslingera i zabić go. Stał przed drzwiami biura, aż w końcu go wpuszczono. Anslinger zaproponował, że weźmie od niego płaszcz, po czym wyrwał ukrytą w kieszeni broń. Później przechwalał się, że nawet gdyby lekarz spróbował do niego strzelić, on zrobiłby to pierwszy i „podziurawił go jak sito”<sup>303</sup>.

Żadne z tych wydarzeń nie skłoniło Harry’ego do spuszczenia z tonu. Twierdził, że lekarze reagują tak emocjonalnie, bo są skorumpowani. Nie dajmy się ogłupić: zależy im tylko na pieniądzach, które dostają za recepty dla narkomanów. Walczą tylko o kasę, mówił, nic więcej. Poza tym, dodawał, miał dowód, że jego kampania przynosi oczekiwane rezultaty. Odkąd zaczęły się naloty Biura na gabinety lekarskie, liczba narkomanów znacząco się zmniejszyła – do zaledwie dwudziestu tysięcy osób w całym kraju. Wiele lat później historyk David Courtwright postanowił sprawdzić, jak obliczono tę wartość – i odkrył, że została po prostu zmyślona. Jeden z najwyższych rangą urzędników Ministerstwa Finansów przyznał, że ta liczba była „zupełnie bezwartościowa”<sup>304</sup>.

Tymczasem w Los Angeles po długich badaniach Henry Smith Williams gotów był wreszcie wydać oświadczenie, które jego zdaniem zmieniłoby historię XX wieku i położyło kres tej „amerykańskiej inkwizycji”. W 1938 roku opublikował książkę zatytułowaną *Drug Addicts Are Human Beings*,

w której dowodził, że polityka zakazu narkotyków w USA to olbrzymi przekręt, którym kieruje łysy facet z Waszyngtonu. Henry twierdził, że Harry wykonuje polecenia mafii.

Jeśli ktoś chce wiedzieć, jak to działa, pisał, wystarczy spojrzeć na historię Chrisa Hansona<sup>305</sup>. Był to przysadzisty mężczyzna po sześćdziesiątce, z jasnorudymi włosami i dziwnie gładką, młodzieńczą twarzą. Wszyscy nazywali go Dużym Chrisem (Big Chris). Był szefem Biura Harry'ego w Kalifornii i to właśnie on zorganizował masową łapankę lekarzy, której ofiarą padł również Edward Williams.

Teraz już wiemy, dlaczego to zrobił, pisał Henry Smith Williams. Wkrótce po zamknięciu kliniki w Los Angeles dowiedziono w sądzie, że Big Chris pracował potajemnie dla okrytego złą sławą chińskiego dealera narkotykowego Woo Singa<sup>306</sup>. Przyjmował ogromne kwoty od dealerów i robił to, na czym im zależało. To dealerzy zapłacili mu, by zamknął kliniki dla heroinistów. Zależało im na tym, żeby to zrobił.

Musiałem kilkakrotnie przeczytać te dokumenty, by zrozumieć wagę takiego oskarżenia. W początkach wojny narkotykowej człowiek, który przeprowadził kampanię przeciw narkotynom w Kalifornii, zrobił to, bo został opłacony – przez samych dealerów<sup>307</sup>. Chcieli tej wojny. Chcieli jej tak bardzo, że gotowi byli zapłacić, by ją przyspieszyć.

Henry Smith Williams pytał wprost: „Dlaczego gangsterzy płacili policjantom za zaostrzenie prawa dotyczącego narkotyków?”. Odpowiedź, jak mówił, mamy tuż przed oczami. Delegalizacja narkotyków wepchnęła cały ten przemysł w ich ręce. Po zamknięciu klinik każdy narkoman stawał się potencjalnym klientem i żyłą złota.

Ponieważ klinika jego brata została zamknięta przez Federalne Biuro ds. Narkotyków na zlecenie mafii, Smith Williams uważał, że podobny mechanizm funkcjonuje na poziomie krajowym. Anslinger też zapewne był opłacany przez gangsterów. Tylko oni zyskiwali na polityce prowadzonej przez Harry'ego, więc rozsądek podpowiadał, że szef Biura jest po prostu jednym z nich.

Okazuje się, że w tej jednej kluczowej kwestii Henry Smith Williams się mylił. Nie ma żadnego dowodu na to, że Anslinger pracował dla mafii, a należy przypuszczać, że do tej pory takie dowody wyszłyby już na jaw. Anslinger naprawdę wierzył, że jest zaprzysięgłym wrogiem gangów narkotykowych, choć te płaciły pracownikom Biura za realizowanie jego polityki. Henry Smith Williams zakładał, że Anslinger był człowiekiem

trzeźwo myślącym, jak on sam, a prohibicja narkotykowa miała racjonalne podstawy. Mylił się. Działania Biura były reakcją na strach i panikę. A kiedy popada się w panikę, znika umiejętność logicznego myślenia.

Harry pracował bardzo ciężko, by utrzymać w całym kraju panikę związaną z narkotykami i by dzięki temu nikt więcej nie dostrzegł oczywistych sprzeczności w jego postępowaniu. Gdy tylko ktoś je wytykał, Harry robił wszystko, by zamknąć mu usta. Pilnował, by nigdzie nie pojawiło się miejsce na wątpliwości – czy to w jego głowie, czy to w kraju – ani żadna alternatywa, ku której mogliby się zwrócić Amerykanie<sup>308</sup>.

Po tych wszystkich doświadczeniach Henry Smith Williams nie był już sobą. Wcześniej postrzegał większość ludzi jako słabych półgłówków, którzy niekoniecznie zasługują na życie. Teraz zaczął jednak twierdzić, że ludzie nie muszą wcale uczestniczyć w brutalnej darwinowskiej wojnie o przetrwanie: zamiast gnębić słabszych, możemy okazywać im dobroć<sup>309</sup>.

Resztę życia spędził na organizowaniu grupy, która prowadziłaby kampanię przeciwko wojnie z narkotykami, lecz ludzie Anslingera kontaktowali się ze wszystkimi, którzy wyrazili zainteresowanie takim projektem, i ostrzegali ich, że to „organizacja przestępcza”, która „może mieć problemy z Wujem Samem”<sup>310</sup>. Henry Smith Williams zmarł w 1940 roku. Książka *Drug Addicts Are Human Beings* nie została wznowiona i poszła w zapomnienie.

Dzieło Henry’ego zawierało pewną prognozę. Autor pisał, że jeśli wojna z narkotykami będzie kontynuowana, za pięćdziesiąt lat przemysł narkotykowy w Stanach Zjednoczonych osiągnie wartość pięciu miliardów dolarów. Pomylił się zaledwie o rok lub dwa<sup>311</sup>.

Historia braci Williams i wszystkich lekarzy, którzy wraz z nimi padli ofiarą Biura, została tak skutecznie wymazana ze zbiorowej pamięci Amerykanów, że w latach sześćdziesiątych Anslinger mógł publicznie głosić, jakoby lekarze zawsze byli jego sprzymierzeńcami w tej wojnie. „Chciałbym zobaczyć lekarza, który twierdziłby, że spotkał się z jakąkolwiek nieuprzejmością z naszej strony”<sup>312</sup> – powiedział dziennikarzowi.



### 3

#### Na muszce pistoletu Harry'ego

Podczas gdy Harry Anslinger eliminował wszystkie alternatywy dla prowadzonej przezeń wojny narkotykowej w Stanach Zjednoczonych, w innych częściach świata narkotyki wciąż znajdowały się w wolnej sprzedaży. Na przestrzeni kilku dekad ta sytuacja się zmieniła i w latach sześćdziesiątych wszędzie zdelegalizowano tego rodzaju substancje.

Początkowo zakładałem, że stało się tak, ponieważ każdy kraj miał swoje specyficzne lęki i swoich własnych Anslingerów – później jednak dostrzegłem w archiwach Harry'ego dziwne i niezrozumiałe zjawisko.

W swoich listach Anslinger wydawał rozkazy różnym krajom, w tym mojej ojczyźnie, Wielkiej Brytanii. Zachowywał się jak pierwszy „car narkotykowy” nie tylko Stanów Zjednoczonych, ale i całego świata. Jak to możliwe? Zacząłem badać, jak Harry przeniósł swoją wojnę na poziom globalny<sup>313</sup> – i jak narzucił swoje poglądy i prawa wszystkim Wam, którzy czytacie tę książkę, gdziekolwiek się znajdujecie.

Kiedy lekarze zostali już przywołani do porządku, Harry musiał rozprawić się z jeszcze jednym problemem, który nie dawał mu spokoju. Robił wszystko jak należy, nękał narkomanów, lekarzy i dealerów. Szczególną atencją darzył miasto pokazujące całemu światu, jak należy sobie radzić z narkotykami, ponieważ stosowało wszystkie, najbardziej nawet rygorystyczne przepisy, które chciał wprowadzić w życie. Tym miastem było Baltimore<sup>314</sup>. Wyglądało jednak na to, że jego system wciąż nie jest doskonały. Nie wiedzieć czemu, Baltimore nie stało się rajem wolnym od narkotyków. Harry doszedł do wniosku, że można to wyjaśnić tylko w jeden sposób. Tak jak kiedyś dostrzegł działania mafii ukryte pod powierzchnią amerykańskiego społeczeństwa, tak teraz uznał, że udało mu się odnaleźć inną, jeszcze bardziej złowieszczą siłę sterującą potajemnie wydarzeniami w jego kraju.

Anslinger oznajmił, że to z pewnością komuniści zalewają Amerykę narkotykami<sup>315</sup>, co stanowi część „zimnego, wyrachowanego, bezwzględного i systematycznego planu, który ma podkopać fundamenty”



Stanów Zjednoczonych<sup>316</sup>. Występując przed Kongresem, podał szczegółowe informacje dotyczące strumienia „komunistycznej heroiny”, wpływającej do Ameryki wraz z chińskim ryżem i trafiającej prosto w żyły białych Amerykanów. Dlaczego Chińczycy mieliby to robić? Chcieli osłabić białego człowieka – i „stworzyć piątą kolumnę na terenie Stanów Zjednoczonych”, armię narkomanów „gotowych zapłacić zdradą za narkotyki”<sup>317</sup>. Harry ostrzegał z największą powagą, że teraz każdy narkoman jest nie tylko przestępcą i gangsterem, ale i potencjalnym komunistycznym zdrajcą.

Jego agenci mówili mu, że żadna z tych sugestii nie jest zgodna z prawdą<sup>318</sup>. Jeden z nich udzielił później wywiadu, w którym powiedział: „Nie istniały żadne dowody na poparcie oskarżeń Anslingera, ale to mu wcale nie przeszkadzało”<sup>319</sup>. Po raz kolejny Harry wykorzystał najgłębsze lęki swoich czasów i dopilnował, by to właśnie jego departament rósł dzięki nim w siłę i otrzymywał coraz większe fundusze. Bez względu na to, czego aktualnie obawiała się Ameryka – czarnoskórych, biednych, komunistów – pokazywał, że jedynym sposobem na uśmierzenie tych lęków jest walka z narkotykami, prowadzona według jego polityki.

Powołując do życia w latach pięćdziesiątych komunistyczną konspirację, Harry przekuł swoją porażkę w powód do *eskalacji* wojny. Prohibicja narkotykowa *mogła* przynieść oczekiwane rezultaty, ale tylko wtedy, gdy wprowadzą ją wszyscy, na całym świecie<sup>320</sup>. Wybrał się więc na posiedzenie Organizacji Narodów Zjednoczonych z zestawem instrukcji dla całej ludzkości: „Zróbcie to, co my zrobiliśmy. Wypowiedzcie wojnę narkotykom. Albo pożałujecie”. Ze wszystkich posunięć Harry’ego to miało dla nas największe konsekwencje, które odczuwamy do dzisiaj.

Anslinger zatrzymał się w jednym z najlepszych hoteli w Genewie, a podczas spotkań patrzył groźnie na przedstawicieli mniejszych, słabszych państw, pouczał ich i wydawał rozkazy. Lecz podobnie jak Billie Holiday nie chciała zginać przed nim karku, tak wiele krajów nie zamierzało wykonywać jego poleceń. Na przykład Tajlandia stanowczo odmówiła wprowadzenia zakazu palenia opium<sup>321</sup>, tłumacząc, że to w ich kraju wielowiekowa tradycja, a zakaz przyniósłby więcej szkód niż korzyści. Harry zaczął więc wywierać różnego rodzaju naciski na opornych. Jeden z jego najbliższych współpracowników Charles Siragusa chwalił się potem: „Zauważyłem, że uwaga o możliwości zamknięcia naszych programów

pomocowych, rzucona w odpowiednim towarzystwie, sprawia, że niemal natychmiast uzyskujemy niechętnie, ale jednoznaczne przyzwolenia na nasze operacje”<sup>322</sup>. Później przywódcom różnych krajów grozono, że nie będą mogli sprzedawać swoich towarów do Stanów Zjednoczonych.

Gdy tylko przedstawiciel innego państwa próbował wytłumaczyć, dlaczego taka polityka nie sprawdzi się w jego ojczyźnie, Anslinger przerywał warkliwie: „Podjąłem już decyzję – proszę nie mącić mi w głowie faktami”<sup>323</sup>.

I tak Tajlandia ustąpiła. Ustąpiła też Wielka Brytania. W końcu, w obliczu amerykańskich gróźb, ustąpili wszyscy. Stany Zjednoczone były najpotężniejszym krajem na świecie i nikt nie ośmielił się im przeciwstawić. Niektórzy ustępowali chętniej, inni z oporami. Niemal każdy kraj ma jakąś mniejszość, którą chce kontrolować. Dla wielu z nich była to dobra wymówka. I niemal każdy kraj skrycie pragnie karać narkomanów. „Świat należy do silnych. Zawsze tak było i zawsze będzie”<sup>324</sup> – mówił Harry. W rezultacie wciąż znajdujemy się na muszce Anslingera.

Jednak Harry’ego przerażało coś innego – coś znacznie mu bliższego. Już na początku pracy w Biurze zauważył, że jego myśli wędrują w dziwnych, pozbawionych celu kierunkach. W jego prywatnych dokumentach coraz częściej pojawiały się paniczne komentarze, ostrzegające, że narkomania jest „zaraźliwa” i że każdy z nas może mieć z nią problemy, jeśli narkomani nie zostaną natychmiast „poddani kwarantannie”<sup>325</sup>. A potem, całkiem niespodziewanie, Harry zniknął z Biura na kilka miesięcy<sup>326</sup>.

Choć wtedy nikomu o tym nie mówiono, Anslinger przeszedł załamanie psychiczne i trafił do szpitala<sup>327</sup>. Wydawało się, że po powrocie popadł w jeszcze większą paranoję. Za każdym rogiem węszył nieprzyjaciół, spiski i tajne próby przejęcia kontroli nad całym światem.

Czasami, czytając jego coraz dziwniejsze argumenty, zachodziłem w głowę, jak taki człowiek mógł przekonać tylu ludzi. Wkrótce znalazłem odpowiedź w postaci stert listów, które Anslinger otrzymywał od zwykłych ludzi, od senatorów i prezydentów. Wszyscy chcieli, by ich przekonał. Oczekiwali prostych odpowiedzi na złożone pytania. Łatwo poczuć się lepszym, traktować tych ludzi protekcyjnie, przypuszczam jednak, że wszyscy czujemy podobną pokusę. Ludzie chcieli, by wmawiano im, że te głębokie, złożone problemy – różnice rasowe, nierówności, geopolityka –

sprowadzają się do kilku rodzajów proszku i tabletek, a jeśli uda się je zetrzeć z powierzchni ziemi, trudności znikną.

W naturze człowieka leży chęć przemiany lęków w symbole i niszczenie tych symboli w nadziei, że tym samym pozbędziemy się lęków. Tego rodzaju logika przewija się stale w ludzkiej historii – od krucjat, przez polowania na czarownice, aż po dzień dzisiejszy. Trudno tolerować złożony problem, jakim jest ludzka skłonność do odurzania się, i przyznać otwarcie, że to zjawisko będzie nam zawsze towarzyszyć i wywoływać jakieś kłopoty (a także sprawiać przyjemność). Znacznie chętniej wysłuchamy innego przekazu – że taki problem można łatwo rozwiązać. Że wszystkie trudne problemy da się rozwiązać, jeśli tylko będziemy posłusznie wykonywać rozkazy.

Gdy Harry przestał w końcu kierować Biurem – idąc za dyskretną sugestią Johna Fitzgeralda Kennedy'ego – odkryto pewną dziwną właściwość paranoi Harry'ego. Okazuje się, że kierował swe podejrzenia pod adresem wszystkich prócz tych, którzy naprawdę na to zasługiwali – czyli pracowników swego departamentu. Natychmiast po odejściu Anslingera śledztwo prowadzone przez specjalny zespół z Urzędu Skarbowego wykazało, że w Biurze panowała korupcja, co wybitny historyk John McWilliams skomentował następującymi słowami: „Samo Biuro było głównym źródłem dostaw i głównym obrońcą heroiny w Stanach Zjednoczonych”<sup>328</sup>.

Anslinger był zbyt pochłonięty ściganiem lekarzy, piosenkarek jazzowych, narkomanów i chińskich smoków, by dojrzeć, że tuż pod jego nosem działają handlarze narkotyków. Ale to nieistotne. Harry wygrał. Kiedy opuszczał Biuro, jako jedyny człowiek, który kierował amerykańską agencją bezpieczeństwa dłużej niż J. Edgar Hoover, nikt już nie wspominał o rozwiązaniu Federalnego Biura ds. Narkotyków. Była to ważna część maszyny rządowej.

Wiele lat później, w 1970 roku, czasopismo „Playboy” zorganizowało debatę o prawie dotyczącym narkotyków i zaprosiło do niej Anslingera. Po raz pierwszy od spotkania z Henrym Smithem Williamsem w latach trzydziestych Harry Anslinger musiał bronić swoich racji w dyskusji z elokwentnymi oponentami, wśród których znaleźli się między innymi

psychiatra dr Joel Fort, prawnik Joseph Oteri oraz piewca narkotyków, pisarz i poeta William Burroughs.

Tym razem Harry nie wyparł się swoich poglądów, jak zrobił to podczas rozmowy z Henrym Smithem Williamsem. Przeszedł do ataku: „Osoba będąca pod wpływem marihuany może stać się tak agresywna, że trzeba aż pięciu policjantów, by ją obezwładnić” – mówił. Zdaniem Harry’ego dowiedziono również, że „dłuższe używanie haszyszu kończy się pobytem w szpitalu psychiatrycznym”.

Dawniej przyjęto by jego argumenty z pełnym szacunku milczeniem. Ale nie teraz. Kiedy spytano go o dowody na poparcie tych tez, odwołał się do przykładu hinduskiego psychiatry dra Isaaca Chopry, „który stwierdził stanowczo i jednoznacznie, że używanie narkotyków z konopi indyjskich prowadzi do psychozy”.

„Przepytywałem doktora Choprę w sądzie w Bostonie, gdzie przyznał, że nie używał podczas swych badań wiarygodnych naukowo próbek i właściwie nie połączył marihuany z obłądem w żaden związek przyczynowo-skutkowy” – odparł Oteri. Anslinger milczał.

Tymczasem jego oponenci przedstawili wyniki badań naukowych, fakty i liczby dowodzące, że prohibicja nie przynosi zamierzonego skutku. Anslinger odpowiadał anegdotami, niemal zawsze dotyczącymi seksu: „Mogę opowiedzieć o historii, która wydarzyła się w pewnym akademiku podczas weekendowego przyjęcia. Jedna z dziewczyn dała się sprowokować i zjadła kostkę cukru zawierającą krople LSD. Straciła świadomość na dwa dni, a w tym czasie została wielokrotnie zgwałcona przez chłopców z akademika”.

Pozostali uczestnicy dyskusji wydawali się skonsternowani faktem, że Anslinger przeciwstawia poważnym naukowym argumentom historyjki zaczerpnięte z taniej literatury sensacyjnej z lat trzydziestych. Wyglądało to tak, jakby detektyw z kryminałów Mickeya Spillane’a dołączył do seminarium medycznego i powiedział lekarzom, że opowiadają jakieś bzdury, bo on kiedyś śledził seksowną blondynkę i wie lepiej.

Anslinger spróbował też podważyć wiarygodność ich argumentów, mówiąc: „Podajcie mi nazwisko choć jednego lekarza, który pisał o dobroczynnych skutkach korzystania z marihuany, oczywiście poza nazwiskami ludzi z jakichś nikomu nieznanymi krańców świata”. Natychmiast usłyszał konkretne nazwiska: dr Lloyd J. Thompson, wykładowca psychiatrii w Bowman Gray School of Medicine, oraz G.

Taylor Stockings, jeden z wiodących brytyjskich psychiatrów. Harry znów nie umiał na to odpowiedzieć. Ten schemat powtarzał się jeszcze wielokrotnie, niczym w jakimś dziwnym tańcu: Anslinger wygłaszał tezę, eksperci ją podważali, Anslinger milczał.

Gdy emocje spotkały się z faktami, Harry był bezradny. W końcu stracił panowanie nad sobą. Nazwał wszystkich obecnych przy stole „ohydnyimi potworami”, powiedział, że wygadują „wierutne bzdury” i że musiało im się „pomieszać w głowach”. Potem porównał ich do Adolfa Hitlera i w końcu oznajmił: „Wysłuchaliśmy tu kilku najbardziej absurdalnych tez, jakie kiedykolwiek wygłoszono w publicznej dyskusji”.

Siedząc pośród pudeł wypełnionych dokumentami Harry’ego – wszystkim, co po nim zostało, prócz globalnej wojny – dostrzegłem w tej scenie coś smutnego. Anslinger był wtedy starcem cierpiącym z powodu bolesnej dusznicy, jak również faktu, że nie miał już władzy, która pozwoliłaby mu zakończyć i wyciszyć tę rozmowę. Wciąż jednak próbował, podnosząc retoryczną stawkę stwierdzeniem, że ludzie, którzy się z nim nie zgadzają, doprowadzą do upadku Ameryki: „Historia usiana jest kośćmi narodów, które tolerowały rozpasanie i hedonizm”.

Dr Fort spojrzał na wielką, łysą głowę Anslingera i odparł: „Doprowadził pan do tego, że w tym kraju rozpatruje się poważne zagadnienia naukowe tak, jak robiono to w średniowieczu”. Dr Henry Smith Williams powiedział to na początku długiej kariery Anslingera, a niemal dokładnie to samo porównanie powtórzył inny lekarz w chwili, gdy Harry Anslinger wypowiadał swoje ostatnie zapisane słowa.

### Pocisk i narodziny nowego świata

Zagłębiając się w historię wojny narkotykowej, zauważyłem w jej początkach pewną lukę, a właściwie wielką i przepaścistą dziurę. Pełen przebieg tej wojny można odtworzyć, spoglądając na nią oczami policjantów, lekarzy i narkomanów. Jednak czytając różnego rodzaju dokumenty, zauważyłem, że wszystkie te trzy grupy mają obsesję na punkcie czwartej siły – rosnącej wokół nich nowej armii dealerów narkotykowych. Chciałem poznać ich historię i przekonać się, jak oni postrzegali ten świat. Ale handlarze narkotyków nie prowadzą dokumentacji. Nie istnieje Krajowe Archiwum Sprzedawców Heroiny, które mógłbym przeszukać. Przez dłuższy czas pomimo ogromnych starań nie mogłem dotrzeć do opowieści tych uczestników wojny, obawiałem się już, że nigdy mi się to nie uda. Ich wspomnienia umarły wraz z ludźmi, którzy ich znali, a ci dawno już odeszli.

Później jednak znalazłem jeden wyjątek. Pierwszym człowiekiem, który naprawdę docenił potencjał handlu narkotykami, był gangster Arnold Rothstein – w pewnym momencie uświadomiłem sobie, że mogę całkiem szczegółowo odtworzyć jego historię. Był tak egotyczny, że wręcz namawiał dziennikarzy, by o nim pisali – a jednocześnie dysponował taką władzą, że nie musiał się obawiać, co zrobi z tym policja. Miał ją w kieszeni. Powstało już kilka biografii Rothsteina, a co jeszcze ważniejsze, dowiedziałem się, że po jego śmierci wdowa po gangsterze wydała pamiętniki, w których szczegółowo i barwnie opisywała zarówno swego męża, jak też ich wspólne życie. Istniał tylko jeden problem. Wyglądało na to, że wszystkie egzemplarze tego dziennika zaginęły. Nawet kopia przechowywana w Nowojorskiej Bibliotece Publicznej zniknęła gdzieś bez śladu w latach siedemdziesiątych. W końcu udało mi się znaleźć chyba ostatni zachowany egzemplarz w Bibliotece Kongresu. Siedziałem więc w czytelni w cieniu Senatu i próbowałem odtworzyć postać Rothsteina, fragment po fragmencie. Oto historia, jaką poznałem – opowieść o tym, jak Arnold nauczył świat handlować narkotykami.

Pewnego dnia, w połowie lat dwudziestych, Arnold Rothstein stał na rogu ulicy w migotliwym blasku neonów Times Square, czekając, aż pojawi się tam ktoś – ktokolwiek – kto winien mu jest pieniądze.

Na ulicach pełno było ludzi zadłużonych u Rothsteina, który – podobnie jak Anslinger – potrafił wzbudzać strach jednym groźnym spojrzeniem. Na pierwszy rzut oka trudno było zrozumieć, dlaczego tak się dzieje. Gangster miał 167 centymetrów wzrostu, bladą skórę, niewinną dziecięcą twarz<sup>329</sup> i drobne, kobiece dłonie<sup>330</sup>. Nigdy się nie denerwował, nie pił i nie podnosił na nikogo ręki<sup>331</sup>. Nie chciał nawet żuć gumy<sup>332</sup>. Był stateczny i elegancki, zawsze nosił idealnie dopasowane, szyte na miarę garnitury<sup>333</sup>, lecz wszyscy w Nowym Jorku wiedzieli, że Rothstein może zabić człowieka jednym pstryknięciem palców – i że kupił tylu policjantów oraz polityków, że nigdy nie zostanie za to ukarany.

Żona Rothsteina, Carolyn, dziewczyna z broadwayowskiego chóru, miała w zwyczaju przejeżdżać obok niego i wołać go z samochodu. Lecz ona również się go bała. Później pisała w swoich pamiętnikach:

Często, kiedy wracałam do domu samochodem, kazałam się wieźć w górę Broadwayu, między Czerdziestą Siódmą i Pięćdziesiątą Ulicą. Nieważne, czy było zimno, czy padał deszcz lub śnieg – Arnold prawie zawsze tam stał. Prosiłam go, żeby poszedł do domu. Kręcił wtedy głową i mówił: „Czekam, aż zobaczę kogoś, od kogo będę mógł odebrać pieniądze” [...]. Stał w upale i mrozie, żeby odbierać małe sumy, czasem nawet tylko pięćdziesiąt dolarów, choć w tym samym czasie mógł zarobić grube tysiące. Zawsze wydawało mi się, że dla Arnolda nie były ważne same kwoty, lecz oprocentowanie. Prowadził grę, w której każdy element musiał przynosić zyski<sup>334</sup>.

Panowała złota era jazzu, a Arnold Rothstein był człowiekiem, który budził największy postrach w Nowym Jorku. Kiedy już ściągnął od dłużników wystarczająco dużo pieniędzy, przesiadywał do późnego wieczora w Lindy's<sup>335</sup>, kawiarni przy Times Square, skąd zarządzał swoją siecią oszustw, kradzieży i wymuszeń<sup>336</sup>. Przy okolicznych stolikach siedzieli członkowie manhattańskiego półświatka i celebryci: aktorzy i kompozytorzy, bokserzy i ich menedżerowie, dziennikarze i komuniści, policjanci i przestępcy. Carolyn pisała, że miejsce to przypominało „wodopój w dżungli, gdzie gromadzą się drapieżniki i ich naturalni wrogowie, by na czas niepisanego, lecz przestrzegane przez wszystkie strony rozejmu nabrać sił”.

Podczas jednego z takich wieczorów przy sąsiednim stoliku dwie kobiety pisały musical, którego główni bohaterowie wzorowani byli na Arnoldzie



i Carolyn<sup>[1]</sup>. Przedstawienie miało nosić tytuł *Faceci i laleczki*<sup>337</sup> i w założeniu miało być zabawne. Arnold nie należał jednak do wesołych ludzi – kiedy się śmiał, wszystkim wydawało się to dziwnie sztuczne. „Przekonałam się, że jego śmiech był jedynie wypracowanym grymasem, ruchem mięśni twarzy zsynchronizowanym z dźwiękiem, który udawał rozbawienie, ale nie brał w nim udziału”<sup>338</sup> – wspominała Carolyn po latach.

Dla nas postać Arnolda ma znaczenie głównie z jednego powodu. Wkrótce miał dostać na tacy największy czarny rynek w historii.

Nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego Arnold wybrał taką drogę życiową. Jego ojciec – który niegdyś zobaczył swojego małego synka stojącego z nożem nad śpiącym bratem – był jedną z najbardziej lubianych postaci manhattańskiej społeczności żydowskiej. Rodzina Abrahama Rothsteina uciekła z Rosji przed okrutnymi antyżydowskimi prześladowaniami i w latach osiemdziesiątych XIX wieku osiadła na Lower East Side. Abraham zaczynał od szycia czapek, potem zdobywał coraz wyższą pozycję w przemyśle tekstylnym, aż w końcu został bogatym kupcem handlującym ubraniami z bawełny. Jeśli ktoś miał problem w ortodoksyjnej społeczności żydowskiej, szedł właśnie do niego, on zaś rozstrzygał sprawę. Był tak skrupulatny i rzetelny, że mówiono o nim „Abe Sprawiedliwy”.

Jego syn otrzymał wiele przydomków, ale nikt nie nazwałby go sprawiedliwym.

Już jako mały chłopiec Arnold wyróżniał się nie tylko emocjonalnym chłodem, ale i niezwykłymi umiejętnościami matematycznymi. Potrafił operować liczbami i procentami w sposób, który zdumiewał dorosłych. W wieku dwunastu lat wiedział już, że jego ojciec za żadne skarby świata nie będzie nosił gotówki od zachodu słońca w piątek po koniec szabat następnego dnia, więc Arnold podkradał mu pieniądze z portfela, grał w kości i wygrywał tak często i dużo, że zawsze mógł niepostrzeżenie odłożyć skradzioną kwotę na miejsce<sup>339</sup>. Nim jeszcze w wieku siedemnastu lat uciekł z domu, by zostać komiwojażerem<sup>340</sup>, Arnold wiedział, że potrafi grać w karty o wiele lepiej niż ktokolwiek inny.

Zaczął uważać się za nadczłowieka, znacznie wyrastającego ponad tłum durniów. Sam mówił później: „Na jednego bystrego człowieka przypadają

dwa miliony głupców”<sup>341</sup>. Rzeczywiście był bystry i do swoich interesów wykorzystywał tłum głupców.

„Mózg”, bo tak kazał się nazywać, odkrył wkrótce najważniejszą zasadę hazardu – jeśli chcesz zawsze wygrywać, musisz mieć kasyno. Stworzył więc sieć nielegalnych lokali rozsianych po całym Nowym Jorku. Kiedy policja zaczęła je, jeden po drugim, zamykać, wymyślił „przenośną” grę w kości: niekończącą się rozgrywkę, która przenosiła się stale w różne mroczne miejsca i piwnice na terenie całej wyspy. Mózg zawsze nosił przy sobie pieniądze, nawet sto tysięcy dolarów, i obsesyjnie je przeliczał, ręcznie, raz za razem<sup>342</sup>. Jego relacja z gotówką opierała się w dużej mierze na dotyku. Szelest banknotów był jego ukochaną muzyką i muzą. Sama gra nie sprawiała mu przyjemności, liczył się tylko końcowy rezultat. Nawet po wielu latach spędzonych na wyścigach konnych nie rozróżniał poszczególnych koni. Znał tylko ich statystyki<sup>343</sup>, dzięki czemu na koniec gotówka płynęła do niego szerokim strumieniem.

Bez względu na to, ile miał pieniędzy, zawsze uważał, że mu ich brakuje i że musi znaleźć jakiś sposób, żeby zarobić jeszcze więcej. Kiedy na przyjęciu u znajomego poznał swoją przyszłą żonę Carolyn, powiedział jej, że jest myśliwym<sup>344</sup>. „Myślałam, że myśliwy to człowiek, który poluje i zdobywa trofea. Dopiero później zrozumiałam, że on polował jedynie na bogate ofiary i zdobywał pieniądze”<sup>345</sup> – pisała. W dniu ich ślubu Arnold powiedział Carolyn, że musi oddać w zastaw jej pierścionek zaręczynowy, by odblokować trochę funduszy, a ona oddała mu klejnot bez sprzeciwu<sup>346</sup>.

Pilnie strzegł zarobionych pieniędzy. Pewnego dnia znajomy hazardzista zadzwonił do niego z odległego miasta. Powiedział, że jest splukany i że pilnie potrzebuje pięciuset dolarów, by wrócić do Nowego Jorku i odegrać się.

– Nie słyszę cię – rzucił Arnold do słuchawki.

Hazardzista powtarzał raz po raz swoją prośbę.

– Nie słyszę cię – odpowiadał stale gangster.

Zdesperowany mężczyzna mówił coraz głośniejszym głosem, aż do rozmowy wtrąciła się telefonistka:

– Ależ panie Rothstein, ja słyszę go bardzo wyraźnie – powiedziała.

– Dobrze, w takim razie ty daj mu te pieniądze – oznajmił gangster i odłożył słuchawkę<sup>347</sup>.

Zwykł manipulować wszystkimi zakładami, w których brał udział. „Znałem swoje ograniczenia, odkąd skończyłem piętnaście lat, i od tego czasu nigdy nie grałem z kimś, z kim nie mogłem wygrać”<sup>348</sup> – mówił. Zaczął płacić dzokejom za ustawianie wyścigów konnych<sup>349</sup> i z roku na rok przenosił tego rodzaju manipulacje na coraz wyższy poziom. Stawki były coraz wyższe, a jego wygrane coraz mniej prawdopodobne, aż w końcu sięgnął do największej, najczęściej oglądanej i budzącej największe emocje gry w Stanach Zjednoczonych: World Series, czyli meczów finałowych ligi baseballu. Pięćdziesiąt milionów Amerykanów słuchało w 1919 roku relacji ze ścisłego finału, kiedy to wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu i wszelkim przewidywaniom Cincinnati Reds pokonali zdecydowanego faworyta, Chicago White Sox. Długo po tym, jak ucichły okrzyki zdumienia, a stadion wypełniały jedynie echa meczu, poznano przyczynę tej niespodzianki: Rothstein zapłacił ośmiu graczom White Sox za poddanie meczu. Wszystkich ośmiu oskarżono o oszustwo – i wszyscy zostali z niewiadomych przyczyn uniewinnieni. W opowieściach o życiu Arnolda raz po raz napotykam podobne frazy – „z niewiadomych przyczyn”, „w tajemniczych okolicznościach”...

Ludzie pokroju Arnolda Rothsteina zawsze znajdą okazję do jakiegoś intratnego przestępstwa, lecz Arnold otrzymał za darmo dostęp do dwóch największych nielegalnych rynków w Ameryce. Od razu zrozumiał, że prohibicja alkoholowa i narkotykowa to najlepsza okazja do zarobku w historii przestępczości. Nigdy nie brakuje ludzi, którzy chcą się upić lub odurzyć narkotykami, a jeśli nie mogą zrobić tego legalnie, uciekną się do nielegalnych sposobów.

„Prohibicja zostanie kiedyś zniesiona. Ale będzie trwała przez dłuższy czas, to pewne. Przypuszczam, że coraz więcej ludzi będzie ignorować prawo [...], a my możemy zarobić fortunę, zaspokajając ich potrzeby”<sup>350</sup> – mówił Rothstein swoim współpracownikom.

Po wprowadzeniu prohibicji dealerzy odkryli, że mogą sprzedawać towar najgorszej jakości – kto poskarży policji, że zatruł się nielegalnie wytwarzanym alkoholem? W całej Ameryce dochodziło do masowych zatruć<sup>351</sup>. W jednym tylko przypadku, w miejscowości Wichita w stanie Kansas, pięćset osób zostało sparaliżowanych po spożyciu szkodliwej substancji zawierającej alkohol. Lecz czarny rynek alkoholowy utrzymywał się przez trzynaście lat, aż Franklin Roosevelt, rozpaczliwie szukając nowych wpływów z podatków, zalegalizował sprzedaż napojów

wyskokowych w 1933 roku. Rothstein uważał, że większy potencjał ma rynek narkotykowy. Był pewien, że te substancje będą zakazane jeszcze przez wiele lat.

Początkowo handel narkotykami kontrolowali uliczni dealerzy, którzy zdobywali towar na dwa sposoby: napadając na transporty legalnych opioidów dostarczanych do aptek lub zamawiając duże ilości od legalnych dostawców z Meksyku lub Kanady i posługując się przy tym fałszywymi danymi<sup>352</sup>. W 1922 roku Kongres położył kres temu procederowi. Rothstein tak czy inaczej uważał, że ci kryminaliści nie wykorzystywali niezwyklej okazji, jaką dał im los. Doszedł do wniosku, że sytuacja wymaga działań na skalę przemysłową. Wysłał swoich ludzi do Europy, gdzie nadal można było legalnie wytwarzać heroinę, by kupowali ją w dużych ilościach i organizowali transport do Ameryki. Tu przekazywano narkotyki sprzedawcom ulicznym z Nowego Jorku i innych miejscowości.

Aby usprawnić działanie tego systemu, Rothstein musiał stworzyć nowoczesny gang narkotykowy. Gangi działały w Nowym Jorku od pokoleń, były to jednak grupy zwykłych chuliganów<sup>353</sup>, którzy poświęcali większość swej energii na bijatyki. Gangi Arnolda były zdyscyplinowane niczym oddziały wojska, a on sam dbał o to, by interesowała je tylko jedna rzecz: ostateczny sukces. Właśnie dzięki takiemu podejściu w połowie lat dwudziestych Rothstein i jego nowojorski gang nowego typu kontrolowali cały handel heroiną i kokainą na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych<sup>354</sup>.

Wróćmy jednak do momentu, gdy Arnold stoi na Times Square i wypatruje ludzi, którzy są mu winni pieniądze. W tym czasie Federalne Biuro ds. Narkotyków zamyka kliniki dla heroinistów na terenie całych Stanów Zjednoczonych. To kluczowy moment tej historii. Właśnie teraz kontrolę nad narkotykami przejmują najniebezpieczniejsi ludzie. W wyniku ustawy Harrisona i późniejszych działań Biura Harry'ego kontrola ta przechodzi z rąk Henry'ego Smitha Williamsa i jego kolegów po fachu w ręce Arnolda Rothsteina i jego gangsterów. To nie była naturalna kolej rzeczy, lecz proces spowodowany politycznym dekretem.

Rothstein odnosił się do narkomanów z taką samą odrazą jak Anslinger. Gdy pewnego dnia zobaczył, że jeden z jego współpracowników pali opium, natychmiast go wyrzucił<sup>355</sup>. Nietrudno jednak zrozumieć, dlaczego

parał się tym procederem. Gazeta „World” donosiła: „Za każdy tysiąc dolarów wydany na zakup, przemyt i rozprowadzenie opium ludzie stojący na szczycie piramidy osiągają co najmniej sześć tysięcy dolarów zysku”<sup>356</sup>. Arnold wkrótce odkrył, że policjantów i polityków bardzo łatwo jest przekupić. Jego marża była tak duża, że bez trudu mógł kilkakrotnie przebić pensje, jakie funkcjonariusze otrzymywali od państwa. „Policjanci byli wobec niego równie ulegli i uprzejmi, jak wobec swojego komendanta”<sup>357</sup> – pisał pewien dziennikarz w 1929 roku. Dlatego właśnie za każdym razem, gdy Arnold Rothstein został przyłapany na jakimś przestępstwie, zarzuty „z niewyjaśnionych przyczyn” oddalano.

Arnold poskromił policję, stosując podejście, które wiele lat później jego następcy, członkowie meksykańskich karteli, sprowadzili do jednej prostej frazy: *plata o plomo*<sup>358</sup>. Srebro albo ołów. Dostaniesz łapówkę albo kulkę.

Od czasu do czasu trafiał się policjant, który nie chciał zaakceptować tych prostych zasad. Gdy dwaj detektywi, John Walsh i Josh McLaughlin, włamali się pewnego wieczora do jednego z nielegalnych kasyn Rothsteina, ten wziął ich za włamywaczy i zaczął do nich strzelać<sup>359</sup>. Sędzia oddalił sprawę<sup>360</sup>. Jeden z dziennikarzy skomentował to retorycznym pytaniem: „Czymże są »małe ćwiczenia strzeleckie z policjantami w roli tarcz«, gdy strzela Arnold Rothstein”<sup>361</sup>?

Rothstein zrobił z policją i aparatem sprawiedliwości to samo, co z finałami rozgrywek baseballowych – zamienił je w spektakl, który społeczeństwo brało za rzeczywistość, choć w istocie był to teatrzyk kukiełkowy. Pracowało dla niego tylu graczy, że mógł być zawsze pewien wygranej.

Jednak bez względu na to, jak wielki zgromadził majątek, prowadził wciąż taki sam tryb życia i co wieczór jadał w Lindy’s. Pozwolił sobie tylko na jeden luksus. Opłacił dentystę, by ten usunął mu wszystkie zęby i wstawił w ich miejsce nowe, lśniące implanty<sup>362</sup>.

W pewnym momencie Arnold zaczął zabijać. Tu właśnie lustro historii zachodzi mgłą i trudno dojrzeć, co się w tym czasie właściwie działo. Z oczywistych powodów nikt nie zapisywał nazwisk ani danych ofiar Arnolda. Tu i ówdzie możemy jedynie odnaleźć pewne aluzje i wskazówki. Wszyscy, nawet zaprawieni w bojach gangsterzy, panicznie się go bali, a wiadomo, że takiej reputacji nie zyskuje się dzięki głupim żartom. Właściwie nieco więcej wiemy tylko o jednej z domniemanych ofiar

Rothsteina. Informacje te odnalazł biograf David Pietrusza – i to tylko dlatego, że ofiarą był jeden z trzech najbogatszych ludzi na świecie.

Pewnego dnia Arnold spotkał się w hotelu przy Czterdziestej Drugiej Ulicy z kapitanem Alfredem Lowensteinem, finansistą tak bogatym, że gdy podczas I wojny światowej Niemcy zajęli Belgię, kapitan zaproponował podobno, że odkupi ją za własne pieniądze<sup>363</sup>. Lowenstein zawarł z Rothsteinem największą jak do tej pory umowę dotyczącą narkotyków – plan wprowadzenia na rosnący rynek ogromnych ilości różnego rodzaju opioidów. Wkrótce po podpisaniu porozumienia kapitan wsiadł do swojego prywatnego samolotu i poleciał do Europy.

Gdy samolot wylądował, okazało się, że kapitana Lowensteina nie ma na pokładzie. Członkowie załogi twierdzili, że poszedł do toalety i już nie wrócił. „New York Times” donosił, że „praktycznie nie da się otworzyć takich drzwi, jeśli samolot znajduje się na normalnej wysokości przelotowej”<sup>364</sup>. Prawdopodobnie Rothstein zatrzymał wszystko, co dostał w postaci zaliczki.

Odtwarzając w cieniu Kapitolu historię życia Arnolda, wciąż wracałem myślami do badań socjologicznych dotyczących wojny narkotykowej, które czytałem wcześniej – teraz zaczynały nabierać sensu. Wyjaśniały, że jeśli dany produkt zostaje zdelegalizowany, wcale nie znika. Kontrolę nad podażą i popytem przejmują wtedy przestępcy. Muszą sprowadzić ów produkt do kraju, przetransportować go tam, gdzie jest na niego zapotrzebowanie, i sprzedać na ulicy. Na każdym z tych etapów towar jest zagrożony. Jeśli ktoś go ukradnie, kryminaliści nie mogą pójść na policję czy do sądu, by domagać się zwrotu. Mogą więc bronić swojej własności tylko jednym sposobem – przemocą.

Nikt jednak nie chce codziennych strzelanin – tak nie prowadzi się biznesu. Trzeba więc wyrobić sobie reputację: reputację człowieka przerażającego. Ludzie muszą wierzyć, że jesteś brutalny i okrutny, bo wtedy będą się bać i nawet nie spróbują z tobą zadzierać. Taką sławę zdobywa się dzięki spektakularnym akcjom pełnym przemocy.

Amerykański socjolog Philippe Bourgois nadał temu procesowi nazwę: „kultura terroru”<sup>365</sup>. Pierwszym człowiekiem, który zauważył i zaczął opisywać ten mechanizm, był jednak wiecznie podpity, przesiąknięty zapachem tytoniu dziennikarz tabloidowy Donald Henderson Clarke. Zbierał materiały do swoich artykułów, przesiadując w barach, od Midtown do Bowery, z Rothsteinem i jego kumplami.



Donald pisał, że trudno wyrazić słowami „przerażenie, jakie budził Rothstein. Jeśli zadarłeś z komendantem policji albo prokuratorem okręgowym, albo gubernatorem, albo z jakimkolwiek innym przedstawicielem państwa, mogłeś się spodziewać kary adekwatnej do przewinienia. Jeśli zadarłeś z Arnoldem Rothsteinem, nie miałeś pojęcia, co cię spotka. Być może skończy się tylko na strachu, ale tego rodzaju strach potrafi wykończyć każdego człowieka”<sup>366</sup>.

Ludzie Arnolda rozsiewali po mieście kule z radosną niefrasobliwością gości weselnych rozsypujących konfetti. Jeden z jego najważniejszych bandziorów Jack „Nogi” Diamond sam był na celowniku swoich wrogów tak często, że nazywano go „ludzką tarczą dla pocisków półświatka”. Jednak Rothstein i jego ludzie zawsze wychodzili ze starć obronną ręką, więc w końcu nikt nie ośmielał się wchodzić im w drogę. Pewnego dnia Arnold jechał metrem, gdy jakiś nieznany kieszonkowiec ukradł mu perłową szpilkę do krawata, jedyną ozdobę, którą naprawdę lubił<sup>367</sup>. Przy kolacji, zanosząc się swym pozbawionym radości śmiechem, opowiedział kilku innym gangsterom, jak został okradziony. „Okradli mnie, takiego spryciarza! Co o tym myślicie?”

Nazajutrz do domu Arnolda przyniesiono paczkę. Zawierała szpilkę i kartkę z napisem: „Facet, który to zabrał, nie wiedział, kim pan jest”.

Podczas gdy Arnold siał postrach na ulicach miasta, jego żona Carolyn była więźniem w jego domu. Zabronił jej wychodzić po szóstej wieczorem i kontaktować się z kimkolwiek. Mówił, że to ze względu na policję, która nieustannie ich obserwuje<sup>368</sup>. Decydował za nią o wszystkim: zabronił jej obcinać równo włosy, zgodnie z ówczesną modą, twierdząc, że to „pozbawiłoby ją godności”<sup>369</sup>. Wieczorami Carolyn siedziała do późna, słuchając terkotu ruletki z podziemnego kasyna, które jej mąż prowadził po drugiej stronie ulicy. Potrafiła odgadnąć, czy kasyno wygrywa czy przegrywa, zależnie od tego, czy krupier szybko zgarniał żetony, czy też znacznie wolniej je wyliczał<sup>370</sup>. Czekać na powrót Arnolda, wciąż przypominała sobie pewien obraz sprzed lat. Kiedy była tancerką, tańczyła cza-czę podczas spektaklu *Chorus Lady* wystawianego w różnych zakątkach kraju. Pewnego razu, jadąc pociągiem przez Pensylwanię – a może przez Kansas, nie pamiętała już dobrze – zobaczyła długi szereg wiejskich domów, rozświetlonych migotliwym blaskiem lamp naftowych.



Próbowała wyobrazić sobie życie ludzi, którzy w nich mieszkali: spokojne, dobre i bezpieczne<sup>371</sup>.

Arnold wracał do domu codziennie około piątej lub szóstej rano i natychmiast oddawał się swojemu jedyemu nałogowi: pił całymi litrami mleko i jak szalony pożerał olbrzymie ilości ciastek<sup>372</sup>. W oknach wisiały olbrzymie skórzane żaluzje, które nie przepuszczały światła. Budził się o trzeciej po południu, zawsze z tymi samymi słowami: „Nie czuję się najlepiej”. Dokuczał mu ból głowy albo niestrawność – być może tak objawiała się tłumiona przezeń świadomość, że w każdej chwili może zostać zamordowany.

Zawsze obiecywał Carolyn, że zostawi to wszystko, gdy tylko będzie miał dość pieniędzy, ale powoli docierała do niej świadomość, że on nigdy nie będzie miał dość<sup>373</sup>. Poza tym, gdyby choć na chwilę zrezygnował z rządów twardej ręki, natychmiast ktoś by go sprzątnął, żeby zająć jego miejsce – rzesze chętnych tylko czekały na taką okazję w ciemnych zakamarkach Broadwayu. Każda oznaka słabości spowodowałaby rychłą śmierć. „Za późno. Nie mogę tego zrobić. Wszedłem w to i już nie mogę tego zostawić”<sup>374</sup> – tłumaczył żonie.

Zawsze był zadziwiająco odważny. Pewnego dnia uzbrojony bandyta przystawił mu do brzucha lufę rewolweru i zażądał pięciuset dolarów. „Jeśli dostaniesz te pięćset dolarów, będziesz ich potrzebował na opłaty za pogrzeb. Przemyśl to sobie”<sup>375</sup> – powiedział Rothstein.

Mniej więcej w roku 1926 dokonała się w nim jednak jakaś zmiana. Wydawało się, że po raz pierwszy w życiu odczuwa strach<sup>376</sup>. Powiedziano mu, że jego życie jest w niebezpieczeństwie. Niedługo potem z kamienicy, w której mieszkał, wyszedł człowiek do złudzenia go przypominający. Zaczepiło go dwóch uzbrojonych mężczyzn, którzy kazali mu wsiąść do samochodu. Dopiero przejechawszy kilka przecznic, stwierdzili z wściekłością: „Zgarnęliśmy nie tego, co trzeba”<sup>377</sup>.

Jakiś czas potem Arnold, blady jak ściana, obudził Carolyn w środku nocy. „Spotkało mnie właśnie coś okropnego” – powiedział. Przyjechał do apartamentowca, w którym mieszkał, i chciał otworzyć drzwi, ale były zamknięte na klucz. „Dzwoniłem, wiem, że dzwonek działał, bo go słyszałem. Potem zobaczyłem windziarza leżącego na sofie. Wydawało mi się, że jest związany i zakneblowany”<sup>378</sup>. Arnold przebiegł kilka przecznic

w poszukiwaniu policjanta. Gdy wrócił z nim na miejsce, drzwi były otwarte. Wszystko wyglądało całkiem normalnie.

I właściwie nic się nie zmieniło, prócz samego Arnolda. Z dnia na dzień tracił pewność siebie. W 1927 roku samochód Rothsteina, który czekał na niego przed hotelem Fairfield przy Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy<sup>379</sup>, został podziurawiony kulami z karabinów maszynowych. Wkrótce potem Carolyn zażądała rozwodu<sup>380</sup>. Król nowojorskiego półświatka wiedział już, co go czeka – i rzeczywiście, w końcu się doczekał. Arnold Rothstein miał czterdzieści siedem lat, gdy piątego listopada 1928 roku o 22.50 wszedł chwiejnym krokiem do hotelu Park Central przy Pięćdziesiątej Szóstej<sup>381</sup>. Chwilę wcześniej Mózg został postrzelony w brzuch<sup>382</sup>. „Wezwijcie taksówkę”<sup>383</sup> – poprosił. Gdy zamiast taksówki zjawili się policjanci, pytając, kto to zrobił, odpowiedział: „Jeśli przeżyję, sam się tym zajmę. Jeśli umrę, zrobi to gang”<sup>384</sup>.

Walczył o życie jeszcze przez ponad dobę w szpitalu Bedford-Stuyvesant na Brooklynie<sup>385</sup>. Kiedy leżał tam półprzytomny, jego prawnik i kochanka, Inez Norton (kolejna dziewczyna z chórką), „poprowadzili” jego dłoń, sporządzając nową wersję testamentu<sup>386</sup>. Myśleli, że odziedziczą fortunę, ale gdy w końcu przeanalizowano jego finanse, okazało się, że olbrzymie długi Arnolda przekraczają wartość aktywów, więc prawnik z kochanką nie dostali ani centa<sup>387</sup>. Tak się złożyło, że kilka dni wcześniej, w sobotę, Rothstein wykupił nową polisę na życie o wartości pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Firma nie otrzymała jednak pierwszej składki i nie wypłaciła ubezpieczenia<sup>388</sup>.

Policja nie chciała prowadzić śledztwa w sprawie tego morderstwa – nikt nie miał ochoty uwalniać mrocznych sił krążących wokół zwłok Rothsteina<sup>389</sup>. „Wyglądało to tak, jakby nikt, żaden przedstawiciel prawa ani żaden przestępca, nie chciał mieć do czynienia z tym morderstwem”<sup>390</sup> – pisał biograf Rothsteina, Nick Tosches. W końcu o zabójstwo oskarżono hazardzistę i rywala Rothsteina, niejakiego George’a McManusa, lecz ława przysięgłych uwolniła go od wszelkich zarzutów. „Od tamtej chwili aż po dziś dzień historia ta okryta jest tajemnicą. Mnożą się teorie i hipotezy dotyczące nie tylko bezpośredniego sprawcy morderstwa, ale i ukrytych sił i zależności, które nim kierowały”<sup>391</sup>.

Minął cały rok, odkąd poznałem tę historię, gdy chodząc po ulicach najniebezpieczniejszego miasta świata, Ciudad Juárez, uświadomiłem sobie znaczenie tego wydarzenia.

Tę kulę wystrzelono w czasach narodzin prohibicji narkotykowej i po dziś dzień nikt nie wie, kto pociągnął wtedy za spust. Można ją przyrównać do pocisku, który zabił arcyksięcia Ferdynanda i dał początek I wojnie światowej – pierwszy strzał globalnej masakry.

Dominacja Rothsteina w handlu narkotykami na Wschodnim Wybrzeżu skończyła się w momencie, gdy kula trafiła w jego brzuch. Od tej chwili dealerzy nieustannie usiłują przejąć całkowitą kontrolę nad dystrybucją narkotyków. Znamca tematu Charles Bowden twierdzi, że w rzeczywistości na świecie toczą się dwie wojny narkotykowe<sup>392</sup> – jedna to wojna z narkotykami, w której państwo walczy z użytkownikami zakazanych substancji i z ludźmi uzależnionymi, zaś druga to wojna o narkotyki, w której przestępcy walczą o kontrolę nad handlem.

Wojna o narkotyki rozpoczęła się już wtedy, gdy zakrwawiony Arnold Rothstein leżał w holu Park Central Hotel na Manhattanie.

W tym konflikcie padło jeszcze bardzo wiele strzałów, lecz podczas mojej długiej podróży zrozumiałem, że Arnold Rothstein jeszcze nie umarł. Za każdym razem, gdy ktoś go zabija, pojawiają się jeszcze okrutniejsze i bezwzględniejsze wcielenia tego człowieka, które wypełniają przestrzeń stworzoną dla kryminalistów przez globalną prohibicję narkotykową. Arnold Rothstein to początek długiego pochodzenia przestępców, obejmującego gangi Crips i Bloods, Pablo Escobara i Chapo Guzmána – każdy z nich jest gorszy i silniejszy od poprzedniego, bo tylko dzięki temu mógł zająć jego miejsce. Jak pisał Harry Anslinger w 1961 roku: „Jedna grupa dochodziła do władzy po trupach poprzedniej”<sup>393</sup>. To darwinowska ewolucja wzbogacona o karabiny maszynowe i torby pełne narkotyków<sup>394</sup>.

Wkrótce miałem się przekonać, że podobnie jak Rothstein, Harry Anslinger również odradza się w coraz to silniejszej postaci. Jego następcy rozmieszczali okręty wojenne wzdłuż wybrzeży Ameryki, wtrącali do więzień więcej ludzi niż jakikolwiek naród w historii ludzkości i rozpylali trujące substancje nad krajami odległymi o tysiące mil od USA, by zniszczyć uprawy roślin służących do produkcji narkotyków. Głównymi graczami w tej wojnie wciąż są kolejni Anslingerowie i Rothsteinowie – zwolennicy prohibicji i gangsterzy, spleceni od lat w tańcu śmierci. Polityka prohibicji

powołała te postaci do życia, ponieważ potrzebuje ich obu. Dopóki nie zginą, ona również będzie trwać.

Krzyk, który przeraził Harry'ego Anslingera, kula, która przeszła Arnolda Rothsteina, i prawo, które zniszczyło praktykę lekarską Edwarda Williamsa – wszystkie te siły stanowią część naszego życia, bez względu na to, czy mamy bezpośrednią styczność z nielegalnymi narkotykami, czy nie.

Podróżując siedemdziesiąt lat później z miasta do miasta, by się przekonać, jak do tego doszło, zrozumiałem te mechanizmy dzięki historii trzech osób.

Jedna próbowała być Arnoldem Rothsteinem.

Druga próbowała zostać Harrym Anslingerem.

A trzecia siedziała na werandzie i bawiła się lalką.

## Część II

### Duchy.

## Souls of Mischief

Odłożyłem dokumenty dotyczące Harry'ego, Arnolda oraz Billie i postanowiłem znaleźć sobie dealera. Chciałem zobaczyć, jak mechanizm puszczony w ruch przed wielu laty przez opisanych wcześniej ludzi funkcjonuje dziś, nie tylko w opisach z akademickich rozpraw i polemik dotyczących wojny narkotykowej, ale na ulicach Nowego Jorku, gdzie walczył Arnold i gdzie umierała Billie. Nie mogłem się już dowiedzieć niczego więcej z dokumentów i książek. Nadszedł czas, by zobaczyć na własne oczy, jak toczy się wojna.

Mój znajomy<sup>395</sup>, który prowadzi działania na rzecz zmiany prawa o narkotykach, dał mi numer telefonu do niejakiego Chino Hardina.

– Spotkaj się z nim. Nikt nie wyjaśni ci tego lepiej – powiedział.

Po raz pierwszy spotkałem Chino przed tanią restauracją w Greenwich Village. Wszedł w moje życie, paląc; palił niemal bez przerwy. Miał ciasno związane, ściągnięte do tyłu włosy, które częściowo zakrywał jasną bandaną. Nosił duży workowaty sweter z wizerunkiem Hulka machającym światu przed nosem swymi wielkimi zielonymi pięściami. Głos Chino był głęboki i chropawy.

Usiedliśmy w restauracji, a Chino obserwował mnie uważnie, gdy tłumaczyłem mu, czego chcę się dowiedzieć – tego, jak funkcjonuje handel narkotykami. Nie potrafiłem określić, czy jest zaniepokojony, czy podejrzliwy, ale wiedziałem, że mnie ocenia. Po chwili odezwał się nagle, jakby podjąwszy decyzję:

– Wychowałem się w East Flatbush, na Brooklynie. Urodziłem się w Kings County Hospital, przy tej samej ulicy, przy której stoi mój dom.

Od tego momentu podczas kolejnych spotkań omówiliśmy całą historię jego życia. Rozmawiamy o tym już ponad trzy lata.

Później dowiedziałem się, że Chino rozważa operację zmiany płci. Na jego prośbę w całej książce używam w odniesieniu do jego osoby rodzaju męskiego – choć przez ludzi ze swego otoczenia i przez prawo traktowany jest zwykle jak kobieta – ponieważ w głębi duszy zawsze czuł się mężczyzną.

Podczas tamtego pierwszego spotkania zauważyłem, że Chino mówi bardzo szybko i melodyjnie, jakby dostosowywał się do niesłyszanego przeze mnie rytmu. Po jakimś czasie zacząłem jednak wyczuwać ten rytm. Była to jedna z wielu rzeczy, których nauczyłem się od Chino.

Niemal siedemdziesiąt lat po tym, jak Arnold Rothstein stał na rogu ulicy w Nowym Jorku i czekał, aż w pobliżu pojawi się gotówka, Chino – jak sam mi wyjaśnił – robił dokładnie to samo<sup>396</sup>. Podobnie jak Arnold straszył ludzi samą swoją obecnością. Miał ze sobą pitbulla i złote kły przyczepione do zębów. Włosy ukrywał pod czapką baseballową, a za paskiem okalającym czapkę chował małe woreczki z crackiem. Tuż obok, w koszu na śmieci, trzymał swój pistolet Smith&Wesson, kaliber 9 mm. Miał swoją ekipę nazywaną Souls of Mischief, która bez szemrania wypełniała jego polecenia. Skończył dopiero czternaście lat.

– Masz? – pytali jego klienci, podjeżdżając na róg ulicy.

– Tak, mam – odpowiadał.

Stał na skrzyżowaniu Trzydziestej Ósmej Ulicy i Church Avenue w East Flatbush, biednej dzielnicy Brooklynu. Nie ma tu już nazw wielkich firm, które dominują w centrum Manhattanu, ich miejsce zajmują małe rodzinne interesy w rodzaju Michael's Prime Meats czy White Sheep Laundry oraz niekończący się szereg sklepików z artykułami po dziewięćdziesiąt dziewięć centów, przetykany tu i ówdzie obiecującymi zbawienie kościołami ewangelickimi. Wybudowane w latach pięćdziesiątych domy były niegdyś zadbane i lśniące, wydawało się jednak, że od tamtego czasu powoli zapadają się w ziemię.

Crack sprzedawany przez Chino miał postać białych wiórów przypominających kawałki mydła. Początkowo ukrywał je w ustach, ale wtedy cierpły mu policzki i język, potem trzymał je w dłoni, ale wtedy się rozpuszczały i nikt nie chciał ich kupować. Zrozumiał więc, że musi się wykazać pomysłowością. Czasami przymocowywał je do magnesu i chował pod stojącym w pobliżu samochodem. Później kupił specjalną obrozę dla swojego pitbulla Rocky'ego i do niej właśnie wkładał narkotyki; „więc Rocky też sprzedawał crack” – dodawał Chino ze śmiechem. Lecz tego dnia – jak w wiele innych dni – trzymał woreczki za opaską przy czapce, gotowe do sprzedaży.

Niegdyś w Nowym Jorku był tylko jeden Arnold Rothstein. Po siedmiu dekadach stale eskalującej wojny każda przecznica w każdej biednej



dzielnicy Ameryki miała swojego Rothsteina. Rozdrobnienie, które zaczęło się od kuli w brzuchu Arnolda, sięgnęło także i tego miejsca na Brooklynie.

Chino wychodził na róg handlować bez względu na to, czy świeciło słońce, padał deszcz, czy szalała śnieżycą. Była to w tej dzielnicy jedyna droga do bogactwa – i jedyny sposób na zachowanie bezpieczeństwa. Wiedział, że ludziom z zewnątrz może wydawać się to dziwne: jak można czuć się bezpiecznie, będąc gangsterem? Jednak obserwując w dzieciństwie swoją dzielnicę, gdzie wojna przeciwko narkotykom krzyżowała się z wojną o narkotyki, doszedł do wniosku, że w East Flatbush albo karmisz innych, albo sam stajesz się pokarmem.

Na rogu czuwał nie tylko Chino, ale i jego koledzy z Souls of Mischief – kumple z dzielnicy, sami chłopcy. Chino był ich niekwestionowanym przywódcą. Kiedy kazał im ruszać, ruszali. Kiedy kazał odejść, odchodzili. Byli całkowicie posłuszni. Z podziwem obserwowali jego agresję i gniew, jakby nie był człowiekiem, lecz burzą w ludzkiej postaci<sup>397</sup>.

Już wtedy ubierał się i zachowywał jak chłopiec. Nazywali go Jason. Wiedzieli, że „biologicznie” jest kobietą, ale traktowali go jak mężczyznę, a on starał się zawsze być dwa razy odważniejszy od nich, by tę męskość podkreślić. Nigdy nie kazał swojej ekipie robić czegoś, czego sam by nie zrobił: zawsze brudził również swoje ręce. Jeśli ekipa musiała zaatakować, on robił to jako pierwszy. A czasami trzeba było atakować.

Załoga stanowiła część większej sieci zwanej Brooklyn’s Most Wanted, która kontrolowała odcinek między Trzydziestą i Czterdziątą Ulicą w Flatbush. Chino dostawał narkotyki od Petera, dwudziestokilkulatka z tego samego kwartału, przed nim też odpowiadał. Peter zaczął Chino, gdy ten miał trzynaście lat. Spytał go, czy chciałby zarabiać dużo pieniędzy. Bierzesz woreczki, sprzedajesz na rogu, dostajesz do pięciuset dolarów tygodniowo – tłumaczył. Potem wszyscy już wiedzieli, że Chino jest chroniony przez Petera, który był jednym z trzech lub czterech największych dealerów między Ulicą a Flatbush. To oznaczało, że Chino ma władzę, szacunek i nazwisko, a także tyle wolności, na ile mógł w życiu liczyć.

I pieniądze. Chodził za nie do kina, fundował jedzenie kumplom, kupował ubrania, które wkładał tylko raz. Spędzał też dużo czasu na Coney Island, jeżdżąc rollercoasterem albo grając w Mortal Kombat.

Żeby bezpiecznie prowadzić takie życie, trzeba wzbudzać strach. Jak już dowiedzieliśmy się z historii Rothsteina, nie można pójść na policję, by

z jej pomocą chronić swój towar i biznes. Trzeba go bronić osobiście, pistoletem i testosteronem. Jeśli choć raz się złamiesz i okażesz odrobinę współczucia, mówił mi Chino kilka lat później, „każdy cię, kurwa, obrobi. [...] Wejdą na twój teren, przejmą twój kwadrat, zrobią ci wszystko, co zechcą. Musisz być popierdolony, żeby przetrwać w tym popierdolonym schemacie. [...] Musisz być brutalny, żeby inni nie byli brutalni wobec ciebie. [...] To ty dajesz przykład. Wykorzystujesz do tego innych ludzi. W niektórych przypadkach to jest konieczne i całkowicie uzasadnione. W wielu innych nie”.

Więc ekipa strzelała do drzew i w powietrze, zabijała zwierzęta. Czasami Chino strzelał w kierunku ludzi – konkurencyjnych ekip, które musiał wystraszyć. Mówi, że jego kule nigdy w nich nie trafiły. Mówi też, że są rzeczy, o których nie może powiedzieć nikomu.

Czasami broń się zacinała, a wszyscy bali się ją odblokować. Wszyscy prócz Chino.

– Odbezpieczałem sukę, wyjmowałem nabój, wsadzałem go z powrotem do magazynka, a magazynek do pistoletu – opowiadał.

Dwa spośród konkurencyjnych gangów noszą nazwy Autobots i Decepticons, bo tak nazywały się popularne w tamtym czasie zabawki w kształcie transformersów, którymi wciąż się bawili. Te dzieci-żołnierze żyły w świecie wykreowanym w ich umysłach przez telewizyjne kreskówki, hip-hop i politykę państwa, która oddała w ich ręce kluczową pozycję w łańcuchu dostaw jednego z największych przemysłów na świecie.

Pewnego razu do kwartału Souls of Mischief przyszło kilku starszych mężczyzn, którzy chcieli przejąć ich teren. Chino tak zapamiętał to spotkanie: „Przyszło paru kotów. [...] Paru starszych kotów. [...] Przyjeliśmy ich, paliliśmy z nimi, śmialiśmy się z nimi. Próbowali zrobić z nas synków [czyli traktować ich jak dzieci, jak swoich synów – przyp. aut.], mówić nam, co mamy robić, jakbyśmy nie mieli własnego terenu. Potem jeden z nich i mój żołnierz o coś się posprzecjali, i nim się obejrżeli, dobraliśmy się im do dupy. [...] Naskoczyliśmy na nich [...] i spuściliśmy im wpierdol. Biliśmy ich butelkami, koszami na śmieci, a potem powiedzieliśmy im, żeby tu więcej nie wracali, i pozwoliliśmy im uciec”.

O potrzebie obrony swojej nastoletniej ekipy przed starszymi agresorami Chino mówi: „To prawie tak jak w świecie zwierząt, dla nas to właściwie to samo. [...] Myśleli, że są większymi, starszymi lwami. [...] Ale my

niekoniecznie jesteśmy lwami, raczej stadem hien. Jeśli chcesz grać zgodnie z zasadami królestwa zwierząt, musisz wybrać odpowiednie zwierzę”.

W jego okolicy przemoc była czymś normalnym. W 1993 roku mieszkaniec Flatbush powiedział dziennikarzowi: „Jeśli przez dłuższy czas nie słyszysz strzałów, dziwi cię cisza”<sup>398</sup>.

Chino musiał uciekać się do przemocy nie tylko po to, by trzymać w ryzach konkurencyjne gangi, ale i własnych żołnierzy. Numer drugi w ekipie, jego prawa ręka, nazywa się Smokie, pochodzi z Jamajki i mieszka przy tej samej przecznicy. Pewnego razu Smokie wdał się w bójkę z członkami Cripsów – jednego z największych gangów w Stanach Zjednoczonych – przed domem Chino, bo chciał dać im do zrozumienia, że to wyłącznie teren Souls of Mischief: oni tu rządzą i domagają się szacunku.

– Kto się, kurwa, wydziera w moim kwadracie? – spytał Cripsów.

– Koleś, przecież ty dopiero, kurwa, od ziemi odrosłeś – szydzili.

Chino zrozumiał, że Smokie podjął walkę, której nie mógł wygrać. Obrażali go i było ich więcej, Chino musiał więc wkroczyć do akcji. Wiedział, że w takiej sytuacji „nie ma miejsca na dyplomację, to by oznaczało, że jesteś pierdolonym mięczakiem”.

Kazał Smokiemu wyjąć nóż i pociąć ich, by dowieść, że nikt nie może zadzierać z tą ekipą ani wkraczać na jej teren. Ale przeciwnicy zareagowali na to śmiechem i zerwali złoty łańcuch z szyi Smokiego. Chłopak spanikował i uciekł.

Chino wiedział, że ta sytuacja może się okazać zgubna dla jego ekipy i jej reputacji. Skoro zdołali upokorzyć jego zastępcę, to następnym razem upokorzą jego i przejmą ich teren. Zostanie bez niczego. Carolyn powiedziała kiedyś o Arnoldzie: „Nigdy nie omieszkał ukarać kogoś, kto ośmielił się zakwestionować jego wszechwiedzę”<sup>399</sup>. Chino musiał być równie stanowczy. Jego pitbull warczał na napastników, ale nie mógł zrobić im większej krzywdy – miał serce do walki, lecz małe możliwości. Napastnicy wyczuwali, że się boi.

Chino wyjął nóż. Musiał im pokazać, że w razie potrzeby nie zawaha się go użyć.

Nagle otrzymał potężny cios, a świat rozmył mu się przed oczami. Dowiedział jednak tego, na czym mu zależało: jego ekipa nie złęknie się gróźb

i nie będzie uciekać. Będzie walczyć, nawet jeśli oznacza to starcie jednej dziewczyny z dwoma chłopakami.

Teraz Chino musiał rozprawić się ze Smokiem. Naraził ekipę na niebezpieczeństwo, a potem zniknął. Gdy po wszystkim chłopak wrócił do Chino, twierdził, że pobiegł po pistolet, by ich obronić. Chino nie mógł jednak pozwolić na taką dezercję, nie tutaj. Ekipa zaprowadziła Smokiego do pobliskiego parku i oblała wodą jego koszulę. Potem Chino zdjął pas i wymierzył chłopcu trzydzieści jeden uderzeń. Tak wyglądała standardowa, pierwsza faza kary za tchórzostwo. Potem przyszedł czas na fazę drugą – Smokie musiał odnaleźć przeciwników i pociąć jednego z nich. Chłopak ruszył w drogę, ale wtedy wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Nie pociął rywala. Sterroryzowany, obolały i podjarany, szukał jakiegokolwiek obiektu ataku – i w końcu pokaleczył jakiegoś starszego faceta w sklepie, czego Chino wcale nie chciał. Wkrótce Smokie trafił z powrotem do więzienia. Chino był wściekły: chciał, by jego zastępca udowodnił, że ich ekipa jest silna i nikt nie powinien z nimi zadzierać, zabierać ich narkotyków albo kpić z nich. Atakując staruszkę, Smokie sprawił, że „wyszli na jeszcze słabszych”.

Właśnie taką kruchą równowagę terroru Chino musiał utrzymywać każdego dnia. Dla niego wojna narkotykowa nie była przenośnią, lecz realnym polem bitwy, na którym się budził i spał. Jak sam wyjaśnia: „Mogę żyć ze złamanym sercem, ale nie mogę pozwolić, by inni myśleli, że jestem słaby. Nie mogę z tym żyć, i to całkiem dosłownie, [...] [bo inaczej] przyjdą po mnie”.

Po spotkaniach z Chino przeglądałem badania naukowe i opisy rynku narkotykowego, by przekonać się, jak pasują do nich opowiadane przezeń historie.

Powoli zacząłem dostrzegać ukryty pod powierzchnią tego zjawiska schemat. Kiedy słyszymy o „przestępstwie powiązanim z narkotykami”, wyobrażamy sobie, że ktoś się odurzył i zabijał ludzi. Zakładamy, że przemoc jest skutkiem zażywania narkotyków. Okazuje się, że w rzeczywistości to tylko drobny ułamek zbrodni narkotykowych. Ogromną większość stanowią przestępstwa opisywane przez Chino – związane z utrzymaniem i obroną terytorium na nielegalnym rynku, z wyrabianiem sobie reputacji człowieka nieobliczalnego i przerażającego, by nikt nie próbował zabrać twojego towaru albo terenu.

Profesor Paul Goldstein z Uniwersytetu Illinois przeprowadził szczegółowe badania i wraz ze swym zespołem przeanalizował wszystkie morderstwa powiązane z narkotykami, jakich dokonano w 1986 roku w Nowym Jorku. Okazało się, że siedem i pół procent zabójstw popełnili ludzie, którzy zażyli wcześniej narkotyki, a ich zachowanie uległo zmianie. W około dwóch procent przypadków mordercami byli narkomani, którzy chcieli coś ukraść, by zdobyć środki na narkotyki, lecz kradzież przerodziła się w zabójstwo. Ponad trzy czwarte morderstw – zdecydowana większość – było wynikiem ataków opisywanych przez Chino<sup>400</sup>. Nie były to więc zbrodnie spowodowane narkotykami, tak jak przestępstwa Al Capone nie były spowodowane alkoholem. Goldstein wykazał jasno, że ich bezpośrednią przyczyną była prohibicja narkotykowa.

Tak jak wojna z alkoholem powołała do życia uzbrojone bandy, które walczyły między sobą o kontrolę nad handlem wódką<sup>401</sup>, tak wojna z narkotykami zrodziła gangi walczące równie zacięcie o dominację na rynku narkotykowym. Z analiz National Youth Gang Center [Krajowe Centrum ds. Gangów Młodzieżowych] wynika, że grupy pokroju Souls of Mischief odpowiadają za dwadzieścia trzy do czterdziestu pięciu procent sprzedaży narkotyków w Stanach Zjednoczonych<sup>402</sup>.

Pewnego popołudnia rozmawiałem o tym z Chino, który skinął potakująco głową. Wyjaśnił, że gang nie istnieje tylko po to, by sprzedawać narkotyki. „To daje gangowi znacznie większą władzę. Masz dostęp do pieniędzy, możesz kupować broń, być ekstrawagancki, odgrywać grubą rybę. Ciuchy, biżuteria”. Gang – oraz przemoc konieczna, by się w nim znaleźć – jest atrakcyjny głównie dlatego, że kontroluje jeden z nielicznych dochodowych interesów w okolicy.

Jednak w wieku szesnastu lat Chino złamał jedną z podstawowych zasad handlu narkotykami, rozślawioną przez Biggie Smallsa – nie zażywaj własnego towaru. Żeby to zrozumieć, musiałem cofnąć się wraz z Chino do początków jego historii.

Chino zawsze intrygowała pewna zagadka dotycząca jego matki. Nie ukrywała, że jest lesbijką, więc jak to się stało, że zaszła w ciążę – i to z policjantem, przedstawicielem gatunku, którego miała prawo szczególnie nienawidzić?

Poznał odpowiedź, gdy miał trzynaście lat. Podzielił się swoimi rozterkami z ciotką Rose, która opowiedziała mu, bez emocji, całą historię.

W 1980 roku matka Chino, Deborah, została zgwałcona przez jego ojca Victora. Deborah była czarnoskórą narkomanką, a Victor białym policjantem, który przyszedł ją aresztować. Chino jest więc dzieckiem wojny narkotykowej w najczystszyznym znaczeniu tego pojęcia. Został poczęty na polu walki.

Chino wiedział już co nieco o życiu swojej matki. Teraz mógł odtworzyć je w całości, łącząc swoje wspomnienia i strzępy podsłuchanych rozmów dorosłych. Deborah została porzucona przez swoją biologiczną matkę w szpitalu tuż po urodzeniu – być może dlatego, że jej matka również była narkomanką i wkrótce miała trafić do więzienia. Dziecko zostało adoptowane przez daleką krewną, Lucille Hardin, starszą i konserwatywną czarnoskórą kobietę, która przyjechała do Nowego Jorku z Południowej Karoliny i zarabiała na życie, szyjąc biustonosze. Pani Hardin niewiele mówiła o dzieciństwie spędzonym na rasistowskim Południu, wspominała tylko z dumą, że nigdy nie służyła białemu człowiekowi, a w czasie II wojny światowej pracowała przy linii montażowej, wspomagając swój kraj.

Lucille Hardin wychowywała Deborah jak własne dziecko, uwielbiała ją i traktowała jak małą lalkę. Jednak, co było rodzinną tajemnicą, kiedy Deborah przechodziła okres dojrzewania, została porwana przez kilku mężczyzn, którzy dokonali na niej zbiorowego gwałtu. Nigdy już nie była taka sama. Nikt nie znał szczegółów tej historii ani nie wiedział, kiedy zaczęła koić ból za pomocą heroiny. Pani Hardin kilkakrotnie opłacała jej kurację odwykową, ale dziewczyna szybko wracała do nałogu. Była już tak mocno uzależniona, że na początku lat osiemdziesiątych zaczęła korzystać z pierwszej fali cracku, który pojawił się na rynku.

Deborah wynosiła z domu wszystko, co się dało, byle tylko dostać od miejscowych gangsterów następną dawkę. Jej adopcyjna matka często musiała wzywać do niej policję. Przy jednej z takich okazji, gdy Deborah miała dwadzieścia dwa lata, w jej domu pojawił się Victor.

Wiele lat potem Chino opisuje noc swojego poczęcia z kontrolowaną złością. Policjanci gwałcą bezkarnie, bo: „kto uwierzy narkomance, prawda? Kto uwierzy osobie, która jest uzależniona i robi wszystko, by zdobyć narkotyki? Kto uwierzy kobiecie, która połowę dorosłego życia spędziła w więzieniu?”. Victor wszedł do pokoju, w którym Deborah mieszkała od urodzenia, a który później miał się również stać pokojem Chino. Nikt nie wie, co się stało potem. Rose powiedziała Chino, że to był

gwałt, bo powiedziała jej to też Deborah. Wiele lat później Chino będzie się nad tym zastanawiał:

– Może. Nie wiem. Myślę, że on rzeczywiście zgwałcił moją matkę. Ale myślę też, że może był to jakiś rodzaj prostytucji. A może zapłaciła seksem za wolność.

– Często się to wtedy zdarzało?

– Często zdarza się teraz – odpowiedział w 2012 roku.

Deborah zaczęła rodzić w barze. Wylądowała w szpitalu odległym zaledwie o kilka przecznic od miejsca, gdzie zmarł Arnold Rothstein. Chino urodził się z poważną chorobą krwi, ważył zaledwie nieco ponad dwa kilogramy i miał cienką warstwę skóry na oczach. Lekarze mówili, że to skutek zażywania narkotyków podczas ciąży przez jego matkę. Przypuszczali, że Chino jest niewidomy i umysłowo chory.

Podobnie jak jej matka, Deborah natychmiast porzuciła swoje dziecko – a ta sama pani Hardin, teraz już sześćdziesięciolatka, wzięła je do siebie i wychowywała jak własnego potomka. Była surową babcią: wychowała się w miejscu, gdzie niegrzecznym dzieciom kazano iść do lasu i wybrać gałąź, którą dostaną lanie. Nazywało się to „szukaniem różgi”. Jednocześnie miała już swoje lata i coraz trudniej przychodziło jej zdyscyplinować i zrozumieć małe dziecko.

Chino mówił do pani Hardin „mamo”. Od czasu do czasu zabierano go w jakieś dziwne miejsce na spotkanie z Deborah. Widział tylko, że to niska, chuda kobieta, która nosi męskie ubrania i ma taki sam uśmiech jak on. Jak sam później mówił, „Deborah była wyłącznie moją matką biologiczną”. Jednak jakaś część duszy Deborah nigdy nie zapomniała o dziecku i tęskniła za nim. Pewnego dnia kobieta pojawiła się w Flatbush, wzięła małego Chino za rączkę i zabrała ze sobą, by choć raz był jej. Ukrywali się przez kilka dni, nie zdradzając nikomu miejsca pobytu. W końcu policjanci znaleźli ją w motelu. Powiedzieli, że szukają „córkę Victora”.

Okazało się, że przez wszystkie te lata Victor obserwował z oddali swoje dziecko, a gdy zostało porwane, jego koledzy po fachu pomogli je odszukać.

Kilka lat później Deborah znów go zabrała. Chino pamięta, że bawił się wtedy domkiem dla lalek z jakąś dziewczyną i jadł chipsy, gdy nagle kobieta, której Deborah była winna pieniądze, wzięła go za rękę i zaprowadziła do sąsiedniego pokoju. Chino zobaczył ostrze z mosięzną rękojeścią w kształcie kastetu. Dopiero po latach uzmysłowił sobie, że



trafili wtedy do meliny narkomanów. Kobieta próbowała włożyć ostrze do pochwy Chino. Dzieciak uderzył ją zabawką i zaczął krzyczeć najgłośniej, jak potrafił. Deborah wpadła do pokoju i zobaczyła, co się dzieje. Wraz ze swoją przyjaciółką zaciągnęły kobietę na dach meliny i zaczęły ją bić. „Nie wiem, czy przeżyła. Ale pamiętam, że było tam pełno krwi, a ta kobieta się nie ruszała” – wspomina Chino.

Ośmioletni dzieciak czuł się wtedy szczęśliwy. Wydawało się, że w tamtej chwili matka najwyraźniej okazała mu swą miłość.

Później Deborah pojawiała się co jakiś czas w życiu Chino, ale robiła to niezbyt często i zwykle było naćpana. Dlaczego wracała?

– Myślę, że okoliczności, w jakich żyła, nie pozwalały jej matczynej miłości w pełni rozkwitnąć – zastanawiał się Chino. – Ziarno się przyjęło, wyrosło z ziemi, ale nigdy nie zrodziło żadnych owoców.

Zawsze wolał zabawki dla chłopców, szczególnie figurki G. I. Joe. Lubił też zabawkowy piekarnik, który dostał w prezencie, bo mógł w nim topić głowy figurek. „Babcia musiała wciskać mnie siłą w sukienki” – wspomina. Mniej więcej odkąd skończył osiem lat, zaczął zaczesywać włosy do góry, żądał, by mówiono doń Jason, i wkładał sobie skarpetki do majtek. Kiedy babcia spytała go, dlaczego to robi, odparł: „Bycie dziewczyną jest do dupy”. „W moim życiu rzeczywiście takie było” – dodaje.

Deborah była pierwszą osobą, która uderzyła Chino w twarz. Kiedy miał dwanaście lat, znalazł matkę śpiącą w krzakach za domem. Był zawstydzony i wściekły – każdy mógł ją tu zobaczyć, bezdomną, brudną, obnoszącą się ze swoją homoseksualnością – więc oblał ją wodą z węża. Wydawało mu się, że zdąży uciec do domu, nim Deborah wstanie i go dogoni, ale się przeliczył. „Walnęła mnie jak Mike Tyson” – wspomina po latach.

Chino nauczył się uderzać pierwszy, gdy w pobliżu pojawiała się jego matka: kiedyś zrzucił na nią doniczkę z okna i rozbił jej głowę. Kiedy indziej trafił w Deborah nożyczkami i rozciął jej palec, więc następnego dnia złapała go po szkole i znów pobiła. Mimo to Chino czasami szukał Deborah – w parku, na ławkach, na rogu, gdzie mogła szukać pracy – bo za nią tęsknił. Zwykle nie mógł jej znaleźć.

Mniej więcej w tym czasie w Stanach Zjednoczonych odkryto nową chorobę zakaźną, przenoszoną przez krew. Ludzie, którzy trafiali do szpitali, padali z wycieńczenia. Choroba miała dziwne objawy, przypominała gwałtownego, szybko uśmiercającego raka.

Naukowcy szybko się zorientowali, że najbardziej narażeni są geje i narkomani używający wspólnych strzykawek i igieł. Radzili, by jak najszybciej rozdawać narkomanom czyste igły. Glasgow – gdzie ten problem był szczególnie duży – wprowadziło to rozwiązanie jako jedno z pierwszych miast na świecie. W rezultacie mniej niż dwa procent tamtejszych narkomanów zaraziło się HIV<sup>403</sup>. W Nowym Jorku nie zgodzono się na rozdawanie igieł. W rezultacie w 1992 roku pięćdziesiąt procent narkomanów z tego miasta było nosicielami wirusa – wśród nich znalazła się również Deborah. Gdy w końcu władze ustąpiły, liczba nowych zarażeń spadła o siedemdziesiąt pięć procent<sup>404</sup>. Dla Deborah było już za późno. Co więcej, ludziom, którzy wcześniej próbowali rozdawać czyste igły, grożono aresztem<sup>405</sup>.

Chino zachował w sumie jakieś dziesięć wspomnień dotyczących biologicznej matki. Połowa z nich była smutna i brutalna, połowa dobra. Pewnego razu pojawiła się w domu Chino i ukradła mu szkolne ubrania, żeby je sprzedać. Kiedyś poszli razem na łyżwy, kiedy indziej wybrali się na Coney Island i wsiedli razem do kolejki górskiej, a Deborah przez cały czas trzymała go za głowę. Byli też w kinie na *What's Love Got to Do with It?* – filmie biograficznym o Tinie Turner. Innym razem rozmawiała z Chino o tym, jak są ze sobą spokrewnieni i kim była jej biologiczna matka. Gdzieś między kolejnymi spotkaniami Deborah powiedziała Chino, że ma AIDS, ale dzieciak nie do końca wiedział, co to znaczy.

Pewnego razu, kiedy miał dwanaście lat, Chino odwiedził Deborah w szpitalu psychiatrycznym. Przyniósł jej knyszę, jej ulubioną potrawę. Deborah wciąż go wypytywała, z kim uprawia seks. Chino tłumaczył, że z nikim, lecz matka nie dawała za wygraną. Później zrozumiał, że próbowała nim pokierować, dać mu radę dotyczącą jedyne go tematu, o którym coś wiedziała, świadoma, że zostało jej niewiele czasu.

Podczas ostatniej wizyty w domu, pomiędzy kolejnymi pobytami w więzieniu, Deborah oznajmiła, że odnalazła Jezusa. Miała wtedy na sobie sukienkę. Chino nie przypominał sobie, by kiedykolwiek wcześniej widział ją w sukience. Miała chłopaka, prawdziwego dupka, którego Chino nie cierpiał – ale cieszył się, że przynajmniej, po raz pierwszy odkąd pamiętał, jego biologiczna matka nie faszeruje się narkotykami.

Ten stan nie trwał długo. Pewnego dnia, gdy Chino wrócił do domu, matka gorączkowo przeszukiwała wszystkie kąty, zaglądała w dziwne miejsca, wypatrując czegoś bliżej nieokreślonego. Była przekonana, że coś

kryje się w grzejniku. Miała zabrać Chino do kina, ale najwyraźniej była pod wpływem cracku. Chwilę potem wybiegła z krzykiem na ulicę i zniknęła w oddali. Chino już chciał za nią pobiec, ale pomyślał: „Nie, kurwa, nie będę za nią biegał. Mam już dość szukania jej po krzakach. Jak chce, to niech sobie idzie”.

Wieczorem odebrali telefon ze szpitala. Chino i pani Hardin poszli odwiedzić Deborah. Leżące na szpitalnym łóżku ciało, podłączone do różnych rurek i aparatów, wydawało się Chino nieznajome. Nabrzmiące, wyglądało, jakby już wypełniono je płynem balsamującym. Jej twarz i dłonie były spuchnięte i zniekształcone. Pielęgniarki powiedziały, że Deborah próbowała obrabować kobietę w autobusie, a potem została pobita przez policjantów, którzy przyjechali ją aresztować. Miała wodogłowie, a jej wątroba była zniszczona. Deborah już nigdy się nie ocknęła. Zmarła w wieku trzydziestu trzech lat. Na pogrzebie chłopak Deborah uśmiechnął się drwiąco do Chino: „No i co, będziesz teraz za nią płakał?” – zapytał.

Wkrótce potem Chino znalazł swoje miejsce na rogu ulic i zaczął sprzedawać crack. A po trzech latach, gdy miał szesnaście lat, po raz pierwszy zapalił swój towar. „Chciałem wiedzieć, co wybrała zamiast mnie” – powiedział mi kilka lat później.

Chino trafił po raz pierwszy do zakładu zamkniętego, gdy miał trzynaście lat. Wysłano go do Spofford Juvenile Detention Facility, schroniska dla nieletnich w Bronksie. Była to kara za „wpierdol”, który spuścił innym nastolatkom na ulicy, bo „podstawową emocją dealera musi być złość, a podstawowym odruchem zemsta”.

Ze ścian schroniska odchodziła płatami farba, w powietrzu unosił się zapach stęchlizny. Wszędzie panowała duchota, trudno było w ogóle oddychać. Nikt nie pytał go, jak się czuje. Nikt nie próbował z nim rozmawiać o tym, dlaczego tu trafił. Pracownicy schroniska nie byli agresywni ani niemili, lecz zupełnie obojętni. Traktowali dzieciaki jak przedmioty na taśmie, które mieli pobieżnie zbadać. Jak ujął to Chino, zamiast butelek czy butów towarem na tej linii byli ludzie. Chorujesz na coś? Jesteś seksualnie aktywny? Następny.

W tym dziecięcym więzieniu można było oglądać telewizję, oglądać telewizję albo oglądać telewizję. Aha, można było jeszcze grać w piki. Chino wspomina to następująco: „Nie mogę powiedzieć, że czułem się tam samotny. To było coś więcej. Czułem się jak zwierzę. [...] Kiedy idziesz do

więzienia, nie musisz się troszczyć o portfel czy biżuterię, ale o swoje człowieczeństwo”.

Powoli uczono go, że życie to seria napadów i strzelanin przerywana okresami nudy.

W więzieniu „przez zwykłe ludzkie odruchy możesz sobie narobić niezłych kłopotów. [...] Na przykład taka, kurwa, prosta sprawa: jeśli jesteś u siebie w domu, a ktoś puka do drzwi i pyta: »Mogę pożyczyć trochę pasty do zębów? Albo szklankę cukru?«, myślisz: czemu nie? Przecież to tylko pierdolony cukier. Kogo to obchodzi? Bierz, kurwa, wszystko... W więzieniu tego nie robisz. Nie możesz, bo jak raz otworzysz, potem nie będziesz mógł zamknąć. Ludzie pomyślą, że jesteś śmieciem i że mogą ci wszystko zabrać. To się nazywa przyjacielskie wymuszenie. Wygląda to mniej więcej tak: »Wiem, że chcesz mi to dać, tak? Wiem, że chcesz mi dać paczkę fajek«. W ten sposób facet ci grozi, choć nie mówi otwarcie, że jeśli mu tego nie dasz, dostaniesz w ryj. [Ale] ja się bałem... jako dziecko, bo byłem wtedy dzieckiem. Bałem się nieznanego. Tego, co przyniesie następny dzień”.

Pewnego razu, gdy miał szesnaście lat i znów trafił do więzienia, doszedł do wniosku, że to musi się skończyć. Nie mógł dłużej tego znieść. Nie mógł znieść długiego procesu przemiany w swoją matkę, wymazywania swojej egzystencji dzień po dniu.

Lepiej zrobić to raz, a dobrze.

Splótł szubienicę ze sznurówek. Zawiązał je podwójnie, by dobrze się zacisnęły, ale nie rozwiązały.

Przywiązał je do kraty.

I skoczył.

I wtedy ta pierdolona sznurówka się poluzowała, uratowała mu życie, a on pomyślał: Co ze mnie za pierdoła, nawet tego nie potrafię dobrze zrobić. Spróbował ponownie, kiedy wyszedł – przedawkował tabletki nasenne, dwa razy, ale zrobili mu płukanie żołądka i wypuścili.

Rikers Island to ogromna betonowa forteca w cieśninie East River, zawieszona na wodzie między Queens i Bronxem. Więzienie, w którym przebywa ponad czternaście tysięcy osób, stało się drugim domem dla Chino i jego ekipy, podobnie jak wcześniej dla kilku pokoleń nastolatków z ich dzielnicy. Działo się jednak coś dziwnego – związane z narkotykami zarzuty wobec Chino stałe znikwały. Aresztowano go i oskarżano, lecz potem

dokumenty ginęły. „Jeśli przejrysz moją kartotekę – mówił Chino – okaże się, że wiele razy nawet nie widziałem sędziego, a wypuszczali mnie z sądu tylnymi drzwiami. Wypuszczali mnie też z komisariatu. Miałem takie zarzuty, że po prostu trudno zrozumieć, dlaczego mnie zwalniali”.

Bez wątpienia miał wyjątkowe szczęście. Jeśli jesteś dealerem ulicznym w Dystrykcie Kolumbii – miejscu o podobnym składzie demograficznym i liczbie narkomanów jak we wschodnim Brooklynie – statystycznie co roku masz dwadzieścia dwa procent szans na to, że trafisz do więzienia<sup>406</sup>. Lecz Chino handlował narkotykami już niemal od dekady i ani razu nie został za to skazany: zawsze były to inne przestępstwa. Niektórzy członkowie jego ekipy zaczęli podejrzewać, że jest kapusiem, lecz gdyby rzeczywiście nim był, wcześniej czy później podczas procesu pojawiłyby się jakieś dowody, a nigdy się tak nie stało. Chino był zaintrygowany – dlaczego inni, a on nie?

W końcu znalazł rozwiązanie tej zagadki. Victor go szukał, gdy Chino był jeszcze dzieckiem. Victor wysłał swoich kumpli na poszukiwania, gdy Chino został porwany przez Deborah. Teraz, gdy był już nastolatkiem, Victor czuwał nad nim z oddali i starał się, by jego koledzy „gubili” zarzuty związane z narkotykami gdzieś w otchłani swych szafek – a przynajmniej tak sądził Chino.

Czy to kolejny dowód na korupcję panującą w policji, czy też Chino tak bardzo chce wierzyć, że jego ojciec-gwałciciel kocha go mimo wszystko i dla jego dobra wykorzystuje luki i wady systemu prawnego?

Spotkał się z Victorem tylko raz. Miał kilkanaście lat, gdy jeden z jego kuzynów powiedział mu, że Victor chce się z nim zobaczyć. Miał czekać na niego o określonej godzinie na rogu Nostrand i Church w Brooklynie. Chino poszedł na umówione miejsce, a wtedy Victor podjechał do niego na wózku inwalidzkim. Okazało się, że kilka lat wcześniej został postrzelony w kręgosłup i był sparaliżowany od pasa w dół. Mimo to Chino zauważył, że Victor tak samo jak on wiąże włosy w kucyk. Potem dostrzegł również, że nosi skórzane rękawiczki z obciętymi palcami, jak jego matka. Nie chciał jednak słuchać tego, co Victor miał mu do powiedzenia.

– Czego chcesz? – spytał Chino.

– Chcę cię poznać.

– Trzeba było o tym pomyśleć, zanim zgwałciłeś moją matkę i zanim odszedłeś z mojego życia – odparł.

Mimo to Victor mówił dalej, przeskakując z tematu na temat. Powiedział, że jego matka była drobna i miała duży biust, jak Chino. Że jego dwaj synowie zginęli w katastrofie lotniczej. Wydawał się na wpół obłąkany. „Traktował mnie tak, jakby łączyła nas jakaś bliska więź” – opowiadał Chino. Jakby spotykał się i rozmawiał z nim od lat. Chino nie chciał go słuchać. Odszedł, zostawiając go samego. Kilka lat później ktoś mu powiedział, że Victor umarł. Nie poszedł na pogrzeb.

Piętnastoletni Chino odkrywał w East Flatbush coraz nowsze i coraz zuchwalsze przestępstwa. Jego ekipa przekonała się, że potrafi skutecznie współpracować i zajmować się czymś więcej niż tylko sprzedażą narkotyków: prohibicja okazała się bramą do napaści i rabunków. W więzieniu poznawali nowe rodzaje przestępstw i nowe techniki, a potem, uzbrojeni w tę wiedzę, wracali na ulice. Okradali łodzie i jachty w porcie, zabierali z nich flary i sztormiaki. Próbowali uruchamiać silniki na jachtach, a gdy im się to udawało, Chino mówił ze śmiechem: „Skoro już to odpaliliśmy, to dokąd, kurwa, popłyniemy? No dobra, żartowałem”. Kradli też samochody i bili ludzi.

Najlepszy przyjaciel Chino z tamtego okresu Jason Santiago powiedział mi, że przynależność do gangu była dlań „emocjonalną zbroją”. Kiedy masz przy sobie broń, a z głośników leci muzyka Tupaca, „jesteś nietykalny”. Nie można cię zranić. Ta gangsterska poza kształtuje człowieka na dwa sposoby. Musisz pozować na twardziela, żeby inni cię nie zaczepiali. Ale musisz też być twardy, by przekonać samego siebie, że możesz codziennie wychodzić na miejskie pole bitwy i przetrwać.

Chino robił to samo, co chłopcy – a więc, podobnie jak oni, miał też dziewczynę. „Musiałem mieć pewność, że zawsze uważają mnie za równego sobie, za faceta, a nie babkę. Robiłem to też dla własnego bezpieczeństwa – wspominał. – Im bardziej ich przypominałem, tym mniejsze było ryzyko, że zostanę wykorzystany, albo że będę musiał kogoś zabić”. A gdyby nie dbał o swoją reputację? „Prawdopodobnie by mnie zgwałcili. Albo zabili. Albo utknąłbym na dobre w więzieniu”.

Nie pozwalał, by ktokolwiek krytykował go za lesbijskie skłonności – bo tak go wtedy postrzegano. I rzeczywiście, ludzie za bardzo się go bali, by pozwalać sobie na cokolwiek poza luźnymi komentarzami rzucanymi na ulicy.

Gdy Chino prowadzał mnie po swoim świecie, wciąż wracałem myślami do tych elementów kultury getta, które ludziom z zewnątrz wydają

się dziwne i irracjonalne – takich jak obsesja na punkcie swojego terytorium czy nieustanne domaganie się „szacunku”. Po jakimś czasie zacząłem dochodzić do wniosku, że być może nie jest to wcale takie irracjonalne. Żyjąc w tym świecie, nie możesz zakładać, że prawo ochroni najcenniejszą część twojego majątku – zapas narkotyków – więc musisz robić wszystko, by ludzie okazywali ci szacunek i nie wkraczali na twoje terytorium. Zaczynałem rozumieć, że ta gospodarka może funkcjonować tylko w taki właśnie sposób – domagając się szacunku. Jeśli wystarczająco duża część lokalnej gospodarki działa według tych zasad, wcześniej czy później musi się nimi kierować cała okolica, także ludzie, którzy nie mają nic wspólnego z handlem narkotykami.

Jeden z kumpli Chino, chłopak o przezwisku File, utrzymywał kontakty z gangiem z Newport w stanie Virginia, który potrzebował nowych dostawców. Pojechali tam na negocjacje i właśnie wtedy – daleko od domu – Chino postanowił spróbować cracku. „Poczułem się dokładnie tak jak w chwilach, gdy chwytalem za broń i wpadałem w szal, a razem ze mną moje serce – to było czysto fizyczne doznanie. Wtedy serce wali jak młotem, bum-bum-bum... Jesteś strasznie nakręcony... To trwa tylko jakieś pięć minut, potem potrzebujesz następnego strzału i jeszcze jednego, i nim się obejrzysz, mijają, kurwa, cztery dni, wyglądasz strasznie, a rzeczy, które kiedyś były dla ciebie znacznie ważniejsze – jak mycie, czyszczenie zębów czy choćby jedzenie – tracą na znaczeniu, bo myślisz tylko o następnej dawce. Właśnie tak to wyglądało. Wyruszyłem w crackową misję” – opowiadał Chino.

Za pierwszym razem był w ciągu przez tydzień, pamięta, że musiał się kilka razy zdrzemnąć, ale nie kładł się w tym czasie do łóżka, nie zapadał w prawdziwy sen z fazą REM, nie odpoczywał – wtedy istniał dla niego tylko crack, mnóstwo cracku, i striptizerki, prostytutki, które ciągnęły do jego pokoju w hotelu, niekończąca się impreza, podczas której Chino robił to, co mężczyźni – pieprzył dziwki, bawił się i palił.

Arnold Rothstein był psychopata. Łatwo przychodziło mu odgrywać rolę pozbawionego zasad bandziora, którą podsunęła mu prohibicja. Chino powiedział mi pewnego popołudnia: „Jestem pewien, że kiedy ludzie to przeczytają, pomyślą, cholera, ten Chino był chyba socjopata”. Jednak gdy próbował wcielić się w postać Rothsteina, odkrył coś dziwnego i niepożądanego, co nie pozwalało mu wykonywać zadań związanych z jego funkcją w narkotykowym łańcuchu dostaw. Była to empatia.



Pewnego dnia podeszła do nich matka chłopca z jego ekipy i chciała kupić crack. Chino tak to wspominał: „Kiedy zobaczyłem minę tego chłopaka w chwili, gdy podeszła do nas jego matka... To nie było zakłopotanie. On czuł się zraniony. Czasami takie rzeczy widać gołym okiem”. Później dodał:

„Trudno nie współczuć komuś w takiej sytuacji. Rodzimy się z tym uczuciem [...]. Nie mogę normalnie pracować, bo czuję nie tylko to, co dzieje się ze mną, ale i to, co dzieje się z innymi ludźmi”.

Sprzedali jej crack. Ale trudno być Arnoldem Rothsteinem, gdy ma się sumienie.

Im bardziej docierała do niego bolesna świadomość tego, co robi, tym mocniej tłumił ją przemocą lub narkotykami. Chino nie był psychopata, lecz stworzony przez nas system prohibicji wymagał od niego, by wcielił się w taką rolę. Odurzał się więc i popadał w psychozę.

Pobyty w więzieniu nie był dla Chino czasem całkowicie zmarnowanym. W Spofford współwięzień nauczył go kraść samochody, a gdy potem został schwytany i osadzony w więzieniu, Chino nauczył się, jak być członkiem gangu Bloods i wspiąć się na całkiem nowy poziom gangsterstwa.

Początkowo jego współwięźniowie zakładali, że Chino jest Latynosem. W zależności od oświetlenia wyglądał na Afroamerykanina lub na Indianina, ale najbardziej przypominał Latynosa, więc latynoskie gangi próbowały zwerbować go do siebie. Chino nie znał jednak hiszpańskiego, nie odnajdywał się też w ich świecie.

Pewnego dnia zaczepiła go dziewczyna zwana L.A., która powiedziała mu, że może zostać przyjęty do Bloods – jeśli zechce się do tego przygotować. Chino dowiedział się, że Bloods to powstały na Zachodnim Wybrzeżu gang zrzeszający dawnych członków Partii Czarnych Panter i przejmujący jej rewolucyjne cele. Bloodsów nazywano „The bastards of the party” [Najgorsi skurwiele na imprezie] – przezwisko to było na tyle popularne, że powstał nawet film o takim tytule. Żeby zostać członkiem gangu, Chino musiał poznać jego historię i reguły etyczne, spisane i uporządkowane niczym kodeks praw. Nie okradasz swojego dostawcy. Nie kablujesz, jeśli złapie cię policja. Nie robisz popierdolonych rzeczy, kiedy nosisz symbole Bloodsów.

Za łamanie tych zasad grożą określone kary, od chłosty po śmierć.

Kiedy już Chino nauczył się wszystkiego, przystąpił do złożenia przysięgi, co obserwowało dziewięć członkiń gangu zgromadzonych w jednej celi. Przysięga zaczynała się od słów: „Blood jest gangsterem w czterystu dziesięciu procentach”. Teraz Chino był prawdziwym Bloodem, co wiązało się również ze zwiększonym bezpieczeństwem. Od tej pory, gdy przebywał w więzieniu, oddzielony od swojej ekipy, chronili go wszyscy inni członkowie gangu z tego więzienia.

Właśnie w więzieniu Chino po raz pierwszy się zakochał. Kiedy zobaczył dziewczynę o imieniu Nicole, poczuł ogromne pożądanie, ale umiał je wyrazić jedynie poprzez agresję i odrazę: nauczył się od matki, że tym właśnie jest miłość. Poszedł do celi Nicole i powiedział jej, że szefowa jej grupy jest ciotą gwałconą w dupę i że on ją zabije. Pewnego dnia dowiedział się, że jego dziewczyna z dzielnicy, z wolnego świata, została zgwałcona. Chino nie mógł jej chronić na odległość, zza krat, i był zrozpaczony. Nicole przyszła do niego i powiedziała, że jest jej przykro z powodu tego, co się stało. Nie mógł uwierzyć, że po wszystkim, co jej zrobił, może być dla niego taka miła. „To mnie zmieniło. Ten akt ludzkiego współczucia. Poszedłem do jej celi i zacząłem z nią rozmawiać. Przestałem się wygłupiać” – wspomina Chino.

Nicole wyszła na wolność i stracili ze sobą kontakt, ale skutki tego doświadczenia zostały z nim na zawsze.

Jednak ani Bloods, ani odkrycie miłości nie mogły ochronić go przed ludźmi, którzy z jego punktu widzenia tworzyli najgroźniejszy gang ze wszystkich – przed strażnikami więziennymi. Na Coney Island jeden z nich przy każdej okazji dokuczał Chino: „Chcesz być mężczyzną, ale nigdy nim nie będziesz. Jesteś zwykłą lesbą”. Chino nie pozostawał mu dłużny: „Dlaczego tak się mnie czepiasz, co? Dlatego że sam tak naprawdę nie jesteś mężczyzną?”.

Strażnik był szczególnie rozsierdzony, gdy Chino zaczął chodzić z jedną z najpiękniejszych kobiet w okolicy, striptizerką, którą będę tu nazywać Dee, by chronić jej tożsamość (w całej książce zmieniłem tylko dwa imiona – drugie pojawi się później). Chino nauczył się kochać dzięki Nicole i wydawało się, że teraz przychodzi mu to łatwiej. Potrafił to robić. Potrafił okazywać komuś uczucia, a to wkurzało strażnika, który pewnego dnia schwytał Dee, zaciągnął ją do pomieszczenia gospodarczego i zgwałcił. Ani Chino, ani sama Dee nie mogli nic zrobić.

Podszedłem do tej historii dość sceptycznie, gdy Chino opowiedział mi ją po raz pierwszy, ale potem zacząłem prowadzić badania na własną rękę. Kilka lat po incydencie opisanym przez Chino rządowe śledztwo przeprowadzone w tym kompleksie więziennym wykazało, że istnieje tam „głęboko zakorzeniona kultura przemocy” wobec nastolatków, co przejawiało się, między innymi, „zawrotną” liczbą obrażeń. Śledztwo nie obejmowało tej części więzienia, w której przebywał Chino, ale w raporcie napisano, że takie problemy mogą występować i tam „w podobnej skali”<sup>407</sup>.

Pewnego dnia Chino nie mógł już dłużej powstrzymać gniewu. Podszedł do strażnika-gwałciciela i powiedział mu, że jest pierdolonym tchórzem, który wyżywa się na słabszych, i że gdyby się odważył zaciągnąć Chino do schowka na miotły, to zostałby zgwałcony strażnik. Później, w akcie zemsty, strażnik kazał zamknąć Chino w karczerze. „Człowieka można skrzywdzić na różne sposoby: można go zranić fizycznie, można zadać mu ból psychiczny, ale najokrutniejszą i najniezwyklejszą torturą jest odizolowanie go od innych ludzi. To jest po prostu nie do zniesienia. Szczególnie, jeśli masz tyle demonów... To ciągnęło się bez końca” – mówił Chino. Zaczął osuwać się w świat fantazji, gdzie był bogaty i wolny.

Po powrocie na ulicę, jeszcze bardziej wściekły niż dotąd, Chino zaczął coraz częściej sięgać po crack. Jego przyjaciel Jason mówił, że gdy Chino palił, „po prostu go nie było. Przypominał dom, w którym palą się światła i gra radio, ale nikogo w nim nie ma. [...] Nie wpadał w szal, nie biegał nago po ulicach. [Był] przybity, trochę jakby oddalony. Zachowywał się jak robot. Jakby ktoś wyłączył jego duszę. Zero emocji”. Kiedy wychodził z ciągu, opowiada Jason, Chino popadał w „emocjonalne odrętwienie”, stan, w którym „nie był w stanie dotrzeć do własnych uczuć. [...] Wtedy niemal zawsze wypełniał go emocjonalny ból. [Jego babka] wyrzucała go z domu, dzień po dniu musiał sobie radzić z tym, że nie chciała go własna rodzina”.

Przez kilka następnych lat Chino żył w narkotykowym otępieniu. Wraz ze swoją ekipą dopuszczał się różnych przestępstw, handlował, siedział w więzieniu. Wysiadywał całymi dniami przed telewizorem. Zaczął wstrzykiwać sobie heroinę. Dzięki niej wszystko zwalniało, kiedy tylko tego potrzebował. Jedną z nielicznych rzeczy, które dawały mu nadzieję, był film Olivera Stone’a *Urodzeni mordercy*. „To chyba pierwszy film, jaki kiedykolwiek widziałem, w którym złym bohaterom wszystko uchodzi na sucho. W innych filmach źli zawsze na końcu umierają, chyba że to ktoś

w rodzaju Freddy'ego albo Jasona. Ale jeśli to zwykli mordercy, zawsze na końcu ich dopadają” – mówił. Ale w tym filmie „źli mają dzieci i żyją długo i szczęśliwie”.

Pewnego dnia po przebudzeniu uświadomił sobie, że jest zatrważająco chudy: „Wyglądałem jak jakaś pierdolona reklama Calvina Kleina. Nie mogłem już dłużej tego znieść”. Czuł, że czeka go los Deborah. Zaczynał rozumieć, że „matka walczyła nieustannie ze swoją traumą, z tym, kim jest, kim chce być. Cały czas. Jej demony były znacznie silniejsze niż narkotyki. Znacznie silniejsze niż więzienie. Nie wiem, co to konkretnie było. To były jej demony. Jestem pewien, że część z nich po niej odziedziczyłem i teraz są moje”.

Z dnia na dzień Chino postanowił rzucić wszystkie narkotyki oprócz marihuany. Zamieszkał u przyjaciółki, która pomagała mu zapanować nad głodem, sprzątała jego wymiociny i przynosiła wodę. „Teraz nie ma już we mnie emocjonalnego odrętwienia” – mówi.

I tak, wypełniony uczuciami – gwałtownymi strumieniami uczuć – zaczął się uczyć, czytać i myśleć. Zaczął pytać – czy jego życie zostało ukształtowane przez decyzję o wdrożeniu określonej polityki, której wcale nie trzeba było realizować i której nie trzeba kontynuować?<sup>408</sup>

Chino znów stał na nowojorskiej ulicy, przechadzał się nerwowo i trochę pocił. Przed nim kłębił się tłum złożony z ponad tysiąca ludzi, a obok niego stał członek Izby Reprezentantów. Wszyscy zebraliśmy się na Foley Square na dolnym Manhattanie w wiosenny dzień 2012 roku. Na sygnał Chino cały tłum, łącznie ze mną, pomaszerował za nim na One Police Plaza, do siedziby nowojorskiej policji. Chino maszerował zdecydowanym krokiem, patrząc prosto przed siebie. Gdy dotarliśmy na miejsce, słowa same zaczęły się wyrywać z jego gardła, a na napiętej szyi prężył się dumnie tatuaż z egipskim bogiem wiatru i wschodzącego słońca.

„Nie żądamy niczego niezwykłego – mówił. – Chcemy sprawiedliwości [...] Nie tylko na Upper West Side, ale i w Brownsville na Brooklynie! Nie tylko w ratuszu, ale i w Queens! [...] Wiemy, kto statystycznie pali najwięcej marihuany. Ci ludzie nie wyglądają jak ja. Nie wyglądają jak wy. Wyglądają jak [Michael] Bloomberg [ówczesny burmistrz Nowego Jorku]. Ale nie ponoszą przez to żadnych konsekwencji, nie są deportowani, nikt im nie odbiera domu ani pieniędzy”.

Tłum zaczął skandować razem z nim.

„Nie ma sprawiedliwości!” – wołał Chino.

„Nie ma pokoju!” – odpowiadał tłum. Krzyk zgromadzonych na placu ludzi odbijał się echem od siedziby policji, sięgał budynku Departamentu Sprawiedliwości. „Nie ma sprawiedliwości”. „Nie ma pokoju!”

Chino nazwał ten protest „Opowieścią o dwóch miastach”. Wszyscy, którzy tu przybyli, dobrze wiedzieli, że z narkotyków korzystają w równym stopniu mieszkańcy całego Nowego Jorku. Co więcej, dowody wskazują, że to biali nieco częściej używają narkotyków i sprzedają je<sup>409</sup> – lecz to w dzielnicy Chino króluje przemoc, tu walczą ze sobą gangi i tu organizuje naloty policja, podczas gdy w bogatszych, zamieszkanym przez większą liczbę białych dzielnicach nieliczni narkomani, którzy wpadną w ręce sprawiedliwości, chodzą wolno i mogą liczyć na kurację odwykową. Priorytety i uprzedzenia Harry’ego Anslingera wciąż mają się dobrze.

„To nasze społeczności są celem ataków” – mówił Chino do tłumu. „To nas się wyłapuje i wsadza do aresztu, żeby oni... – wskazał na siedzibę policji – mogli dostać nadgodziny. Bo wiemy, że tu chodzi o pieniądze i że robią wszystko, by zatrzymać je tutaj, w Nowym Jorku”. Na koniec demonstracji jej uczestnicy – biali, czarni i brązowi – usiedli na ulicy przed siedzibą policji, tworząc pokojową blokadę.

Chino opuścił ich wcześniej, by poprowadzić cotygodniowe zajęcia z nastolatkami z południowego Bronxu, którzy starali się trzymać z dala od gangsterskiego życia. Wskoczyliśmy do taksówki, przejechaliśmy przez Manhattan i zatrzymaliśmy się przed znakiem z napisem „No Exit”. Za nim, w bibliotece, czekały już nastolatki dorastające na takich samych narkotykowych polach bitew jak Chino.

– Nie lubię ludzi. Prawie nie wychodzę z domu. [...] Wystarcza mi własne towarzystwo – powiedziała piętnastoletnia dziewczyna. Kilka lat wcześniej na jej oczach chłopak został postrzelony w brodę. Wspomniała o tym bez emocji, prawie od niechcienia. Język jej ciała świadczył o tym, że kieruje wszystko do wewnątrz, jakby próbowała zamknąć się przed światem. Chino siedział obok niej i słuchał z uwagą. Nastolatek siedzący z drugiej strony dziewczyny zareagował inaczej. „Czuję, że mógłbym zabić człowieka, gdybym musiał” – powiedział, uśmiechając się z dumą i smutkiem jednocześnie.

Mniej więcej do dwudziestego pierwszego roku życia Chino uważał prawo dotyczące narkotyków za swego rodzaju siłę natury, równie nieodwołalną

i nieokiełznaną jak pogoda. Potem jednak zaczął stopniowo odkrywać, że coś, co pogrzebano wraz z Henrym Smithem Williamsem, uparcie pojawia się na nowo w ludzkich umysłach. Tym czymś jest myśl, że – jak to ujął – „nie ma w tym nic naturalnego”.

Ostatnim razem, gdy Chino wyszedł z Rikers, był zdziwiony, że udało mu się dożyć dwudziestu jeden lat. Nie spodziewał się tego ani on, ani wielu ludzi z jego otoczenia. Szukał pracy, która nie polegałaby na ciosaniu kamieni czy smażeniu burgerów, i wtedy właśnie dowiedział się o letnim stażu w lokalnej grupie społecznej, domagającej się zakończenia budowy sieci więzień w Nowym Jorku. Pomyślał, że byłoby to idealne zajęcie dla jego ówczesnej dziewczyny, zadzwonił więc, by wypytać o szczegóły, i wdał się w dłuższą rozmowę z przedstawicielami grupy, którzy od razu zaproponowali mu udział w stażu.

Mniej więcej w tym czasie zaczął czytać o źródłach amerykańskich praw i kar związanych z narkotykami – i odkrył coś, co go zadziwiło. Z czasem nabierał przekonania, że jego historia, historia Deborah czy historia Victora nie musiały wcale tak wyglądać. To nie był nieunikniony scenariusz. A jeśli nie musi się on jednak powtarzać w każdym pokoleniu? A jeśli istnieje jakieś inne rozwiązanie?

Kiedy Chino był dzieckiem, w jego okolicy nie pracował ani jeden handlarz alkoholu, który, uzbrojony w pistolet Smith & Wesson kaliber dziewięć milimetrów, rozprowadzał potajemnie jacka daniel'sa czy budweisera. A jednak tak się właśnie działo w latach dwudziestych, w okresie prohibicji. Rząd wypowiedział wojnę handlarzom alkoholu, co musiało doprowadzić do powstania uzbrojonych po zęby gangów, które stworzyły kulturę terroru i wybijały się nawzajem. Przez wiele tygodni czytałem o prohibicji i widziałem, jak na przestrzeni dziesięcioleci powtarzają się te same historie i schematy. Gdy zniesiono prohibicję, ustała gangsterska wojna o alkohol. Zniknęła cała przemoc zrodzona przez prohibicję. Trudno dziś wyobrazić sobie, że uzbrojone dzieciaki sprzedające heinekena strzelają do dzieciaków z sąsiedniej dzielnicy, bo te zaczęły sprzedawać coronę extra. Szef Budweisera nie wysłał swoich ludzi, by zabili szefa Coors<sup>410</sup>.

Chino zaczął dochodzić do wniosku, że z pewnością nie byłoby „tej samej kultury przemocy”, gdyby zalegalizowano narkotyki. „Nie istniałaby taka ekstremalna, nieprzerwana kultura przemocy”.

Zawsze będą się pojawiali ludzie brutalni, nieobliczalni i sadystyczni – lecz większość istot ludzkich kieruje się konkretną motywacją, zachętą do działania. W okolicy, w której mieszkał Chino, motywacja finansowa skłaniała podobne mu dzieciaki do stosowania przemocy i okrucieństwa – bo jeśli to robiły, mogły mieć swój udział w jednym z największych i najbardziej dochodowych interesów w Ameryce. A jeśli nie – czekały je osamotnienie i bieda. „Człowiek jest zdolny do wszystkiego, jeśli znajdzie się w jakiejś popierdolonej sytuacji. Nigdy nie wypiłbyś szczyń, ale spróbuj nie pić niczego przez kilka dni” – mówił Chino.

Kiedy mi to tłumaczył, zacząłem myśleć o wszystkich naukowych rozprawach i badaniach, które przeglądałem, zbierając materiały do tej książki. Profesor Jeffrey Miron z Harvardu wykazał, że w historii USA dwukrotnie doszło do dramatycznego wzrostu liczby morderstw – w obu przypadkach działo się to w czasie, gdy restrykcyjnie przestrzegano prohibicji: najpierw w latach 1920–1933, gdy zdelegalizowano alkohol, a potem w latach 1970–1990, gdy państwo prowadziło szczególnie zażartą walkę z narkotykami<sup>411</sup>. W obu tych okresach ludzie tacy jak Chino, zachęceni perspektywą świetnych zarobków, siali postrach i zabijali rywali, by przejąć kontrolę nad nielegalnym handlem<sup>412</sup>. W połowie lat osiemdziesiątych Milton Friedman, znany ekonomista, laureat Nagrody Nobla i ikona prawicy, obliczył, że tego rodzaju polityka była co roku przyczyną dodatkowych dziesięciu tysięcy morderstw w Stanach Zjednoczonych, co odpowiada ponad trzem zamachom terrorystycznym z 11 września. Profesor Miron uważa, że liczby te są niedoszacowane. Jego zdaniem, gdyby odebrano przestępcom handel narkotykami, liczba zabójstw w USA spadłaby o dwadzieścia pięć do siedemdziesięciu pięciu procent<sup>413</sup>.

Chino przekonał się na własnej skórze, jakie mogą być skutki odebrania gangsterom narkotyków. W wieku dwudziestu kilku lat, gdy zaczął się wycofywać z gangsterskiego życia, oznajmił, że jego ekipa nie będzie już sprzedawać kokainy ani heroiny. Ta decyzja bardzo szybko przyniosła wymierne rezultaty. „Nasza grupa marniała, [...] bo nie mieliśmy środków” – tłumaczył. Członkowie jego ekipy nie mogli już kupować drogich ubrań czy broni, bo nie mieli za co. Kilku z nich znalazło sobie normalną, legalną pracę. Wystarczy odebrać im narkotyki – przenieść je gdzie indziej – a gangi i przenikająca je przemoc szybko się rozpraszają.



Lecz rola wojny narkotykowej w życiu Chino była znacznie większa – i sięgała momentu jego narodzin. W otoczeniu pełnym przemocy – walki gangów z gangami, gangów z policją, policji z gangami, policji z kimkolwiek, kto mieszkał na terenie kontrolowanym przez gangi – gwałt na narkomance takiej jak Deborah pozostawał bez konsekwencji. „To było nie tylko powszechne, ale i akceptowane. I to w sposób tak perfidny, że właściwie nikt nie zwracał na to uwagi. [...] Tych ludzi nie dotyczą żadne granice przyzwoitego, humanitarnego traktowania” – mówił Chino. Postrzega się ich „w sposób poniżający, niemal jak zwierzęta. [...] Nie chodzi tylko o to, że nie ma wśród nich poczucia sprawiedliwości: nie ma też poczucia, że potrzebują sprawiedliwości. Stoją tak nisko w hierarchii ludzkości, że sprawiedliwość nie ma do nich odniesienia. To jeden z najstraszliwszych skutków wojny narkotykowej”.

Jedno pytanie okazało się dla Chino szczególnie trudne, gdy na nowo przemyślał przyczyny i konsekwencje wojny narkotykowej. Nie dawało mu spokoju przez długi czas. Czy gdyby państwo prowadziło inną politykę dotyczącą narkotyków, jego matka by dzisiaj żyła? „Choć nie wiem, czym dokładnie różniłaby się taka sytuacja od dzisiejszej, głęboko wierzę, że prawdopodobnie mama by żyła. [...] Może poradziłaby sobie ze swoją traumą jako pacjentka, czyli tak jak powinno to wyglądać. Może nie urodziłbym się w wyniku gwałtu” – mówi Chino. To jeden z powodów, dla których uważa, że „musimy traktować narkomanię nie jako zjawisko, którym ma się zajmować wymiar sprawiedliwości, lecz jako zadanie dla publicznej służby zdrowia”.

Trudno mu było jednak pogodzić się z tą myślą. Spytałem go w 2012 roku – gdy był mniej więcej w takim wieku, w jakim zmarła jego matka – czy jest na nią zły. „Chyba tak. Choć wciąż staram się z tym jakoś pogodzić. Naprawdę. Trochę trudno gniewać się na kogoś, kto nie żyje, prawda? Ale trudno też się nie gniewać, gdy masz tylko dziesięć wspomnień związanych z taką osobą, a pięć spośród nich jest popierdolonych. Wiesz, o czym mówię? Nie mam w pamięci zbyt wielu rzeczy, do których mógłbym wracać. Jedyne, co mogę powiedzieć na jej obronę, to że mogła się zdecydować na aborcję. Byłem przecież dzieckiem gwałtu [...]. Ale postanowiła wydać mnie na świat. To naprawdę wiele znaczy. Cała reszta to demony, narkotyki i całe to gówno, które nazbierało się po drodze” – odpowiedział.

Kiedy rozmawialiśmy o Deborah, Chino palił jednego papierosa za drugim. „Nie łudzę się, że byłaby wspaniałą mamą, nawet gdyby nie chodziła ciągle naćpana. Ale myślę, że byłaby świetnym tatą” – dodał ze śmiechem między kolejnymi sztachnięciami. „Co ciekawe, nie mam jej za złe, że mnie biła i tak dalej. Jestem na nią wściekły za to, że nie było jej przy mnie. Że nie widziałem, jak się zmieniała, i nie mogłem jej pomóc. Gdyby wciąż żyła i gdyby nadal zażywała narkotyki, potrafiłbym jej teraz pomóc w taki czy inny sposób. Wiem, że łatwo mi to mówić, bo nie ma takiej możliwości, ale trzymam się tej myśli. Okrywam się nią jak kocem”.

Za pośrednictwem swojej dziewczyny Chino poznał niedawno Cynthię, kobietę pod sześćdziesiątkę, czyli w wieku, w jakim byłaby teraz Deborah. Ona również straciła kilka dekad życia przez heroinę i crack oraz nieustanne poszukiwanie środków na ich zakup. Cynthia także ma AIDS. Od półtora roku niczego nie zażywa. Chino niedawno poszedł z nią na rocznicowe spotkanie Anonimowych Narkomanów i powiedział jej dzieciom: „Na pewno bardzo się cieszyacie, że wasza matka niczego nie bierze i na pewno wciąż macie straszliwe wspomnienia o rzeczach, które robiła lub których nie robiła, kiedy była uzależniona. Ale macie szczęście. Bo widzicie coś, czego mnie nigdy nie było dane zobaczyć – że wasza matka zwyciężyła z nałogiem. Docieńcie to”. Słyszając, jak Chino rozmawia przez telefon z Cynthią, zauważyłem, że zaczął nazywać ją „mamą”.

Kiedy jego wojna narkotykowa dobiegła już kresu, Chino kazał sobie wytatuować na piersiach ułożone z pochyłych liter imię Deborah.

Na plecach wytatuowane ma imię, które bardzo mnie zaskoczyło: Victor.

„Pod wieloma względami on również był ofiarą” – mówi Chino, starannie dobierając słowa. „Ten gwałt... Na jakimś poziomie swojego życia musiał być ofiarą, by potem mógł się dopuścić tak odrażającego aktu, czy też nie dostrzec w tym odrażającego aktu. Kiedy o nim myślę, czuję raczej żal niż gniew. Czy uważam, że to, co zrobił, było popierdolone? Oczywiście. Ale trudno mi to całkiem potępiać, bo choć było to coś popierdolonego, dzięki temu powstałem. [...] Czy nie chcę się urodzić? Chcę. Ale nie w taki straszny sposób”.

Uzbrojony w to nowe pojmowanie wojny narkotykowej, Chino został jednym z liderów No More Youth Jails Coalition [Koalicja „Koniec z więzieniami dla młodzieży”]. Kiedy o tym opowiadał, jego głos się zmieniał, nagle zachowywał się tak, jakby uciekł z filmu Spike’a Lee i przeniósł się do obrazu wyreżyserowanego przez Aarona Sorkina.

Tłumaczył mi, że władze Nowego Jorku zobowiązały się zamknąć Spofford – gdzie został osadzony jako trzynastolatek – i zbudować w zamian dwa nowoczesne ośrodki. Owszem, zbudowano je, ale potem ponownie otworzono Spofford i ogłoszono plany utworzenia kolejnych więzień dla młodzieży, „choć te już otwarte były wypełnione w siedemdziesięciu jeden do osiemdziesięciu jeden procent, [...] a na ich budowę wyasygnowano z budżetu prawie sześćdziesiąt pięć milionów dolarów, które [...] nie obejmowały kosztów funkcjonowania zakładu. Po prostu stworzyli sto dodatkowych cel”. Pomimo tych nakładów finansowych „ponad osiemdziesiąt procent więźniów stanowili recydywiści. [...] Gdyby wprowadzić w życie alternatywny program, być może nie wróciliby więcej do więzienia, a koszty byłyby mniejsze”.

Przez dwa i pół roku Chino organizował marsze, lobbował i starał się wywierać naciski. Wykorzystując umiejętności menedżerskie zdobyte na ulicy, stworzył koalicję wszystkich grup, które działały na tym polu. Śmiało opowiadał ustawodawcom i dziennikarzom, co naprawdę znaczy mieć trzynaście lat i trafić do więzienia. W końcu ogłoszono decyzję. Budowa kolejnych więzień dla młodzieży w stanie Nowy Jork została wstrzymana. „Spofford zostało zamknięte” – dodał.

„To wspaniałe uczucie. Naprawdę wspaniałe. Ale teraz... – przerwał na moment i pokręcił głową – cieszę się, że ta kampania zakończyła się sukcesem, chociaż zdaję sobie sprawę, ile jeszcze jest do zrobienia. Każde małe zwycięstwo, które odnosimy, walcząc o sprawiedliwość społeczną... jest kroplą w pierdolonym oceanie. Więc choć to przyjemne uczucie, świadomość tego ogromu pracy jest zniechęcająca”. Spojrzał na mnie, a potem odwrócił wzrok.

Teraz Chino uwielbia wyjeżdżać pod namiot, gdzieś daleko, w odludne miejsce. Ma powracające marzenie, w którym trafia zupełnie sam w środek dziczy, gdzie musi się przekonać, czy potrafi tam przetrwać.

„Musisz zrozumieć: to się dzieje cały czas” – mówi Kyung Ji „Kate” Rhee, która przez dziesięć lat pracowała z Chino, a z dziećmi z tej okolicy jeszcze dłużej. „Naprawdę nie uważam, że to coś wyjątkowego – dodaje, odnosząc się do doświadczeń Chino. – Nie umniejszam cierpień, przez które przeszła. Tyle tylko, że takie rzeczy dokonują się w skali, o jakiej społeczeństwo nie ma pojęcia. [...] Rozdźwięk jest ogromny. [...] Od

Brooklyn Heights dzieli nas jakieś dziesięć minut drogi, a to zupełnie inny świat” – mówi, kręcąc głową.

Podróżując z kraju do kraju, zacząłem sobie uświadamiać, że ta historia ulicznego dealera dotyczy tylko pierwszej warstwy przemocy i przestępczości wywołanej przez delegalizację narkotyków.

Za Chino Hardinem kryje się kolejna warstwa gangsterów kontrolujących okolicę.

A za nią jest sieć przemytników, którzy dostarczyli narkotyki do Nowego Jorku.

Za nimi jest muł, który przewiózł ich przez granicę.

Za mułem jest gang kontrolujący transport przez Meksyk albo Tajlandię, albo Gwineę Równikową.

Za tym gangiem jest inny, który kontroluje produkcję w Kolumbii albo Afganistanie.

Za nim jest rolnik, który uprawia opium lub kokę.

Na każdym z tych poziomów toczy się wojna z narkotykami, wojna o narkotyki; na każdym z nich króluje kultura przemocy, a wszystko to jest skutkiem prohibicji. Zacząłem myśleć o Chino i o wszystkim, przez co przeszedł, jako o tylko jednej łusce po pocisku, porzuconej na globalnym polu bitwy.

## 6

### Trudno być Harrym

Tę wojnę co noc toczą w pocie czoła dwie uzbrojone grupy. Jedna stoi po stronie Chino. Drugą jest policja. Rozmawiając z Chino, zastanawiałem się coraz częściej, jak to wszystko wygląda z perspektywy drugiej z walczących armii. Żeby się tego dowiedzieć, przeprowadziłem wywiady z szesnastoma aktualnymi lub byłymi funkcjonariuszami i funkcjonariuszkami organów ochrony porządku publicznego<sup>414</sup>, pracującymi w miejscach tak różnych, jak szwajcarskie góry i granica meksykańska – jednak do jednej z nich wracałem wielokrotnie w ciągu trzech lat, bo nigdy nie mogłem jej do końca zrozumieć.

Poznałem Leigh Maddox mniej więcej w tym samym czasie co Chino, w restauracji na Manhattanie, niedaleko miejsca, gdzie rozpoczęły się właśnie demonstracje „Occupy Wall Street”. Nasze spotkanie zaaranżowała organizacja o nazwie LEAP, Law Enforcement Against Prohibition [Organizacja porządku publicznego przeciw prohibicji]. Kiedy weszła do restauracji, zobaczyłem szczupłą pięćdziesięciokilkuletnią brunetkę. Poruszała się z pewnością siebie właściwą osobie, która przywykła okazywać bez wahania legitymację policyjną i aresztować złoczyńców.

Choć później poznałem ją nieco lepiej, Leigh zawsze przypominała mi postać Heather Locklear z telewizyjnego serialu z lat osiemdziesiątych *T.J. Hooker*. Mimowolnie oczekiwałem, że lada moment każe mi się pochylić, by mogła strzelić do bandziora ukrytego po drugiej stronie sali. Tamtego pierwszego wieczora zamówiła kieliszek wina i zaczęła opowiadać mi o swoich wspomnieniach z pierwszej linii frontu wojny narkotykowej.

Na początku XXI wieku Leigh Maddox stała na poboczu długiego i prostego odcinka autostrady I-95 prowadzącej do Baltimore. Była kapitanem policji, miała długie włosy i wybuchowy charakter. Jej ludzie prowadzili wojnę z narkotykami, zatrzymując samochody i szukając w nich kontrabandy. Leigh od lat ściagała w ten sposób ludzi za posiadanie narkotyków. Jej podwładni mieli jasne rozkazy: stawiamy na liczbę. Staramy się aresztować jak najwięcej ludzi. Nie przejmujcie się skalą przestępstwa. Jeśli

znajdziecie u kogoś jakiegokolwiek narkotyki, choćby najmniejszą szczyptę, aresztujcie go. Maddox była ucieleśnieniem marzeń Anslingera.

Jej ludzie wiedzieli, że mogą przejąć własność każdego, kogo schwytają za posiadanie narkotyków lub inne tego rodzaju przestępstwa, i że przejęte przez nich rzeczy trafią na aukcję, a znaczna część zysku – zwykle około osiemdziesięciu procent – zasili budżet miejscowej policji. „Więc jeśli zatrzymasz samochód [i przeszukasz go, i znajdziesz], powiedzmy, cztery miliony [dolarów w gotówce], co nie jest takie niezwykle, to miałeś powody do zadowolenia” – mówiła Leigh.

Narkotyki płynęły do Baltimore tak szybko, że wyłapywanie ich użytkowników przypominało zarzucanie wędki do zatłoczonego stawu rybnego. Oddział Maddox korzystał ze wszystkich środków, po jakie Anslinger nie mógł sięgnąć za swego życia. Co noc w różnych zakątkach stanu ruszały do akcji jednostki specjalne SWAT wyposażone w najnowszy sprzęt wojskowy. Więzienia wypełnione były ludźmi odsiadującymi wyroki najwyższe z przewidywanych przez prawo. Po ulicach krążyły uzbrojone patrole. Wielu ludzi mieszkających w Baltimore uważało, że stara instrukcja Anslingera – „Najpierw strzelać!” – stała się nieoficjalnym mottem policjantów stanowych.

Jednak Leigh chodziło w tej wojnie o coś znacznie więcej. Dołączyła do niej z bardzo osobistych powodów.

Leigh poznała Lisę Renee Taylor na zajęciach gimnastycznych, gdy obie miały trzynaście lat. Niemal od razu zostały najlepszymi przyjaciółkami. Były do siebie tak podobne – obie były szczupłymi brunetkami – że kilka lat później mogły kupować alkohol, korzystając z tego samego fałszywego dokumentu tożsamości, bo nikt nie potrafił ich odróżnić. Razem paliły trawkę, razem się bawiły, dzieliły się wszystkim. Nawet ich imiona brzmiały podobnie. Leigh pochodzi z surowej, wojskowej rodziny – jej ojciec był podpułkownikiem w armii USA. W wieku osiemnastu lat opuściła dom, by wyjść za pewnego dupka głównie po to, by wkurzyć swoich rodziców – kiedy brała ślub, Lisa towarzyszyła jej jako drużna, jak zawsze gotowa nieść pomoc.

Kiedy Lisa studiowała chemię na Uniwersytecie Stanowym Salisbury, Leigh pracowała jako kelnerka w barze i rozwozicielka pizzy, ale utrzymywały ze sobą bliskie kontakty. W czerwcu, na pierwszym roku studiów Lisy, spotkały się obie w Ocean City i spędziły cały dzień na plaży, rozmawiając i opalając się. Lisa nosiła jednoczęściowy biały kostium

kąpielowy z wycięciem na brzuch, Leigh włożyła strój o podobnym fasonie, tyle że czarno-złoty. Podeszło do nich dwóch fotografów, którzy powiedzieli im, że mogłyby być modelkami – ograny sposób na podryw, ale dziewczyny były rozbawione. Lisa, zakochana po uszy w swoim nowym chłopaku Johnie, uznała, że musi się z nim zobaczyć i nie może dłużej zwlekać. Nie miała samochodu ani pieniędzy na autobus, postanowiła więc pojechać do jego domu do New Jersey autostopem.

Następnego dnia wieczorem do Leigh zadzwoniła siostra Lisy, zaalarmowana brakiem kontaktu z jej strony. Leigh powiedziała, że nie ma się czym martwić, bo Lisa pojechała do Johna.

Nazajutrz ktoś zapukał do tylnych drzwi domu Leigh. Było gorąco, a ona nie miała klimatyzacji, więc zamknęła tylne wejście tylko siatką na owady, przez którą dostrzegła teraz sylwetkę Johna. „Leigh, ona nie dojechała do New Jersey” – powiedział.

Policjanci, którzy przyjechali zbadać sprawę, zadali kilka pytań i doszli do wniosku, że Lisa uciekła. Leigh twierdziła, że to niemożliwe – Lisa zostawiła swoją kosmetyczkę, a „żadna dziewczyna nie ucieka bez kosmetyczki”. Mimo to policja odmówiła wszczęcia śledztwa. Policjant z wydziału zabójstw zapewnił Leigh, że Lisa „wcześniej czy później się pojawi”.

Nie pojawiła się. Minęło lato, a los Lisy pozostał nieznan. Leigh dużo się modliła, powiedziała Bogu, że jeśli Lisa z tego wyjdzie, ona poświęci życie czynieniu dobra. Poszła do siedziby miejscowej policji i poprosiła o formularz podania o pracę. Pewnego wieczora – pracowała wtedy jako kelnerka w hotelu Sheraton w Bloomsbury (jej podanie nie zostało jeszcze rozpatrzone) – na ekranie telewizora pojawiła się wiadomość: „Znaleziono ciało zaginionej kobiety”. „Cały mój świat stanął w miejscu. Wszyscy ci ludzie wciąż doskonale się bawili, a ja stałam jak słup soli” – wspominała po latach.

Po ukończeniu akademii policyjnej udała się na drugie piętro siedziby policji stanowej w Salisbury, gdzie znajdowało się archiwum, by zmusić się do przeczytania wszystkich dokumentów i przejrzenia wszystkich zdjęć dotyczących sprawy Lisy. Chciała poznać całą prawdę o jej śmierci.

Lisa zajrzała po drodze do domu swojej mamy i poprosiła o pieniądze. Pokłóciły się, więc dziewczyna ruszyła na piechotę do swojego akademika, odległego zaledwie o półtora kilometra. Nigdy tam nie dotarła. Wpadła na gang narkotykowy – grupę co najmniej dziesięciu młodych mężczyzn.



Została zgwałcona przez nich wszystkich, a potem trzykrotnie pchnięta nożem i pozostawiona na pewną śmierć w lesie naprzeciwko uniwersytetu. Po latach, gdy Leigh już wystarczająco długo pracowała w policji, doszła do wniosku, że ów gang jednoczył się – wyrabiał sobie odpowiednio przerażającą reputację – poprzez zbiorowy gwałt, który stanowił część obrzędu inicjacji.

Kobieta, która mieszkała w domu przy uniwersytecie, nie mogła zrozumieć, dlaczego jej pies przez całe lato ujadał. Leżało tam rozkładające się ciało Lisy, do którego schodziły się dzikie zwierzęta. Kiedy znaleziono jej zwłoki, nie miała stopy. W związku ze sprawą aresztowano i postawiono przed sądem tylko jedną osobę.

Leigh została więc policjantką stanową, by uczcić pamięć Lisy. Nikt nie miał lepszego niż ona powodu, by nienawidzić członków narkotykowych gangów. Nikt bardziej niż ona nie chciał ich powstrzymać.

Kilka lat później przez Elkton, piętnastotysięczne miasteczko położone na wiejskich terenach stanu Maryland, maszerował pochód Ku Klux Klanu. Z przodu szli mężczyźni w białych kapturach, za nimi ciągnęło około sześćdziesięciu zwolenników, skandując: „Hey hey! Ho ho! Niggers have got to go!” [Hej, hej! Ho, ho! Czarnuchy muszą odejść stąd!]. Antyrasistowscy aktywiści, którzy przygotowali kontrdemonstrację, szydzili z nich, wykrzykiwali obelgi i obrzucali ich drobnymi przedmiotami, takimi jak baterie, lecz Klan szedł dalej. Pośrodku kolumny w swoim białym kapturze szła dumna członkini organizacji – Leigh Maddox.

Już od roku pomagała im planować marsze i spotkania oraz werbować ludzi na ulicy. Obok niej, również okryty białym kapturem, kroczył najważniejszy bandzior tego oddziału Klanu, człowiek, który dwadzieścia lat wcześniej popełnił morderstwo, ale został uznany za niepoczytalnego i zwolniony. Leigh i jej towarzysze maszerowali dumnie naprzód, nie zważając na grad baterii i innych pocisków.

Szefowie Leigh mówili jej, że kobieta nie może przeniknąć do szeregów Klanu, bo to zbyt niebezpieczne. Lecz Maddox wciąż się upierała. Twierdziła, że członkowie organizacji palą krzyże przed domami Afroamerykanów w Elton i zastraszą ich, więc policja powinna mieć w tym rejonie swojego człowieka. W końcu, ponieważ nalegała już przez tak długi czas, jej szefowie ustąpili. Być może nie wiedzieli, że jest to dla

niej podwójnie ryzykowne zadanie, bo po marszach Klanu wracała do domu do swojego czarnoskórego chłopaka.

W Klanie znana była jako Rosa Leigh. Kobiety rzadko pojawiają się na spotkaniach tej organizacji samotnie, musiała więc wymyślić opowieść o chłopaku, który mieszka daleko i nie mógł jej towarzyszyć. Ponieważ musiała mieć o czym rozmawiać z członkami Klanu, starała się doszukać w nich czegoś dobrego albo przynajmniej jakichś zainteresowań, które mogłaby ostatecznie z nimi dzielić. Jeden z nich znał się na roślinach, podobnie jak Leigh, więc rozmawiali właśnie o tym. Inny lubił coors light – Maddox nie była wielbicielką piwa, wyobraziła sobie jednak, że gdyby była... Tak, to naprawdę nie było łatwe.

Gromadziła jednak informacje, które miały ogromne znaczenie dla bezpieczeństwa czarnoskórych mieszkańców miasteczka. Pewnego dnia dwaj członkowie Klanu jechali przez Elkton, kiedy na skrzyżowaniu zatrzymał się obok nich czarnoskóry facet z białą dziewczyną. Choć działo się to w środku dnia, towarzysze z organizacji chwycili za ołowiane rurki, wyciągnęli go z samochodu i pobili niemal na śmierć. Leigh zidentyfikowała ich na podstawie zeznań świadków, wkrótce więc policja zgarnęła obu. Podobne sytuacje miały miejsce wiele razy. Leigh wiedziała, w których samochodach jadących na demonstrację ukryte są narkotyki i broń, a także kto prowadzi pod wpływem alkoholu, dzięki czemu policja mogła wszystkich bez trudu wyłapać. Przekazywała informacje niemal na bieżąco.

Wkrótce Klan zaczął panikować. Czy jest wśród nich kapuś? Skąd gliniarze tyle o nich wiedzą? Który z was, skurwysyny, kabluje?

Po jednym ze spotkań Klanu mężczyźni poprosili „Rosę Leigh”, by z nimi została, i oskarżyli ją. Powiedzieli jej wprost, że jest policjantką. Leigh wiedziała, że to przestępcy i psychopaci, którzy mają na koncie zabójstwa i inne ciężkie przestępstwa. Zrobiło jej się słabo. Jediną jej szansą na przetrwanie był kontratak.

„Jesteście bandą pierdolonych skurwieli – wrzeszczała. – Nie mogę uwierzyć, że po tym wszystkim, co zrobiłam dla organizacji, ośmielacie się kwestionować moją lojalność. [...] Zaczynam myśleć, że jesteście bandą frajerów. Nie wiem już nawet, dlaczego się was trzymam”. Członkowie Klanu zaczęli nalegać. Chcemy zobaczyć twój dom. Musimy zobaczyć twoich dziadków. Leigh musiała coś szybko wymyślić. „Chcecie pojechać do mojego domu? Poważnie? Chcecie bez uprzedzenia odwiedzić moją

babcię w niedzielę? Wiecie, że jest bardzo chora, a nie należycie raczej do takich facetów, którzy powinni ją odwiedzać!”

Ale mężczyźni nie dawali za wygraną. Nie miała wyboru.

„Dobra, niech wam będzie” – burknęła. Kazała im jechać za swoim samochodem, a potem dodała gazu i uciekła, rozwijając prędkość, jakiej jeszcze nigdy w życiu nie osiągnęła.

Leigh do końca życia mogła być dumna z faktu, że zmieniła sytuację w Elkton i utrudniła życie brutalnym rasistom. Dzięki niej więcej Amerykanów mogło czuć się bezpiecznie.

W tamtych czasach kobietom nie było łatwo w policji, ale Leigh udowodniła, że ma jaja. Miała też ważnych sprzymierzeńców. Codziennie rano musiała pokonać sto trzydzieści kilometrów, by dojechać do pracy, a po drodze rozmawiała ze swoim kolegą po fachu Edem Toatleyem, Afroamerykaninem z kozią bródką, tajnym agentem z wydziału narkotyków, który wychował się pod Baltimore<sup>415</sup>. Był też szefem związku zawodowego i walczył z seksizmem w policji, podczas gdy Leigh pięła się coraz wyżej po szczeblach kariery, przebijając kolejne szklane sufity.

Jednak pracą, w którą najbardziej się angażowała, była walka z gangami narkotykowymi. To pomagało jej wstać rano z łóżka. Była pewna, że kontrole na drodze i aresztowania zakłócają przepływ narkotyków przez Maryland – co oznaczało mniej gangsterów, mniej narkomanów, mniej przemocy i mniej cierpienia na świecie.

To jeden z najważniejszych faktów dotyczących Leigh, i to taki, który osoba mojego pokroju – z moimi poglądami – mogłaby łatwo zignorować.

Wsparcie Leigh dla wojny narkotykowej wynikało ze współczucia. Szczerze wierzyła, że chroniąc ludzi przed narkotykami i gangami narkotykowymi, czyni świat lepszym. Jest dobrą i uczciwą osobą – i właśnie to zaprowadziło ją na wojnę z narkotykami.

Myślała o Lisie i walczyła dla niej.

Jednak w całych Stanach Zjednoczonych – i na całym świecie – policjanci dostrzegali coś dziwnego. Jeśli aresztujesz dużą liczbę gwałcicieli, liczba gwałtów spada. Jeśli aresztujesz dużą liczbę brutalnych rasistów, liczba brutalnych ataków rasistowskich spada. Jeśli jednak aresztujesz dużą liczbę handlarzy narkotykami, sprzedaż narkotyków wcale nie maleje.

Policjant Michael Levine przekonał się o tym na własnej skórze. Podczas rozmowy, którą przeprowadziłem z nim w 2011 roku, dał mi wyraźnie do

zrozumienia, że – podobnie jak w przypadku Leigh – wojna z narkotykami to dla niego sprawa osobista. Jego brat zmarł w latach pięćdziesiątych w Harlemlie po przedawkowaniu heroiny. Jego syn był policjantem, który w latach osiemdziesiątych zginął z ręki narkomana. Kiedy więc polecono mu zająć się jednym z najbardziej znanych – i okrytych najgorszą sławą – miejsc sprzedaży narkotyków w pobliżu krańca Dziewięćdziesiątej Siódmej Ulicy „i raz na zawsze zrobić porządek w tej cholerniej okolicy”<sup>416</sup>, był zachwycony. Podczas długiej akcji obserwacyjnej jego zespół namierzył stu dealerów, przez całą noc handlujących narkotykami na niewielkim obszarze. W ciągu tygodnia aresztował osiemdziesięciu z nich.

Michael był zadowolony z rezultatów akcji. Przez kilka tygodni w okolicy panował mniejszy ruch, ale potem wszystko wróciło do normy, „jakbyśmy nic tam nie zrobili” – pisał potem Levine. Dlaczego? Bo, „jak wie każdy dealer, jeśli zostanie aresztowany, natychmiast pojawią się setki innych, którzy będą chcieli przejąć jego miejsce”. Policjant pytał sam siebie: „Skoro wszyscy ci policjanci i agenci nie mogli oczyścić z dealerów jednego rogu ulicy, jaki jest cel całej tej cholerniej wojny narkotykowej?”.

Tymczasem na drogach prowadzących do Baltimore Leigh odkrywała coś, co miało zmienić jej życie. Było jeszcze gorzej, niż podejrzewał Levine. Chodziło nie tylko o to, że aresztowanie dealerów nie powoduje spadku przestępczości. Wydawało się, że za każdym razem, gdy jej oddział aresztował członków gangów, wywoływało to wzrost przestępczości, szczególnie zabójstw. Początkowo nie mogła tego zrozumieć, widziała jednak, że ten schemat stale się powtarza.

Dlaczego aresztowanie dealerów narkotykowych prowadziło do większej liczby zabójstw? Stopniowo rozwiązywała tę zagadkę, aż znalazła odpowiedź. „Co się stanie, jeśli zdejmemy gościa z samej góry? Otóż wtedy zabraknie przywódcy, a [gangi] będą walczyć o dominację” – wyjaśnia Leigh.

Próbując to zrozumieć, wyobrażam sobie, że Chino został zabity albo trafił do więzienia na dłuższy czas. Popyt na narkotyki w Flatbush wcale by się nie zmniejszył. Codziennie na rogu ulicy pojawialiby się ludzie szukający swoich ulubionych używek. Więc albo w rejonie kontrolowanym przez Souls of Mischief doszłoby do walki o pozycję lidera, albo jakiś konkurencyjny gang – jak ci starsi faceci, których niegdyś przegnali –

wyczułby słabość pozbawionego przywódcy gangu i przejął jego teren. Łatwo zrozumieć, dlaczego w takiej sytuacji ktoś mógłby zginąć.

Czy to prawda? Czy każdy nalot policji wywołuje wojnę o terytorium? Postanowiłem zbadać dokładniej to zagadnienie, przejrzeć odpowiednie opracowania i sprawdzić, czy obserwacje Leigh są częścią szerszego zjawiska. Profesor Jeffrey Miron z Harvardu wziął pod lupę statystyki morderstw i przekonał się, że „analiza statystyczna wykazuje, iż aktywniejsze działania [policji przeciwko handlarzom narkotyków] wiążą się z większą liczbą zabójstw, nawet jeśli weźmie się pod uwagę inne czynniki”<sup>417</sup>. Tę samą zależność potwierdza wiele innych badań<sup>418</sup>.

Leigh zaczęła więc uświadamiać sobie, że choć podjęła tę pracę, by zmniejszyć liczbę przestępstw, w istocie ją zwiększała. Chciała osłabić i zniszczyć gangi narkotykowe, ale w rzeczywistości je wzmacniała.

W głębi serca od lat podejrzewała, że taka może być prawda, starała się jednak jej nie dostrzegać – aż do pewnego wieczora, gdy nie miała już wyboru.

Wszyscy, którzy znają się na rzeczy, mówią, że najtrudniejsza w policji jest praca w pojedynkę. Ed Toatley – szef związków zawodowych, który wspierał karierę Leigh – musiał codziennie udawać handlarza narkotykami pośród innych handlarzy.

Jeszcze w latach pięćdziesiątych Harry Anslinger opisywał, czego wymaga taka praca. Jak sam mówił, tajny agent „musi być lepszym aktorem niż laureat Oscara, musi szybko działać, jeszcze szybciej reagować i dziesięć razy szybciej podejmować właściwe decyzje [...]. Jeden błąd, jedno nieodpowiednie słowo mogą kosztować go życie”<sup>419</sup>.

Kiedy potrafili się zdobyć na szczerą wobec samych siebie, zarówno Leigh, jak i Ed przyznawali, że są uzależnieni od adrenaliny. „Nie ma nic lepszego, niż wiedzieć, że omal nie zginąłeś, i przez następne pół godziny powtarzać »Ale jednak żyję!«” – powiedziała mi ze śmiechem Leigh. Nie zdziwiła się więc wcale, gdy rankiem 30 września 2000 roku Ed wyznał jej, że jest ogromnie podekscytowany, bo w końcu kazano mu zdjąć dealera średniego szczebla, którego tropił od pół roku. Dostał trzy tysiące dolarów, by pojechać do Waszyngtonu, kupić kilogram kokainy i aresztować handlarza. „To jak zwieńczenie mojej kariery” – powiedział.

Tej samej nocy Leigh odebrała telefon od dyżurnego sierżanta, który bez owijania w bawełnę powiedział jej, co się stało. Kiedy Ed wręczył trzy

tysiące dolarów dwudziestoczteroletniemu dealerowi, ten nie dał mu w zamian kokainy. Strzelił mu prosto w głowę. „Nie wahałem się ani przez sekundę” – zeznał później w sądzie<sup>420</sup>.

Kilka minut później, gdy pędziła do szpitala, zadzwonił do niej major. „Leigh, mówi Mike” – powiedział. „Jaki, kurwa, Mike?” – wykrztusiła w odpowiedzi, kompletnie oderwana od rzeczywistości. Gdy przyjechała do szpitala, czekało tam już ponad stu policjantów. Ed był szefem związków, człowiekiem szanowanym i lubianym. Na wieść o tym, co go spotkało, wszyscy się tutaj zjechali. Jeden z nich położył dłoń na ramieniu Leigh i powiedział: „Leigh, już po nim”. Potem pojawił się też jej szef i zwrócił się do niej: „To będzie trudne, ale musisz być twarda ze względu na swoich ludzi. Potrzebują teraz twojego przywództwa”.

Policjanci stali w kolejce, by zobaczyć ciało Eda. Leigh do nich dołączyła. Głowa Eda owinięta była prowizorycznym turbanem, który utrzymywał w całości jego czaszkę. Ciało było jeszcze ciepłe.

Kilka lat później Leigh tłumaczyła w swoim przemówieniu: „Kładąc dłoń na jego piersi, odmówiłam modlitwę: za jego rodzinę, za przyjaciół, za siebie samą. Wtedy też poczułam obecność wszystkich policjantów, którzy stracili życie na wojnie z narkotykami. Czułam obecność mojej drogiej przyjaciółki Lisy i wszystkich innych ofiar, które znalazły się w krzyżowym ogniu naszej zgubnej polityki. Czułam, że wszyscy są ze mną w tej mrocznej szpitalnej sali. Ich duchy pochylały się nade mną, śmiały się i szydziły. Sprawiedliwość? Sprawiedliwość? Jak wygląda ta wasza sprawiedliwość? To była moja droga do Damaszku”<sup>421</sup>.

Leigh próbowała wrócić do pracy, lecz tym razem wiedziała za dużo. Trudno być Harrym Anslingerem, jeśli masz otwarte oczy i umysł.

Wcześniej wierzyła, że walcząc w wojnie narkotykowej, niszczy gangi, które zabiły dwoje jej najbliższych przyjaciół. Teraz zaczynała rozumieć, że w istocie te działania pozwalały im nadal prowadzić interesy i czyniły je jeszcze groźniejszymi. W końcu uznała, że należy skorzystać z lekcji, jaką było zniesienie prohibicji alkoholowej: kres przemocy można położyć poprzez legalizację i regulację handlu narkotykami.

Dowiedziawszy się o śmierci Eda, jego pięcioletni syn Daniel kazał zostawić zapalone światło w przedpokoju, żeby „tata mógł trafić do domu”<sup>422</sup>.

Kiedy Leigh uczyła się nocami do zajęć na studiach prawniczych, powoli zaczynała też rozumieć sens innej części wojny narkotykowej. Smuga światła, którą wpuściła do swego umysłu, oświetlała więcej, niż mogła przypuszczać.

Wiedziała, że w sprzedaży i konsumpcji narkotyków biorą udział przedstawiciele wszystkich ras zamieszkujących Stany Zjednoczone – ba, sama paliła marihuanę jako nastolatka. Jednak zazwyczaj aresztowała i wsadzała do więzienia członków jednej tylko grupy etnicznej. Przeprowadzone w 1993 roku ogólnokrajowe badanie dotyczące narkomanii wykazało, że Afroamerykanie stanowią dziewiętnaście procent wszystkich handlarzy narkotykami, ale aż sześćdziesiąt cztery procent dealerów aresztowanych za tę działalność<sup>423</sup>. Rezultatem tej dysproporcji były jeszcze bardziej alarmujące dane. W 1993 roku, gdy apartheid już dogorywał, w Republice Południowej Afryki na sto tysięcy obywateli przypadało ośmiuset pięćdziesięciu trzech czarnoskórych więźniów. W tym samym czasie w Stanach Zjednoczonych wśród stu tysięcy obywateli znajdowało się 4919 afroamerykańskich więźniów (i zaledwie 943 białych).

Jak z tego wynika, że względu na wojnę narkotykową i związane z nią działania państwa czarnoskórzy mieszkańcy Krainy Wolności trafiali do więzienia znacznie częściej niż ich pobratymcy z najbardziej rasistowskiego kraju na świecie. Co więcej, od wprowadzenia prohibicji czterdzieści do pięćdziesięciu procent czarnoskórych mężczyzn w wieku od piętnastu do trzydziestu pięciu lat znajduje się w więzieniu, jest poszukiwanych przez policję lub przebywa na zwolnieniu warunkowym<sup>424</sup>, co w ogromnej większości ma związek z przestępstwami narkotykowymi.

Łatwo zakładać, że uprzedzenia Harry'ego Anslingera, z których zrodziła się wojna narkotykowa, były produktem swoich czasów i dawno już odeszły w przeszłość. Leigh odkrywała, że wciąż mają się dobrze. Strach przed przedstawicielami innych ras, który napędzał wojnę z narkotykami, wcale nie wygasł.

Jednak i w tym przypadku Leigh – oraz fakty – kazały mi uznać, że nie jest to wcale taka prosta historia, w której bohaterowie są albo jednoznacznie dobrzy, albo jednoznacznie źli.

Byłem skłonny zakładać, że ta ogromna dysproporcja w liczbie aresztowanych wynika wyłącznie z rasizmu policjantów. Jednak Leigh nie jest rasistką. Dobrze o tym wiemy, bo ryzykowała życiem, walcząc z rasistami. Twierdziła też z przekonaniem, że większość jej kolegów po



fachu nie ma żadnych uprzedzeń rasowych, i że byliby oburzeni, gdyby którykolwiek z nich wygłaszał jakieś rasistowskie komentarze. Jednak Leigh, wbrew własnym intencjom, była – co sama dostrzegła znacznie później – częścią rasistowskiej maszyny.

Mniej więcej w tym samym czasie policjanci w różnych częściach Stanów Zjednoczonych również usiłowali zrozumieć ten mechanizm. Matthew Fogg jest jednym z najbardziej zasłużonych policjantów w kraju, odpowiedzialnym za wytropienie ponad trzystu groźnych przestępców – od morderców, przez gwałcicieli, aż po osoby molestujące nieletnich. Nie mógł się jednak nadziwić, dlaczego jego koledzy po fachu szukają handlarzy narkotykami i narkomanów tylko w dzielnicach zamieszkałych przez czarnoskórych. Udał się do swojego szefa z propozycją, by przygotowywać podobne naloty również w dzielnicach, w których większość mieszkańców stanowią biali.

W jednym z przemówień przytoczył odpowiedź, jaką usłyszał od swojego przełożonego: „Fogg, masz rację, oni też używają narkotyków, ale wiesz co? Ci ludzie znają sędziów, znają prawników, znają polityków, znają grube ryby z rządu. Wiesz, co się stanie, jeśli zaczniemy zatruwać życie im i ich dzieciom? Wystarczy jeden telefon, żeby nas zamknęli. Wiesz o tym, Fogg, prawda? I wiesz, co stanie się potem. Pożegnasz się z nadgodzinami. Pożegnasz się z pieniędzmi. Więc lepiej zająć się tylko najslabszym ogniwem. Ścigajmy tych, których nie stać na prawników i których możemy bezpiecznie zamknąć”<sup>425</sup>.

Wciąż starałem się zrozumieć ten mechanizm, a im więcej policjantów poznawałem – ludzi, którzy nie byli rasistami, ale wyniki ich pracy wydawały się rasistowskie – tym więcej dostrzegałem. Ponad pięćdziesiąt procent Amerykanów naruszyło przepisy prawne związane z narkotykami. Tam, gdzie prawo łamane jest na ogromną skalę, nie da się wyciągać konsekwencji wobec wszystkich winowajców. System prawny po prostu załamałby się pod takim obciążeniem. Ściga się więc ludzi, którzy mają najmniej możliwości, by stawiać opór, spierać się, odwoływać – najbiedniejsze i najmniej lubiane grupy. W Stanach Zjednoczonych są to Afroamerykanie i Latynosi oraz odrobina biednych białych. Zwierzchnicy domagają się konkretnych rezultatów, określonej liczby aresztowań, dzień po dniu, tydzień po tygodniu. Więc atakujesz słabych. Nie wrabiasz ich – oni rzeczywiście łamią prawo. Po prostu skupiasz się na tych najslabszych. I starasz się nie widzieć problemu w szerszej perspektywie.

Ale niektórzy nie potrafią przed tym uciec.

Leigh zaczęła pytać samą siebie, czy można coś z tym zrobić. Czuła się bardzo zobowiązana wobec swoich współpracowników, których uważała za dobrych ludzi. Coraz częściej byli pozywani – często osobiście – przez American Civil Liberties Union [Amerykańska Unia Praw Obywatelskich], a Leigh chciała ich bronić. Pracowała z tymi ludźmi przez wiele lat, razem z nimi nadstawiała karku. Jak mogłaby zostawić ich teraz samych na polu bitwy?

Ludzie często trywializują prywatne objawienia lub od nich uciekają, szczególnie gdy w grę wchodzi ich zarobki lub przyjaźnie. Leigh wiedziała, że znaczną część budżetu jej departamentu stanowią pieniądze odebrane podejrzanym o przestępstwa narkotykowe. Jak wyglądałaby praca policjantów, gdyby tego zabrakło? Celowo pracowała bardzo ciężko, by „nie mieć czasu na myślenie o tych rzeczach”.

Kiedy mi to tłumaczyła, uświadomiłem sobie, że korzyści, jakie prohibicja daje zarówno jej, jak i Chino, skłaniają ich oboje do dalszego prowadzenia wojny i ignorowania wątpliwości.

Jednak zatrzymywanie i przeszukiwanie aut, czyli swoją pracę przy autostradzie I-95, Leigh zaczęła nagle widzieć w zupełnie inny sposób. Niegdyś postrzegała ją z perspektywy toczącego sprawiedliwą wojnę żołnierza, do którego zbliża się wróg. Teraz widzi to jako spotkanie ludzi otoczonych duchami. Kiedy policjant podchodzi do samochodu, w ślad za nim udają się duchy wszystkich gliniarzy, których znał, „wszystkie pogrzeby, w których uczestniczył, duchy wszystkich ludzi, którzy zginęli podczas policyjnych zatrzymań – a jest tego masa” – mówiła. Naprzeciwko „jest ten biedny czarny dzieciak” w samochodzie. Siedzi na fotelu pasażera, a za nim czają się jego duchy – duchy krewnych i przyjaciół, którzy zostali zabici podczas policyjnych nalotów lub zniknęli w trzewiach amerykańskiego systemu więziennictwa.

Żaden nie widzi duchów po przeciwnej stronie. Potrafią się tylko nienawidzić.

Pewnego dnia Leigh odkryła, że nie jest sama. Przyjaciel powiedział jej o grupie pod nazwą Law Enforcement Against Prohibition, organizacji policjantów, sędziów i strażników więziennych, którzy dążą do zakończenia wojny narkotykowej, by w ten sposób doprowadzić gangi narkotykowe do bankructwa. Leigh była zaintrygowana. Musiała znaleźć odpowiedź na

pytanie, które dręczyło ją od dłuższego czasu: jakie były praktyczne skutki jej wieloletniej pracy?

Postanowiła wybrać się do strefy narkotykowej wojny w Baltimore, tym razem bez munduru, jako cywil. Przyglądała się dzieciakom na ulicach, rozmawiała z nimi. Odkryła, że „wychowują się w strefie wojny. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości”. Niemal co noc dochodziło tu do zabójstw związanych z narkotykami, a „dzieciaki to widzą. Wszystkie o tym wiedzą. To wywołuje traumę, jakiej nawet nie umiemy sobie wyobrazić”.

Być może najważniejsze jest jednak to, że kiedy już raz zostałeś aresztowany za przestępstwo narkotykowe – w wieku piętnastu, siedemnastu czy dwudziestu lat – praktycznie do końca życia nie znajdziesz legalnej pracy<sup>426</sup>. Nigdy już nie będziesz mógł normalnie pracować. Nie dostaniesz kredytu studenckiego. Wyrzucą cię z mieszkania komunalnego. Nie będziesz mógł nawet wejść do budynku komunalnego. „Powiedzmy, że twoja matka mieszka w bloku, a ciebie aresztują za posiadanie. Kiedy wyjdiesz na wolność, będziesz chciał ją odwiedzić. Jeśli zarządca budynku dowie się, że tam byłeś, powie, że naruszyłeś warunki wynajmu i wywalą [całą rodzinę]” – mówi Leigh. Stale spotykałem takich ludzi w różnych zakątkach Stanów Zjednoczonych – obywateli drugiej klasy, pozbawionych nawet prawa do głosowania, bo kiedyś, w przeszłości, mieli przy sobie narkotyki.

Leigh była zdumiona, kiedy to wszystko odkryła: „Kiedy byłam policjantką, nikt nie mówił nam o dodatkowych konsekwencjach aresztowań za przestępstwa narkotykowe, choćby za posiadanie marihuany. Nie miałam pojęcia [...]. Nikt nam tego nie uświadamiał. Po prostu każą iść w teren i wyrobić normę. Wykonywać swoje zadanie”.

Podobnie myślał agent Jimmy Fletcher, który na polecenie Harry’ego Anslingera miał zrobić Billie Holiday – nigdy nie wybaczył sobie tego, co jej zrobił. Leigh Maddox również nigdy nie wybaczyła sobie tego, co zrobiła wszystkim dzieciakom, które aresztowała na przestrzeni lat. Uznała, że nie wystarczy słowo „przepraszam”. Trzeba zadośćuczynienia. Skończyła więc prawo, zrezygnowała z pracy w policji i zaczęła oferować usługi prawnicze w Baltimore, by pomóc tym samym ludziom, których niegdyś aresztowała. Założyła niewielkie biuro o nazwie The JustAdvice, w którym wraz ze swoimi uczniami robi wszystko, by wyczyścić kartoteki skazanych za drobne przestępstwa narkotykowe. Pisze do uczelni z prośbą, by studentom, którzy mają na koncie tego rodzaju przewinienia,

zapewniono dostęp do stypendiów. Broni narkomanów w sądzie. Tak wygląda teraz jej życie.

Brzmi to jak szczęśliwe zakończenie jej historii, ale Leigh jest zbyt pokorna i zbyt prawa, by uznać, że może już zapomnieć o przeszłości. Mówi mi, że nie znalazła jeszcze odkupienia. Wciąż dręczy ją poczucie winy, bo nieustannie spotyka „ludzi, którym nie można pomóc [w zgodzie z aktualnym prawem]. Przychodzi kiedyś do mnie czterdziestopięcioletni facet z kryminalną przeszłością, którą chciałby wymazać, ale... [jedyne, co możesz mu powiedzieć, to] »przykro mi [...] nie ma pan szczęścia«. I wtedy widzisz rozpacz w ich oczach”. Leigh zмага się z systemem prawnym, w którym nawet znany z pobłażliwości sędzia Thurgood Marshall chwali się otwarciem: „Jeśli w jakiejś sprawie chodzi o narkotyki, nawet nie czytam prośby. Nie popuszczę żadnemu handlarzowi narkotyków”<sup>427</sup>.

W 2011 roku Leigh pojechała do miasta, w którym przed laty Harry Anslinger rozpętał wojnę z narkotykami – do Waszyngtonu. Niedaleko budynku, w którym mieściło się niegdyś Federalne Biuro ds. Narkotyków, wygłosiła przemówienie.

„Tych, którzy mówią, że Stany Zjednoczone nie mogą wywieszać białej flagi, pytam: jakiej białej flagi? Wasza biała flaga jest teraz czerwona. [...] Czerwona, skalana i cuchnąca krwią niezliczonych ofiar, dobrych ludzi, złych ludzi i tych zwykłych ludzi, którzy znaleźli się przypadkiem na linii ognia”<sup>428</sup>.

## 7

### Grzyby.

Nigdy się nad tym nie zastanawiając, chyba zawsze zakładałem, że ludzie, którzy giną na wojnie narkotykowej, to ci, którzy zdecydowali się wziąć w niej udział – dealerzy, narkomani i policjanci. Wkrótce jednak zrozumiałem, że istnieje jeszcze całkiem inna kategoria. Dowiedziałem się też, że w Baltimore nazywają tych ludzi „grzybami”.

Był rok 1991, gorący lipcowy wieczór w zachodnim Baltimore. Tiffany Smith bawiła się na chodniku swoją lalkę Kelly w towarzystwie swej najlepszej przyjaciółki Quinyetty<sup>429</sup>. Były przed domem Quinyetty, gdzie miały wspólnie przenocować. Jej rodzice obserwowali dziewczynki z werandy.

W następnych dniach dziennik „The Baltimore Sun” opisał ze szczegółami te wydarzenia. Dziewczynki przez cały dzień dobrze się bawiły<sup>430</sup>. Najpierw śpiewały i klaskały na osiedlowej imprezie, potem tańczyły do antynarkotykowych piosenek wykonywanych przez grupę Parents, Students Moving Against Drugs, a później siedziały razem w letnim upale i bawiły się lalką. Włosy Tiffany związane były w dwa kucyki. Za kilka tygodni miała skończyć siedem lat.

Ale nie skończyła. Nie wiemy, czy widziała dwóch młodych mężczyzn na rogu ulicy. Nie wiemy, czy wiedziała, czym jest „wojna o terytorium”. Nie wiemy, czy usłyszała strzał.

W odróżnieniu od Chino, Leigh i wszystkich innych ludzi opisanych w tej książce, Tiffany nie było dane zająć stanowiska wobec wojny narkotykowej. Skontaktowałem się z jej rodzicami. Nie chcieli rozmawiać.

Nazywają ich grzybami, bo mogą pojawić się wszędzie. Plac, przy którym zginęła, nosi obecnie jej imię – Tiffany Square<sup>431</sup>. Dziś w tym miejscu dealerzy otwarcie handlują narkotykami.

## Część III

### Anioły

## 8

### Stan wstydu

Latem 2012 roku minął rok, od kiedy zacząłem pracę nad tą książką. Czuję się, jakbym utknął w jakimś dziwnym, powracającym śnie, w którym zawsze po powrocie na teren wojny narkotykowej widziałem Harry’ego Anslingera i Arnolda Rothsteina uciekających tylnymi drzwiami.

Widziałem, jak Chino i Leigh bez powodzenia próbowali być Rothsteinem i Anslingerem – ale wciąż słyszałem o ludziach z różnych części świata, którym naprawdę udało wcielić się w role tych ojców założycieli, a potem zejść dalej, niż kiedykolwiek przypuszczali. Uświadomiłem sobie, że ci ludzie sięgnęli do najmroczniejszych impulsów, które kryją się i we mnie, i w naszej kulturze – by dławić skłonności do nałogu przemocą oraz niszczyć w przekonaniu, że prowadzi to do ostatecznego zwycięstwa – i wcielili je w życie. Wiedziałem, że muszę odszukać tych ludzi. Chciałem ich zrozumieć. Być może właśnie oni mieli klucz do rozwiązania tego problemu.

Zarezerwowałem więc bilet do Arizony i kilka dni później maszerowałem przez pustynię z grupą skutych łańcuchami uzależnionych od metamfetaminy kobiet<sup>432</sup>, które trafiły tu za sprawą osobistego ucznia Harry’ego Anslingera. Później poleciałem do Teksasu, gdzie w więziennej celi rozmawiałem przez szybę z hartowanego szkła z pracującym dla prawników Arnolda Rothsteina młodym mężczyzną, który odcinał ludziom głowy za pomocą piły. Na koniec udałem się do najniebezpieczniejszego miasta na świecie, by śledzić sen martwej kobiety.

Grupa więźniarek spotyka się każdego roboczego dnia tygodnia o piątej rano, gdy słońce dopiero zaczyna się wznosić nad pustynią. Kobiety wychodzą z namiotów otoczonych drutem kolczastym i wkładają koszulki, które mówią światu o ich obecności w tym miejscu. „Byłam narkomanką”<sup>433</sup> – głosi napis na koszulce, sporządzony wielkimi pogrubionymi literami, które można odczytać nawet z dużej odległości. Przyglądam się, jak osłabione głodem i zmęczeniem zakładają pasiaste



uniformy. Na koniec zapinają na nogach łańcuchy. Wtedy strażnicy każą im zaintonować pieśń:

*Everywhere we go  
People want to know  
Who we are  
So we tell them  
We are the chain gang  
The only female chain gang*

[Wszędzie gdzie idziemy  
Ludzie chcą wiedzieć  
Kim jesteśmy  
Więc mówimy im  
Że jesteśmy grupą katorżniczek  
Jedyną grupą takich kobiet]

Muszą tupać i potrząsać łańcuchami w rytm piosenki, niczym chór w jakimś dystopijnym broadwayowskim musicalu. Tak się zaczyna ich marsz w pustynnym żarze.

Czasami muszą grzebać ludzkie zwłoki. Dziś wsiadają do autobusu. Zostają poinformowane, że jadą na wypaloną słońcem, zaśmieconą wysepkę drogową, by w czterdziestostopniowym upale zbierać śmieci przy billboardach zachęcających ludzi do głosowania na polityka, który jako pierwszy wprowadził tę osobliwą formę kary.

Kobiety próbują wysiąść z autobusu, ale wpadają na siebie, potykając się o łańcuchy. Zawsze cicho przepraszają, gdy ich towarzyszki pomagają im utrzymać równowagę. Kiedy już stoją w pełnym słońcu, dostają butelkę z filtrem przeciwsłonecznym. Zauważam, że termin przydatności filtru minął w 2009 roku, trzy lata wcześniej. Substancja wypływająca z butelki ma postać gęstej pasty. Jedna dziewczyna nie ma łańcuchów na nogach<sup>434</sup>. Jej zadaniem jest wbicie tablicy z napisem „Uwaga! Katorżniczki szeryfa przy pracy!” oraz dostarczanie wody kobietom, które są bliskie omdlenia. Gabba jest bladą, kościstą dziewiętnastolatką, Amerykanką o włoskich korzeniach. Kiedy ją zaczepiam, mówi mi, że jako nastolatka została wyrzucona z domu przez rodziców i zaczęła brać heroinę. „To była moja ucieczka” – wyznaje, spuszczając wzrok.

Spoglądam na Candice, która chwiejnie krąży wokół i zerka na nas speszona. Jest jasnowłosą dwudziestokilkulatką. Jej czerwona twarz, wyglądająca jakby coś powoli ją zjadało, krwawi w miejscach, gdzie Candice zbyt mocno się drapała. Lekarze powiedzieli jej, że to uczulenie na

wybielacz, który stosują w namiotach, ale nic nie może na to poradzić. Podobnie jak inne kobiety, opowiada o swoim życiu beznamiętnym, rzeczowym tonem – nie ma w tej historii nic wyjątkowego. Uciekła od rodziny, gdy miała czternaście lat, poszła w tango i zaczęła zażywać metamfetaminę. „To była najlepsza rzecz, jakiej zaznałam w życiu. Dzięki niej zniknęły wszystkie złe emocje. Boję się stąd wyjść, bo nie wiem, co zrobię. To wycisza wszystkie lęki, wszystkie złe rzeczy. Nic wtedy nie czuję” – opowiadała, drapiąc się po twarzy. Jak wszyscy, Candice nieustannie poci się w tym upale, a sól zawarta w pocie jeszcze bardziej podrażnia jej skórę.

Na innych koszulkach, które musiały nosić kobiety, widniały napisy: „Zrywam z marihuaną, oczyszczam się i trzeźwieję” oraz „Zażywałam metamfetaminę”. Nieco starsza od pozostałych Michelle, kiedyś uzależniona od metamfetaminy, mówi mi, zbierając niezdarnie śmieci: „Wiele kobiet było odartych z godności, nim tu trafiły, a na miejscu pozbawiono je nawet resztek honoru. Wszystko [co robią] ma nas upokorzyć, aż nic nam nie zostanie”. Kilka godzin po tym, jak mi to powiedziała, po długim pobycie na słońcu, przed którym chronił ją tylko przeterminowany filtr, Michelle zaczyna wymiotować i drżeć, a pozostałe kobiety muszą ją podtrzymać<sup>435</sup>.

Poprzedniego dnia, gdy w rozmowie z człowiekiem, który wymyślił tę katorgę (oraz wiele innych kar przeznaczonych dla narkomanów), wspomniałem o Harrym Anslingerze, mężczyzna rozpromienił się w uśmiechu.

„Och, jest pan niesamowity! To niezwykle, że pamięta pan o tym człowieku!”<sup>436</sup> – zawołał. Miał powieszony na ścianie autograf Harry’ego, który towarzyszył mu podczas pracy. Anslinger był dla niego bohaterem, wzorem, człowiekiem, który rozpoczął to wszystko. Podczas naszej rozmowy raz po raz wypowiadał jego nazwisko, jakby głaskał mruczącego kota.

Harry Anslinger zatrudnił Joego Arpaio w 1957 roku jako agenta Federalnego Biura ds. Narkotyków, a ten na przestrzeni dekad stale piął się po szczeblach kariery. Od 1993 roku był każdorazowo wybierany na szeryfa hrabstwa Maricopa w Arizonie. Kiedy go poznałem, skończył już osiemdziesiąt lat i wkrótce miał rozpocząć szóstą z rzędu kadencję. Jego kapelusz marki Stetson, jego lśniąca żółta gwiazda szeryfa i jego drwiący uśmiezek stały się narodowymi symbolami jednej z wielu, choć

wyjątkowo specyficznej – rodem z gabinetu luster – twarzy Ameryki, a zarządzana przez część Arizony, zamieszkała przez prawie cztery miliony ludzi, jest ostatnim wielkim laboratorium Harry’ego Anslingera. Szeryf Joe zbudował więzienie, które otwarcie nazywa swoim „obozem koncentracyjnym”<sup>437</sup>, a w czasie kampanii wyborczej zlatują się tu z pochwałami stada kandydatów na prezydenta. Anslinger powiedział, że narkomani to „trędowaci”, których należy „poddawać kwarantannie”<sup>438</sup>, więc Arpaio wybudował im na pustyni leprozorium.

Przyglądam się z boku, jak Gabba, Candice, Michelle i pozostałe kobiety maszerują równym krokiem do autobusu. Znów muszą śpiewać:

*We're in a state of shame  
Couldn't get our lives straight  
We're headed back to intake  
We're here without our kids  
We lost our hope  
We gave up dope*

[Okryłyśmy się hańbą  
Nie umiałyśmy uporządkować sobie życia  
Zaczynamy od początku  
Jesteśmy tu bez naszych dzieci  
Straciłyśmy nadzieję  
Porzuciłyśmy narkotyki]

Śpiewając, kobiety zerkają w moją stronę, a potem szybko odwracają wzrok. Zgodnie z rozkazami strażników mają patrzeć tylko na tył głowy osoby, która idzie przed nimi.

Dopiero po chwili uświadamiam sobie, o czym jest następna piosenka. Strażnicy kazali kobietom śpiewać, że zostaną poddane elektrowstrząsom, jeśli ośmielą się im sprzeciwić:

*We're in stripes  
They're in browns  
We walk in chains with them close by  
We dare not run, we dare not hide  
Don't you dare give them no lip  
'Cause they got teasers on their hip*

[Jesteśmy w pasiakach  
Oni w brązowych mundurach  
My chodzimy w łańcuchach, oni nas pilnują  
Nie ośmielamy się uciekać ani ukrywać  
Nie próbujcie im pyskować  
Bo noszą przy boku paralizatory]

Nie są to wcale czcze pogrózki: w więzieniach Arizony co najmniej kilku więźniów zmarło wskutek rażenia paralizatorem. Kiedy wchodzimy do autobusu, kobiety są rozkuwane i przechodzą rewizję osobistą, która ma sprawdzić, czy nie przemycają narkotyków w pochwie lub odbycie.

Mieszkają w namiotach, które Arpaio wyprosił u wojska. Wiele spośród nich pochodzi jeszcze z czasów wojny koreańskiej. Nocą słychać szelest skorpionów i popiskiwanie myszy, które szukają pożywienia na pobliskim wysypisku śmieci. Zimą panuje tu mróz, latem żar uderza niczym rozgrzane powietrze z olbrzymiej suszarki do włosów. Temperatura we wnętrzu namiotów sięga sześćdziesięciu stopni Celsjusza. Kobiety idą pod prysznic w ubraniu, by nasączyć je wodą i tak położyć się do łóżka. Po godzinie znów są całkiem suche, ale przynajmniej przez tę godzinę mogą trochę odsapnąć.

Kiedy po raz pierwszy wszedłem do Tent City [Miasto Namiotów], więźniarki otoczyły mnie ciasnym kołem i próbowały pospiesznie wytłumaczyć, co dzieje się w tym miejscu.

„To jest piekło!” – wrzeszczy jedna z nich. Dostają dwa posiłki dziennie, każdy o wartości piętnastu centów<sup>439</sup>. Więźniarki i strażnicy nazywają je „pomyjami” – to brązowawa breja zawierająca podejrzane mięso<sup>440</sup>, które – jak pochwalił się kiedyś dziennikarzowi Arpaio – zawiera „zgniłe” kawałki i kosztuje co najwyżej czterdzieści centów za porcję. Odwiedzający mogą dawać więźniarkom pieniądze na drobiazgi z kantyny, takie jak chipsy ziemniaczane, ale wiele kobiet nie ma nikogo, kto chciałby lub mógłby dać im jakiegokolwiek pieniądze, więc stale głodują. Osadzonym nigdy nie wolno dotykać gości: wszystko kontrolują kamery. Można wprowadzać dzieci do rozmównicy, ale matka jest wtedy przykuta do stołu i nie może ich dotykać, niezależnie od tego, ile mają lat. Nawet jeśli dziecko woła zrozpaczone: „Mamusi, mamusi!” i chce się przytulić, więźniarka nie może się do niego zbliżyć, wolno jej jedynie patrzeć na płaczącego malucha. Kobiety mówią, że strażnicy otwarcie z nich szydzą. „Uważają, że to zabawne. Śmieją się, kiedy widzą, jak przeżywamy rozłąkę z dziećmi” – mówi jedna z nich. „Wygląda to tak, jakby uczono ich brutalności” – dodaje inna.

Kiedy idę między namiotami, kakofonia głosów atakuje mnie ze wszystkich stron – dwudziestoletni cukrzyk, uwięziony za picie alkoholu, krzyczy, że nie dostaje insuliny, zewsząd słychać przerażone wycia oraz narzekania na miejsce zwane „Dziurą”.

Nazajutrz wracam po więcej szczegółów – ale coś się zmieniło. Więźniarki, które wczoraj mnie oblegały, pełne bólu i skarg, dziś odwracają się ode mnie. Kiedy podchodzę do nich w namiotach, milczą i kręcą głowami. Przechodzę od jednej do drugiej – żadna nie chce rozmawiać, a gdy mimo to zadaję im pytania, próbują mnie przegnać. Kakofonię zastąpiło kompletne milczenie. Jedna z kobiet chwyta mnie za rękę i mówi, że przykro jej, że nie może ze mną rozmawiać, ale chciałaby chociaż uścisnąć mi dłoń. Kiedy to robi, czuję, że przekazuje mi małą karteczkę.

Otwieram ją później. W środku znajduje się wiadomość o następującej treści: „Jeśli powiem panu prawdę, trafię do Dziury, a to jest straszne. Proszę zrozumieć. Chciałabym z panem porozmawiać, ale nie mogę. Obserwują nas. Wczoraj po pańskim wyjściu wszystkie miałyśmy kłopoty. Proszę nie pokazywać nikomu tej kartki”<sup>441</sup>.

Zakładam, że nie zdobędę więcej informacji w Mieście Namiotów. Lecz kiedy pytam, czy mógłbym zobaczyć Dziurę, ku mojemu zdumieniu strażnicy się zgadzają. Wszyscy tak nazywają to miejsce, łącznie ze strażnikami, choć oficjalnie to „izolatka”. Przechodząc między namiotami do betonowego serca więzienia, widzę, że Dziura składa się z małych betonowych cel ułożonych w szeregach, na dwóch różnych poziomach. W drzwiach każdej celi znajduje się mała szczelina. Gdy strażnik otwiera drzwi, ze środka wygląda para wystraszonych oczu. Na widok obcej osoby więźniarki natychmiast zaczynają wołać o pomoc, ich głosy wydają się dziwnie stłumione i zachrypnięte, jakby nie mogły przecisnąć się przez gardła. Nie wolno im rozmawiać ze strażnikami – jeśli mają im coś do przekazania, muszą napisać to na kartce i wsunąć ją pod drzwi. Próbują więc rozmawiać ze mną.

Pierwszą rzeczą, jaką czuję po podejściu do cel, jest smród, okropny odór ludzkich odchodów, tak przytłaczający, że zbiera mi się na wymioty.

Więźniarki pozwalają mi zajrzeć do wnętrza cel. Jedyne wyposażenie małych pomieszczeń stanowi prycza, na której zmieściłoby się co najwyżej dziesięcioletnie dziecko. Człowiek uwięziony w tym miejscu nie widzi słońca ani nieba, ani innych ludzi. W niektórych przypadkach do jednej celi przydzielane są dwie osoby – i choć jest im wtedy tak ciasno, że ledwie mogą się poruszać, a do tego muszą przy sobie załatwiać swoje potrzeby, i tak uważają się za szczęściarzy<sup>442</sup>.

Mieszkaniec Dziury może raz dziennie opuścić celę na godzinę, by wziąć prysznic i rozprostować nogi: w ciągu tej godziny nie można kontaktować się z innymi ani korzystać z telefonu komórkowego. Pobyt w Dziurze jest karą za złamanie jednej z zasad wprowadzonych przez szeryfa Joego; można tam też trafić, jeśli podpadnie się któremuś ze strażników. Dla przykładu – Joe zabronił papierosów, więc zamknięto tu na miesiąc kobietę, przy której znaleziono jedną sztukę.

W jednej z cel, na górnym poziomie, w samym rogu, krzyczy kobieta – histerycznie, przerażająco. Jej głos brzmi jak alarm samochodowy, który włączył się w środku nocy. Nie rozumiem tego, co mówi, tylko pojedyncze słowa, potem jednak dowiaduję się, że to młoda kobieta z Arabii Saudyjskiej. Co ciekawe, jest jedyną więźniarką, która ma coś pozytywnego do powiedzenia o Mieście Namiotów. „Przez to nie chcę tu wracać. Wiesz, co mam na myśli? Dlatego są dla nas tacy surowi. Ludzie mogą mówić, co chcą, ale oni właśnie dlatego są dla nas tacy surowi” – mówi. Próbuje mi powiedzieć coś jeszcze, ale strażnicy otaczają jej celę. Informują mnie, że nie mogę z nią rozmawiać i że wezwali już lekarza.

Inna kobieta krzyczy do mnie, że ktoś próbował tu zeszłej nocy popełnić samobójstwo. „Słyszałyśmy wszystko. Powiedziała do strażnika [przez szczelinę w drzwiach], żeby zabrał jej brzytwę, ale on jej nie słuchał. [Potem] usłyszałyśmy, jak oficer krzyczy »Jasna cholera!«”. Zanim przyjechałem do Miasta Namiotów, dziewczynę zabrano do szpitala. Powiedziano mi, że nie mogę z nią rozmawiać.

Pobyt w izolatce czy karcercze to standardowa kara w amerykańskich więzieniach. Niedługo przed opisywaną tutaj sytuacją Mark Tucker, niepełnosprawny umysłowo więzień zamknięty w innym więzieniu w Arizonie, przebywał w izolatce przez tyle lat, że gdy po raz kolejny jego prośba o dokwaterowanie współlokatora spotkała się z odmową, podpalił się. Gdy trafił do szpitala z poparzeniami obejmującymi osiemdziesiąt procent powierzchni ciała, poinformowano go, że Departament Więziennictwa będzie się od niego domagał zwrotu miliona ośmiuset tysięcy dolarów za leczenie<sup>443</sup>.

Pośrodku kompleksu więziennego, w oddalonym od namiotów gabinecie, spotykam się z psychologiem Jorge de la Torre, który ma za zadanie pomagać tutejszym więźniarkom. Wydaje się znużony i sfrustrowany, jakby gdzieś coś zawieruszył i teraz nie mógł tego znaleźć. Mówi mi, że około dziewięćdziesiąt procent więźniów „trafia tu z powodu problemów



związanych z narkotykami”. Praktycznie wszyscy mają za sobą traumatyczne doświadczenia. „Dorastają pozbawieni jakichkolwiek alternatyw. Mają problemy rodzinne, z którymi nie potrafią sobie poradzić” – mówi. Jorge może prowadzić wyłącznie indywidualne konsultacje, więc w danej chwili zajmuje się tylko jednym na stu więźniów. Reszcie zostają strażnicy i Dziura.

W pobliżu Miasta Namiotów znajduje się normalne, klimatyzowane więzienie, ale Joe Arpaio wyrzucił stamtąd ludzi i zamienił je w schronisko dla zwierząt<sup>444</sup>. Teraz psy i koty relaksują się w chłodnych pomieszczeniach, podczas gdy narkomani cierpią w upale i burzach piaskowych. Szeryf uważa, że zwierzęta na to zasługują.

Kiedy opowiadam o Mieście Namiotów współpasażerom w autobusach dalekobieżnych, którymi podróżuję po całym kraju, wszyscy zakładają, że to jakiś wybryk natury, upiorna parodia zwykłych cywilizowanych zakładów, z których składa się amerykański system więziennictwa. Jednak im dłużej jeździłem po Stanach, im więcej byłych więźniów spotykałem na swej drodze i im więcej czytałem prac na ten temat, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że właśnie w taki sposób traktuje się narkomanów w całych Stanach Zjednoczonych i na całym świecie.

Śledzę na bieżąco statystyki. Liczba osób uwięzionych w Stanach Zjednoczonych za przestępstwa narkotykowe jest większa niż liczba wszystkich więźniów w krajach Europy Zachodniej<sup>445</sup>. Żadne państwo nigdy nie więziło tak dużego odsetka swoich obywateli. Obecnie społeczność więźniów jest tak duża, że gdyby zgromadzić ich wszystkich w jednym miejscu, stworzyliby trzydziesty co do liczby mieszkańców stan Ameryki<sup>446</sup>.

Od liberalnego stanu Nowy Jork po liberalny stan Kalifornia rutynowo zamyka się w więzieniach i torturuje ludzi uzależnionych. Weźmy choćby jeden przykład – Departament Sprawiedliwości szacuje, że w więzieniach, gdzie osadzeni są narkomani, co roku zostaje zgwałconych dwieście szesnaście tysięcy osób (liczba ta dotyczy ofiar, a nie samych gwałtów – tych jest znacznie więcej). Jak zauważył pisarz Christopher Glazek, oznacza to, że Stany Zjednoczone są z pewnością pierwszym państwem w historii ludzkości, gdzie gwałci się więcej mężczyzn niż kobiet<sup>447</sup>. Okazuje się więc, że gwałt na matce Chino nie był czymś wyjątkowym i że jest to powszechny element wojny narkotykowej – dotyczący obu płci.



Polityka Stanów Zjednoczonych wobec narkomanów nie jest wyjątkiem. W Chinach osoby uzależnione często trafiają do obozów pracy, gdzie w ramach kary wykonują bardzo ciężkie prace fizyczne. Podobnie dzieje się w Rosji, Tajlandii, większości państw Ameryki Południowej – lista jest bardzo długa. Europa jest nieco łagodniejsza, pojawił się tam też pojedynczy promyk nadziei, o czym przekonałem się jakiś czas później.

Szeryf Joe Arpaio jest symbolem tego okrucieństwa, rozpoznawalnym na całym świecie, ma jednak wielu mniej znanych naśladowców, korzystających z jego doświadczeń. Wojna narkotykowa zmieniła Stany Zjednoczone w górujące nad resztą lśniące Miasto Namiotów, z którego inspirację czerpie cały świat.

Próbując zrozumieć, co naprawdę dzieje się z narkomanami w Arizonie, rozmawiałem z garstką ludzi, którzy walczą o poprawę warunków w tamtejszych więzieniach. Jednym z nich była Donna Leone Hamm, szefowa grupy o nazwie Middle Ground Prison Reform.

Zadałem jej jedno z moich standardowych pytań – co na przestrzeni lat zszokowało panią w tej pracy najbardziej?

Zaczęła długą wyliczankę, a gdzieś w połowie tej litanii wspomniała mimochodem o kobiecie, która ugotowała się w klatce.

„Przepraszam, Donna – przerwałem jej po chwili, otrząsnąwszy się ze zdumienia – możemy się troszkę cofnąć? Opowiedz mi o kobiecie, która ugotowała się w klatce”.

Donna przysłała mi archiwa tej sprawy, a ja wybrałem się w drogę, by sprawdzić, kim naprawdę była ta kobieta.

Więźniarka numer 109416 obudziła się w swojej celi w Arizona State Prison Complex w Perryville i powiedziała, że ma myśli samobójcze.

Była drobną czterdziestokilkuletnią blondynką z zepsutymi zębami i zapadniętymi policzkami, której myśli często łączyły się w długi strumień paranoidalnego chaosu. Trafiła do więzienia, bo rok wcześniej na ulicy Phoenix podszedł do niej jakiś mężczyzna i powiedział, że da jej torebkę metamfetaminy, jeśli ona zrobi mu laskę<sup>448</sup>. Zgodziła się, została aresztowana i osadzona w zakładzie karnym, niedaleko cel zajmowanych przez skazańców czekających na egzekucję. Wcześniej już wiele razy siedziała w więzieniu albo za zażywanie narkotyków, albo za ich zdobywanie za pomocą nierządu. Zaprowadzono ją do doktor Susan Kaz<sup>449</sup>,

która tego dnia pełniła dyżur w więzieniu. W aktach aresztowanej znajdowała się informacja, że zdiagnozowano u niej psychozę maniako-depresyjną i że ze względu na głęboko posuniętą niesprawność umysłową sąd przydzielił jej opiekuna prawnego<sup>450</sup>. Kiedy 109416 została zamknięta w Dziurze w Mieście Namiotów, połknęła ostrze brzytwy, bo – jak powiedziała jej była współwięźniarka, Juliana Philips – „chciała rozmawiać. Nikt się do niej nie odzywał, a strażnicy traktowali ją jak gówna. Chciała tylko mieć przyjaciółkę”. Lekarz uznał jednak, że to tylko wybieg, który miał pozwolić 109416 przenieść się do lepszej celi<sup>451</sup>.

Strażnicy przenieśli więc kobietę do odsłoniętej klatki na pustyni. W klatce nie było niczego – ani łóżka, ani krzesła, ani wody. Słońce prażyło. Temperatura sięgała tego dnia ponad czterdziestu stopni Celsjusza.

Teoretycznie więzień może spędzić w tej klatce maksymalnie dwie godziny, lecz w praktyce czasami zostawia się tam skazanych na znacznie dłużej.

Klatka znajduje się w miejscu doskonale widocznym dla strażników. Więźniarka poprosiła ich o wodę. Strażnicy odpowiedzieli szyderstwami. Jeden z nich powiedział później, że osadzona była „stuknięta, zależało jej tylko na kawie i papierosach”<sup>452</sup>. Inny dodał, że „miała nierówno pod sufitem”.

Więźniarka wypróżniła się w klatce<sup>453</sup>. Nikt nie przyszedł posprzątać.

Mijały godziny. 109416 była coraz bardziej zgrzana, zaczęły jej dokuczać oparzenia słoneczne. Krzyczała. Strażnicy mówili później, że wrzeszczała „coś o Jay-Z i Beyoncé, którzy chcieli ją zabić”<sup>454</sup>.

W pewnym momencie kobieta przewróciła się, wpadając we własne odchody. Jej twarz, wciśnięta w rozpaloną podłogę, pokryła się oparzeniami pierwszego stopnia. Szesnastu różnych strażników miało okazję pomóc jej w jakikolwiek sposób. Żaden nie zareagował.

W tym miejscu pojawiają się odmienne wersje zdarzeń. Strażnicy twierdzą, że mówili do kobiety: „Nie leż na ziemi! Jest za gorąco!”<sup>455</sup>. Jednak więźniarki zeznają, że zapytano jednego z funkcjonariuszy: „Czy Powell naprawdę zemdląca, kiedy próbowałeś ją wyprowadzić?”, a ten odpowiedział: „Tak, to było naprawdę śmieszne. Szkoda, że tego nie widziałeś”<sup>456</sup>.

Więźniarki, które obserwowały z dala tę sytuację, widziały, że z 109416 dzieje się coś strasznego. Jej współwięźniarka Juliana Philips opowiadała

mi potem: „Mówiliśmy, że ta dziewczyna leży tam już dłuższy czas i się nie rusza. Widzieliśmy, jak strażnicy przechodzą obok niej, ale żaden nawet nie przystanął. Leżała tam nieruchomo, a nikt nie reagował. Kto spałby na betonie, w słońcu, w dodatku w ubraniu z poliestru?”

Gdy w końcu strażnicy wezwali pogotowie, ratownicy próbowali zmierzyć jej temperaturę. Skala na ich termometrach sięgała maksymalnie czterdziestu dwóch stopni Celsjusza: nieprzytomna kobieta miała co najmniej taką lub jeszcze wyższą temperaturę<sup>457</sup>. Jej narządy wewnętrzne po prostu ugotowały się jak w piekarniku<sup>458</sup>. Gdy przewieziono ją do szpitala, personel medyczny powinien był, zgodnie z prawem, skontaktować się z jej opiekunem prawnym, by wraz z nim podejmować decyzje dotyczące leczenia<sup>459</sup>. Nie zrobiono tego. Decyzję podjęły wspólnie władze więzienia i szpitala<sup>460</sup>. 109416 zmarła tuż przed północą.

Sekcja zwłok wykazała, że doznała ciężkich poparzeń. Jak później napisano, jej oczy były „suche jak pergamin”<sup>461</sup>.

Wkrótce po tym wypadku zwolniono trzech strażników<sup>462</sup>. Ani jeden z pracowników więzienia powiązanych z tą sprawą nie usłyszał jakichkolwiek zarzutów. Żaden z nich nie wypowiedział się dla mediów. Jak wynika z protokołów przesłuchań przeprowadzonych na potrzeby oficjalnego śledztwa, wszyscy strażnicy pełniący wówczas dyżur zaprzeczyli, jakoby szydzili z kobiety, gdy ta umierała.

Tak wygląda historia, którą znalazłem w aktach śledztwa dotyczącego śmierci 109416. Osobą, która odpowiada za to więzienie, nie jest Joe Arpaio. Zakładem kieruje państwo, a nie hrabstwo: nie tylko szeryf traktuje w ten sposób uwięzionych narkomanów. To podejście stosowane w całym stanie, w całym kraju i na całym świecie. Jedną z osób zarządzających tym akurat więzieniem był Chuck Ryan, który przez całe życie pracował w Departamencie Więziennictwa w Arizonie – z wyjątkiem okresu, gdy doradzał administracji Busha przy tworzeniu systemu więziennictwa w Iraku. Jak wiemy, kulminacją tego okresu był skandal związany z Abu Ghraib<sup>463</sup>.

Nikt nie wiedział zbyt wiele o więźniarce 109416. Miała zostać pogrzebana w zbiorowej mogile przy więzieniu, ale wtedy do akcji wkroczyła organizacja Donny. 109416 została po śmierci pozbawiona tożsamości, podobnie jak została jej pozbawiona w więzieniu, gdy umierała w klatce. Jednak w roku 2012 udało mi się – dzięki pomocy Peggy Plaws,

aktywistki walczącej o prawa więźniów w Arizonie – odszukać Richarda Husmana, byłego chłopaka 109416 i ojca jej syna. Pojechałem do Springfield w stanie Missouri, usiadłem z nim w barze i wysłuchałem historii nieszczęsnej kobiety. Dla niego była Marcją Powell.

Richard to potężny mężczyzna o szerokich umięśnionych ramionach, pokrytych ognistymi tatuażami, byłem więc trochę zaskoczony, gdy przyszedł na spotkanie, ściskając w dłoni zdjęcie dziecka. Położył fotografię przede mną, a ja ułożyłem ją obok wszystkich dokumentów dotyczących Marcii, jakie udało mi się znaleźć – protokołów z policyjnych przesłuchań, akt sądowych, opisów jej śmierci. Razem zaczęliśmy odtwarzać jej historię i łączyć ją w spójną całość.

Do trzeciego roku życia Marcia mieszkała ze swoją biologiczną matką. Potem trafiła na trzy lata do rodziny zastępczej z Kalifornii, przez którą została w końcu adoptowana<sup>464</sup>. Coś złego wydarzyło się jednak w tej rodzinie. Marcia nigdy o tym nie opowiadała, ale skończyło się na tym, że jej przybrana matka „wywaliła ją z domu, gdy Marcia miała trzynaście lat – od tej pory ciągle się włóczyła”, jak ujął to Richard.

Dziewczyna nie miała dokąd pójść, więc nocowała na plaży, skąd nikt nie mógł jej wyrzucić. Spała na ciepłym piasku, myła się w toalecie McDonalda (jeśli miała szczęście). Ale ciągle ją okradali i cały czas się bała, że mogą ją „pobić, zgwałcić albo zabić”. Potem stale cierpiała na paranoję. „Kiedy nie masz domu, wpadasz w paranoję. W dodatku ona nie miała żadnego wykształcenia, nie chodziła do żadnej szkoły” – tłumaczył Richard. O życiu na plaży mówił: „Pomyśl tylko, to jest naprawdę trudne. Nie możesz pójść do pracy w Burger Kingu. Musisz się prostytutkować”. Wtedy zapewne Marcia została dziecięcą prostytutką, podobnie jak Billie Holiday, i próbowała ukoić ból narkotykami.

Marcia potrzebowała ochrony. Jedyńymi ludźmi, którzy jej to zaproponowali, byli członkowie Hell’s Angels – gangu motocyklowego handlującego narkotykami i rozwożącego kokainę po całej Ameryce. Richard przypuszczał, że wykorzystywali ją do transportowania zakazanych środków, bo ładna młoda biała dziewczyna nie budzi podejrzeń. Została więc „house mouse” (myszą domową) – jedną z kobiet, które podróżują z gangsterami i wysługują się im, czyszcząc ich motocykle i sprzątając domy. Przyjaciółka Richarda, która dołączyła do naszej rozmowy, powiedziała, że w takim życiu „jesteś niewolnicą. Jesteś nikim, [...] kiedy zostaniesz dziewczyną takiego gangstera, [...] to tak, jakbyś zadarła

z mafią. Kiedy do nich przystąpisz, a potem chcesz odejść, to lepiej od razu uciekaj za granicę i ukryj się, bo inaczej cię zabiją. Zabiją cię, bo za dużo wiesz”.

Co więc dawała Marcii przynależność do gangu? „Bezpieczne miejsce do spania. Jedzenie. Narkotyki. Prysznic. Nie musisz się bać ludzi, którzy kopią w drzwi, bo przy drzwiach stoi facet z bronią” – wyjaśniał Richard. Opiekunem Marcii w gangu Hell’s Angels był znacznie od niej starszy mężczyzna, niejaki Conrad Kurz, który „był dla niej surowy. Był nazistą, [...] prawdziwym nazistą”. Jego dom ozdobiły liczne swastyki i hitlerowskie flagi. „Trzymał ją bardzo krótko”, dopóki nie urodziła im się dziewczynka, Eureka. Władze stanu Arizona odebrały im dziecko, prawdopodobnie dlatego, że Marcia uzależniła się od narkotyków. Conrad nie mógł się z tym pogodzić. Pewnego dnia zastrzelił się pod prysznicem.

Richard poznał Marcie, kiedy zatrzymał się na postoju dla ciężarówek. On również należy do Hell’s Angels. Oboje mieli wtedy niewiele ponad trzydzieści lat. „Zwróciła na mnie uwagę, bo miałem najszybszy motocykl w mieście [...]. Lubiła jeździć szybko” – opowiadał. On też od razu ją polubił: smażyła mu schabowe, robiła nawet śniadania – jajecznicę z kiełbaskami – dla jego psa. Zajęli się poszukiwaniem złota – jeździli nad jeziora, by szukać w nich złotych grudek. „Czasami robiliśmy to przez kilka weekendów z rzędu” – mówił Richard. Marcia uwielbiała przebywać na zewnątrz, zwłaszcza w wodzie. Tam była najszczęśliwsza.

Postanowili osiąść w Missouri. „Przez rok pracowałem na kolei. Mieliśmy dom, ja miałem samochód”. Za namową Richarda Marcia rzuciła wszystkie narkotyki oprócz marihuany. Zaczęła prowadzić normalne życie. Kosiała trawnik. Oglądała telewizję. Sadziła kwiaty, a potem również je rysowała. „Bardzo się cieszyła tą stabilizacją. Zawsze jej to zapewniałem” – wspominał Richard. Lecz Marcia uznała, że chce wrócić do Arizony po swoją córkę Eurekę – po prostu nie mogła zostawić jej tam samej, bez matki.

Po przyjeździe do Arizony odkryła, że czeka tam na nią stary nakaz aresztowania za posiadanie półtora grama marihuany – dwóch dzointów. Została aresztowana i po raz pierwszy w życiu skazana – na rok aresztu domowego. Patrząc na to z perspektywy czasu, Richard dochodzi do wniosku, że był to punkt zwrotny – znów pozbawiono ją poczucia stabilizacji. Od roku czuła się dobrze, ale po aresztowaniu ponownie zaczęła cierpieć na paranoję, która uderzyła ze zdwojoną siłą. Pewnego

wyjątkowo upalnego dnia Marcia wpadła nagle w przerażenie i wybiegła boso na ulicę, doznając poparzeń trzeciego stopnia na podszewkach stóp. Musieli jej pobrać skórę z pleców, by uzupełnić braki na stopach.

Kiedy to mówił, pomyślałem o ostatnim wolnym od nałogów okresie w życiu Billie Holiday – i o George’u Whicie, który prześladował ją ze względu na jej przeszłość.

Marcia i Richard mieli syna, Ritchiego. Po aresztowaniu Marcia wróciła do narkotyków i raz po raz trafiała do więzienia. Zdaniem Richarda, dla władz powinno być oczywiste, że była uzależniona. „Z uzależnieniem można sobie poradzić przy odpowiedniej pomocy. To nie jest coś, za co idzie się do więzienia”. Uważa, że należało ją umieścić w szpitalu psychiatrycznym. „To najprawdopodobniej by jej pomogło. Powinna dostać Xanax i morfinę, żeby odzyskać równowagę chemiczną, [...] wszystkie odpowiednie lekarstwa. Ktoś powinien jej okazać trochę szacunku. Przyuczyć ją do jakiejś pracy. Pozwolić jej zdawać maturę, żeby po wyjściu mogła sobie jakoś urządzić życie, znaleźć jakieś mieszkanie, choćby w przytułku dla kobiet, zdobyć pracę [...]. Żeby ktoś okazał jej szacunek, tak to właśnie powinno wyglądać. Jeśli jesteś spokojny i pewny siebie, jeśli wiesz, że masz przed sobą życie, że możesz się odbić od dna. [...] Jeśli wiesz, że możesz piąć się w górę, będziesz to robić” – tłumaczył Richard. Tymczasem system sądownictwa karnego stale spychał ją w dół. Pewnego dnia Marcia zniknęła w policyjnym radiowozie, a Richard już nigdy jej nie zobaczył.

W końcu ułożył sobie życie z inną kobietą, zabrał ją wraz z jej dziećmi do swojego domu w Missouri, gdzie sprowadził również Ritchiego, który często pytał o swoją matkę. Gdy pewnego dnia, dziesięć lat później, Richard wrócił z pracy, jego dom stał w płomieniach. Dopiero później dowiedział się, co się stało: jego pasierb zgwałcił i zamordował Ritchiego oraz całą swoją rodzinę, a potem podpalił dom. Richard opowiada mi o tym krótkimi, urywanymi zdaniami, jakby wciąż niezaleczony ból nie pozwalał mu zatrzymywać się zbyt długo przy tym wspomnieniu. Podsuwa mi gazetę z opisem ich śmierci, w którym dominuje ten sam, pełen niedowierzania ton. Mówi, że dzieciak po prostu zwariował i pozabijał wszystkich<sup>465</sup>.

Richard nie wie, czy Marcia dowiedziała się kiedykolwiek o śmierci swojego syna. Umarła rok później. Ma nadzieję, że do tego czasu nie dotarła do niej ta tragiczna wiadomość.



Czytając policyjne raporty dotyczące Marcii Powell, można niemal usłyszeć jej głos. W 1996 roku w Phoenix odbyła stosunek oralny z jakimś mężczyzną, co przypadkiem zobaczył przechodzący obok trzynastolatek. Policja oskarżyła ją o seksualne napastowanie nieletniego, choć taki zarzut stawia się zwykle pedofilom. Policjanci zapisali jej bełkotliwe zeznania tonem, który wydaje się szyderczy. Powiedziała, że mężczyzna poprosił ją o stosunek oralny, ale „życie na to nie pozwoliło. Nie mogliśmy tego zrobić ze względu na szok, jakim jest nasze życie”. Potem zaproponowała seks policjantom, którzy ją aresztowali, bo „cały kraj był w stanie zagrożenia! John ma kłopoty! Visa! Armia, marynarka wojenna, lotnictwo, marines, jednostki specjalne, Gwardia Narodowa!”<sup>466</sup>. Po czym nagle znów była normalna i smutna. Jak zapisano w raporcie, mówiła o sobie, że „nie jest złym człowiekiem, nie skrzywdziła dziecka, ani nic w tym rodzaju” i nie jest zagrożeniem dla społeczeństwa, bo „kocha ludzi”, w więzieniu naucza miłości i „nie jest zupełną stratą czasu”.

Pokazuję te raporty Richardowi. Czyta je przez chwilę, a potem mówi krótko: „Brakuje mi jej”.

Podczas pobytu w więzieniu Marcia patrzyła na pustynię i mówiła z rozmarzeniem o przyrodzie. „Można powiedzieć, że miała pogańskie podejście do religii – wierzyła, że drzewa mają takie samo DNA jak ludzie” – mówi Juliana Philips, jedna z jej byłych współwięźniarek. Marcia twierdziła podobno, że „wszystkie stworzenia mają duszę i są naszymi braćmi. Zatruwamy wodę i nikt nie może jej pić. Ludzie piją wodę z butelek, ale wiewiórki, krowy, psy, koty czy bizona nie mogą tego robić – muszą się truć zanieczyszczoną wodą”.

„Gdyby w Arizonie nie skazano jej na areszt za półtora grama marihuany, teraz żylibyśmy sobie dobrze w Illinois. Miałbym za sobą dwadzieścia lat pracy na kolei. Mieliśmy tam ładny dom z dużym ogrodem. Marcia byłaby mamą. Zajmowałaby się wychowywaniem dzieci. Ritchie miałby teraz osiemnaście lat. Moje dzieci nadal by żyły” – powiedział mi później Richard. Być może to tylko pocieszająca bajka, która pomaga mu radzić sobie z bólem – a być może to prawda. Być może ten areszt pozbawił ją jedynej prawdziwej stabilizacji, jakiej doznała w całym życiu.

Najbardziej boli Richarda to, że gdy umierała w otwartej celi, „śmiali się z niej, bo była chora”. Wręcza mi zdjęcie Ritchiego i pyta, czy dopilnuję, by znalazło się na grobie Marcii. „Żeby wiedziała, że nie była przestępczynią. Bo urodziła anioły” – dodaje.



Wielu spośród strażników więziennych, którzy zamknęli Marcję Powell w odkrytej klatce na pustyni i ignorowali jej krzyki, wciąż pracuje w swoim zawodzie.

### Bart Simpson i anioł z Juárez

Na chodniku w Ciudad Juárez stał prawie dwuipółmetrowy anioł. Wiatr poruszał piórami jego skrzydeł, światło odbijało się w srebrzystej skórze, gdy patrzył z góry na kolejnego trupa. Był to dwudziestoletni mężczyzna – a właściwie już tylko jego ciało. Chwilę wcześniej szedł ulicą obok swojego domu w tym najniebezpieczniejszym mieście świata, gdy przyjechali mordercy. Anioł widział rany po kulach, kałużę krwi i dwoje płaczących krewnych, którzy pojawili się na miejscu zbrodni. Anioł trzymał w rękach tablicę z napisem skierowanym do morderców – ludzi, którzy w ciągu ostatnich pięciu lat zabili sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców Meksyku<sup>467</sup>. Nazywał ich po imieniu: Chapo Guzman – król narkotyków. Kartel Los Zetas – najgroźniejszy z jego rywali. Policja. Wojsko.

„Czasu jest mało. Proście o przebaczenie” – głosi napis na tablicy<sup>468</sup>.

Juan Manuel Olguín wychował się w Ciudad Juárez, meksykańskim mieście położonym tuż przy granicy z USA, naprzeciwko teksańskiego El Paso. Dorastał w czasie, gdy wojna narkotykowa zamieniała Juárez w najniebezpieczniejsze miejsce na świecie. Poznałem go w czwartkowy wieczór 2012 roku, jakiś czas po tym, kiedy stał nad opisanym powyżej ciałem, gdy nosił swoje skrzydła anioła<sup>469</sup>.

Od lat przeglądałem dane dotyczące meksykańskiej wojny narkotykowej, ale nie potrafiłem objąć ich rozumem. Wiedziałem, że według najbardziej prawdopodobnych szacunków w ciągu ostatnich pięciu lat zginęło tam – pozwolę sobie powtórzyć tę liczbę – sześćdziesiąt tysięcy ludzi. Że w ciągu każdego roku właśnie wtedy wędruje dziewięćdziesiąt procent kokainy używanej w Stanach Zjednoczonych<sup>470</sup>. Że meksykańskie kartele zarabiają rocznie od dziewiętnastu do dwudziestu dziewięciu miliardów dolarów na sprzedaży narkotyków w samych tylko Stanach<sup>471</sup>. Lecz historie zwykłych ludzi, które poznawałem w tym czasie, były tak drastyczne, że nie mogłem połączyć ich z tymi danymi. Miałem wrażenie, że wszystkie skupiają się na sadyzmie tak niewyobrażalnym – dekapitacjach pokazywanych na YouTube czy okaleczaniu ciężarnych kobiet butelkami – że aż nierealnym.

Dlatego właśnie pewnego lipcowego poranka przeszedłem ponad cienką brązową wstęgą Rio Grande ze Stanów Zjednoczonych do Ciudad Juárez. Most zastawiony był samochodami, między którymi kręcili się czyściciele szyb. Siedzące na ziemi kobiety zebrały w dwóch językach. Meksykańscy strażnicy graniczni nie sprawdzili, co wnoszę do ich kraju. Zachowując kamienne twarze, skinęli tylko głowami, co oznaczało, że mogę iść dalej. Jedną z pierwszych rzeczy, które zobaczyłem po przekroczeniu granicy, była tablica z napisem „Historyczna trasa po centrum Juárez” kierująca turystów do miejsc sławnych w czasach, gdy bawiła się tutaj cała Ameryka Północna. Tu właśnie Billie Holiday brała ślub i tu też przyjeżdżała, gdy chciała zaszaleć<sup>472</sup>, a była tylko jedną z wielu milionów Amerykanów, którzy szukali tego samego. Teraz jednak trasa została zaklejona plakatami z napisem „Widziałeś ją?” umieszczonym nad zdjęciami uśmiechniętych młodych kobiet. Jedno z nich, przedstawiające dziewczynę z pomalowanymi ustami i w kolorowej chuście, przykuło moją uwagę. To właśnie przede wszystkim rzuca się teraz w oczy w Juárez – nieobecność. Wszystkie atrakcje turystyczne zostały zamknięte lub spalone.

Mój przewodnik Julián Cardona – korespondent Reutersa w Juárez – woził mnie po mieście, a ja próbowałem się wczuć w atmosferę tego miejsca. Wkrótce zrozumiałem, że o ile Manhattan Rothsteina był miastem pionowym, sięgającym ku niebu, Juárez jest miastem poziomym, rozlewającym się na pustyni. Centrum wygląda jak każde inne pozbawione wyrazu amerykańskie miasto, z całodobową restauracją Wendy’s obok centrum handlowego, gdzie ludzie kupują olbrzymie płaskie telewizory przy akompaniamencie tematu przewodniego z *Titanica* w wersji na fletnię pana. Gdy jedzie się przez dłuższy czas ośmiopasmową autostradą, zabudowania powoli rzędzą, a centra handlowe zamieniają się w wypalone skorupy sklepów i slumsy złożone z przerdzewiałych baraków. Kiedy już wydaje ci się, że to koniec miasta, wjeżdżasz między kolejne domy i sklepy, aż wreszcie widzisz przed sobą tylko pustynię.

Jednak przed wyjazdem z Juárez spotkałem się z aniołami.

Kiedy Juan miał jedenaście lat, jego koledzy zaczęli wchodzić w świat handlu narkotykami. Przez Juárez przebiega jeden z najważniejszych szlaków przemytniczych wiodących do USA. Gangi walczyły między sobą o przejęcie kontroli nad tą trasą. Kartele chętnie przyjmują dzieci: one jeszcze nie rozumieją, czym jest śmierć, więc mniej się boją. Najlepszy przyjaciel Juana dołączył do kartelu dla pieniędzy i poczucia, że w końcu

będzie częścią czegoś ważnego. Juan, zmagający się wówczas z burzą hormonów, również brał pod uwagę taki krok. Mógłby wspierać finansowo swoją rodzinę, pogrążoną w narkomanii i alkoholizmie. Widząc jednak, jak dokoła giną ludzie, płoną domy i pustoszeją sklepy, dokonał innego wyboru. Powiedział mi, że w wieku szesnastu lat podjął decyzję: „Postanowiłem zostać aniołem”.

Początkowo, gdy plaga morderstw dopiero się zaczynała, ludzie uciekali w panice z miejsca przestępstwa. Potem przystawali i gapili się na zamordowanych. W końcu zaczęli mijać ich z obojętnością. Jakby to było normalne. Jakby nie stało się nic nadzwyczajnego. Bo w Juárez właśnie tak było. Ludzie nauczyli się nie widzieć, odcinać się od tej części siebie, która dostrzega zło.

Lecz Juan i jego nastoletni przyjaciele nie chcieli żyć w mieście, w którym morderstwo jest ignorowane. Choć każdy dorosły występujący otwarcie przeciwko kartelom, wojsku lub policji wcześniej czy później padł ofiarą morderstwa, Juan wraz z grupą ludzi, których poznał w kościele, postanowili protestować w miejscach morderstw. Przygotowali sobie pokryte lśniąca srebrzystą farbą kostiumy aniołów oraz wielkie dwumetrowe skrzydła, które wykonali z plastiku i piór. Po przyjsciu na miejsce zbrodni stają na wysokim stołku. Długie lśniące szaty zwieszają się niemal do samej ziemi, więc anioł wygląda jak olbrzym, który właśnie zstąpił z nieba. Trudno opisać, jakie to robi wrażenie: wydaje się niemal nierealne, jak halucynacja. Te dzieciaki wykonują też tablice z napisami, które rzucają wyzwanie najbrutalniejszym mordercom na ziemi, i trzymają je przed sobą w miejscach, gdzie ci ludzie dokonali zbrodni.

Tego wieczora, gdy go poznałem, tuż po letniej burzy, Juan wybierał się właśnie na miejsce kolejnego morderstwa. Spytał, czy zechcę mu towarzyszyć, a ja chętnie przystałem na tę propozycję. Za Juanem stanęły dwie młode dziewczyny, które przytrzymały jego skrzydła, by nie porwał ich wiatr. Ludzie w przejeżdżających obok samochodach wydawali się zdumieni, zdezorientowani i wystraszeni.

„Nie boję się. Jeśli mnie zabiją albo zrobią mi krzywdę, to dlatego, że robię coś dobrego dla miasta – tłumaczy mi Juan. – Zawsze powtarzam mojej mamie, żeby była ze mnie dumna, jeśli coś mi się stanie”. Uważa, że on sam i jego przyjaciele zostali zdradzeni przez pokolenie, które prowadzi wojnę narkotykową. „Pragniemy pokazać im w ten sposób, że chcemy lepszego społeczeństwa”<sup>473</sup>.

Większość ludzi w Juárez jest zdumiona, że nikt jeszcze nie zastrzelił aniołów. Zwykle dodają ze znużeniem, że to tylko kwestia czasu.

Arnold Rothstein marzył o Nowym Jorku, w którym nie obowiązuje już prawo, a jedynymi prawdziwymi władcami są przestępcy jego pokroju. Chciał ustanawiać władzę siłą i kupować resztki stanu kawałek po kawałku, by również je wykorzystać jako broń. Nie udało mu się zrealizować tego marzenia. Kula dosięgła go zbyt wcześnie. Ale jego wizja się spełniła.

Chciałem się dowiedzieć, co to oznacza dla realnych ludzi w ich realnym życiu. Ta część wojny narkotykowej jest najbardziej oddalona od mojego świata, od londyńskiej stabilizacji. Zaczynałem jednak rozumieć, że wszyscy jesteśmy w to uwikłani – wszyscy jesteśmy zniewoleni wojną narkotykową i jej logiką – tworząc jedną, gęstą, globalną sieć. Przypuszczałem, że początek temu wszystkiemu dało pragnienie władzy, dominacji nad innymi, chciałem jednak zobaczyć, jak właściwie do tego doszło.

Poznałem w północnym Meksyku wielu ludzi, którzy podzielili się ze mną swoimi opowieściami, w końcu jednak najlepiej zrozumiałem ten świat dzięki historiom trojga nastolatków – anioła, zabójcy i zakochanej dziewczyny.

Chino opowiedział mi, jak wygląda życie członka ulicznego gangu, teraz zaś chciałem poznać życie członka kartelu, wciąż jednak słyszałem, że to niemożliwe. Kartele zabijają każdego, kto rozmawia z ludźmi z zewnątrz. Ich członkowie to najbardziej tajemniczy i nieprzewidywalni ludzie na świecie. Lecz w końcu pewnego dnia dowiedziałem się o człowieku, który jako jedyny opuścił gang i chce o tym rozmawiać.

Wysłałem prośbę do teksańskiej służby więziennej. Po długim oczekiwaniu otrzymałem odpowiedź, że mam pół godziny na rozmowę. Kiedy dotarłem do zakładu położonego w środku hrabstwa Tyler w rolniczej części Teksasu, wszedłem do potężnego betonowego gmazyska otoczonego drutem kolczastym i przywitałem się ze strażniczką, ta uśmiechnęła się do mnie szeroko.

„Podoba mi się pański akcent – powiedziała po teksańsku. – Może pan rozmawiać tak długo, jak pan zechce”. Kolejna strażniczka poprowadziła mnie w głąb więzienia, do dużego szarego pomieszczenia przedzielonego szybą. Po jej drugiej stronie znajdowały się małe białe boksy. „Będę

w pobliżu, bo nie mogę zostawić pana samego” – powiedziała strażniczka i wyszła<sup>474</sup>.

Z tyłu jednego z boksów otworzyły się drzwi, zza których wyszedł drobny, szczupły chłopak. Wyglądał jak kujon, który ma za chwilę przedstawić swój projekt naukowy. Wrażenie to psuł jedynie tatuaż przedstawiający płomień, który obejmował jego oko.

„O co chodzi?” – spytał, mierząc mnie wzrokiem. Zanim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć, dodał: „Po pierwsze, co o mnie wiesz? [...] Chcę to wiedzieć”.

Miał niski głos. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą: „Wiem, że tu trafiłeś, bo odkąd skończyłeś trzynaście lat, byłeś członkiem Zetas”. Skinął głową.

Spytałem Rosalia, czy mogę położyć między nami dyktafon. W szybie znajdował się mały otwór, w którym leżał dyktafon, mrugając do nas czerwonym światłem. Rosalio zaczął mówić. Po każdej wypowiedzi pytał mnie nerwowo, co o nim sądzę i czy dopilnuję, żeby dobrze wypadł. Niemal mnie o to błagał. Od bardzo długiego czasu przebywał sam, zamknięty w izolatce. Rozmawialiśmy przez kilka godzin. Oto jego historia, którą poskładałem z tego, co sam mi powiedział, oraz z informacji na jego temat zamieszczonych w aktach<sup>475</sup>.

W 2005 roku Rosalio Reta był na letnim obozie, jak wszystkie inne amerykańskie nastolatki w jego wieku. Niski piętnastoletni Teksaszczyk ze sterczącymi włosami nosił przydomek Bart Simpson, bo przypominał tego bohatera kreskówki i uwielbiał jeździć na deskorolce. Lubił też Power Rangers, alternatywny pop i Nintendo 64, szczególnie gry *The Mask of Zelda* i *Donkey Kong*. Podczas tego obozu uczył się przydatnych umiejętności, które miał zapamiętać do końca życia. Tyle że w tym przypadku nie były to umiejętności takie jak pływanie kajakiem, śpiew w chórze czy rozpalanie ogniska.

Dobrze zapamiętał techniki, których się tam nauczył. Na przykład dekapitację<sup>476</sup>. „Widziałem parę razy, jak robili to piłą – opowiadał zza więziennej szyby. – Wszędzie krew. Na samym początku przecinają tętnicę szyjną, a wtedy... – Rosalio pstryknął palcami – krew tryska wszędzie. Zostawiają głowę przy ciele, a ona jeszcze przez jakiś czas się rusza, robi miny i tak dalej. Wydaje mi się, że nerwy i to wszystko, co jest w środku, ciągle się rusza. Jakby były tam jakieś robaki. Widziałem to na własne oczy.

Czasami, kiedy ktoś krzyczy, zostaje z taką miną. A czasami po prostu wszystko wiotczeje”.

Obóz znajdował się w meksykańskich górach, z dala od ludzkich siedzib, a Rosalio spędził tam pół roku, zamieniając się powoli w żywą broń. „Uczą cię wszystkiego, czego można nauczyć na obozie wojskowym – opowiadał. – Jak strzelać, jak koordynować. [...] Wszystkie rodzaje materiałów wybuchowych, pistoletów, karabinów, walka wręcz”. Motto obozu brzmiało: „Jeśli się wycofam, zabij mnie”<sup>477</sup>. Wykorzystując te umiejętności, Rosalio zamordował tylu ludzi, że sam nie potrafi ich już zliczyć. Zabijał ich hurtowo<sup>478</sup>, wrzucał granaty do zatłoczonych klubów, zastrzelił mężczyznę na oczach jego małego synka i ciężarnej żony.

Kilka lat przed wyjazdem Rosalia na obóz rząd Stanów Zjednoczonych – zdecydowany kontynuować misję Harry’ego Anslingera i prowadzić wojnę narkotykową w każdym kraju – postanowił wyszkolić elitarną jednostkę właśnie w Meksyku. Amerykanie umieścili żołnierzy w Fort Bragg<sup>479</sup>, by zapewnić im najlepsze wyszkolenie, wywiad i sprzęt wojskowy 7 Grupy Amerykańskich Sił Specjalnych. Ich motto brzmiało: „Nawet śmierć nas nie zatrzyma”<sup>480</sup>. Kiedy obóz dobiegł końca, a wyszkoleni ogromnym kosztem żołnierze nauczyli się wszystkiego, co się dało, wrócili do domu i wszyscy, jak jeden mąż, dołączyli do kartelu z Zatoki<sup>481</sup>. Ci właśnie uciekinierzy przyjęli nazwę Zetas<sup>482</sup>. Równie dobrze można by sobie wyobrazić, że żołnierze Navy SEALs (siły specjalne marynarki wojennej) odeszli z armii i pomogli Crips przejąć kontrolę nad Los Angeles – i że im się to udało.

Rodzinną miejscowość Rosalia, pustynne miasto Laredo w Teksasie, znajduje się dokładnie naprzeciwko Nuevo Laredo położonego po drugiej stronie granicy, w Meksyku. Rosalio tłumaczy: „Każdy z karteli chce przejąć ten szlak. To jedno z największych przejść granicznych. [...] Duży ośrodek handlowy. Więc każdy chce go zająć. [...] Właśnie o to wszyscy walczą: o I-35”. Jeśli twój kartel kontroluje tę międzystanową autostradę, to kontroluje też przepływ miliardów dolarów. Jeśli kontrolują ją twoi wrogowie, mogą cię pozbawić źródła zarobków. Oto przepis na wojnę.

Istnieją dwie różne historie opisujące to, jak Rosalio stał się członkiem Zetas. Pierwsza to zeznania, które złożył na policji, gdy miał szesnaście lat, a druga to opowieść, którą podzielił się ze mną, gdy miał lat dwadzieścia trzy. Nie jestem w stanie stwierdzić, która z nich jest bliższa prawdzie, przedstawiam więc obie.



Wiemy z całą pewnością, że dorastał w drewnianym domu postawionym na pustakach<sup>483</sup>. Jego matka była fryzjerką, a ojciec imigrantem, który pracował na czarno na budowach. Mieli dziesięcioro dzieci. Laredo to jedna z najbiedniejszych części Stanów Zjednoczonych, graniczne miasto, gdzie – jak ujął to Rosalio – „Jeśli nie jesteś gliniarzem, jesteś dealerem. Jeśli nie jesteś dealerem, pracujesz dla kartelu. Innych możliwości nie ma”<sup>484</sup>. Innym razem powiedział: „Wielu ludzi tutaj [w Stanach Zjednoczonych] chce być adwokatami, sędziami, strażakami czy policjantami. Tam [na granicy amerykańsko-meksykańskiej] ludzie wielbią Zetas. Małe dzieci mówią: »Kiedy dorosnę, chcę być Zeta«”.

Potem jednak dodaje: „Nie byłem bardzo, bardzo biedny, mama i tata pracowali, zawsze mieliśmy co jeść. Byliśmy normalni. Byliśmy rodziną”. Rosalio miał dwóch najlepszych przyjaciół, z którymi spędzał czas: Jessego i Gabriela. Grali w piłkę i gry komputerowe, chodzili razem nad jezioro. Przez całe dzieciństwo Rosalio przechodził często przez granicę. Napoje i słodycze są w Nuevo Laredo tańsze, więc chodził tam ze swymi przyjaciółmi. W Nuevo są też kluby nocne, które wpuszczają nawet trzynastolatków, więc gdy trochę podrośł, bywał tam z Jessem i Gabrielem jeszcze częściej. Tutaj właśnie w historii jego życia pojawiają się różne wersje.

Kiedy po raz pierwszy przesłuchiwała go policja, Rosalio już od trzech lat żył w świecie Zetas – świecie, w którym kultura terroru przybierała ekstremalną formę. Na nagraniach z przesłuchań wydaje się odurzony tą nienawiścią, uśmiecha się drwiąco i pręży z dumą, jakby oczekiwał, że zaimponuje policjantom swoimi opowieściami o brutalnych morderstwach. Mówi im, że w wieku trzynastu lat zaczął chodzić do pewnego klubu nocnego w Nuevo Laredo i słyszał różne plotki o właścicielu tego miejsca, niejakim Miguelu Treviñie, który zaczynał od zera, a został numerem dwa w Zetas. Podobnie jak Arnold Rothstein, był niepozornym, na pozór przeciętnym człowiekiem: miał metr pięćdziesiąt wzrostu, nie pił alkoholu ani nie zażywał narkotyków, ubierał się w niebieskie dżinsy i koszulki z Walmartu. Był jednak królem miasta – kontrolował handel narkotykami, wojsko, policję, wszystko. Rosalio chciał być taki jak on. Spotkał się z nim i zaproponował, że dowiedzie swojej lojalności, bez względu na to, co będzie musiał robić.

Rosalio przedstawił mi inną wersję opowieści o tym, jak przystąpił do gangu. Podobno jego przyjaciel miał starszego brata, który pracował dla

karteli. Kiedyś pojechali razem do Nuevo Laredo, żeby coś zjeść. Brat odebrał telefon i powiedział, że musi pojechać załatwić jakąś sprawę. Rosalio ukrył się wtedy w jego pick-upie. Zżerała go ciekawość. Chciał wiedzieć, jak to wygląda. Kiedy przyjechali na miejsce, okazało się, że to jedno z rancz, na których prowadzi działalność Miguel Treviño, a Rosalio zobaczył za dużo.

W tym miejscu obie historie ponownie łączą się ze sobą. W obu wersjach ranczo było typową bazą Zetas. Więziono tam około trzydziestu ludzi. Z jednej strony „wkładali ich do beczek na ropę i palili, palili, palili, aż zostawał tylko sam popiół”, z drugiej „kroili ich na kawałki”. Los Zetas zwykle torturują członków innych gangów albo ludzi, którzy ich irytują. Podczas tortur pytają o „kryjówki, szlaki, dla kogo ktoś pracuje. [...] Co robi, komu teraz pomaga”. Dopiero uzyskawszy te wszystkie informacje, gangsterzy zabijają swoje ofiary. „Palą ludzi, [robiąc z nich] *guiso* [potrawkę], wrzucają ich do środka [...] i tak długo dźgają, aż się całkiem rozpuszczą”.

Tam właśnie Rosalio dokonał pierwszego morderstwa. „Nie patrzyłem na jego twarz – opowiada. – Był związany. [...] Klęczał, miał związane za plecami ręce i związane nogi. [...] Wszyscy oni płakali, błagali, mówili: »Nie zabijaj mnie«. Wszyscy. Choć niektórzy nic nie mówili. Wiedzieli, że zginą. Wszyscy musieli zginąć”.

Rosalio wziął do ręki pistolet i strzelił mężczyźnie w głowę. Nigdy się nie dowiedział, kim był ów człowiek.

Początkowo, gdy wynurzył się ze świata Zetas, oślepiiony ich blaskiem, mówił policjantom, że bardzo mu się to podobało: „Myślałem, że jestem Supermanem, czułem się fantastycznie po tym pierwszym zabójstwie. Próbowali odebrać mi broń, ale było to trochę tak, jakby chcieli zabrać dziecku cukierka”<sup>485</sup>. Rosalio opowiadał, że od tej pory, „choć mogli robić to inni, zgłaszał się na ochotnika. To było jak zabawa w Jamesa Bonda. [...] Każdy może to robić, ale nie każdy chce. Niektórzy są słabi psychicznie, sumienie im na to nie pozwala. Inni śpią potem jak dzieci. Lubię to, co robię – dodawał. – Nie zaprzeczam temu”<sup>486</sup>.

W drugiej wersji Rosalio, zamknięty w czarno-białym świecie teksańskiego systemu więziennictwa, mówi, że była to tylko głupia gadanina, słowa wygłoszone w chwili szaleństwa. „Po długim czasie byłem bezpieczny. Żyłem. Udało mi się uciec z Meksyku i przeżyć. A większość ludzi, którzy byli tam ze mną, już nie żyje. Wszyscy, na których naprawdę

mi zależało, z którymi dorastałem, już nie żyją. A mnie się udało, choć byłem bardzo blisko śmierci...”

Mówi, że wcale nie sprawiało mu to przyjemności. Tamtego dnia zaczął zabijać, bo zrozumiał, że skoro już zobaczył ranczo, nie pozwolą mu odejść, że albo do nich dołączy, albo zginie. Od tej chwili „musisz robić to, czego oni sobie życzą, bez względu na to, czy ci się to podoba. Musisz. Jeśli nie, to cię zabiją. Prosta sprawa. Albo ty zabijasz, albo zabijają ciebie”.

I tyle. Ten strzał uczynił z niego członka Zetas i zablokował wszystkie drogi wyjścia<sup>487</sup>. „Bez względu na to, czy wchodzisz w to z własnej woli, czy ktoś cię przymusza, kiedy już wejdiesz, nie możesz się wycofać. [...] Sprawa zamknięta. [...] Czy mi się to podoba, czy nie, ci ludzie zrobili ze mnie swojego żołnierza, wykonującego ich rozkazy”.

Kilka lat później te słowa znalazły potwierdzenie w śledztwie prowadzonym przez amerykańską policję. Rosalio jest wyjątkowym przykładem kogoś, kto mógł zajrzeć do samego serca meksykańskich karteli narkotykowych, a potem je opuścić i ujść z życiem. Przez trzy lata pracował bezpośrednio dla Miguela Treviña<sup>488</sup>. Przez długi czas był członkiem paramilitarnej grupy, która służyła u jego boku, mieszkała z nim i zabijała na jego polecenie. Treviño i jego towarzysze mają specjalne określenie na dzieciaki takie jak Rosalio, Jesse i Gabriel – nazywają je *Expendables* [Spisani na straty]<sup>489</sup>.

„Od tamtego pierwszego dnia wszystko działo się bardzo szybko. Wszystko toczyło się... – Rosalio wydaje z siebie przeciągłe »pppfs« – wtedy wiedziałem już, że przekroczyłem granicę. Byłem w innym świecie”.

Nie powiedział nic swoim rodzicom, był bowiem przekonany, że gdyby to zrobił, zabito by ich. Nie powiedział nikomu.

Kiedy go poznałem, nie chciał mi nawet zdradzić nazwiska Treviña. „Lepiej, żebyś nawet o nim nie mówił – powtarzał kilkakrotnie. – On nie zna żadnych granic. Dlatego tak wielu ludzi w ogóle o nim nie rozmawia. Szczególnie w Meksyku. Tam boją się nawet wymawiać jego imię”.

Jednak powoli, fragment po fragmencie, odmalował obraz człowieka, który, podobnie jak Rothstein, myślał tylko o pieniądzach i gotów był zrobić dla nich wszystko. Choć stosował znacznie drastyczniejsze środki, jego działaniami kierowała ta sama logika narzucona przez prohibicję. Przejął rynek siłą i utrzymywał go terrorem. Nigdy nie zabijał przypadkowo, robił to z wyjątkowym okrucieństwem. Wszystko miało

jeden cel – zastraszenie innych. Jak tłumaczył Rosalio: „[Treviño] obcinał głowy członkom konkurencyjnych karteli i nagrywał to na wideo, żeby pozostali wiedzieli, że traktuje sprawę poważnie. Że to nie zabawa”.

Kierował się tymi samymi zasadami, które Chino poznał w swojej dzielnicy, choć doprowadził je do ekstremum. Musisz być tak przerażający, by nikt nie próbował z tobą pogrywać. Dla nastolatków z Brownsville oznaczało to chłostę i strzelanie – dla nastolatków z Nuevo Laredo obcinanie głów i palenie trupów. Rosalio miał za zadanie dokonywać serii zabójstw – na członkach konkurencyjnych karteli oraz na wszystkich, którzy weszli w drogę Los Zetas.

„Nigdy nie wiesz do końca, co zamierzają zrobić danego dnia. Być może będą chcieli kogoś zamęczyć na śmierć, może utopić, może powiesić, a może pociąć na kawałki lub spalić żywcem. Nigdy nie wiadomo, co przyjdzie im do głowy. To zależy, na co mają danego dnia ochotę. Ale każdy dzień wyglądał podobnie – dodał. – Codziennie zabijają ludzi. Nie ma dnia, żeby tego nie zrobili. I żeby kogoś nie torturowali. Żeby nie spalili kogoś żywcem. [...] To ich codzienność. Tak zarabiają na życie”.

Kiedy wysyłano go, by kogoś zabił, musiał tylko dopilnować, by wyznaczona osoba zginęła: „Nie znam człowieka, który przede mną stoi. Nie wiem, co zrobił. Nic o nim nie wiem”.

Kartele wysyłają wiadomości wypisane na ludzkim ciele. Mają dobrze wszystkim znany system sygnałów. Jeśli zdradzisz kartel, strzelą ci w szyję. Jeśli za dużo mówisz, strzelają w usta. Jeśli jesteś szpiegiem, strzelą w ucho. „Każde ciało jest billboardem głoszącym, że twój kartel jest najokrutniejszy”<sup>490</sup>.

Jego przyjaciele, Jesse i Gabriel, zaczęli pracować dla Zetas razem z nim. Rosalio nie chce powiedzieć, jak do tego doszło, ale policyjne śledztwo – i późniejsze losy chłopców – potwierdzają, że rzeczywiście byli w to zaangażowani. Czy to Rosalio wprowadził ich do kartelu? Czy on ich tam ściągnął? Trudno powiedzieć. Wszyscy jednak coraz lepiej rozumieli, że „to już nie zabawa”.

„Musimy działać bez przerwy przez długi czas, czasami tydzień, czasami nawet półtora – tłumaczył. – Albo prawie dwa. Bez snu. Wszyscy zażywali wtedy kokainę, więc nam też ją dawali. [...] Musieliśmy przenosić się z miejsca na miejsce, więc nie było czasu na sen”<sup>491</sup>. Gabriel kazał wytatuować sobie na powiekach otwarte oczy, by wydawało się, że nieustannie patrzy, nieustannie czuwa. A musiał to robić, jeśli chciał być

bezpieczny. W domu, w którym przebywa Treviño, „jest mnóstwo ludzi, którzy go pilnują, strażników i tak dalej. Jeśli tylko zobaczą coś niepokojącego, zwołują wszystkie grupy”. Wszyscy bali się siebie nawzajem. Po jakimś czasie „nie mogłem im już ufać. Starłem się radzić sobie sam. Nigdy nie wiesz, czy któryś z nich nie spróbuje cię zabić, strzelić ci w plecy. Widziałem takie sytuacje wiele razy. Tam jest naprawdę wielu ludzi, a jeśli ktoś cię nie lubi i znajdziesz się w niewłaściwym miejscu, podkradną się do ciebie i zabiją. Ci sami ludzie, z którymi pracujesz” – opowiada Rosalio.

Wszyscy wiedzieli, iż „wystarczy, że [Treviño] zrobi tak – Rosalio pstryka palcami – i powie: »Zabijcie go«. Nie trzeba nic więcej. Jeden krótki rozkaz i już po mnie”.

Co jakiś czas Rosalio dzwonił do matki, by dać jej znać, że wciąż żyje. Nie mówił jej, czym się zajmuje.

Najgorsze koszmary to nie te, w których giniesz, tylko te, w których zabijasz.

Lecz to pełne okrucieństwa życie miało też swoje lepsze strony<sup>492</sup>. „Szastali pieniędzmi na lewo i prawo, mogłeś mieć wszystko, co chciałeś. Wszystko”. Treviño urządzał loterie. Wrzucał do kubka losy z nazwiskami swoich ludzi, a zwycięzca – Rosalio! – dostawał nowiutkiego mercedesa. Gdy tylko chciałeś, mogłeś mieć dziewczyny i kokę. Rosalio dostawał pięćset dolarów tygodniowo za ochronę i znacznie większe kwoty za ważne zabójstwa<sup>493</sup> – na przykład w wieku piętnastu lat, gdy zabił jednego ze współpracowników Chapo Guzmána, dostał trzysta siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów<sup>494</sup>.

Zapominając na moment o opowieści, zgodnie z którą został zmuszony do pracy dla gangu, Rosalio mówił, że gdy zaczynało się dostawać pieniądze i prezenty: „nie musiałeś koniecznie od razu czegoś robić. Ale kiedy już dałeś się skusić, nie było ucieczki. Wpadałeś w pułapkę”. Potem uświadomił sobie chyba, co właśnie powiedział, i dodał szybko, że mówi o swoich przyjaciołach, a nie o sobie. On został zmuszony, powtarza z naciskiem, został zmuszony.

Czasami mieszkali w eleganckim domu po drugiej stronie granicy, w Loredo<sup>495</sup>. Gabriel spędzał wtedy cały wolny czas ze swoją dziewczyną. Rosalio i Jesse jeździli w swoje rodzinne okolice i bawili się nad jeziorem, jak kiedyś. Spytałem Rosalia, dlaczego kartele wykorzystywały

amerykańskich nastolatków, a nie meksykańskich. „Ze względu na łatwy dostęp do obu stron granicy” – tłumaczył.

Ale jakie to ma znaczenie, skoro zabijali ludzi w Meksyku? Co robili dla nich w Stanach Zjednoczonych? „Nie chcę o tym rozmawiać. O wielu rzeczach wolałbym nie rozmawiać”.

Później, wielokrotnie odsłuchując nagranie tej rozmowy, coraz częściej wracałem myślami do dzieł Philippe’a Bourgois, francuskiego socjologa, dzięki któremu zrozumiałem historię Chino. Bourgois tłumaczy, że jeśli jako pierwszy zrezygnujesz z ograniczeń, jakie narzuca ci moralność, zyskujesz przewagę nad swoimi rywalami i przejmujesz większą część rynku narkotyków. Dlatego *Expendables* mają za zadanie zabijać nie tylko członków konkurencyjnego kartelu, ale i ich krewnych.

Urządzenie podsłuchowe nagrało rozmowę między Rosalim i Gabrielem. Gabriel opisał porwanie dwóch nastolatków, którzy byli kuzynami rywala. „Umarli sami, po biciu – mówił. – Po prostu umarli. Umarli, no i gówno. Szkoda, że cię tam nie było. Szkoda, że nie widziałeś Pancho, stary. Płakał jak ciota. »Nie, człowieku, jestem twoim przyjacielem«. »Jakim przyjacielem, skurwielu? Zamknij mordę!« I bach! Złapałem jakąś pierdoloną butelkę, i ciach! Rozciąłem mu, kurwa, cały brzuch. I bach! Krwawił jak cholera. Wziąłem mały kubek, i bach! Mały kubek! Napełniłem go krwią, i bach! [...] Potem poszedłem do tej drugiej cioty, i ciach! Pociąłem go tą samą butelką”<sup>496</sup>. Rosalio się śmiał. Miejscowi policjanci usunęli ciała nastolatków zabitych przez Gabriela<sup>497</sup>.

Później Gabriel mówił: „Zabijałem ludzi, którzy byli związani, ale nie ma w tym nic ciekawego, żadnej frajdy. Wolę śledzić moich przeciwników, polować na nich, a kiedy już znam dobrze ich wszystkie ruchy, podkradam się do nich, patrzę im w oczy i pociągam za spust – to jest dopiero zabawa”<sup>498</sup>.

Jeśli to ty pierwszy zabijesz krewnych swoich rywali, również ich ciężarne kobiety<sup>499</sup>, na krótki czas zyskujesz przewagę – ludzie bardziej się boją twojego kartelu i gotowi są oddać ci większą część rynku narkotyków. Potem robi to każdy kartel – staje się to elementem standardowych działań. Jeśli jako pierwszy obcinasz ludziom głowy, na chwilę zyskujesz przewagę. Potem robią to wszystkie kartele. Jeśli jako pierwszy obcinasz ludziom głowy, nagrywasz to i umieszczasz filmy na YouTube, również zyskujesz na krótko przewagę. Potem robią to wszystkie kartele. Jeśli jako pierwszy nabijasz ludzkie głowy na pal i pokazujesz je w miejscach publicznych<sup>500</sup>,



zyskujesz krótkotrwałą przewagę. Potem robią to wszystkie kartele. Jeśli jako pierwszy obcinasz ludziom głowy, ściągasz z czaszki ich twarze i naszywasz je na piłki<sup>501</sup>, zyskujesz na jakiś czas przewagę. I tak dalej, i tak dalej...

Prohibicja, tłumaczy Bourgois, tworzy system, w którym najbardziej szalona i sadystyczna przemoc wydaje się całkiem logiczna i funkcjonalna. Jest konieczna. Przynosi korzyści.

Pomimo tych niezliczonych morderstw i okrucieństw Rosalio i jego przyjaciele ani przez moment nie bali się, że wpadną w ręce policji. Dlaczego? Rosalio już pierwszego dnia pracy dla Treviña zauważył coś dziwnego. Jak wspominała Carolyn Rothstein, jej mąż Arnold mawiał często, że „prawdopodobnie najlepszą państwową pracą, jaką mógłby sobie wymarzyć, byłoby stanowisko komendanta nowojorskiej policji”<sup>502</sup>. Treviño podobne marzenie spełnił.

Rosalio zauważył, że w każdym zakątku Meksyku, do którego jeździli, policjanci pracowali dla Treviña. „Nie ma już żadnej policji. [...] Wszystko jest pod jego kontrolą. Wojsko. Policja. Wszystko”<sup>503</sup>. Treviño przekupywał policjantów i wojskowych – zawsze woził ze sobą dwa miliony dolarów w gotówce na nieprzewidziane wydatki i łapówki. Nie wszyscy chcieli przyjmować od niego pieniądze, ale „wiedzieli, że jeśli coś rozpracują [na przykład przemytniczy szlak narkotykowy], zostaną zabici, więc trzymali się od tego z daleka”. Co więcej: „Czasami policja eskortuje nas na miejsce zabójstwa. [...] Ta sama policja porywa kogoś i przekazuje go kartelowi”. Współpracownicy Treviña piastują najwyższe stanowiska w państwie. „Za dnia pracują dla prezydenta, a wieczorem dla karteli”.

Dlaczego te potężne gangi narkotykowe zdołały podbić Meksyk, a gangi ze Stanów Zjednoczonych wciąż toczą wojnę z państwem? Próbując to zrozumieć, wyobraziłem sobie zakazane narkotyki jako rzekę, którą skierowano prosto na miasto. Jeśli rzeka uderzy w wieżowiec, może podmyć ściany i wybić parę okien. Jeśli jednak wpadnie na drewniany dom, całkowicie go zniszczy i zabierze ze sobą. W Meksyku fundamenty prawa i demokracji wykonane są z drewna – krajem tym przez siedemdziesiąt lat, do 2000 roku, rządziła jedna, na wpół dyktatorska partia, nie powstała tam więc kultura prawna opierająca się na powszechnym przekonaniu, że obywatele powinni wspólnie tworzyć prawo i wspólnie go przestrzegać. Poza tym ta rzeka w Meksyku płynie znacznie szybciej i niesie więcej wody niż gdzie indziej – uważa się, że w Juárez sześćdziesiąt do



siedemdziesięciu procent gospodarki opiera się na pieniądzach ze sprzedaży narkotyków<sup>504</sup>; w Stanach Zjednoczonych ten odsetek jest o wiele mniejszy.

Nic nie może się oprzeć tej sile.

Rosalio był w lesie. Właściwie niewiele widział – jedno oko miał całkiem zapuchnięte, w drugim udało mu się lekko unieść powiekę.

Krwawił też z szyi.

Ludzie Treviña próbowali poderżnąć mu gardło. Pocięli go na całym ciele. Do końca życia będzie nosił blizny po tym ataku.

Rosalio uciekał.

Tu znów pojawiają się dwie różne historie opisujące, jak Rosalio znalazł się w tym lesie i dlaczego miał poderżnięte gardło.

Pierwsza wersja – przedstawiona w amerykańskim filmie dokumentalnym *Nothing Personal* [Nic osobistego] – głosi, że wyszkoliwszy Rosalia na mordercę, kartele straciły nad nim kontrolę. Urywał się ze smyczy Treviña i zabijał na własną rękę. Wysłali go do Monterrey, by zabił człowieka z konkurencyjnego gangu, a tymczasem chłopak wrzucił granat do nocnego klubu, zabijając cztery i raniąc dwadzieścia cztery osoby. Kartele są niewyobrażalnie okrutne, ale ten sadyzm ma zawsze określony cel. Jeśli zachowujesz się jak Jeffrey Dahmer, jeśli zabijasz i torturujesz przypadkowe ofiary, zamiast skupić się na tym, co każą ci robić, uznają, że niepotrzebnie się rozpraszasz, i nie będą tego tolerować.

Drugą wersję przedstawił sam Rosalio: „Po trzech latach nie mogłem już dłużej wytrzymać z tymi ludźmi, którzy mówili mi, co mam robić, kogo zabić, dokąd iść, jak spać, jak się o siebie troszczyć. Nie mogę tak żyć. Nie mogę żyć w strachu, że któregoś dnia każą mnie zabić. Musiałem to jakoś rozwiązać, w taki albo inny sposób”. W przeszłości widział, jak ludzi postrzelonych przez konkurencyjne gangi wynosi się na pastwisko, by tam skonali. Kiedy miał szesnaście lat, w momencie desperacji postanowił się postrzelić.

Podciągnął nogawkę spodni i pokazał mi ranę. Była duża i głęboka. Część nerwów została zniszczona – niewiele czuje w tej części ciała. Pociągnawszy za spust, znieczulił się nowokainą i oczyścił ranę, wykorzystując umiejętności nabyte na obozie szkoleniowym. „Brakowało sporej części mięśnia, więc ktoś musiał mi pomóc zamknąć i przytrzymać

ranę, żebym mógł ją zszyć. Zrobiłem to najlepiej, jak umiałem, potem zażyłem jeszcze jakieś antybiotyki”.

Pierwszego dnia prawie nic nie czuł. „Ale drugiego dnia...” – Rosalio głośno wciągnął powietrze przez zęby. Fortel się nie udał. „Kazali mi samemu opatrzyć ranę i ją pielęgnować”. Wkrótce potem wysłali go z kolejną misją – do klubu nocnego w Monterrey. Ale nie mógł tego zrobić. Nie mógł już dłużej zabijać. Miał dość. „Męczył mnie już ten styl życia. Chciałem, żeby zostawili mnie w spokoju”. Jak twierdzi, właśnie dlatego dawni współpracownicy zwrócili się przeciwko niemu.

Nie chciał powiedzieć, jak zdołał uciec mordercom. Nie chwalił się tym nawet po aresztowaniu. „Nikt nie wie, co się tam stało – powiedział – nikt nie wie. Ja po prostu... musiałem walczyć o życie. Nie pozwolę się zabić”.

Co mógł zrobić po ucieczce? Wiedział, że w Meksyku wcześniej czy później znajdą go Zetas i zrobią z nim dokładnie to, co on robił z wieloma ludźmi przez ostatnie trzy lata. Zadzwoił więc do amerykańskiej policji w Laredo i powiedział, że ma dla nich informacje. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin był z powrotem w Stanach Zjednoczonych<sup>505</sup>. „Nie chciałem umierać. Nie chciałem, żeby moja rodzina zginęła za błąd, który popełniłem w wieku trzynastu lat. Nie zostałem schwytany, sam się zgłosiłem. Nikt mnie nie złapał, nie przyszli po mnie, to ja do nich przyszedłem. Chciałem po prostu, żeby to wszystko się skończyło. [...] Nie chcę dłużej tak żyć. Nie wytrzymałbym tego”.

Podjął właściwą decyzję. Kilka lat później Rosalio zobaczył na zdjęciach w sądzie, co wkrótce po jego ucieczce ludzie Treviño zrobili z jego najlepszym przyjacielem Jessem. „Wszędzie dziury. Dźgali go nożami po całym ciele. Szyja, głowa, twarz, piersi, ramiona, cała szyja, twarz, miał też dziurę w głowie” – Rosalio wydawał się autentycznie poruszony, gdy opisywał te zdjęcia, chyba po raz pierwszy w ciągu naszej rozmowy. „Wciąż był człowiekiem – mówił. – Wciąż był moim bratem”.

Rosalio odsiaduje teraz dwa wyroki dożywocia w obozie więziennym w Teksasie – to kara za morderstwa, których dokonał tylko po tej stronie granicy. Wyjdzie na wolność, gdy będzie już po osiemdziesiątce – jeśli dożyje, co wydaje się mało prawdopodobne. Kiedy zmierzając na spotkanie z Rosalim, przeszedłem przez druty kolczaste i wykrywacze metalu, strażniczka więzienna wyjaśniła mi radosnym tonem, że „[Zetas] bez problemu mogliby go dopaść i zabić choćby i tutaj, w więzieniu”.

Rok wcześniej dwaj inni więźniowie schwytali Rosalia i dźgnęli go nożem, trzy razy w plecy, raz w głowę. Pokazał mi blizny. Teraz uświadamiam sobie, że jego ciało to swego rodzaju mapa, na której każda blizna i szrama oznaczają inną część jego życia. Można powiedzieć, że to również świadectwo historii samej wojny narkotykowej. Rosalio uważa, że próbowali go zabić, bo jedną z jego ofiar był członek ich więziennego gangu, więc mieli obowiązek go pomścić. Teraz, dla własnego bezpieczeństwa, przebywa w „odseparowaniu administracyjnym”. Strażniczka powiedziała mi, że „to właściwie izolotka, choć jej tak nie nazywamy”. Rosalio wyjaśnia: „Siedzisz w zamkniętym pomieszczeniu całą dobę, siedem dni w tygodniu. Nie możesz nigdzie wychodzić. Nie możesz nic robić. [...] Po prostu siedzisz w pustej celi. Całkiem sam. Żyję tak już od roku”. Nie może korzystać z telefonu ani z nikim rozmawiać. „To, jak mnie teraz traktują [...]. Czasami myślę, że powinienem być pozwolić, żeby mnie zabili”.

Prawdopodobnie tak właśnie spędzi całe życie, w odcięciu od reszty ludzkości. Jest pewien, że kartele mogłyby teraz zabić jego rodzinę oraz wszystkich, którzy mieli z nim jakikolwiek kontakt. „Skąd wiesz, że ciebie też nie dopadną? – pytał, spoglądając na mnie. – Siedzisz tu i mówisz, co mogą, a czego nie – mogą wszystko, czego tylko zechcą. Nie wiesz, jak daleko mogą sięgnąć. Nie wiesz, jakie mają znajomości. Nie wiesz, kogo opłacają. Nie żyłeś takim życiem. A ja owszem. Wiem, do czego są zdolni. Wiem, do czego się posuną, żeby kogoś zabić. Ja żyłem tym życiem. Nie ty”.

Obsesyjnie myśli o tamtym dniu, gdy miał trzynaście lat i postanowił pociągnąć za spust. Chętnie przyznaje się do wielu rzeczy i rozmawia niemal o wszystkim, co zrobił dla Zetas, ale przez ponad cztery godziny próbuje mnie przekonać błagalnym, pełnym bólu tonem, że jego opis tamtej chwili jest prawdziwy i że został do tego zmuszony.

Teraz dopiero zdaję sobie sprawę, co powinienem był mu powiedzieć – to nie ta chwila przypieczętowała twój los. Stało się to wtedy, gdy rozpoczęto wojnę z narkotykami, dawno temu<sup>506</sup>. Nie wiem, czy by to zrozumiał.

Rosalio bez wątplenia był niezrównoważonym nastolatkiem i byłby taki bez względu na przepisy dotyczące narkotyków. Jednak to właśnie wojna narkotykowa wykorzystała jego chwiejność i motywowała go olbrzymimi pieniędzmi, by ją pogłębiał, intensyfikował, by z niej żył. Mówiła – morduj,

a my obsypimy cię pieniędzmi, samochodami i kobietami. Poddala go szkoleniu paramilitarnemu, by sprawnie dokonywał morderstw. I zdeprawowała meksykańską policję, by mógł zabijać, nie obawiając się aresztowania.

„Wszyscy ludzie z mojego otoczenia nie żyją” – powiedział mi Rosalio, bardziej chyba zszokowany niż rozżalony tym faktem. – Wszyscy, z którymi kiedyś spędzałem czas, nie żyją. Nie została nas nawet garstka”.

Kilka miesięcy po moim spotkaniu z Rosaliem, gdy byłem z powrotem w Nowym Jorku, międzynarodowa prasa doniosła, że Miguel Treviño dzięki serii morderstw został numerem jeden w Zetas<sup>507</sup>. Po kilku kolejnych miesiącach rozeszła się wieść, że Miguel Treviño został aresztowany przez meksykańską policję w Nuevo Laredo<sup>508</sup> – najprawdopodobniej dlatego, że policję opłacił konkurencyjny kartel.

Nikt nie ma wątpliwości, że inny gangster kontroluje teraz szlaki przemytnicze z Meksyku do Stanów Zjednoczonych, i nikt nie ma wątpliwości, że broni go nowa grupa spisanych na straty dzieci-żołnierzy.

Długi marsz Mariseli

Opowieść Rosalia była tak makabryczną, że nie wyobrażałem sobie, bym zdołał jakoś opisać codzienne życie większości Meksykanów w świecie wojny narkotykowej. Rosalio był – jak sam mówi – żołnierzem. A żołnierze dokonują aktów przemocy. Pytałem sam siebie – jak wygląda życie tych, którzy nie biorą udziału w walce? Co uchodzi tutaj za normalne życie? Ci wszyscy ludzie kupujący burgery w Wendy’s i telewizory w centrum handlowym w Juárez – oni z pewnością nie pracowali dla Zetas. Chciałem się dowiedzieć, jak wpływa na nich życie pośród tych wszystkich zabójstw.

Rozmawiając z mieszkańcami Juárez, powoli docierałem do tej odpowiedzi, ale zrozumiałem ją dopiero wtedy, gdy zająłem się historią dziewczyny, która się zakochała, i matki, która poszła jej szukać. Poznałem tę historię, odszukując ludzi, którzy znali obie kobiety, i przeglądając dokumenty z tamtego czasu<sup>509</sup>.

Początkowo może się wydawać, że to opowieść z jakiejś innej książki, ponieważ skupia się na ludziach, którzy nie mają nic wspólnego z handlem narkotykami, ani nawet z samymi narkotykami. W rzeczywistości jednak to najlepsza, jaką udało mi się znaleźć – i najlepsza, jaką mogę przedstawić – ilustracja zmian dokonanych przez wojnę narkotykową w psychice Meksykanów i obywateli wielu innych krajów położonych na szlaku dostaw.

Rubi Fraire wraz ze swoją liczną meksykańską rodziną była na wakacjach w Jalisco. Zatrzymali się w taniej restauracji, z sufitem z liści palmowych, w pobliżu której leniwie płynęła rzeka. Rubi miała jedenaście lat – była sarkastyczną, nieco pulchną dziewczynką, która bez przerwy żartowała. Jej matka Marisela specjalnie na tę okazję wyrwała się z nieustającego wiru pracy. Była pielęgniarką w miejscowym szpitalu, a popołudniami, po zakończonym dyżurze, sprzedawała naszyjniki, łańcuszki i pierścionki. Taki tryb życia był bardzo męczący, lecz Marisela pracowała przede wszystkim dla swojej rodziny – z myślą o niej odkładała też pieniądze na założenie własnego sklepu i warsztatu.

Przed wejściem do samochodu Marisela policzyła swoje dzieci, ale – w chwili, którą później rodzina wspominała jak scenę wyjętą żywcem z filmu *Kevin sam w domu* – musiała przez pomyłkę policzyć też jakieś obce dziecko. Wszyscy wsiedli do auta i odjechali. Wszyscy prócz Rubi.

Dopiero po dwóch godzinach zorientowali się, że nie ma jej z nimi.

„Gdzie ona jest?” – krzyknęła Marisela. Jak to się mogło stać? Jak mogła o niej zapomnieć?

Przerażeni, wrócili do ostatniego miejsca, w którym ją widzieli. Przypuszczali, że znajdą dziewczynkę całą we łzach – albo że w ogóle jej tam nie będzie.

Zatrzymali się przed restauracją. Rubi była w środku. Śmiała się radośnie. Pod ich nieobecność zaprzyjaźniła się z jakąś dziewczynką, a teraz jadła rybę.

Juan, starszy brat Rubi, spytał, czy się nie bała. „Nie – odparła dziewczynka. Wiedziałam, że mama po mnie wróci”.

Rubi wiedziała, że Marisela zawsze po nią wróci, zawsze będzie jej szukać, bez względu na okoliczności. I miała rację. Nie wiedziała tylko, jak daleko Marisela będzie kiedyś musiała zawędrować, by to zrobić.

Kilka lat później Rubi się zakochała. W nowym warsztacie stolarskim jej matki w Ciudad Juárez pojawił się wysoki, chudy dwudziestodwulatek z odstającymi uszami, pozujący na twardziela, co bardzo imponowało małej Rubi. Młodzieniec prosił Mariselę o pracę.

„Proszę mi pomóc. Nie mam za co kupić jedzenia dla mojej małej córeczki – mówił Sergio. – Zrobię wszystko, co trzeba. Proszę dać mi szansę, choć na kilka dni”.

Marisela miała miękkie serce, więc zatrudniła Sergia jako pomocnika stolarza. Wkrótce jej córka nie odstępowała go nawet na krok. Miała czternaście lat i była pod ogromnym wrażeniem jego opowieści – Sergio twierdził, że pracował jako DJ w radiu, a wyrzucono go stamtąd, bo przespał się z córką właściciela i nosił przy sobie AK-47. Rubi, choć bardzo młoda, była już dojrzałą dziewczyną o kuszących krągłościach i prawdziwie kobiecej urodzie.

Nie wiemy, kiedy właściwie zostali parą. Sergio zrobił sobie tatuaż z imieniem Rubi i wmawiał jej, że matka jej nie kocha. Gdyby ją kochała, nie suszyłaby jej głowy o kiepskie oceny w szkole, prawda?

Pewnego ranka Rubi zniknęła. Policja nie chciała jej szukać. Kilka miesięcy później Marisela sama ją znalazła. Choć dziewczyna była w ciąży, szybko znów się zaprzyjaźniły – ale Rubi co noc wracała do Sergia.

Ten mały rodzinny dramat rozgrywał się na tle większego krwawego procesu, który upodobił ich miasto do scenografii z filmu *Piła*. Na ulicach Juárez znajdowano rozczłonkowane ciała, na estakadach wisały bezgłowe zwłoki z napisami obwieszczającymi, że teraz rządzi tu nowy kartel. Jednak to wszystko nie miało nic wspólnego z Mariselą i jej rodziną. Podobnie jak pozostali mieszkańcy miasta, odwracali głowy i starali się żyć swoim życiem. Co innego mogli zrobić?

Pewnego dnia Juan, starszy brat Rubi, przyszedł do jej mieszkania, by je wyremontować, przywitał go jednak zaskakujący widok. Wszystkie meble zniknęły. Mieszkanie było puste. Została tylko jedna rzecz – list od Rubi. Dziewczyna pisała, że mają z Sergiem masę problemów, bo Marisela ciągle go krytykuje, więc wyjeżdżają, by rozpocząć nowe życie, z dala od Juárez i od niej.

Rubi uciekała już wcześniej. Zawsze wracała.

Nadeszło Boże Narodzenie, ale Rubi nie zadzwoniła.

Nadszedł Nowy Rok, a Rubi nadal nie dawała znaku życia.

Marisela była zaniepokojona. Tym razem nie pokłóciły się przed jej ucieczką. Gdzie była Rubi? Postanowiła odwiedzić matkę Sergia i spytać, czy coś o tym wie. Kiedy dojechała na miejsce, zobaczyła coś, co zaniepokoiło ją jeszcze bardziej – dziecko Rubi. Było z Sergiem. Ale bez Rubi.

Sergio powiedział, że dziewczyna porzuciła ich oboje. Mariseli wydawało się to niepojęte. Owszem, mogła zostawić Sergia, ale własne dziecko? Przyjrzała się ponownie listowi córki i pomyślała z przestachem: „A jeśli to nie ona go napisała? Jeśli ktoś się pod nią podszył?”

Kiedy wkrótce po tej wizycie ponownie wybrała się do wnuka, okazało się, że Sergio wyjechał i zabrał dziecko ze sobą. Marisela i jej najstarszy syn postanowili w całej dzielnicy Fronteriza Baja rozwiesić plakaty z podobizną Sergia i roznieść ulotki z prośbą o informacje na jego temat.

Ale nic to nie dało.

Jednak po dwóch tygodniach odebrali telefon od nastolatka o imieniu Angel.

„Muszę z wami porozmawiać. Powiem wam coś bardzo przykrego. Nie chcę robić tego otwarcie, bo się boję. [Ale] w mojej rodzinie też ktoś



zaginął. Wiem, co czujecie. Wiem, co myślicie, kiedy kogoś szukacie i nie możecie go znaleźć”.

Kiedy Marisela spotkała się z Angelem, chłopak drżał. Musiała wywieźć go daleko poza dzielnicę, by zdołał powiedzieć to, z czym do niej przyszedł.

Kilka miesięcy wcześniej kręcił się z kumplami po okolicy, kiedy podjechał do nich Sergio i powiedział, że potrzebuje pomocy. Musiał zabrać z domu trochę mebli i dałby im zarobić, gdyby mu w tym pomogli. I tak cała grupa – brat Sergia Andy, Angel i jakiś dziesięcioletni chłopiec – pojechali z nim. Kiedy dotarli na miejsce, zobaczyli Rubi. Miała rozbitą głowę. Nie żyła. Dzieciaki nie chciały mieć z tym nic wspólnego. Sergio wpadł we wściekłość. Oznajmił, że jeśli mu nie pomogą, wszystkich zabije.

Owinęli więc ciało Rubi i zanieśli je do pick-upa. Sergio odjechał z dziesięcioletkiem, a Angel musiał żyć z tym, co widział.

Marisela i Juan nie wiedzieli, co o tym sądzić. Wydawało się, że dzieciak mówi prawdę, ale nie chcieli mu wierzyć. Kobieta prosiła Angela, by poszedł z nią na policję. W końcu wystraszony dzieciak się zgodził. Policja zapisała jego zeznania, ale nic z tym nie zrobiła.

Marisela codziennie przychodziła na komisariat, pytając: „Więc co dziś zrobicie [by znaleźć Sergia]? Jak będzie wyglądał wasz następny krok?”. Właściwie wprowadziła się do budynku komisariatu jako jednoosobowa grupa nacisku. Lecz policja tylko wzruszała ramionami. „Sergio zniknął. Co możemy z tym zrobić?”

Wtedy Marisela podjęła decyzję. Skoro policjanci nie chcieli wykonywać swoich zadań, ona robi to za nich. Zostanie detektywem. Zamierzała stworzyć działający pośród pól śmierci Ciudad Juárez oddział śledczy składający się z jednej osoby.

Krążyła po górach wokół miasta, godzinami szukając zwłok Rubi. Potem wróciła do dzielnicy Sergia, by rozdawać tam ulotki. W końcu pewna kobieta powiedziała Mariseli, że wie, gdzie przebywa Sergio. Nie mogę tu zdradzić, kim była ta kobieta, bo naraziłbym ją w ten sposób na śmierć. Zdradziła Mariseli, że Sergio przebywa we Fresnillo, szesnaście godzin jazdy od Juárez, podała jej też numer jego telefonu stacjonarnego. Marisela przekazała wszystkie te informacje policji i... wciąż nic. Nie doczekała się żadnej reakcji.

Od dłuższego czasu Marisela źle się czuła. Zakładała, że ma to związek ze zniknięciem Rubi, lecz lekarze powiedzieli jej, że się myli. Miała raka

piersi i musiała się jak najszybciej poddać podwójnej mastektomii.

W tym momencie zapewne większość z nas by się poddała. Ale nie Marisela.

Kilka dni po operacji pojechała do Fresno. Do ran na obu piersiach miała przymocowane rurki, którymi do pojemników spływała surowica.

Znalazła go. Policja z Fresno w końcu aresztowała Sergia, a ten od razu przyznał się do winy. Tak, rozbił czaszkę Rubi. Podpalił ciało i porzucił je na obrzeżach miasta, gdzie miejscowa rzeźnia wyrzuca kości i tłuszcz świń. Policjanci w Juárez rozpoczęli poszukiwania. Znaleźli zaledwie jedną trzecią ciała – między innymi rękę Rubi oraz kilka części jej głowy – nawet nie całą czaszkę. Tylko fragmenty. W sumie udało im się wydobyć trzydzieści sześć kości. Śledczy powiedzieli Mariseli, że gdy ciało się pali, zawartość czaszki eksploduje zazwyczaj przez oczy i uszy, ale ponieważ czaszka Rubi była popękana, to, co znajdowało się wewnątrz, wyciekło przez otwór powstały przy uderzeniu.

Marisela była przekonana, że uda jej się znaleźć więcej szczątków Rubi. Pojechała ze swoim synem Juanem na miejsce, gdzie rzeźnia składowała odpady. Leżały tam tysiące świńskich kości, a taczkami dowożono ciągle nowe. Zaczęli grzebać wśród cuchnących szczątków, przy czym Marisela wciąż nosiła pojemniki przyłączone do ran na piersiach. „Wszędzie robaki, zapach śmierci i kości, przerzucaliśmy je, szukając choćby jednego kawałka Rubi. Choćby jednego kawałka – wspomina Juan. – Oczywiście nic nie znaleźliśmy”.

Angel zeznawał na procesie. Opisał wszystko, co widział, i wyjaśnił, że Sergio groził mu śmiercią, jeśli kiedykolwiek komuś o tym powie.

Pewnego dnia w trakcie procesu Sergio odwrócił się do Mariseli z miejsca dla oskarżonych i oznajmił: „Wiem, że wyrządziłem wam straszną krzywdę, której nie da się naprawić. Ona już powiedziała, że mi nie wybaczy, ale proszę o twoje przebaczenie, Mariselo, bo wiem, że to była wielka krzywda. I miałaś rację, mówiąc: »Gdzie był wtedy Bóg?«, ale ja miałem okazję znaleźć Boga w więzieniu. Nie znajduję słów... To wszystko”<sup>510</sup>.

Wydawało się oczywiste, że zostanie skazany, ale potem sprawy przybrały nieoczekiwany i tajemniczy obrót. Sędziowie stwierdzili, że nie mogą zaakceptować oświadczenia Sergia, bo przy składaniu zeznań musi być obecny prokurator, inaczej nie mają mocy prawnej. Wyłącznie na tej podstawie stwierdzili, że dowody są niewystarczające, i uniewinnili Sergia.

Marisela zawsze uważała, że trzeba robić wszystko jak należy, uczciwie. W tym momencie, jak mówił Juan, „poczuła się zdradzona przez swoich sprzymierzeńców, bo do tej pory ufała władzom. „Ci sędziowie zabili moją córkę po raz drugi” – oznajmiła. Nikt nie rozumiał, dlaczego tak się stało, ale nie był to wcale odosobniony przypadek – odsetek skazanych za morderstwo wynosi w Juárez zaledwie dwa procent<sup>511</sup>.

Angel – dzieciak, który zeznawał na procesie – został zamordowany wraz z całą swoją rodziną. Dokładnie jak obiecał Sergio.

Marisela zaczęła chodzić po ulicach Juárez z transparentami, domagając się sprawiedliwości dla Rubi, trzymała również jej zdjęcie. Wzywała wszystkie matki, których córki zaginęły bez śladu, by wyszły z domów i dołączyły do niej. W całym kraju ludzie protestujący przeciwko kartelom i korupcji padali ofiarą morderstw, ale Marisela była niepowstrzymana. Stopniowo, widząc jej determinację i odwagę, na ulice zaczęły wychodzić inne matki, które niosły zdjęcia swoich zaginionych dzieci. Maszerowały całymi dniami przez najniebezpieczniejsze ulice miasta, nie akceptując obecnego stanu rzeczy. Podczas przemówienia Marisela powiedziała: „Zebrała się nas tutaj tylko garstka, ale znacznie więcej siedzi w domu, czeka na swoje dzieci i płacze. [...] Pytamy was, ile ich jeszcze będzie? Ile ofiar? [...] Jesteśmy osamotnione w tej walce. Prosimy, dołączcie do nas, wesprzyjcie nas”<sup>512</sup>. Wszędzie, gdzie się pokazywały, ludzie krzyczeli: „Idźcie dalej!” i „Jesteśmy z wami!”.

Skontaktowali się z nią przedstawiciele konkurencyjnego gangu, którzy zaproponowali, że mogą zająć się Sergiem. Niektórzy członkowie rodziny gotowi byli na to przystać, ale Marisela odmówiła. Wierzyła w sprawiedliwość, a nie przemoc.

Rozmawiała ze wszystkimi, którzy kiedykolwiek znali Sergia, błagała ich o informacje – i w końcu ktoś podał jej adres we Fresno, mieście odległym o półtora tysiąca kilometrów od Juárez.

Gdy tylko dotarła na miejsce, ktoś wystrzelił kilka razy w powietrze, by ją odstraszyć. Marisela nie zamierzała jednak uciekać. Wynajęła w pobliżu dom i czekała. Aż w końcu pewnego dnia zobaczyła Sergia na ulicy.

Nie podniosła alarmu. Nie chciała, by zginął – pragnęła jedynie, by stanął przed obliczem sprawiedliwości.

Wiele lat po tych wydarzeniach wybrałem się do slumsów Juárez, by porozmawiać z najlepszą przyjaciółką Mariseli Berthą Alicią Garcia.

Zapytałem ją, czy się nie bały. „Zawsze się bałyśmy – odpowiedziała. – Ale czasem miłość do dzieci jest silniejsza od strachu”.

Marisela zadzwoniła na policję i opowiedziała o wszystkim. Przysłali trzech funkcjonariuszy, którzy narobili takiego hałasu przed domem, że Sergio zdążył opuścić budynek tylnym wyjściem.

Pozwolili mu uciec. Znowu.

Czy była to zwykła niekompetencja? Korupcja? Strach?

Marisela próbowała szukać go dalej, wypytywała o niego w okolicznych miasteczkach, lecz ten teren był kontrolowany przez Zetas, ci zaś nie lubią, gdy ktoś zadaje za dużo pytań. Marisela postanowiła więc przejść na piechotę z Ciudad Juárez do meksykańskiej stolicy – pokonując prawie tysiąc dwieście kilometrów – by prosić o wstawiennictwo samego prezydenta. Łatwiej zrozumieć skalę tego wyzwania, wiedząc, że mniej więcej taka sama odległość dzieli Paryż od Budapesztu lub Los Angeles od Denver.

I tak Marisela zaczęła swój długi marsz przez pustynię. W ciągu dnia panuje tam taki upał, że zwierzęta zakopują się w ziemi i wychodzą dopiero o zachodzie słońca<sup>513</sup>. Marisela wędrowała dzień za dniem, przez wydmy, góry i burze piaskowe. Wydała już wszystkie oszczędności. Czasami głodowała, podobnie jak towarzyszące jej matki, czasami miała do jedzenia tylko chleb z majonezem. Spały, gdzie popadło, czasami ludzie wpuszczali je do swoich domów lub pozwalali kłaść się w ich samochodach.

Na pustynnych drogach panuje okropny upał – wydaje się, że położony nieco dalej asfalt stopił się i zamienił w kałużę lśniącej czerni. Pył i blask słońca były tak dokuczliwe, że Juan, syn Mariseli, dostał zapalenia spojówek i przez dwa dni nic nie widział – siedł, trzymając się ramienia matki.

Wyglądało to tak, jakby próbowała uciec przed rozpaczą. Cały kraj oglądał jej walkę i zadawał sobie pytanie: skoro pozbawiona środków do życia pielęgniarka może odnaleźć mordercę, dlaczego nie radzi sobie z tym policja, która ma wszystko, czego potrzeba do takich poszukiwań? Co się dzieje z naszym krajem?

Gdy po trzech miesiącach marszu dotarła do Meksyku, prezydent Calderón jej nie przyjął. Na nagraniach filmowych z tamtego okresu widać, jak rozpacz odmienia jej twarz.

Wtedy do Mariseli zaczęły docierać plotki, które pomogły jej zrozumieć całą tę historię. Powiedziano jej, że Sergio należy do Los Zetas. Dlatego

policja nie chciała robić mu krzywdy. Dlatego ciągle mógł uciekać. Gdy Marisela po raz ostatni zdobyła informacje o miejscu pobytu Sergia, policjanci powiedzieli jej szczerze: „Jeśli jest z Zetas, nie będziemy mogli nic zrobić, bo to oni tu rządzą. Jeśli kogoś aresztujemy, to tylko dlatego, że nam pozwolą. Nie możemy zamknąć kogoś ot tak sobie”. Przepraszali ją za swoją niemoc, tłumacząc jednocześnie, że Zetas dają im pieniądze, jeśli są posłuszni, lecz zabijają ich, jeśli nie zechcą współpracować.

Wróciłem myślami do początków tej wojny. Arnold Rothstein mógł bezkarnie strzelać do policjantów. Ogromne pieniądze, które zdobywał dzięki kontroli nad rynkiem zdelegalizowanych narkotyków, pozwalały mu kupować znacznie więcej niż futra dla Carolyn. Zapewniły mu miejsce poza i ponad prawem. Najpierw kupił sobie wolność od prawnej odpowiedzialności za przestępstwa związane z prowadzeniem narkotykowych interesów. Później rozszerzał tę wolność, nie musiał się obawiać kary za kradzieże, wymuszenia i morderstwa. Ten obszar nietykalności rozlewał się na wszystkie strony niczym plama ropy, która powoli oblepia całe społeczeństwo. Zaczynam rozumieć, że taka sama lepka substancja pokrywa dziś Meksyk.

Najpierw dealerzy kupili sobie wolność od prawa dotyczącego narkotyków. Potem kupili samo prawo. Dołączając do Zetas, Sergio postawił się ponad prawem. Oto jakie skutki przyniosło pragnienie kryminalizacji narkotyków.

Lecz Rubi wiedziała, że matka nigdy jej nie porzuci.

Marisela doszła do wniosku, że została jej już tylko jedna, ostatnia karta. Upublicznić sprawę. Powiedzieć o wszystkim światu. Pojechała do miasta Chihuahua, stolicy stanu, i podczas konferencji prasowej podzieliła się z wszystkimi swoim odkryciem, głosząc wszem i wobec, że to Zetas rządzą teraz krajem i robią, co tylko zechcą.

Gubernator publicznie odrzucił jej zarzuty. Marisela przyjechała do miasta na początku grudnia i zaprosiła gubernatora na kolację wigilijną przy wejściu do siedziby władz stanu, albowiem nie zamierzała wyjeżdżać, dopóki Sergio nie zostanie aresztowany. „Na co czeka rząd? Że [Sergio] tu przyjdzie i wykończy mnie? – pytała. – Więc niech mnie zabije, ale tutaj, przy wszystkich. Przekonamy się, czy będzie im choć trochę wstyd”<sup>514</sup>.

Było to jedno z najpilniej strzeżonych miejsc w Meksyku, obstawione przez policję federalną i lokalną oraz wojsko. Lecz pewnego wieczora

brama budynku zaczęła się zamykać, a dziedziniec opustoszał z policjantów i żołnierzy.

Do Mariseli podszedł mężczyzna, nie zważając ani na kamery ochrony, ani na bliskość policji.

Wyjął pistolet. Przyłożył lufę do głowy kobiety i pociągnął za spust. Broń jednak nie wypaliła, coś się zacięło. Marisela poderwała się do ucieczki, a jej brat próbował powstrzymać zabójcę, rzucając w niego krzesłem.

Morderca pobiegł za kobietą. Po drodze wyciągnął drugi pistolet i tym razem strzelił jej prosto w głowę<sup>515</sup>.

W dniu pogrzebu Mariseli spalono jej warsztat, a mężczyznę, który przypominał jej partnera, porwano prosto z ulicy i uduszono, wystawiając ciało na widok publiczny.

Ci, którzy szukają zaginionych, przepadają bez wieści. Ci, którzy szukają sprawiedliwości dla pomordowanych, sami są mordowani. Aż w końcu nad wszystkim zapadnie milczenie. A wszystko to dzieje się w mieście z Walmartem i kilkoma restauracjami KFC.

Najstarszy syn Mariseli, Juan, zdołał uciec do Stanów Zjednoczonych. Spotkałem się z nim w miejscowości, której nazwy nie będę ujawniał ze względu na jego bezpieczeństwo.

„Chcę tylko, byś zrozumiał, kim są prawdziwe ofiary tej wojny – mówił. – To nie kartele ani nie policja, lecz ludzie, którzy znajdują się pomiędzy nimi”. Wyobrażając sobie sześćdziesiąt tysięcy ofiar, nie myślimy o dealerach ani o narkomanach – myślimy o Mariseli. To ona jest bardziej reprezentatywna. A cała ta walka nie przynosi żadnych rezultatów. „Odkąd zaczęła się wojna, kartele tylko urosły w siłę. Narkotyki nie znikną – jeśli przejdiesz się po meksykańskich czy amerykańskich miastach, zobaczysz, że nadal sprzedaje się narkotyki na ulicach, że nadal można je dostać w szkole. Nic się nie zmieniło. Oczywiście dzięki kontroli narkotyków i szlaków kartele mają pieniądze, żeby opłacić policję stanową i federalną, wojsko, wszystkich. – Gdyby zalegalizowano narkotyki, straciliby masę pieniędzy”<sup>516</sup> – mówił Juan.

Kiedy w Stanach Zjednoczonych zalegalizowano alkohol, mnóstwo gangsterów zbankrutowało. Pytam Juana, czy podobna sytuacja miałaby miejsce w Meksyku, gdyby zalegalizowano narkotyki. „Oczywiście. Wtedy byłoby mniej źródeł pieniędzy”. Obawiał się jednak, że kartele są już tak



mocne i kontrolują tak wiele obszarów struktury państwa, że przeniosłyby swoją działalność na inne dziedziny.

Kiedy o tym mówił, ponownie wróciłem myślami do początków tej wojny. Harry Anslinger pisał w latach sześćdziesiątych: „Prohibicja, wprowadzona za sprawą pobudek moralnych i służąca poprawie amerykańskiego sposobu życia, w rezultacie zdeorganizowała to życie. Trudno dziś powstrzymać się od konkluzji, że prohibicja, pozbawiając Amerykanów ich »słabości«, stworzyła jedynie podatny grunt dla rozwoju zorganizowanej przestępczości”<sup>517</sup>.

Drugi syn Mariseli, Paul, cierpi na autyzm, więc nie rozumie do końca, co się wydarzyło. Jednak gdy się spotkaliśmy, chciał mi coś pokazać. To Google Maps na jego laptopie. Wpatruje się obsesyjnie w dom, w którym niegdyś mieszkał z Mariselą. Nie odrywając wzroku od ekranu, mówi: „To niebezpieczne. Nie mogę wrócić. Ale mój dom jest cały. Nic się nie stanie. Mam nadzieję, że go nie spalą. Mam nadzieję, że nie spalą mojego domu. Wszystko tam się dobrze ułoży”. I uśmiecha się z zakłopotaniem, odwracając ode mnie wzrok.

Tymczasem w Meksyku wciąż zadawano trudne pytania dotyczące sprawy Rubi i tego, co mówiła o wojnie narkotykowej i korupcji w tym kraju. W listopadzie 2012 roku meksykańska policja otoczyła dom w stanie Zacatecas i zastrzeliła czterech ludzi. Jednym z nich był Sergio.

Nie tego oczekiwała rodzina Rubi<sup>518</sup>. Teraz nie będzie już procesu ani okazji do zadania niewygodnych pytań.

Przed tymi wszystkimi wydarzeniami Marisela, która wtedy była jeszcze pielęgniarzką, miała swoją ulubioną, specyficzną rozrywkę. Czasami robiła sobie przerwę od pracy i opieki nad dziećmi, wsiadała na motocykl i jechała daleko na pustynię, by cieszyć się wolnością i wiatrem we włosach.

Podróżując po Meksyku, wciąż zadawałem sobie jedno pytanie – skoro wojna narkotykowa doprowadziła już do śmierci sześćdziesięciu tysięcy ludzi i do upadku prawa, po co właściwie państwo wciąż ją prowadzi?

Najkompetentniejszym analitykiem tej wojny, jakiego mogłem znaleźć, była czterdziestokilkuletnia dziennikarka Sandra Rodriguez<sup>519</sup>. Sandra dzielnie trwa na stanowisku szefowej działu kryminalnego wydawanej w Juárez gazety „El Diario”, choć jej współpracownicy padają jak muchy. W mieszkaniu znajomego w Juárez spytałem ją przy kieliszku wina,



dlaczego do tego wszystkiego dochodzi w jej mieście. Sandra odpowiedziała bez zastanowienia: „To nie Meksyk decyduje o takiej polityce. [...] Tę wojnę, tę strategię kryminalizacji, narzuca nam rząd Stanów Zjednoczonych”.

Zrozumiałem jej zarzut dopiero później, gdy dokładniej zająłem się historią penalizacji narkotyków w Meksyku.

W latach trzydziestych ubiegłego wieku Meksyk obserwował, jak u sąsiada z północy sprawdza się polityka prohibicji narkotykowej, i uznał, że nie przynosi ona żadnych korzyści. Dlatego też Meksykanie postanowili pójść inną drogą. Głównym ekspertem do spraw narkotyków był pragmatyczny lekarz ze stolicy, Leopoldo Salazar Viniegra, który prowadził szpital dla narkomanów. Uznano, że właśnie on najlepiej zna się na temacie i dlatego też powinien kierować polityką kraju w tej kwestii. Prezydent mianował go szefem Służby ds. Alkoholu i Narkotyków<sup>520</sup>.

Salazar zaczął dochodzić do tych samych wniosków – i to w tym samym czasie – co skutecznie wyciszony przez władze lekarz z Kalifornii Henry Smith Williams<sup>521</sup>. Opublikował opartą na czternastoletnich badaniach pracę, w której dowodził, że konopie indyjskie nie wywołują psychozy<sup>522</sup>, i obalał „mit marihuany”<sup>523</sup>. Odnosząc się do innych narkotyków, pisał: „Nie da się zlikwidować handlu narkotykami ze względu na korupcję w policji, a także ze względu na bogactwo i wpływy polityczne niektórych handlarzy”<sup>524</sup>. Chyba że odrzuci się samą koncepcję wojny narkotykowej i utrzyma legalny handel takimi środkami. Niech państwo kontroluje sprzedaż i zapasy takich środków, czuwając tym samym nad ich wykorzystaniem, jakością i cenami. Dzięki temu przestępcy nie mieliby wpływu na obrót narkotykami, a to położyłoby kres nielegalnemu handlowi i przemocy oraz chaosowi, jakie się z nim wiążą<sup>525</sup>.

Jak pamiętamy, Anslinger zniszczył Henry’ego Smitha Williamsa, gdy ten wykazał, że istnieje lepsza alternatywa dla prohibicji – podobny los spotkał również Leopoldo Salazara. Harry zaczął się domagać, by go zwolniono. Pouczał przedstawiciela Meksyku w Lidze Narodów, że narkomani to „przede wszystkim przestępcy, a dopiero potem nałogowcy”<sup>526</sup>. Wkrótce, na polecenie Amerykanów, Salazar musiał zrezygnować ze swojego stanowiska<sup>527</sup>.

Jednak Meksyk nie na długo odszedł od swoich przekonań. Kilka lat później ponownie zaczął legalnie sprzedawać narkotyki ludziom, którzy

tego potrzebowali, walcząc w ten sposób z rosnącymi w siłę kartelami. Anslinger zareagował błyskawicznie, blokując całkowicie dostawy przeciwbólowych opioidów do meksykańskich szpitali. Pacjenci dosłownie wili się z bólu<sup>528</sup>. Meksyk nie miał wyboru. Rząd posłusznie przystąpił do wojny z narkotykami, a urzędnicy amerykańskiego Ministerstwa Finansów uznali to za „znaczące zwycięstwo Harry’ego Anslingera”<sup>529</sup>. Tego dnia rozpoczął się długi marsz Mariseli przez pustynię.

Rząd Stanów Zjednoczonych przedstawił Meksykowi taką samą alternatywę jak kartele – *plata o plomo*. Srebro lub ołów. Udzielimy wam finansowego „wsparcia” na prowadzenie tej wojny albo zniszczymy waszą gospodarkę, jeśli się nie zgodzicie. Decyzja należy do was. Nigdy nie wchodziła w grę trzecia opcja, czyli racjonalna polityka wobec problemu narkotykowego.

W 2012 roku, wkrótce po zamordowaniu Mariseli, Michele Leonhart, szefowa Drug Enforcement Administration – agencji rządowej powołanej do walki z narkotykami – powiedziała, że skala przemocy i zabójstw w Meksyku jest w istocie „oznaką sukcesu w walce przeciwko narkotykom”<sup>530</sup>.

Podczas jednego z ostatnich dni mojego pobytu w Juárez pojechałem na pustynię rozciągającą się tuż za ostatnimi zabudowaniami i popatrzyłem z góry na płaskie, na wpół opuszczone miasto, gdzie Rubi poznała Sergia, a Marisela znalazła jej szczątki w stercie świńskich kości.

Przesunąłem palcami po rozgrzanym, parzącym piasku i próbowałem wyobrazić sobie troje nastolatków, o których dowiedziałem się tak wiele, siedzących razem na przyjęciu w innym Meksyku – w kraju, gdzie wybrano pokój zamiast wojny narkotykowej. W tle śpiewa Lady Gaga. Rubi pisze esemesa do swojej matki i śmieje się głośno. Pozbawiony anielskich skrzydeł Juan rozmawia z Rosalim o *World of Warcraft*. Lubię myśleć, że mogliby być przyjaciółmi.

## Część IV

### Świątynia

## Zropaczona mangusta

Czasami po podróży na pierwsze linie frontu wojny narkotykowej w Brownsville albo w Juárez, albo w Mieście Namiotów wracałem do hotelowego pokoju i zadawałem sobie jedno pytanie: dlaczego? Dlaczego ci ludzie giną od kul, obcina się im głowy albo są paleni żywcem? Jaki jest cel tej wojny?

Ponownie przejrzałem oficjalne powody. Organizacja Narodów Zjednoczonych mówi, że celem wojny jest „zbudowanie świata wolnego od narkotyków, co jest możliwe do zrobienia!”<sup>531</sup>. Przedstawiciele rządu Stanów Zjednoczonych zgadzają się z tym, podkreślając, że „nie ma czegoś takiego jak zażywanie narkotyków dla relaksu”<sup>532</sup>. Nie chodzi więc o walkę z uzależnieniem od narkotyków, które panowało niegdyś w mojej rodzinie, ani o zapobieganie narkomanii wśród nastolatków. Ta wojna ma całkowicie wyeliminować narkotyki wśród całej ludzkości. Trzeba usunąć wszystkie zakazane środki z powierzchni ziemi. O to właśnie walczymy.

Zacząłem postrzegać ten cel inaczej, poznawszy historię pijanych słoń, odurzonego bawołu domowego i rozpaczającej mangusty. Opowiedział mi o nich wszystkich niezwykle naukowiec z Los Angeles, profesor Ronald K. Siegel.

Tropikalne burze na Hawajach zamieniły norkę mangusty w kałużę błota, w której leżało martwe jedno z dwóch mieszkających tu do niedawna zwierząt. Profesor Siegel, siwowłosy naukowiec, oficjalny doradca dwóch prezydentów Stanów Zjednoczonych oraz Światowej Organizacji Zdrowia, przyglądał się tej scenie<sup>533</sup>. Druga mangusta znalazła ciało swojego partnera i podjęła decyzję: chciała o tym zapomnieć.

Dwa miesiące wcześniej profesor zasadził w swoim ogródku *Ipomoea carnea*, roślinę o silnym działaniu halucynogennym. Próbowaly jej wszystkie mangusty z okolicy, ale żadnej nie przypadła do gustu. Zwierzęta kręciły się zdezorientowane przez kilka godzin, a potem trzymały się od niej z daleka. Lecz nie teraz. Ogarnięta rozpaczą mangusta przeszła do

ogródka profesora i zaczęła przeżuwać liście halucynogennej rośliny. Wkrótce padła odurzona na ziemię<sup>534</sup>.

Okazuje się, że nie był to jakiś dziwny i odosobniony przypadek w królestwie zwierząt. To całkiem powszechne zachowanie. Gdy Siegel był jeszcze młodym badaczem, jego przełożony stwierdził kategorycznie, że ludzie to jedyny gatunek, który poszukuje narkotyków, by używać ich dla przyjemności. Siegel widział jednak, jak koty rzucają się na kocimiętkę – która, jak wiedział, zawiera substancje przypominające feromony z moczu kocurów – i zastanawiał się, czy jego szef rzeczywiście ma rację. Czy pośród tak wielu gatunków zwierząt żyjących na świecie nie ma takich, które chcą się odurzyć lub upić?

To pytanie wprowadziło go na drogę, którą podążał przez dwadzieścia pięć lat, badając narkotykowe zwyczaje różnych zwierząt, od mangust na Hawajach, poprzez słonie w RPA, aż po koniki polne w okupowanej przez Sowieców Czechosłowacji. Była to misja tak niezwykła i nieprawdopodobna, że pewnego razu, gdy przebywał na polu marihuany na Hawajach, został porwany przez miejscowych dealerów, bo powiedział im, że chce zobaczyć, jak zachowują się mangusty po zjedzeniu marihuany<sup>535</sup>. Handlarze uznali, że to najgorsza historyjka wymyślona przez policję, jaką kiedykolwiek słyszeli.

Na pierwszy rzut oka ustalenia Ronalda K. Siegela mogą się wydawać dziwne. Opisuje je w swojej książce *Intoxication*.

Skosztowawszy odurzającego nektaru niektórych orchidei, pszczoły opadają na ziemię, pogrążone w chwilowym stuporze, a potem wracają po więcej. Ptaki opychają się upajającymi jagodami, a potem fruują w lekkomyślny i brawurowy sposób. Koty chętnie wachają aromatyczne „rośliny rozkoszy”, a potem bawią się wyimaginowanymi przedmiotami. Krowy, które zjadają pewne szczególne gatunki zielska, drżą, szarpią się, a potem wracają po więcej. Słonie celowo upijają się sfermentowanymi owocami. Małpy, które skosztowały „magicznych grzybków”, siedzą z głową opartą na łapach, w pozie przypominającej *Myśliciela* Rodina. Wydaje się, że dążenie zwierząt do chwilowego odurzenia jest równie bezcelowe, co uparte. Wiele zwierząt spożywa te rośliny lub ich przetworzone odpowiedniki, mimo że mogą się okazać trujące lub toksyczne.

Innymi słowy, Siegel odkrył, że Arka Noego przypominałaby Londyn w sobotni wieczór. „W każdym kraju, niemal w każdej grupie zwierząt – tłumaczy – znalazłem przypadki nie tylko przypadkowego, ale i celowego zażywania narkotyków”<sup>536</sup>. W Bengalu Zachodnim grupa stu pięćdziesięciu słoni wdarła się do magazynu i wypila ogromne ilości bimbrow. Pijane zwierzęta wpadły w szal i zabiły pięć osób, a także zniszczyły siedem

betonowych budynków<sup>537</sup>. Jeśli pada się haszysz samcom myszy, nabierają ochoty na seks i szukają samic – potem jednak przekonują się, że „ledwie mogą na nie wejść, nie mówiąc już o stosunku”, więc po chwili zaczynają ziewać i lizać własne penisy<sup>538</sup>.

W Wietnamie tamtejsze bawoły zawsze unikały miejscowych upraw opium. Nie lubią go. Jednak gdy wybuchła wojna, a dokoła zaczęły spadać amerykańskie bomby, bawoły porzuciły swoje dotychczasowe pastwiska, wdarły się na pola opium i zaczęły przeżuwać. Potem wydawały się oszołomione i otepiały. Wyglądało na to, że gdy nie mogły sobie poradzić z nieprzyjemnymi emocjami, chciały od nich uciec – podobnie jak tamta mangusta i podobnie jak my.

Wciąż wracałem myślami do deklaracji ONZ o budowie świata wolnego od narkotyków. Zestawiałem ją często z faktem, który na pierwszy rzut oka wydaje się oczywisty, a zarazem budzi nasz odruchowy sprzeciw. Tylko dziesięć procent ludzi korzystających z narkotyków ma z tym problemy<sup>539</sup>. Ogromnej większości użytkowników – około dziewięćdziesięciu procent – nie dzieje się żadna krzywda. Te liczby nie pochodzą z opracowań jakiejś grupy aktywistów dążących do legalizacji narkotyków, lecz Biura Narodów Zjednoczonych ds. Narkotyków i Przystępczości, globalnego koordynatora wojny z narkotykami. Nawet William Bennett, najzacieklejszy przeciwnik narkotyków w historii USA, przyznaje, że „nieuzależnieni wciąż stanowią ogromną większość użytkowników narkotyków”<sup>540</sup>.

Trudno z tym dyskutować, ale i trudno to zaakceptować. Jeśli myślimy o znanych nam ludziach, wydaje się to całkiem słuszne – tylko drobna mniejszość moich pijących znajomych wpada w alkoholizm i tylko drobna mniejszość moich znajomych, którzy sięgają po narkotyki podczas sobotniej zabawy, staje się narkomanami.

Jeśli jednak weźmiemy pod uwagę wszystko, czego nas uczono o narkotykach, wydaje nam się to niewłaściwe, nawet niebezpieczne. Widzimy tylko to, co zostaje nagłośnione, czyli ludzi uzależnionych. Pozostałych dziewięćdziesiąt procent zdrowych użytkowników korzysta z narkotyków w dyskretny sposób, więc rzadko o nich słyszymy. Z kolei te dziesięć procent z problemami to jedyni użytkownicy narkotyków, jakich widzimy na ulicach. W rezultacie owe dziesięć procent tworzy w stu procentach oficjalny obraz ludzi sięgających po narkotyki. To tak, jakby jedynym obrazem kojarzonym z alkoholem był bezdomny leżący

w ryszto i pijący czysty gin prosto z butelki<sup>541</sup>. Ten negatywny obraz użytkownika narkotyków jest dodatkowo wzmacniany przez państwo. Na przykład w 1995 roku World Health Organization (Światowa Organizacja Zdrowia) przeprowadziła zakrojone na szeroką skalę badania nad kokainą i skutkami jej zażywania<sup>542</sup>. Naukowcy odkryli, że „eksperymentalne i okazjonalne zażywanie zdecydowanie dominuje nad kompulsywnym/zaburzeniowym zażywaniem”. Rząd Stanów Zjednoczonych zagroził, że obetnie WHO fundusze, jeśli nie utajni tego raportu. I rzeczywiście – nigdy go nie opublikowano, a znamy jego treść tylko dzięki przeciekom.

Pisząc te słowa, czuję się nieswojo. Te dziesięć procent osób, które cierpią za sprawą narkotyków, również i mnie najbardziej rzuca się w oczy – w tej grupie znajdują się także bardzo bliscy mi ludzie. Jest jeszcze inny, bardziej złożony powód, dla którego czuję się niezręcznie, przytaczając takie argumenty. Każdy, kto uważa, że należy zreformować prawo dotyczące narkotyków, może zająć dwie pozycje – jedna z nich wydaje się łatwiejsza do zaakceptowania, druga zdecydowanie trudniejsza.

W przypadku tej pierwszej wszyscy się zgadzamy, że narkotyki są złe – ale prohibicja narkotykowa jest jeszcze gorsza. W przeszłości wielokrotnie zajmowałem takie stanowisko w różnych debatach. Mówiłem, że prohibicja nie rozwiązuje problemu, a jedynie dokłada kolejne do już istniejącego. Przy takim podejściu wszyscy jesteśmy wrogami narkotyków, różni nas tylko wizja rozwiązania tej sytuacji – zwolennicy prohibicji uważają, że można to zrobić, zapelniając jeszcze więcej więziennych cel w Kalifornii i wypuszczając na ulice Juárez jeszcze więcej wojskowych jeepów, a reformatorzy są przekonani, że należałoby raczej przeznaczyć te fundusze na edukację dzieci i leczenie narkomanów. W takim podejściu jest dużo prawdy i ja sam instynktownie je wspieram.

Trzeba jednak wziąć pod uwagę trudniejsze do zaakceptowania argumenty. Określone użytkowanie narkotyków może wyrządzić straszliwe szkody, o czym sam dobrze wiem, lecz przytłaczająca większość ludzi korzystających z zabronionych środków czerpie z tego jakąś korzyść – dobrze się bawi w klubie, oddaje pracę w terminie, może się dobrze wyspać albo dociera do tych części swojego mózgu, które normalnie pozostają poza ich zasięgiem. To dla nich pozytywne doświadczenie, które czyni ich życie lepszym. Dlatego tak wielu ludzi po nie sięga. Nie kieruje nimi fałszywa świadomość ani nieposkromiona pycha. Nie trzeba ich powstrzymywać, by



nie zrobili krzywdy samym sobie, bo nie dzieje im się żadna krzywda. Jak ujął to amerykański pisarz Nick Gillespie: „Nie ma mowy o tym, by narkotyki nas kontrolowały, bo to my je kontrolujemy – podobnie jak w przypadku alkoholu, sięgamy po nie głównie po to, by się dobrze bawić, a nie niszczyć samych siebie. [...] Owszem, istnieje coś takiego jak odpowiedzialne używanie narkotyków, w dodatku jest to norma, a nie wyjątek”<sup>543</sup>.

Choć więc takie spojrzenie jest sprzeczne z moimi osobistymi odczuciami, uświadomiłem sobie, że nie mógłbym uczciwie przedstawić kwestii zażywania narkotyków, gdybym pisał tylko o wyrządzanych przez nie szkodach. Jeśli poważnie traktuję temat, muszę pokazać, że korzystanie z narkotyków jest – i było – szeroko rozpowszechnione i że w większości wypadków przynosiło pozytywne skutki.

Zdaniem profesora Siegela opowieść o naćpanych krowach i pszczołach jest w istocie opowieścią o nas samych. Jesteśmy zwierzętami. Gdy tylko zwierzęta zaczęły żywić się roślinami – co nastąpiło bardzo dawno temu, na długo przed pojawieniem się człowieka – rośliny zaczęły wytwarzać substancje chemiczne, które miały chronić je przed zniszczeniem. Okazało się jednak, że substancje te wywołują dziwne reakcje. W niektórych przypadkach, zamiast zatruwać roślinożerne zwierzę, całkiem przypadkiem zmieniały jego świadomość. Tu właśnie w historii pojawia się przyjemność odurzenia<sup>544</sup>.

Wszystkie dzieci bardzo wcześnie doświadczają takiego pragnienia – kręcą się wokół własnej osi albo wstrzymują długo oddech. Wiedzą, że może im się wtedy zrobić niedobrze, ale chęć zmiany świadomości – poczucia czegoś nowego i ekscytującego – jest silniejsza niż obawa przed mdłościami<sup>545</sup>.

Nie było jeszcze ludzkiej społeczności, której członkowie nie szukaliby takich doznań. Wysoko w Andach już dwa tysiące lat p.n.e. wytwarzano fajki, w których palono halucynogenne zioła<sup>546</sup>. Owidiusz pisał, że narkotyki wywołują ekstazę, która jest boskim darem. Jeszcze przed 17 rokiem n.e. Chińczycy masowo uprawiali opium. Halucynogeny i substancje powstałe podczas palenia marihuany znaleziono w odłamkach glinianej fajki w domu Williama Szekspira<sup>547</sup>. George Washington domagał się, by w ramach racji żywnościowych amerykańscy żołnierze codziennie dostawali whisky<sup>548</sup>.

„Wszechobecność narkotyków jest tak uderzająca – konkluduje lekarz Andrew Weil – że musi być wyrazem podstawowych ludzkich pragnień”<sup>549</sup>. Profesor Siegel twierdzi, że chęć zmiany świadomości jest „czwartym popędem” obecnym w umysłach wszystkich ludzi, obok pragnienia, głodu i popędu seksualnego, oraz że jest „biologicznie nieunikniona”<sup>550</sup>. Pozwala nam doświadczyć przez chwilę spokoju i ulgi.

Tysiące ludzi ciągnęły na dziesięciodniowe wrześniowe święto, by po okresie wytężonej pracy bawić się i relaksować przy pomocy środków odurzających. Narkotyki krążyły swobodnie wśród tłumu, dostępne dla każdego, kto zechciał ich spróbować. Wszyscy, którzy się na to zdecydowali, wkrótce wpadali w nieprawdopodobne uniesienie, po którym następowały żywe, niesamowite halucynacje. Jak ujął to jeden z użytkowników, nagle czuć coś „nowego, zdumiewającego, niezrozumiałego dla racjonalnego umysłu”<sup>551</sup>.

Niektórzy wracali tu co roku, zachwyceni tym doświadczeniem. Rozbawiony, roztańczony i rozśpiewany tłum stanowił niezwykłą mieszankę przedstawicieli różnych warstw społecznych. Obok rolników, którzy dopiero co skończyli żniwa, pojawiały się najświetniejsze postaci swoich czasów. Na przestrzeni wieków bywali tu ludzie tacy jak Sofokles, Arystoteles, Platon i Cynceron<sup>552</sup>.

Coroczne misteria odprawiane w Eleusis, mieście położonym zaledwie osiemnaście kilometrów na północny zachód od Aten, były imprezą narkotykową na wielką skalę<sup>553</sup>. Obrzęd ten odprawiano co roku przez dwa tysiące lat<sup>554</sup>, a mógł w nim wziąć udział każdy, kto mówił po grecku. Harry Anslinger powiedział, że korzystanie z narkotyków to „nic innego niż atak na podstawy zachodniej cywilizacji”<sup>555</sup>, jednak tutaj, gdzie tak naprawdę narodziła się zachodnia cywilizacja, używanie narkotyków było częścią uświęconej tradycją obrzędowości.

Dowiedziałem się o tym dzięki świetnej książce *Odlot. Kulturowa historia odurzenia* brytyjskiego krytyka Stuarta Waltona, a później postanowiłem przyjrzeć się sprawie bliżej, korzystając z tytułów podanych w bibliografii Waltona, wśród których znalazły się między innymi prace profesora R. Gordona Wassona czy profesora Carla A. P. Rucka<sup>556</sup>.

Każdy uczestnik misteriów eleuzyńskich musiał przysiąc, że zachowa w tajemnicy prawdę o tym, co działo się podczas obrzędu, więc nasza wiedza oparta jest na strzępach informacji zapisanych w ostatnich latach

odprawiania tej uroczystości, gdy właściwie była już nielegalna<sup>557</sup>. Wiemy jednak, że wśród tłumu krążył kielich zawierający tajemniczą mieszankę substancji halucynogennych<sup>558</sup>. Badania przeprowadzone wiele lat później zdają się dowodzić, że był to środek pokrewny LSD, sporządzony z pasożytujących na zbożach grzybów, które wywoływały halucynacje<sup>559</sup>. Skład mikstury był objęty ściśle strzeżoną tajemnicą. Można więc powiedzieć, że używanie narkotyków było legalne – władze wręcz do tego zachęcały – i prawnie uregulowane<sup>560</sup>. Można było z nich korzystać, ale tylko w ściśle określonych miejscach przez dziesięć dni w roku. Pewnego dnia 415 roku p.n.e. imprezowicz o imieniu Alcybiades wyniósł ukradkiem trochę tajemniczego narkotyku, by zanieść go do domu, dla przyjaciół. Walton pisze: „Przyłapany na posiadaniu z zamiarem dostarczenia, był pierwszym w historii przestępcą narkotykowym”<sup>561</sup>.

Jednak o ile zażywanie narkotyku poza świątynią było przestępstwem, w jej wnętrzu wszyscy chętnie z niego korzystali. Jak wynika z opisów, było to połączenie Studia 54<sup>[2]</sup> z Bazyliką Świętego Piotra – hulanka i religijne święto w jednym.

Uczestnicy misterii uważali, że narkotyk przybliży ich do bogów, a nawet sprawia, że sami mogą się stać bogami. Filolog klasyczny doktor D. C. A. Hillman pisał, że „ojcowie założyciele” świata zachodniego

byli bez wątpienia użytkownikami narkotyków – hodowali je, sprzedawali i, co ważniejsze, zażywali. [...] Świat starożytny nie miał Nancy Reagan, nie prowadził kosztującej miliard dolarów wojny z narkotykami, nie wsadzał do więzienia ludzi, którzy po narkotyki sięgali, i nie uznawał wstrzemięźliwości za cnotę. Dogadzał sobie [...] – z tego właśnie świata, w którym narkotyki były powszechnie akceptowaną częścią życia, wyrosły sztuka, literatura, nauka i filozofia. [...] Zachód nie przetrwałby bez tych tak zwanych ćpunów i dealerów<sup>562</sup>.

Przez lata pojawiały się narzekania, że podczas tych obrzędów kobiety w transie zachowywały się zbyt swobodnie, ale misteria trwały przez wieki, a kres położyło im dopiero chrześcijaństwo. Pierwsi chrześcijanie chcieli, by do uniesienia prowadziła tylko jedna droga – wiodąca przez modlitwę do Boga. Nie powinienesz czuć czegoś równie głębokiego i przyjemnego poza naszymi obrzędami w naszych kościołach. Początkowo zabiegi zmierzające do prohibicji związane były z władzą i czystością wiary. Jeśli chcesz mieć jednego Boga i jeden Kościół, musisz zrezygnować z doświadczeń, które dają ci poczucie, że możesz się zbliżyć do Boga na własną rękę. To nie przypadek, że kiedy pojawiają się nowe narkotyki, ludzie opisują je przy pomocy słów związanych z religią, takich jak „uniesienie” czy „ekstaza”.

Często jedno rywalizuje z drugim o tę samą część mózgu, odpowiedzialną za poczucie podziwu i radości.

Kiedy więc cesarz Konstantyn przeszedł na chrześcijaństwo i proklamował swobodę wyznawania tej religii, misteria eleuzyńskie zaczęły tracić na znaczeniu. Jakiś czas później uznano je za kult i zlikwidowano. Nowe chrześcijaństwo popierało picie wina tylko małymi łykami, należało unikać upojenia<sup>563</sup>. Te „naciski ze strony chrześcijaństwa – tłumaczy Walton – stanowią początek systematycznego wypierania chęci odurzenia w życiu mieszkańców Zachodu”<sup>564</sup>.

Jednak każde kolejne pokolenie próbowało odtworzyć misteria eleuzyńskie – w swoich umysłach i wszędzie tam, gdzie można znaleźć przestrzeń wolną od miejscowych Anslingerów.

Okazuje się, że Harry Anslinger reprezentował trend sięgający aż starożytności.

Kiedy Zygmunt Freud zasugerował, że każdy ma wymyślne fantazje seksualne i że jest to dla nas równie naturalne jak oddychanie, uznano go za szalonego zboczeńca. Ludzie chcieli wierzyć, że fantazje seksualne to coś, co dotyczy tylko innych – plugawych, nieprzyzwoitych. Aby poradzić sobie jakoś z tą częścią ich podświadomości, która odpowiadała za mokre sny i marzenia na jawie, przenosili je na innych, na „Tych Zepsutych”, których należało powstrzymać. Zarówno Stuart Walton, jak i filozof Terence McKenna piszą, że obecnie znajdujemy się mniej więcej na tym samym etapie rozwoju społecznego przyzwolenia na powszechne dążenie do poznawania odmiennych stanów świadomości. McKenna tłumaczy: „Odkrywamy, że ludzie są istotami poszukującymi chemicznego odurzenia, przejści takim samym pełnym przerażenia niedowierzaniem, jak wiktoriańskie odkrywający, że wszyscy mamy seksualne fantazje i obsesje”<sup>565</sup>.

Tak jak ratujemy popęd seksualny przed zamknięciem w podświadomości i przed wstydem, tak powinniśmy również uwolnić naszą chęć odurzenia<sup>566</sup>. Stuart Walton apeluje o stworzenie całkiem nowej gałęzi ludzkiej wiedzy, zwanej „intoksykologią”<sup>567</sup>. „Intoksykacja [odurzenie] odgrywa lub odgrywała rolę w życiu każdego człowieka. [...] Próby wypierania [tego popędu] są z góry skazane na porażkę – to niszczenie konstytutywnej części tego, kim jesteśmy”<sup>568</sup>.

Po dwudziestu latach obserwowania odurzonych myszy, pijanych słońi i upojonych mangust Ronald K. Siegel uważa, że prawdopodobnie dowiedział się również czegoś o nas: „Nie różnimy się tak bardzo od innych form życia na Ziemi” – mówi.

Widząc ludzi, którzy chcieliby całkowicie zabronić używania narkotyków, nie może oprzeć się zdumieniu. „Zaprzeczają chemii własnego organizmu – mówi. – Mózg wytwarza endorfiny. Kiedy to robi? W reakcji na stres i ból. Czym są endorfiny? To związki przypominające morfinę. To całkiem naturalna substancja, dzięki której czujemy się lepiej [...]. Dzięki niej ludzie czasami wpadają w euforię. To zmiany chemiczne – zmiany tego samego rodzaju i dotyczące tych samych struktur molekularnych, co zjawiska wywoływane przez rośliny [używane do wyrabiania narkotyków]. [...] Wytwarzamy te same substancje. [...] Uczucie, którego doświadczamy podczas orgazmu, jest częściowo chemiczne – to narkotyk. Czy ludzie zaprzeczają, że tego chcą? Dajmy spokój! [...] To zabawa. To przyjemność. Chemiczna. Rodzaj odurzenia”. Wydaje się, że na chwilę wraca myślami do wszystkich tych odurzonych zwierząt, które obserwował przez lata. „Moim zdaniem nie ma żadnego znaczenia, skąd pochodzą te substancje”.

To jest w nas. W naszych mózgach. To część tego, kim jesteśmy.

Tu jednak stajemy przed następną zagadką. Skoro chęć odurzania się dotyczy nas wszystkich i skoro dziewięćdziesiąt procent ludzi może używać narkotyków, nie uzależniając się od nich, co dzieje się z pozostałymi dziesięcioma procentami, które tego nie potrafią? Co ich odróżnia? To kwestia, nad którą zastanawiałem się przez całe życie. Szukając ekspertów, którzy mogliby mi pomóc, odkryłem, że nieproporcjonalnie duża liczba takich ludzi zebrała się w jednym miejscu – na terenie kilku zaledwie kwartałów dzielnicy Downtown Eastside w kanadyjskim Vancouver.

Miasto na końcu świata

Od dziecka zadawałem sobie pytanie – jakie są powody uzależnień? Czym w ogóle jest uzależnienie? Na przestrzeni lat słyszałem wiele różnych odpowiedzi. To upadek moralny. Choroba. Coś, co kryje się w genach. W końcu doszedłem do wniosku, że to nieprzenikniona tajemnica, lecz po przyjeździe do Kanady dowiedziałem się, że mała grupa dysydenckich naukowców od kilkadziesiąt lat niemal w ukryciu zgłębia odpowiedzi na moje pytania.

Ich ustalenia są tak radykalnie odmienne od wszystkiego, co mi do tej pory mówiono, że potrzebowałem nieco czasu, by przyjąć je do wiadomości.

Historia tych odkryć zaczęła się w ostatnich dniach Holokaustu, kiedy pewna Żydówka zdołała wynieść z getta swoje dziecko.

Judith Lovi ocknęła się ze snu, w którym zamordowano jej rodziców, i odkryła, że w jej piersiach zabrakło mleka. Jej czteromiesięczny synek Gabor nieustannie płakał. Judith dorastała jako córka bogatego lekarza, lecz teraz była sama, zamknięta w budynku z ponad tysiącem obcych, zawszonych ludzi. Toalety dawno już się zapchały, nawet drzwi były wysmarowane odchodami.

Wiedziała, że może wyjść na zewnątrz dopiero późnym popołudniem, bo jeśli jakikolwiek Żyd w budapeszteńskim getcie w 1944 roku pokazał się na ulicy wcześniej, mógł zostać zastrzelony. Wiedziała też jednak, że o tej porze nie kupi już nigdzie świeżego mleka<sup>569</sup>.

Wyszła za Andora zaledwie kilka miesięcy wcześniej, ale musiał ją opuścić. Zabrano go na roboty przymusowe. Być może kopał właśnie umocnienia dla węgierskiej armii, a być może już nie żył. Nie miała pojęcia. Jedynym powodem, dla którego budziła się jeszcze każdego ranka, dla którego w ogóle żyła, był jej syn. Miała nadzieję, że uda jej się przemycić go jakoś za mury getta, choć w to nie wierzyła. Przypuszczała raczej, że zginie w wieku dwudziestu czterech lat wraz ze swym maleńkim dzieckiem.



Sen Judith okazał się prawdą – mniej więcej w tym samym czasie jej rodzice zostali zamordowani. Widziała ich po raz ostatni na peronie dworca kolejowego w Budapeszcie<sup>570</sup>. Chciała wrócić wraz z nimi do rodzinnego miasta, ale jej ojciec, kierowany przeczuciem, przykazał jej, by nie opuszczała stolicy. W czasie wojny około osiemdziesiąt procent węgierskich Żydów zostało uwięzionych i zgładzonych z niezwykłą sprawnością. Po powrocie do rodzinnej miejscowości również rodzice i siostra Judith zostali aresztowani i wywiezieni do Auschwitz. Gdy Armia Czerwona przystąpiła do oblężenia Budapesztu, naziści zaczęli wyprowadzać Żydów nad rzekę i tam ich rozstrzeliwać.

Judith wezwała lekarza w obawie, że nieustający płacz Gabora jest oznaką choroby. „Przyjdę, oczywiście – obiecał jej lekarz. – Ale powinna pani wiedzieć, że wszystkie żydowskie dzieci teraz płaczą”<sup>571</sup>.

Wiele lat później, w odległości wielu tysięcy kilometrów od tego miejsca, to wspomnienie dziecięcego płaczu pomogło Gaborowi – gdy sam już został lekarzem – dokonać kluczowego odkrycia dotyczącego natury uzależnienia. Zadawał sobie pytanie – skąd żydowskie dzieci wiedziały, że są w niebezpieczeństwie? Dlaczego płakały?

Pewnego dnia Judith zauważyła, że do innej kobiety z getta przyszedł z wizytą jej chrześcijański przyjaciel. Wepchnęła mu w ręce Gabora, błagając: „Zabierz go stąd”. Podała mężczyźnie adres mieszkania poza terenem getta, gdzie ukrywała się jej przyjaciółka, i błagała go, by zaniósł tam jej dziecko.

Bez synka Judith była zupełnie sama, wierzyła jednak, że przynajmniej on przeżyje. Trzy tygodnie później Rosjanie wyzwolili Budapeszt spod nazistowskiej okupacji, a Judith szybko odzyskała dziecko. Rok później odnalazła Andora, który ważył wtedy niewiele ponad czterdzieści kilogramów i nosił niemiecki mundur, bo było to jedyne ubranie, jakie udało mu się zdobyć<sup>572</sup>. Okazało się, że wszystkie te doświadczenia – głęboki gniew, rozłąka z matką w kluczowym momencie – ukształtowały mózg małego Gabora w sposób, który miał się odbić na całym jego życiu.

Gdy Gabor miał piętnaście lat, jego rodzinie udało się przenieść z Europy do Vancouver, najodleglejszego punktu na mapie dalekiej Ameryki Północnej. Tam Gabor trafił do getta innego rodzaju – i tam właśnie wraz z dwójką innych ludzi zaczął odkrywać tajemnicę uzależnienia.



Wiedziałem, co prowadzi do uzależnienia, nim jeszcze wyjechałem z Londynu. Wszyscy to wiemy. Nasza kultura dysponuje dokładnym opisem mechanizmu uzależnienia i jest to całkiem dobry opis. Jak z niego wynika, niektóre substancje wywołują tak silne reakcje chemiczne, że jeśli będziemy z nich korzystać wystarczająco długo, mogą uprowadzić nasz mózg. Zmieniają naszą neurochemię. Wywołają chorobę mózgu. Potem będziemy fizycznie potrzebować tej substancji. Gdyby więc ktokolwiek z nas przez następny miesiąc codziennie zażywał uzależniający narkotyk, trzydziestego dnia byłby narkomanem. Uzależnienie jest więc skutkiem wielokrotnego, regularnego kontaktu z pewnymi substancjami chemicznymi o bardzo silnym działaniu.

Kiedy patrzyłem na bliskich mi ludzi, którzy zostali narkomanami, byłem przekonany, że właśnie to ich spotkało.

Tę teorię uzależnienia potwierdziły eksperymenty na zwierzętach. Jeśli wsadzimy szczura do klatki i zapewnimy mu nieograniczony dostęp do kokainy, w dziewięciu na dziesięć przypadków będzie jej używał tak często i tak kompulsywnie, że w końcu zdechnie<sup>573</sup>. Harry Anslinger i Henry Smith Williams zgadzali się w bardzo niewielu kwestiach, ale w tym akurat przypadku byli jednomyślni. Anslinger uważał, że narkotyki uzależniają cię na zawsze, więc należy cię na zawsze pozbawić dostępu do takich substancji; Smith Williams uważał, że narkotyki uzależniają cię na zawsze, więc zawsze powinieneś je otrzymywać od lekarzy. Jeden z nich był okrutny, drugi pełen współczucia, ale obaj wierzyli, że to określone substancje chemiczne są przyczyną cierpienia narkomanów. Taki pogląd ma swoją elegancką, naukową nazwę: „farmaceutyczna teoria uzależnienia”.

Nie miałem pojęcia, że istnieje też inna teoria – oparta na zgoła odmiennych przesłankach – dopóki nie natknąłem się na książkę *In the Realm of Hungry Ghosts* Gabora Maté. Początkowo zawarte w niej poglądy wydawały mi się dość zawiłe, potem jednak skłoniły mnie do głębszych przemyśleń. Doszedłem do wniosku, że muszę spotkać się z tym człowiekiem i poznać go lepiej. Poniższy opis oparty jest na moich rozmowach z Gaborem, na zapiskach z jego szkoleń, jego pismach oraz rozmowach z jego byłymi współpracownikami i pacjentami<sup>574</sup>.

Po raz pierwszy zobaczyłem Gabora na prowadzonym przezeń szkoleniu dla ludzi pracujących z narkomanami. Gabor jest szczupłym mężczyzną o zapadniętych policzkach. Ma oliwkową skórę i niski głos, zwykle mówi szybko, posługując się jednak pełnymi, bezbłędnymi zdaniami. Od razu

zauważyłem, że roztacza wokół siebie aurę smutku. Kiedy zaczął opowiadać mi o swoim życiu, zrozumiałem, co jest tego przyczyną.

Nim w 1998 roku złożył podanie o pracę w Downtown Eastside w Vancouver, Gabor przez wiele lat był cenionym lekarzem rodzinnym. Wielu ludzi nie rozumiało tej decyzji. Śmiertelność na terenie dziesięciu kwartałów objętych tą nazwą należy do najwyższych na świecie. Mieszkańcy Vancouver kojarzą tę dzielnicę głównie z narkomanami o szklistym spojrzeniu, którzy opierają się o nadpalone tablice reklamowe lub puste budynki otoczone drewnianym płótem<sup>575</sup>. Niektórzy z nich są już nieprzytomni, inni rozglądają się dokoła nerwowo, jakby próbowali namierzyć bzykającego w pobliżu owada z paskudnym żądłem.

Spacerując po Downtown Eastside, próbowałem sobie wyobrazić, jak wyglądało to miejsce w czasie, gdy przyjechał tu Gabor. Dealerzy powtarzają rytmicznie narkotykową mantrę: „Koka? Koka?“, „Hera?“, „Koka? Koka?“, „Hera?“. Kobiety o zapadniętych twarzach i wymalowanych ustach przechadzają się nerwowo i wdzięczą do kierowców, proponując im randkę. Przerośnięte gołębie dziobią resztki jedzenia porzucone na chodnikach.

Wytworne nazwy miejscowych hoteli – na przykład Balmoral, z nazwą odnoszącą się do letniej rezydencji brytyjskiej rodziny królewskiej – to niemal jawne szyderstwo z ludzi zajmujących maleńkie pokoje, na które podzielono hotel, by wykorzystał cienką strugę państwowych dotacji dla budynków mieszkalnych. Przypadki przedawkowania i wirusowego zapalenia wątroby typu C wydawały się tak nieodłączną częścią tych przybytków, jak minibary w zwykłych hotelach. Na ulicach walały się puste butelki po płynach do płukania ust i dezynfekcji rąk, porzucone przez alkoholików, którzy szukali maksymalnego upojenia za minimalną cenę. Policja pojawiała się tu sporadycznie, by zgarnąć jedną czy dwie osoby, a potem zniknęła. Wszystko to przenikał wiatr od morza, obojętny na ludzkie dramaty.

Ta dzielnica to kraniec miasta leżący na krańcu cywilizowanej Ameryki Północnej – ostatni przystanek w Ostatnim Mieście. Stąd nie ma już dokąd iść.

Nazwy miejscowych budynków kryją w sobie prawdę o przeszłości dzielnicy. Na jednej z głównych ulic znajduje się Klub Drwali, pamiątka po czasach, gdy zbierali się tu ludzie, którzy wcześniej przez kilka miesięcy

ścinali drzewa w pobliskich lasach. Pnie układano na płozach i przeciągano aż do tego miejsca, by potem załadować je na pociągi jadące do różnych zakątków Ameryki. To właśnie było pierwsze i oryginalne Skid Row<sup>[3]</sup>. Drwale bawili tu przez miesiąc lub dwa, wydając wszystkie zarobione pieniądze, po czym wracali do lasu. W końcu jednak ścięto wszystkie okoliczne drzewa. Zabawa trwała jeszcze przez jakiś czas, a potem dzielnica zaczęła powoli podupadać.

Firmy obsługujące drwali znikwały jedna po drugiej. Dom towarowy Woodward's był niegdyś tutejszym odpowiednikiem Macy's – gdy do Vancouver przyjechał Gabor, po eleganckim lokalu została tylko pusta betonowa skorupa<sup>576</sup>. Kręcili się tu mężczyźni, którzy na ulicy wstrzykiwali kobietom narkotyki do tętnic szyjnych<sup>577</sup>. Miejscowy pisarz Charles Demers tłumaczy: „Ludzie w Vancouver mówią o Downtown Eastside tak jak mieszkańcy Zachodu o Afryce. Niektórzy apelują o apolityczną pomoc i datki, inni o zbrojną interwencję. Wszyscy zgadzają się co do tego, że to problem, który trzeba jakoś rozwiązać. Stanowią go ludzie, którzy są swoimi najgorszymi wrogami i których życie leży w gruzach”<sup>578</sup>.

Ludzie zastanawiali się, co może tutaj zdziałać lekarz. Gabor zrezygnował jednak z praktyki lekarza rodzinnego i rozpoczął pracę w Portland Hotel Society, miejscowej organizacji charytatywnej, prowadzącej eksperyment, który tutejsi wrogowie narkotyków uznali za szaleństwo. Zarówno w tej dzielnicy, jak i w całej Ameryce Północnej, gdy tylko władze dowiedzą się, że jesteś narkomanem, wyrzucają cię z mieszkania komunalnego i odbierają wszelkie świadczenia socjalne. Zerwij z tym, mówią, albo nigdy już nie będziesz miał domu. Często nawet schroniska dla bezdomnych nie wpuszczają takich ludzi.

Liz Evans, młoda pielęgniarka pracująca na kryzysowym oddziale psychiatrycznym w miejscowym szpitalu, wciąż miała do czynienia ze skutkami takiej polityki. Jej oddział pełen był ludzi, których zmuszono do życia na ulicy, a ich sytuacja tylko się pogarszała. Dawano im kilka pigułek, by pomóc im uporać się z zaburzeniami, ale w żaden sposób nie pomagano im radzić sobie z faktem, że ich życie się rozpadło.

Liz postanowiła więc spróbować całkiem innego, pionierskiego podejścia. Jej organizacja non profit przejęła hotel i zamieniła go na schronisko dla ludzi, którzy nie mogli zamieszkać gdzie indziej – najbardziej uzależnionych narkomanów i ciężko chorych psychicznie. Liz objęła kierownictwo nad schroniskiem<sup>579</sup>, w którym kierowano się kilkoma

prostymi zasadami: mieszkańców nie wyrzucano na ulicę ani ich nie pouczano, każdy miał swój pokój, a jeśli sobie tego życzył, mógł liczyć na towarzystwo pracownika, który go wysłucha i spróbuje pokochać. To wszystko.

„Nasza metoda to być człowiekiem dla innych ludzi – tłumaczy mi Liz. – Być dla nich. Nie oceniać ich. Nie mówić im, jak mają żyć. Po prostu być w ich życiu. Być dla nich trwałą, miłą obecnością. Nie kimś, kto najpierw będzie im nadskakiwał, ale potem odejdzie. Kimś, kto ich nie porzuci. Nie zostawi. Kimś, kto nie wyrzuci ich na bruk”.

Niemal wszyscy uznawali taki pomysł za szalony. Przecież nałogowcy tylko szybciej się zapiją albo zaćpają na śmierć, jeśli da im się do dyspozycji odpowiednie miejsce i nie będzie się nimi kierować. Pewien lekarz powiedział Liz, że lepiej byłoby rzucić bombę na Portland Hotel i zabić wszystkich jego mieszkańców. Gabor chciał jednak wziąć udział w tym eksperymencie. Na polecenie Liz zajmował się w Portland Hotel niemal wszystkim, od usuwania ropni po wypisywanie recept na lekarstwa psychotropowe. Lecz najważniejszą część jego pracy stanowiło coś innego, znacznie trudniejszego. Chciał słuchać największych nałogowców, którzy mieszkali w tym miejscu – pozwolić, by opowiadali mu o swoich uczuciach.

Wkrótce odkrył, że to ludzie, których przez całe życie przeganiano lub karcono. Większość z nich nigdy nie miała okazji porozmawiać z kimś, kto chciałby ze współczuciem wysłuchać historii ich życia. Do tej pory wszyscy, którzy zadawali im jakiegokolwiek pytania, robili to tylko po to, by coś im zabrać lub zadać im ból. Dlatego też większość nałogowców była początkowo nieufna. Nie mogli uwierzyć, że ktoś daje im schronienie i oferuje pomoc. Co to za podstęp? Gdzie jest haczyk? Kiedy poznają prawdę i co się wtedy stanie?

Gabor był rozdarty – z jednej strony pragnął słuchać nałogowców, z drugiej czuł do nich odrazę. Widząc ich na ulicach, odnosił wrażenie, że to jacyś upiorni statyści rodem z filmów Felliniego<sup>580</sup>. Również siedząc w swoim gabinecie, mimowolnie ich czasem osądzał. Dlaczego to sobie robią? Dlaczego ktoś jest tak głupi? „Miałem do nich nieco moralizatorskie podejście” – przyznaje.

Jak opisuje w swojej książce, jeden z mieszkańców, który do niego przychodził, trzydziestosześcioletni mężczyzna o imieniu Carl, zaczął się z czasem otwierać<sup>581</sup>. Spędził dzieciństwo, wędrując niechciany od jednej

rodziny zastępczej do drugiej. W jednej z takich rodzin, gdy robił się nadpobudliwy, zastępczy rodzice przywiązywali go do krzesła i zostawiali w ciemnym pokoju. Kiedy przeklinał, wlewali mu do ust płyn do mycia naczyń. Carl nauczył się u nich, że nigdy nie można bezkarnie wyrażać gniewu, więc kiedy był wściekły, brał nóż i kaleczył sobie stopy. Opowiadał o tym, kuląc się ze wstydu. Był przekonany, że Gabor go potępi, jak robili to do tej pory wszyscy.

Gabor raz po raz wysłuchiwał różnych wersji takich historii. Nałogowcy przez całe życie byli traktowani tak, że czuli się odrażający i wiecznie wstydzili się samych siebie – tylko narkotyk pozbawiał ich tego poczucia. „Kiedy po raz pierwszy sięgnęłam po heroinę – opowiadała mu jedna z kobiet – poczułam się tak, jakby ktoś ciepło, serdecznie mnie przytulił”<sup>582</sup>.

Po jakimś czasie Gabor zaczął dostrzegać w umysłach mieszkańców Portland Hotel powtarzający się schemat. Słuchając jego relacji, pomyślałam o narkomanach, których losy opisuję w tej książce: o Billie Holiday, o matce Chino, Deborah, o Marcii Powell ugotowanej w klatce. Co wszystkie te kobiety miały ze sobą wspólnego? Zaburzone dzieciństwo, naznaczone przemocą lub napaścią seksualną – albo jednym i drugim.

Gabor odkrył, że praktycznie wszyscy jego pacjenci pasują do tego opisu. I wtedy tknęła go myśl – czy to możliwe, że wszyscy ci nałogowcy byli straszliwie okaleczeni, *zanim* jeszcze sięgnęli po narkotyki? Co jeśli odkrycie narkotyków nie było tym najważniejszym trzęsieniem ziemi w ich życiu, a tylko jednym z wstrząsów wtórnych?

Gabor przeanalizował kilka opracowań naukowych i zauważył coś zdumiewającego.

W całym świecie zachodnim ludzie codziennie dostają w sposób legalny bardzo silne opioidy. Jeśli zostałeś ciężko ranny w wypadku samochodowym, przeszedłeś operację wymiany stawu biodrowego lub jakiś poważny zabieg dentystryczny, prawdopodobnie podawano ci opioidy, być może przez dość długi czas. Właściwie to te same środki, które zażywają pacjenci Gabora (tyle że pozbawione zanieczyszczeń dodawanych przez dealerów). Jeśli więc farmaceutyczna teoria uzależnienia jest słuszna – jeśli narkotyki wywołują tak silną reakcję chemiczną, że przejmują nasz mózg – finał wydaje się całkiem oczywisty: pod koniec leczenia powinieneś być uzależniony. Po wyjściu ze szpitala powinieneś szukać dealera, bo potrzebujesz następnej dawki.

A jednak odkryjesz, że wcale się nie uzależniłeś. I nie jesteś odosobniony. W „Canadian Medical Association Journal” opisano najlepsze badania naukowe dotyczące ludzi, którzy po operacji otrzymywali od lekarzy opioidy. Jak wynika z tych badań, pisze Gabor, „nie ma znaczącego ryzyka uzależnienia, co stwierdzono we wszystkich badaniach opisujących relacje między uzależnieniem i zażywaniem narkotyków o działaniu przeciwbólowym”<sup>583</sup>.

Dzieje się to codziennie, w każdym większym mieście, i pozostaje zazwyczaj niezauważone. Można przez długi czas zażywać te same środki, które przyjmują narkomani, i wcale się od nich nie uzależnić. Z drugiej strony można nie zażywać żadnych środków i zostać takim samym nałogowcem jak narkoman. Jeśli wydaje wam się to dziwne, wybierzcie się na najbliższe spotkanie Anonimowych Hazardzistów w waszym mieście. Posłuchajcie ich opowieści. Na początku tej podróży uczestniczyłem – za zgodą wszystkich zebranych – w spotkaniu Anonimowych Hazardzistów w Problem Gambling Center [Ośrodek Problemów z Hazardem] w Las Vegas. Przekonałem się, że problemy tych nałogowców zasadniczo nie różnią się od problemów alkoholików czy narkomanów. Nie wstrzykuje się jednak kart do żył ani nie wciąga do nosa ruletki<sup>584</sup>.

Jak to wszystko wytłumaczyć? Po głębokim zastanowieniu i analizie Gabor doszedł do wniosku, że „nic nie jest uzależniająca samo w sobie. Zawsze jest to połączenie potencjalnie uzależniającej substancji lub zachowania z podatną psychiką. Musimy więc zadawać sobie nadal pytanie: co wywołuje tę podatność?”.

Ponieważ sama substancja nie wyjaśnia mechanizmu uzależnienia, musi istnieć jakiś dodatkowy czynnik lub kilka czynników – coś, co dotyczy tylko niektórych ludzi.

Gabor zaczął czytać o grupie amerykańskich naukowców, którzy przeprowadzili badanie Adverse Childhood Experiences Study [Niekorzystne Doświadczenia z Dzieciństwa]. To najbardziej szczegółowe badanie długofalowych skutków traumy z wczesnego dzieciństwa, jakie przeprowadzono do tej pory. Naukowcy wyróżnili dziesięć trudnych sytuacji, które mogą dotknąć dziecko – od kar cielesnych, przez wykorzystanie seksualne, aż po śmierć rodzica – i sprawdzali, jak te wydarzenia kształtują dziecko na kolejnych etapach życia.

Odkryli, że każde traumatyczne przeżycie z dzieciństwa zwiększa od dwóch do czterech razy prawdopodobieństwo, że dany człowiek wyrośnie



na nałogowca. Okazało się na przykład, że niemal dwie trzecie osób przyjmujących narkotyki dożyłnie to ludzie dotknięci traumą we wczesnych latach życia. Zdaniem naukowców „rzadko spotyka się korelację o takiej sile w epidemiologii czy zdrowiu publicznym”<sup>585</sup>. Oznacza to, że krzywda wyrządzona dziecku prowadzi do uzależnienia równie często, jak otyłość prowadzi do chorób serca<sup>586</sup>.

W innym długofalowym badaniu, którego wyniki opublikowano w „American Psychologist”<sup>587</sup>, uczeni obserwowali dzieci przez trzynaście lat (od piątego do osiemnastego roku życia), by ocenić, w jakim stopniu jakość opieki rodzicielskiej wpływa na zachowanie dorastających dzieci w relacji do narkotyków. Kiedy dzieci były jeszcze małe, naukowcy wyznaczali im zadanie, które miały wykonywać razem z rodzicami – na przykład budowanie z klocków – a potem obserwowali przez lustro weneckie, jak rodzice pomagają swoim pociechom i zachęcają je do działania. Zapisywali, które dzieciaki miały kochających i wspierających opiekunów, a które biernych lub niemiłych. Okazało się, że dzieci rodziców obojętnych lub okrutnych były znacznie bardziej narażone na uzależnienie się od twardych narkotyków niż pozostałe. Trudniej przychodziło im też tworzyć w późniejszym wieku trwałe, pełne miłości relacje, były więc bardziej nerwowe, zestresowane i impulsywniejsze.

Jeśli więc potrafimy określić, które z pięcioletnich dzieci zostaną narkomanami, a które nie, mówi nam to coś ważnego o samym uzależnieniu. „To nieprzystosowanie jest fazą poprzedzającą sięganie po narkotyki” – napisano w badaniu. „Nałogowe korzystanie z narkotyków jest objawem, a nie przyczyną osobistego i społecznego nieprzystosowania”<sup>588</sup>.

Gabor odkrył również, że inny naukowiec, doktor Vincent Felitti, przeprowadził podobne badania dotyczące wpływu traumy z dzieciństwa, obserwując siedemnaście tysięcy dzieci na zlecenie zajmującej się opieką zdrowotną firmy Kaiser Permanente. Felitti doszedł do wniosku, że „podstawowa przyczyna uzależnienia wiąże się głównie z doświadczeniami z dzieciństwa, a nie z konkretną substancją. Obecna koncepcja uzależnienia oparta jest na fałszywych przesłankach”<sup>589</sup>. Ten fakt każe nam spojrzeć z innej perspektywy na opowieści o epidemiach narkotykowych – łącznie z epidemią lekomanii w Stanach Zjednoczonych.

Wiele lat temu w Harlemie Billie Holiday powiedziała: „Nie znam się za bardzo na psychologii i takich tam, ale wiem, że jeśli spotkają cię



w dzieciństwie pewne rzeczy, mogą wpłynąć na całe twoje życie”<sup>590</sup>.

Nawet Harry Anslinger zauważył ten związek. Powiedział kiedyś, że narkomani często „wychowują się w domach, które nie są domami, pod opieką rodziców, którzy nie są rodzicami, [więc] próbują uciekać. Nieważne, czy to chłopak, czy dziewczyna – mechanizm jest ten sam”<sup>591</sup>.

Dlaczego zatem trauma z dzieciństwa w tak dużym stopniu decyduje o tym, że ktoś wyrośnie na dorosłego nałogowca? Dzień po dniu towarzyszyłem przez kilka godzin Liz Evans, pielęgniarce, która założyła Portland Hotel Society. Liz spędziła już ponad dwadzieścia lat z najbardziej uzależnionymi nałogowcami z Downtown Eastside. Rozmawia z nimi, przytula ich, towarzyszy im przez całą noc. Zadawała sobie to pytanie niezliczoną ilość razy. Aż w końcu pewnego dnia, niedługo po otwarciu schroniska, wszystko pojęła, o czym opowiedziała mi w kawiarni.

Jedną z mieszkańek Portland Hotel była w tym czasie Indianka z tych okolic, którą będę tu nazywał Hanną, ponieważ Liz prosiła mnie, bym nie używał jej prawdziwego imienia i nazwiska (to tylko jedno z dwóch miejsc w całej książce, gdzie zmieniam prawdziwe dane, by chronić czyjąś tożsamość; we wszystkich przypadkach informuję o tym Czytelnika). Była drobniutką trzydziestoosmiolatką, trwale uzależnioną od heroiny i alkoholu. Każdego ranka schodziła chwiejnym krokiem do hotelowego holu, wymiotowała do kosza na śmieci i wychodziła na zewnątrz, by sprzedawać swe ciało za następną dawkę. Hannę pociągali brutalni mężczyźni, którzy tłukli ją bez litości, a ona sama czasem również wpadała w pijacki szal i wyrzucała rzeczy przez okno. Pewnego razu wyrzuciła na ulicę rower. Liz nie chciała wydalic jej ze schroniska, kazała tylko przykręcić do jej okna pleksiglasową płytę, by nie mogła go otworzyć.

Liz przeczytała akta Hanny dotyczące jej dzieciństwa. Dziewczynka została wygnana ze swojego rezerwatu i podobnie jak wiele dzieci Indian północnoamerykańskich (albo Pierwszych Narodów, jak nazywa się ich w Kanadzie), wędrowała od jednej rodziny zastępczej do drugiej. W końcu policja znalazła wychudzoną Hannę zamkniętą w pokoju, gdzie – jak się okazało – przebywała od siódmego do jedenastego roku życia, karmiona tylko płynami, gdyż jej przybrani rodzice uznali, że jest chora i że tylko tak można ją wyleczyć. Po raz pierwszy próbowała sobie poderżnąć gardło, gdy miała trzynaście lat. Liz usiłowała czasem rozmawiać z nią

o dzieciństwie, lecz Hanna zawsze uciniała rozmowę krótkim „nie było najlepsze” i zmieniała temat.

Pewnej nocy Hanna wróciła do Portland Hotel cała roztrzęsiona, z krwawiącą raną na głowie. „Pamiętam, że wzięłam ją na ręce i trzymałam jak dziecko” – wspominała Liz. Zniosła Hannę do pokoju, a ta zdołała wyjąkać, że została pobita i zgwałcona. „Pamiętam, jak powtarzała bez końca: »To moja wina. Zasługuję na to. To moja wina. Jestem złym człowiekiem«”. Na małym stoliku przy łóżku Hanny były alkohol, heroina i strzykawka. Liz, która nigdy nie chciała używać narkotyków, spojrzała na stół, a potem na roztrzęsioną kobietę i pomyślała: „Którą z tych rzeczy mam ci dać, żeby zagłuszyć twój ból?”.

„I w tym właśnie momencie rozumiałam, co uzależnienie daje ludziom – opowiadała Liz. – To było jak olśnienie, przypomniałam sobie wszystkie te czarne chwile w moim życiu, gdy czułam się tak jak ona, [...] kiedy chciałam umrzeć, kiedy myślałam, że jestem złym człowiekiem”. Liz rozumiała, że ludzie dotknięci traumą w dzieciństwie często do końca życia czują nienawiść do samych siebie i właśnie dlatego tak wielu z nich sięga po najsilniejszy środek odurzający, jaki mogą znaleźć. To nie jest jakiś irracjonalny odruch. To zaspokojenie potrzeby. Uśmierzenie bólu, choćby na chwilę.

Gdy Liz wytłumaczyła mi to wszystko, pomyślałem o bliskich mi ludziach, których przez lata tak ostro krytykowałem za uzależnienie, i uświadomiłem sobie, że płaczę.

Wiele lat wcześniej jedna z przyjaciółek Billie Holiday, Memry Midgett, powiedziała dziennikarzowi: „Uzależniła się głównie dlatego, że miała bardzo niski próg bólu”<sup>592</sup>. Inna przyjaciółka piosenkarki, Michelle Wallace, stwierdziła: „Niektórzy uważają, że ludzie zażywają narkotyki, bo są źli albo zepsuci. Czasami [...] to najdelikatniejsi ludzie sięgają po narkotyki, bo inaczej nie są w stanie znieść bólu”<sup>593</sup>.

To wszystko tłumaczy tę tajemniczą różnicę między dziesięcioma procentami tych, którzy uzależniają się od narkotyków, a dziewięćdziesięcioma procentami niewpadających w nałóg. Bud Osborn, mężczyzna, któremu Gabor pomógł wyrwać się z nałogu, tłumaczył: „Trauma z dzieciństwa sprawia, że wszystko cię przygnębia, twoja rodzina, twoje życie. Kiedy coś zażyjesz, nagle zaczynasz myśleć dobrze o swoim życiu, o samym sobie, o swoim miejscu w świecie. [...] Ludzie się

zastanawiają: dlaczego oni [narkomani] ciągle to robią? Ano dlatego, że dzięki temu czują się dobrze, a w innych chwilach jest im po prostu źle”.

Niektórzy ludzie, poznawszy te wyjaśnienia, mogą wyrobić sobie wyidealizowany lub ugrzeczniony obraz narkomanów. Personelowi Portland Hotel na pewno to nie grozi.

Gabor był często opluwany, nieraz słyszał też, żeby się odpiardolił. Mieszkańcy schroniska rzucali w pracowników kałem<sup>594</sup>. Ralph, jeden z pacjentów Gabora, był uzależnionym od kokainy mężczyzną w średnim wieku, który nosił farbowanego irokeza i wąsiki w stylu Hitlera. Co istotniejsze w tym przypadku, Ralph był również nazistą i często prowokował Gabora, mrużąc „Arbeit macht frei”. Kiedy Gabor powiedział mu, że jego dziadek zginął w obozie śmierci, gdzie nad bramą widniały właśnie te słowa, Ralph odrzekł, że sobie na to zasłużył<sup>595</sup>.

Czasami Gabor nie wytrzymał. Pewnego dnia zwierzył mi się: „Usuwać ropień, a pacjent cały czas atakuje mnie werbalnie, aż wreszcie mam dość. Kończy się na tym, że wymachuję dokoła skalpelem. Nie zrobiłem nikomu krzywdy, ale emocjonalnie poniosłem klęskę. Zdarzyło mi się to już ładnych parę razy. W takich chwilach nie myślisz – poddajesz się tylko emocjom. Frustracji. Złości. Potępieniu”.

Dobrze wiedział, jak te emocje wpływają na publiczną debatę o narkomanach, bo nawet on, gdy poznał już przyczynę nałogu, nie mógł się ich pozbyć. Dodawał jednak: „Kiedy już się uspokoję, ogarnia mnie wstyd i chcę wszystkich przeproszać”.

Czasami Ralph bywał cichy i zamyślony, recytował Gaborowi wiersze Goethego<sup>596</sup>. Następnego dnia mrużąc przy nim „Heil Hitler”<sup>597</sup>.

Gabor czuł, że w kwestii nałogów zostało jeszcze wiele do zbadania i odkrycia, lecz w pracy badawczej przeszkadzało mu coś, o czym nie chciał rozmawiać. Ukrywał to przed wszystkimi, nawet przed swoją żoną.

Całkiem często zdarzało się, że gdy pełnił swoje lekarskie obowiązki, ogarniało go nagle przemożne pragnienie, wewnętrzny przymus, który kazał mu wszystko rzucić. Pędził wtedy do sklepów muzycznych i wydawał setki dolarów na płyty. Zwykle nawet ich nie słuchał, po prostu je gromadził. Może nam się to wydawać niegroźne, zmienimy jednak zdanie, jeśli dowiemy się, że pewnego razu Gabor przyjmował właśnie poród, gdy nagle dopadła go ta niepowstrzymana żądza, i musiał uciec z sali, by

nakupować płyt<sup>598</sup>. Kiedy jego dzieci były jeszcze małe, zostawiał je czasami w miejscach publicznych i szukał najbliższego sklepu muzycznego. Dlaczego to robił? Nie miał pojęcia. Wiedział tylko jedno. „Zatracam się, gdy wpadam w spiralę uzależnienia. Czuję, jak stopniowo opuszczają mnie siły moralne, doświadczam samego siebie jako pustkę. Zza moich oczu wyziera nicość”<sup>599</sup> – napisał później. Czasami nałóg wpędzał go w głębokie przygnębienie, czasami przyprawiał o myśli samobójcze.

Jednak gdy dowiedział się, że istnieje wyraźne powiązanie między traumatycznymi przeżyciami z dzieciństwa i kompulsywnymi zachowaniami, zaczął się zastanawiać nad tym, co przed wielu laty lekarz powiedział jego matce: „Wszystkie żydowskie dzieci teraz płaczą”.

Małe dzieci oczywiście nie mogły wiedzieć, że dokoła dokonuje się ludobójstwo, wiedziały jednak, na jakimś poziomie, że ich matki są zrozpaczone i nie potrafią zaspokoić ich potrzeb. Gabor mówił, że jego matka „była zestresowana i przygnębiona. Wstawała z łóżka tylko dlatego, że miała go pod opieką. Można więc powiedzieć, że uratował jej życie. To niezwykła odpowiedzialność dla czteromiesięcznego dziecka, jeśli ma ratować własną matkę. [...] Nosila w sobie ogromny ból, [...] ogromny smutek, a niemowlę chłonie to wszystko”. Rozwijał się więc inaczej niż dziecko, którego matka była w stanie zachować spokój i stale otaczać go miłością. Teraz, jako dorosły, nie umie panować nad sobą w chwilach stresu<sup>600</sup>. Radzi sobie, kupując płyty. Kiedyś uświadomił sobie, że gdy był małym dzieckiem, jego matka potrafiła się zrelaksować tylko przy muzyce, co wpływało kojąco również na niego. Słuchała więc muzyki. Teraz on kupował i gromadził płyty z muzyką, jakby stanowiły one sekretny klucz do spokoju.

Podobny mechanizm widział w Portland Hotel, tyle że doświadczenia mieszkańców schroniska „nie były jak z jego dzieciństwa. Były znacznie gorsze – mówił. – Choć w jego przypadku okoliczności historyczne były przerażające, jego pacjenci mieli znacznie gorsze doświadczenia osobiste. [...] Nie doznał traumy za sprawą psychologicznych dysfunkcji swoich rodziców. [...] Jego doznania były odbiciem ich doznań. [...] Zło przychodziło z zewnątrz. Kiedy jego rodzice odnaleźli się po wojnie, prowadzili ustabilizowane rodzinne życie. Nikt nie robił mu krzywdy. [...] Nie da się tego porównać z wykorzystywaniem seksualnym ze strony ojca czy matki. Nie da się tego porównać z obojętnością ze strony uzależnionych rodziców, którzy wychodzą się bawić, a dziecko zostaje samo w domu”.

Trauma Gabora była łagodna, więc łagodny jest jego nałóg – przez większość czasu Gabor może być obecny w realnym świecie. Trauma jego pacjentów była ogromna, więc ich nałóg również przybiera ekstremalne formy – zatem nie są w stanie zbyt długo żyć w rzeczywistości. Zasadniczo jednak – tłumaczy – w obu przypadkach coś się zepsuło, „nim jeszcze pojawił się nałóg czy używanie substancji wpływających na umysł”<sup>601</sup>.

Po jednej z moich rozmów z Gaborem wybieram się na spacer po Downtown Eastside. Mijam narkomanów, którzy stoją lub siedzą na chodnikach. Niektórzy mają przerysowany, sceniczny makijaż, typowy dla ulicznych prostytutek, inni sprzedają narkotyki albo przedmioty, które znaleźli w śmietniku – stare kasety wideo lub przetarte buty. Wrzeszczą na mnie i na cały świat.

Wyobrażam sobie twarze osób, które trafiłyby do tej dzielnicy przypadkiem. Widzę je. Ludzie z porządnych rodzin, którzy spoglądają na narkomanów, kręcą głowami i mówią: „Ja nigdy bym sobie tego nie zrobił”. Mam ochotę ich zatrzymać, pomachać im przed nosem statystykami Gabora i powiedzieć: „Nie rozumiecie? Nie zrobilibyście sobie tego, bo nie musicie. Nigdy nie musieliście radzić sobie z bólem większym od tego, jaki mogliście znieść. Równie dobrze moglibyście spojrzeć na kogoś, komu amputowano po wypadku samochodowym nogi, i powiedzieć: »Cóż, ja nigdy nie pozwoliłbym sobie uciąć nóg«. Nie. Nie uczestniczyliście w wypadku samochodowym. Ci narkomani przeżyli poważny wypadek duszy”.

I w tym właśnie momencie, gdy ćwiczę w myślach to pouczające przemówienie, uświadamiam sobie, że ja również mijam pospiesznie tych ludzi, krzywiąc twarz w grymasie – czego? Strachu? Odrazy? Wyższości? Zrozumienia?

Wszystkie te informacje były dostępne w różnych rozproszonych źródłach, nim Gabor zaczął o nich pisać. Jak sam mi powiedział: „Ogromnie zdziwił mnie fakt, że nikt dotąd nie zebrał razem tych danych. Nikt nie połączył ze sobą dziecięcej traumy, rozwoju mózgu i opowieści narkomanów, z którymi pracujemy, by stworzyć spójną teorię uzależnienia”.

Jednak – co podkreśla sam Gabor – nawet po uwzględnieniu tych informacji nasz obraz problemu narkotykowego nie jest pełny. To po prostu niemożliwe, by wszyscy narkomani doznali w dzieciństwie jakichś

przerażających krzywd. To bardzo istotny czynnik, ale nie jedyny. W tym samym czasie, gdy Gabor budował swoją teorię, niedaleko, również w Downtown Eastside, pracował inny naukowiec, Bruce K. Alexander. Zgadzał się z analizą Gabora dotyczącą traumy z dzieciństwa, ale szukał też innych odpowiedzi. Niektórzy ludzie nie mają trudnego dzieciństwa, lecz mimo to się uzależniają. Chciał więc wiedzieć, co się z nimi dzieje.

Gdy podczas jednej z moich ostatnich rozmów z Gaborem siedzieliśmy razem w greckiej restauracji, zastanawiałem się nieustannie, jak te nowo odkryte fakty powinny zmienić nasze podejście do wojny narkotykowej?

Gabor wykazał, że najważniejszym elementem uzależnienia nie jest to, co połkasz lub co sobie wstrzykujesz, lecz ból, który nosisz w swojej głowie. Tymczasem stworzyliśmy system, który próbuje powstrzymać narkomanów, *zwiększając* ich ból. „Gdybym miał wymyślić system, który będzie utrzymywał ludzi w uzależnieniu, stworzyłbym dokładnie to, co teraz mamy – mówił Gabor. – Atakowałbym ludzi i usuwał ich poza nawias społeczeństwa. Im bardziej stresujesz ludzi, tym więcej będą brać. Im bardziej ich odstresowujesz, tym mniej biorą. Stwórz więc system, który spycha ludzi poza nawias społeczeństwa i robi z nich przestępców, zmusz ich do życia w biedzie i chorobie, a możesz mieć pewność, że nie porzucą nałogu. Gdyby negatywne konsekwencje skłaniały ludzi do przemiany, nie miałbym ani jednego pacjenta. Bo ci ludzie doświadczyli już chyba wszystkich możliwych negatywnych konsekwencji. Pobytu w więzieniu. Bicia. Krzywd. HIV. Zapalenia wątroby typu C. Biedy... – Gabor spojrzał na mnie ze smutkiem, jakby wyobrażał sobie to wszystko. – Jakich cierpień jeszcze nie doznali?”

A gdybyśmy tak zamienili tę wojnę z narkomanami na wojnę z przyczynami narkomanii?

Gabor mówi, że ponieważ głównymi przyczynami uzależnienia są zaniedbania i krzywdy z dzieciństwa, gdybyśmy naprawdę chcieli zmniejszyć liczbę nałogowców, zaczęlibyśmy „już podczas pierwszej wizyty ciężarnej u lekarza, bo już stres przeżywany przez kobietę w ciąży będzie miał wpływ na skłonności dziecka do uzależnienia”. Ustalilibyśmy, które kobiety są najbardziej zestresowane i najgorzej sobie radzą, otaczalibyśmy je szczególną opieką i wsparciem, a także uczyli, jak odpowiednio nawiązywać więź ze swoim dzieckiem.

Potem, po narodzinach, wciąż staralibyśmy się namierzyć matki, które mają kłopoty z nawiązywaniem więzi ze swoimi dziećmi, i oferowalibyśmy im kompleksową pomoc. Szczególną uwagę zwracalibyśmy na rodziców, którzy mimo wszystko nie potrafią zapewnić dzieciom dobrego, bezpiecznego domu albo robią im krzywdę, a w razie potrzeby znajdowalibyśmy takim dzieciom nowe, kochające rodziny. Taka polityka po jakimś czasie zmniejszyłaby problem narkomanii, a nie pogłębiała go, co dzieje się obecnie. Oczywiście pomoc państwa dla matek i krzywdzonych dzieci istnieje już we wszystkich rozwiniętych społecznościach, lecz – z wyjątkiem Skandynawii – są to zwykle usługi niewystarczające i wiecznie niedofinansowane. Czy nie lepiej byłoby wydawać pieniądze na ratowanie dzieci, zanim staną się narkomanami, niż na zamykanie ich w więzieniu, gdy będzie już za późno?

Ze wszystkich pomysłów, których szukałem, ten chyba stworzyłby największe szanse na uratowanie życia matki Chino, Marcii Powell i Billie Holiday. Wydaje się przekonujący, jak powiedziałem Gaborowi. Ale co z tymi, którzy już są narkomanami, albo – mimo naszych zabiegów – staną się nimi w przyszłości? Co możemy dla nich zrobić?

Przez ostatnie dziesięć lat życia Hanna – narkomanka, którą wygnano w dzieciństwie z rezerwatu, a potem głodzono przez trzy lata – mieszkała we własnym pokoju w Portland Hotel Society, gdzie otaczali ją ludzie tacy jak Liz i Gabor, którzy jej słuchali i zapewniali, że nigdy już nie zostanie wyrzucona na ulicę.

Liz pomogła jej znaleźć rodzinę, którą przed wielu laty zostawiła w rezerwacie. Bliscy przyjechali odwiedzić ją w Portland Hotel, a Hanna gotowała specjalnie dla nich i była dumna. Gdy czasem wpadała w szal i nazywała siebie nic niewartą ćpunką, Liz mówiła: „Jesteś niezwykłym człowiekiem. [...] Jesteś odporniejsza i wytrwalsza od wszystkich znanych mi ludzi. [...] Jesteś silna. Jesteś piękna. Czy nie możesz sobie powiedzieć, że dzielnie się dziś spisałaś, bo udało ci się przetrwać?”

Hanna nigdy nie przestała się wiązać z nieodpowiednimi mężczyznami i nigdy nie przestała pić, choć z czasem zrezygnowała z heroiny na rzecz metadonu. Zaraziła się AIDS w czasie, gdy w mieście brakowało jeszcze strzykawek i igieł, i zmarła na tę chorobę w hotelu, w wieku czterdziestu ośmiu lat. Dzięki Portland Hotel nie umierała sama, lecz w otoczeniu ludzi, którzy ją kochali i podziwiali.



W oczach prohibicjonisty życie Hanny było porażką, bo nie rzuciła narkotyków. W oczach Portland Hotel było sukcesem, bo straszliwie doświadczona przez los kobieta poczuła w końcu, że jest kochana.

Pewnego dnia do Portland Hotel zawitał wysoki rangą przedstawiciel rządu, by zobaczyć na własne oczy schronisko i spotkać się z narkomanami. W pewnej chwili zwrócił się do Liz, pytając: „Jaki procent ludzi mieszkających w tym miejscu jest pani zdaniem spisany na straty?”.

Liz przystanęła i spojrzała na niego, zastanawiając się, jak mu powiedzieć, że nie ma tu takich ludzi.

### Obojętność Batmana

Bruce K. Alexander odebrał swoją pierwszą lekcję o narkomanii od Batmana. Wczesne dzieciństwo spędził w różnych amerykańskich bazach wojskowych, gdzie jego ojciec był oficerem szkoleniowym. Pewnego dnia czytał komiks, w którym grupa złoczyńców bije narkomana, podczas gdy ukryty za budynkiem Batman biernie się temu przygląda.

– Tato, dlaczego Batman się chowa, kiedy oni biją tego narkomana na kwaśne jabłko? – spytał Bruce. – Czy Batman nie powinien powstrzymać przestępców?

– Cóż, tak naprawdę nikogo to nie obejdzie, jeśli pobiją tego ćpuna – odparł ojciec. – Narkomani to ludzie bezwartościowi.

Bruce w to uwierzył. Jednak już jako dorosły człowiek dokonał dwóch najbardziej przełomowych w XX wieku odkryć dotyczących narkomanii, które miały wyrzucić do góry nogami wszystko, czego uczono nas do tej pory.

Po raz pierwszy usłyszałem o nim wiele lat temu, gdy studiowałem psychologię na uniwersytecie w Cambridge i czytałem o eksperymencie, który Bruce przeprowadził nieco wcześniej na szczurach<sup>602</sup>. Początkowo wydawało mi się to dziwne i intrygujące, nic poza tym, przekonałem się jednak, że na przestrzeni lat wracałem do niego myślami w najmniej oczekiwanych momentach. Dopiero gdy postanowiłem wyruszyć w tę podróż i opisać wojnę narkotykową, zainteresowałem się bliżej jego osobą i dokonaniem.

Spotkałem się z Bruce'em w kawiarni na pierwszym piętrze biblioteki w Downtown Eastside. To spartańsko wyposażone wnętrze z twardymi krzesłami i reflektorami punktowymi. Wydawało się, że tego dnia klientela kawiarni składała się niemal wyłącznie z bezdomnych narkomanów, którzy ogrzewali się słabą kawą. Na pierwszy rzut oka Bruce nie przystawał do tego towarzystwa: to sympatyczny, siwowłosy sześćdziesięciolatek, wyglądający na profesora – którym w istocie jest – i na Kanadyjczyka, którym się stał. Ubrany w elegancki sweter, uśmiechał się do mnie przyjaźnie. Wkrótce zrozumiałem, że moje pierwsze wrażenie było mylne –

jak najbardziej pasował do tego miejsca. Wkrótce po tym, jak zaczęliśmy rozmowę, przerwała nam ją narkomanka, która znała go od lat – wiedziała też o jego dokonaniach i o tym, co dla niej znaczą. Kiedy odeszła, Bruce zaczął mi opowiadać o swoim eksperymencie – i kontynuował tę opowieść przez kilka kolejnych spotkań. Te rozmowy miały zmienić moje postrzeganie kilku najbliższych mi osób, nałogu oraz całego świata.

Na początku lat siedemdziesiątych Bruce był młodym wykładowcą psychologii na Uniwersytecie Simona Frasera w Kolumbii Brytyjskiej w Kanadzie. Władze wydziału kazały mu prowadzić kurs „Problemy społeczne”, którym nie chciał zajmować się nikt inny. Bruce wiedział, że największe problemy społeczne tamtych czasów to wojna w Wietnamie i narkomania, a ponieważ nie mógł pojechać do Sajgonu, wybrał się do Downtown Eastside. Nie przebywał tam zbyt długo, tylko tyle, by potem mógł opowiedzieć o tym swoim studentom. Na ulicach widział taką samą paradę narkomanów, jaką wiele lat później oglądał Gabor. Bruce myślał o nich tak, jak nauczył go ojciec – jako o *zombies*, których umysły skupiały się wyłącznie na następnej dawce narkotyku.

Ponieważ Bruce był również terapeutą rodzinnym, pomyślał, że najszybciej i najlepiej zapozna się z problemem, jeśli zajmie się pomocą psychologiczną dla narkomanów w miejscowym ośrodku dla uzależnionych.

Jednym z jego pierwszych pacjentów był Święty Mikołaj. Co roku w Boże Narodzenie człowiek ten zatrudniał się w pobliskim centrum handlowym, do którego przylatywał helikopterem, schodził po drabince sznurowej, witał dzieci głośnym „ho, ho, ho”, wciągał za kulisami trochę heroiny, a potem obiecywał dzieciakom, że spełni ich życzenia. Bruce namówił Świętego Mikołaja, by zaprosił swoich rodziców na terapię rodzinną, bo w rzeczywistości brodaty święty miał zaledwie dwadzieścia trzy lata. Rodzice byli przerażeni myślą, że ich syn wkrótce umrze; syn czuł, że nie może przestać. Pewnego dnia, gdy rozmawiali o jego pracy w charakterze naćpanego Mikołaja, zaczęli się śmiać i długo nie mogli przestać.

To doświadczenie zaintrygowało Bruce’a. Wcześniej uczono go, że narkomani nie są zdolni do autorefleksji – jednak ten młody człowiek najwyraźniej dostrzegał absurdalność swojego położenia. W jego śmiechu –

którego Bruce nie spodziewał się usłyszeć – bez wątpienia kryło się prawdziwe człowieczeństwo.

Przeprowadzał kolejne szczere rozmowy z narkomanami. Podobnie jak Gabor, zrozumiał, że ważnym czynnikiem jest trauma z dzieciństwa. Odkrywał jednak również fakty, które wydawały się zagadkowe nie tylko jemu, ale i wszystkim, którzy interesowali się tym tematem.

W latach siedemdziesiątych kanadyjska policja wielokrotnie blokowała port w Vancouver tak skutecznie, że do miasta przez dłuższy czas nie docierała heroina. Wiemy o tym, bo policjanci badali „heroinę” sprzedawaną na ulicach i wiedzieli, że w istocie nie zawiera w ogóle narkotyku – składała się jedynie z wypełniacza i zanieczyszczeń. Można więc powiedzieć, że przez całkiem długi czas władze wygrywały tu wojnę z narkotykami.

Wydaje się, że konsekwencje takich heroinowych susz powinny być oczywiste. Wszyscy heroiniści powinni cierpieć w wyniku głodu narkotykowego, wić się z bólu, a po kilku tygodniach budzić ze świadomością, że udało im się uwolnić od fizycznego uzależnienia.

Bruce odkrył jednak ze zdumieniem, że stało się coś zadziwiającego. W mieście nie było heroiny, lecz wszyscy heroiniści zachowywali się niemal tak samo jak wcześniej. Wciąż próbowali zdobyć pieniądze – kradnąc lub prostytuując się – by kupić ten bezwartościowy substytut. Nie dręczył ich głód narkotykowy. Nie przeżywali męczarni związanych z odstawieniem. Uważali, że heroina, którą kupują, jest „słaba”, więc uzupełniali ją większymi ilościami alkoholu lub Valium. Zasadniczo jednak nic się nie zmieniło.

Nie był to wcale jakiś wyjątkowy, odosobniony przypadek<sup>603</sup>. Podobne zjawisko obserwowano w innych amerykańskich miastach, gdzie przez jakiś czas skutecznie zablokowano sprzedaż heroiny – czy to w wyniku działań policji, czy też strajków dokerów, kiedy to w ogóle nie prowadzono rozładunku.

Przedziwna sytuacja – możesz pozbyć się narkotyku, lecz uzależnienie pozostaje<sup>604</sup>. O co tu mogło chodzić?

Bruce wrócił na uniwersytet i zaczął uczyć swoich studentów, że uzależnienie od narkotyków musi mieć znacznie mniej wspólnego z reakcjami chemicznymi, niż dotąd sądzono. Mówiono im – podobnie jak nam – że jednym z najgorszych aspektów uzależnienia od heroiny są

nieuniknione i trudne do zniesienia objawy odstawienia. Zdaniem Henry’ego Smitha Williamsa był to proces tak wstrząsający, że mógł człowieka zabić. Bruce wielokrotnie miał do czynienia z narkomanami, którzy przechodzili przez ten proces – jednak w ich przypadku objawy wcale nie były tak zatrważające, w najgorszym przypadku przypominały grype<sup>605</sup>. To spostrzeżenie wydaje się tak bardzo sprzeczne ze wszystkim, czego nas uczono, że aż niemożliwe, lecz potwierdza je coraz więcej lekarzy. Prawdziwy ból odstawienia to przede wszystkim powrót do psychologicznego bólu, który próbowaliśmy uśmierzyć przy pomocy heroiny.

Bruce często zapraszał narkomanów z Downtown Eastside na zajęcia ze swoimi studentami. Pewnego dnia jeden z nich opowiedział historię swojego życia, a potem odpowiadał na pytania.

– Nasz wykładowca mówi, że objawy odstawienia wcale nie są takie straszne – odezwał się jeden z uczestników zajęć. – Nie wyglądają tak, jak pokazują je w filmach albo w mediach. Czy to prawda?

– Cóż, mówi więc, że nie są bardzo poważne, tak? – odpowiedział narkoman. – Że nie chodzi się wtedy po ścianach i nie wbija w nie paznokci? [...] Cóż, ciekaw jestem, czy zauważyliście, że ja właśnie jestem w okresie odstawienia<sup>606</sup>.

Tak było. Mężczyzna miał tylko katar i obficie się pocił<sup>607</sup>. To wszystko.

Badacze John Ball i Carl Chambers przejrzeni literaturę medyczną z lat 1875–1968 i przekonali się, że w tym okresie nikt nie zmarł jedynie z powodu odstawienia narkotyków<sup>608</sup>. Okazuje się, że ten proces może się przyczynić do śmierci osób bardzo osłabionych, jak w przypadku Billie Holiday, która chorowała ciężko na wątrobę. Tak samo zwykła grypa może zabić dziewięćdziesięcioletka.

Podczas innych zajęć, gdy Bruce tłumaczył, że substancje chemiczne nie mogą być główną przyczyną uzależnienia, jeden ze studentów podniósł rękę: „To bzdury – oznajmił. – Przecież wiemy, dlaczego ludzie biorą heroinę. Robią to, bo heroina przejmuje kontrolę nad ich umysłem, [...] dowodzą tego doświadczenia na szczurach”.

Jak już wspominałem wcześniej, najważniejszym dowodem na poparcie farmaceutycznej teorii uzależnienia była przez wiele lat seria doświadczeń na szczurach<sup>609</sup>. Najlepiej objaśniało to słynne ogłoszenie społeczne, wyświetlane w latach osiemdziesiątych w amerykańskiej telewizji i opłacone przez Partnership for a Drug-Free America [Partnerstwo dla

Ameryki bez Narkotyków]. Pokazuje zbliżenie szczura, który liże butelkę z wodą, podczas gdy lektor mówi: „Tylko jeden z narkotyków jest tak silny, że zażywa go dziewięć na dziesięć szczurów laboratoryjnych. Potem zażywa jeszcze raz. I jeszcze. Dopóki nie umrze. Ten narkotyk nazywa się kokaina. I może zrobić to samo z tobą”<sup>610</sup>. Szczur biega jak szalony, a potem pada martwy przy akompaniamencie przerażającej muzyki. Podobne eksperymenty na szczurach przeprowadzono, by dowieść uzależniającego działania heroiny i innych narkotyków.

Jednak gdy Bruce przyjrzał się tym eksperymentom, zauważył coś istotnego. Szczury biorące w nich udział wsadzono do pustych klatek. Były całkiem same, nie miały żadnych zabawek, żadnych zajęć, żadnych towarzyszy. Jedyne, co mogły robić, to zażywać narkotyk.

Bruce zaczął się więc zastanawiać, jakie byłyby wyniki eksperymentu, gdyby przeprowadzono go nieco inaczej<sup>611</sup>. Wraz z kilkoma współpracownikami zbudował dwa domy dla szczurów laboratoryjnych. W pierwszym zwierzęta miały takie same warunki jak w oryginalnym eksperymencie – były same, w pustych klatkach wyposażonych jedynie w wodę i narkotyk. Jednak drugi dom był prawdziwym rajem dla szczurów. Zawierał wszystko, czego mogły chcieć takie zwierzęta – kółka do ćwiczeń, kolorowe piłki, najlepsze jedzenie i towarzystwo innych szczurów, z którymi mogły się bawić lub uprawiać seks<sup>612</sup>. Bruce nazwał go Rat Park [Park Szczurów]<sup>613</sup>. Obie grupy szczurów miały dostęp do dwóch butelek. Pierwsza zawierała zwykłą wodę, a druga morfinę – opioid, który szczury przetwarzają podobnie jak ludzie i który oddziałuje na ich mózg dokładnie tak, jak heroina. Pod koniec każdego dnia Bruce lub któryś z członków jego zespołu ważył butelki, by sprawdzić, ile szczury zużyły opioidów, a ile wody.

Wyniki eksperymentu były zdumiewające. Okazało się, że odizolowane szczury zużywały dziennie do dwudziestu pięciu miligramów morfiny, podobnie jak we wcześniejszych badaniach. Jednak zwierzęta z Parku Szczurów prawie w ogóle nie korzystały z narkotyku – zużywały dziennie mniej niż pięć miligramów. „Te zwierzaki [z Parku Szczurów] mają stały dostęp do morfiny – mówił Bruce. – Ale jej nie używają”. Nie zabijają się. Wolą spędzać czas, robiąc inne rzeczy.

Wydawało się więc, że wnioski płynące z wcześniejszych eksperymentów były błędne. To nie narkotyk jest przyczyną szkodliwego zachowania, lecz środowisko. Odizolowany szczur niemal zawsze zostanie

narkomanem. Szczur zadowolony z życia prawie nigdy tego nie robi, bez względu na to, z ilu narkotyków będzie mógł korzystać. Bruce, jak sam to ujął, zaczął sobie uświadamiać, że uzależnienie nie jest chorobą. Uzależnienie jest formą przystosowania. To nie ty jesteś winny, lecz klatka, w której żyjesz.

Bruce i jego współpracownicy wprowadzali różne zmiany do eksperymentu, by zbadać, w jakim stopniu środowisko wpływa na uzależnienie.

Bruce zamknął w odizolowanych klatkach kilka szczurów, które przez pięćdziesiąt siedem dni musiały przebywać w samotności i pić roztwór z morfiną<sup>614</sup>. Jeśli narkotyki rzeczywiście przejmują kontrolę nad mózgiem, to w tej sytuacji z pewnością by to zrobiły. Potem przeniósł te same szczury do Parku Szczurów. Czy nadal będą kompulsywnie używać morfiny pomimo zmiany środowiska? Czy narkotyk całkiem nimi zawładnął?

Okazało się, że pojone morfiną zwierzęta miały przez jakiś czas objawy odstawienia, ale całkiem szybko przestały pić narkotyk. Wyglądało na to, że przyjazne środowisko uwolniło je od uzależnienia. Bruce pisze, że „żadna z wprowadzanych przez nas modyfikacji [w Parku Szczurów] nie wywołała silnego apetytu na morfinę ani czegokolwiek, co przypominałoby uzależnienie”<sup>615</sup>.

Bruce oczywiście chciał wiedzieć, czy to samo odnosi się do ludzi. Co ciekawe, zaledwie kilka lat wcześniej przeprowadzono podobny eksperyment na dużą skalę na ludziach – nazywano go wojną w Wietnamie.

Jak donosiło w tamtym czasie czasopismo „Time”, zażywanie heroiny było wśród amerykańskich żołnierzy walczących w Azji „równie powszechne jak żucie gumy”<sup>616</sup>. Nie była to wcale dziennikarska hiperbola – od heroiny uzależniło się wtedy około dwudziestu procent żołnierzy armii USA, o czym informowały badania opublikowane w „Archives of General Psychiatry”, które były później cytowane przez wielu badaczy<sup>617</sup>. Oznaczało to, że w amerykańskim wojsku było – procentowo – znacznie więcej heroinistów niż w samych Stanach Zjednoczonych<sup>618</sup>. Dowództwo armii postanowiło rozprawić się z rozpowszechnionym wśród żołnierzy nawykiem palenia marihuany, wysyłając do Wietnamu psy do wykrywania narkotyków i dokonując masowych aresztowań żołnierzy<sup>619</sup>. Dlatego też wielu z nich, nie będąc



w stanie poradzić sobie z ogromnym stresem bez pomocy dodatkowych środków, przerzuciło się na heroinę, niewyczuwaną przez psy. Senator Robert Steele z Connecticut, który wybrał się z wizytą do Wietnamu, wrócił stamtąd wstrząśnięty. „Żołnierze wyjeżdżający teraz do Wietnamu są w znacznie większym stopniu narażeni na popadnięcie w nałóg heroinowy niż na śmierć z rąk wroga”<sup>620</sup>.

Wielu ludzi w Stanach Zjednoczonych było przerażonych, oznaczało to bowiem, że po zakończeniu wojny ulice amerykańskich miast wypełnią się ogromną liczbą narkomanów. Wszyscy wierzyli w farmaceutyczną teorię uzależnienia, która nie przewidywała innego scenariusza. Narkotyk przejmował kontrolę nad umysłem i ciałem, więc senator Harold Hughes z Iowa ostrzegął: „Za kilka miesięcy w naszych dużych miastach dojdzie do zmian, po których era gangsterów z lat dwudziestych będzie nam się wydawała równie spokojna, jak niedzielny piknik szkolny”<sup>621</sup>.

Wojna się skończyła. Uzależnieni żołnierze wrócili do domu. I wtedy wydarzyło się coś, czego nikt nie oczekiwał. Badania opisane w „Archives of General Psychiatry”<sup>622</sup> – oraz doświadczenia, które ludzie obserwowali w całym kraju – dowodzą, że dziewięćdziesiąt pięć procent heroinistów z wojska w ciągu roku po prostu przestało sięgać po narkotyk. Odsetek ten był taki sam zarówno wśród narkomanów, których poddano leczeniu odwykowemu, jak i wśród tych, którzy nie podjęli żadnego leczenia. Niewielka grupa heroinistów trwała w nałogu. Okazało się, że wszyscy albo mieli trudne dzieciństwo, albo zażywali narkotyki już wcześniej, przed wyjazdem do Wietnamu<sup>623</sup>.

Jeśli wierzyć teorii, że narkotyk przejmuje kontrolę nad twoim mózgiem i zamienia cię w chemicznego niewolnika – teorię, na której od czasu Anslingera bazuje wojna z narkotykami – nie ma to najmniejszego sensu. Istnieje jednak inne wyjaśnienie. Jak ujmuje to pisarz Dan Baum: „Zabierz człowieka z przerażającej dżungli, gdzie ludzie, których nie może zobaczyć, próbują go zabić z powodów, których nie rozumie, a – niespodzianka! – nie będzie już potrzebował heroiny”<sup>624</sup>.

Dowiedziawszy się tego wszystkiego, Bruce zaczął opracowywać teorię, która zdecydowanie przeczyła naszemu dotychczasowemu pojmowaniu uzależnienia, ale wydawała się jedynym rozsądnym wytłumaczeniem wszystkich tych dowodów. Jeśli twoje środowisko wygląda jak Park Szczerów – czyli jeśli żyjesz w bezpiecznej, szczęśliwej społeczności, w której nie brakuje zdrowych więzi i przyjemnych zajęć – nie będziesz

szczególnie podatny na uzależnienie. Jeśli zaś twoje środowisko przypomina pustą klatkę – gdzie czujesz się samotny, bezsilny i niepotrzebny – łatwo wpadniesz w nałóg.

Kiedy Bruce objaśniał mi tę teorię, przypomniałem sobie Dziurę w Mieście Namiotów na pustyni w Arizonie. Aby karać narkomanów, zwolennicy narkotykowej wojny stworzyli właśnie takie warunki, jakie sprzyjają pogłębieniu uzależnienia.

Bruce uważa więc, że różnica między dziewięćdziesięcioma procentami użytkowników, którzy nie uzależniają się od narkotyków, a dziesięcioma procentami tych, którzy mają taki problem, nie jest czymś niezmiennym. To wytwór sytuacji społecznej, który może ulec zmianie, jeśli ulegnie jej właśnie sytuacja społeczna.

Szczury zamknięte w odosobnieniu i żołnierze walczący w Wietnamie nie padli ofiarą dostępnych im substancji chemicznych. Próbowali sobie radzić z oderwaniem od wszystkiego, co nadawało ich życiu znaczenie i sprawiało im przyjemność. Otaczający ich świat stał się nieprzyjaznym, wrogim miejscem, więc skoro nie mogli uciec z niego fizycznie, robili to przynajmniej we własnym umyśle. Później, gdy wrócili do normalnego życia, nie odczuwali już takiej potrzeby i z zaskakującą łatwością rezygnowali z narkotyków.

Bruce doszedł do wniosku, że kluczem do zrozumienia tej ukrytej przyczyny uzależnienia jest przede wszystkim jedno pojęcie – destabilizacja<sup>625</sup>. Brak poczucia sensu. Zaczął opisywać swoje spostrzeżenia w niezwyklej książce *The Globalization of Addiction*.

Starał się też w pełni zrozumieć, dlaczego tak się dzieje. W początkach dziejów ludzie żyli w małych społecznościach łowiecko-zbierackich na afrykańskich sawannach. Tylko przynależność do takiej grupy czy plemienia dawała szansę na przetrwanie. Jeśli czułeś, że pozbawiono cię uczestnictwa w tej społeczności i jej obrzędach, byłeś nieszczęśliwy. Samotnego człowieka czekała na sawannie niechybna śmierć. Wydaje się, że ludzie rozwinęli w sobie głęboką potrzebę nawiązywania więzi z innymi, ponieważ było to niezbędne do przetrwania.

Bruce zaczął sprawdzać, kiedy w historii ludzkości gwałtownie rosła liczba uzależnionych – i odkrył, że działa się tak zawsze, gdy pozbawiano ludzi tych więzi. Indianom północnoamerykańskim odebrano ich ziemię i kulturę – wtedy szerzył się wśród nich alkoholizm. W XVIII wieku biedni

Anglicy zmuszeni byli przenieść się ze wsi do przerażających miast – wtedy miał miejsce tzw. *Gin Craze* (okres wzmożonego popytu na dżin)<sup>626</sup>. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych minionego wieku mieszkańcy śródmieść amerykańskich miast zostali pozbawieni pracy w zamykanych fabrykach, uciekali więc od rzeczywistości przy pomocy cracku<sup>627</sup>. Gdy w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych Amerykanie z obszarów rolniczych musieli radzić sobie z trudną sytuacją na rynku i brakiem odpowiednich dotacji, zaczęli masowo sięgać po metamfetaminę.

Bruce doszedł więc do wniosku, że – jak sam to ujmuje – „obecna fala uzależnienia rośnie dlatego, że nasze hiperindywidualistyczne, oszalałe, dotknięte kryzysem społeczeństwo budzi w ludziach poczucie odizolowania społecznego lub kulturowego. To poczucie sprawia z kolei, że ludzie szukają choćby chwilowej ulgi. I znajdują ją w uzależnieniu, [...] które pozwala im uciec od uczuć, uspić zmysły – i doświadczać uzależniającego stylu życia jako substytutu pełnego życia”<sup>628</sup>.

Ta teoria nie przeczy odkryciom Gabora, lecz uzupełnia je i pogłębia. Dzieci zaniedbywane, bite czy zgwałcone – jak matka Chino albo Billie Holiday – nie potrafią zaufać innym ludziom i nawiązywać z nimi zdrowych więzi, więc często żyją w izolacji, jak szczury zamknięte w pustych klatkach, co wywołuje te same skutki.

Profesor Peter Cohen, przyjaciel Bruce’a, pisze, że powinniśmy przestać używać słowa „uzależnienie” i zamienić je określeniem „tworzenie więzi”<sup>629</sup>. Ludzie potrzebują więzi z innymi, to jeden z naszych najbardziej pierwotnych popędów. Jeśli więc nie możemy nawiązać takich relacji z innymi ludźmi, znajdujemy sobie zachowanie, z którym się zwiążemy – czy będzie to oglądanie pornografii, palenie cracku czy hazard. Jeśli jedyna więź, która daje ci poczucie ulgi lub sensu, łączy się z nagimi kobietami na monitorze komputera, woreczkami z crackiem czy kółkiem ruletki, będziesz stale i obsesyjnie do niej wracał.

Dean Wilson, jeden z odzyskujących zdrowie heroinistów z Downtown Eastside, ujął to bardzo krótko: „Uzależnienie jest chorobą samotności”.

Doświadczenia z Parku Szczurów pozwalają nam znaleźć odpowiedź na wiele pytań dotyczących uzależnienia, ale pozostawiają bez wyjaśnienia co najmniej jedno – co z głodem narkotykowym?

Nieszczęśliwi ludzie będą dążyć do odmiennych stanów świadomości, by uśmierzyć ból. To wydaje się jasne. Jednak heroiniści, z którymi Bruce pracował w Downtown Eastside, nie zażywali heroiny w okresie, gdy port w Vancouver był skutecznie zablokowany. Nie zmieniali stanu swojej świadomości w fizycznym sensie – nadal jednak zachowywali się jak narkomani i wstrzykiwali sobie do żył nieszkodliwy proszek. Dlaczego?

Bruce zdał sobie w końcu sprawę, że przez wszystkie te lata i miesiące, gdy prowadził z narkomanami rozmowy o ich życiu, wciąż słyszał od nich odpowiedź na to pytanie. „Ludzie wyjaśniali mi to wiele razy, zanim w końcu zrozumiałem” – opowiadał.

Nim zostali ćpunami, ci młodzi ludzie siedzieli sami w pokoju, odcięci od pełnego, sensownego życia. Większość z nich mogła liczyć co najwyżej na „McPracę” – życie spędzone na przewracaniu burgerów, oglądaniu telewizji i odkładaniu pieniędzy na jakieś większe zakupy. „Moja praca polegała głównie na wypytywaniu ludzi, dlaczego nie przestaną zażywać narkotyków – opowiadał Bruce. – Pewien facet pięknie mi to wyjaśnił. Powiedział: »Zastanów się nad tym przez chwilę. Co bym robił, gdybym rzucił narkotyki? Może dostałbym pracę woźnego albo coś w tym rodzaju. Porównaj to z tym, co robię teraz i co jest naprawdę ekscytujące. Bo mam tu przyjaciół i razem robimy ekscytujące rzeczy, na przykład okradamy sklepy albo spotykamy się z dziwkami«”.

Nagle jesteś częścią świata, gdzie wraz z innymi narkomanami prowadzisz krucjatę – nieustającą, gorączkową krucjatę, w czasie której robisz wszystko, by zdobyć pieniądze na narkotyki, uciec przed policją, uniknąć więzienia i przeżyć.

Jeśli twój problem to chroniczny głód więzi społecznych, częściowym rozwiązaniem jest utworzenie więzi z heroiną i z przynoszoną przez nią ulgą. Jednak ważniejsze jest nawiązanie więzi z subkulturą, jaka wiąże się z zażywaniem heroiny – plemieniem narkomanów, którzy realizują taką samą misję, stawiają czoła takim samym zagrożeniom i codziennie ryzykują życiem wraz z tobą. To daje ci tożsamość i życie pełne wzlotów i upadków, a nie nużącej monotonii. Świat przestaje być obojętny wobec ciebie, staje się wrogi – co przynajmniej dowodzi, że istniejesz, że jeszcze nie umarłeś. Heroina pomaga narkomanom radzić sobie z bólem, jaki wywołuje nieumiejętność tworzenia normalnych więzi z innymi ludźmi. Subkultura heroinistów daje im właśnie te więzi.

Kiedy usłyszałem o tym po raz pierwszy, wydawało mi się to dziwne i nieprawdopodobne. Życie ulicznego narkomana jest straszne. W każdej chwili możesz paść ofiarą zanieczyszczonego narkotyku, wyiębienia, gwałtu czy policji. Podobnie jak Bruce, musiałem przez dłuższy czas analizować tę teorię i dopasowywać ją do znanych mi narkomanów, nim zrozumiałem jej sens.

Pamiętamy przecież, że gdy z rynku zniknęła prawdziwa heroina, narkomani zachowywali się tak samo, jak wcześniej. Przeróżające jest spostrzeżenie, że – jak ujmuje to Bruce: „Znacznie lepiej być ćpunem niż nikim, a przed taką alternatywą stoją ci ludzie – jeśli przestaną, będą nikim”. Kiedy więc zabrakło heroiny, „zachowali to, co stanowi esencję ich uzależnienia – subkulturę narkomanów”. Jeśli przez całe życie słyszysz, że jesteś „gównem”, uznanie takiej tożsamości, więz z innymi „gównami” i życie właściwe ludzkiemu „gównu” wydaje się lepsze niż samotność<sup>630</sup>.

Jak powiedział Bruce’owi jeden z narkomanów: „Jest to jakieś życie. Na pewno lepsze niż żadne”.

Słuchając Gabora i Bruce’a, chciałem, by mnie przekonali, lecz jakaś częśćka mnie wciąż pozostawała sceptyczna. Jak wygląda w tej sytuacji druga strona sporu? Nie tego uczono mnie w szkole. Nie w to wierzy większość z nas. Bez względu na to, jak rozsądnie brzmiały ich argumenty, w mojej głowie wciąż pojawiała się myśl – to *oczywiste*, że uzależnienie wywołują substancje chemiczne. Podpowiada to zdrowy rozsądek.

Uznałem, że najlepsze kontrargumenty może mi przedstawić Robert DuPont, twórca NIDA – National Institute on Drug Abuse [Krajowy Instytut ds. Zazywania Narkotyków], finansującego dziewięćdziesiąt procent wszystkich badań nad narkotykami na świecie. To bardzo ceniony naukowiec i twórca wielu teorii, które pozwalają nam dzisiaj zrozumieć narkotyki. Spotkałem go na konferencji World Federation Against Drugs [Światowa Federacja Przeciwko Narkotekom] w Sztokholmie. Przez dwa dni kręciłem się pośród antynarkotykowych aktywistów z całego świata. DuPont to wysoki, szczupły, sympatyczny mężczyzna z Ohio. Podczas konferencji wygłosił płomienne przemówienie, w którym nawoływał do wojny z narkotykami i podsumowywał konferencję, ostrzegając, że substancje chemiczne mogą uprowadzić mózg i zamienić go w niewolnika<sup>631</sup>.

Zgodził się, bym przedstawił mu potencjalne luki w jego teorii. Kiedy o tym mówiłem, słuchał mnie z uwagą. Zacząłem od pytania, ile negatywnych skutków działania narkotyków wywołanych jest jego zdaniem przez farmakologiczny komponent tych środków. Spojrzał na mnie zdumiony. „W odróżnieniu od...?” – spytał. Potem zapadło milczenie.

Wspomniałem o traumie z dzieciństwa i poczuciu izolacji. Miałem wrażenie, że wciąż mnie nie rozumie. „Myślę, że środowisko jest bardzo ważne” – powiedział, po czym wymienił tylko jeden czynnik środowiskowy, a mianowicie różnicę między legalnością a nielegalnością narkotyków. Zazywanie narkotyków musi być uznawane za przestępstwo, bo inaczej dojdzie do eksplozji tego zjawiska. Próbowałem wypytywać go o inne czynniki, ale gotów był wziąć pod uwagę tylko ten.

Byłem nieco zdeprymowany taką reakcją, zadałem mu więc inne pytanie: „Założony przez pana Instytut głosi, że narkotyki zamieniają człowieka w chemicznego niewolnika – biorą go w posiadanie – a ja próbuję pogodzić to jakoś z badaniami sugerującymi, że większość ludzi uzależnionych od narkotyków po prostu przestaje je zażywać. Czy to jest niewolnictwo?”. Frederick Douglass nie stał się wolnym człowiekiem, po prostu schodząc z plantacji. DuPont wydawał się zaintrygowany i zastanawiał się nad tym przez chwilę. „Celna uwaga – powiedział w końcu. – Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób. Niewolnictwo sprzed dwustu lat było kompletne. To bardziej złożona forma niewolnictwa”.

Uśmiechnęliśmy się z lekkim zakłopotaniem. Potem spytałem o inną kluczową metaforę promowaną przez Instytut od lat – metaforę porwania. Większość porwań nie kończy się tym, że zakładnicy po prostu postanawiają odejść od swoich oprawców. „Tak – zgodził się ze mną. – To raczej kwestia częściowego porwania. I również cenne spostrzeżenie”.

Czułem się nieco skonsternowany. Mówiliśmy o głównych metaforach, na których zbudowano standardową teorię uzależnienia, a ten człowiek był najwybitniejszym ekspertem w tej dziedzinie i całkiem niedawno wygłosił na konferencji przemówienie oparte na tych właśnie pojęciach. Jednak gdy zadawałem mu całkiem proste pytania, dotyczące miejsca takich idei w szerszym kontekście, odpowiadał – przyjaznym tonem – że tak właściwie nigdy się nad nimi nie zastanawiał. Ten człowiek stworzył główny ośrodek badań narkotykowych na świecie, lecz najwyraźniej nigdy nie słyszał o alternatywnych teoriach. Nie wiedział, kim są Gabor czy Bruce ani co podobni im ludzie wykazali w swoich badaniach.

Aby oddać mu sprawiedliwość, muszę przyznać, że czytając później literaturę naukową, zrozumiałem, że to samo dotyczy wielu naukowców zajmujących się tą dziedziną, nawet najlepszych. Skupiają się niemal wyłącznie na biochemii i mózgu. Pytania, którymi interesują się Bruce i Gabor – jak ludzie używają narkotyków w rzeczywistości, na ulicach – są ignorowane. Wielokrotnie słyszałem, że nikt nie chce finansować takich badań.

Dlaczego tak się dzieje? Profesor Carl Hart z Columbia University jest jednym z wiodących ekspertów zajmujących się oddziaływaniem narkotyków na mózg. Powiedział mi, że kiedy przedstawia się takie fakty naukowcom, którzy zbudowali swoją karierę na uproszczonych, starych teoriach narkotykowych, przyjmują oni postawę, którą można podsumować jako: „Posłuchaj, stary, to jest mój pogląd i już. Zostaw mnie w spokoju”. To jest wiedza, którą im wpojono i na której opierają swoją pracę. Jeśli przedstawiś im teorie, które mogą przyćmić ich osiągnięcia, zignorują cię. Spytałem profesora Harta, czy nasza najważniejsza koncepcja dotycząca narkotyków może być tak płytka. „Czy może być tak płytka? Chyba trafił pan w sedno – jest właśnie tak płytka. [...] Proszę tylko spojrzeć na dowody. Niewiele warte. [...] To wszystko to tylko zasłona dymna”.

Dlaczego w takim razie te koncepcje wciąż się utrzymują? Dlaczego naukowcy prezentujący lepsze i bliższe prawdzie tezy nie usuną w cień starych teorii? Hart powiedział mi wprost, że niemal wszystkie fundusze na badania nad narkotykami pochodzą od rządów prowadzących wojnę narkotykową, te zaś chcą finansować tylko takie projekty, które potwierdzają znane nam już teorie. Dlaczego miałyby dawać pieniądze na inne koncepcje, prowadzące do odmiennych i radykalnych wniosków?

Eric Sterling jest prawnikiem, który przygotowywał prawo narkotykowe Stanów Zjednoczonych w latach 1979–1989. Gdy powstawały propozycje kolejnych przepisów w tym obszarze, on zawsze brał w tym udział i zamieniał ogólne hasła na konkretne słowa i paragrafy. Gdy spotkałem się z nim w jego gabinecie w Maryland, powiedział mi, że gdyby jakkolwiek naukowiec opłacany przez rząd przeprowadził kiedykolwiek badania sugerujące coś odmiennego od standardowej teorii uprowadzania mózgu, konsekwencje byłyby oczywiste. Komisja Kongresu wezwałaby szefową NIDA i spytała ją, czy nie oszalała. Być może straciłaby stanowisko. Z pewnością kazano by jej zaprzestać takich badań. Wie o tym każdy naukowiec pracujący dla NIDA – a pamiętajmy, że to dziewięćdziesiąt



procent wszystkich badań nad narkotykami, jakie prowadzi się na całym świecie.

Dlatego większość badaczy ignoruje te dowody i zajmuje się jedynie chemicznymi skutkami działania narkotyków. Oczywiście wyniki tych badań nie są fałszywe, ale stanowią tylko małą część większego obrazu. Polityczne naciski skutecznie hamują badanie głębszych prawd.

Ofiarą tego mechanizmu padł Bruce. Gdy tylko stało się jasne, jakie będą wnioski płynące z jego badań, uniwersytet natychmiast przestał finansować eksperyment z Parkiem Szczurów, nim jeszcze współpracownicy Bruce'a mieli okazję zająć się wieloma interesującymi kwestiami, które nasunęły im się podczas realizacji tego projektu. Wiele lat później jeden z najwyższych rangą pracowników uczelni powiedział mu, że stało się tak, bo uznano wyniki badań za kłopotliwe. Coś tak odległego od standardowego pojmowania natury uzależnienia wydawało się szalone.

Bruce, trzeźwo myślący chłopak, wychowany w konserwatywnej rodzinie, był zdumiony wynikami eksperymentu z Parkiem Szczurów oraz badań nad głodem heroinowym, pozwolił jednak, by te odkrycia zmieniły jego postrzeganie świata. „To niezwykle, kiedy odkrywasz, że teorie cieszące się powszechnym uznaniem są fałszywe” – mówił.

Początkowo przypuszczał, że jego odkrycia zmienią oblicze nauki w dziedzinie uzależnień i dadzą początek całej masie nowatorskich badań. Był gotów na „pochód z serpentynami i konfetti”. Tymczasem wszystkie jego badania zostały zignorowane, jakby nigdy nie miały miejsca. „Fakt, że tego rodzaju dowody nie spotkały się z żadnym odzewem, jest po prostu zdumiewający. Można powiedzieć, że to doświadczenie zatruło cały mój światopogląd” – powiedział.

Nikt nie otrzymał później funduszy na odtworzenie doświadczenia z Parkiem Szczurów.

Spacerując po ulicach Vancouver i próbując zrozumieć to wszystko, wróciłem myślami do początku tej historii i dostrzegłem coś, co wcześniej umknęło mojej uwadze.

Dreńczyły mnie trzy pytania, na które nie mogłem znaleźć odpowiedzi. Dlaczego wojna z narkotykami zaczęła się właśnie w tym, a nie innym czasie, na początku XX wieku? Dlaczego ludzie tak chętnie wierzyli w to, co głosił Harry Anslinger? A kiedy już okazało się, że jego działania przynoszą efekt odwrotny do oczekiwanego – czyli prowadzą do wzrostu

liczby uzależnionych i napędzają przestępczość – dlaczego zintensyfikowano te działania, zamiast ich zaprzestać?

Myszę, że odpowiedź może się kryć w przełomowych badaniach Bruce'a K. Alexandra.

„Ludzie uzależniają się tylko wtedy, gdy nie mogą znaleźć żadnego lepszego powodu do życia i gdy muszą jakoś wypełnić pustkę, która inaczej by ich zniszczyła” – tłumaczył Bruce podczas wykładu wygłoszonego w Londynie w 2011 roku<sup>632</sup>. „Ta potrzeba wypełnienia wewnętrznej pustki nie dotyczy tylko tych, którzy stali się narkomanami, lecz w mniejszym lub większym stopniu dotyka ogromnej większości ludzi żyjących w naszych czasach”.

Poczucie destabilizacji i oddzielenia rozprzestrzeniało się w naszych społeczeństwach przez cały XX wiek niczym groźna choroba zakaźna. Wszyscy to czujemy – jesteśmy bogatsi, ale coraz mniej łączy nas ze sobą nawzajem. Niezliczone badania potwierdzają, że nie jest to wyłącznie bliżej nieokreślone przeczucie<sup>633</sup>. Wystarczy przytoczyć wyniki tylko jednej, symptomatycznej analizy – średnia liczba przyjaciół każdego z nas systematycznie maleje. Czujemy się coraz bardziej samotni, a tym samym coraz bardziej podatni na uzależnienie. „Mówimy o nauce życia w naszej współczesności” – stwierdza Bruce. Nasz świat oferuje wiele niesamowitych korzyści, ale jest też źródłem głębokiego stresu – poczucia destabilizacji i odizolowania. „Rozbicie, fragmentacja i samotność nie są częścią ludzkiej ewolucji ani ewolucji żadnego społeczeństwa” – tłumaczył mi Bruce.

W grę wchodzi jeszcze jeden istotny czynnik. W tym samym czasie, gdy nasze więzi z innymi ludźmi słabną i zanikają, mówi nam się – nieustannie, dzień po dniu, za pomocą ogromnej maszyny reklamowej – byśmy kierowali nasze nadzieje i marzenia w całkiem innym kierunku: ku kupowaniu i konsumpcji. „Cała gospodarka opiera się na kreowaniu i wzmacnianiu fałszywych potrzeb i pragnień, co ma służyć rosnącej sprzedaży produktów – powiedział mi Gabor. – Więc ludzie próbują znaleźć spełnienie i satysfakcję w produktach”. Jego zdaniem to główny powód, dla którego „żyjemy w bardzo uzależnionym społeczeństwie”. Oddaliliśmy się od siebie i zaczęliśmy szukać szczęścia w przedmiotach – ale przedmioty mogą nam dać tylko cień prawdziwego zadowolenia.

Tu właśnie wkracza wojna narkotykowa. Opisane powyżej procesy rozpoczęły się na początku XX wieku – a wkrótce potem rozpętało wojnę

z narkotykami. Wtedy jeszcze nie kierował nią lęk przed obcą rasą, lecz lęk przed uzależnieniem, który miał całkiem realne podłoże. Tym podłożem nie był jednak rozwój narkomanii, lecz coraz silniejsze poczucie destabilizacji i oddzielenia.

Wojna narkotykowa zaczęła się właśnie w takim, a nie innym czasie, bo baliśmy się naszej skłonności do uzależnienia, która przybierała na sile za sprawą coraz większego poczucia samotności. Czy jest więc tak, że – podobnie jak kaznodzieja, który piętnuje gejów, bo boi się własnego pociągu do mężczyzn – piętnujemy narkomanów, bo boimy się naszej rosnącej skłonności do uzależnienia?

Po ostatnim spotkaniu z Bruce'em siedziałem na ławce w Pigeon Park, niewielkim betonowym skrawku przestrzeni w Downtown Eastside, gdzie narkomani piją, rozmawiają i kupują narkotyki. Próbowałem zrozumieć, w jaki sposób to wszystko powinno zmienić nasze podejście do wojny narkotykowej.

Bruce mówi, że gdy obecnie myślimy o porzuceniu nałogu, widzimy to tylko z perspektywy uzależnionego człowieka. Uważamy, że problem tkwi właśnie w nim i że musi poradzić sobie z tym sam albo w kręgu innych narkomanów.

Jednak, zdaniem Bruce'a, przypomina to obserwowanie szczurów w odizolowanych klatkach i traktowanie ich jak istoty moralnie skrzywione, co nie ma większego sensu. Uważa, że powinniśmy zmienić perspektywę, skupić wzrok na innym punkcie, jak przy oglądaniu ukrytych trójwymiarowych obrazków, by dostrzec w końcu, że problem tkwi gdzie indziej. W kulturze. Przestańmy myśleć tylko o uzdrawianiu poszczególnych jednostek, a zacznijmy się interesować „uzdrawianiem społeczeństwa”.

Jeśli zacniemy myśleć w ten sposób, zmieni się pytanie, na które musimy sobie odpowiedzieć, kształtując podejście do narkotyków. Nie będziemy już pytać: „Jak położymy kres narkomanii przy pomocy gróźb i siły, by odstraszyć ludzi od narkotyków?”, lecz: „Jak powinniśmy odbudować nasze społeczeństwo, byśmy nie czuli się samotni i wystraszeni, a przy tym umieli tworzyć zdrowe więzi? Jak zbudować społeczeństwo, w którym będziemy szukać szczęścia w drugim człowieku, a nie w konsumpcji?”.

To bardzo poważne pytania, których implikacje sięgają daleko poza wojnę z narkotykami i poza to, czym zajmuję się w tej książce. Trzeba je jednak zadać. Wydaje mi się, że nie zdołaliśmy się uporać z problemem narkomanii właśnie dlatego, że zadawaliśmy niewłaściwe pytania.

Bruce mówi, że ta sytuacja skutkuje czymś jeszcze gorszym od wojny narkotykowej. Odcięci od innych ludzi, odizolowani, wszyscy stajemy się nałogowcami – a naszym największym nałogiem, jako całej kultury, jest kupowanie i konsumowanie rzeczy, których nie potrzebujemy, a często też nawet nie chcemy.

W głębi duszy wszyscy wiemy, że wcale nie uszczęśliwia nas ciągła praca, która służy temu, byśmy mogli kupować kolejne lśniące przedmioty pokazywane w reklamach. Jednak robimy to stale, dzień po dniu. W gruncie rzeczy pochłania to lwią część naszego życia. Moglibyśmy zwolnić. Moglibyśmy mniej pracować i mniej kupować. To uchroniłoby również środowisko – nasz dom – przed systematycznym niszczeniem. Ale nie robimy tego, bo siedzimy w swoich klatkach, oddzieleni od pozostałych. Kiedy przebywamy w takim otoczeniu, myśl o ograniczeniu konsumpcji wywołuje naszą panikę. Bruce uważa, że wszystko to wypełnia lukę, w której powinny znajdować się normalne ludzkie więzi.

Jeśli nie przyswoimy lekcji z Parku Szczurów, mówi Bruce, będziemy mieli problem większy niż wojna narkotykowa. Znajdziemy się na planecie ogarniętej szalonym konsumpcjonizmem, który obecnie stanowi nasze największe i najbardziej destrukcyjne uzależnienie.

W ciągu tych kilku miesięcy, kiedy wielokrotnie odsłuchiwałem nagrania rozmów z Bruce'em i Gaborem, starając się jak najlepiej zrozumieć wszystko, co mi powiedzieli, stale wracałem do jednego, oczywistego pytania. Obaj przekonywali mnie, że do uzależnienia dochodzi w wyniku wielu ważnych czynników, a niektóre z nich nie mają nic wspólnego z samymi substancjami chemicznymi. Absurdem byłoby jednak twierdzenie, że te substancje nie odgrywają w uzależnieniu żadnej roli w odróżnieniu od, na przykład, nikotyny czy cracku. Ile więc zależy od samych chemikaliów, a ile od czynników społecznych? Jak wyglądają te proporcje?

Czytając kolejne pozycje dotyczące tego tematu, natknąłem się na opis eksperymentu – zamieszczony w dziele niezwykłego naukowca Richarda

DeGrandpre – który udziela precyzyjnej odpowiedzi na to pytanie. Być może niektórzy z was właśnie biorą udział w tym eksperymencie.

Kiedy na początku lat dziewięćdziesiątych wynaleziono plastry nikotynowe, przedstawiciele służby zdrowia byli zachwyceni. Wierzyli w tę samą teorię uzależnienia, którą karmi się nas wszystkich – uzależnienie wywołują substancje chemiczne zawarte w używkach. Jeśli zażywasz dany środek przez jakiś czas, twoje ciało zaczyna go pragnąć i potrzebować, psychicznie i fizycznie. To prosta teoria. Każdy, kto próbował zrezygnować z kofeiny, dobrze wie, że ta chemiczna pułapka istnieje naprawdę – przechodzę przez to, pisząc te właśnie słowa. Nie potrafię zapanować nad drżeniem rąk, boli mnie głowa i zmieszałem właśnie z błotem faceta, który siedzi naprzeciwko mnie w bibliotece.

Wszyscy przyznają, że palenie papierosów to jedno z najsilniejszych uzależnień – pod tym względem można je porównać do zażywania kokainy i heroiny. Jest też jednym z najgroźniejszych nałogów<sup>634</sup>. Papierosy zabijają sześćset pięćdziesiąt osób na każde sto tysięcy palaczy<sup>635</sup>, podczas gdy na każde sto tysięcy kokainistów przypadają tylko cztery ofiary tego nałogu<sup>636</sup>. Wiem też doskonale, co jest ukrytą w tytoniu substancją uzależniającą – nikotyna.

Cudowne działanie plastrów nikotynowych polega więc na tym, że zaspokajają fizyczną potrzebę palacza – prawdziwe, dręczące pragnienie – i pozwalają przy tym uniknąć zagrożeń związanych z paleniem tytoniu. Jeśli więc koncepcja mechanizmu uzależnienia, którą wszyscy nosimy w głowach, jest prawdziwa, plastry nikotynowe powinny być bardzo skuteczne. Twój organizm jest uzależniony od substancji chemicznej, czerpie tę substancję z plastra nikotynowego, więc nie musisz już więcej palić.

Teoretycznie wszystko działa jak najlepiej – palacze rzeczywiście otrzymują substancję, od której są uzależnieni. Jeśli używasz plastrów, poziom nikotyny w twojej krwi nie spada, więc chemiczny głód jest zaspokojony. Pozostaje tylko jeden problem – nawet jeśli nosisz taki plaster, nadal chcesz palić. Z badań przeprowadzonych na zlecenie amerykańskiego Ministerstwa Zdrowia wynika, że tylko 17,7 procent użytkowników plastrów nikotynowych zdołało rzucić palenie. Jak to możliwe? Istnieje tylko jedno wyjaśnienie – działa tutaj coś, co ma większe znaczenie niż sama substancja chemiczna zawarta w używce. Jeśli rozwiązanie pozwalające zaspokoić potrzeby chemiczne uwalnia od

uzależnienia tylko 17,7 procent palaczy, to nałóg pozostałych 82,3 procent należy wyjaśnić w jakiś inny sposób.

Ponad siedemnaście procent to z pewnością znacząca wartość. Przekłada się na ogromną liczbę ludzi, którzy poprawili swoje życie. Głupotą i fałszem byłoby twierdzenie, że substancje chemiczne *nie mają* żadnego wpływu na nałóg – wystarczy powiedzieć, że zwykłe papierosy są znacznie bardziej uzależniające niż papierosy mentolowe. Jednak równie wielką głupotą byłoby uporczywe trzymanie się tego, co powtarzamy od wieków – że substancje chemiczne są *główną* przyczyną uzależnienia. Ta teza po prostu nie znajduje potwierdzenia w dowodach.

Warto raz jeszcze to powtórzyć. Jeśli chodzi o najsilniejszy i najgroźniejszy środek używany w naszej kulturze, sama substancja chemiczna odpowiada tylko za 17,7 procent przypadków uzależnienia. Pozostałe można wyjaśnić jedynie przy pomocy czynników odkrytych przez Gabora i Bruce'a.

Aby dobrze zrozumieć tę konkluzję, rozmawiałem z wieloma naukowcami. To dzięki nim poznałem rozróżnienie, które bardzo mi pomogło – między uzależnieniem fizycznym a nałogiem. Uzależnienie fizyczne ma miejsce wtedy, gdy funkcjonowanie twojego organizmu staje się zależne od danej substancji chemicznej, a jeśli przestaniesz ją zażywać, cierpisz na objawy odstawienia – ja jestem fizycznie uzależniony od kawy i czuję to dzisiaj aż nazbyt wyraźnie.

Nałóg jest jednak czymś innym. To przeświadczenie, że potrzebujesz danego środka, by poczuć się spokojniej lub swobodniej albo by w ogóle niczego nie czuć – zależnie od tego, co dany środek ma wywoływać. Moje objawy odstawienia kofeiny miną za dwa dni, ale być może za dwa tygodnie poczuję nagłą potrzebę skupienia myśli i przekonam samego siebie, że nie jestem w stanie zrobić tego bez kofeiny. To nie jest fizyczne uzależnienie, to nie zależność od substancji chemicznej – to nałóg. Na tym polega zasadnicza różnica, która w takim samym stopniu dotyczy stosunkowo nieszkodliwego nałogu kofeinowego, jak i groźnego nałogu narkotykowego. Dlatego narkomani mogą znieść objawy odstawienia i poradzić sobie z uzależnieniem fizycznym, ale wracają do nałogu po kilku tygodniach czy miesiącach, choć ich organizmy nie odczuwają żadnego głodu narkotykowego. Nie są uzależnieni fizycznie, lecz psychicznie. Przez całe sto lat w naszej kulturze wierzono, że za nałóg odpowiada jedynie fizyczne uzależnienie, które w istocie jest tylko jednym z wielu czynników.

„Wygląda to tak, jakbyśmy w epoce fizyki kwantowej poruszali się wciąż wyłącznie w obrębie fizyki newtonowskiej – powiedział mi kiedyś Gabor. – Oczywiście fizyka newtonowska jest bardzo cenna, tłumaczy wiele rzeczy, ale nie dotyka samego sedna sprawy”.



## Część V

### Pokój

## Bunt narkomanów

Kiedy próbowałem odnaleźć się w świecie Downtown Eastside, raz po raz słyszałem, że w ostatnim dziesięcioleciu dzielnica uległa radykalnej przemianie. Wszyscy mówili, że to miejsce zmieniło się nie do poznania. Nie jest już tym, czym było kiedyś. Teraz wygląda o niebo lepiej. Chciałem się dowiedzieć, co się tu właściwie stało, a gdy prosiłem o wyjaśnienie, opowiadano mi podobne historie, w których zawsze przewijało się jedno imię i nazwisko: Bud Osborn. „To poeta” – mówili o nim ludzie. Był bezdomnym narkomanem. Odmienił to miejsce. Tutejsi mieszkańcy opowiadali o nim niemal jak o mitycznej postaci. Zrozumiesz, powtarzali, gdy go poznasz. Kiedy do niego zadzwoniłem, rozmowa się nie kleiła, miałem wrażenie, że tajemniczy Bud nie czuje się najlepiej. Sam byłem zdumiony, gdy nagle zacząłem mu przypisywać same najgorsze cechy. Kolejny ćpun, myślałem. Jaka zmiana? Po co w ogóle się tym zajmuję? Potem jednak zacząłem pytać sam siebie, skąd wzięły się te wszystkie myśli.

Poszedłem do małego mieszkania Buda, położonego niedaleko Portland Hotel, gdzie pracował Gabor. Bud był wysokim mężczyzną po sześćdziesiątce, o długich siwych włosach i gładkiej młodzieńczej twarzy. Poprowadził mnie do salonu między wielkimi stertami książek – traktujących o poezji, historii, jazzie – a wkrótce potem opowiadał mi o pewnym dniu sprzed niemal dwudziestu lat, gdy Downtown Eastside było zupełnie inne niż teraz, on sam też był zupełnie inny, a wszystko wydawało się beznadziejne. Oto historia, jaką poznałem z relacji samego Buda, z opowiadań jego przyjaciół oraz ludzi, przeciwko którym się zbuntował<sup>637</sup>.

Bud miał wrażenie, że nie słyszy niczego prócz syren. Przez cały dzień i przez całą noc co piętnaście minut przez jego dzielnicę przejeżdżała karetka na sygnale, a on zastanawiał się mimowolnie: „Czy to jeden z moich znajomych? Który?”.

Był bezdomnym heroinistą po pięćdziesiątce<sup>638</sup> i obserwował, jak wszyscy jego znajomi i przyjaciele umierają jeden po drugim. W połowie

lat dziewięćdziesiątych miał już tak zgrzytliwy i bezbarwny głos, jakby dawno wyzbył się wszelkich emocji. Pewnego dnia wpadł na Indiankę o imieniu Margaret, którą znał kiedyś przez kilka lat. Wiedział, że jej krewni umierali jeden po drugim z przedawkowania, jak wielu ludzi w tej okolicy. Margaret była blada i wymizerowana, najwyraźniej chciała mu coś powiedzieć, ale nie wiedziała do końca, jak to zrobić.

Czekał, aż się przełamie.

Powiedziała, że jej kuzynka właśnie przedawkowała, a kiedy jej partner odnalazł ciało, porwał prześcieradło na pasy i powiesił się – wszystko to działo się na oczach ich małego dziecka, które siedziało na łóżku w tym samym pokoju. Wyjaśniła, że idzie właśnie na zebranie rodzinne, na którym miała zapaść decyzja, kto zaopiekuje się dzieciakiem.

Kiedy Margaret mówiła, Bud pomyślał o tym, co on sam przeżył jako dziecko w odległym mieście Toledo w Ohio. Wiedział, że wkrótce to samo spotka kolejne dziecko, a wtedy gdzieś w głębi jego duszy odezwał się głos, który stwierdził stanowczo: „Trzeba to przerwać”.

„Ale co ja mogę zrobić?” – pytał samego siebie. Jestem tylko ulicznym ćpunem. Jestem nikim.

Rozejrzał się dokoła. Nikt inny się nie buntował. W porządku, pomyślał. To muszę być ja. To muszę być ja.

Ta myśl – i działania, które za nią poszły – zrodziła pierwszą rebelię narkomanów przeciwko systemowi stworzonemu przez Harry’ego Anslingera.

W tym samym roku, w którym matka Gabora oddawała go nieznanemu chrześcijaninowi w budapeszteńskim getcie, jakieś dwieście czterdzieści kilometrów dalej, nad Wiedniem przelatywał amerykański bombowiec. Trafiony pociskami obrony przeciwlotniczej samolot zapalił się i runął na ziemię. Pilot Walton Osborn Senior miał zmiażdżone obie nogi, z wraku wyciągnęli go jednak austriaccy wieśniacy, którzy przeżyli bombardowanie, a teraz, uzbrojeni w widły, chcieli go zlinczować. Nagle przy samolocie pojawili się nazistowscy oficerowie, którzy przegnali motłoch i zabrali Waltona do obozu jenieckiego.

Nie wiemy, co się tam z nim działo. Nigdy o tym nie mówił. Jednak gdy wrócił do Toledo w stanie Ohio, by na nowo podjąć pracę dziennikarza, zaczął pić i nigdy nie przestał<sup>639</sup>.

Toledo było zamieszkałym głównie przez klasę średnią statecznym amerykańskim miastem, gdzie starannie zacierano wszelkie wspomnienia z wojny. Walton koniecznie chciał wybrać się na wyprawę przez całą Amerykę, by odszukać innych więźniów obozów jenieckich, bo tylko oni go rozumieli. Gdy zmuszono go do powrotu do domu, wyrzucił z niego wszystkie meble, zostawiając tylko gołe ściany, jakby chciał w środku Ameryki odtworzyć warunki nazistowskiego obozu. Nikt nie wiedział, jak radzić sobie z otwartą raną w postaci Waltona – był niczym krzyk w samym środku uroczystej kolacji.

W oczach jego żony Patricii Walton był kimś na kształt pijanego oszusta, podającego się za człowieka, który wyjechał kilka lat wcześniej na wojnę. Nie mogła tego znieść. Niegdyś pracowała jako modelka, była wysoką, szczupłą brunetką, która – podczas gdy Walton całymi dniami leżał w łóżku, pijąc i czytając Walta Whitmana – wdała się w romans z innym mężczyzną, by uciec w ten sposób przed samotnością. Kiedy Walton się o tym dowiedział, zaczął przeraźliwie krzyczeć i wyć. Jego przyjaciele obawiali się, że wyskoczy przez okno, więc zawieźli go do miejscowego aresztu, gdzie policjanci obiecali, że będą go mieli na oku, dopóki nie wytrzeźwieje. Zamknęli go w celi na końcu korytarza i zapomnieli o nim, więc Walton podarł na pasy swoją marynarkę, zrobił z niej szubienicę i powiesił się na kratkach.

W następnym tygodniu tę historię zrelacjonowała miejscowa gazeta. W artykule napisano, że tak wyglądają „skutki otwartej pogardy dla praw moralnych, na których opiera się nasze społeczeństwo”<sup>640</sup>. Gazeta zamieściła również zdjęcie wdowy, określając ją mianem zdziry, która doprowadziła swego męża do samobójstwa. Z reportażem zapoznali się wszyscy mieszkańcy miasta, co oznaczało dla kobiety i jej synka Waltona Osborna Juniora koniec życia na poziomie klasy średniej. Wyrzuceni poza nawias społeczeństwa, musieli mieszkać w przyczepie kempingowej, a potem w różnych przygodnych miejscach, jakie tylko udało im się znaleźć. Większość dni i wieczorów spędzali w barach. Jego matka musiała teraz pić przez cały czas, ciągnęła go za sobą do barów i kazała mu się tam bawić. Był jedynym dzieckiem w takich lokalach, grał więc sam w bilard.

Walton Junior – pulchny chłopczyk z blond lokami – chciał wiedzieć, gdzie zniknął jego tata. Mama tłumaczyła mu, że wygaduje bzdury: „Twój ojciec nie wrócił z wojny – mówiła. – Nigdy go nie poznałeś”. „A przecież miałem różne wspomnienia związane z ojcem” – opowiadał mi Bud.

Pamiętał, jak tata trzymał go za rękę i prowadził do muzeum sztuki w Toledo, a potem sadzał na betonowym posągu nosorożca. Takich obrazów było znacznie więcej. „Myślałem więc, że coś jest ze mną nie tak. Że naprawdę dzieje się ze mną coś niedobrego. Z moim umysłem. Z moim postrzeganiem rzeczywistości”.

Matka często oddawała go pod opiekę ludzi, których prawie nie znała, obiecując, że wróci za kilka godzin, podczas gdy w rzeczywistości znikwała na kilka dni. To tylko potwierdzało przypuszczenia jej syna. „Fakt, że ojciec zostawił mnie pewnego dnia i nigdy nie wrócił, i że moja matka ciągle mnie opuszczała, utwierdzał mnie w przekonaniu, że rodzice nie są ze mną, bo dzieje się ze mną coś naprawdę niedobrego”. Zawsze gdy słyszał, jak ktoś głośno wypowiada jego imię, był przerażony, choć sam nie wiedział dlaczego. Pewnego razu, gdy bawił się na dworze, inny dzieciak powiedział mu, że tak naprawdę nie nazywa się Walton, tylko Bud. Poczł się wtedy prawdziwie wyzwolony. Od tej pory zawsze domagał się, by nazywano go właśnie Bud, jakby w ten sposób mógł się uwolnić od ducha ojca, którego pamiętał, a który – w co już zdążył uwierzyć – nigdy nie istniał.

Matka Buda często przyprawiała do ich jednopokojowej przyczepy mężczyzn na kilka drinków. Pewnego wieczora przyszła z aktorem, który jeszcze przez chwilę miał jej dotrzymać towarzystwa. W pewnym momencie mężczyzna rozdarł jej bluzkę, a Patricia zaczęła krzyczeć. Napastnik napał na nią, uśmiechając się szeroko. Bud chciał bronić mamy, więc rzucił się na mężczyznę, ale ten odtrącił go jak natrętną muchę. Chłopiec szybko się pozbierał i ponownie zaatakował gwałciciela – tym razem ten rzucił nim bardzo mocno o ścianę.

„Zostań tam! Zostań tam!” – krzyczała jego mama. Więc Bud musiał zostać i patrzeć. „Siedziałem tam i starałem się nic nie czuć. Nie być niczego świadomym. [...] W pewnym sensie odciąłem się od rzeczywistości” – wspominał. Później napisał: „W tym momencie obiecałem sobie, że nigdy więcej nie pozwolę się nikomu skrzywdzić...”<sup>641</sup>.

Wkrótce potem Bud stanął na wysokiej kamiennej werandzie i rzucił się z niej na chodnik. Wylądował na głowie. Jego czaszka pękła, zaczął krwawić. „Albo, jak to dziecko, wyobrażałem sobie, że nic mi się nie stanie, albo po prostu nienawidziłem życia, które prowadziłem” – opowiadał.

Właśnie po tym wypadku znalazł drogę ucieczki. Uważał, że odpowiedzią jest tajemnica słów. Jego ojciec układał słowa w opowieści, więc musiała się w nich kryć jakaś alchemia, jakieś wyjaśnienie wszystkiego, co się z nim działo. Bud wycinał słowa i frazy z gazet, chował je w kieszeni, a podczas przerw między lekcjami ukradkiem je połykał. „Myślałem, że jeśli będę miał słowa w sobie, odkryją przede mną swoje znaczenie”.

Gdy Bud trochę podrośł, zaczął obsesyjnie uprawiać sport – baseball, koszykówkę, biegi przełajowe, bieganie na bieżni, wszystko, co tylko pozwoliłoby mu nie myśleć. „Żeby tylko oderwać myśli [od faktu, że] w domu będzie panował chaos, ludzie będą się kłócić albo też nie będzie tam nikogo”. Nawet w środku mroźnej zimy godzinami wystawał samotnie na boisku i rzucał piłką do kosza. „To było jak trans” – mówił. Wygrywanie nie sprawiało mu żadnej przyjemności, chodziło o samą czynność – o czas, kiedy nie zostawał sam na sam ze swoimi myślami.

Nie mógł jednak przez cały czas biegać. Nauczył się żyć w nieruchomym świecie, zapadając w niemal hipnotyczny stan – siedział wśród ludzi, ale uciekał do jakiegoś zakamarka swojego umysłu, w którym ich nie widział ani nie słyszał, był sam, otepiały i obojętny. „Potrafiłem całkowicie oddzielić się od świata. Dysocjacja – opowiadał. – Oddzielasz swoją świadomość od tego, co dzieje się wokół ciebie”. Ludzie pytali często: „Bud, gdzie jesteś?”, a on patrzył na nich nieobecny wzrokiem. Zaczął to robić jako małe dziecko, gdy tylko matka go zostawiała. „Myślałem, że jeśli wytrzymam wystarczająco długo w takim transie, ona wróci, ona wróci”.

Kiedy Bud po raz pierwszy usłyszał o czarnych dziurach w kosmosie, od razu zrozumiał, czym jest to zjawisko. „Pochłaniają światło, które przepływa obok nich, i niszczą je. Czułem się dokładnie tak samo tutaj, w środku – mówi, wskazując na brzuch. – Kiedy po raz pierwszy przeczytałem o czarnej dziurze w kosmosie, pomyślałem: »Właśnie tak zawsze się czułem. Dokładnie tak samo«”.

Ucieczka w trans była jednym ze sposobów wymazywania samego siebie z egzystencji – wkrótce jednak Bud znalazł lepszy. Gdy miał piętnaście lat, zażył zbyt dużą dawkę aspiryny. Kiedy leżał w szpitalu po płukaniu żołądka, podeszła do niego policjantka i spytała gniewnym tonem: „Wiesz, co robisz w ten sposób swojej matce?”. Gdy Bud kończył średnią szkołę, matka powiedziała mu całą prawdę: „Twój ojciec istniał. Znałeś go.

W gazecie jest reportaż, który powinieneś przeczytać”. Wtedy Bud zaczął pić. „Upijałem się do nieprzytomności. Żeby nie myśleć”.

Zaczął studiować dziennikarstwo na Northwestern University, ale nie mógł się skupić i zrezygnował. Wciąż próbował się zabić, ale pozostała w nim również wiara, że słowa mogą go uratować. Odkrył francuskich poetów drugiej połowy XIX wieku. Charles Baudelaire i Arthur Rimbaud stali się jego przyjaciółmi i ucieczką. „Wiedziałem, że zupełnie nie układało im się w życiu, ale dawali mi powód, bym sam żył dalej, jeszcze jedną godzinę, jeden dzień, jeden tydzień” – opowiadał Bud. Ich słowa pomagały mu przetrwać. „Doszedłem do wniosku, że może jest to coś, co mógłbym robić, bo jestem kompletnie popieprzony i oni też byli kompletnie popieprzeni, [ale] potrafili zrobić coś, co rozświetla innym życie”. Postanowił, że bez względu na to, co się z nim dzieje, będzie codziennie pisał wiersze. „Pomyślałem, że poezja to coś, czego nigdy nie można ci odebrać. [...] Tylko ty sam możesz to stracić”.

Miał też większe ambicje, o których nie mówił jednak nikomu. Żywił nadzieję, że pewnego dnia napisze wiersz, który pomoże komuś tak, jak jemu pomogła poezja Francuzów.

Bud zgłosił się do VISTA – Volunteers in Service to America [Ochotnicy w Służbie Ameryce] – jednego z programów walki z biedą, założonych przez Lyndona Johnsona w ramach jego tak zwanej wojny z ubóstwem, którą potem Richard Nixon zamienił na wojnę z narkotykami. Bud objął placówkę w East Harlem rok po tym, jak uczestnicy zamieszek próbowali ją spalić, a oddział, do którego go przydzielono – położony tuż obok Central Parku – składał się z pięciu pięter wąskich mieszkań z długimi, krętymi schodami pożarowymi i werandami wychodzącymi na wiecznie zatłoczoną ulicę. Harlem wyglądał niemal tak samo jak czterdzieści lat wcześniej, gdy przyjechała tu Billie Holiday. Budowi polecono, by przedstawił się wszystkim mieszkańcom bloku i spytał, jakiej pomocy potrzebują. Był zdumiony, widząc, ilu ludzi tłoczy się w każdym z małych mieszkań. Gdy powiedział pewnemu dziecku, że on dzieli cały dom tylko z trzema współlokatorami, maluch nie mógł uwierzyć. W jego mieszkaniu przebywało na stałe siedemnaście osób.

Bud zajmował się rozprowadzaniem darmowych biletów metra wśród dzieci, których nie było stać na dojazd do szkoły, zaprowadzaniem starszych ludzi do lekarza po zakup pierwszych w życiu okularów lub aparatów słuchowych. Po jakimś czasie zwrócił uwagę na faceta, który



przechadzał się często po okolicy. Bez względu na pogodę zawsze nosił czarne spodnie, czarną koszulę, czarny kapelusz i ciemne okulary.

„Lepiej nie mieć z nim nic wspólnego – powiedzieli mu mieszkańcy. – Nie rozmawiaj z nim. Nie zaczepiaj go. On tutaj rządzi”.

Bud słyszał wcześniej o heroinie, bo czytał *Nagi lunch* Williama Burroughsa, ale nigdy nie miał z nią styczności w realnym świecie. Odwracał wzrok, ale wciąż myślał o tym człowieku. „Czułem się tak, jakby coś ciągnęło mnie do środka – mówił. – Jakaś obca siła, choć nie wiedziałem jaka”.

Opuściwszy VISTA, Bud podjął pracę w West Village, w jednym z pierwszych sklepów, które sprzedawały plakaty i znaczki z Jimim Hendrixem. Poznał tam Shelleya, starszego o kilka lat poetę z Manhattanu, z którym się zaprzyjaźnił. Pewnego wieczora poszli do mieszkania Shelleya, a później dołączyło do nich kilku znajomych, którzy przynieśli trochę heroiny w małym woreczku.

„Zawsze się zastanawiałem, czy to ta noc, kiedy idę na most Brookliński i po prostu skaczę” – wspominał Bud.

Usypał kreski heroiny i wciągnął je przez słomkę. Po chwili, jak opowiadał: „Poczułem ciepło we wnętrzu, tam gdzie zawsze było zimno. To była mroźna zima, ale kiedy wyszliśmy na zewnątrz, wciąż było mi ciepło. Niemal unosiłem się nad ziemią”. Tej pierwszej nocy czuł się wreszcie spokojny i rozmarzony. Wkrótce potem zaczął regularnie zażywać heroinę. „Mogłem kłaść się spać, gdy tylko chciałem, albo nie spać i czuć się dobrze. Nigdy nie czułem się lepiej. Nawet gdy uprawiałem sport i odnosiłem sukcesy, czułem się właściwie tak samo, jak gdybym tego nie robił. Zajmowałem się tym tylko po to, by wypełnić jakoś czas, [lecz teraz] czułem, że wcale już nie chcę się zabić. Było mi dobrze. Nie nienawidziłem samego siebie. Uważałem, że jestem równie dobry, jak inni ludzie. [...] Czułem to ciepło zamiast czarnej zimnej dziury, czułem to cudowne ciepło”.

Na długo przed tym, jak poznał heroinę, Bud próbował wprowadzać się w trans, w stan ośpienia, uzyskać dostęp do odległego miejsca w swojej głowie, gdzie byłby wolny od myśli. Teraz miał środek, który mógł go tam zabrać na czas znacznie dłuższy, niż sam kiedykolwiek był w stanie osiągnąć. Był zachwycony. „Myślałem, że dzięki temu może będę mógł prowadzić normalne życie” – wspominał.

Do tej pory, zawsze gdy chciał uprawiać seks, pamięć podsuwała mu obraz gwałconej matki i nie był w stanie się przemóc. Pewnego wieczora, wkrótce po tym, jak zaczął zażywać heroinę, siedział w barze w Lower East Side – w barach czuł się u siebie bardziej niż w jakimkolwiek innym miejscu – gdy podeszła do niego wysoka czarnoskóra kobieta z długimi czarnymi włosami. Bud pomyślał, że jest zachwycająca, a on jest najbardziej zagubionym facetem w Nowym Jorku. Podsunęła mu kawałek pieczonego kurczaka.

„Chcesz się poczęstować moim kurczakiem?” – spytała Misty.

Był prawdopodobnie jedynym heteroseksualnym mężczyzną w Nowym Jorku, który zachowałby się podobnie w takiej sytuacji, ale odpowiedział: „Nie, dziękuję, już jadłem”. Dziewczyna odeszła, a on pomyślał: „Bud, jesteś popierdolony”.

Wróciła do niego.

– Skąd jesteś? – spytała.

– Z Ohio.

– Gdzie to jest?

Tej samej nocy zabrała go na prom do Staten Island. Na pokładzie, pod letnim niebem, tulili się do siebie. Gdy weszli do jej mieszkania, Bud był przerażony, ale nie zamierzał odmawiać.

Misty zapaliła świece, przyniosła wino i nastawiła płytę.

„To było przepiękne i pełne bólu – wspominał Bud. – Sięgało do wnętrza, a głos wydawał się po prostu niezwykły. [...] Nigdy wcześniej nie słyszałem takiego głosu”.

– Kto to śpiewa? – spytał.

– Czy w Ohio nie mają *takich* rzeczy? – uśmiechnęła się Misty. – To Billie Holiday.

Dzięki Misty i Billie Holiday mógł się w końcu kochać i był szczęśliwy. Wiedział, że „to takie przeżycie, do którego już zawsze będzie mógł wracać”.

Wkrótce potem Bud dostał kartę powołania i miał wyjechać walczyć do Wietnamu, ale nie zamierzał zabijać niewinnych Wietnamczyków. Uciekł i włóczył się po całym kraju. Został postawiony w stan oskarżenia przez federalną ławę przysięgłych i wiedział, że jeśli go schwytają, może trafić na pięć lat do więzienia. Ukrywał się wtedy w małych miasteczkach, gdzie nie mógł znaleźć heroiny, wkrótce więc znów zaczęły go dręczyć myśli samobójcze. Nie chciał się jednak uzależnić – wiedział, że wstrzykiwanie

heroiny kupionej na ulicy to kiepski pomysł, z wielu oczywistych powodów – więc przez pięć lat niczego nie zażywał. Co wieczór chodził na spotkania Anonimowych Alkoholików w różnych zakątkach Ameryki i był stale przygnębiony.

Pewnego roku w Boże Narodzenie postanowił dokończyć to, co zaczął jako dziecko, skacząc z werandy. Wziął samochód i z prędkością stu kilometrów na godzinę wjechał nim w mur. Tuż przed zderzeniem pomyślał z ulgą: „Teraz nie żyję”.

Ocknął się w chwili, gdy chirurg wyjmował kawałki szkła z jego twarzy. Kiedy wyszedł ze szpitala o kulach i z głową owiniętą bandażem, stanął na zaśnieżonym chodniku w Ohio, rozejrzał się dokoła i pomyślał: „Nie wierzę, że wciąż tu jestem. Nie wierzę, że wciąż w tym tkwię”. Jakiś czas później chodził po ulicach z młotkiem ukrytym pod ubraniem, szukając kogoś, kogo mógłby uderzyć w głowę i zabrać mu parę dolarów na heroinę. Jednak gdy wyobraził sobie, że rozbija komuś czaszkę, widział, jak przed nim „otwiera się czarna dziura”<sup>642</sup>. Wiedział, że czarna dziura by go zniszczyła – nie potrafił tego zrobić.

Pewnego dnia, gdy przyszedł do domu, zadzwoniła do niego matka. Przebywała w zamkniętym szpitalu psychiatrycznym – od lat cierpiała na manię – a skontaktowała się z nim, by przekazać mu radosną wiadomość. Zamierzała się ubiegać o urząd prezydenta. Tłumaczyła, że „ma całkiem spore szanse”, bo mogła liczyć na poparcie wszystkich psychicznie chorych, alkoholików i narkomanów. Poprosiła Buda, by zastanowił się, jakie ministerstwo chce objąć, kiedy ona już wygra wybory.

„Spędziłem sporo czasu, zastanawiając się, czy chcę kierować resortem zdrowia, edukacji czy polityki społecznej” – wspominał Bud<sup>643</sup>. Pomyślał wtedy: „Gdyby w mojej rodzinie nie dzielono skóry na niedźwiedziu, pewnie w ogóle nie mielibyśmy czego dzielić”. Wtedy prawdopodobnie uznałby to za absurd, ale wkrótce Bud miał sprawować całkiem realną polityczną władzę.

Musiał uciec ze Stanów Zjednoczonych i od pragnienia używania heroiny. Nie wiedząc więc, co innego mógłby zrobić, przeszedł przez granicę kanadyjską i dotarł do Downtown Eastside – miejsca, które miał odmienić.

Przy akompaniamencie syren słuchał opowieści Margaret o małym chłopcu – który widział, jak z przedawkowania umiera jego matka, a ojciec

się wiesz – gdy pomyślał nagle: „Przecież nie musi to tak wyglądać”.

Przez lata słyszał, jak zwolennicy wojny z narkotykami wskazują na przypadki przedawkowania i mówią: „Widzicie? Właśnie dlatego musimy z tym skończyć. Dlatego musimy prowadzić naszą wojnę”. Bud wiedział jednak, że wojna narkotykowa nie zapobiega takim sytuacjom, lecz jeszcze zwiększa ich liczbę. Ethan Nadelmann, jeden z wiodących reformatorów polityki narkotykowej w Stanach Zjednoczonych, tłumaczył: „Ludzie przedawkują, bo [w warunkach prohibicji] nie wiedzą, czy to heroina jednoprocetowa czy stuprocetowa. [...] Wyobraźcie sobie tylko, że za każdym razem, gdy sięgacie po butelkę wina, nie wiecie, czy zawiera osiem procent alkoholu czy też osiemdziesiąt, [albo] jeśli zażywacie aspirynę, nie wiecie, czy tabletkę zawiera pięć czy pięćset miligramów leku”<sup>644</sup>.

Co jeszcze ważniejsze, w warunkach prohibicji ludzie zażywają narkotyki potajemnie, by nie nakryła ich policja. Bud i jego znajomi ukrywali się w śmietnikach w Downtown Eastside, by tam wstrzykiwać sobie narkotyk – ale to oznaczało, że jeśli przedawkują, nikt tego nie zobaczy, więc umrą. Bud poszperał trochę w miejscowej bibliotece i wyczytał, że w niektórych krajach europejskich, gdzie pozwala się narkomanom zażywać narkotyki w specjalnych pokojach pod opieką pielęgniarek, nikt już nie umiera z przedawkowania<sup>645</sup>.

Lecz co mógł zrobić Bud? Kto by go posłuchał? Zwołał zebranie w sali udostępnionej przez miejscowy kościół i ogłosił, że mieszkańcy Downtown Eastside będą musieli walczyć o zmianę. Nikt z zewnątrz nie zamierzał ich ratować. Musieli ratować się sami.

Na pierwsze spotkanie przywlekło się osiem, może dziesięć osób, sami narkomani z ulicy, tacy jak on. „Przyszli tam, żeby sprawdzić, czy jak wszyscy inni chcemy ich jakoś wykiwać. Oszukać i wykorzystać – wspominał Bud. – Stworzyć z nich jakąś grupę, a potem wyciągnąć od nich pieniądze”.

Pierwsze posunięcia Buda były bardzo praktyczne. Zaproponował, by narkomani stworzyli patrole, które będą chodzić po ulicach i wypatrywać ludzi, którzy przedawkowali, a w razie potrzeby natychmiast wzywać pomoc. Poprosił miejscowych strażaków, by przyszli na spotkanie i pokazali narkomanom, jak przeprowadzać resuscytację i utrzymać ofiarę przedawkowania przy życiu do czasu przyjazdu karetki.

To były konkretne, namacalne działania. Wszyscy widzieli, co to oznacza i co zmienia. Narkomani zaczęli się organizować w grupy i obserwować

siebie nawzajem. W ciągu kolejnych tygodni i miesięcy ludzie, których dawniej znaleziono by martwych dopiero nad ranem, przeżyli dzięki szybkiej interwencji. Dlatego na kilku kolejnych spotkaniach narkomani zaczęli zgłaszać własne propozycje dotyczące ich bezpieczeństwa. Jak zorganizować salę do bezpiecznego wstrzykiwania narkotyków? Jak chronić uzależnione prostytutki? Wkrótce na spotkania przychodziło ponad sto osób i musieli poszukać większej sali.

Grupa postanowiła przychodzić na spotkania w ośrodkach kultury i w ratuszu, gdzie rozmawiano o potrzebie rozprawienia się z „ćpunami”. Słuchali ludzi mówiących, że należy ich wyeliminować albo przegnać, po czym wstawali i tłumaczyli uprzejmie: „To my. To właśnie my jesteśmy ludźmi, o których rozmawiacie. Jak możemy rozwiązać wasze obawy? Jak możemy być dobrymi obywatelami?”. Na twarzach przykładowych obywateli pojawiał się wyraz zdumienia i odrazy. Nigdy dotąd nie rozmawiali z ludźmi, których tak ostro potępiali. Zwracali się więc przeciwko narkomanom i zasypywali ich swoimi lękami i pogardą. „Zaśmiecacie place zabaw naszych dzieci używanymi strzykawkami, chcecie je skrzywdzić” – mówili. Bud wyjaśnił, że bardzo chętnie rozwiążą ten problem: zorganizował regularne patrole narkomanów, które zajmowały się zbieraniem strzykawek i igieł.

Ludzie byli zdezorientowani. Czy oni próbują namieszać nam w głowach? Czy to jakaś sztuczka?

Narkomani zaczęli się domagać, by wpuszczano ich na wszystkie spotkania, na których omawia się ich problemy. Przejęli hasło od ruchu pacjentów psychiatrycznych, którzy walczyli o ludzkie traktowanie: „Nic o nas bez nas”. Ich przekaz był prosty: „Jesteśmy tutaj. Jesteśmy ludźmi. Żyjemy. Nie mówcie o nas tak, jakbyśmy byli niczym”. Powoli, krok po kroku, znajdowali nowy język opisujący ich samych, narkomanów. Mamy pewne niezbywalne prawa – mamy prawo żyć, mamy prawo być zdrowi, mamy prawo być traktowani jak ludzie. Wy odbieracie nam te prawa. Zdobędziemy je z powrotem.

Burmistrzem Vancouver był prawicowiec Philip Owen – bogaty biznesmen o radykalnych poglądach. Wiedział, jak rozwiązać ten problem: zebrać wszystkich narkomanów i zamknąć ich w bazie wojskowej w Chilliwack<sup>646</sup>. Odrzucał prośby o sale do bezpiecznego wstrzykiwania, nie przyjmował do wiadomości dowodów na to, że we Frankfurcie takie sale w ogromnym stopniu zredukowały liczbę śmierci z przedawkowania

i zachorowań na AIDS. „Jestem zdecydowanie i nieodwołalnie przeciw”<sup>647</sup> – mówił. Jego zdaniem najlepiej byłoby wprowadzić karę dwudziestu pięciu lat lub dożywocia, bez możliwości warunkowego zwolnienia, za sprzedawanie narkotyków: „Prosta sprawa. Zamykasz ich i wyrzucasz klucz”.

Takie podejście dominowało w całym Vancouver. Jeden z wysokich rangą funkcjonariuszy policji w Vancouver nazywał narkomanów „wampirami” i „wilkołakami”<sup>648</sup>. Kiedy ofiarami seryjnego zabójcy były przede wszystkim uzależnione prostytutki z Downtown Eastside, policja przez lata nie robiła nic w tej sprawie, pozwalając mu kontynuować zabójcze dzieło. Jak powiedziała pewna policjantka w trakcie śledztwa dotyczącego zaniedbań, jej koledzy po fachu mówili o narkomanach, że „gdyby się palili, nawet by na nich nie nasikali”<sup>649</sup>. Bud występował w programach radiowych, a słuchacze mówili mu: „Dobry ćpun to martwy ćpun”. Jeden z nich zapytał: „Dlaczego po prostu nie ogrodzą Downtown Eastside drutem kolczastym i nie pozwolą im zaćpać się na śmierć?”<sup>650</sup>.

W tym samym czasie w Vancouver Aquarium padła orka o imieniu Finna, a w całym mieście zapanowała żałobna histeria podobna do tej, jaka wybuchła po śmierci księżnej Diany<sup>651</sup>. Dla odmiany – śmierć ponad tysiąca narkomanów nie wywołała żadnej reakcji.

Bud uważał, że trzeba jakiegoś dramatycznego gestu, by mieszkańcy Vancouver zaczęli inaczej postrzegać jego dzielnicę<sup>652</sup>. Dlatego grupa, którą założył z przyjaciółmi – obecnie nosi ona nazwę VANDU, Vancouver Area Network of Drug Users [Sieć Użytkowników Narkotyków z Obszaru Vancouver] – wybrała się do Oppenheimer Park, jednego z największych obszarów zielonych w mieście, by tam, wraz z pracownikami Portland Hotel Society, wbić w ziemię tysiąc zwykłych, drewnianych krzyży. Każdy z nich symbolizował narkomana, który zmarł w Downtown Eastside w ciągu ostatnich czterech lat<sup>653</sup>. Ich nazwiska wypisano na drewnie czarnym markerem<sup>654</sup>. Las krzyży ciągnący się na wypielegnowanych trawnikach Oppenheimer Park przypominał cmentarz z I wojny światowej – ogromna połać straconej miłości. Bud i jego przyjaciele ogrodzili okoliczne ulice drutem i wywiesili na nim transparent głoszący, że ta okolica to „pola śmierci”<sup>655</sup>. Rozdawali ulotki<sup>656</sup> z informacją, że przedawkowanie to najczęstsza przyczyna śmierci mieszkańców Kolumbii Brytyjskiej w wieku od trzydziestu do czterdziestu dziewięciu lat (w tamtym czasie).

Ruch na ulicach zamarł, kierowcy i przechodnie zatrzymywali się, jakby te śmierci miały jednak znaczenie, jakby odejście tysiąca uzależnionych zasługiwało na chwilę refleksji. Gandhi powiedział, że jednym z kluczowych zadań każdego, kto chce coś zmienić w świecie, jest uczynić ucisk widzialnym – nadać mu fizyczny kształt.

Bud napisał wiersz zatytułowany *tysiąc krzyży w oppenheimer park*<sup>657</sup>. Pisał w nim:

Każdy z tysiąca tych krzyży pyta każdego z nas  
dlaczego ciągle żyjemy?

Aktywiści wierzyli, że jeśli ludzie się dowiedzą, jeśli dostrzegą w narkomanach ludzkie istoty, zaczną się tym przejmować. Ann Livingstone, dziewczyna Buda z tamtego okresu, mówiła mi, że kierowali się przekonaniem, że „Kanadyjczycy to przyzwoici ludzie, którzy nie wiedzą, co się [z narkomanami] dzieje, a powinni się dowiedzieć”.

Od 1914 roku narkomani byli prześladowani w związku z prohibicją i do tej pory żaden z nich nie próbował z tym walczyć. Wydawało im się to niemożliwe. Bud nie tylko wzniecał rebelię – tworzył też język, za pomocą którego uzależnieni mogli się buntować. Doszło do tego właśnie w Vancouver, a nie w jakimkolwiek innym miejscu, z konkretnego powodu – w większości innych miast świata każdy narkoman, który publicznie przyznałby się do swojego uzależnienia i próbował walczyć o swoje prawa, zostałby prawdopodobnie zwolniony z pracy, pozbawiony świadczeń socjalnych i wyrzucony z domu. Lecz Portland Hotel Society – gdzie pracowali Gabor Maté i Liz Evans – przyjmowało do siebie wszystkich narkomanów z Vancouver i nie zamierzało ich wyrzucać.

Członkowie VANDU zbili trumnę i zaczęli ją nosić na wszystkie spotkania w ratuszu, na których omawiano sprawy narkomanów. Na trumnie znajdował się wielki napis: „Kto będzie następną ofiarą przedawkowania?”<sup>658</sup>. Dopilnowali, by zobaczył ją burmistrz Philip Owen i żeby zrozumiał, jakie są skutki jego polityki. Nosili też transparent z hasłem nawiązującym do samego początku wojny narkotykowej: „Narkomani też są ludźmi!”<sup>659</sup>.

Odkąd złamano Henry’ego Smitha Williamsa, każdy, kto próbował sprzeciwić się wojnie narkotykowej, przystępował do debat z pozycji obronnej. Od razu na wszelki wypadek zapewniał, że absolutnie nie popiera zażywania narkotyków, że nie jest wcale złym człowiekiem, i że oczywiście



nie jest taki, jak te brudne ćpuny. VANDU było inne. Po raz pierwszy zaatakowali prohibicjonistów, zmuszając ich do obrony. Mówili: „Wy prowadzicie wojnę. Tu są ludzie, których zabijacie. Za co umierają? Powiedzcie nam”.

Przez wiele miesięcy władze Vancouver przyglądały się temu ruchowi ze zdumieniem i odrazą. Po jakimś czasie miejscowa komisja zdrowia doszła do wniosku, że być może zdoła zdławić tę siłę i zapobiec kolejnym krępującym ekscesom, jeśli pozwoli Budowi zasiąść w komisji kontrolującej Vancouver<sup>660</sup> – potężnej instytucji, która rozporządza pieniędzmi przeznaczanymi na służbę zdrowia w całym mieście i ma do dyspozycji więcej źródeł niż ratusz. Podczas jednego ze spotkań, w którym uczestniczył Bud, wysoki rangą przedstawiciel władz prowincji wyjaśnił spokojnie, że liczba zachorowań na AIDS – najważniejszej obok przedawkowania przyczyny śmierci wśród przyjaciół i znajomych Buda – osiągnie w końcu w Downtown Eastside poziom nasycenia, a potem sama spadnie, bo narkomani po prostu wymrą.

Bud, zajęty sporządzaniem notatek, dopiero po chwili uświadomił sobie, co to właściwie oznacza. Władze stwierdzały nonszalancko, że on i wszyscy jego przyjaciele umrą, a wtedy problem sam się rozwiąże.

Po wielu staraniach, dyskusjach i podchodach Bud zdołał namówić komisję, by przeznaczyła niewielkie finansowanie na VANDU, czemu sprzeciwiał się oczywiście burmistrz Owen. Członkowie grupy głosowali, na co przeznaczyć te pieniądze. Pierwszy cel był oczywisty – stworzenie bezpiecznego, monitorowanego miejsca, w którym ludzie mogliby wstrzykiwać sobie narkotyki. To oznaczałoby, że będą żyć, a nie umierać.

Mieszkańcy Vancouver zaczęli patrzeć na narkomanów z innej perspektywy. Ci ludzie, którzy jeszcze niedawno leżeli i umierali w samotności, teraz działali razem. Wydawało się, że mają więcej godności niż ci, którzy wrzeszczeli do nich, że powinni odejść i się zabić. Wielu ludzi myślało tak samo jak ojciec Bruce’a Alexandra i Batman – narkomanom nie zależało na życiu ani na niczym innym prócz następnej działki. Lecz okazało się, że potrafią się zorganizować i bronić nawzajem.

Również narkomani zaczęli inaczej patrzeć na samych siebie. Bud mówił: „Ludzie pracowali [w VANDU] sześćdziesiąt godzin tygodniowo. Widziałem, jak zmieniają się twarze ludzi, którzy zaczęli myśleć: »Jestem coś wart, mam jakąś wartość, mogę komuś pomóc. Nie jestem już tym, kim nazywają mnie w gazetach«”. Bud odkrył też pewien efekt

uboczny: „Jeśli wychodzimy protestować, jeśli organizujemy spotkania i zastanawiamy się, co robić dalej, jak radzi sobie X, jak pomóc Y, bo znów go aresztowali – wszystko to sprawia, że nie myślisz stale: »Muszę zdobyć dawkę, muszę zdobyć dawkę, muszę zdobyć dawkę«”.

Odkąd skończył pięć lat, Bud pragnął umrzeć. Lecz teraz, atakowany przez ludzi krzyczących, że tacy jak on nie powinni żyć, powoli odkrywał w sobie coś nieznanego – wolę życia. Po raz pierwszy czuł się tak, jakby miał dom, społeczność i ludzi, za których warto walczyć.

Historię Buda można traktować jako dowód na teorię Gabora, że trauma z dzieciństwa wywołuje uzależnienia, ale i jako dowód na hipotezy Bruce’a. W Toledo, gdy przestał zażywać heroinę i pić alkohol, Bud nadal tkwił w oddzielnej klatce i nieustannie miał myśli samobójcze. Teraz jego życie przypominało Park Szczurów, gdzie miał przyjaciół i wszystko, co nadaje życiu znaczenie – i przekonywał się, że nie odczuwa już silnego pragnienia, by sięgać po narkotyki.

„Właśnie tego chciałem: by obudziła się moja dusza. Nie chciałem po prostu rzucić narkotyków i czuć się jak gówno, czuć się jeszcze gorzej” – mówił Bud. Chciał żyć pełnią życia, być człowiekiem, który zmienia świat, a teraz jego marzenie się spełniało.

Mimo to, choć najaktywniejsi członkowie VANDU radzili sobie coraz lepiej, wokół wciąż umierali ludzie. „Mieliśmy dwudziestu jeden członków zarządu – mówił jeden ze współzałożycieli, Dean Wilson. – Bo nigdy nie wiedzieliśmy, kto dożyje następnego spotkania”. Pewnego dnia, po wyjściu z zebrania komisji zdrowia, Bud obserwował, jak jakiś człowiek cierpliwie przegląda zawartość kontenera na śmieci, dostrzegł też puste opakowania po strzykawkach i różową bluzkę<sup>661</sup>. Dokoła wciąż nieustannie wyły syreny karetek.

W konfrontacji z siłami historycznymi, które wydają się nieporównanie silniejsze od ciebie – na przykład z wojną przeciwko twoim bliskim, która toczy się niemal od stu lat – masz dwa wyjścia. Możesz pogodzić się z losem i przystosować do roli pionka przestawianego po planszy przez możnych. Lecz możesz też zewrzeć szeregi wraz z innymi ludźmi i sam stać się siłą historyczną, która ostatecznie pokona gnębieli.

Bud wybrał tę drugą drogę. Przekonywał coraz więcej ludzi, by dołączyli do VANDU. Przesiadywał w bibliotece, próbując się dowiedzieć, jak brzmi w Kanadzie oficjalna definicja zagrożenia zdrowia publicznego, i odkrył, że Vancouver nigdy nie przyjęło takiej definicji. Zaczął namawiać komisję

zdrowia, by formalnie to zrobiła – pod jego naciskami członkowie komisji w końcu się zgodzili. Bud i jego towarzysze oficjalnie stali się grupą potrzebującą najpilniejszej pomocy. Nagle o VANDU usłyszał cały świat, Bud udzielał wywiadów dziennikarzom różnych rozgłośni i gazet, od BBC po „New York Timesa”. Napisał wiersz, w którym tłumaczył, że „wojna z narkotykami / to wojna przeciwko nadziei, współczuciu i trosce”<sup>662</sup>.

Teraz, gdy wiedzieli już, że narkomani biorą udział w spotkaniach i że pomoc dla tej grupy jest oficjalnie obowiązkiem miasta, urzędnicy zaczęli traktować ich inaczej. Trudno uznać czyjaś śmierć za nieważną, jeśli potencjalna ofiara patrzy ci prosto w oczy. Bud zdołał przekonać komisję zdrowia, by przyznała VANDU dodatkowe fundusze, dzięki czemu udało się stworzyć stały ośrodek dla narkomanów – mieścił się w starym budynku sklepu, w samym sercu Downtown Eastside. Postanowiono też sprowadzić za publiczne pieniądze ekspertów ze Szwajcarii i Holandii, którzy mieli wytłumaczyć, jak udało się w tych krajach radykalnie zmniejszyć śmiertelność wśród narkomanów, rezygnując z wojny narkotykowej. (Poleciałem później do Szwajcarii, by zobaczyć na własne oczy, jak to funkcjonuje).

Jednak burmistrz Vancouver Philip Owen wciąż starał się zablokować wszelkie zmiany. Ogłosił nawet moratorium na wszystkie nowe przedsięwzięcia służące pomocy narkomanom. Podczas zebrania rady miejskiej współzałożyciel VANDU Dean Wilson stanął z nim twarzą w twarz, spojrzął mu w oczy i powiedział: „To brzmi tak, jakby skazywał nas pan na śmierć. [...] Codziennie umiera jeden [narkoman], a gdyby to samo działo się wśród was – każdego ranka w ratuszu ubywałoby jednego człowieka – z pewnością problem zostałby rozwiązany w dwie minuty”<sup>663</sup>.

Owen patrzył na niego, błądliwy i poruszony, jakby nie mógł zrozumieć, co się tu właściwie dzieje. Kim są ci ludzie?

Bud otrzymał nagrodę City of Vancouver Book Award za zbiór swoich wierszy. Zwykle nagrodę wręcza burmistrz, ale tym razem Owen nie chciał tego zrobić. Bud zaczął wpadać w rozpacz. Walczył dzielnie, dawał z siebie wszystko, wydawało się jednak, że burmistrz jest przeszkodą nie do pokonania.

I wtedy wydarzyło się coś, czego nikt nie byłby w stanie przewidzieć. Zakłopotany niekończącymi się protestami, burmistrz Owen doszedł do wniosku, że powinien sprawdzić osobiście, kim są ci narkomani i jak można zamknąć im usta. Pochodzili z innego świata: on sam od trzydziestu

lat był biznesmenem i wywodził się z dobrze sytuowanej politycznej rodziny – jego dziadek był szefem policji, a ojciec wicegubernatorem. Nigdy nie znał osobiście żadnego narkomana, postanowił więc wybrać się do Downtown Eastside incognito i posłuchać, co mają do powiedzenia.

Człowiek, który twierdził, że należy wszystkich narkomanów zamknąć w bazie wojskowej – ów lokalny Anslinger – przeżył prawdziwy szok.

Kiedy w 2012 roku opisywał wspomnienia z tamtej wyprawy, wciąż wydawał się zdumiony tym, co wtedy odkrył. „Historie, które można tam usłyszeć, chwytają za serce” – tłumaczył mi wtedy. Przekonał się, że narkomani mieli bardzo trudne życie. Wspominając piętnastoletnią dziewczynkę, którą poznał na ulicy, kręcił z przerażeniem głową. Zrozumiał, że to nie są źli ludzie. Nie są zepsuci. Są po prostu załamani. Zorganizował więc „popołudniową herbatkę” dla „najbardziej uzależnionych” i przez kilka godzin słuchał opowieści o ich życiu. „Te historie były po prostu niewiarygodne” – powtarzał, ponownie kręcąc głową.

Kiedy już narkomani nie byli dla niego fantasmagorycznymi straszidłami, lecz ludźmi z krwi i kości, z których każdy ma własną historię, Owen zrozumiał, że musi zgłębić ten temat. Spotkał się z Miltonem Friedmanem, laureatem Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii, papieżem neoliberalnej prawicy i wiodącym krytykiem wojny z narkotykami. Friedman dorastał w Chicago w czasie prohibicji alkoholowej i doszedł do wniosku, że zakaz sprzedaży środków uzależniających wywołuje więcej problemów niż same te środki. Uważał, że wojna z narkotykami to być może największy w historii program rządowy, a zarazem karygodne marnotrawstwo pieniędzy. Owen, który zawsze był fiskalnym konserwatystą, przyjrzał się uważnie kosztom wojny z narkotykami i powiedział do swoich konserwatywnych przyjaciół: „Chcecie zbilansować budżet i uzdrowić finanse? Bądźcie realistami”.

Burmistrz Owen wiedział, że politycy zignorują fakty, z którymi się zapoznał, i nadal będą wspierać niekończącą się wojnę. Podsumował to krótko: „Robi mi się od tego niedobrze, mam dość tych bzdur”.

Postanowił, że jego publiczne wystąpienia, a także konferencje prasowe dotyczące narkotyków będą wyglądać inaczej niż dotychczas. Od tej pory zawsze towarzyszyli mu szef policji, który odpowiadał na pytania dotyczące przestępstw, lekarze, którzy zajmowali się kwestiami zdrowia, oraz narkoman z VANDU, który objaśniał zagadnienia związane

z zażywaniem narkotyków i uzależnieniem. Burmistrz przyznawał, że nic o tym nie wie, uznał więc za stosowne zaprosić przedstawiciela narkomanów, którzy siłą rzeczy najlepiej znają ten temat. Przemawiając w towarzystwie uzależnionych, zobowiązał się do utworzenia pierwszej w Ameryce Północnej sali do bezpiecznego wstrzykiwania narkotyków, by w ten sposób chronić życie swych nowych przyjaciół z VANDU. Zapowiadał jednocześnie, że to tylko pierwsze z posunięć, które miały służyć ochronie uzależnionych.

„Zastanówcie się nad tym – apelował do innych polityków. – Pomyślcie o kraju. Zostawcie politykę za drzwiami”.

Im więcej burmistrz widział, im więcej się dowiadywał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że polityka prohibicjonistów nie ma sensu. „Zacznijmy od legalizacji marihuany, opodatkujmy ją i oddajmy pod kontrolę rządu federalnego. To żadna filozofia, lecz proste i skuteczne rozwiązanie – mówił mi Owen. – Zacznijmy od marihuany. Nie chodzi tu o kokainę czy heroinę, [choć] mam nadzieję, że i do tego dojdziemy. Zanim nauczysz się chodzić, musisz raczkować. [...] Potem przejdziemy do następnych [narkotyków] i powoli będziemy realizować ten proces. [...] Dowody i fakty są oczywiste, mamy je pod ręką”.

Inni politycy twierdzili, że burmistrz oszalał – nie tyle ze względu na istotę tych działań, co ich konsekwencje dla jego kariery politycznej. „Ludzie mówili: »Przegrasz, jeśli będziesz się zadawał z bandą wyrzutków«” – opowiadał Owen. W efekcie dwa razy z rzędu wygrał wybory na burmistrza, i to przytłaczającą większością głosów.

Kiedy spotkaliśmy się w kawiarni w Downtown Eastside, ludzie podchodzili do nas, by podziękować mu za to, co zrobił.

Lecz dla jego konserwatywnej partii tego już było za wiele. W następnych wyborach wystawili innego kandydata na burmistrza – takiego, który popierał prohibicję. Ten przegrał z kretesem, a następca Owena na stanowisku burmistrza Larry W. Campbell zdecydowanie popierał działalność ośrodka umożliwiającego bezpieczne wstrzykiwanie narkotyków, który nosił teraz nazwę Insite. Idąc tam, przechodzę obok Oppenheimer Park, gdzie niegdyś wyrósł las krzyży, a dotarwszy na miejsce, stwierdzam, że wewnątrz ośrodek przypomina salon fryzjerski. Kiedy wchodzi się do środka, personel prowadzi przez hol, pokazuje odpowiednią kabinę i daje czyste strzykawki. W trakcie robienia zastrzyku w pobliżu dyskretnie czuwa pielęgniarka. Kabiny są małe i czyste, oświetlone od góry.

Po zastrzyku można się przebadać, poddać leczeniu lub po prostu porozmawiać z psychologiem – o nałogu i o życiu. Jeśli ktoś gotów jest zerwać z nałogiem, może skorzystać ze specjalnego pomieszczenia na piętrze, w którym czeka ciepłe łóżko.

Dzięki buntowi VANDU i konserwatywnemu burmistrzowi, który zapoznał się z faktami, otworzył serce i zmienił zdanie, Vancouver realizuje teraz najnowocześniejszą politykę narkotykową na całym kontynencie północnoamerykańskim.

Wielu ludzi miało jednak całkiem uzasadnione obawy związane z tym eksperymentem. Czy taka polityka nie spowoduje wzrostu liczby uzależnionych – a tym samym doprowadzi do większej, a nie mniejszej umieralności? Taki argument wydawał się zgodny ze zdrowym rozsądkiem. Właściciel miejscowej firmy Price Vassage wyrażał opinię wielu ludzi, ostrzegając w tamtym czasie: „Mówią, że bezpieczne sale do wstrzykiwania narkotyków będą ratować ludziom życie, bo to zastrzyki powodują te wszystkie śmierci. Bzdura. Ludzie umierają z przedawkowania, bo zażywają narkotyki. Jeśli będziecie ich zachęcać, żeby robili to dalej, będziecie mieli więcej przypadków przedawkowania”<sup>664</sup>.

W 2012 roku przeanalizowano skutki zmian w polityce narkotykowej, do których doszło w ciągu ostatniej dekady.

Z danych opublikowanych przez miejską służbę zdrowia wynikało, że przeciętna długość życia wśród mieszkańców Downtown Eastside wzrosła o dziesięć lat<sup>665</sup>. Nagłówek zamieszczony w miejscowej gazecie podsumował to krótko: „Wzrost średniej długości życia zdumiewa”<sup>666</sup>. Dziennik „The Province” tłumaczył: „Przedstawiciel służby zdrowia doktor John Carsley powiedział, że rzadko zdarza się podobny skok w średniej długości życia jakiejkolwiek społeczności”. Wzrost ten wynikał po części z faktu, że dzielnica nie jest już postrzegana jako strefa zagrożenia, więc zaczęli się tam wprowadzać bogatsi, zdrowsi ludzie. Powołując się na dane z biura koronera Kolumbii Brytyjskiej, gazeta „The Globe and Mail” donosiła, że śmiertelność z przyczyn związanych z narkotykami spadła w tym okresie o osiemdziesiąt procent<sup>667</sup>. Tak ogromne zmiany notuje się zwykle tylko w okresie po zakończeniu wojny – co właściwie miało miejsce i w tym przypadku. Philip Owen, ubrany jak zawsze w drogi i elegancki garnitur, uśmiechnął się do mnie i powiedział, że jest dumny, że poświęcił swą polityczną karierę w tej sprawie.

W 2012 roku kanadyjski Sąd Najwyższy orzekł, że narkomani mają prawo do życia i że sale do bezpiecznego wstrzykiwania narkotyków są nieodłączną częścią tego prawa, w związku z czym nie można ich legalnie zamknąć. Dziś już nie trzeba stawiać krzyży w Oppenheimer Park. Pola śmierci opustoszały. Dokonali tego sami narkomani.

Bud chorował przez cały rok 2013. Odczuwał dokuczliwe bóle w plecach – co, jak mu się wydawało, było konsekwencją wielu lat spędzonych na ulicy – aż wreszcie w maju 2014 roku trafił do szpitala, gdzie zdiagnozowano u niego zapalenie płuc. Wyszedł dość szybko. Następnego dnia znaleziono go martwego w jego mieszkaniu<sup>668</sup>. Miał sześćdziesiąt sześć lat.

Na czas jego pogrzebu zamknięto i ogrodzono ulice Downtown Eastside, podobnie jak wtedy, gdy w Oppenheimer Park stało tysiąc krzyży<sup>669</sup>. Wszyscy, którym bliskie było jego dzieło, od bezdomnych narkomanów po posła do parlamentu, czytali głośno jego wiersze, a członkowie VANDU przemaszzerowali ulicami w paradzie. Wielu z obecnych na pogrzebie wiedziało, że żyją dzięki buntowi, który Bud wzniecił przed wielu laty.

Bud żył na tyle długo, by doświadczyć czegoś, o czym marzył, że stanie się jego udziałem. Kiedyś, gdy był na samym dnie, przy życiu podtrzymywała go poezja Rimbauda. Obiecał sobie wtedy, jak kiedyś mi powiedział, „napisać choćby jeden wiersz dla innego człowieka, [...] by w pełni połączyć się z jego bólem i cierpieniem – tak samo, jak tamci poeci połączyli się ze mną”.

Kilka lat przed śmiercią Bud miał serię odczytów w szkołach Kolumbii Brytyjskiej, gdzie prezentował swoje wiersze. Trafił wtedy do położonego daleko na północy miasteczka Smithers, gdzie odczytał wiersz zatytułowany *When I Was Fifteen* [Gdy miałem piętnaście lat], mówiący o tym, jak próbował się kiedyś zabić. Nie odnosił się do tego zdarzenia z perspektywy czasu, nie epatował mądrością, jaką daje starszy wiek – próbował tylko wiernie opisać, jak się czuł tamtego dnia. Nie wiedział, że wśród słuchaczy jest dziewczyna, która kilka dni wcześniej przedawkowała, a gdy ją odratowano, rodzice powiedzieli jej, że nie może być nieszczęśliwa, bo dali jej wszystko. Nauczyciel zaproponował, by przysłała na spotkanie z Budem i zajęła czymś myśli.

Pod koniec spotkania dziewczyna podeszła do Buda. Domagała się, by nauczyciel otworzył salę i skopiował dla niej wiersz: powiedziała, że bez



niego się stamtąd nie ruszy.

Wychodząc, tuliła do siebie kartkę, rozpromieniona.

A Bud pomyślał: Żyłem wystarczająco długo, by dotrzymać obietnicy.  
Napisałem mój wiersz.

### Podcięte skrzydła i nowa nadzieja

Przyjeżdżając do Vancouver, miałem za sobą półtora roku spotkań z ofiarami wojny narkotykowej, wypełniały mnie coraz większe gniew i przygnębienie. To miasto w końcu dało mi odrobinę nadziei. Dowiedziałem się od Buda, że można radykalnie polepszyć sytuację, jeśli ludzie się zorganizują i zaczną domagać swoich praw. Chciałem zobaczyć więcej podobnych eksperymentów i innowacji, by przekonać się, czy był to jedynie wybryk natury, czy też próbka tego, jak mógłby wyglądać świat. Jednak gdy zacząłem wypytywać o takie inicjatywy, okazało się, że w Ameryce – zarówno Północnej, jak i Południowej – próżno ich szukać. Kilka zakładów karnych w Stanach Zjednoczonych prowadzi nieco łagodniejsze programy leczenia uzależnień. W kilku stanach osobom najbardziej uzależnionym podawano słabsze substytuty narkotyków. I to wszystko.

Wiedziałem jednak, że dwa kraje europejskie, których jestem obywatelem – Wielka Brytania i Szwajcaria – eksperymentowały ze znacznie dalej idącymi rozwiązaniami. Zrozumiałem, że czas wracać do domu<sup>670</sup>.

Przypomniałem sobie – zdaje się, że dzięki lekturze książki Mike'a Graya *Drug Crazy*, która trafiła w moje ręce przed laty – że na początku lat dziewięćdziesiątych na północy Anglii przeprowadzono eksperyment związany z przepisywaniem heroiny na receptę, ale wiedziałem o nim bardzo mało. Odszukałem człowieka, który stał za tym przedsięwzięciem. Okazało się, że wyemigrował do Nowej Zelandii. Przeprowadziłem z nim wywiad przez telefon, a potem pojechałem do Liverpoolu, by odszukać świadków tamtych zdarzeń<sup>671</sup>. Opowieść, którą od nich usłyszałem, miała zadziwiająco dużo wspólnego z samymi początkami wojny narkotykowej.

Czterdzieści cztery lata po tym, jak w Kalifornii zamknięto ostatnie kliniki dla heroinistów, osiem tysięcy kilometrów dalej niejaki John Marks wszedł do szarego gabinetu lekarskiego położonego na półwyspie Wirral, na dżdżystej północy Anglii, gdzie niegdyś budowano statki, a teraz nie

budowano niczego. Tego dnia John rozpoczynał tu praktykę psychiatryczną. Był wielkim, brodatym Walijszczykiem, owianym dymem nieodłącznej fajki. Wody płynącej nieopodal rzeki Mersey były niemal równie mroczne, jak jego myśli. Podobnie jak Henry Smith Williams, John był synem lekarza i uważał, że ma lepsze rzeczy do roboty niż zajmowanie się miejscowymi narkomanami.

John przyjechał tutaj, by poznać tajemnicę i mechanizm schizofrenii, ale ponieważ był nowy, przydzielono mu najbardziej niewdzięczne zadanie. Koledzy po fachu mówili mu: „Możesz dostać wszystkich nałogowców, John – wszystkich alkoholików i narkomanów”.

John wiedział, że znajdzie tu ich całe mnóstwo, gdyż w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku Merseyside było miejscem jednej z najzaciętszych wojen klasowych w historii Wielkiej Brytanii. Konserwatywny rząd Margaret Thatcher postanowił pozbyć się położonych na północy Anglii przedsiębiorstw państwowych, ponieważ uważano, że pochłaniają jedynie kolejne subsydia, nie przynosząc żadnych zysków. W prywatnych rozmowach ministrowie Żelaznej Damy proponowali jej, by całkiem porzuciła Liverpool, twierdząc, że ożywienie tamtejszej gospodarki byłoby równie skuteczne, jak „starania, by rzeka płynęła pod górę”<sup>672</sup>. Mieszkańcy Merseyside w bezsilnej rozpacz obserwowali, jak upadają ich zakłady, jak niszczyją ich domy, a ulice miast wypełniają się ogniem podkładanym przez demonstrantów. W ślad za płomieniami nadeszła fala heroiny. John wiedział, że poczucie beznadziei, które ogarnęło cały region, wpędzi w nałóg jeszcze wielu pozbawionych perspektyw ludzi, co mógł skwitować jedynie ciężkim westchnieniem.

W każdy czwartek do kliniki przychodził tłum narkomanów, którym John wypisywał recepty. Każdy z nich siadał po drugiej stronie biurka. Odpowiadał na kilka pytań. Potem dostawał tyle heroiny, ile potrzebował do następnego czwartku. Na tym wizyta się kończyła. Początkowo John był zdeprimowany – uważał, że to dziwaczny pomysł. Darmowa heroina dla narkomanów? Nieświadomie wykorzystywał ostatnią lukę w globalnym systemie podaży narkotyków, której nie zdążył zlikwidować Harry Anslinger.

Nim wróciłem do domu, byłem przekonany, że brytyjska wojna z narkotykami przypominała większość naszej polityki zagranicznej – wołanie „Ja też!”, wykrzyczane z kiepskim amerykańskim akcentem.

Zamykamy w więzieniach mnóstwo ludzi, ale nieco mniej niż w Stanach Zjednoczonych<sup>673</sup>. Wspieramy wojnę z narkotykami za granicą, ale nie tak stanowczo jak Amerykanie. Okazuje się, że miałem trochę racji, ale też trochę jej nie miałem. W jednym znaczącym obszarze jesteśmy gorsi – za przestępstwa związane z narkotykami trafia u nas do więzień dziesięć razy więcej czarnoskórych niż białych<sup>674</sup>, co oznacza, że wyprzedzamy pod tym względem zarówno Stany Zjednoczone, jak i RPA z czasów apartheidu.

Dzieje się tak po części dlatego, że – podobnie jak w Stanach Zjednoczonych – nasza wojna narkotykowa zaczęła się od lęku przed obcą rasą. Jak opowiada w swej książce *Dope Girls* Marek Kohn, dwudziestego siódmego listopada 1918 roku młoda tancerka rewiowa Billie Carleton bawiła się z przyjaciółmi do piątej rano w swoim mieszkaniu za hotelem Savoy, wspomagając się przy tym kokainą, która leżała przed nią na stoliku<sup>675</sup>. Tego samego dnia znaleziono ją martwą. W prasie podniosła się wrzawa, atakowano złowrogie siły sprowadzające tego rodzaju substancje na Wyspy Brytyjskie – „odrażający tłum cudzoziemskich niedorostków”<sup>676</sup>, czyli falę chińskich imigrantów, oraz „czarnych »muzyków«” grających jazz (autorzy ujęli w cudzysłów słowo „muzycy” – nie „czarni”)<sup>677</sup>. Zakazano zażywania i sprzedaży narkotyków, by ratować kraj przed tymi obcymi rasowo truciznami. Po wprowadzeniu zakazu dziennik „News of the World” donosił z ulgą: „Czarne zło powstrzymane”<sup>678</sup> i dodawał, że „nie będzie już więcej ofiar z dusz białych kobiet”. Wszystkim tym działaniom przyklaskiwał ochoczo rząd Stanów Zjednoczonych, zachwycony faktem, że inne narody podzielają jego obawy.

Jednak przez długi czas zakaz nie obejmował jednego istotnego sektora. W czasie, gdy w Stanach Zjednoczonych blokowano lekarzom dostęp do legalnych dostaw heroiny i łamano kariery ludziom takim jak brat Henry’ego Smitha Williamsa, lekarze w Wielkiej Brytanii po prostu odmówili dostosowania się do zakazu. Twierdzili, że narkomani są chorzy i że postąpiliby niemoralnie, pozwalając im cierpieć lub umierać. Brytyjski rząd nie wiedział, jak sobie z tym poradzić, polecił więc, by niejaki sir Humphry Rolleston, baronet i prezes Royal College of Physicians [Królewskie Kolegium Lekarskie], zbadał sprawę i zdecydował, jaką politykę należy podjąć w tej kwestii<sup>679</sup>. Po długich badaniach i analizach Rolleston doszedł do wniosku, że lekarze mają rację. „Wydaje się, że z reguły wcześniej czy później dochodzi do pogorszenia, a trwałe

wyleczenie to wyjątek”<sup>680</sup> – pisał. Domagał się więc, by lekarze mieli wolną rękę i przepisywali heroinę – lub nie – według uznania<sup>681</sup>.

I tak przez dwa pokolenia w Wielkiej Brytanii – w odróżnieniu od reszty świata – kierowano się podejściem Henry’ego Smitha Williamsa. W rezultacie, podczas gdy w Stanach Zjednoczonych liczba heroinistów sięgała już kilkuset tysięcy, sytuacja w Wielkiej Brytanii wyglądała zupełnie inaczej. Tutaj liczba narkomanów nigdy nie przekroczyła tysiąca. Jak tłumaczy Mike Gray: „Populacja narkomanów w Anglii pozostawała mniej więcej niezmienna – w głównej mierze składała się ze starszych pań, lekarzy, ludzi cierpiących na chroniczne bóle, lekkoduchów – przy czym większość z nich prowadziła normalne życie”<sup>682</sup>. Brytyjscy lekarze twierdzili z uporem, że istnieje coś takiego jak „ustabilizowany narkoman” i że jeśli przepisuje się takim ludziom stałe dawki, jest to raczej norma niż wyjątek.

Kiedy w latach pięćdziesiątych Billie Holiday przyleciała do Londynu, była zdumiona. Wielka Brytania „podchodzi do tego w bardziej cywilizowany sposób i nie ma tam »problemu z narkotykami« – tłumaczyła. – Może któregoś dnia Ameryka również pójdzie po rozum do głowy”<sup>683</sup>.

Gdy publicznie pytano Anslingera o tę sytuację, po prostu zaprzeczał, jakoby brytyjski system w ogóle istniał. Na dowód podawał Hongkong, który był przecież „brytyjskim miastem”<sup>684</sup>. Jednak prywatnie robił wszystko, by położyć temu kres. W 1956 roku brytyjski minister zdrowia oznajmił w Izbie Gmin, że ze względu na amerykańskie naciski będzie musiał zamknąć wytwórnię heroiny. Brytyjscy lekarze byli oburzeni, tłumaczyli, że „państwowa służba zdrowia działa dla dobra chorych i cierpiących obywateli”. Nie zamierzali ustępować, a ponieważ Anslinger nie mógł ich złamać, jak zrobił to w swoim kraju, pozostano przy dotychczasowej polityce<sup>685</sup>.

Jednak w latach sześćdziesiątych system zatrzęsł się w posadach. Brytyjski rząd ogłosił, że nastąpił katastrofalny wzrost liczby heroinistów – z 927 do 2782<sup>686</sup>. Prawdopodobnie stały za tym dwie przyczyny. Swingujące lata sześćdziesiąte zmieniały podejście do zabawy na całym świecie, zachęcały do eksperymentowania z narkotykami. Ponadto okazało się, że niektórzy lekarze, szczególnie na londyńskim West Endzie, sprzedawali recepty ludziom, którzy chcieli się zabawić. Brytyjski rząd

wprowadził więc model zbliżony do amerykańskiego – choć nie do końca. Wciąż wolno było wypisywać recepty na heroinę, lecz teraz takie prawo przysługiwało jedynie psychiatrom.

Przyglądając się narkomanom, którzy wchodzili do jego kliniki, John pomyślał, że to całkiem rozsądne podejście. „Było tam może kilkudziesięciu facetów, czasem dziewczyna. Pracownicy fizyczni, flisacy, właściwie ludzie wszelkich zawodów”. Mówił im, że powinni rzucić narkotyki, a oni odpowiadali, że ich potrzebują<sup>687</sup>. Po kilku latach postanowił zamknąć program, by zająć się badaniami nad schizofrenią, depresją maniackalną i innymi schorzeniami. „Prawdę mówiąc, było to dla mnie utrapienie – mówił podczas naszej rozmowy. – Miałem ważniejsze sprawy na głowie”.

Jednak gdy przygotowywał się do nowego etapu pracy, rząd Margaret Thatcher – zainspirowany działaniami Ronalda Reagana, który po drugiej stronie Atlantyku zintensyfikował właśnie wojnę z narkotykami – wydał specjalną dyrektywę. W jej myśl każda część Wielkiej Brytanii musiała wykazać, że ma opracowaną strategię antynarkotykową oraz przeprowadzić analizę kosztów i korzyści, by wykazać, jakie działania sprawdzają się w praktyce. John przydzielił to zadanie doktorowi Russellowi Newcombowi. Był pewien, że Newcombe, dokonawszy odpowiedniej analizy, powie mu, że jego pacjenci są tacy sami, jak heroiniści w Stanach Zjednoczonych i na całym świecie, czyli – zgodnie z rozpowszechnionym stereotypem – bezrobotni i niezdolni do pracy, dziesiątkowani przez HIV i liczne przypadki przedawkowania<sup>688</sup>.

Tyle że wyniki badań okazały się całkiem inne. Newcombe odkrył, że żaden z tych narkomanów nie choruje na AIDS, mimo że Liverpool był miastem portowym, gdzie ta choroba powinna się szybko rozprzestrzeniać. Co więcej, żaden z nich nie miał problemów typowych dla narkomanów z innych krajów: nie zdarzało im się przedawkować, nie chorowali, nie dokuczały im ropnie. Większość z nich miała normalną pracę i prowadziła normalne życie.

Przeczytawszy ten raport, John ponownie przyjrzał się swoim pacjentom. Był wśród nich mężczyzna o imieniu Sydney. „Stary liverpoolski doker, udane małżeństwo, dwójka cudownych dzieci – wspominał John. – Zażywał heroinę od kilkudziesięciu lat”. Wyglądało na to, że prowadził

zwyczajne, szczęśliwe życie. Jak się okazało, to samo dotyczyło wszystkich ludzi z kliniki Johna.

Ale jak to możliwe? Czyż heroina nie wyniszcza organizmu? Czy nie prowadzi do powstawania ropni, do choroby i ostatecznie do śmierci? Wszyscy lekarze potwierdzają, że klinicznie czysta heroina, wstrzykiwana czystymi strzykawkami i igłami, nie powoduje takich problemów<sup>689</sup>. Tam, gdzie panuje prohibicja, przestępcy mieszają narkotyki z substancjami o podobnym wyglądzie, by sprzedać jak najwięcej towaru i jak najwięcej zarobić. Allan Parry, który pracował w miejscowym wydziale opieki zdrowotnej, zauważył, że pacjenci, którzy nie mieli recept, wstrzykiwali sobie heroinę „z pyłem ceglany, kawą, rozgniecionymi kryształkami wybielacza, czymkolwiek”. Jak tłumaczył wtedy dziennikarzom: „Teraz ludzie wstrzykują sobie do żył cement. Nie trzeba być lekarzem, by wiedzieć, że to szkodliwe”<sup>690</sup>.

Różnica między narkomanami z ulicy, którzy przychodzili do kliniki po raz pierwszy, a tymi, którzy stale pobierali tam recepty, była widoczna na pierwszy rzut oka. Uliczni nałogowcy zwykle mieli ropnie, które wyglądały jak gnijące pod skórą jajka na twardo. Ich ręce i nogi pokryte były otwartymi ranami, które przypominały, jak opisuje to Parry, „małe pizze, gąbczaste, pokryte ropą żółtą jak ser. Zamiast się goić, z czasem te rany robiły się coraz większe”. Wszystkiemu winne były zanieczyszczone narkotyki i brudne igły. Infekcje tego rodzaju „mogły przeżreć kość aż na drugą stronę kończyny, robiąc w ciele dziurę. Takie rany na obu nogach kogoś, kto ma osłabiony organizm, mogą je po prostu przeciąć. Zdarzało się, że trafiali do nas nałogowcy z połamanymi nogami. Często wyglądali jak ofiary wojny, inwalidzi z amputowanymi kończynami i skórą poznaczoną śladami oparzeń”.

Z kolei narkomani korzystający z recept wyglądałi tak samo, jak pielęgniarki z kliniki, recepcjonistki, czy sam John. Nic nie odróżniało ich od przeciętnych obywateli.

Harry Anslinger uważał, że zanieczyszczenia zawarte w narkotykach to coś dobrego, bo zniechęca ludzi do zażywania takich substancji. W 1942 roku chwalił się otwarciem: „Narkomani używają teraz heroiny, której skład został w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach zmieniony”<sup>691</sup>. Allan Parry widział skutki tych zmian w swojej klinice: „Takie gówniane narkotyki – kiedy próbuje się je wstrzyknąć – blokują żyły i wyniszczają organizm. Brudna heroina przy każdym zastrzyku uszkadza co najmniej



jedną żyłę. Jeśli uszkodzisz jedną żyłę, wkłuwasz się w następną i w końcu szukasz na całym ciele kolejnych żył, do których możesz się wbić”. W ten sposób narkoman systematycznie niszczy swój organizm.

W obliczu tych dowodów John Marks zaczął nabierać przekonania, że „[wiele] szkodliwych skutków zażywania narkotyków powodują przepisy prawa, a nie same narkotyki”. W klinice zaczęto nazywać infekcje, ropnie i amputacje „ranami z wojny narkotykowej”. „Powoli docierało do mnie, że ta klinika dokonuje cudów” – mówił. Działo się tak dzięki temu, że omijała przestępczość i zapewniała narkotyki w bezpieczniejszej formie. John zaczął się zastanawiać: skoro udostępnianie narkotyków jest tak skuteczne, dlaczego tego nie zintensyfikujemy? Skoro chroni ludzi przed HIV, przed wstrzykiwaniem sobie zanieczyszczonych substancji i przed śmiercią w rymsztoku, czy nie warto robić tego na większą skalę?

Postanowił przeprowadzić eksperyment. Rozszerzył swój program przepisywania heroiny z kilkudziesięciu osób na ponad czterysta i wraz z miejscowym aptekarzem wprowadził rzecz zupełnie nową – „heroinowe skręty”, czyli papierosy nasączone heroiną<sup>692</sup>. Przepisywał też kokainę, w tym kokainę do palenia, przeznaczoną dla niewielkiej grupy osób, które uzależniły się od ulicznego cracku<sup>693</sup>. Wiedział, że – podobnie jak alkohol – kokaina po pewnym czasie staje się szkodliwa dla zdrowia. Tłumaczył jednak: „Gdybyś był alkoholikiem w Chicago w latach trzydziestych i ukradł właśnie portfel swojej babci, by kupić za niebotyczną cenę trochę skażonego spirytusu u pana Capone, z czystym sumieniem przepisałbym ci kieliszek najlepszej szkockiej whisky”<sup>694</sup>.

Jako pierwsi skutki tej polityki dostrzegli miejscowi policjanci. Inspektor Michael Lofts obserwował stu czterdziestu dwóch heroinistów i kokainistów z okolicy i obliczył, że w ciągu osiemnastu miesięcy poprzedzających działania doktora Marksa każdy z nich otrzymał średnio 6,88 wyroków, głównie za kradzieże i rozboje<sup>695</sup>. W ciągu kolejnych osiemnastu miesięcy wartość ta spadła do 0,44 wyroków. Innymi słowy, zanotowano dziewięćdziesięcioprocentowy spadek liczby kradzieży i napadów<sup>696</sup>. „Zmieniali się dosłownie na naszych oczach – mówił dziennikarzom zdumiony Lofts. – Żyli w okropnych warunkach, codziennie kradli, by mieć za co kupić nielegalne narkotyki. Potem większość z nich zmieniła się w sympatycznych, rozsądnych i praworządnych ludzi”<sup>697</sup>. To samo wiele lat wcześniej mówił Henry Smith Williams.

Pewnego dnia do kliniki Johna przyszła Julia Scott, młoda matka, która przyznała, że została prostytutką, by zdobyć pieniądze na narkotyki. Poznając tego rodzaju pacjentów, John odczuwał przede wszystkim gniew. „Byłem wściekły, że śmiertelność w grupie młodych, sprawnych osób [...] wynosi tyle samo, ile wśród ofiar ospy – od dziesięciu do dwudziestu procent. Nie mam czułego serduszka, nie uważam, by narkotyki niosły ze sobą coś dobrego. Staram się uświadomić moim pacjentom, że to, co robią, jest nudne, nudne i jeszcze raz nudne”<sup>698</sup>.

John wolał, by Julia była znudzona, a nie przerażona i zagrożona, więc wypisał jej receptę. „Od razu przestałam – powiedziała później Edowi Bradleyowi z programu CBS *60 Minutes*, gdy ten kręcił reportaż o eksperymencie w Liverpoolu. – Kiedyś wybrałam się z ciekawości w tamto miejsce i było mi po prostu fizycznie niedobrze, gdy widziałam, jak te dziewczyny robią to, co i ja kiedyś robiłam”<sup>699</sup>.

Obecnie Julia pracuje jako kelnerka i wreszcie może być prawdziwą matką dla swojej córki.

– Jak myślisz, gdzie byłabyś teraz, gdybyś nie dostawała tych recept? – Bradley zapytał Julię, która kołysała córkę na huśtawce.

– Pewnie już dawno bym umarła. Potrzebuję heroiny, by żyć<sup>700</sup> – odpowiedziała.

Zmiany, które zaszły po tym, jak John Marks rozszerzył program wypisywania recept, nie ograniczały się tylko do jego pacjentów. Okoliczne gangi narkotykowe traciły na sile i znaczeniu. John nieco przesadził, mówiąc, że uliczny handel narkotykami został całkiem wyeliminowany<sup>701</sup> – pisarz Will Self, który postanowił zbadać sytuację na miejscu, dowiedział się, że można tam jeszcze znaleźć dealerów. Jednak policja twierdziła, że było ich znacznie mniej niż kiedyś. Inspektor Lofts tłumaczył wtedy: „Odkąd otworzono klinikę, uliczni sprzedawcy heroiny powoli, lecz systematycznie opuszczali ulice Warrington i Widnes”<sup>702</sup>. Wyglądało to tak, jakby czas cofał się do epoki sprzed wojny narkotykowej. W małym ceglany budynku nad rzeką Mersey odradzało się marzenie z Kalifornii.

Jednak poglądy Johna Marksa różniły się od poglądów Henry’ego Smitha Williama w jednym istotnym aspekcie. Henry uważał, że narkomani będą musieli otrzymywać recepty do końca życia. Ta właśnie część jego historii niepokoiła mnie najbardziej. Z jego punktu widzenia

jedyną alternatywą dla nieustającej wojny narkotykowej było nieustanne wypisywanie recept narkomanom.

Od tamtej pory dokonano jednak wielu odkryć dotyczących uzależnienia, a jedno z nich – którego Henry Smith Williams nie mógł przewidzieć – ma dla narkomanów szczególnie istotne znaczenie. Jako pierwszy zauważył tę prawidłowość Charles Winick, który w latach pięćdziesiątych założył w Nowym Jorku bezpłatną klinikę dla uzależnionych muzyków. Winick, podobnie jak wszyscy inni, uważał, że kiedy ktoś już zostaje heroinistą, będzie nim do końca życia. Potem jednak zaobserwował coś zupełnie innego. „Najwięcej heroinistów należało do przedziału wiekowego 25–39 lat, później ich liczba malała niemal do zera”<sup>703</sup> – pisał. Większość uzależnionych po prostu sama rezygnowała z narkotyków. „Dojrzewali do rzucenia nałogu [...] prawdopodobnie dlatego, że stres i napięcie w ich życiu stabilizowały się na określonym poziomie, a największe wyzwania dorosłości mieli już za sobą”.

Ten proces – nazywany „wyrastaniem z nałogu” lub „naturalną regeneracją” – nie jest czymś wyjątkowym, ponieważ dotyczy niemal wszystkich nałogowców<sup>704</sup>. Odkrycie Winicka wydawało mi się tak zadziwiające, że musiałem poczytać o nim w wielu różnych pracach, by w końcu w to uwierzyć: Większość narkomanów po prostu sama porzuca nałóg bez względu na to, czy poddaje się jakiejś terapii, czy nie<sup>705</sup> – oczywiście jeśli wcześniej nie zabije ich prohibicja. Robią to zwykle mniej więcej po dziesięciu latach zażywania<sup>706</sup>.

Kiedy John Marks dowiedział się o tej regule, uznał, że jego zadanie polega na podtrzymywaniu narkomanów przy życiu do czasu, aż wyrosną z nałogu. Dlatego narkomani z Widnes co tydzień przychodzili do gabinetu Johna na spotkanie i wychodzili z receptą na skręty z heroiną lub – w nielicznych przypadkach, o czym wkrótce się przekonamy – na kokainę. John wyjaśniał publicznie swoje działania: „Jeśli są nałogowcami gotowymi za wszelką cenę nadal zażywać narkotyki, [...] oferuję im – a także społeczeństwu – prosty wybór: narkotyki z kliniki albo narkotyki od mafii”<sup>707</sup>.

Eksperyment Johna z oczywistych powodów budził niepokój wielu ludzi. Skoro nie ma żadnej kary, a narkomani otrzymują narkotyki za darmo, z pewnością będą ich używać w jeszcze większych ilościach. Był to jeden z najrozsądniejszych argumentów prezentowanych przez Harry’ego

Anslingera. Ostrzegał, że jeśli lekarze wrócą do wydawania recept na narkotyki, „liczba narkomanów będzie rosła bez żadnych ograniczeń”<sup>708</sup>.

Wydaje się to całkiem logiczne, lecz John uważał, że pomimo dostępu do narkotyków liczba nałogowców pozostanie na tym samym poziomie<sup>709</sup>: Jeśli odrzucenie ze strony rodziny, choroby i nędza nie skłoniły cię do rzucenia nałogu, dlaczego miałyby to zrobić darmowa heroina?

Okazuje się, że żadna ze stron nie miała racji. Liczba narkomanów nie wzrosła ani nie utrzymała się na tym samym poziomie, lecz zmalała – także pośród tych, którzy *nie otrzymywali* recept. Badania opublikowane w „Proceedings of the Royal College of Physicians of Edinburgh” porównywały Widnes, gdzie działała klinika dla narkomanów, z inną, bardzo podobną dzielnicą Liverpoolu, Bootle, gdzie takiej kliniki nie było. W Bootle odsetek narkomanów wynosił 207,54, a w Widnes zaledwie 15,83 na 100 000 mieszkańców – ponad trzynaście razy mniej<sup>710</sup>.

Ale dlaczego przepisywanie heroiny narkomanom sprawiało, że ich liczba malała? Doktor Russell Newcombe, pracownik kliniki Johna Marksa, odkrył coś, co jego zdaniem tłumaczy to zjawisko<sup>711</sup>.

Wyobraź sobie, że jesteś ulicznym heroinistą. Codziennie musisz zdobyć dużą kwotę, by zaspokoić swój głód – w tamtym czasie w Wirral było to sto funtów dziennie<sup>712</sup>. Jak to zrobisz? Możesz kraść. Możesz się prostytuować. Jest jednak jeszcze inne wyjście, znacznie mniej nieprzyjemne niż dwa poprzednie. Możesz kupić narkotyki, wziąć tyle, ile potrzebujesz, a resztę wymieszać z talkiem i sprzedać innym ludziom. Lecz by to robić, musisz przekonać innych, by też zażywali narkotyki. Musisz zostać sprzedawcą, akwizytorem, który będzie zachwalał swój towar i skutki jego działania.

Tak więc w warunkach prohibicji sprzedaż heroiny staje się w istocie piramidą finansową<sup>713</sup>. „Firmy ubezpieczeniowe bardzo chciałyby mieć agentów o takim stopniu motywacji, jak handlarze narkotykami” – zauważył John.

Dlatego właśnie liczba narkomanów w Widnes malała, zamiast rosnąć. Okazało się, że przepisywanie narkotyków niszczy piramidę finansową, eliminując źródło zysku. Nie trzeba sprzedawać heroiny, żeby zdobyć heroinę. To tłumaczy, dlaczego przepisywanie heroiny i kokainy zmniejsza liczbę ich użytkowników.

Gdy Russell Newcombe opowiadał mi o tym, nie mogłem nie pomyśleć o osobliwym zrządzeniu losu. Harry Anslinger zawsze powtarzał, że

narkomania jest zaraźliwa. Otóż w normalnych warunkach nie jest – zaraźliwy okazał się jednak stworzony przez Anslingera system prohibicji.

Na głowę Johna Marksa sypały się gromy. Atmosfera spotkania gęstniała z minuty na minutę, zrobiło się naprawdę nieprzyjemnie, a Marks stał się obiektem ataków. Co ciekawe, nie krzyczeli na niego przedstawiciele prawicy czy konserwatyści. W tym czasie Liverpooliem rządziła komunistyczna grupa Militant Tendency [Skrajna Lewica], której członkowie uważali, że w Wielkiej Brytanii należy natychmiast rozpocząć rewolucję socjalistyczną.

Komuniści twierdzili, że John Marks powstrzymywał tę rewolucję, ogłupiając klasę pracującą za pomocą heroiny. W tym przypadku serwowane przez Marksa opium dla mas było prawdziwym narkotykiem. Marks blokował Marksa.

Wtedy wstał ojciec jednego z pacjentów Johna i zwrócił się do tłumu. „Początkowo nie mogłem zrozumieć, dlaczego John daje mojemu Jimmy’emu heroinę. Bo myślałem, że chodzi raczej o to, żeby go od heroiny odzwyczaić. Ale wiecie co? Odkąd Jimmy zaczął chodzić do doktora Marksa, widujemy się z nim przy posiłkach, siedzi i rozmawia z nami, do tego znów spotyka się ze swoją dziewczyną. I wiecie co jeszcze? W przyszłym tygodniu idzie na rozmowę o pracę”.

John Marks myślał, że informacje o wynikach jego eksperymentu skłonią ludzi w Wielkiej Brytanii i na całym świecie do podjęcia podobnych kroków. Kto odrzucałby politykę, która ratuje życie narkomanów, zmniejsza ich liczbę i odbiera klientów ulicznym handlarzom narkotyków?

Wydawało się, że w końcu rzeczywiście zdołał pobudzić władze do działania. Poproszono go, by stworzył większą wersję swojej kliniki w Metropolitan Centre w Liverpoolu, potem zaś postanowiono, że każdy rejon opieki zdrowotnej na obszarze od Southport na północy do Macclesfield na wschodzie będzie miał swój ośrodek przepisujący narkotyki.

Odnotowano na tyle duży spadek liczby kradzieży w sklepach, że sieć Marks & Spencer publicznie pochwaliła politykę wprowadzoną przez Johna i postanowiła sponsorować pierwszą światową konferencję w sprawie redukcji szkód wyrządzanych przez narkotyki i narkomanię, która odbywała się w Liverpoolu w 1990 roku<sup>714</sup>. Podczas konferencji

zainspirowany eksperymentem Johna policjant Derek O'Connell tłumaczył: „Podejmując pracę w policji, składamy przysięgę, która każe nam chronić ludzkie życie [...]. To oczywiste, że musimy docierać też do ludzi, którzy wstrzykują sobie narkotyki, i nieść im pomoc, ale musimy też starać się utrzymywać ich w zdrowiu, bo przecież jesteśmy także ich policją”<sup>715</sup>.

Jednak John miał uderzyć w ten sam mur, o który rozbił się Henry Smith Williams.

John wraz z kilkoma współpracownikami został zaproszony do Stanów Zjednoczonych, gdzie podczas serii spotkań w różnych miastach miał tłumaczyć, jak jego metoda może ratować życie Amerykanów.

W każdym z tych miast pod koniec spotkania mówiono im to samo – że republikański kongresmen Jesse Helms naciskał na organizatorów, by odwołali imprezę i tym samym zamknęli im usta. Helms nie chciał, by ktokolwiek przeszkadzał w prowadzeniu wojny z narkotykami. Kilka lat później, w trakcie emitowanego w CNN programu z telefonicznym udziałem widzów ktoś podziękował mu za „wszystko, co zrobił, żeby powstrzymać czarnuchów”<sup>716</sup>. W odpowiedzi kongresmen zasalutował do kamery, mówiąc: „Cóż, dziękuję bardzo”.

W 1991 roku jeden z najpopularniejszych programów informacyjnych w Stanach Zjednoczonych, *60 Minutes*, pokazał krótki reportaż o klinice Johna. Zaraz po emisji zadzwonił do niego Bing Spear, główny inspektor Wydziału Narkotyków w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. „Nasza ambasada w Waszyngtonie narobiła strasznego szumu – ostrzegał. – Mają pretensje do rządu, pytają: »O co chodzi z tym facetem, który rozdaje w Liverpoolu kokainę? Zamknijcie to natychmiast!«”<sup>717</sup>.

Konserwatywny rząd postanowił „połączyć” klinikę Johna z nową przychodnią prowadzoną przez ewangelików, którzy z zasady byli przeciwni przepisywaniu narkotyków. Pacjenci wpadli w panikę, wiedzieli bowiem dobrze, co to oznacza – powrót do ropni, przedawkowań i kupowania narkotyków u gangsterów. John był bezsilny – nie mógł im pomóc w żaden sposób<sup>718</sup>.

Na skutki nie trzeba było długo czekać. W ciągu trzynastu lat działalności kliniki, od 1982 do 1995 roku, doktor Marks nie odnotował wśród swoich pacjentów ani jednego przypadku śmierci związanej z narkotykami<sup>719</sup>. Po zamknięciu kliniki Sydney, liverpoolski doker, znów zaczął kupować zanieczyszczone narkotyki od ulicznych sprzedawców



i wkrótce zmarł. Julia Scott, która powiedziała, że bez heroiny kupowanej na receptę umrze, wcale nie przesadzała – zmarła na skutek przedawkowania, osierocając córkę.

Na czterystu pięćdziesięciu pacjentów, którym Marks przepisywał narkotyki, dwudziestu zmarło w ciągu sześciu miesięcy po zamknięciu kliniki, a po dwóch latach kolejnych czterdziestu jeden<sup>720</sup>. Znacznie więcej pacjentów miało amputowane kończyny lub zaraziło się groźnymi chorobami. Śmiertelność wśród narkomanów wróciła do poziomu z czasów prohibicji – dziesięć do dwudziestu procent – zbliżonego do poziomu śmiertelności wśród chorych na ospę<sup>721</sup>.

Doktor Russell Newcombe, który pracował w klinice Johna, powiedział mi: „Wszyscy musieli od razu wrócić na ulicę. [...] Ludzie, którzy mieli pracę, stracili ją. Zanikały nawiązane wcześniej relacje. Pacjenci znów popadali w długi i popełniali przestępstwa. Większość z tych, którzy korzystali z recept Johna Marksa, w ciągu kilku miesięcy wracała do starego stylu życia”. Gdy tylko Newcombe spotykał na ulicy któregoś z byłych pacjentów, pytał go, co teraz robi. „Haruję” – mówili, co w lokalnym slangu oznaczało kradzież dla zdobycia narkotyków.

Obecnie w Merseyside panuje plaga narkomanii, a członkowie gangów narkotykowych zabijają się nawzajem, walcząc o terytoria i wpływy.

John odkrył, że został w swojej ojczyźnie wpisany na czarną listę. Zamieszkał dosłownie na drugim końcu świata, w Gisborne, najodleglejszym zakątku Nowej Zelandii. Właśnie stamtąd w 2012 roku opowiedział mi przez telefon swoją historię.

„Zostałem skazany na wygnanie” – przyznał.

Pewnego razu Royal Astronomical Society (Królewskie Towarzystwo Astronomiczne) poprosiło go, by podczas dni otwartych odgrywał rolę Galileusza. Musiał udawać, że zostaje spalony na stosie<sup>[4]</sup>.

Kiedy o tym opowiadał, jego głos wyraźnie złagodniał, jakby czuł się poruszony tą ironią losu. Jednak gdy powiedziałem mu, że ta historia budzi mój gniew, odrzekł: „A dlaczego pan uważa, że ludzie u władzy kierują się rozsądkiem? Pański problem polega na tym, że myśli pan racjonalnie”.

Wydawało się, że Johna Marksa spotka ten sam los co Henry’ego Smitha Williama – że jego historia ulegnie zapomnieniu. Jednak tym razem stało się inaczej.



Wsiadłem do samolotu do Genewy, miasta, w którym Harry Anslinger po raz pierwszy próbował narzucić swoją wizję całemu światu. Cudownym zrządzeniem losu to właśnie tutaj odrzucono w końcu jego idee. Usiadłem do rozmowy z kobietą, która – wraz z wieloma innymi – doprowadziła do tej zmiany, i wysłuchałem jej historii. Okazało się, że inspiracją były dla niej działania Johna Marksa, choć ten nie miał o tym zielonego pojęcia.

Policjant, który towarzyszył Ruth Dreifuss, miał łzy w oczach. Prowadził przyszlą prezydent Szwajcarii przez położoną nad rzeką opuszczoną stację kolejową w Zurychu. Wszystkich miejscowych narkomanów spędzono tu niczym zarażone bydło.

Ruth już wiele razy oglądała podobne sceny. Kilka lat wcześniej była w parku w Bernie, który odgrywał taką samą rolę jak ta stacja. Widziała tam dziewczyny otwarcie zajmujące się prostytutką, widziała niepanujących nad swoimi ciałami narkomanów, pozbawionych kontaktu z rzeczywistością. Widziała też ludzi, którzy robili sobie zastrzyki „w miejsca, o jakich nigdy byś nie pomyślał”, bo nigdzie indziej nie mogli znaleźć żyły, jakby się przed nimi pochowały. Nad wszystkim unosiły się głosy dealerów, którzy co sił w płucach wykrzykiwali swoje ceny. Ich wrzaski przywodziły Ruth na myśl brokerów z Wall Street przekrzykujących się na giełdzie<sup>722</sup>. Tutaj walka o klientów wiązała się też z realnym zagrożeniem i brutalną przemocą.

Większość Szwajcarów nigdy nie widziała czegoś podobnego. Policjanci nie tylko płakali – oni się bali. Tak wyglądała Szwajcaria w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych – postrzegano to jako zniewagę dla wszystkiego, co myśleli o sobie Szwajcarzy<sup>723</sup>.

Szwajcaria zawsze była tym miejscem na Ziemi, gdzie mieszkańcom najłatwiej przychodziło udawać, że nic się nigdy nie zmienia i że wszystko ma sens. Mój ojciec jest góraliem ze szwajcarskich Alp, w jego wiosce wychowywano dzieci w przekonaniu, że ostatnią katastrofą, jaka zdarzyła się w tym miejscu, było przejście Hannibala i jego armii z bojowymi słoniami w 221 roku p.n.e. Wszystkie symbole tego kraju wiążą się z porządkiem, czystością i trwałością. Szwajcarskie zegarki będą tykać z niedoścignioną precyzją nawet po wojnie atomowej. Pocztówki ukazują dziesięciometrowy słup błękitnej wody strzelającej z Jeziora Genewskiego na tle majestatycznych Alp. Szwajcarzy twierdzą z całą powagą, że

spuszczanie wody w toalecie po godzinie dwudziestej drugiej to przestępstwo, bo przeszkadza się w ten sposób sąsiadom<sup>724</sup>.

Teraz jednak Szwajcaria obserwowała, jak prohibicja narkotykowa wywołuje prawdziwe tornada w centrach ich nieskazitelnych miast. Idąc przez zatłoczony dworzec, Ruth nie miała jeszcze pojęcia, że wkrótce zostanie pierwszą kobietą i pierwszym przedstawicielem narodu żydowskiego na stanowisku prezydenta Szwajcarii.

Co istotniejsze, miała też zostać pierwszym od lat trzydziestych prezydentem na świecie, który nie będzie uciekał od reformy polityki narkotykowej, lecz do niej dążył. Podczas swej prezydentury przyjmowała narkomanów, słuchała ich i broniła – wywalczyła dla nich w ten sposób legalny dostęp do narkotyków.

Pierwszy raz usłyszałem o Ruth, gdy eksperci zajmujący się polityką narkotykową zaczęli mówić, że jest na świecie przywódca polityczny, który rozumie błędy wojny narkotykowej lepiej niż ktokolwiek inny. Od razu do niej napisałem. I w ten sposób na początku 2013 roku znalazłem się w jej mieszkaniu, gdzie bez przerwy paliła papierosy i strącała popiół do wielkiej żółtej popielniczki. Od razu mnie za to przeprosiła. „Jestem nałogowcem!” – powiedziała ze śmiechem.

Kiedy Billie Holiday siedziała w amerykańskim więzieniu za posiadanie narkotyków, jedynymi ludźmi, którzy próbowali jej pomóc, byli właśnie Szwajcarzy. „Od pewnej cudownej pary mieszkającej w szwajcarskim Zurychu dostałam tysiąc dolarów i telegram, w którym zapraszali mnie do Europy, bo Ameryka nigdy mnie nie zaakceptuje” – pisała<sup>725</sup>.

W Szwajcarii – jak w każdym kraju – okrucieństwo nieustannie miesza się ze współczuciem. W czasie, gdy powstawał wspomniany powyżej list, Ruth chodziła do szwajcarskiej szkoły, gdzie inne dzieci czasami jej dokuczały, mówiąc, że Żydzi zabili Jezusa i już zawsze będą ponosić za to karę. Później mówiono jej, że jako kobieta łatwo ulega histerii i innym emocjom, dlatego nie może głosować. Politycy ostrzegali, że jeśli kiedykolwiek kobiety zyskają prawo do głosowania, szwajcarskie rodziny się rozpadną, a cały kraj ogarnie chaos. Dopiero po wielu latach protestów i marszów, w których uczestniczyła Ruth i tysiące innych kobiet, w 1971 roku pozwolono im wreszcie decydować o losach kraju. Ruth Dreifuss widziała więc na własne oczy, jak nawet najbardziej niezachwiane pewniki

w końcu upadają i wśród następnych pokoleń uchodzą za czyste szaleństwo.

Gdy w 1993 roku powierzono Ruth odpowiedzialność za politykę zdrowotną kraju, czekało na nią nie lada wyzwanie. Właśnie w Szwajcarii AIDS zbierało największe żniwo w Europie i nie wiadano, jak położyć temu kres<sup>726</sup>.

W tym kraju nie istnieją getta, w których można by ukryć narkomanów. Nie ma tu podziału „My” i „Oni”: jeśli narkomania rozprzestrzenia się po kraju, dzieje się to w miejscach widocznych dla wszystkich. Ruth zgromadziła więc w swoim gabinecie przedstawicieli najbardziej pogardzanych mniejszości w kraju – gejów, prostytutek i narkomanów – przypuszczała bowiem, że to właśnie oni mają nie tylko największy problem z AIDS, ale i klucz do jego rozwiązania. Przekonała się, że prostytutki wyposażone w kondomy i odpowiednią wiedzę, to „bardzo dobre agentki zdrowia publicznego. Ale trzeba im zaufać. Trzeba zaakceptować ich pracę. Więc prewencja zaczyna się od szacunku”.

Jako socjalistka zawsze uważała, że każdy człowiek – nawet najbardziej zagubiony – może się odrodzić, jeśli właściwie się nim pokieruje. Patrząc jednak na narkomanów, pytała samą siebie: „Jak?”.

W ramach walki z AIDS Szwajcaria wprowadziła już sprawną wymianę strzykawek i igieł, stworzyła sieć sal do bezpiecznego zażywania narkotyków, pozwoliła lekarzom przepisywać metadon. Mimo to choroba nadal szerzyła się w zastraszającym tempie. Okazało się, że wielu narkomanów brzydzi się metadonem – porównują go do pozbawionego smaku kawałka ciasta, który usiłuje zastąpić wyborny stek. Pewnego dnia kilku spośród ulicznych lekarzy, z którymi Ruth utrzymywała stały kontakt, powiedziało jej, że pojechali do Liverpoolu, by przyjrzeć się z bliska niezwyklej eksperymentowi – programowi o zadziwiających rezultatach, który, niestety, właśnie zaczynały blokować władze<sup>727</sup>.

Kilka lat wcześniej odkryto w szwajcarskim prawie zapis pozwalający na podawanie heroiny, pod warunkiem że będzie to część eksperymentu naukowego. Jak dotąd skorzystała z tego zapisu niewielka grupa ludzi.

Ruth powiedziała więc: „W porządku, przeprowadzimy naprawdę duży eksperyment. Ułatwimy życie tym narkomanom, którzy chcą dostawać metadon, a tym, którym to nie wystarcza, będziemy przepisywać heroinę”<sup>728</sup>. W Szwajcarii panuje system polityczny zbudowany na konsensusie. Żaden przedstawiciel władzy nie może realizować wyłącznie

swojej polityki. Ruth musiała więc przekonać swoich współpracowników, a także przedstawicieli poszczególnych kantonów. Tłumaczyła, że to wyjątkowa sytuacja, która wymaga wyjątkowych działań.

Dwadzieścia lat później Ruth Dreifuss mieszka naprzeciwko jednej z genewskich klinik przepisujących heroinę, które powstały dzięki jej wysiłkom i zwycięskiej kampanii politycznej. O siódmej rano mijam mewy skrzeczące nad brzegiem Jeziora Genewskiego. Jest ciemno jak w środku nocy, a w schludnych szwajcarskich kafejkach elegancy mężczyźni i kobiety piją kawę. Nikt nie wygląda na zaspanego. Szwajcarzy chodzą wcześniej spać i wstają, gdy jest jeszcze ciemno, przy czym wcale na to nie narzekają.

W białym korytarzu kliniki heroinowej spotykam młodego mężczyznę z wielkimi słuchawkami na uszach i starszego pana w tweedowej marynarce ze skórzanymi łatami na łokciach. Siedzą obok siebie i cierpliwie czekają, aż będą mogli zrobić sobie zastrzyk.

Starszy mężczyzna idzie za pielęgniarką do sali zastrzyków, wychodzi z niej po chwili, siedzi samotnie przez dwadzieścia minut, a potem zgadza się ze mną porozmawiać w pokoju przy korytarzu. Wygląda jak sekretarz stanu jakiegoś pomniejszego państwa Europy Środkowej, ma starannie wypastowane buty i nobliwą twarz pociętą głębokimi bruzdami. Lekarze przedstawiają nas sobie, a mój rozmówca mówi, że chętnie opowie mi swoją historię, pod warunkiem że nie będę używał jego prawdziwego nazwiska, ponieważ nim zmieniono prawo narkotykowe, dopuszczał się przestępstw. Będę nazywał go Jean<sup>729</sup>.

Jean opowiada o swojej pierwszej wizycie w klinice: „Byłem chory i brudny. Byłem typowym narkomanem”.

Nie mógł się skupić na oglądaniu filmu dłużej niż przez kilka minut. Nie mógł jeść owoców ani żadnych tłustych potraw, bo zanieczyszczona heroina niszczyła jego układ trawienny. Zażywał narkotyki od trzydziestu pięciu lat. „Kiedy bierzesz na ulicy, czujesz, że śmierć już się w tobie czai. Czujesz ją i widzisz. Masz w sobie śmierć, a ona robi coraz większe postępy”.

Próbował zażywać metadon, ale nie przynosiło to żadnego skutku. Wciąż pragnął heroiny. Co rano budził się zlany potem i pytał samego siebie: „Jak dziś zdobędę pieniądze potrzebne na następną dawkę?”. Tkwił w zamkniętym kole zdobywania pieniędzy, kupowania heroiny,

wstrzykiwania, zdobywania pieniędzy, kupowania heroiny, wstrzykiwania, i tak bez przerwy, dzień po dniu. „To nie tylko nałóg. To praca” – mówi.

Przeżył tylko dzięki temu, że zajmował się handlem narkotykami – nie chce podawać szczegółów, mówi tylko, że był „pośrednikiem” – aż pewnego dnia dowiedział się o stworzonym przez Ruth Dreifuss programie przepisywania narkotyków.

To ostatni ratunek zapewniany przez system ludziom, którym nie da się pomóc w inny sposób. Aby stać się uczestnikiem programu, kandydat musi spełniać trzy warunki: być pełnoletni (skończone osiemnaście lat), mieć za sobą co najmniej dwa nieudane programy odwykowe, oddać swoje prawo jazdy. „Początkowo wcale nie było mi łatwo tego pojąć i zaakceptować. Wszyscy narkomani mają kompletny mętlik w głowie” – mówi.

Nagle nie musiał już martwić się o to, jak zdobyć narkotyki, miał cały dzień dla siebie. Jak sam mówi, tutejsi pacjenci „muszą na nowo ułożyć sobie życie. Muszą obudzić wyobraźnię”.

Program przepisywania heroiny ma pomagać pacjentom w powolnej odbudowie życia, by mogli uczestniczyć w terapii, znaleźć sobie dom i pracę. Jeden z pacjentów jest właścicielem stacji paliw, inny pracuje w banku. „Kiedy już odzyskujesz stabilność, wydarzenia nabierają tempa, wracasz do normalnego życia i mówisz: w porządku, co mam teraz robić?” – mówi Jean.

Trudno sobie z tym poradzić po wielu latach uzależnienia. „Ból, który teraz czuję, nie jest bólem choroby. To ból ponownych narodzin. Po raz pierwszy od dziesięcioleci czuję się zdrowy i szczęśliwy, że odzyskałem rzeczy, o których kompletnie zapomniałem”.

Zaczął ponownie jeść owoce, oglądać filmy i słuchać muzyki. „Można wrócić do rzeczywistości” – mówi.

Harry Anslinger uważał, że udało mu się odkryć zasadniczą słabość tego rodzaju programów. Organizmy narkomanów stopniowo uodparniają się na narkotyki, więc – jak twierdził Harry – potrzebują oni coraz większych dawek, by osiągnąć ten sam efekt. „Narkoman nigdy nie jest zadowolony ze swojej dawki, zawsze próbuje dostać więcej” – tłumaczył<sup>730</sup>. Chwalił dwóch spośród swoich pracowników, którzy opisali Pierwsze Prawo Uzależnienia: „Osoba, która jest uzależniona od opioidów i ma wolny dostęp do takich substancji, będzie trwała w stanie uzależnienia i zażywała coraz większe dawki, dopóki nie powstrzyma jej jakaś zewnętrzna siła”<sup>731</sup>.

Wydaje się to całkiem sensowne. Jednak pracownicy kliniki mówią mi, że odkryli coś, co zaprzecza tej regule.

Jeśli jesteś narkomanem korzystającym z usług kliniki i poprosisz o większą dawkę heroiny, dostaniesz ją. Początkowo większość narkomanów rzeczywiście chce więcej i więcej, jak przewidzieli to agenci Anslingera. Jednak po kilku miesiącach zazwyczaj przestają domagać się większych ilości narkotyku i sami, z własnej woli, stabilizują dawki na stałym poziomie<sup>732</sup>. „Większość z nich chce następnie stale zmniejszać dawki” – tłumaczy miejscowy psychiatra, doktor Rita Manghi.

Jean zaczynał na przykład od trzech dawek dziennie: 80 mg rano, 60 mg po południu i 40 mg wieczorem. Teraz bierze tylko 30 mg rano i 40 mg wieczorem. „Prawdopodobnie powiem wkrótce mojemu lekarzowi, że nie chcę już więcej” – mówi Jean, który jest typowym pacjentem kliniki.

Nagle nieco przygnębiający spór między Harrym Anslingerem i Henrym Smithem Williamsem – prohibicja kontra uzależnienie do końca życia – wydaje się zupełnie bezcelowy. W szwajcarskiej klinice odkryto, że istnieją inne rozwiązania. Jeśli zapewni się narkomanom możliwość bezpiecznego i legalnego zażywania narkotyków, a także pozwoli kontrolować przyjmowaną dawkę, ogromna większość z nich w końcu ją ustabilizuje, a potem będzie stopniowo zmniejszać. Przepisywanie narkotyków nie jest alternatywą dla zerwania z nałogiem. Dla wielu ludzi jest drogą do tego celu<sup>733</sup>. „Ten program daje ci szansę na stopniowe odzyskanie utraconej kontroli” – mówi Jean.

Portugalski psychiatra, który jest pracownikiem kliniki, próbuje mi to wyjaśnić przy pomocy pewnej metafory. Większość narkomanów trafia tutaj jako puste szklanki<sup>734</sup>. Kiedy zażywają heroinę, szklanka się napełnia, ale tylko na kilka godzin, potem znów jest pusta. Ten program ma za zadanie pomóc narkomanom budować normalne życie po to, by mogli włożyć do pustej szklanki coś innego: społeczne więzi, pracę, codzienne przyjemności. Jeśli się to uda, to nawet gdy heroina zniknie, szklanka nie jest całkiem pusta. Z czasem, gdy życie narkomana jest coraz bogatsze, szklanka będzie zawierać coraz więcej i więcej, będzie więc zażywał mniej heroiny, by ją wypełnić. W końcu szklanka będzie wypełniona taką ilością różnych rzeczy, że narkoman być może w ogóle nie będzie potrzebował narkotyku.

Pacjenci mogą korzystać z programu tak długo, jak tylko chcą, lecz przeciętnie przychodzą tu przez trzy lata, a po upływie tego czasu tylko



piętnaście procent z nich nadal codziennie zażywa narkotyki<sup>735</sup>.

Dawniej narkoman prowadził ekscytujące i brutalne życie – walczył o kolejną dawkę i o dominację w środowisku. Obecnie życie narkomanów w Szwajcarii jest raczej nudne. Chodzą do kliniki, są częstowani herbatą. Subkultura zniknęła.

Po otwarciu klinik mieszkańcy Szwajcarii zaczęli dostrzegać ciekawe zjawisko. Narkomani, okupujący wcześniej dworce, zniknęli. W parkach znów bawią się dzieci. Ulice stały się bezpieczne. Ludzie korzystający z darmowej heroiny dokonują o pięćdziesiąt pięć procent mniej kradzieży samochodów oraz o osiemdziesiąt procent mniej napadów i rabunków<sup>736</sup>. W najbardziej szczegółowych badaniach tego zjawiska napisano, że spadek przestępczości był „niemal natychmiastowy”<sup>737</sup>. Udało się również powstrzymać epidemię AIDS wśród narkomanów. W 1985 roku około sześćdziesięciu ośmiu procent nowych zarażeń HIV było wynikiem używania przez narkomanów brudnych strzykawek. Do roku 2009 wartość ta zmniejszyła się do około pięciu procent<sup>738</sup>.

Liczba umierających każdego dnia narkomanów gwałtownie zmalała<sup>739</sup>, a liczba uzależnionych, którzy posiadają stałą pracę, wzrosła trzykrotnie. Praktycznie wszyscy mają mieszkania<sup>740</sup>. Jedna trzecia wszystkich narkomanów, którzy korzystali z zasiłku, całkiem z niego zrezygnowała<sup>741</sup>. I podobnie jak w Liverpoolu, utworzona przez narkomanów piramida finansowa legła w gruzach – prawdopodobieństwo, że któryś z narkomanów korzystających z programu będzie sprzedawał narkotyki spadło o 94,7 procent w stosunku do okresu sprzed wprowadzenia reformy<sup>742</sup>.

„Miejscowi dealerzy są zdecydowanymi przeciwnikami tego programu. Mogą kontrolować ludzi, którzy sobie nie radzą, i zarabiać na nich. Gdybym nadal przebywał w środowisku przestępczym, mogliby zrobić ze mnie zabójcę, zrobiłbym wszystko” – mówi Jean.

Słuchając tych słów, pomyślałem o Chino i Rosaliu.

„A teraz? Nie. Jestem już dla nich stracony” – dodaje.

Koszt programu to trzydzieści pięć franków szwajcarskich na pacjenta dziennie<sup>743</sup>. Z drugiej strony – podatnicy nie muszą płacić czterdziestu czterech franków za każdy dzień aresztu oraz za procesy i wyroki narkomanów<sup>744</sup>. Szwajcarski przykład mówi jasno – ten program nie zwiększa kosztów, lecz przynosi oszczędności.



Wciąż się zastanawiałem, jak Ruth zdołała przeforsować tego rodzaju politykę w tak konserwatywnym kraju. Opinie moich szwajcarskich krewnych często plasują się daleko na prawo od Tea Party, a w swoim kraju uważani są za ludzi o umiarkowanych poglądach. Nie przypominają zwolenników reformy narkotykowej z San Francisco, lecz zwolenników reformy w całkiem innym kształcie – z Lubbock w Teksasie.

Wiedziałem, że Ruth musiała liczyć się z opinią publiczną, ponieważ Szwajcaria to kraj głębokiej demokracji. Jeśli jesteś szwajcarskim obywatelem i nie podoba ci się jakieś prawo ustanowione przez parlament, wystarczy, że zbierzesz pięćdziesiąt tysięcy podpisów, a w kraju zostanie przeprowadzone referendum dotyczące tego prawa<sup>745</sup>. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych grupa konserwatystów doprowadziła do referendum w sprawie przepisywania heroiny, a w kraju rozgorzała zażarta debata – o ile cokolwiek może być w Szwajcarii zażarte.

Ruth i wielu ludzi podzielających jej poglądy wprowadzili do debaty na temat narkotyków coś, czego nie próbował dotąd nikt na świecie. Od czasów Anslingera zwolennicy wojny z narkotykami przedstawiali siebie samych jako siły porządku walczące z chaosem, który byłby nieuniknioną konsekwencją złagodzenia prawa narkotykowego. Ruth zastosowała jednak polityczne ju-jitsu, odwracając ten argument. Obywatele Szwajcarii mogli się już przekonać, że agresywna polityka narkotykowa w amerykańskim stylu wprowadziła chaos na ulicach ich miast – a gdy rząd umożliwił legalne korzystanie z heroiny, chaos ustąpił. Twierdzili więc, że wojna z narkotykami oznacza zamęt, a zakończenie tej wojny prowadzi do powolnego przywrócenia porządku.

Ten pogląd wygrał. W 1997 roku około siedemdziesięciu procent szwajcarskich wyborców głosowało za utrzymaniem reform<sup>746</sup>. W 2008 roku konserwatyści przegrupowali siły i zorganizowali kolejne referendum. Elementem kampanii wspieranej przez Ruth były plakaty przedstawiające młodą matkę z dzieckiem, która mówi: „Nie chcę, żeby w naszych parkach znów leżały strzykawki”. Inny plakat ukazywał parę pięćdziesięciolatków mówiących: „Dzięki terapii nasz syn zerwał z narkotykami”. Tym razem obecną politykę wsparło sześćdziesiąt osiem procent głosujących<sup>747</sup>. Te kampanie przedstawiają argumenty, które moim zdaniem mogłyby doprowadzić do zniesienia prohibicji na całym świecie<sup>748</sup>.

Przeciwnicy wojny z narkotykami pokazali, że wprowadzili reformy przede wszystkim po to, by chronić siebie, a nie narkomanów. Wydaje mi

się, że to bardzo ważna nauka dla wszystkich, którzy chcą zmieniać prawo narkotykowe. Ci z nas, którzy dążą do zakończenia wojny, mają już po swojej stronie większość liberałów i lewicowców. Musimy jednak przekonać ludzi o umiarkowanych poglądach i konserwatystów – a rozwiązanie tego problemu może kryć się w jodłowaniu dochodzącym ze szwajcarskich gór.

Pewnego razu, jeszcze jako prezydent, Ruth wybrała się do kliniki narkotykowej w Bernie, by porozmawiać z tamtejszymi heroinistami. Znajdował się wśród nich młody mężczyzna – przystojny i elegancki – z którym próbowała nawiązać rozmowę. Młodzieniec wydawał się jednak bardzo nieśmiały i odpowiadał tylko półsłówkami. Kiedy Ruth zaczęła zbierać się do wyjścia, mężczyzna – ku jej zaskoczeniu – podał jej kartkę z wiadomością i powiedział, że powinna ją przeczytać dopiero po powrocie do swojego gabinetu.

„Pół roku temu żyłem na ulicy – przeczytała – nienawidziłem się, straciłem do siebie cały szacunek. Byłem brudny, spałem na ulicach i w parkach, a potem przyjęto mnie do kliniki. [...] Teraz przychodzę tu trzy razy dziennie po swoją dawkę heroiny. Odzyskałem szacunek”<sup>749</sup>. Dalej mężczyzna wyjaśniał, że nie chciał z nią rozmawiać, ponieważ pracuje obecnie w zarządzanym przez Ruth departamencie.

„Kiedy czytasz taki list – mówi Ruth – jesteś gotów robić swoje jeszcze przez wiele lat”.

Pewnego wieczora, gdy siedzimy razem w genewskim mieszkaniu Ruth, mówię jej, że trudno sobie wyobrazić, by amerykański prezydent lub brytyjski premier zrobili to, co robiła ona – rozmawiali z narkomanami, wysłuchiwali ich historii, namawiali ludzi, by im pomogli.

„Powinni to robić – odpowiada Ruth. – Trzeba to poznać i zobaczyć na własne oczy”.

Gdyby utknęła w windzie z Barackiem Obamą i Davidem Cameronem, powiedziałyby im: „Jesteście odpowiedzialni za wszystkich waszych obywateli, a to oznacza, że macie ich chronić i dawać im takie możliwości, by mogli sami się o siebie troszczyć. Nie możecie porzucić żadnej grupy”.

Jednak te same siły, które doprowadziły do likwidacji eksperymentu Johna Marksa, próbowały zastraszyć Szwajcarów. International Narcotics Control Board [Międzynarodowa Komisja ds. Kontroli Narkotyków]

oznajmiła, że „każdy, kto się bawi ogniem, w końcu się sparzy”, i że Szwajcaria „wysłała niebezpieczny sygnał do krajów, w których wytwarza się narkotyki”<sup>750</sup>. Lecz Ruth Dreifuss nie zamierzała pozwolić, by ktokolwiek ją zastraszył. Gdy ze Stanów Zjednoczonych przyleciał do Europy generał Barry McCaffrey, gorący zwolennik wojny z narkotykami, udał się do Holandii i zwołał tam konferencję prasową, podczas której – niczym gubernator kolonii zwracający się do tubylców – zgromił holenderskie władze za ich nikczemność. Wkrótce potem miał przyjechać do Szwajcarii.

„To, co powiedział w Holandii o coffee shopach, było okropne” – mówi Ruth. Zadzwoiła więc do generała i oznajmiła: „W Szwajcarii nie będzie żadnej konferencji prasowej. Nie zgadzamy się, by ingerował pan w naszą debatę polityczną”<sup>751</sup>.

Po odejściu z urzędu Ruth stworzyła wraz z innymi byłymi głowami państw – znalazł się wśród nich między innymi prezydent Brazylii Fernando Henrique Cardoso – organizację o nazwie Global Commission on Drug Policy [Światowa Komisja ds. Polityki Narkotykowej], która domagała się zakończenia światowej wojny z narkotykami. Kiedy z nią rozmawiałem, wróciła niedawno z podróży – odwiedziła Meksyk, Ghanę, Włochy, a także Budapeszt i Wilno. Mówiła, że we wszystkich tych miejscach pojawia się „coraz więcej wątpliwości”, a ludzie wypytują ją o rozsądne alternatywy.

Mówię jej, że jeszcze trudniej wyobrazić sobie, by któryś z byłych prezydentów USA lub byłych premierów Wielkiej Brytanii mieszkał zaledwie o minutę piechotą od kliniki dla heroinistów.

„Zawsze staraliśmy się w miarę możliwości umieszczać te instytucje w centrach miast – odpowiada, paląc papierosa i strącając popiół do popielniczki – z wielu powodów. Ci ludzie muszą przychodzić tam regularnie. Nie możemy ich wysyłać na koniec świata. Jeśli mają pracę, powinni pojawiać się tam podczas przerwy na lunch. To po prostu praktyczne rozwiązanie”.

To powiedziawszy, spogląda za okno, w stronę kliniki.

Po powrocie ze Szwajcarii z entuzjazmem opowiadałem znajomym Amerykanom o rezultatach tego eksperymentu. Wszyscy mówili, że trzeba go wypróbować w „Krainie Wolności” – a potem dzielili się szokującymi opowieściami.

Ale u nas już się przepisuje mocne opioidy, mówili. Przepisujemy OxyContin, Vicodin i inne środki przeciwbólowe – ale to wcale nie przyniosło takiego efektu, jak opisywałeś, wręcz przeciwnie, doprowadziło do katastrofy. Spójrz tylko na nagłówki gazet. Z roku na rok coraz więcej ludzi uzależnia się od dostępnych w aptekach leków, które początkowo zażywali jako środki przeciwbólowe. Coraz częściej zdarzają się przypadki przedawkowania. Coraz więcej ludzi staje się przestępcami. Coraz więcej sięga po mocniejsze środki, takie jak heroina. Tego właśnie chcesz?

Podobne relacje pojawiały się wszędzie – nawet w liberalnych mediach wspierających zwykle politykę reform, choćby w „Rolling Stone”. Konkluzja wydawała się oczywista – z jakiegoś powodu w tym kraju dostęp do środków odurzających nie likwiduje problemów, lecz je powiększa.

Był to prawdziwy cios dla zwolenników udostępnienia najmocniejszych narkotyków w Stanach Zjednoczonych. Ja również czułem się zszokowany i dezorientowany. Przyjrzałem się dowodom – wyglądało na to, że krytycy reformy rzeczywiście mają rację. Uzależnienie od leków takich jak OxyContin i Vicodin rozprzestrzeniło się po całych Stanach Zjednoczonych, powoduje wzrost przestępczości i zwiększenie przypadków przedawkowania. Wszyscy zgodnie twierdzą, że lekarze zbyt często i zbyt pochopnie przepisują te środki i że to jest właśnie przyczyną problemu.

Jak to możliwe, pytałem sam siebie, że system udostępniania opioidów na receptę, który tak dobrze działał w Szwajcarii, w Stanach Zjednoczonych doprowadził do katastrofy? Czy to tylko kwestia różnic kulturowych? Czy też w szwajcarskim modelu tkwi jakiś błąd, którego nie zauważyłem?

Zacząłem rozumieć, w czym tkwi problem, dopiero gdy porozmawiałem o tym zjawisku z Meghan Ralston, ekspertką od systemu przepisywania narkotyków z organizacji Drug Policy Alliance [Sojusz na Rzecz Polityki Narkotykowej], profesorem Bruce'em Alexandrem z Vancouver oraz z doktorem Halem Vorseem, lekarzem, który zajmuje się narkomanami w Oklahoma City. Tych troje ekspertów podniosło trzy różne kwestie, które pozwoliły mi zobaczyć kryzys związany z uzależnieniem od leków w całkiem innym świetle.

Pierwsze pytania, na które szukałem odpowiedzi, brzmiały: „Kiedy pojawiają się największe problemy związane z OxyContinem i Vicodinem, o których piszą gazety? Kiedy uzależnieni zaczynają okradać apteki, by zdobyć następną dawkę, prostytuować się lub przedawkowywać?”. Meghan

Ralston, jedna z wiodących ekspertek w tej dziedzinie, tłumaczyła: „Problemy nie zaczynają się wtedy, gdy lekarze przepisują te leki, lecz wtedy, gdy *przestają* je przepisywać”.

Stany Zjednoczone, wyjaśniała, nie prowadzą wzorowanej na modelu szwajcarskim polityki przepisywania uzależnionym OxyContinu, Vicodinu czy innych opioidów. Jeśli jestem Amerykaninem, który uzależnił się od OxyContinu, lekarz ma obowiązek pozbawić mnie dostępu do tego środka, gdy tylko zauważy problem. Może przepisywać tylko lekarstwa, które złagodzą ból, ale nie takie, które spowodowały uzależnienie. Jeśli nie podporządkuje się temu przepisowi, może zostać pozbawiony prawa do wykonywania zawodu i trafić do więzienia nawet na dwadzieścia pięć lat<sup>752</sup>, jak zwykły dealer – w taki sam sposób potraktowano brata Henry’ego Smitha Williamsa na początku wojny narkotykowej.

Właśnie wtedy, w akcie desperacji, mogę napaść na aptekę z bronią w ręku albo kupić jakieś podejrzaną tabletki od ulicznego handlarza<sup>753</sup>. Większość problemów związanych z przepisywaniem lekarstw w Stanach Zjednoczonych zaczyna się właśnie w tym punkcie – mówiła Meghan Ralston – gdy legalna, uregulowana prawem droga do tych środków zostaje zamknięta. Nikt nie połyka 80 mg OxyContinu przepisane przez lekarza, a potem idzie popełnić przestępstwo albo umiera z przedawkowania. Dramat rozpoczyna się wtedy, gdy lekarz zrozumie, że pacjent się uzależnił, i pozbawia go dostępu do lekarstw.

Ten obraz jest tak odmienny od wszystkiego, co piszą na ten temat media, że potrzebowałem sporo czasu, by zrozumieć, gdzie tkwi problem. Udało mi się to dopiero wtedy, gdy porównałem obecną sytuację do czasów sprzed 1914 roku, gdy narkotyki w Stanach Zjednoczonych były dostępne w wolnej sprzedaży.

Przypomnijmy sobie transformację, jaką przeszedł Henry Smith Williams. Przed wprowadzeniem zakazu wszyscy korzystający z opioidów kupowali za niewielką opłatą łagodną postać narkotyku w najbliższym sklepie. Niektórzy rzeczywiście się uzależniali, co zaburzało ich życie, podobnie jak dzieje się to dziś z alkoholikami. Nikt nie powinien lekceważyć tego problemu – to prawdziwe ludzkie cierpienie. Jednak żaden z nich nie popełniał przestępstw, by zdobyć narkotyki, nikt nie popadał w szaleństwo ani nie tracił pracy. Potem zablokowano legalny dostęp do tych środków – i wtedy zaczęły się wszystkie problemy, które obecnie kojarzymy z narkomanią: przestępczość, prostytutka, przemoc.

Dziś mamy do czynienia z tym samym scenariuszem, tyle że w odniesieniu do leków przepisywanych na receptę. Jeśli jesteś młodym człowiekiem, który kompulsywnie używa legalnie dostępnego lekarstwa, by radzić sobie w ten sposób z bólem psychicznym, twoje życie będzie zaburzone, spowolnione i niekompletne. Jeśli zostaniesz pozbawiony tego środka – jeśli przeżyjesz swój prywatny rok 1914 – twoje życie zamieni się w chaos, zaczniesz zachowywać się właśnie tak, jak opisują to media. Najgorsze zaczyna się wtedy, gdy zablokowane zostają legalne źródła dostępu. Jak więc tłumaczy Meghan, kryzys związany z uzależnieniem od lekarstw wcale nie dyskredytuje legalizacji – wręcz przeciwnie, podkreśla jej konieczność.

Co jednak oznacza „legalizacja” w odniesieniu do lekarstw przepisywanych na receptę? Niektórzy uznaliby zapewne, że należy je sprzedawać niemal bez ograniczeń, podobnie jak alkohol. Wydaje mi się jednak, że szwajcarski eksperyment heroinowy wskazuje na lepsze rozwiązanie – można po prostu zmienić kryteria określające, kiedy pacjent rzeczywiście potrzebuje lekarstwa. Skoro można przepisywać opioidy na ból pleców, to dlaczego nie wolno łagodzić przy ich pomocy bólu psychicznego? Wyobraźmy sobie, że uzależniona od OxyContinu kobieta z Oklahoma City podczas kolejnej wizyty u lekarza nie musi nagle dowiedzieć się, że nie dostanie więcej lekarstwa, a potem zostać pożegnana krótkim: „Powodzenia!” i radą, by udała się do najbliższej grupy Anonimowych Narkomanów. Wyobraźmy sobie, że zamiast tego słyszy dokładnie to, co mówi się pacjentom w Genewie: „Będziesz legalnie dostawać bezpieczną dawkę tak długo, jak będziesz tego potrzebowała, a jednocześnie zapewnimy ci wsparcie i opiekę, byś mogła odbudować swoje życie, znaleźć mieszkanie i utrzymać pracę”.

Można przypuszczać, że rezultaty takiej polityki wyglądałyby tak samo w Vermont czy Alabamie, jak w Szwajcarii – po jakimś czasie większość pacjentów zaczęłaby zmniejszać dawkę, a potem, poradziwszy sobie z bólem, całkiem zrezygnowałaby z lekarstw.

Jednak to dopiero pierwszy krok – bandaż, który powstrzymuje krwawienie. Potem trzeba sięgnąć głębiej, realizować strategię, dzięki której takie rany w ogóle nie będą powstawały. Aby to osiągnąć, trzeba zmienić kulturę w taki sposób, by życie stało się bardziej znośne. Musimy zbudować społeczeństwo, które będzie bardziej przypominać Park Szczurów niż wyścig szczurów. Jeśli wydaje wam się, że to marzenie

ściętej głowy, pomyślcie, że w innym razie przypadków uzależnień będzie tyle, ile gwiazd na niebie.

W tym miejscu pojawia się następne pytanie: dlaczego kryzys związany z lekami przepisywanymi na receptę przyspieszył tak gwałtownie w ciągu ostatniej dekady? Można to wytłumaczyć na dwa sposoby. Pierwszy z nich znamy wszyscy: lekarze – nakłaniani przez chciwy przemysł farmaceutyczny – przepisywali dostępne w aptekach opioidy na powszechne dolegliwości, takie jak ból pleców, nie ostrzegając swoich pacjentów przed ryzykiem popadnięcia w uzależnienie. W rezultacie wielu ludzi wpadło w nałóg całkiem przypadkowo. Idziesz do lekarza, dostajesz środek przeciwbólowy, który ma ci pomóc w walce z bólem kręgosłupa, a po kilku miesiącach jego zażywania przekonujesz się, że twój organizm potrzebuje takich środków w bardzo konkretnym i fizycznym sensie – jeśli spróbujesz z niego zrezygnować, ogarnie cię panika, pojawią się też okropne objawy odstawienia. Większość ludzi wierzy, że tak właśnie doszło do tego kryzysu – i taki scenariusz wydaje się całkiem sensowny.

Jednak to wyjaśnienie nie uwzględnia jednego, bardzo ważnego aspektu. Jak już wspominaliśmy, ludzie w szpitalach Zachodu otrzymują codziennie opioidy znacznie silniejsze niż OxyContin czy Vicodin. Na przykład diamorfinę – ta heroina, którą dostają pacjenci po zabiegu wszczępienia protezy stawu kolanowego, jest mniej więcej trzy razy silniejsza od OxyContinu<sup>754</sup>, a zażywa się ją czasami przez długi czas, w nadziei na wyleczenie. Jednak – o czym była wcześniej mowa i co zostało dowiedzione ponad wszelką wątpliwość – pacjenci zażywający ten środek prawie nigdy nie wpadają w nałóg<sup>755</sup>. Dlaczego więc przepisywany przez lekarzy naprawdę silny opioid nie wywołuje uzależnienia, a trzy razy słabszy środek prowadzi do niego w tak wielu przypadkach?

Biorąc to pod uwagę, powinniśmy zastanowić się nad innym wyjaśnieniem – mechanizmem, o którym mówił mi kiedyś Bruce Alexander w Downtown Eastside. Uświadomił mi wtedy, że praktycznie każdy ma nieograniczony dostęp do całego wachlarza substancji, które na krótki czas mogą zagłuszyć ból – od wódki po valium. Jednak w ogromnej większości przypadków nie korzystamy z tych środków. Powstaje więc pytanie: dlaczego w określonych momentach mnóstwo ludzi nagle po nie sięga w rozmaitych łazienkach czy barach i kompulsy nie zażywa, nierzadko wszystko naraz? Otóż nie jest to kwestia dostępu, lecz bólu.



Bruce dowiódł, że gwałtowny wzrost liczby uzależnień zawsze następuje w chwili, gdy nasila się cierpienie i poczucie samotności – dotyczy to zarówno przesiąkniętego ginem osiemnastowiecznego Londynu, jak i przerażonych żołnierzy walczących w Wietnamie.

Tu rodzi się kolejne pytanie: czy w ciągu minionej dekady w Stanach Zjednoczonych zdarzyło się coś, co mogło wywołać kryzys związany z nadużywaniem leków? Odpowiedź jest dość oczywista. Amerykańska klasa średnia popadała w coraz większe problemy, jeszcze zanim ostatecznie załamanie rynków doprowadziło do największej zapaści gospodarczej od czasu Wielkiego Kryzysu<sup>756</sup>. Zwykli Amerykanie musieli zmagać się ze strachem i stresem. Zgodnie z teorią Bruce'a to właśnie jest przyczyną coraz częstszego sięgania po OxyContin i Vicodin w celu łagodzenia bólu.

Ta koncepcja stawia w całkiem innym świetle kwestię gwałtownej epidemii lekomanii. Wszystkie uzależnione od Vicodinu zestresowane matki i wszyscy kierowcy ciężarówek, którzy ratują się OxyContinem, od lat obserwują bezsilnie, jak maleją ich zarobki, jak kurczą się możliwości rozwoju ich dzieci, jak obniża się ich status i słabnie poczucie bezpieczeństwa. Bruce daje nam do zrozumienia, że gdyby nie wymyślono OxyContinu, w podobnie niespokojnym okresie ci ludzie znaleźliby w swoich apteczkach lub barkach jakąś inną substancję, która pomogłaby im radzić sobie ze stresem – ponieważ podczas wszystkich poprzednich kryzysów właśnie tak robili.

Oczywiście nie chcę przez to powiedzieć, że te leki nie wywołują określonych efektów. Vicodin i OxyContin zawierają substancje uzależniające. Przytoczone wcześniej badania dowodziły, że około siedemnaście procent przypadków uzależnień od tytoniu to skutek działania określonych substancji chemicznych. Biorąc pod uwagę fakt, że nikotyna jest najbardziej uzależniającą używką, możemy zakładać, że odsetek lekomanów, którzy popadli w nałóg za sprawą chemikaliów zawartych w OxyContinie, jest niewiele mniejszy. Lekarze powinni mieć to na uwadze, przepisując te leki ludziom, którym wystarczyłoby łagodniejsze – i mniej uzależniające – środki przeciwbólowe. Z drugiej jednak strony, siedemnaście procent to tylko drobna część całej armii nałogowców. Ponieważ ignorując znacznie ważniejsze przyczyny, koncentrujemy się tylko na tym małym wycinku, nie potrafimy poradzić sobie z obecnym kryzysem.

Choć odkryłem już główną przyczynę epidemii, wciąż dręczyło mnie poczucie, że czegoś tu jeszcze nie rozumiem. Prowadziłem więc dalsze badania i wciąż zderzałem się z trzecim pytaniem, jakie postawił przed nami ten kryzys: dlaczego tak wielu ludzi zaczyna od OxyContinu i Vicodinu, a kończy na heroinie?

Proces przechodzenia od słabych do coraz silniejszych środków jest znany od lat i doskonale udokumentowany – nikt nie może tego podważyć – więc początkowo wydawało się, że ta historia zaprzecza wszystkiemu, czego dowiedziałem się w Szwajcarii. Sytuacja jest na tyle poważna, że w niektórych stanach lekomania stała się najważniejszym z aktualnych problemów. W 2014 roku gubernator Vermont poświęcił całe przemówienie kwestii gwałtownego wzrostu liczby heroinistów w tym stanie. Uznano powszechnie, że główną przyczyną tego zjawiska było przepisywanie opioidów.

I znów przekonałem się, że można wyjaśnić to zjawisko na dwa sposoby. Zgodnie z pierwszą teorią epidemia dowodzi, że wszystkiemu są winne substancje chemiczne. Gdy organizm się uzależnia i uodparnia, potrzebuje coraz silniejszych środków, by osiągnąć ten sam efekt. OxyContin już nie wystarcza, trzeba sięgnąć po heroinę. Tak się właśnie dzieje, gdy wypuszcza się z lampy dzina zawiadującego wolnym dostępem do narkotyków – traci się nad nim kontrolę. Jak zwykle brzmi to całkiem rozsądnie.

Jednak istnieje jeszcze inne wyjaśnienie tego zjawiska – takie, które wymaga odmiennego postrzegania efektów naszej polityki narkotykowej. Początkowo może się wydawać dziwaczne – przynajmniej ja tak to odebrałem – lecz w rzeczywistości zostało w prosty sposób udowodnione. Aby to dostrzec, wystarczy wybrać się na jakikolwiek mecz piłkarskich drużyn uczelnianych w Stanach Zjednoczonych i uważnie go obejrzeć<sup>757</sup>. Zjawisko to nazywane jest „żelaznym prawem prohibicji”<sup>758</sup>. Aby je zrozumieć, należy cofnąć się do początku lat dwudziestych i rządów Arnolda Rothsteina, kiedy zaczęła się nasza historia.

Nim wprowadzono prohibicję, najpopularniejszym napojem alkoholowym w Stanach Zjednoczonych było piwo<sup>759</sup>. Jednak gdy tylko zakaz wszedł w życie, udział mocnych alkoholi w rynku poszybował w górę z czterdziestu do dziewięćdziesięciu procent. Ludzie zareagowali na nowe przepisy, przerzucając się z łagodnych napojów na znacznie

mocniejsze. Sprawa wydaje się dość zagadkowa: dlaczego zmiany w prawie wywołały zmianę upodobań konsumentów?

Okazuje się, że upodobania wcale nie uległy zmianie. Zmieniło się coś innego: asortyment napojów, które oferowano klientom. Powód jest zaskakująco prosty. Jeden z najlepszych analityków wojny narkotykowej, pisarz Mike Gray, wyjaśnia to w swojej książce *Drug Crazy*. Kiedy przemycasz do kraju zakazaną substancję, „musisz zmieścić jak najwięcej towaru w jak najmniejszym pojemniku” – pisze.

Wyobraźmy sobie, że ktoś przemyca do Stanów Zjednoczonych ciężarówkę piwa. Jeden transport zaspokoi potrzeby mniej więcej stu osób. Jeśli jednak tę samą ciężarówkę przemycnik załaduje whisky, zaspokoi ona potrzeby tysiąca osób. W ofercie nielegalnych barów znajdzie się więc whisky, a także jeszcze mocniejsze i bardziej toksyczne napoje, takie jak ulubiony drink Billie Holiday, „Białą Błyskawicę” – mieszankę tak mocną, że dziś nie chcą jej pić nawet najwięksi alkoholicy.

Większość ludzi chce się tylko lekko odurzyć. Stosunkowo niewielu z nas dąży do całkowitego zamroczenia. Jeśli jednak łagodne środki odurzające są niedostępne, spora część osób sięgnie po znacznie mocniejsze substancje – ostatecznie lepsze to niż nic. Prohibicja zawsze ogranicza rynek do najmocniejszych substancji. To żelazne prawo.

Jak wspomniałem, można się o tym przekonać, oglądając uważnie uczelniane rozgrywki futbolowe w Stanach Zjednoczonych. Jak tłumaczy Gray: „Studenci zwykle piją piwo, ale ponieważ na stadion nie można wnosić alkoholu, przemycają małe butelki whisky i raczą się takim właśnie trunkiem”. Stadion to strefa wolna od alkoholu, więc dzieciaki z college’u piją tam napoje znacznie mocniejsze od tych, które lubią. Lepsze to niż nic<sup>760</sup>.

Dokładnie ten sam mechanizm dotyczy narkotyków. Nim je zdelegalizowano, najchętniej konsumowano opioidy w postaci łagodnych herbatek, syropów czy win. Na przykład popularny syrop pani Winslow zawierał 0,01 grama morfiny<sup>761</sup>. Jedno z win doprawionych kokainą – Vin Mariani – publicznie zachwalali królowa Wiktoria i papież Leon XIII<sup>762</sup>. Najpopularniejszym sposobem spożywania koki było picie herbaty i napojów bezalkoholowych<sup>763</sup>. Jednak po kilku latach od wprowadzenia prohibicji łagodniejsze odmiany narkotyków zniknęły. Zajmowały zbyt dużo przestrzeni, by opłacało się je przemycać – choć to właśnie one cieszyły się największą popularnością, dealerzy pokroju Arnolda Rothsteina

woleli nie ryzykować i stawiali na narkotyki w bardziej stężonej postaci, przynoszące też większe zyski. Właśnie wtedy herbatkę z koką zastąpiła kokaina w postaci proszku, a zamiast syropu pani Winslow zaczęto stosować heroinę wstrzykiwaną do żył. Im ostrzej władze rozprawiają się z narkomanami i dealerami, tym mocniejsze stają się narkotyki. Gdy w latach siedemdziesiątych prowadzono szczególnie zaciętą walkę z marihuaną, pojawiły się mocniejsze odmiany tego narkotyku, takie jak skunk czy super skunk. Na początku lat osiemdziesiątych celem ataków stała się z kolei kokaina, stworzono więc crack, ten sam narkotyk, lecz w bardziej stężonej formie. Wielu narkomanów woli łagodniejsze substancje, ale ze względu na prohibicję nie może ich zdobyć, wszyscy korzystają więc z mocniejszych narkotyków.

Tu właśnie pojawia się kryzys związany z lekomanią, który postrzegamy teraz w całkiem innym świetle. Niemal każdy, kto jest uzależniony od OxyContinu i zostaje go pozbawiony, chce dalej zażywać to samo lekarstwo. Jednak w warunkach prohibicji trudno zdobyć tak łagodny opioid, a stosunkowo łatwo dotrzeć do znacznie mocniejszego, takiego jak heroina. Tak właśnie działają rynki tam, gdzie wprowadzono prohibicję: to żelazne prawo. Doktor Hal Vorse, który leczy narkomanów w Oklahoma City, wytłumaczył mi jasno i dosadnie, jak funkcjonuje taka gospodarka (podobnie jak codziennie tłumaczą mu to jego pacjenci). Na ulicy OxyContin jest trzy razy droższy od heroiny, więc większości nałogowców po prostu na niego nie stać. „Przerzucają się więc na heroinę ze względu na rachunek ekonomiczny” – tłumaczy doktor Vorse.

Kiedy zablokowano wszystkie legalne sposoby dostępu do alkoholu, zniknęło piwo, a zwyciężyła whisky – kiedy blokuje się wszystkie legalne sposoby dostępu do opioidów, znika OxyContin, zastąpiony przez heroinę. To nie jest prawo natury ani zjawisko wywołane przez sam narkotyk, a jedynie skutek prowadzonej przez nas polityki. Po zniesieniu prohibicji alkoholowej „Biała Błyskawica” zniknęła – czy ktokolwiek dziś o niej słyszał? – a piwo znów stało się najpopularniejszym napojem alkoholowym w Ameryce. W całych Stanach Zjednoczonych jest dziś mnóstwo heroinistów, którzy chętnie pozostaliby przy OxyContinie, gdyby mieli do niego legalny dostęp.

Warto wracać do tej obserwacji, bo jest niezwykle istotna, a pomimo wszelkich dowodów bardzo rzadko o niej słyszymy. Wojna z narkotykami

praktycznie zamyka dostęp do łagodniejszych odmian narkotyków i zmusza uzależnionych do sięgania po mocniejsze substancje.

Dowiedziawszy się tego wszystkiego, rozumiem już, że przedstawiane przez media przyczyny nagłego wzrostu lekomanii mają niewiele wspólnego z rzeczywistością. Podobnie opisuje się dawną wojnę narkotykową – winna jest substancja chemiczna, więc jeśli tylko ją zlikwidujemy, zniknie też problem.

To kusząca wizja – jest prosta, a przy tym pozwala ignorować fakt, że w większości za problem nie odpowiadają pigułki, lecz ludzie. Szwajcarski eksperyment narkotykowy i Park Szczurów pokazują, jakie jest najlepsze rozwiązanie problemu uzależnienia od heroiny i leków.

Pewnego popołudnia w klinice heroinowej w Genewie opowiedziałem doktor Manghi, że podobna historia miała już miejsce dawno temu, w Los Angeles. Przepisywano heroinę, ludzie czuli się lepiej – po czym wszystkiego zakazano. Wiele lat później powtórzono ten eksperyment w Liverpoolu – tu także przepisywano heroinę, tu również obserwowano poprawę, by następnie program zakończyć. Doktor Manghi przez chwilę gładziła w zamyśleniu swój drewniany naszyjnik. „To jak powrót do nałogu – stwierdziła w końcu. – Może to wyglądać zniechęcająco, ale przy każdym nawrocie uczymy się czegoś nowego”.

Duch 1974 roku

Od lat wiedziałem, że istnieje kraj, w którym w 2001 roku wprowadzono dekryminalizację wszystkich narkotyków – od marihuany po crack. Chciałem zrozumieć, co to oznacza, lecz wstrzymałem się z podróżą do tego kraju niemal przez dwa lata moich poszukiwań. Mówiłem sobie, że postępuję w ten sposób, by zakończyć książkę optymistycznym akcentem: oto, drodzy czytelnicy, rozwiązanie. Istniał jednak jeszcze jeden powód, do którego przyznawałem się przed samym sobą tylko w chwilach załamania. A jeśli pojadę zobaczyć tę alternatywę i przekonam się, że wcale nie działa? Co wtedy?

W 2013 roku wylądowałem w skąpanej zimowym słońcem Portugalii, by odbyć podróż po kraju zdekryminalizowanych narkotyków. Zacząłem od całodniowych przechadzek po ulicach Lizbony. Zobaczyłem tam chyba coś innego, niż oczekiwałem. Chłopcy i dziewczęta, trzymając się za ręce, spacerowali po siedmiu wzgórzach, na których zbudowano miasto, zapuszczali się w średniowieczne, wąskie i kręte, prowadzące donikąd uliczki i przemierzali ciągnące się do samego morza szerokie aleje. Siedzieli w kawiarnianych ogródkach i jedli ciastka w ilościach, które zupełnie nie przystawały do ich szczupłych talii i jeszcze szczuplejszych portfeli.

Ludzie mieszkają tu w małych, kolorowych budynkach, stojących naprzeciwko siebie po obu stronach ulic i alei. Z każdego okna widać co najmniej kilka innych mieszkań. Bielizna wisi na luźno rozciągniętych sznurach i każdy może ją zobaczyć – wydaje się, że nikogo to nie krępuje, co w Anglii byłoby nie do pomyślenia. Lizbończycy znad filiżanki kawy obserwują otoczenie spojrzeniem czujnym, choć pozornie leniwym.

W małym anonimowym gabinecie, mieszczącym się w równie anonimowym biurówcu, spotkałem się z João Goulão. Mężczyzna nosił brązowy garnitur i krawat w tym samym kolorze. Wysławiał się w sposób typowy dla lekarza rodzinnego, którym zresztą przez długi czas był. Zachowywał się łagodnie i powściągliwie, choć to właśnie on dokonał największego wyłomu w globalnym systemie stworzonym przez Harry'ego

Anslingera. Uparcie zbywał wszelkie pochlebstwa i przypisywał znaczną część zasług innym, lecz większość ludzi uważa, że to on był pionierem tutejszych zmian. Podczas serii rozmów ów człowiek – ale też wielu innych uczestników portugalskiej rewolucji narkotykowej – opowiedział mi, jak do tego doszło.

Pewnego dnia 1973 roku w Portugalii dziewiętnastoletni student przeglądał podręcznik medycyny, gdy natknął się na ukrytą w nim tajną wiadomość napisaną na bibułce. Ktoś zostawił ją w książce i zniknął. João Goulão uważnie przeczytał krótki tekst.

Był to fragment podziemnej gazety nawołującej do rewolucji. João wiedział, że gdyby znaleziono przy nim ten tekst, zostałby zatrzymany przez tajną policję i zniknąłby bez śladu. Widział na terenie uniwersyteckiego kampusu transparenty z hasłami domagającymi się powrotu „zaginionych” studentów. Czasami, gdy ludzie organizowali protesty, policja spuszczała psy ze smyczy i puszczała w ruch pałki, a wtedy znikali kolejni ludzie.

Kilka dni później pewien student spytał João:

– Znalazłeś coś w książce?

– Tak.

– I co o tym myślisz?

– Myślę, że musimy być bardzo ostrożni – odrzekł João, ale potem dodał: – Podobało mi się to, co przeczytałem.

– Mogę ci podrzucić więcej takich tekstów, jeśli chcesz.

I tak João został członkiem ruchu dążącego do rewolucji. Nie tego oczekiwała odeń jego rodzina. Dorastał w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, podróżując po kraju, przenosząc się z miejsca na miejsce w obrębie rolniczej prowincji kontrolowanej przez dyktaturę.

Jego ojciec był inżynierem mającym za zadanie pozbawiać opornych rolników ich ziemi, by zrobić miejsce pod tamy, które chciał budować rząd i firmy energetyczne. Co rozumiałe, nie cieszył się wielką sympatią i zawsze nosił ze sobą broń.

Rodzina João bezkrytycznie wierzyła w reżimową propagandę, która głosiła, że siły zła chcą przejąć ich kraj i zniszczyć wszystko, w co wierzą. Kiedy podrośł, w rozmowach o polityce nikt nie wykroczył poza ogólne odzwierciedlające ten pogląd i wygłaszane w obronie przed niebezpiecznymi kontrargumentami. „Odnosiłem niejasne wrażenie, że



w kraju działa policja polityczna i że niektórzy ludzie znikają. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. To był temat tabu” – wspomina João.

Po przyjeździe na studia do dużego miasta zaczął w końcu poznawać prawdę. Na przystanku autobusowym spytał jednego ze swych spiskujących towarzyszy o pewien artykuł, który przeczytał w podziemnej gazecie, a jego przyjaciel zaczął wtedy głośno rozprawiać o piłce nożnej. João był skonfundowany. Później, kiedy byli sami, przyjaciel wyjaśnił mu swoje postępowanie: „Ktoś z tajnej policji [...] do nas podchodził. Chciał podsłuchać naszą rozmowę”. João wiedział, że coś się święci, słyszał różne plotki, nie wiedział jednak, kiedy do tego dojdzie.

Wczesnym rankiem 25 kwietnia 1974 roku szwagier João, oficer armii portugalskiej, zadzwonił do swojej żony z wiadomością, która kompletnie ją zaskoczyła<sup>764</sup>. Przygotowywaliśmy rewolucję. Właśnie się rozpoczęła. Czołgi jechały już przez Lizbonę w kierunku skarbcza położonego w centrum miasta. Władze zakazały ludziom wychodzić na ulicę, a radio nadawało wyłącznie muzykę marszową<sup>765</sup>. Jednak João, podobnie jak tysiące innych, ruszył tego ranka prosto do centrum. Było zimno, miasto wstrzymywało oddech. João dostrzegł na rzece okręt, którego działa skierowane były na pałac rządowy. Widział kolumny wojska na ulicach. Najeżone lufami karabinów czołgi stojące na wąskich uliczkach Lizbony wydawały się większe niż w rzeczywistości.

Potem nadeszła chwila, gdy João i wszyscy ludzie stojący wraz z nim na ulicach zrozumieli, że żołnierze nie będą do nich strzelać – już nigdy więcej. Czołgi jadące przez miasto przystanąły, gdy na ich drodze stanęła staruszka, która ustawiała właśnie swój stragan z kwiatami. Uśmiechnęła się i rzuciła czerwony goździk dowódcy pierwszego z czołgów<sup>766</sup>. Gdy nadeszło popołudnie, do żołnierzy podchodziły już tłumy dziewczyn, które wkładały czerwone goździki w lufy ich karabinów. W tym właśnie dniu Portugalczycy przestali się bać. Ludzie wspinali się na czołgi i na nich tańczyli<sup>767</sup>. Dyktatura dobiegła końca.

W kolejnych miesiącach nastąpiła prawdziwa eksplozja debat i demonstracji, wreszcie zaczęły rozkwitać powstrzymywane przez kilka dziesięcioleci nadzieje – trwało prawdziwe święto demokracji. Wyglądało to tak, jakby wszystkie tamy budowane przez ojca João nagle pękły.

Portugalia odbierała lekcję, która miała również ukształtować historię związaną z wojną narkotykową. Nic nie musi trwać w niezmienionej postaci. Jeśli jakiś dogmat się nie sprawdza, to choćby wydawał się potężny

i niewzruszony, zawsze można go odrzucić i ogłosić nowy. Dwie i pół dekady później, na początku XXI wieku, João pomógł poprowadzić Portugalię do czegoś niezwykle i bezprecedensowego. Jak powiedział mi podczas spotkania w 2013 roku: „To rezultat wszystkich procesów, które zaczęły się w 1974 roku”. W roku, gdy João był świadkiem, jak rewolucja goździków obaliła tyranię.

Algarve mogło wreszcie zapomnieć o ponurym milczeniu narzuconym przez dyktaturę i rozpocząć niekończącą się zabawę na plaży. Południowe wybrzeża Portugalii to rajska kraina złotego piasku, żółtego słońca i błękitnej wody, do której jednak stary reżim nie wpuszczał turystów przez pięćdziesiąt lat. Jeszcze zanim nastały lata osiemdziesiąte, tutejsze plaże zaroily się od przybyszów z całej Europy, którzy za dnia prażyli się w słońcu, a nocą pili wódkę. João, który był już wtedy lekarzem rodzinnym, widział, że przez kilka miesięcy w roku miejscowi mieszkańcy zarabiają masę pieniędzy, a także ochoczo dołączają do rozbawionych turystów. Potem, gdy cudzoziemcy wracali do domu, w Algarve robiło się pusto, a ludzie zostawali bez pracy.

W ten sposób powstał dwubiegunowy region, oscylujący między zbiorowym szaleństwem a zbiorową depresją. „Oczywiście widziałem wielu ludzi zażywających podczas zabawy kokainę, ecstasy i tak dalej, ale najwięcej problemów związanych z uzależnieniem powodowała heroina” – wyjaśnia João.

Próbując temu zaradzić, João natknął się na coś, co mogłoby w pewnym stopniu rozwiązać kwestię prohibicji narkotykowej. Przedstawiona poniżej historia opiera się na rozmowach, które przeprowadziłem w 2013 roku z João, jego współpracownikami z portugalskiej służby zdrowia oraz kilkoma spośród leczonych przez niego narkomanów, ale też bazuje na artykułach prasowych związanych z tym tematem.

W latach osiemdziesiątych Portugalia miała ogromny problem z narkomanią, odsetek ludzi uzależnionych od heroiny należał do jednego z najwyższych na świecie. Pewnego dnia do gabinetu João przyszedł młody muzyk i poeta o imieniu Vitor. „To był bardzo inteligentny facet – wspomina João. – Bardzo wrażliwy. Prowadziliśmy długie rozmowy”.

Vitor uważał, że narkotyki uwalniają jego twórczy potencjał. João się z nim nie zgadzał i z czasem – podczas gdy w całym kraju liczba heroinistów rosła w zastraszającym tempie – zdołał przekonać Vitora, by

odłożył strzykawkę. Potem obserwował jego „cudowny powrót do zdrowia”, który służył za przykład innym ludziom.

Dwa lata później Vitor wrócił do João z tajemniczą chorobą. Zmarł w wieku dwudziestu trzech lat. „To była prawdziwa tragedia – mówi João. – Wczoraj dzwoniła do mnie jego matka, ot tak, żeby życzyć mi wszystkiego dobrego. Dzwoni co roku przed Bożym Narodzeniem i zaczyna płakać”.

Przed tą epidemią Portugalia nie miała praktycznie żadnego doświadczenia w walce z narkotykami. Ze względu na dyktaturę nie dotarło tutaj szaleństwo lat sześćdziesiątych<sup>768</sup>, nie istniała więc żadna polityka narkotykowa. O ile konsumpcja narkotyków takich jak marihuana czy kokaina była stosunkowo niska na tle innych państw, o tyle użycie heroiny było wszelkie rekordy<sup>769</sup>. Rząd chciał koniecznie rozprawić się z tym problemem, przedstawiono mu więc stosowaną na całym świecie strategię: kryminalizację, działania policji, kary. Portugalia przyjęła to rozwiązanie z otwartymi ramionami.

Lecz ku zdumieniu władz problem tylko przybierał na sile. João przyjmował coraz więcej heroinistów i osób chorych na AIDS.

„Najpierw po heroinę sięgali ludzie z marginesu, potem jednak dotarła do klasy średniej, a nawet wyższej. W tym czasie trudno było znaleźć portugalską rodzinę, która nie znałaby tego problemu z własnego doświadczenia lub nie spotkała się z nim wśród znajomych” – mówi João.

Na początku lat dziewięćdziesiątych uzależniony od heroiny był jeden na stu Portugalczyków<sup>770</sup>. Ludzie bali się prosić o pomoc, choć służba zdrowia takową oferowała. Zdesperowani narkomani przychodzili do kliniki João, ale nie chcieli podawać swoich nazwisk ani danych kontaktowych. Wiedzieli, że trwa wojna, a oni są wrogami państwa. „Nie wiedzieliśmy, co robić. Wydawaliśmy miliony, ale nie przynosiło to żadnych skutków” – o tym okresie opowiadał João w wywiadzie prasowym<sup>771</sup>.

João założył więc pierwszy w historii Algarve ośrodek leczenia dla narkomanów, wychodząc z założenia, że ludzie uzależnieni potrzebują pomocy, a nie pogardy. Jego personel leczył setki pacjentów, obserwując, jakie działania są skuteczne, a jakie nie, i doskonalił w ten sposób formy terapii. Dlatego w 1997 roku powierzono João kierowanie leczeniem narkomanów w całym kraju, a w roku 1999 rząd poprosił go, by pełnił rolę niezależnego eksperta w komisji złożonej z dziewięciu lekarzy i sędziów

oraz naukowca, który jej przewodniczył. Komisja miała za zadanie przygotować całościowy plan rozwiązania problemu narkotykowego.

Członkowie komisji mieli wolną rękę, mogli analizować problem od zera, co oznaczało, że mogli również wziąć pod uwagę pewne oczywiste fakty, ignorowane od wielu lat w innych krajach. Po pierwsze, zauważyli, że ogromna większość dorosłych ludzi, którzy korzystają z narkotyków, nie ma z tym problemu: robią to dla przyjemności i nie uzależniają się. Uznano więc, że władze nie muszą się przejmować tymi ludźmi, a jedynie podsuwać im rady dotyczące bezpiecznego użytkowania narkotyków. Po drugie, Portugalia wypróbowała już strategię „terrorystyczną” – jak nazywa ją João – zapoczątkowaną przez Anslingera: zastraszanie narkomanów i nakładanie na nich surowych kar. João wiedział z doświadczenia, które zdobył w klinice, że „to najlepszy sposób, by nakłonić ich do dalszego zażywania. Upokarzanie, wsadzanie do więzienia – właśnie tak można sprawić, by znienawidzili system i nie chcieli być normalni”.

Portugalczyki chcieli zatem spojrzeć na problem z innej perspektywy, w bardziej przemyślany sposób. João już dawno zaobserwował, że osoba uzależniona „jest zawsze rozdarta między [...] pragnieniem dalszego zażywania narkotyków a chęcią zerwania z nałogiem”. Jednak system prohibicji rzuca narkomanowi kłody pod nogi, utrudniając zadanie tej stronie jego osobowości, która chce odejść od narkotyków.

„To było bardzo frustrujące” – mówi João, odnosząc się do sytuacji, gdy pacjent walczył dzielnie, by wyjść na prostą, lecz w końcu stwierdzał: „Jakie życie mnie teraz czeka? Nie jestem przygotowany. Nie mam dokąd pójść”.

Dlatego João i jego współpracownicy zaproponowali budowę systemu opartego na całkiem odmiennej koncepcji: chcieli oferować narkomanom „możliwość rozpoczęcia nowego życia” i dać im „przyjemność” zamiast bólu. Jako lekarz João zawsze „starał się zrozumieć, co takiego stało się w przeszłości” narkomana, że codzienne życie jest dla niego nie do zniesienia, i próbował pomóc mu poradzić sobie z tym problemem, okazując współczucie i wspierając go w budowaniu nowego życia. Eksperci zastanawiali się wówczas: skoro taki jest cel wszystkich dobrych lekarzy, dlaczego nie może się on stać również celem polityki rządu?

Po zakończeniu obrad komisja przygotowała raport z zaleceniami opartymi na tych właśnie spostrzeżeniach. W raporcie napisano, że „użytkownicy narkotyków powinni być traktowani jako pełnoprawni

członkowie społeczeństwa, a nie wyrzucani poza jego nawias jako przestępcy czy pariasi”<sup>772</sup>. Zamiast „dążyć do nieosiągalnego ideału w postaci zerowej konsumpcji narkotyków”, powinno się zdekriminalizować wszystkie takie środki. Decyzja o zażyciu substancji chemicznej nie powinna być przestępstwem, podobnie jak samo uzależnienie. Wszystkie pieniądze wydawane dotąd na aresztowanie, sądenie i karanie narkomanów powinno przeznaczyć się na edukację dzieci i leczenie uzależnionych.

Ku zdumieniu wielu ludzi portugalski parlament przedyskutował gruntownie cały raport. Jeden z najważniejszych członków portugalskiego rządu miał brata uzależnionego od heroiny<sup>773</sup> – João pojechał z nim do kilku miejsc w Europie, gdzie narkomanów traktuje się z mniejszym okrucieństwem. Ów polityk stał się jednym z najgorętszych zwolenników nowej polityki narkotykowej. Ogromna skala problemu w Portugalii sprawiła, że udało się przekonać ludzi do tego projektu znacznie łatwiej, niż przypuszczano.

„W społeczeństwie już wcześniej istniało przekonanie, że narkoman jest raczej człowiekiem chorym niż przestępcą. Ludzie mówili: »Mój syn jest przecież dobrym dzieckiem, nie kryminalistą. Jest kimś, kto potrzebuje pomocy«” – opowiada João.

W ten sposób w 2001 roku w Portugalii oficjalnie skończyły się prześladowania narkomanów i osób uzależnionych. Nowe prawo głosiło, że ludzie zażywający narkotyki rekreacyjnie „przede wszystkim nie powinni być piętnowani ani marginalizowani”<sup>774</sup>, a państwo powinno zajmować się narkomanami tylko po to, by „zachęcać ich do podjęcia leczenia”. Posiadanie drobnej ilości narkotyków (zapas na maksymalnie dziesięć dni osobistego użytku) nie było już przestępstwem.

Trzeba pamiętać, że o ile posiadanie i zażywanie narkotyków było już dozwolone, nielegalna pozostała sprzedaż takich środków. Aby zalegalizować i uregulować sprzedaż narkotyków, Portugalia musiałaby – jako pierwszy kraj w historii – odrzucić konwencje ONZ preforsowane przez Anslingera. Taki krok wywołałby falę sankcji i nacisków ze strony innych państw. Utrzymanie zakazu handlu narkotykami oznaczało, że nadal będą się tym zajmowały zbrojne gangi, ale komisja i parlament uważały, że i tak podjęły najodważniejszą decyzję, na jaką mogły sobie w tej sytuacji pozwolić – od czasu wprowadzenia prohibicji narkotykowej żaden inny kraj nie posunął się tak daleko.

Na całym świecie, a także wśród niektórych prawicowych partii w Portugalii podniosły się głosy, że wprowadzenie takiej ustawy doprowadzi do katastrofy<sup>775</sup>. Szef lizbońskiego wydziału antynarkotykowego João Figueira uważał, że „dojdzie do eksplozji konsumpcji, wielu ludzi zacznie zażywać narkotyki, a sytuacja wymknie się spod kontroli”. W wypowiedziach zwolenników prohibicji na całym świecie dominował ton: „Poczekajcie tylko, sami się przekonacie”.

Podczas rozmowy w jego gabinecie Goulão powiedział mi, że portugalska rewolucja narkotykowa miała dwa wymiary. Komisja nie tylko zniosła kary i pozwoliła ludziom podejmować decyzję, ale też wykorzystwała ogromną maszynę wojny narkotykowej, zmieniając ją w równie wielką maszynę wprowadzania pokoju. „Bardzo ważnym skutkiem dekryminalizacji był rozwój wszystkich innych działań” – powiedział João.

W Stanach Zjednoczonych dziewięćdziesiąt procent pieniędzy przeznaczonych na wojnę z narkotykami wydaje się na egzekwowanie prawa i karanie, a tylko dziesięć procent na leczenie i zapobieganie. W Portugalii proporcje te wyglądają dokładnie odwrotnie<sup>776</sup>. W brooklyńskiej dzielnicy Brownsville, gdzie mieszkał Chino, państwo wydaje milion dolarów na każde pięć osób aresztowanych i skazanych za przestępstwa narkotykowe<sup>777</sup>: tyle kosztowało usunięcie na jakiś czas z ulicy gangu Souls of Mischief. Dzięki temu, co zrobił João, w Portugalii wykorzystuje się te pieniądze zupełnie inaczej.

João wierzył, że jeśli uzależnienie nie będzie już przestępstwem, które piętnuje i okrywa hańbą narkomanów, uda się ich wciągnąć w życzliwą sieć opieki, leczenia i wsparcia<sup>778</sup>. Chciałem, by było to prawdą. Ale czy było?

Pewnego pochmurnego dnia wchodzę do niepozornego, nieoznakowanego budynku stojącego naprzeciwko siedziby banku Santander. W jednym z korytarzy czeka otulony dużą parką siedemnastolatek z postawionymi na sztorc włosami. Przed chwilą skończył godzinną rozmowę z psychologiem, a teraz Nuno Capaz – wysoki socjolog po trzydziestce – wzywa go do małej sali konferencyjnej.

Jednym z najważniejszych punktów systemu stworzonego przez João i jego współpracowników było rozróżnienie pomiędzy dziewięćdziesięcioma procentami ludzi, którzy zażywają narkotyki i nie mają z tym żadnego problemu, więc należy ich zostawić w spokoju, oraz dziesięćdziesięcioma procentami tych, którzy się uzależniają i potrzebują pomocy.

Należało więc stworzyć mechanizm, który oddzieli nałogowców od zwykłych użytkowników. Rozwiązanie kryje się w tej właśnie małej sali i dziesiątkach do niej podobnych, rozsianych po całym kraju. Zbiera się tu tak zwana Komisja Doradcza. Policja nie zajmuje się wyszukiwaniem osób zażywających narkotyki, ale jeśli przypadkiem znajdzie kogoś takiego, wypisuje odpowiedni kwit, a użytkownik musi się stawić następnego dnia w takim właśnie miejscu. Komisja ma jedynie za zadanie ustalić, czy dana osoba ma problem z narkotykami<sup>779</sup>. Można tam rozmawiać całkiem szczerze, bo wszystko objęte jest tajemnicą i nie ściągnie na przesłuchiwanego żadnych konsekwencji karnych.

Jeśli rozmowa z psychologiem w sąsiednim pokoju dowiedzie, że dana osoba nie jest uzależniona, prowadzi się ją przed oblicze komisji, gdzie zostaje poinformowana o zagrożeniach związanych z narkotykami i o tym, jak bezpiecznie z nich korzystać – na przykład nie robić tego samotnie, jeśli ktoś źle reaguje na dany środek – a potem zwolniona.

Nuno, który nadzoruje nieformalne przesłuchania, podkreśla, że ogromna większość ludzi trafiających do tego miejsca używa narkotyków tylko dlatego, że to lubią. „Nie mają z tym problemów, robią to, bo czują się potem dobrze. Nie musimy ich leczyć ani wsadzać do więzienia. Oczywiście muszą zachować ostrożność, ale nie potrzebują lekarza ani strażnika więziennego, ani interwencji prawa”.

Nuno podaje mi przykład pewnego faceta, który pracował w barze i zażywał kokainę w pierwszą sobotę każdego miesiąca – nigdy w żaden inny dzień. Uwielbiał to i właśnie dlatego wiedział, że musi się ograniczać, by do końca życia móc opierać się pokusie. Nuno mówił mu: „Uważaj. Trzymaj się tego. Zażywaj tylko raz w miesiącu, w towarzystwie ludzi, którzy tego nie robią, bo możesz mieć atak”. Takimi właśnie radami w dziewięciu na dziesięć przypadków kończą się spotkania z komisją.

Przysłuchuję się dwudziestominutowej rozmowie Nuno z nastolatkiem w parce, na którego natknęła się policja, gdy palił marihuanę na ulicy. Nuno tłumaczy, że marihuana ma zły wpływ na pamięć i koncentrację, co w znacznej mierze przeszkadza w nauce. Chłopiec się z nim zgadza, prosi o jakąś literaturę na ten temat i wychodzi. To wszystko.

„Kiedy mamy do czynienia z nieletnimi – tłumaczy Nuno po wyjściu siedemnastolatka – w wielu przypadkach staramy się uspokoić ich rodziców. Często zdarza się, że rodzice dzieciaka, który miał przy sobie 0,3 g haszyszu, wpadają w panikę: »Zostanie narkomanem! Zrujnuje rodzinę!«.



Odpowiadamy wtedy: »Proszę się uspokoić [...], w większości przypadków dzieciaki rezygnują z haszyszu i nie zażywają niczego innego, albo nie mają z tego powodu żadnych problemów psychologicznych i fizycznych, więc nie róbmy z tego afery«. Szczególnie w przypadku nieletnich musimy poświęcać więcej uwagi rodzicom niż dziecku, bo ono zazwyczaj jest od nich znacznie lepiej poinformowane».

Nuno mówi też, że jeśli ktoś zostanie uznany za bezproblemowego użytkownika narkotyków, nie wróci przed Komisję. „Chyba że masz naprawdę wyjątkowego pecha albo sam chcesz, by cię złapano. Policja nie zatrzyma cię bez powodu na środku ulicy i nie każe ci pokazać, co masz w kieszeniach” – dodaje.

Użytkownicy zostają skierowani na przesłuchanie tylko wtedy, gdy ostentacyjnie zażywają narkotyki w miejscach publicznych lub gdy policjanci przypadkiem znajdą u nich narkotyki, na przykład podczas przesłuchania podejrzanych po bójce ulicznej. „Bardzo trudno zostać schwytanym więcej niż raz” – twierdzi Nuno.

Jeśli jednak dojdzie do takiej sytuacji, Komisja może nałożyć niewielkie grzywny – norma to 80 euro. „Będzie to najdroższy joint, jakiego wypalił złapany pechowiec, ale można powiedzieć, że to całkiem symboliczna kara”.

Jeśli jednak przesłuchanie wykaże, że taka osoba korzysta z narkotyków w niebezpieczny sposób – na przykład używając wraz z innymi tych samych strzykawek – zostanie ona skierowana do punktu wymiany strzykawek lub do innych miejsc, w których personel medyczny ma zadanie chronić zażywających narkotyki przed chorobą i śmiercią.

Tym spośród dziesięciu procent użytkowników, którzy popadli w uzależnienie, Nuno ma udzielić „informacji bez osądzania” i skierować ich do odpowiednich służb, których zadaniem jest utrzymać ich przy życiu i wyleczyć. „Jeśli chodzi o leczenie, nie możemy nikogo do niczego zmuszać” – mówi Nuno.

Kiedy jednak ktoś zdecyduje się na pomoc, jest ona dostępna od ręki<sup>780</sup>. „Jeżeli dana osoba pojawi się u nas o dziesiątej rano, możemy zapisać ją na badania w ośrodku na pierwszą po południu”. Każdy narkoman, który trafi do gabinetu Nuno i stwierdzi, że chce zerwać z nałogiem, zostanie wysłany na darmowe leczenie do ośrodka terapeutycznego w Taipas.

Na macie w sali gimnastycznej leży sześciu narkomanów, którzy poddają się łagodnemu masażowi. Niektórzy mają zamknięte oczy, inni patrzą w bok i lekko się uśmiechają. Jak mówi mi jedna z pielęgniarek, masaże mają im pomóc radzić sobie z bólem odstawienia, ale mają też inną, ważniejszą funkcję. Pomagają im uczyć się relaksować bez wspomagania środkami chemicznymi, często po raz pierwszy w życiu.

Dowiaduję się, że program ten opracowano w oparciu o wyrażone przez João przekonanie, że „korzystanie z narkotyków jest tylko objawem jakiegoś cierpienia, a my musimy dotrzeć do powodów”, dla których narkomani przez większość czasu nie chcą mieć kontaktu z rzeczywistością. „Możesz przestać zażywać narkotyki na jakiś czas, ale jeśli nie rozwiążesz problemów, które kryją się w twojej głowie, wszystko powróci. Musimy popracować nad traumą w twoim życiu, dopiero wtedy będziesz mógł zmienić sposób, w jaki sobie z nią radzisz”.

Instytucja ta ma więc za zadanie „ułatwić [narkomanom] kontakt z własnym wnętrzem, analizować samych siebie, by w pełni zrozumieć własne reakcje”<sup>781</sup>. Podczas półtorarocznej terapii odwykowej zespół próbuje stworzyć bezpieczne, budzące zaufanie środowisko, w którym można zrobić coś, przed czym uciekało się przez lata – mianowicie wyrazić swoje emocje i szczerze opowiedzieć swoją historię.

Często zaczyna się od podstawowych działań. Wracający do zdrowia nałogowcy grają w grę opartą na *Pictionary*, podczas której muszą robić miny wyrażające emocje, takie jak złość czy smutek. Początkowo wielu z nich odmawia: to dla nich zbyt przerażające. Boją się dopuszczać do siebie podobne emocje nawet w zabawie, choćby przez krótką chwilę. Dlatego właśnie tak często i tak długo się odurzają: by uciec przed przerażeniem i utratą kontroli, jakie niosą ze sobą te emocje.

W trakcie innego ćwiczenia przewracają się do tyłu, wiedząc, że stojący za nimi ich złapią. Dla narkomanów jest to rzecz niewyobrażalna, więc często również odmawiają wykonania tego polecenia. Nie potrafią nikomu zaufać – lecz powoli uczą się, że można analizować te emocje, zamiast się odurzać. Zdaniem João na tym polega sens terapii.

Obserwuję ich, jak bawią się w te dziecięce gry i na nowo uczą się odczuwać. Jednocześnie myślę o kobietach w Mieście Namiotów i w więzieniach rozsianych po całych Stanach Zjednoczonych, które uczą się jedynie odcinać od swoich uczuć. Próbuję wyobrazić sobie matkę Chino uczącą się tutaj, jak być blisko swoich emocji.

Wkrótce miałem jednak odkryć, że to tylko pierwszy etap wsparcia dla narkomanów w Portugalii – i wcale nie najważniejszy.

João uważa, że uzależnienie jest wyrazem rozpaczki, a najlepiej radzić sobie z nią, oferując komuś lepsze życie, w którym nałogowiec nie musi się już stale znieczulać. Do tego celu można dojść, posługując się raczej nagrodami niż groźbami. Należy im gratulować. Dawać wybór. Pomagać w budowaniu życia.

Takie rozumowanie stoi za drugą i najważniejszą fazą terapii dla narkomanów w Portugalii. Kiedy już zrobisz tych kilka pierwszych, najodważniejszych kroków i trafisz do Taipas lub podobnego ośrodka, rząd postara się znaleźć ci pracę z przyzwoitą płacą, z dala od świata, w którym używałeś narkotyków.

„Oni chcą być częścią społeczeństwa – mówi mi João. – Nie możemy im kazać, by zachowywali się jak przyzwoici obywatele, a jednocześnie pozbawiać ich [...] roli w społeczeństwie: zawodu, pracy, zarobków”. João chce dać im coś, co mogą stracić.

Dlatego rząd przez rok zwalnia z podatku każdego, kto zatrudni wracającego do zdrowia narkomana. Niemal zawsze pod koniec tego roku pracodawca zatrzymuje byłego nałogowca w swojej firmie, bo okazuje się, że to całkiem dobry pracownik.

Kiedy João przeprowadzał się ostatnio z całą rodziną, wynajął firmę przeprowadzkową, która powstała przy pomocy jego departamentu. Dziesięciu wracających do zdrowia narkomanów stworzyło spółdzielnię, a rząd udzielił im bardzo nisko oprocentowanej pożyczki na zakup ciężarówki. Żona João trochę się denerwowała, ale byli narkomani spisali się bardzo dobrze, o czym João mówi z nieskrywaną dumą.

„Z grupy dziesięciu osób niektórzy oczywiście wrócą do nałogu, ale teraz chronią ich pozostali. Pomogą im poradzić sobie z tym problemem. Będą nalegać: idź do lekarza, idź teraz, jak najszybciej, spróbuj przestać, potem znów będziesz mógł do nas wrócić. Dbają o siebie nawzajem jako grupa” – dodaje João.

Po naszej rozmowie przychodzi mi do głowy, że to metoda całkowicie odmienna od prohibicji. W czasie wojny z narkotykami robi się bowiem wszystko, by narkomani nie mogli znaleźć pracy, piętnując ich szkarłatną literą karalności. Natomiast w czasie pokoju ułatwia się wracającym do zdrowia narkomanom zdobycie pracy, wspierając ich subsydiami –

ponieważ to powstrzyma ich od powrotu do nałogu skuteczniej niż groźba więzienia.

Jeśli nie jesteś gotów rzucić narkotyków, możesz liczyć na inny rodzaj wsparcia.

W mglisty piątkowy poranek pojechałem metrem na osiedle mieszkaniowe na obrzeżach Lizbony. Tutejsze mieszkania, zbudowane jedno na drugim z kolorowych cegieł – całość przypominała jakiś dystopijny model Lego – były jeszcze mniejsze niż w innych częściach miasta. Ze ściany patrzył na mnie wielki mural przedstawiający jakiegoś nieznanego mi rapera, a z okien na dziewiątym piętrze spoglądało kilka kobiet, które rozwieszały wypraną bieliznę. Nad ziemią unosiły się wstęgi mgły, musiałem więc wyteńczyć wzrok, by dojrzeć nazwy ulic. Były mało poetyckie. Zorientowałem się, że idę właśnie wzdłuż Avenida Cidade de Bratislava.

Nieco dalej, przy ruchliwej drodze mgła już rzedła, dostrzegłem więc białą furgonetkę z otwartym oknem i stojącą przy niej krótką kolejkę kobiet i mężczyzn, którzy gawędzili między sobą.

Wręczano im małe białe kubki zawierające metadon. Połykali go, a potem rozmawiali ze stojącymi obok psychologami i lekarzami, którzy słuchali ich z uwagą i współczuciem. Potem odchodzili, wracając do swoich spraw.

„Po zażyciu tego środka narkoman nie czuje uniesienia, jak po zwykłym narkotyku, ale nie cierpi też ze względu na brak heroiny. [...] Może więc bez przeszkód pracować, uczyć się, robić, co zechce. Nawet prowadzić ciężarówkę: mamy kilku kierowców ciężarówek zażywających metadon” – mówi mi João.

Stałem razem z pracownikami opieki społecznej i słuchałem ich rozmów. Szybko zrozumiałem, że ich cele są skromniejsze niż w przypadku ośrodka Taipas. Tutaj zajmowano się narkomanami, którzy uważali, że nie są jeszcze gotowi na zerwanie z nałogiem, i którym groziła śmierć z przedawkowania lub na skutek choroby przeniesionej przez brudne strzykawki.

Nuno Biscaia, psycholog po trzydziestce, najwyraźniej znał po imieniu wszystkich, którzy tu przychodzili, i zdążył zaprzyjaźnić się z nimi na przestrzeni lat. Kiedy już słońce przegoniło mgły, rozmawiałem z nim przez kilka godzin. Mówił, że dobry dzień w pracy to taki, kiedy uda mu się

przekonać jednego z narkomanów, by przerzucił się ze wstrzykiwania heroiny na palenie. Spojrzałem na kolejkę uzależnionych – stał tu między innymi wysoki młody mężczyzna, który mówi trzema językami, przygnębiona kobieta po czterdziestce, rozgniewany facet, który prowadził obok siebie motocykl i nie chciał ze mną rozmawiać – i zacząłem się zastanawiać, ilu z nich zostałoby przy życiu, gdyby pozbawiono ich tej pomocy.

Niektórzy ludzie twierdzą, że w Portugalii nie trzeba było wcale dekryminalizować narkotyków, by uruchomić taką formę leczenia. Można było to zrobić *pomimo* kryminalizacji. Dopiero gdy stałem obok kolejki nałogowców czekających na metadon, uświadomiłem sobie, jaki błąd tkwi w takim rozumowaniu. Ci portugalscy narkomani stali na otwartej przestrzeni, gdzie mogli ich zobaczyć przyjaciele, sąsiedzi i pracodawcy. Gdy odbierali lek, obok przejechał policyjny radiowóz: nikt się nie wystraszył, nikt nawet nie zwrócił na niego większej uwagi – oprócz mnie. Czy przychodziliby tu codziennie rano, dając wszystkim do zrozumienia, że są przestępcami?<sup>782</sup>

Kilka dni później poszedłem w teren z innym zespołem, który niósł pomoc narkomanom w najtrudniejszej sytuacji – ludziom, którzy żyli na ulicach lub w porzuconych budynkach. Kiedy szliśmy między chyłącymi się ku upadkowi ruderami i szłasami skleconymi z odpadków, pracownicy opieki społecznej powiedzieli mi, że przed rewolucją narkotykową João ci ludzie uciekali przed nimi, a teraz do nich biegną. Narkomani podchodzili, by wymienić igły i strzykawki, by porozmawiać, by powiedzieć, że zastanawiają się nad podjęciem leczenia. Ich reakcje były tak odmienne od tego, co poznałem w krajach objętych prohibicją, że nie mogłem wyjść ze zdumienia. Nie widzicie, że to przedstawiciele władz? Uciekajcie!

Chciałem zrozumieć długofalowe skutki tego podejścia do narkomanów. W Porto, drugim co do wielkości mieście Portugalii, poznałem człowieka, który wydawał się uosobieniem tych skutków.

Pewnego dnia, gdy wojna z narkotykami w Portugalii dobiegała już końca, Sergio Rodrigues spał w opuszczonym, pozbawionym dachu domu. Obudził go nagły ból.

Ktoś kopał go mocno po całym ciele, raz za razem.

Wiedział, co się dzieje. Wszyscy uliczni narkomani w Portugalii nie raz znaleźli się w podobnej sytuacji.

Bili go policjanci, dla zabawy, dla sportu, bo to jest wojna, a narkomani są wrogami.

„Wynoś się stąd!” – warczeli.

Sergio był narkomanem od jedenastu lat. Wstrzykiwał sobie heroinę i kokainę pięć, dziesięć, dwadzieścia razy dziennie, na ile tylko było go stać, by jak najdłużej ogłuszać swoją świadomość. Wychował się w jednej z najbiedniejszych dzielnic Porto, wśród klaustrofobicznych betonowych ulic, stanowiących dziwną mieszankę szesnastowiecznych budynków i przestępczości XXI wieku. Wszyscy rówieśnicy Sergia z okolicy wystawali na tym starym europejskim bruku, by sprzedawać lub wciągać kolumbijską kokainę. Wszyscy jego bracia byli uzależnieni.

Sergio miał szesnaście lat, gdy zaczął się odurzać. Nie miał pojęcia, kiedy skończy, ale przypuszczał, że wkrótce. Jego przyjaciele z ulicy umierali jeden po drugim. Czasami pytał, gdzie podziewa się taki czy inny znajomy, bo nie widział go od jakiegoś czasu, lecz w rzeczywistości znał już odpowiedź.

Jednak ze względu na zmianę prawa wprowadzoną przez João, Sergia zaczęła wkrótce szukać całkiem inna grupa ludzi. João i jego komisja wiedzieli, że ludzie tacy jak Sergio – odcięci od społeczeństwa, zastraszeni przez policję, obarczeni doświadczeniem wojny narkotykowej – nie będą chcieli się z nimi kontaktować, więc w ramach polityki rewolucyjnej wprowadzili inną formę pomocy. Zatrudnili uliczne zespoły psychologów, którzy mieli przeszukiwać zrujnowane domy, baraki i inne zakamarki, gdzie zwykle mieszkują narkomani, by zaoferować im pomoc. Początkowo pomoc ta ograniczała się jedynie do wymiany starych strzykawek na nowe<sup>783</sup>.

Z czasem w trakcie tych wymian pracownicy socjalni i narkomani zaczęli prowadzić coraz dłuższe rozmowy, a potem nawiązywali trwalsze relacje. Członkowie zespołów doradzali nałogowcom, jak powinni robić sobie zastrzyki, by zachować choć minimum bezpieczeństwa, i jak unikać chorób. Potem zaczęli im subtelnie tłumaczyć, że istnieje – dostępne dla każdego, kto tego zechce – wyjście z tej sytuacji.

Czasami zasiane przez pracowników socjalnych ziarno kiełkowało po kilku latach, a niekiedy z ich pomocy korzystano od razu. Odkąd zniesiono kary, ludzie pokroju Sergia skłonni byli słuchać porad. Oblicze władzy się zmieniało. Miejsce policjantów z pałkami zajęli niosący pomoc psychologowie<sup>784</sup>.

Taki właśnie uliczny zespół namówił Sergia, by wybrał się do ośrodka na leczenie odwykowe i zerwał z nałogiem. Poszedł. Spróbował. Nie pomogło, nie mógł się uwolnić od heroiny.

Pomimo tej porażki zespół pracowników społecznych nie spisał go na straty. Spróbowano innego podejścia w nadziei, że sprawdzi się lepiej. Skierowano Sergia na długoterminowy program zwany „społecznością terapeutyczną” – brał w nim udział przez półtora roku, regularnie spotykał się z psychologiem i codziennie otrzymywał metadon zamiast heroiny.

Sergio znalazł pracę. I miłość. Jego dziewczyna zaszła w ciążę. W miarę jak wzmacniały się więzi łączące go ze światem, słabła i zanikała dotychczasowa więź z narkotykiem. W końcu postanowił zrezygnować z metadonu. Teraz korzysta tylko z marihuany i kokainy, ale bardzo rzadko, właściwie tylko na imprezach.

„Moje życie zmieniło się całkowicie” – powiedział Sergio, gdy spotkaliśmy się w pretensjonalnej kafejce w Porto, gdzie w rogu ktoś grał na pianinie, a usłużny kelner kłaniał się nam przy każdej okazji. Sergio nie różnił się niczym od pozostałych klientów. Płacił podatki i cały się rozpromieniał, wspominając o tym, że wkrótce zostanie ojcem. Podczas naszej rozmowy nie mogłem uwolnić się od myśli, że w krajach, gdzie wciąż toczy się wojna z narkotykami, nadal byłby uważany za przestępcę i nieudacznika.

Kiedy wyszliśmy na brukowane ulice, na których niegdyś spał, brudny i załamany, Sergio pomachał mi na pożegnanie i wrócił do życia, które otworzył przed nim koniec wojny narkotykowej.

Tak, rozmyślałem, sytuacja narkomanów na pewno jest lepsza. Tego się spodziewałem. Ale co z dziećmi? Mam dobry kontakt z moimi bratankami i bratanicą – zadedykowałem im tę książkę – i pomimo wszystkich okropieństw, jakie niesie ze sobą wojna narkotykowa, zawsze obawiałem się przede wszystkim, że po jej zakończeniu wzrośnie liczba dzieci sięgających po narkotyki. To zniszczyłoby je pod wieloma różnymi względami, ale wystarczy jeden: badania naukowe dowodzą jednoznacznie, że stałe korzystanie z marihuany wpływa negatywnie na rozwój mózgu nastolatka i może trwale obniżyć jego współczynnik inteligencji<sup>785</sup>. Jeden z moich najlepszych przyjaciół z czasów dzieciństwa palił naprawdę dużo i teraz uważa, że wyrządziło mu to krzywdę na całe życie. Może mieć rację.



Rozwijające się mózgi są wrażliwsze niż mózgi dorosłych: trzeba je chronić.

W szkole średniej imienia Romeu Correia w klasie pełnej portugalskich szesnastolatków<sup>786</sup>, obserwujemy, jak dziewczyna o imieniu Sabrina po raz pierwszy w życiu ma okazję spróbować kokainy. Jest wysoka, szczupła i olśniewająca, chce zostać supermodelką. Mężczyzna, który częstuje ją białym proszkiem, ma dwadzieścia kilka lat, jest przystojny i uwodzicielski. Klasa wspólnie dyskutuje o tym, co Sabrina powinna zrobić. Pójść z nim? Wciągnąć kokainę?

Oto dzieci rewolucji narkotykowej. Miały pięć lat, gdy zdekryminalizowano wszystkie narkotyki, nie doświadczyły więc wojny z narkotykami. W przypadku wielu dzieci z mojego pokolenia, dorastających w latach osiemdziesiątych, edukacja narkotykowa ograniczała się do stwierdzenia, że jeśli spróbujesz narkotyków, zrujnujesz sobie życie. Gdy tylko wypaliłeś pierwszego spliffa i przeżyłeś, uznawałeś swoich nauczycieli za kłamców i przestawałeś ich słuchać – nawet jeśli mieli rację. Gdy Portugalia zmieniła prawo narkotykowe, porzuciła również stare programy profilaktyczne typu „Powiedz NIE” i zastąpiła je czymś całkiem innym.

Nauczycielka Luz Baiao wyjaśnia uczniom, że mogą teraz szczerze rozmawiać o tym, co ich zdaniem powinna zrobić Sabrina. Ponieważ temat ich rozmowy już od wielu lat nie jest przestępstwem, nie mają żadnych zahamowań. Wpatrują się w tablicę, na której rozpisano scenariusz.

Jeden z chłopców mówi, że zażycie kokainy byłoby bardzo ryzykowne, bo jest bardziej uzależniająca niż marihuana, której próbował kilka razy na imprezach z przyjaciółmi. Całe życie jest ryzykowne, ripostuje inny chłopiec. Owszem, włącza się dziewczyna, ale to nie powód, żeby podejmować niepotrzebne ryzyko.

Niektóre dzieci chichoczą, rozbawione lub zawstydzone tematem, lecz naprawdę angażują się w dyskusję. Wygląda na to, że nastolatki często prowadzą podobne rozmowy. Pamiętam, jak i my rozmawialiśmy na takie tematy w ich wieku – w autobusach, w parku, na imprezach – lecz byliśmy wtedy sami i mogliśmy dzielić się jedynie naszą ignorancją.

Luz spokojnie moderuje rozmowę. Słucha. Nie okazuje zdumienia ani nikogo nie osądza. Kiedy więc zaczyna mówić o prawdziwych zagrożeniach związanych z zażywaniem tego narkotyku, dzieciaki słuchają jej uważnie, właśnie dlatego, że nie próbuje im niczego narzucać.

Po dyskusji klasa dochodzi do wniosku, że Sabrina postąpiłaby głupio, zażywając kokainę, i w głosowaniu proponują, by odmówiła. To decyzja, którą podjęli samodzielnie. Nie wydaje mi się, żeby chcieli w ten sposób przypodobać się nauczycielce. Wyrażają własne zdanie. Społeczna dezaprobatą dla twardych narkotyków nie umarła wraz ze starym prawem narkotykowym. Być może teraz jest nawet silniejsza, bo zażywanie narkotyków nie jest już wyrazem buntu.

To podejście pozwala decyzje nastolatków poddać dyskusji z udziałem dorosłych. Nie trzeba już udawać, że taki problem nie istnieje. W Portugalii dylematy nastoletniego życia nie zamykają się w kokonie dziecięcego świata: są obecne w rozmowach z rodzicami i nauczycielami, kształtują się pod wpływem rad, jakie dają rodzice. Tam, gdzie kończy się kryminalizacja, może się zacząć nowa, bardziej szczerą rozmowa.

Obserwując tych uczniów, dochodzę do wniosku, że filozofia kierująca tymi lekcjami przenika wszystkie reformy, jakich dokonano w Portugalii od 2001 roku. Prohibicja ma powstrzymać ludzi od zażywania narkotyków poprzez zastraszanie i korzystanie z rozwiązań siłowych. Portugalska alternatywa opiera się na przekonaniu, że narkotyki nie znikną, więc należy dać ludziom narzędzia do samodzielnej walki z tym zagrożeniem – pewność siebie, wiedzę, wsparcie – by mogli podejmować właściwe decyzje bez nacisków z zewnątrz.

Rozlega się dzwonek, uczniowie wychodzą z klasy. Przed chwilą odbyli poważną rozmowę z dorosłymi, podczas gdy moje pokolenie mogło jedynie liczyć na lekcję straszenia i grożenia palcem.

Tak właśnie wygląda dojrzałe podejście, za jakim liberałowie opowiadali się od lat. Kiedy jednak patrzysz na realizację swoich projektów w praktyce, budzi się w tobie dziwny lęk. A jeśli zawiodą? A jeśli po zakończeniu wojny narkotykowej nastąpi eksplozja narkomanii? A jeśli karanie ludzi rzeczywiście skutecznie zniechęca innych do sięgania po narkotyki? A jeśli jeszcze więcej ludzi popadnie w uzależnienie, jak wielu moich bliskich? A jeśli pojawią się jakieś inne fatalne skutki, których teraz nie jestem nawet w stanie przewidzieć?

Tego rodzaju wątpliwości i ostrzeżenia, poprzedzające portugalską rewolucję narkotykową, padały szczególnie często z ust jednego człowieka. Jest nim João Figueira, szef lizbońskiego wydziału antynarkotykowego, portugalski odpowiednik szefa amerykańskiej agencji rządowej DEA – Drug

Enforcement Administration [Agencja Legalnego Obrotu Lekarstwami] – lub głównego inspektora wydziału narkotykowego Scotland Yardu. Figueira jest małomównym mężczyzną o łagodnym usposobieniu. Ma sumiaste wąsy, niczym u mężczyzn z wiktoriańskich powieści. Wita mnie w ponurym korytarzu, gdzie blask świetlówek nadaje ścianom komisariatu nieprzyjemny błądy odcień. Wchodzimy do ciasnej windy i jedziemy na piętro, do jego gabinetu.

Wyrażając swoje obawy w czasie dekryminalizacji, Figueira przemawiał również w imieniu wielu zaniepokojonych Portugalczyków. Jak już wspomniałem, ostrzegał on, że jeśli zniesie się kary za używanie i posiadanie narkotyków, „dojdzie do eksplozji konsumpcji, [...] wielu ludzi zacznie zażywać narkotyki, a sytuacja wymknie się spod kontroli”.

Jego ludzie lepiej niż ktokolwiek inny widzieli zmiany zachodzące na ulicach – oglądali je każdego dnia z bliska. Jeśli mam być całkiem szczerzy, muszę przyznać, że niektórzy spośród ludzi wspierających reformę narkotykową również podzielali ich obawy.

João Figueira śledził więc zmiany z bliska, na gorąco, i spodziewał się, że wszystkie jego przypuszczenia znajdą potwierdzenie w rzeczywistości.

Tymczasem odkrył coś całkiem innego. „Rzeczy, których się baliśmy, nie miały miejsca” – mówił.

Skutki reformy były badane przez EMCDDA – European Monitoring Centre for Drugs and Drug Addiction [Europejskie Centrum Monitorowania Narkotyków i Narkomanii] – oraz „The British Journal of Criminology”. Ich bezstronność i brak powiązań z tym projektem powodowały, że EMCDDA i „The British Journal of Criminology” nie miały ani nic do stracenia, ani nic do zyskania. Ich celem było jedynie dowiedzieć się, co zaszło w kraju po wprowadzeniu reformy.

Badania wykazały, że nastąpił niewielki wzrost ogólnego spożycia narkotyków w społeczeństwie – z 3,4 do 3,7 procent<sup>787</sup>.

W porównaniu z innymi krajami Portugalia zaczynała jednak od niskiego poziomu konsumpcji – z wyjątkiem heroiny – i na takim też poziomie się utrzymała. EMCDDA obliczyło, że jeśli chodzi o użycie marihuany, Portugalia zajmuje dziewiąte miejsce od końca pośród dwudziestu ośmiu badanych krajów europejskich<sup>788</sup>. Jeśli chodzi o amfetaminę, było to piąte miejsce od końca, podobnie jak w przypadku ekstazy. W ciągu dekady, która upłynęła od wprowadzenia pełnej dekryminalizacji, „poziom konsumpcji narkotyków [w Portugalii] jest niższy od europejskiej średniej

i znacznie niższy od poziomu notowanego w sąsiednim kraju, czyli w Hiszpanii”.

A co z trzema skutkami używania narkotyków, będącymi, zdaniem prohibicjonistów, powodem, dla którego powinniśmy kontynuować wojnę z narkotykami – uzależnieniem, zgonami wywołanymi przez narkotyki i narkomanią rozpowszechnioną wśród nastolatków? Te dane również starannie zebrano i opracowano.

Portugalskie Ministerstwo Zdrowia twierdzi, że liczba sprawiających problemy użytkowników narkotyków zmniejszyła się dokładnie o połowę, ze stu do pięćdziesięciu tysięcy. „The British Journal of Criminology” potwierdza, że liczba narkomanów zmalała, choć z tego badania wynika, że był to skromniejszy spadek, z 7,6 do 6,8 osób na 1000<sup>789</sup>. Stwierdza również, że liczba ludzi wstrzykujących sobie narkotyki rzeczywiście zmalała niemal o połowę, z 3,5 do 2 osób na 1000. Porównawszy te dane z sytuacją Włoch i Hiszpanii, dwóch nieodległych krajów, które nadal prowadzą wojnę z narkotykami, naukowcy doszli do wniosku, że „spośród tych trzech krajów tylko w Portugalii zanotowano spadki” danych dotyczących narkomanii.

Jak z tego wynika, po dekryminalizacji w Portugalii jest mniej narkomanów. Jednocześnie „The British Journal of Criminology” wykazał, że „znacząco zmalała” liczba przypadków przedawkowania, a odsetek chorych na AIDS, którzy zarazili się wirusem za sprawą narkotyków, zmalał z pięćdziesięciu dwóch do dwudziestu procent<sup>790</sup>. To oznacza, że na tę straszną chorobę zapada mniej młodych ludzi, takich jak Vitor – muzyk, którego przed laty João namówił do porzucenia nałogu.

Figueira uważa, że wie, dlaczego tak to się wszystko ułożyło. „Nie postrzegamy już narkomana jako przestępca. To ktoś, kto potrzebuje pomocy. Wszyscy tak myślą. Oni sami też uważają się za chorych, a nie za ludzi, którzy są przeciwko społeczeństwu. To wielka zmiana. Teraz nie są spychani na margines. Traktuje się ich jak ofiary wypadku samochodowego. Nie stoją po drugiej stronie frontu. Są normalnymi obywatelami. Mają problem”.

Dawniej, jak mówi Figueira, inaczej patrzono na znajomą osobę, która stała się alkoholikiem: „Traktowaliśmy tych ludzi jak przyjaciół, którzy potrzebowali pomocy. Narkomani są dokładnie na tym samym poziomie. [...] Właściwie to dokładnie ta sama sytuacja. To choroba, którą trzeba leczyć”.

Teraz, zamiast wyganiać narkomanów na ulice, pomaga się im trafić do szpitala. W czasie, który upłynął od dekryminalizacji heroiny w Portugalii, konsumpcja tego narkotyku spadła tam o połowę, podczas gdy w Stanach Zjednoczonych, gdzie wojna wciąż trwa, ten sam wskaźnik wykazał dwukrotny wzrost<sup>791</sup>.

No dobrze, rozmyślałem, ale co z nastolatkami? Czy dzieciaki z klasy Luz chętniej sięgną po narkotyki niż moi bratankowie i siostrzenica? Są najbardziej narażoną grupą, bo korzystanie z narkotyków może zmienić ich mózgi do końca życia.

„Odsetek dzieci w wieku od piętnastu do szesnastu lat [w Portugalii] używających stale marihuany również należy do najniższych w Zachodniej Europie (trzyście procent)”<sup>792</sup> – napisano w raporcie EMCDDA (poziom konsumpcji kokainy w tym samym przedziale wiekowym jest o połowę niższy od średniej dla Unii Europejskiej). Wartość ta zmniejszyła się nieco od czasu wprowadzenia dekryminalizacji: w 1999 roku 2,5 procent nastolatków w wieku od szesnastu do osiemnastu lat używało heroiny. Do roku 2005, czyli po sześciu latach dekryminalizacji, odsetek ten spadł do 1,8 procent<sup>793</sup>.

„Spędziłem mnóstwo czasu na ulicach, gdzie szukałem i aresztowałem narkomanów” – mówi João Figueira. Uważał takie postępowanie za słuszne, więc opisuje to, co dzieje się obecnie, z nieskrywanym zdumieniem. Podkreśla, że nowa polityka narkotykowa doprowadziła również do przemiany w życiu tych, którzy nigdy nie mieli styczności z narkotykami. Przed zakończeniem wojny narkotykowej zdarzało się „bardzo często”, że heroiniści napadali na ludzi, by zdobyć środki na następną działkę. Teraz jest inaczej.

„Przestępstwa związane z konsumpcją narkotyków praktycznie ustały. Nie dochodzi do nich. Nie notujemy już ulicznych napadów związanych z narkotykami” – mówi. Narkomani albo dostają metadon, albo przechodzą terapię, albo wracają do zdrowia. „Nie muszą już napadać na samochody albo okradać ludzi. To ogromna zmiana” – dodaje.

Ta zmiana pociągnęła za sobą kolejną – zmianę w postrzeganiu policji przez społeczeństwo. „Nie wydaje mi się, żeby [ludzie z biednych dzielnic] traktowali nas teraz jak wrogów. To ważne. Jest całkiem inaczej”.

Myszę o Leigh Maddox z Baltimore, która mówiła mi, że coś takiego nastąpi po zakończeniu wojny z narkotykami. To z kolei, kontynuuje

Figueira, ułatwia śledztwa w sprawach innych przestępstw: „Oszczędzamy mnóstwo środków, czasu i pieniędzy”.

Dzięki temu policja może się zająć prawdziwymi przestępcami. W przeszłości Figueira spędzał czas, „aresztując użytkowników, co nie przynosiło żadnych rezultatów”. Teraz, jak sam twierdzi, „rezultaty wreszcie się pojawiają”.

Figueira nie zapomina jednak dorzucić pewnego zastrzeżenia: te rezultaty nie wynikają jedynie ze zmian prawa. Zażywanie narkotyków, a szczególnie heroiny, było w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych tak powszechne i tak wyniszczające, że wzbudziło gwałtowny sprzeciw wśród młodych ludzi, którzy obserwowali swoje starsze rodzeństwo i postanawiali nigdy nie iść w ich ślady, ponieważ widzieli, że prowadzi to do tragedii. Dlatego niektóre z tych rezultatów mogłyby się pojawić nawet w sytuacji, gdyby nie doszło do rewolucji narkotykowej. Ale nie wszystkie – tego jest pewien.

João Figueira, który uważa się za człowieka „bardzo konserwatywnego”, tak opisuje wprowadzenie prawa narkotykowego: „Lewica mówiła: »zrobmy to«, a prawica odpowiadała: »nie, nie, nie«. Teraz właściwie nie ma żadnej ideologicznej debaty nad tymi rezultatami, bo to nie ma nic wspólnego z ideologią. To, co się tu wydarzyło, okazało się skuteczne, przyniosło dobre skutki, a nasze statystyki to potwierdzają. Nie ma w tym żadnej ideologii. [...] Teraz wszyscy, konserwatyści czy socjaliści, akceptują tę sytuację. Od czasu rewolucji w polityce narkotykowej Portugalia miała dwa rządy lewicowe i dwa prawicowe. Wszystkie utrzymywały obowiązujące prawo w tej kwestii. Żadna z partii politycznych nie chce wracać do poprzedniego stanu” – tłumaczy.

Odczuwałem fizyczną ulgę, kiedy Figueira o tym opowiadał i gdy przeglądałem wyniki badań. Jedno i drugie zdaje się potwierdzać, że wzmacnianie wewnętrznego oporu ludzi przed narkotykami jest znacznie skuteczniejsze niż zastraszanie i odciąganie ich siłą od narkotyków. Alternatywne rozwiązanie naprawdę działa. Najlepszym dowodem jest fakt, że praktycznie nikt w Portugalii nie domaga się powrotu starego modelu. „Całe portugalskie społeczeństwo całkowicie się z tym zgadza. Ten system już się tu zakorzenił” – mówi Figueira.

Podróżując po Portugalii, rozmawiałem z ludźmi w pociągach, w kawiarniach i na ulicach. Zdumiewało mnie, jak szybko ludzie przywykli do dekryminalizacji i uznali ją za rozsądne rozwiązanie. Odnosząc się do

modelu, w którym narkomani i zwykli użytkownicy są ścigani przez prawo, moi rozmówcy wydawali się zakłopotani, jakby mówili o jakiejś dziwnej, średniowiecznej praktyce. Niektórzy twierdzili, że świadczenia dla narkomanów są zbyt hojne, ale była to jedyna krytyka, z jaką się spotkałem. Z drugiej strony nikt nie uważa tego za szczęśliwe, hollywoodzkie zakończenie. Wszyscy wiedzą, że uzależnienie od narkotyków nie zniknęło i że wciąż rodzi ludzkie tragedie. Ale jest go teraz znacznie mniej.

João spogląda na mnie i uśmiecha się spod wielkich, krzaczastych wąsów. „Nie przypuszczałem, że to zadziała tak dobrze” – mówi.

Po spotkaniu z Figueirą spacerowałem przez kilka godzin po ulicach Lizbony, ogarnięty upojnym optymizmem, bo po raz pierwszy widziałem, jak niewielka jest różnica między najbardziej nawet gorliwymi zwolennikami prohibicji a tymi, którzy chcą radykalnie zmienić prawo.

Większość zwolenników wojny z narkotykami, których poznałem podczas tej podróży, nie przypomina wcale Harry’ego Anslingera. Nie kieruje nimi rasizm, nienawiść czy poczucie niższości. Są raczej podobni do João Figueiry: to godni podziwu ludzie, którzy mają uzasadnione obawy związane z alternatywnym rozwiązaniem. Wspierają wojnę narkotykową ze względu na tych, którzy po zmianie prawa mogliby, ich zdaniem, stać się ofiarami narkomanii. To dobrzy ludzie. Działają, kierowani szlachetnymi pobudkami.

Kiedy przechadzałem się ulicami Lizbony, przyszło mi do głowy, że wszyscy – ogromna większość zwolenników wojny i ogromna większość zwolenników legalizacji – kierujemy się wspólnymi wartościami. Wszyscy chcemy chronić dzieci przed narkotykami. Wszyscy chcemy zapobiegać śmierci i chorobom wywoływanym przez narkotyki. Wszyscy chcemy ograniczyć zjawisko narkomanii. Dzisiaj dowody wskazują wyraźnie, że kiedy zrezygnujemy z wojny narkotykowej, znacznie łatwiej przyjdzie nam osiągnąć wspólne cele.

Wyruszałem w tę podróż, by zrozumieć pewne sprzeczności, które znajdowałem w sobie samym i w naszej kulturze – choćby pomiędzy współczuciem wobec narkomanów a chęcią bezwzględnej walki ze skłonnościami do uzależnienia. Teraz w końcu widzę – i naprawdę czuję – że nie jest to żadna sprzeczność. Podejście dyktowane współczuciem prowadzi do ograniczenia narkomanii. Wewnętrzny konflikt, który tak bardzo mnie niepokoił, wcale nie jest konfliktem. To nie jest kwestia



zmagają między dwoma impulsami, które prowadzą do zwycięstwa jednego i klęski drugiego. Mogą wygrać obydwaj – jeśli tylko zrobimy, co należy.

Pytałem samego siebie, jak zmieniłaby się polityka wobec narkotyków, gdyby te rozpoznania spotkały się z szerszym zrozumieniem. Zaczęlibyśmy chyba dostrzegać, że ta debata nie dotyczy wartości. To debata o tym, jak osiągnąć te wartości. W samych tylko Stanach Zjednoczonych legalizacja narkotyków pozwoliłaby zaoszczędzić 41 miliardów dolarów rocznie, które wydaje się na aresztowanie, sądenie i przetrzymywanie w więzieniach użytkowników i handlarzy (zgodnie ze szczegółową analizą Cato Institute)<sup>794</sup>. Gdyby opodatkować narkotyki na takim samym poziomie jak alkohol i tytoń, legalna sprzedaż tych substancji przyniosłaby dodatkowe 46,7 miliarda dolarów rocznie<sup>795</sup>, jak wynika z obliczeń profesora Jeffreya Mirona z Wydziału Ekonomicznego Harvard University. Łącznie daje to 87,8 miliarda dolarów w najbliższym roku i w każdym następnym. Za te pieniądze można by zapewnić leczenie i resocjalizację w portugalskim stylu wszystkim narkomanom w Ameryce.

Znam ludzi, którzy twierdzą, że Stany Zjednoczone, Wielka Brytania oraz inne duże kraje nie mogą się uczyć od innych krajów – że Portugalia jest tak mała i tak odmienna, iż nie może niczego nauczyć supermocarstwa. Kiedy João Figueira pomachał mi na pożegnanie ze swego komisariatu, w którym nigdy już nie zostanie zaaresztowany zwykły użytkownik narkotyków, pomyślałem o Leigh Maddox, która powiedziała mi w Baltimore, że taki model mógłby uratować również jej miasto. Ruszyłem w dalszą drogę.

Tego samego popołudnia, gdy spacerowałem po placach Lizbony, podkradła się do mnie grupa mężczyzn w średnim wieku, którzy pokazali mi szybko kilka woreczków z narkotykami. „Chcesz? Chcesz?” – pytali natarczywie.

Musimy pamiętać o ograniczeniach portugalskiego eksperymentu. Zniesiono kary za używanie narkotyków i posiadanie takich środków na własny użytek, ale nie za sprzedaż. To dziwna hybryda: wszyscy wiedzą, że aby posiadać narkotyki, trzeba je kupić – więc w tym systemie w większości wypadków użytkownicy nadal muszą korzystać z usług przestępców i ich gangów. To oznacza, że nowe portugalskie prawo uratuje Marcję Powell i kobiety z Miasta Namiotów, ale nie powstrzyma miejscowych naśladowców Arnolda Rothsteina czy Rosalia Rety.

Owszem, dekryminalizacja w pewnym stopniu zaszkodziła ich interesom. Kiedy po mieście zaczęły jeździć furgonetki z metadonem, dealerzy rzucali w nie kamieniami, niszczyli też biura pracowników służby zdrowia. „Po raz pierwszy, odkąd sięgali pamięcią, ich dochody spadły” – mówi João. Nadal jednak uliczni dealerzy kontrolują większość handlu narkotykami. Dekryminalizacja im tego nie odbierze: tego może dokonać tylko pełna legalizacja.

Architekci portugalskiej rewolucji narkotykowej wierzą, że w końcu i na to przyjdzie czas. Spytałem João Goulão, czy i on zgadza się z takim rozwiązaniem. „Tak – odparł. – Uważam, że to jest właściwy kierunek. Ale sądzę też, że wymaga to wielkiego porozumienia między narodami, a nie wydaje mi się, by środowisko polityczne, nawet tutaj, w Europie, popierało taki ruch. Ale dojdzie do tego, w przyszłości”.

W 1996 roku – nim wprowadzono nowe prawo, nim rozszerzono opiekę nad uzależnionymi, nim skończyła się wojna narkotykowa – przez żółte piaski Algarve szedł do lekarza inny młody narkoman, ostatni, którym zajmuję się w tej książce.

Antonio Gago był chudym, wyniszczonym młodzieńcem, który w wieku czternastu lat zaczął palić heroinę, by radzić sobie w ten sposób z faktem, że jest wykorzystywany przez ojca. Teraz miał dwadzieścia jeden lat i wiedział tylko, że wszyscy miejscowi narkomani mają numer telefonu doktora João Goulão – lekarz rozdawał je wszystkim, którzy mogli tego potrzebować. Początkowo João podawał Antoniowi codzienną dawkę metadonu, ale też – co być może istotniejsze – uważnie go słuchał. Wydawało się, że uczucia i myśli Antonia mają dla niego znaczenie. Nawet gdy miał wolne, czasami spotykał się z Antoniem, żeby z nim porozmawiać. Pewnego razu w Boże Narodzenie Antonio odebrał telefon od João, który kontaktował się tego dnia ze wszystkimi swoimi pacjentami. „Dostaniesz to, czego pragniesz: nowe życie” – powiedział doktor.

„Z takim lekarzem można rozmawiać bardziej otwarcie – mówił mi po latach Antonio. – Nigdy nie czułem, by mnie potępiał, a to pomogło mi otworzyć nieco szerzej moje serce i życie”. Antonio zaczął opowiadać João o prawdziwych powodach, dla których używał narkotyków – o rzeczach, które robił jego ojciec: „Musiałem to jakoś zagłuszyć narkotykami”. João pomógł mu dostać się na odwyk, a gdy po zakończeniu leczenia Antonio

wrócił do narkotyków, lekarz w żaden sposób go nie osądzał. Po prostu przy nim był, gotów służyć pomocą.

Kiedy João stał się odpowiedzialny za politykę narkotykową całego kraju, zaczął tworzyć wspólnoty terapeutyczne, w których narkomani mogli przez długi czas korzystać z pomocy i odbudowywać swoje życie. Okazało się, że właśnie takiego wsparcia potrzebował Antonio. Podczas pobytu w ośrodku o nazwie Team Challenge [Wyzwanie Zespołowe], położonym pośród sielskich zielonych pól i elektrowni wiatrowych na obrzeżach Lizbony, nauczył się po raz pierwszy ufać innym. Był zdumiony, że poznani tam ludzie zostawiają go samego z ich portfelami lub dziećmi. Nie sądził, by kiedykolwiek jeszcze spotkało go coś podobnego. Krok po kroku zyskiwał pewność siebie, która w końcu pozwoliła mu rzucić narkotyki. Kiedy go poznałem, nie używał ich już od dziesięciu lat.

Teraz każdego ranka Antonio wyjeżdża furgonetką do miasta, by na ulicach szukać narkomanów, którzy wciąż nie mogą poradzić sobie z bólem, i dawać im wszystko, czego potrzebują – jedzenie, czyste strzykawki oraz świadomość, że istnieje bezpieczne miejsce, w którym mogą mieszkać za darmo i cieszyć się miłością innych, jeśli tylko są na to gotowi. Antonio wierzy w moc uścisków i serdecznych gestów. W całym kraju działają armie podobnych do niego byłych narkomanów, którzy ratują ludzi wciąż żyjących na ulicach.

Dopiero gdy poznałem Antonia i zobaczyłem jego małą białą furgonetkę, pomyślałem, że naprawdę zaczynam rozumieć, co stało się w Portugalii w ciągu dziesięciu lat, które minęły od zakończenia wojny narkotykowej. Prohibicja – system, który działa na wszystkich kontynentach i niemal we wszystkich krajach świata – to w istocie błędne koło, spirala ludzkich tragedii. Ludzie wpadają w uzależnienie, więc upokarzamy ich i okrywamy wstydem, aż uzależniają się jeszcze bardziej. Potem muszą zaspokajać swoje potrzeby, przekonując kolejnych ludzi, by kupowali od nich narkotyki i również się uzależniali. Po jakimś czasie kolejni nałogowcy są upokarzani i zawstydzani. I tak to się ciągnie, zataczając coraz szersze kręgi.

Jednak w Portugalii, po wojnie z narkotykami, państwo pomogło uzależnionym wrócić do zdrowia, ci zaś pomogli kolejnym, a ci kolejni wyciągnęli rękę do jeszcze większej liczby narkomanów – i tak miejsce spirali uzależnienia zajęła fala uzdrowień, która powoli rozprzestrzeniła się po całym społeczeństwie.

Podczas ostatnich dni pobytu w Lizbonie wyobrażałem sobie João jako człowieka, który z poziomu ulicy obserwuje upadek tyranii – i zrozumiałem w końcu, dlaczego uważa, że jest to kontynuacja rewolucji z 1974 roku. Wtedy Portugalczycy powstali, by powiedzieć głośno, że każdy z nich zasługuje na swoje życie i na prawo do głosu, że nie pozwolą na dalsze ich tłamszenie i zamykanie ust. Obecna polityka narkotykowa mówi, że żaden z nich – nawet ci najsłabsi i najbardziej chorzy – nie zasługuje na prześladowania i więzienie, lecz na pomoc, nadzieję i miłość.

W prawdziwej demokracji nikt nie jest spisany na straty. Nikt nie zostaje porzucony. Nikomu nie wmawia się, że jego życie nie jest nic warte. Taki był duch rewolucji. Rewolucji, która wciąż żyje.

## Człowiek w studni

Kiedy zaczynałem pisać tę książkę, żaden kraj na świecie nie podjął kroków odważniejszych niż dekryminalizacja narkotyków: Portugalia przewodziła stawce. Jednak później, w ciągu zaledwie trzech lat, doszło do kilku zmian o historycznym znaczeniu.

Jedno państwo – niewielki kraj wciśnięty między Argentynę i Brazylię – podjęło decyzję, na jaką nie odważył się nikt inny od czasu, gdy Harry Anslinger zapoczątkował w latach trzydziestych wojnę z narkotykami. W pełni zalegalizowano tam narkotyki. W tym samym czasie doszło do rebelii w samym sercu wojny narkotykowej, gdy dwa amerykańskie stany postanowiły, bazując na powszechnym głosowaniu, zrobić to samo.

Wkrótce miałem poznać odpowiedź na pytanie, które zadawałem sobie od samego początku. Co się dzieje, kiedy narkotyki zostają w pełni zalegalizowane? Zarezerwowałem bilety lotnicze i przekonałem się, że losy prezydenta, który stoi za tą zmianą, są znacznie dziwniejsze, niż mógłbym sobie wyobrazić. Rozmawiałem z jego żoną, z jego najbliższymi przyjaciółmi, z jego biografem, z jego krytykami, z szefem jego sztabu i w końcu z nim samym<sup>796</sup>. Oto, czego się od nich dowiedziałem.

José Mujica spojrział w górę, w stronę światła. Wydawało się, że dach wysokiej, wilgotnej studni, w której więziono go przez dwa i pół roku, pokryty jest tylko cienkim arkuszem blachy aluminiowej. Gdyby do niego sięgnął, gdyby się wyciągnął, z pewnością zdołałby odepchnąć go na bok i odzyskać wolność. W końcu wróciłby do świata.

Był wychudzony jak więzień obozu koncentracyjnego, okropnie cuchnął. Pozbawiony wody, musiał pić własny mocz. „To nauczyło mnie rozmawiać, przede wszystkim z człowiekiem, który jest w każdym z nas – opowiadał mi wiele lat później. – Ponieważ nie mogłem rozmawiać ze światem zewnętrznym, próbowałem utrzymać się przy życiu, sięgając do świata w moim wnętrzu”.

Podnosił jakiegoś owada chodzącego wewnątrz studni, przystawiał go do ucha i słyszał, jak ten – pośród kompletnej ciszy – coś do niego

wykrzykuje. Zaprzyjaźniał się również z żabami. Dzielił się z nimi wodą zrzucaną przez strażników. „W tamtym czasie były to jedyne nieagresywne stworzenia w moim otoczeniu” – tłumaczył po latach w wywiadzie.

Mujica nie pozwalał jednak, by owady i żaby zbyt długo do niego mówiły, ponieważ się o nie bał. Był pewien, że rząd ukrył w jego uchu urządzenie podsłuchowe, by słyszeć wszystko to, co on, i by czytać w jego myślach. Wiedział, że to prawda, bo coś ciągle piekło go w uchu<sup>797</sup>, a ludzie którzy mu to zrobili, byli zdolni do wszystkiego.

Mujica nie wiedział jednak – i tak chyba było dla niego lepiej – że ani on, ani ktokolwiek inny nie zdołałby odepchnąć metalu zakrywającego studnię. Był to fragment czołgu. Dyktatorzy, którzy przejęli władzę w Urugwaju, nie zamierzali ryzykować. Chcieli odciąć go od świata. „Jedyną rzeczą gorszą od samotności jest śmierć” – mówił mi cicho.

Kiedy już wsadzono Mujicę i jego przyjaciół do oddzielnych studni, strażnicy powiedzieli im wprost: „Jesteście zakładnikami. Jeśli ktoś na zewnątrz zrobi coś głupiego, zabijemy was”.

José Mujica wychował się w Montevideo, niedaleko tego więzienia. Było to jedno z miejsc, gdzie miasto wypiera i zabija wieś, zasklepiając świeże blizny tkanką slumsów. Jako chłopiec Mujica obserwował, jak gospodarstwa tuż za miastem jedno po drugim upadają i pustoszeją. Rolnicy, którzy uprawiali pola, napływali teraz do miasta, próbując rozpocząć nowe życie. Ojciec chłopca stracił wszystko i umarł, gdy Mujica miał zaledwie siedem lat. Jego matka hodowała kwiaty, a chłopiec je sprzedawał. Tylko dzięki nieustannej pracy udawało im się uciec przed głodem<sup>798</sup>.

Nim Mujica poszedł na studia, gospodarka kraju znalazła się w głębokim kryzysie. Po slumsach błąkały się małe dzieci z rozdętymi brzuchami, bliskie śmierci głodowej. Gęstniała też atmosfera polityczna. W Urugwaju, za cichym przyzwoleniem reżimu, mieszkali niektórzy spośród najgorszych nazistowskich zbrodniarzy wojennych – w tym Josef Mengele. Pewnego dnia jeden z najważniejszych urugwajskich generałów ujawnił, że armia planuje zamach stanu. Mujica i jego przyjaciele uznali, że nie mogą po prostu siedzieć z założonymi rękami i przyglądać się katastrofie, utworzyli więc grupę o nazwie Tupamaros i zaczęli porywać ciężarówki z jedzeniem przeznaczonym dla bogatych dzielnic, jechali nimi do slumsów i rozdawali wszystko biedocie<sup>799</sup>. Jeździli też do robotników uprawiających trzcinę cukrową i rozdawali im broń, by ci mogli przejąć pola na własność.

Wkrótce zajmowali już całe miasta, nazywano ich „partyzantami Robin Hooda”<sup>800</sup>.

Za honorową patronkę postanowili obrać sobie pannę Marple<sup>801</sup> – rozwiązującą zagadki kryminalne fikcyjną postać z powieści Agaty Christie. Ich zdaniem reprezentowała ideę sprawiedliwości, a o to właśnie walczyli.

Podobnie jak francuski ruch oporu, Tupamaros podzieleni byli na różne „filary”, z których każdy działał oddzielnie – jeśli więc jeden z nich został rozbity, pozostałe mogły normalnie funkcjonować. José i jego żona Lucía należeli do filaru numer dziesięć. Prowadzili tajną działalność, przenosili się z jednej kryjówki do drugiej, planując operacje – aż pewnego dnia, gdy Mujica czekał na łącznika w barze, nagle coś uderzyło go w pierś. Policjanci postrzelili go sześć razy, lecz nie pozwolili mu umrzeć<sup>802</sup>. Potrzebowali go jako zakładnika, by zdyscyplinować jego towarzyszy.

Mujica nie opowiada o torturach, jakim poddawano go w więzieniu, ale inni więźniowie z tamtych czasów, którym udało się ująć z życiem, podzielili się ze mną swoimi historiami. Strażnicy szczególnie upodobili sobie „łódź podwodną”, rodzaj tortury, w której trzyma się głowę człowieka pod wodą, aż ten bliski jest uduszenia, a potem nagle się go wyciąga. Razili też prądem policzki, sutki i jądra torturowanych.

Zamknięty w studni Mujica mógł tylko raz napisać do swojej żony Lucíi. Ona również była uwięziona i poddawana torturom. Napisał jej, że jeśli uda im się z tego wyjść cało, kupią gdzieś kawałek ziemi i zamieszkają na farmie.

Z pewnością przeżył wiele dni, gdy wydawało mu się, że uwięzienie nigdy się nie skończy, że to już zawsze będzie jego rzeczywistość. W sąsiedniej studni zmarł jeden z jego towarzyszy, choć Mujica dowiedział się o tym dopiero kilka lat później. Pewnego dnia usłyszał ludzki głos, cały chór głosów, które skandowały: „Wasza walka jest naszą walką! Wasza walka jest naszą walką! Jesteśmy tutaj! Wierzymy w to, co robicie! Jesteśmy tutaj! Wierzymy w to, co robicie”<sup>803</sup>.

Tym razem nie były to halucynacje, lecz początek końca dyktatury.

Mujica dotrzymał obietnicy, którą przesłał Lucíi w liście ze studni. Kupili mały domek z blaszanym dachem na obrzeżach miasta oraz skrawek ziemi, na którym hodowali kwiaty<sup>804</sup>, jak niegdyś robiła to jego matka.



Pewnego listopadowego wieczora 2005 roku José Mujica i jego żona ujrzeli po powrocie do domu niezwykle widok<sup>805</sup>. Wszyscy sąsiedzi wznosili radosne okrzyki i śpiewali, dokoła płonęły ogniska, pieczono najlepsze mięsa i dzielono się z innymi. Mujica został właśnie wybrany na prezydenta Urugwaju. Ogłosił jednak, że nie przeprowadzi się do Pałacu Prezydenckiego. Przez całą pięcioletnią kadencję mieszkał w swoim skromnym domu. Dziewięćdziesiąt procent pensji oddawał na cele dobroczynne<sup>806</sup>, żyjąc za siedemset siedemdziesiąt pięć dolarów miesięcznie. Nie korzystał też z prezydenckiej limuzyny – dojeżdżał wszędzie autobusem.

Zgodnie z urugwajskim zwyczajem prezydenta zaprzysięga w dniu inauguracji najpopularniejszy senator. Tym senatorem była Lucía. Mujica wprowadził prawo zapewniające każdemu dziecku w Urugwaju laptop, zalegalizował małżeństwa jedнопłciowe i aborcję. Wciąż jednak czekała na niego jedna kwestia.

Jego gabinet uważnie śledził wieści z wyniszczanego przez kartele narkotykowe Meksyku. Urugwaj również znajduje się na szlaku transportowym marihuany i kokainy, które trafiają do Europy. Kartele kontrolują już do pewnego stopnia Paragwaj, jeden z sąsiednich krajów. Mujica zdawał sobie sprawę, że jeśli kartele postanowią zawładnąć Urugwajem, jego ojczyzna będzie bezbronna. Nie zamierzał do tego dopuścić.

Prezydent zaczął więc badać historię polityki narkotykowej i doszedł do pewnych wniosków. „Od ponad stu lat prowadzimy politykę walki z narkotykami – i po tych stu latach widzimy, że ponieśliśmy sromotną klęskę. [...] Musimy spróbować innych sposobów” – mówił mi Mujica.

Ale jaka jest alternatywa? Wyjaśniono im, że jeśli zalegalizuje się narkotyki, większość karteli zbankrutuje. Dzięki odpowiednim regulacjom rząd może zapewnić powszechnie dostępny, tańszy produkt o wyższej jakości. Handlarze narkotyków trafią wtedy na śmietnik historii, podobnie jak niegdyś gangsterzy handlujący alkoholem. Mujica postanowił, że zacznie od marihuany, wychodząc z założenia, że później przyjdzie kolej na następne narkotyki.

Do tej pory rządy i prezydenci różnych krajów świata nie decydowali się na legalizację z dwóch powodów. Po pierwsze, z obawy przed Stanami Zjednoczonymi, a po drugie, z obawy przed reakcją własnych obywateli. Lecz prezydent Mujica dostrzegał coraz wyraźniejsze zmiany. W Stanach

Zjednoczonych kilka stanów zamierzało głosować nad pełną legalizacją marihuany – którą można byłoby hodować i sprzedawać dorosłym, jak przekonamy się później. Postanowił więc nakłonić swoich obywateli, by postąpili podobnie. Tkwiąc w kompletnej samotności w więzieniu, zrozumiał podstawową rzecz: „Życie to coś cudownego, więc przede wszystkim musimy je chronić [...]. Nie powinniśmy poświęcać całego pokolenia na ołtarzu mrzonek”.

Aby dowiedzieć się, jak skutecznie przeprowadzić legalizację, zwrócił się z prośbą o pomoc do dwóch ludzi z kraju jego honorowej patronki, panny Marple – Wielkiej Brytanii.

Wielu ludzi wchodzi na drogę wiodącą z dala od wojny narkotykowej, ale po pewnym czasie trafiają na betonowy mur. Widnieje na nim słowo „legalizacja”, a obok litery „l” znajduje się mural przedstawiający Timothy’ego Leary’ego. Człowiek ten był najsłynniejszą twarzą prób legalizacji z lat sześćdziesiątych, wykładowcą Harvardu, który zrezygnował z pracy na uczelni, by głosić, że każdy powinien zażywać narkotyki i wyruszyć w podróż, która w końcu doprowadziłaby do upadku cywilizacji Zachodu<sup>807</sup>.

Leary występował w różnych programach telewizyjnych, opowiadając w uniesieniu, że jest założycielem nowej religii, w której rolę sakramentów odgrywają marihuana i LSD<sup>808</sup>. Twierdził, że te narkotyki powinno się podawać dwunastolatkom, by mogły „pieprzyć się radośnie i bez poczucia winy”<sup>809</sup> – żeby dowieść słuszności tych haseł, podawał takie substancje własnym nastoletnim dzieciom<sup>810</sup>, a one powoli osuwały się w szaleństwo<sup>811</sup>.

„Proszę, ocknij się”<sup>812</sup> – pisała w listach jego córka, podczas gdy Leary połykał więcej pastylek niż Pac-Man. – „Jesteś destrukcyjny i zły”. Później popadła w obłęd i popełniła samobójstwo<sup>813</sup>. Leary już wcześniej mówił swoim przyjaciółom: „Wiecie, ja naprawdę jestem psychopata”<sup>814</sup>.

Początkowo Leary utrzymywał, że narkotyki dają ludziom rozkosz i czynią z nich pacyfistów. Potem twierdził, że jego zwolennicy powinni strzelać do policjantów, bo „zbliża się totalna wojna”<sup>815</sup>. Kiedy po ucieczce ze Stanów Zjednoczonych trafił do Algierii, mówił tamtejszym fundamentalistom islamskim, że powinni go lubić, „bo namieszał w głowach całej masie białych Amerykanów z klasy średniej”<sup>816</sup>. Pod

koniec życia głosił, że wszyscy powinni żyć w kosmosie, ponieważ „zawsze był wrogiem grawitacji”<sup>817</sup>.

Leary był najbardziej autorytatywnym zwolennikiem legalizacji, jakiego Amerykanie znali od czasów Henry’ego Smitha Williama. Dziś wielu ludzi wciąż uważa, że legalizacja byłaby spełnieniem jego idei – że narkotyki to coś dobrego, co należy chwalić i rozpowszechniać, że dzieci zyskałyby swobodny dostęp do groźnych substancji, że legalizacja doprowadziłaby do szerzenia się narkomanii i że ostatecznie oznaczałaby upadek kultury, jaką znaliśmy do tej pory.

Jednak ludzie, u których Mujica szukał pomocy, opowiadają się za legalizacją z całkiem odmiennych powodów. Chcą zalegalizować narkotyki, by zabrać je z rąk naszych dzieci, bronić podstawowych wartości prawa i porządku, ograniczyć anarchię i przemoc. Nie chcą świata, w którym używanie narkotyków staje się bardziej ekscytujące i rewolucyjne, lecz takiego, gdzie staje się to nudne. Tymi ludźmi są dwaj angielscy aktywiści polityczni – Danny Kushlick i Steve Rolles. Danny przez wiele lat pracował z więźniami przebywającymi na zwolnieniu warunkowym i nie mógł już patrzeć, jak jego podopieczni umierają z przedawkowania. Steve był naukowcem, który badał skutki zażywania ecstasy. Przesiadywał w klubach podczas imprez tanecznych i robił notatki. Zauważył, że imprezowicze po zażyciu ecstasy są znacznie przyjaźniejsi i spokojniejsi niż ludzie po spożyciu alkoholu. Był zdumiony, widząc policjantów, którzy zatrzymują ich i zawożą do aresztu.

Danny i Steve stworzyli grupę o nazwie Transform Drug Policy Institute [Instytut Zmiany Polityki Narkotykowej], by znaleźć odpowiedź na pytanie, którego nikt dotąd szczegółowo nie analizował: Co oznacza legalizacja narkotyków w praktyce, na twojej ulicy? Jak będzie wyglądała dystrybucja tych środków, jeśli zakończymy wojnę narkotykową? Komu będzie wolno ich używać? Co się zmieni?

Omawiam te kwestie z Dannym i Steve’em niemal już od dziesięciu lat, nic więc dziwnego, że zdążyliśmy się w tym czasie zaprzyjaźnić. Rozpoczynając swoje badania, Danny i Steve wiedzieli, że zdaniem większości ludzi legalizacja narkotyków oznacza, iż w każdej większej drogerii metamfetamina i crack będą leżeć na półce między batonami i smakową wodą mineralną. Legalizacja tożsama jest, według jej przeciwników, z całkiem swobodnym dostępem do substancji psychoaktywnych.

Dzięki analizie danych Danny i Steve doszli jednak do przekonania, że legalizacja będzie oznaczać coś zupełnie przeciwnego. Obecnie handel narkotykami polega na tym, że nieznani gangsterzy sprzedają nieznane substancje nieznanym użytkownikom – po kryjomu, bez żadnej kontroli. W istocie to właśnie jest swobodny dostęp. Dlatego też obaj uważają, że można to uregulować tylko w jeden sposób – wyprowadzając wszystko z ukrycia. Odkryli również, że aby zalegalizować narkotyki, nie trzeba wynajdywać niczego nowego. Struktury już istnieją, otaczają nas ze wszystkich stron.

Obecnie mamy uregulowany przepisami i zezwoleniami system sprzedaży dwóch najgroźniejszych używek na Ziemi – alkoholu i tytoniu.

Nie zawsze tak było. Przez pewien czas różne rządy próbowały zablokować handel tymi substancjami. W XVII wieku car Rosji Michał I Romanow wydał dekret głoszący, że „każdego, u kogo znaleziono tytoń, należy męczyć dopóty, dopóki nie wyjawi nazwiska swojego dostawcy”<sup>818</sup>. Mniej więcej w tym samym czasie sułtan Imperium Osmańskiego Murad IV wprowadził karę śmierci za palenie tytoniu. Mimo to w obu tych krajach ludzie nadal palili. Stworzono więc system, w którym dorośli mogą legalnie kupować tę używkę – lecz jednocześnie daje się wyraźnie do zrozumienia, że to szkodliwa substancja i że nie można jej używać w publicznych miejscach. Co więcej, większość z nas uważa ten nałóg za nieprzyjemny.

Na skutek polityki, dzięki której tytoń, choć legalny, spotyka się z coraz większą dezaprobatą społeczną, liczba palaczy gwałtownie spada. Narodowy Spis Powszechny przeprowadzony w Stanach Zjednoczonych w 1960 roku ujawnił, że papierosy paliło wtedy pięćdziesiąt dziewięć procent amerykańskich mężczyzn i czterdzieści trzy procent kobiet<sup>819</sup>. Obecnie wskaźniki te wynoszą odpowiednio dwadzieścia sześć i dwadzieścia trzy procent – o połowę mniej. Podobny trend widoczny jest w całym rozwiniętym świecie. Sam fakt, że jakaś szkodliwa substancja jest legalna, nie oznacza jeszcze, że ludzie koniecznie chcą z niej korzystać – wręcz przeciwnie, większość się od niej odwraca.

Danny i Steve doszli więc do wniosku, że musimy podzielić narkotyki na co najmniej dwie różne grupy, w zależności od ich mocy. W pierwszej grupie znajdziemy słabsze substancje, takie jak marihuana. Zdaniem obu aktywistów rozwiązanie jest proste: należy ją traktować tak jak tytoń i alkohol. To oznaczałoby – przynajmniej w Europie – brak reklamy. Żadnej promocji. Sprzedajemy je w licencjonowanych sklepach, zapakowane

w zwyczajne pudełka, pozbawione logo, ale opatrzone ostrzeżeniami o szkodliwości. Wprowadzamy surowe ograniczenia wiekowe. Każdy sklep sprzedający takie substancje musi mieć odpowiednią koncesję. Jeśli ktokolwiek używa tych substancji w miejscach publicznych, prowadząc samochód, podczas pracy lub wykonując jakiegokolwiek odpowiedzialne zadanie, które wymaga koncentracji, musi się liczyć z surową karą. Każdy, kto sprzedaje je dzieciom, zostaje pozbawiony koncesji. Innymi słowy – obejmujemy miękkie narkotyki takimi samymi przepisami, jakie regulują handel tytoniem i alkoholem.

W następnej grupie znajdują się silniejsze narkotyki, takie jak heroina. Danny i Steve twierdzą, że i w tym przypadku mamy już odpowiednie regulacje. We wszystkich krajach rozwiniętego świata funkcjonuje sieć lekarzy i farmaceutów, którzy przepisują silne lekarstwa, jeśli tylko uznają, że ich pacjent właśnie tego potrzebuje. W chwili, gdy to czytacie, lekarze rozprawdzają opioidy, amfetaminę i różne inne substancje w celach medycznych. To również można rozszerzyć – jak w Szwajcarii. Zgodnie z tym modelem narkomani otrzymują od swoich lekarzy recepty na daną substancję, a jednocześnie mogą korzystać z różnego rodzaju programów, które mają za zadanie pomóc im zerwać z nałogiem.

Zdaniem Danny'ego i Steve'a objęcie istniejącymi już przepisami obu tych grup narkotyków położyłoby kres większości problemów, jakie obecnie wywołuje wojna narkotykowa. Ludzie, którzy kupują obecnie narkotyki u uzbrojonych gangsterów na ulicach, chodziliby po tę samą substancję do wyznaczonych sklepów lub do lekarzy i farmaceutów. Danny i Steve twierdzą, że ta wizja nie oznacza utraty kontroli nad narkotykami, lecz przejęcie tej kontroli. Tylko legalizacja pozwoli uregulować rynek narkotykowy. Gdyby tak się stało, ludzie sprzedający narkotyki nie strzelaliby do siebie na ulicy, na takiej samej zasadzie, jak właściciele barów nie nasyłają płatnych zabójców na konkurencję. Użytkownicy wiedzieliby, co zażywają. A dzięki opodatkowaniu tej sprzedaży zyskalibyśmy ogromne środki na edukację dzieci i redukcję rzeczywistych przyczyn uzależnienia.

Obaj zwracają uwagę, że kiedyś przeprowadziliśmy już podobny eksperyment i wiemy, jakie będą jego skutki. Kiedy w 1933 roku ponownie zalegalizowano alkohol, udział gangsterów w handlu alkoholem praktycznie stopniał do zera, a wraz z nim skończyły się morderstwa i krwawe porachunki powiązane z tym handlem. Na ulice Chicago powrócił

spokój. Liczba zabójstw gwałtownie zmalała<sup>820</sup>, by osiągnąć podobny poziom dopiero w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, gdy zintensyfikowano wojnę z narkotykami.

W gruncie rzeczy – jak mówi Danny – legalizacja to „program redukcji ludzkich dramatów. Bo urok narkotyków, to, co jest w nich seksowne i ekscytujące, wynika z prohibicji, a nie dostępności. Ktoś powiedział mi kiedyś: »Powinniście zrobić film o tym, jak wyglądałaby legalizacja«. A ja odpowiedziałem: »Jezu, to byłby najnudniejszy film na świecie«. Bo taki by właśnie był. Oglądalibyśmy, jak ktoś wchodzi do sklepu i mówi: »Poproszę trochę MDMA«. A sprzedawca odpowiada: »Proszę bardzo, należy się cztery pięćdziesiąt«. Istnieje niebezpieczeństwo, że choć zmierzamy już do końca [wojny] i początku nowego [systemu], będziemy kojarzyć okropieństwa i emocje prohibicji z nowym reżimem, który jest [w istocie] nieprawdopodobnie nudny”. Kultura terroru zamieni się – powoli, lecz nieuchronnie – w kulturę nudy.

Lecz co stanie się potem? Przekonałem się na własne oczy, że prohibicja nie działa, a przykład Portugalii dowodzi, że dekryminalizacja to znaczący postęp. Ale co z legalizacją? Różnica jest prosta. Kiedy dekryminalizujesz, przestajesz karać użytkowników narkotyków i narkomanów – nadal jednak nie zgadzasz się na produkcję i sprzedaż narkotyków. Wciąż zajmują się tym przestępcy i dealerzy. Kiedy legalizujesz, tworzysz sieć sklepów lub aptek, gdzie użytkownicy i narkomani mogą legalnie kupić odpowiednie środki.

Ta wizja prowokuje jedno oczywiste pytanie, które – co zrozumiałe – odstrasza od niej wielu ludzi. Jeśli narkotyki będą łatwiej dostępne, to czy nie zaczną ich używać więcej ludzie? Ta wątpliwość pociąga za sobą wiele innych. Trzy z nich wydają mi się szczególnie istotne. Czy jeśli więcej ludzi będzie używało narkotyków, nie wzrośnie też liczba narkomanów? Czy nie będzie częściej dochodziło do przypadków przedawkowania? I czy po narkotyki nie będzie sięgało więcej dzieci? Jeśli myślimy o przejściu od dekryminalizacji do legalizacji, musimy sobie odpowiedzieć na te właśnie pytania.

Aby sprawdzić, czy w takiej sytuacji wzrosłaby konsumpcja narkotyków, zacząłem uważnie przeglądać badania i dowody dotyczące tej kwestii – i przekonałem się wkrótce, że odpowiedź nie jest jednoznaczna. Za przykład mogą posłużyć dwie różne lekcje historii – quasi-legalizacja



marihuany w Holandii i koniec prohibicji alkoholowej w Stanach Zjednoczonych.

W 1976 roku Holendrzy wprowadzili nową politykę narkotykową<sup>821</sup>. Ogłosili, że jeśli ktoś ma przy sobie nie więcej niż trzydzieści gramów marihuany, policja ich nie skonfiskuje. Oznaczało to w istocie dekryminalizację posiadania narkotyków na własny użytek. Zniesiono kary za używanie marihuany wśród dorosłych. Co stało się potem? Z wszystkich dostępnych danych wynika, że w ciągu następnych siedmiu lat konsumpcja narkotyków pozostała na tym samym poziomie<sup>822</sup>. Potem Holandia zrobiła następny krok i pozwoliła na legalną sprzedaż marihuany w licencjonowanych kafejkach. Był to krok prowadzący od dekryminalizacji posiadania do legalizacji sprzedaży samego narkotyku. Nie nazywano tego otwarcie legalizacją, gdyż naruszyłoby to traktaty ONZ wprowadzone przez Harry'ego Anslingera. Jednak w rzeczywistości do tego właśnie sprowadzała się ta zmiana.

Skutki okazały się równie jednoznaczne. Konsumpcja narkotyku *wzrosła*. W grupie tych, którzy najczęściej sięgają po marihuanę, czyli młodzieży w wieku od osiemnastu do dwudziestu dwóch lat, odsetek użytkowników wzrósł z 8,5 do 18,5 procent<sup>823</sup>. W innych grupach wiekowych również zanotowano wzrost, choć na mniejszą skalę. W tym samym czasie w innych europejskich miastach nie zanotowano takiej zmiany<sup>824</sup>, można więc śmiało założyć, że był to skutek legalizacji. Prawdopodobnie statystyczny wzrost liczby użytkowników wynikał po części z faktu, że więcej ludzi przyznaje się otwarcie do palenia marihuany, gdy nie jest to już przestępstwem, trudno jednak przypuszczać, by był to jedyny powód.

Powyższe dane sugerują, że dekryminalizacja posiadania narkotyków nie pociąga za sobą wzrostu konsumpcji, ale legalizacja sprzedaży już taki skutek wywołuje. Powód wydaje się całkiem oczywisty: chodzi o łatwość dostępu. Wszyscy chyba znamy ludzi, którzy nie podeszliby do dealera w ciemnej uliczce, ale być może sięgnęliby po narkotyk, gdyby można go było kupić w aptece czy drogerii.

Powinniśmy otwarcie mówić o tym wzroście, ale też nie powinniśmy go wyolbrzymiać. Konsumpcja marihuany nieco się zwiększyła, ale wciąż utrzymuje się w Holandii na niskim poziomie. Około pięciu procent Holendrów przyznaje, że paliło marihuanę w zeszłym miesiącu<sup>825</sup>, podczas gdy w Stanach Zjednoczonych ten odsetek wynosi sześć i trzy dziesiąte procent<sup>826</sup>, a średnia dla Unii Europejskiej to siedem procent. Konsumpcja



konopi indyjskich nie wymknęła się spod kontroli i w porównaniu z innymi krajami utrzymuje się na niskim poziomie.

Jednak wszystkie te obliczenia komplikuje jeden czynnik, o którym powiedział mi Danny. Spróbujmy wyobrazić sobie „konsumpcję narkotyku” jako ogólną liczbę – każdy, kto dziś wieczorem sięgnie po narkotyk, zostaje uznany za użytkownika. Zaliczylibyśmy do tego grona wszystkich, którzy kupują skręta albo połykają tabletkę ecstazy. Lecz czy powinniśmy wliczać do tego rachunku każdy kufel piwa i kieliszek whisky? Jeśli nie traktujemy alkoholu jako narkotyku, konsumpcja środków odurzających wzrasta. Jeśli jednak zaliczymy do tych środków alkohol, można założyć, że całkowita konsumpcja narkotyków nie wzrasta po legalizacji. Dlaczego? Otóż wydaje się, że po legalizacji marihuany znacząca liczba ludzi, którzy szukają sposobu na rozluźnienie, odstawia alkohol i sięga po narkotyk<sup>827</sup>. Gdy w Kalifornii ułatwiono dostęp do marihuany – każdy mógł uzyskać receptę od lekarza, wystarczyło poskarżyć się na bóle pleców – liczba wypadków samochodowych zmalała o osiem procent<sup>828</sup>, bo wielu ludzi zaczęło palić, zamiast pić, a jazda pod wpływem marihuany (choć to kiepski pomysł) nie jest tak niebezpieczna, jak jazda pod wpływem alkoholu.

Dlatego właśnie Danny uważa, że wzrost „konsumpcji narkotyków” nie jest w tym przypadku właściwym i zgodnym z prawdą określeniem. Jego zdaniem ciekawszym zagadnieniem jest zmiana w strukturze spożycia środków odurzających. Gdybyśmy zalegalizowali ecstazy, a wielu ludzi w sobotnie wieczory przestałoby się upijać, a zaczęło łykać tabletki, w oficjalnych statystykach odnotowano by wzrost „konsumpcji narkotyków”. W rzeczywistości, jak twierdzi Danny, oznaczałoby to poprawę sytuacji. Na naszych ulicach i w naszych domach rzadziej dochodziłoby do aktów przemocy. Mniej ludzi chorowałoby na wątrobę. To znacznie bardziej skomplikowany rachunek niż ten, który można przygotować jedynie na podstawie kilku wartości statystycznych.

Rozumiem i szanuję argumenty Danny’ego, chciałbym też, by były całkowicie słuszne, ale wydaje mi się, że nie oddają pełnego obrazu sytuacji.

Dane statystyczne opisują fakt niewygodny dla tych spośród nas, którzy są zwolennikami reformy. Wynika z nich jednoznacznie, że podczas prohibicji po alkohol sięgało mniej ludzi, a po jej zniesieniu liczba pijących

wzrosła. Trudno określić skalę tego zjawiska, ponieważ pomiar nielegalnych działań jest zawsze trudny, można jednak przyjrzeć się informacjom o przypadkach marskości wątroby, które mają bezpośredni związek z nadużywaniem alkoholu. Wygląda na to, że podczas prohibicji spożycie alkoholu spadło o dziesięć do dwudziestu procent<sup>829</sup>, a po zniesieniu zakazu powoli, lecz systematycznie rosło na przestrzeni całych dziesięcioleci<sup>830</sup>. W tym przypadku ludzie nie przerzucali się na inne środki odurzające – ponieważ nie były dostępne. Zachowywali po prostu – w naprawdę dużej liczbie – trzeźwość. Nie był to też jedynie spadek konsumpcji – ograniczeniu uległa epidemia alkoholizmu.

Dlaczego? Najlepsze i najprostsze wyjaśnienie jest takie, że znacząca liczba ludzi chce po prostu przestrzegać prawa, bez względu na jego zasadność. Fakt, że coś jest nielegalne, stanowi sam w sobie czynnik odstrasżający. Poza tym, jeśli coś jest zakazane, większości ludzi rzeczywiście trudniej jest to zdobyć. Narzekałem w tej książce, że ludzie wspierający wojnę z narkotykami używają czasami propagandy do promowania swoich poglądów, teraz więc sam powinienem się powstrzymać od propagowania moich poglądów. Ci z nas, którzy wierzą w konieczność zakończenia wojny z narkotykami, muszą być szczerzy. Badania naukowe sugerują, że po legalizacji narkotyków prawdopodobnie nastąpi niewielki, lecz rzeczywisty wzrost konsumpcji. W dużej mierze będą za to odpowiadali ludzie, którzy zrezygnują z alkoholu na rzecz narkotyków, ale nie tylko oni. Trzeba to wreszcie przyznać: jednym z osiągnięć prohibicji jest fakt, że rzeczywiście nieco ogranicza ona spożycie narkotyków.

Od ponad roku próbuję zrozumieć, co to właściwie oznacza. Kiedy pewnego razu rozmawialiśmy o tym w kawiarni w British Library, Danny zauważył, że większość z nas nie ma nic przeciwko samemu zażywaniu narkotyków. Martwią nas szkody, do jakich może to doprowadzić. Gdybym powiedział, że w zeszły weekend wasza sąsiadka wypaliła spliffa i wciągnęła kreskę kokainy, pewnie nie przejęlibyście się tym szczególnie. Ale zaniepokoilibyście się – i słusznie – gdyby to była nastolatka, gdyby się uzależniła lub gdyby przedawkowała. Nie martwi nas więc samo zażywanie narkotyków, lecz zagrożenia, jakie ze sobą niesie. A dane dotyczące tych zagrożeń są znamienne. Legalizacja powoduje niewielki wzrost konsumpcji narkotyków – ale znacząco zmniejsza szkody wyrządzone przez ich spożycie.

Zacznijmy od nastolatków. W najlepszym z dostępnych badań duża liczba amerykańskich nastolatków tłumaczyła, że obecnie łatwiej jest im kupić marihuanę niż piwo czy papierosy<sup>831</sup>. Początkowo byłem zaskoczony tym stwierdzeniem. Zrozumiałem je dopiero pewnego popołudnia, gdy opowiedziano mi o drodze do Damaszku wiodącej przez parking w New Jersey.

Usłyszałem tę historię zimą 2012 roku, kiedy jechałem do Trenton w stanie New Jersey – betonowej dżungli, niepokojąco podobnej do Strefy Gazy. W gabinecie, z którego roztaczał się widok na miasto, Fred Martens opowiedział mi o swoim doświadczeniu z przeszłości. Pewnego dnia, we wczesnych latach siedemdziesiątych, czekał na parkingu przed centrum handlowym, by kupić marihuanę, PCP, heroinę i metamfetaminę, a potem aresztować dealera. To była era Brudnego Harry’ego, a Fred pracował jako policjant w cywilu, który z powodzeniem mógłby być pierwowzorem postaci granej przez Clinta Eastwooda. „Nie miałem żadnych skrupułów – opowiadał – kiedy wkładałem lufę pistoletu do ust informatora i mówiłem: »Jeśli kłamiesz, skurwielu, rozpierdolę ci łeb. Rozumiesz?«”.

Wkrótce jednak stało się coś, co zmieniło podejście Freda do wojny narkotykowej. Podszedł do niego chłopiec, na oko dwunastoletni. „Proszę pana, proszę pana, mam do pana prośbę. Kupiłby mi pan butelkę wina w monopolowym?” – zapytał. Fred kopnął go w tyłek, warknął „Spadaj stąd” i znów zajął się wypatrywaniem dealera, którego mógłby aresztować.

„I wtedy właśnie uderzyła mnie ta myśl – opowiadał. – Mówiłem sobie: ten dzieciak potrzebuje mojej pomocy, żeby kupić butelkę alkoholu, a jednocześnie może sam kupić na tym parkingu takie narkotyki, jakie tylko zechce. Co jest tutaj lepiej regulowane, sprzedaż alkoholu czy narkotyków? To było [...] objawienie. O co w tym wszystkim chodzi?”.

To spostrzeżenie przez lata budziło w nim coraz większe wątpliwości, aż w końcu zmienił front i zaczął się opowiadać za legalizacją<sup>832</sup>.

Kiedy rozmawiałem z Fredem, przyszło mi do głowy, że nikt w szkołach moich bratanków nie sprzedaje budweisera ani jacka daniel’sa. Jest za to mnóstwo osób sprzedających marihuanę i tabletki. Dlaczego? Ponieważ w naszej kulturze ludzie, którzy handlują alkoholem, mają bardzo konkretne powody, by nie sprzedawać go nastolatkom: jeśli to zrobią, stracą koncesję i pracę. Z kolei ludzie, którzy handlują innymi zakazanymi używkami, mają bardzo konkretne powody, by sprzedawać je nastolatkom: to tacy sami klienci jak wszyscy inni.

Jeśli zdecydujemy się na legalizację, między naszymi dziećmi a narkotykami pojawi się bariera, która obecnie nie istnieje. To nie są tylko teoretyczne rozważania: dowodzą tego przykłady z krajów, które wybrały takie rozwiązanie. Około dwudziestu jeden procent holenderskich nastolatków próbowało marihuany<sup>833</sup> – w Stanach Zjednoczonych ten odsetek wynosi czterdzieści pięć procent. Wyobrażam sobie moich bratanków i bratanicę. Jeśli zdecyduję się poprzeć legalizację, nie zrobię tego na ich szkodę, lecz dla ich dobra.

Uzależnienie jest kwestią bardziej niepokojącą. Zdrowy rozsądek podpowiada, że im więcej ludzi będzie używać narkotyków, tym więcej popadnie w narkomanię. Podczas prohibicji alkoholowej mniej osób piło – i mniej umierało z powodu alkoholizmu i związanych z nim chorób. To dla mnie bardzo istotny argument. Gdyby więcej ludzi miało skończyć jak ci, których kocham i którzy wysłali mnie w tę podróż – zrozpaczeni i załamani – byłby to główny argument przemawiający za utrzymaniem obecnej polityki.

Potem jednak zestawiam te obawy z danymi z Portugalii. Więcej ludzi zaczęło tam zażywać narkotyki, lecz zjawisko narkomanii uległo znacznemu ograniczeniu. Dlaczego? Bo kary – zawstydzanie ludzi, zamykanie ich w więzieniach, pozbawianie pracy – spychają ich jeszcze głębiej w uzależnienie. Jeśli pieniądze podtrzymujące ten system wyda się na pomoc dla narkomanów, jeśli dzięki temu znajdą dom i pracę, zaczną prowadzić przyzwoite życie, wielu z nich będzie wreszcie mogło zerwać z nałogiem.

Po zniesieniu prohibicji alkoholowej nie wykorzystano ogromnych dochodów z nowego opodatkowania na edukowanie dzieci, informowanie ich o zagrożeniach związanych z alkoholizmem ani na leczenie alkoholików. Portugalia pokazała, że istnieje inne rozwiązanie.

A co z przedawkowaniem? To z pewnością najtrudniejsza kwestia. Jeśli więcej ludzi będzie zażywać narkotyki, częściej będą się zdarzały przypadki przedawkowania. Wydaje się to oczywiste.

Jednak w rzeczywistości – co widziałem w Vancouver i Genewie – tam, gdzie rozszerzono legalny dostęp do twardych narkotyków, liczba przypadków przedawkowania gwałtownie spadła. Dlaczego? Z dwóch ważnych powodów. Pierwszy to fakt, że gdy obecnie kupujesz narkotyk od

gangstera, nie masz pojęcia, jaka jest jego zawartość. Wyobraźmy sobie, że zamawiamy w barze generyczny „alkohol”, nie wiedząc, czy to cydr, czy absynt. Prawdopodobieństwo, że upijemy się do nieprzytomności, byłoby znacznie większe. Idąc do zwykłego sklepu, dobrze wiemy, jaki towar otrzymamy. Drugi powód to żelazne prawo prohibicji, które objaśniałem już wcześniej. Jeśli narkotyk jest objęty zakazem, transport takiej substancji staje się bardzo ryzykowny – dlatego dealerzy zawsze wybierają narkotyki o największym stężeniu, które tym samym zajmą jak najmniej miejsca. To oznacza, że w warunkach prohibicji dostać można tylko narkotyki w najmocniejszej postaci. W czasie prohibicji zniknęło piwo, które zastąpiono bimbrem; gdy tylko prohibicja się skończyła, piwo wróciło, a bimbber zniknął.

Można się spodziewać, że po zakończeniu prohibicji narkotykowej powrócą narkotyki w łagodniejszej formie, popularne przed wprowadzeniem zakazu, jak miało to miejsce z piwem. Dlatego wzrost konsumpcji narkotyków najprawdopodobniej nie będzie oznaczał powstania armii narkomanów uzależnionych od cracku, lecz wzrost liczby ludzi pijących mocniejszą herbatę i palących słabsze spliffy. Nikt jeszcze nie przedawkował herbaty z koki.

Czuję, że pisząc te słowa, usiłuję sam siebie przekonać, iż pełna legalizacja wszystkich narkotyków jest dobrym pomysłem – potem jednak w mojej głowie pojawia się zestaw niepokojących pytań, których nie potrafię odegnąć.

Co z najbardziej odurzającymi narkotykami? Czy pozwolilibyś ludziom kupować amfetaminę? Czy pozwolilibyś im kupować crack? Co właściwie oznacza legalizacja w odniesieniu do takich substancji? Czy proponujemy wolną sprzedaż takich środków? A jeśli nie, czy lekarze zechcą je przepisywać?

Zadawałem te pytania zwolennikom legalizacji na całym świecie. W odpowiedzi większość z nich zwykle wzdycha i podkreśla, że takie substancje stanowią co najwyżej pięć procent rynku nielegalnych narkotyków. Zaczniemy więc, mówią, od pozostałych dziewięćdziesięciu pięciu procent. Zróbmy to, co można zrobić dzisiaj. Wrócimy do tej rozmowy za kilka lat, gdy nie będzie to już czysto akademicka dyskusja.

Wydaje mi się jednak, że to zwykłe uchylanie się od odpowiedzi. Nie dawałem się więc zbyć i powtarzałem pytanie, domagając się konkretów.

Okazało się, że jeśli chodzi o te narkotyki, zwolennicy legalizacji dzielą się z grubsza na trzy obozy.

Niektórzy utrzymaliby zakaz sprzedaży wybranych narkotyków jako małą wysepkę prohibicji na morzu dostępności. Zdają sobie sprawę, że w związku z tym wciąż istniałaby sieć gangów narkotykowych, ale byłoby ich znacznie mniej, działałyby bowiem na naprawdę małym, niszowym rynku.

Po przeciwnej stronie stoją zwolennicy postawy skrajnie liberalnej. Mówią: „Masz prawo niszczyć własne ciało. To twoja decyzja. Skoro wolno ci jeździć na nartach, boksować albo pędzić autem na prywatnym torze z prędkością trzystu kilometrów na godzinę, powinieneś też mieć prawo konsumować takie substancje, jakie tylko chcesz. Rząd nie jest od tego, by chronić cię przed tobą samym. Jeśli ludzie chcą kupować crack, niech go kupują. Powinien być sprzedawany, podobnie jak inne narkotyki, w licencjonowanych sklepach”.

Między tymi skrajnościami jest jeszcze miejsce dla pośredniego rozwiązania: należy stworzyć trzeci rodzaj regulacji prawnej, wybiegający poza otwartą sprzedaż i środki dostępne na receptę. Stworzono by wtedy w dużych miastach specjalne sale, w których ludzie mogliby kupować twarde narkotyki i zażywać je w obecności lekarza, pod warunkiem że nie opuszczą tego miejsca, dopóki działanie substancji nie ustanie. Przypominałoby to sale do bezpiecznego wstrzykiwania, które widziałem w Vancouver i Szwajcarii, tyle że tu można byłoby korzystać z różnych narkotyków, przestrzegając jednocześnie surowszych reguł. Zwolennicy tego rozwiązania tłumaczą, że ludzie używający takich narkotyków i tak by je zażywali, a w ten sposób można by ich przynajmniej izolować od innych, zapewnić im opiekę i cierpliwie namawiać do skorzystania z pomocy.

Mimo wszystko idea legalnego dostępu do tych narkotyków budziła mój niepokój z jednego oczywistego powodu, który znałem już od dzieciństwa. Crack i metamfetamina zawierają tak bardzo uzależniające substancje chemiczne, że niemal każdy, kto ich spróbuje, wpadnie w nałóg. Tego mnie zawsze uczono i w to zawsze wierzyłem, choć nigdy nie przyglądałem się dowodom naukowym. Gdy w końcu prawdziwi eksperci przedstawili mi rzeczywiste dane, byłem zdumiony.

W ramach eksperymentu możemy sprawdzić, co wiecie na ten temat. Przerwijcie na moment czytanie i zapiszcie na marginesie książki, jaki –

waszym zdaniem – procent użytkowników cracku staje się narkomanami. Dopiero gdy to zrobicie, wróćcie do lektury.

W kwietniu 2012 roku w programie publicystycznym *Hardball* nadawanym przez stację MSNBC wystąpił błyskotliwy naukowiec i zwolennik reform polityki narkotykowej Ethan Nadelmann<sup>834</sup>. Prowadzący program Chris Matthews wydawał się początkowo przekonany argumentami Ethana, potem jednak zmienił front. Tłumaczył swoje obawy następująco: „Jeśli dziesięciu ludzi wypije kieliszek wina, to może jeden z nich, a może jeden na stu, uzależni się szybko od alkoholu. Ale podobno [...] wystarczy raz spróbować kokainy, żeby zostać nałogowcem”.

Ja też w to wierzyłem.

Później jednak porozmawiałem z doktorem Carlem Hartem, jednym z najważniejszych światowych ekspertów w tej dziedzinie. Podczas dyskusji w jego gabinecie na Columbia University pokazał mi tak zdumiewające wyniki, że w ciągu następnego roku musiałem do nich wracać jeszcze kilkakrotnie, by zaakceptować tę prawdę. Swoją opinię opierał na najlepszych badaniach naukowych, które potem szeroko opisał w swojej książce *High Price*. Otóż doktor Hart wykazał, że zaledwie trzy procent ludzi, którzy kiedykolwiek zażywali crack, robiło to w ciągu ostatniego miesiąca, a co najwyżej dwadzieścia procent było kiedykolwiek uzależnionych<sup>835</sup>.

Spójrzcie teraz na liczbę, którą zapisaliście. Czy rzeczywista wartość jest mniejsza, czy większa od waszych szacunków? Ja sam zapisałbym niegdyś dziewięćdziesiąt procent. Myliłem się o całe siedemdziesiąt.

Teraz już wiem, że wbrew temu, co sądziłem ja sam oraz Chris Matthews, ogromna większość użytkowników cracku wcale się od niego nie uzależnia. Gdy ujawniono, że z tego narkotyku korzysta burmistrz Toronto Rob Ford, i gdy miesiąc później przyłapano na kupowaniu metamfetaminy Paula Flowersa, szefa jednego z większych banków Wielkiej Brytanii (zmuszono go wtedy do rezygnacji), ludzie przyjmowali te wiadomości z najwyższym zdumieniem. Nie tak wyobrażano sobie typowych użytkowników cracku czy metamfetaminy – na pewno nie jako ludzi piastujących odpowiedzialne stanowiska, na których zresztą przez długi czas funkcjonowali całkiem dobrze. Wszyscy doszli wtedy do wniosku, że to dziwaczny wyjątek. Jednak w rzeczywistości, zgodnie z wiarygodnymi danymi, to właśnie oni, a nie Marcia Powell czy matka Chino, Deborah, są typowymi użytkownikami takich substancji.



Dziwnie się czuję, wypowiadając takie opinie. Instynkt podpowiada mi, że to nieprawda. Ale takie właśnie są fakty. Dlaczego więc wydaje się to nam wszystkim – łącznie ze mną – tak dziwne? Potrzebowałem trochę czasu, by to rozgryźć, ale chyba już znam powód.

Wciąż uważamy – o czym mowa była już wcześniej – że uzależnienie to głównie skutek działania substancji chemicznych. W narkotyku jest coś, czego po pewnym czasie twoje ciało zaczyna się dopominać i czego fizycznie potrzebuje. Tak właśnie pojmujemy uzależnienie. Jednak te procesy chemiczne to tylko część mechanizmu uzależnienia. Udowodniono, że inne czynniki, takie jak samotność i trauma, mają o wiele większe znaczenie. Mimo to wojna z narkotykami wzmacnia najważniejsze czynniki – samotność i traumę – by chronić użytkowników przed mniej istotnym czynnikiem, czyli substancjami chemicznymi. Jeśli zdecydujemy się na legalizację, nieco więcej ludzi będzie narażonych na działanie substancji chemicznych, lecz o wiele ważniejsze przyczyny nałogów zostaną znacząco zredukowane.

Próbując to zrozumieć, wciąż przypominam sobie skute łańcuchami kobiety z Miasta Namiotów. Próbuję sobie wyobrazić, jak wyglądałoby ich życie, gdyby pieniądze przeznaczone na ich pobyt w więzieniu wykorzystano podobnie jak w Portugalii – umieszczono narkomanki w przyjaznej klinice, nauczono, jak radzić sobie z bólem, i zaoferowano pomoc w znalezieniu pracy. Wyobraźcie sobie, że taka przemiana objęłaby całe społeczeństwo, nawet to, w którym narkotyków używa więcej ludzi. Czy liczba narkomanów wzrosłaby, czy zmalała?

Jak więc w końcu zdecydować, czy popiera się legalizację narkotyków, a jeśli tak, to których? Oczywiście nie mogę podjąć takiej decyzji za was, wszystko bowiem sprowadza się do tego, co sami osobiście bardziej cenicie. Przedstawiłem tu jedynie swego rodzaju zestawienia bilansowe i próbowałem określić, co dla mnie jest cenniejsze.

Namawiam was do przygotowania własnego zestawienia. A oto moje.

W kolumnie zawierającej argumenty przeciwko legalizacji napisałem, że prawdopodobnie wzrośnie konsumpcja narkotyków. Nie będzie to ogromny wzrost – wiemy to już dzięki historycznym precedensom – ale rzeczywisty. Niektórzy ludzie nie sięgają obecnie po narkotyki, ponieważ w świetle prawa jest to przestępstwo, boją się też aresztowania albo kupowania takich

substancji od przestępców w ciemnych uliczkach. Po legalizacji nie będą już mieli takich obaw. To znacząca wada.

Długo szukałem innych argumentów, które mógłbym wpisać do tej kolumny. Nie znalazłem żadnych, ale być może wy jakieś macie: proszę, napiszcie mi o nich w mailu.

W kolumnie przeznaczony na argumenty za legalizacją wpisałem to, co poniżej:

Zbrojne gangi handlarzy narkotyków na całym świecie – od Crips po Zetas – zostaną pozbawione źródła zarobków. Ci, którzy ocaleją, przeniosą się na znacznie mniej zyskowne rynki, gdzie będą wyrządzać znacznie mniejsze szkody. W rezultacie kultura terroru, która obecnie dominuje w całych dzielnicach i krajach – od Brownsville na Brooklynie po Ciudad Juárez – stopniowo zaniknie. (Podobne zjawisko miało miejsce po zakończeniu prohibicji alkoholowej). Policja zyska mnóstwo czasu, który będzie mogła poświęcić innym przestępstwom. Mieszkańcy biedniejszych dzielnic zaczną na powrót ufać siłom porządku publicznego (tak stało się w Portugalii).

Nastolatkom trudniej będzie zdobyć narkotyki (o czym świadczy przykład Holandii). Będzie coraz mniej przypadków przedawkowania, zdecydowanie zmniejszy się liczba zarażeń HIV (co zaobserwowano w Szwajcarii, Holandii i Vancouver). Większość ludzi będzie używać narkotyków łagodniejszych niż teraz (przypomnijcie sobie żelazne prawo prohibicji i koniec zakazu sprzedaży alkoholu). Znacznie więcej pieniędzy będzie można wydawać na leczenie chorych i redukcję przyczyn uzależnienia. Wielu narkomanów, którzy zamknięci w więzieniach pogrążają się w nałogu, zacznie wracać do zdrowia w szpitalach, a potem zdobędzie pracę i dom. To oznacza, że narkomania zostanie znacząco ograniczona (tak stało się w Portugalii).

Miliony ludzi, którzy obecnie siedzą w więzieniu za drobne przestępstwa – kosztem ogromnych pieniędzy z podatków i zaniedbań wobec biednych społeczności – odzyskają wolność. Ogromna liczba Afroamerykanów i Latynosów, którzy obecnie nie mają dostępu do rynku pracy, pożyczek studenckich i mieszkań komunalnych, znów stanie się pełnoprawną częścią społeczeństwa. Zamiast zawstydząć narkomanów, będziemy ich leczyć.

Sporządziwszy tę listę, porównałem wszystkie „za” i „przeciw”. Wasze oceny korzyści i strat mogą się różnić w zależności od rodzaju narkotyku.

Tak było w moim przypadku. Jeśli chodzi o marihuanę i narkotyki pomagające się bawić – od ecstazy aż po kokainę – szkody wyrządzone przez niewielki wzrost konsumpcji zdecydowanie ustępują wszystkim korzyściom. Dlatego właśnie sprzedawałbym je w koncesjonowanych sklepach, jak alkohol. W przypadku narkotyków takich jak crack i metamfetamina skłaniam się ku pośredniej opcji – należałoby zapewnić bezpieczne, nadzorowane miejsca, w których użytkownicy mogliby je kupować i zażywać pod kontrolą lekarzy.

Nie mogę wspierać polityki poświęcającej życie jednostek takich jak Chino Hardin, Marcia Powell i Marisela Escobedo tylko po to, by uniemożliwić korzystanie z narkotyków ludziom, którzy chcą to robić. Nie chcę żyć w takim świecie.

Kiedy Danny i Steve przyjechali do Urugwaju, pokazali prezydentowi Mujicy, jak wprowadzić to lepsze rozwiązanie.

Ich strategia – oraz rady, jakie przekazywały inne grupy optujące za reformą – pomogła Mujicy stworzyć legalną, regulowaną prawem strukturę sprzedaży marihuany. Ich propozycje, choć momentami dość kontrowersyjne, były bardzo proste. W 2014 roku utworzono w całym Urugwaju sieć aptek sprzedających marihuanę – za okazaniem dokumentu tożsamości – każdemu, kto ukończył dwadzieścia jeden lat. Konopie indyjskie są uprawiane legalnie w całym kraju i obciążone odpowiednim podatkiem. Każde rodzinne gospodarstwo może też hodować niewielkie ilości konopi na własny użytek.

Nikt już nie trafi do więzienia za uprawę tej rośliny. Dorośli podczas sobotnich zabaw będą mogli sami decydować, czy wolą alkohol, czy marihuanę, nie obawiając się przy tym żadnej kary. Być może, mówi mi Mujica, ta polityka zawiedzie – ale to, co robimy obecnie w ramach prohibicji, „zawodzi każdego dnia”. Dodaje, że trudno sobie wyobrazić, by nowa polityka przyniosła jeszcze gorsze skutki.

Jak mówi Danny, w perspektywie historii ludzkości to nie nowa fala legalizacji jest zjawiskiem, które należy uznać za radykalne. „Radykalnym posunięciem było wprowadzenie prohibicji” – twierdzi.

Był to eksperyment, który trwał cały wiek i opierał się na założeniu, że można całkowicie wyplenić niektóre gatunki roślin i nie pozwolić, by ludzie się odurzali.

Zakładając w połowie lat dziewięćdziesiątych Transform Drug Policy Institute, Danny twierdził, że w roku 2020 ostatecznie zakończy się globalna wojna z narkotykami. Zawsze powtarzał, że prezydenci będą do niego przychodzić i pytać, jak to zrobić. Wtedy ludzie się z niego śmiali. Teraz już tego nie robią.

Kiedy w słoneczny zimowy dzień odwiedzam chatę prezydenta, pierwszą rzeczą, jaka rzuca mi się w oczy, jest jego bielizna, która, kołysana wiatrem, suszy się na sznurku. Lucía, żona Mujicy, stoi przy drzwiach. Tłumaczy, że nie ma tu czego oglądać. Rzeczywiście, to zwykły dom, czy raczej barak przykryty krzywym blaszanym dachem. W środku znajdują się trzy pomieszczenia: maleńka sypialnia, maleńka kuchnia i łączący je wąski salon, gdzie mieści się trochę mebli i książek oraz mały drewniany kominek. Na ścianie wisi obraz, prezent od Evo Moralesa, prezydenta Boliwii. To wszystko. Wycieczka po urugwajskim odpowiedniku Białego Domu zajmuje całe dziewięćdziesiąt sekund. Przychodzi mi do głowy myśl, że mój premier David Cameron nie trzymałby tu nawet butów.

„José byłby inny, gdyby nie siedział w więzieniu. Miał mnóstwo czasu na przemyślenia i zrozumiał, co jest w życiu ważne. [Nauczył się] w więzieniu żyć bez zbędnych rzeczy. Zrozumiał, że szczęście nie wynika z tego, co masz, ale kim jesteś”.

Później, gdy rozmawiałem z nim przez telefon, Mujica, będący najwidoczniej w filozoficznym nastroju, powiedział: „Jeśli mam za dużo przedmiotów, za dużo rzeczy materialnych, zaczynam się martwić, że będę musiał tego bronić – i że nie będę miał wtedy czasu, żeby zająć się rzeczami, które naprawdę kocham, i utracę wolność. Mam siedemdziesiąt osiem lat. Marzyłem kiedyś, żeby zmienić historię ludzkości, stworzyć taki świat, w którym ludzie nie wyzyskują się nawzajem. To utopia, którą nazywamy socjalizmem. Wydawało nam się, że ten czas jest już blisko. [...] Minęło wiele dziesięcioleci i choć nie porzuciliśmy naszych marzeń, zrozumieliśmy, że stworzenie niemożliwego trwa nieco dłużej”.

Każdego ranka, kiedy Mujica wychodzi z domu, by rządzić krajem, wita go widok wykopanej w pobliżu studni. Stąd pochodzi woda służąca do podlewania rosnących dokoła kwiatów. Mujica hoduje swoje kwiaty i pozwala, by inni hodowali swoje.

W samo południe

Wiedziałem już, jak legalizacja narkotyków sprawdza się w praktyce, lecz chciałem się też dowiedzieć, jak wprowadzić ją na poziomie politycznym. Jak dotrzeć do serca kraju, który od stu lat prowadzi ze swoimi obywatelami wojnę narkotykową, i przekonać jego władze, że istnieje lepsze rozwiązanie? Wciąż przypominałem sobie słowa starej piosenki: „Jeśli uda ci się tutaj, uda ci się wszędzie”.

W stanach Kolorado i Waszyngton dwie małe grupy przyjaciół i znajomych postanowiły zapytać w głosowaniu wszystkich obywateli, czy należy zalegalizować, opodatkować i uregulować prawnie konsumpcję oraz sprzedaż marihuany. Po siedmiu latach wysiłków udało im się doprowadzić do głosowania, w którym większość opowiedziała się za legalizacją. Postanowiłem odszukać tych ludzi i spytać, jak tego dokonali<sup>836</sup>. I tu czekała mnie niespodzianka. Okazało się, że te dwie kampanie wynikają w istocie z całkiem różnych pobudek. Mężczyźni, którzy stoją za zwycięstwem w Kolorado, nie zgadzają się z kobietami, które wygrały w Waszyngtonie<sup>837</sup>.

Analizując te różnice, odkryłem dwie odmienne drogi wyjścia z wojny narkotykowej – warto, byśmy wszyscy je poznali i zastanowili się nad nimi.

Mason Tvert stał na ulicy, wpatrując się uparcie w budynek będący siedzibą władz hrabstwa Denver, jakby chciał wyzwać na rewolwerowy pojedynek w samo południe burmistrza tego miasta<sup>838</sup>. Kiedy jeszcze stan Kolorado stanowił część Dzikiego Zachodu, do takich pojedynków dochodziło niemal codziennie, lecz ostatni udokumentowany przypadek miał miejsce w 1904 roku<sup>839</sup>. Teraz, w roku 2006, Mason wracał do tej tradycji. Później niektórzy uznali tę chwilę za początek batalii, która odmieniła dzieje wojny narkotykowej<sup>840</sup>.

Propozycja była prosta. John Hickenlooper, burmistrz Denver wyłoniony w demokratycznych wyborach, był bogaczem, który dorobił się fortuny na produkcji i sprzedaży piwa<sup>841</sup> – twierdził jednak, że szaleństwem byłaby sprzedaż marihuany na tych samych, regulowanych prawem warunkach.

Obdarzony tubalnym głosem Mason Tvert – tęgi dwudziestoczteroletni Amerykanin o żydowskich korzeniach – uważał, że marihuana jest używką bezpieczniejszą niż alkohol, czego dowiodły liczne badania naukowe. I chciał dowieść tego raz jeszcze. Usiadł więc obok kilku skrzynek z piwem, trzymając w dłoni atrapę jointa i skrywając w kieszeni prawdziwą marihuanę. Oznajmił, że będzie się zaciągał tyle razy, ile łyków piwa upije burmistrz – a potem przekonają się, kto umrze pierwszy<sup>842</sup>.

Hickenlooper odpowiedział, że wyjeżdża z miasta, więc nie może wziąć udziału w pojedynku<sup>843</sup>. Później, pnąc się po szczeblach kariery politycznej i sięgając po stanowisko gubernatora Kolorado, wciąż stanowczo sprzeciwiał się legalizacji marihuany – aż doszło do wydarzenia bez precedensu w historii Stanów Zjednoczonych.

Mason Tvert po raz pierwszy zetknął się z wojną narkotykową, gdy wezwano go przed wielką ławę przysięgłych, która rozpoznaje zasadność oskarżenia przed właściwym procesem. Był studentem pierwszego roku politologii na Richmond University w stanie Virginia i przystępował właśnie do egzaminów semestralnych, gdy policja wezwała go na przesłuchanie. Mason wiedział, że jedynym wykroczeniem, jakiego się dopuścił, było palenie marihuany, potraktowano go jednak jak potencjalnego terrorystę. Okazało się, że inny student został zatrzymany i zaczął podawać nazwiska. Policjanci zasypywali Masona pytaniami: „Gdzie kupujesz narkotyki? Jakich znasz dostawców? Jak daleko sięga ta siatka?”. Mason tłumaczył, że kupował marihuanę na parkingach, w trakcie koncertów rockowych, i że poza tym nic nie wie. Był przerażony<sup>844</sup>.

Później, gdy rozmyślał o tej sytuacji, przypomniał sobie, że uczelnia aprobuje – a nawet pochwała – imprezy, na których spożywa się ogromne ilości alkoholu<sup>845</sup>, zaczął się więc zastanawiać: dlaczego alkohol jest ogólnie dostępny i akceptowany, a za samo posiadanie marihuany można trafić do więzienia, choć – jego zdaniem – palacze powodują mniej problemów niż pijacy?

Po ukończeniu studiów Mason chciał zmienić sytuację, którą uważał za nienormalną, i zaczął ją szczegółowo analizować. Jeden z jego przyjaciół Steve Fox zwrócił uwagę na zastanawiającą prawidłowość dotyczącą sondaży na temat marihuany. Jeśli ktoś uważał, że marihuana jest niebezpieczniejsza od alkoholu, był przeciwny legalizacji tej substancji, lecz jeśli uważał ją za mniej szkodliwą, popierał legalizację. Tymczasem,

zdaniem Masona, wszystkie badania dowodziły, że marihuana jest używką bezpieczniejszą od alkoholu. Uznał to za klucz do rozwiązania problemu, przeniósł się więc do Denver i założył grupę o nazwie Safer Alternative for Enjoyable Recreation [Bezpieczniejsza Alternatywa dla Przyjemnego Wypoczynku], w skrócie SAFER, czyli „Bezpieczniej”. Organizacja ta miała za zadanie wyjaśniać, czym w istocie jest marihuana. Mason rozwiesił przed biurem burmistrza Hickenloopera transparent z napisem: „Jaka jest różnica między burmistrzem a sprzedawcą marihuany? Burmistrz sprzedaje niebezpieczniejszą używkę”<sup>846</sup>.

Mówiono mu, że to strata czasu, donkiszotowska walka z wiatrakami.

„Przez wiele lat zamykano nam drzwi przed nosem – opowiada mi jeden z najbliższych sprzymierzeńców Masona Brian Vicente. – Politycy nie chcieli się z nami spotykać. Nie odpowiadali na nasze telefony. Policjanci grozili nam od czasu do czasu. Nasi rodzice i różni ludzie mówili: »Dlaczego się tym zajmujecie? To beznadziejna sprawa«. Ale my wciąż w nią wierzyliśmy”.

Byli gotowi walczyć do końca o prawo do legalnego korzystania z takiej używki, jaką sami sobie wybrali.

Ponad pięć tysięcy kilometrów dalej, w Anchorage na Alasce, Tonia Winchester siedziała w szkolnej klasie na zajęciach w ramach DARE – programu edukacyjnego powołanego do życia przez Nancy Reagan, którego hasło przewodnie brzmiało „Just Say No”. Tonia przejęła się tym tak bardzo, że została szefem oddziału tego programu w swojej szkole. Była przekonana, że „wszyscy ludzie, którzy używają marihuany, są źli i zasługują na więzienie”. Myślała, że jeśli ktoś sięga po marihuanę, zaraz uzależni się od heroiny i będzie się codziennie szprycował. Tak ją wychowano. Unikała narkotyków.

Tonia nigdy nie lubiła marihuany, choć doprowadziła do jej legalizacji w stanie Waszyngton. Po ukończeniu szkoły średniej studiowała prawo i została prokuratorem w Waunakee, mieście w środkowej części stanu Waszyngton. Zajmowała się między innymi ściganiem i karaniem użytkowników marihuany. Przez długi czas wierzyła w słuszność tej sprawy.

Stopniowo jednak zaczęła dostrzegać pewne rzeczy, które budziły jej niepokój. Dlaczego ludzie, których musiała oskarżać, byli w ogromnej większości Afroamerykanami lub Latynosami, podczas gdy „większość



ludzi palących marihuanę to biali. Dlaczego białych nie zatrzymuje się i nie aresztuje za posiadanie marihuany?”.

Zacząła się zastanawiać, czy nie jest częścią systemu rasistowskiego, a potem, w chwilach zwątpienia, zadawała sobie również inne pytanie: czy niektóre z jej decyzji nie wynikały z uprzedzeń? Zauważyła, że kiedy widzi latynoskie nazwisko, automatycznie zakłada, że oskarżony nie jest amerykańskim obywatelem i można go deportować. Pytała samą siebie: „Jak to się stało, że zaczęłaś tak myśleć? Czy chcesz się tym zajmować do końca życia?”.

I wtedy zauważyła coś jeszcze gorszego. Ludzie, których oskarżała, nie tylko należeli do mniejszości etnicznych – często były to dzieci. Pewnego dnia musiała postawić w stan oskarżenia osiemnastolatka, którego złapano, gdy palił z przyjacielem marihuanę w samochodzie stojącym na parkingu. Chłopak studiował dzięki stypendium. Gdyby został skazany, straciłby stypendium i mógłby mieć do końca życia problemy ze znalezieniem pracy. Takich spraw było znacznie więcej.

„Widziałeś kiedyś wielkie zakłady przetwórstwa mięsnego, gdzie ciągle wchodzi kolejna krowa, wchodzi i wchodzi, i wchodzi? – pytała mnie. – Tak to właśnie wyglądało. To taśmociąg z ludźmi, którzy wchodzi do sądu i wypadają z systemu [...]. Kolejna sprawa, wyrok, papierkowa robota, komornik. Następna sprawa. [...] Dramat zaczyna się później, kiedy nie mogą zdobyć pracy, bo mają wyrok. Nie mają pieniędzy na grzywnę i muszą spędzić jeszcze więcej czasu w więzieniu. [...] To niekończąca się spirala beznadziei”.

Tonia miała coraz więcej wątpliwości, gromadziły się w niej niczym brudna woda za tamą – aż pewnego dnia, pracując nad stertą spraw związanych z marihuaną, zauważyła stos oskarżeń o przemoc domową, którym nie miała czasu się zająć. Ściganie palaczy marihuany było dla jej szefów priorytetem, a winnych obowiązkowo karano więzieniem – w przypadkach przemocy domowej można było zasądzić łagodniejszą karę. W tym momencie Tonia złożyła sobie samej obietnicę: „Wyrwę się z tego systemu i pozbędę tego złego prawa”. Nie zmieniła zdania w sprawie marihuany. Nigdy jej nie polubiła. Zmieniła jednak zdanie w kwestii prawa dotyczącego marihuany. Wkrótce potem połączyła siły z inną prawniczką – młodą matką, Alison Holcomb, która pracowała przy podobnych sprawach i obiecała sobie, że zrobi wszystko, by jej syn dorastał w Ameryce, gdzie nikt nie będzie już podobnie traktowany. Początkowo prowadziły walkę

całkiem same – prawie nikt inny nie chciał organizować głosowania w tej sprawie, wszyscy uważali, że to beznadziejny przypadek.

W obu tych kampaniach chodziło o zmianę systemu wprowadzonego przez Harry'ego Anslingera, lecz drogi prowadzące do tego celu były całkiem odmienne. Mason chciał się skupić na obaleniu twierdzeń dotyczących szkodliwości używania marihuany. Tonia chciała wykazać, że prohibicja wcale nie jest tak korzystna, jak się uważa. Wszystkie udane reformy narkotykowe, jakie widziałem do tej pory – na przykład w Szwajcarii – opierały się na konserwatywnym w duchu przekazie o przywracaniu porządku, odbieraniu przestępcom źródła zarobku i ochronie dzieci. Tonia uważała, że takie właśnie podejście sprawdzi się w Waszyngtonie – jednak w Kolorado Mason próbował czegoś całkiem innego.

Zdaniem Masona głównym argumentem przemawiającym za legalizacją marihuany jest fakt, że od czasów Anslingera ludzie nie znają prawdy o tej substancji, która w istocie jest bezpieczniejsza od sobotniego piwa.

„Alkohol jest trucizną. To toksyczna substancja, która może doprowadzić do przedawkowania i śmierci. Sama konsumpcja alkoholu – nie licząc wypadków spowodowanych odurzeniem – jest w Stanach Zjednoczonych przyczyną około czterdziestu tysięcy zgonów rocznie. Palenia marihuany nie powiązано z ani jednym zgonem rocznie<sup>847</sup>. [Alkohol] jest bardziej uzależniający niż marihuana. Z pewnością powoduje więcej problemów społecznych – jest główną przyczyną aktów przemocy i lekkomyślnego zachowania” – mówi Mason.

Przyjrzyjmy się teraz marihuanie.

„Żadne poważne badania nie potwierdzają, by marihuana powodowała jakiegokolwiek problemy. Wręcz przeciwnie, istnieją dowody na to, że substancja ta ogranicza niebezpieczne zachowania i sprawia, że ludzie stają się mniej agresywni. Jest mniej szkodliwa dla ludzkiego organizmu i dla społeczeństwa. Jeśli więc ktoś decyduje się na marihuanę, a nie alkohol, dokonuje bezpieczniejszego wyboru”<sup>848</sup>.

Mason uważa, że te argumenty zmieniają obraz debaty, bo jeśli zalegalizuje się marihuanę, niektórzy, zamiast się upijać, będą w sobotni wieczór palić trawkę. Legalizacja nie oznaczałaby więc akceptacji dla czegoś złego, lecz „zapewniała dorosłym mniej szkodliwą alternatywę”<sup>849</sup>. Mason twierdził nawet, że choć jest przeciwny temu, by nastolatki paliły

marihuanę, jeśli przerzucą się z alkoholu na konopie indyjskie, „będzie to pozytywna zmiana”.

Organizacja prowadząca kampanię wykupiła więc billboard nad sklepem z alkoholem. Na reklamie widać uśmiechniętą kobietę w białym swetrze, która mówi: „Z wielu powodów wolę marihuanę od alkoholu. Czy to czyni mnie złym człowiekiem?”<sup>850</sup>. Poprzedni plakat był parodią reklamy piwa – ukazywał dziewczynę w bikini, która mówiła: „Marihuana: zero kaca, zero agresji, zero kalorii!”<sup>851</sup>. Mason trafił też na badania dowodzące, że do aktów przemocy domowej dochodzi aż osiem razy częściej w sytuacji, gdy mężczyzna jest pod wpływem alkoholu<sup>852</sup>, natomiast marihuana w ogóle nie skutkuje podobnym zachowaniem. Dlatego SAFER wykupiło billboard ukazujący młodą kobietę pobitą przez partnera, namawiający ludzi, by głosowali za legalizacją marihuany, a tym samym za ograniczeniem agresji i przemocy domowej<sup>853</sup>. Na każdym etapie kampanii Mason chciał podkreślić fakt, że obecne prawo „pcha ludzi ku bardziej szkodliwej substancji”.

Kiedy miejscowi policjanci aresztowali grupę handlarzy narkotyków, Mason stał przed salą, w której DEA zorganizowała konferencję prasową, trzymając plakat z podobizną Johna Hickenloopera jako poszukiwanego przestępcy. Tłumaczył, że burmistrz Denver dorobił się fortuny, sprzedając bardziej szkodliwą używkę, więc logicznie rzecz ujmując, również powinien zostać aresztowany. Mason mówił też, że przeprowadził śledztwo dotyczące „dealerów alkoholu”, sprawdzając adresy sklepów monopolowych w mieście, i pytał, dlaczego ich nie zamknięto, a ich właściciele nie potraktowano w podobny sposób jak handlarzy narkotyków.

Jego sprzymierzeńcy nazwali tę taktykę „marihuanowym ju-jitsu”<sup>854</sup> – domaganiem się od zwolenników prohibicji, by uzasadnili swój szalony system. Mason uważa, że to jedyna droga prowadząca do reformy. „Dopóki ludzie nie rozumieją, że marihuana nie jest wcale tak szkodliwa, jak im wmawiano, nie poprą legalizacji” – mówi.

Podczas wszystkich debat, jakie odbyły się w czasie kampanii – w różnych skalistych i śnieżnych zakątkach Kolorado – Mason kierował się pewną regułą. Nigdy nie formułował takich argumentów, w których słowo „marihuana” można było bez przeszkód zastąpić słowem „metamfetamina”. Nigdy na przykład nie mówił, że zakaz dotyczący marihuany to marnotrawstwo środków albo że dzięki niemu rosną w siłę gangi narkotykowe, czy też że środki przeznaczone na utrzymanie prohibicji

można by wydać na coś przydatniejszego – bo skoro można tak usprawiedliwiać legalizację marihuany, czemu nie metamfetaminy? Twierdzi, że jeśli człowiek sam zapędzi się w taki róg, nie zdoła nikogo przekonać.

„Marihuana jest zakazana, bo uchodzi za bardzo szkodliwy środek – mówi. – Nasz przekaz dotyczy takich właśnie stereotypów, podczas gdy inne kampanie całkowicie pomijały ten aspekt i skupiały się na problemach związanych z prohibicją”<sup>855</sup>.

Tymczasem w Waszyngtonie Tonia Winchester stała w śniegu przed stadionem drużyny futbolowej Cougars, próbując zebrać choć małą część z trzystu tysięcy podpisów potrzebnych, by zorganizować stanowe referendum w sprawie legalizacji marihuany. Wielu mijających ją ludzi uśmiechało się do niej i jej dziękowało – wielu innych gniewnie na nią warczało. Słyszała różne warianty uwag typu: „To diabelski środek. Działasz w imieniu diabła! Psujesz naszą młodzież!”.

Kiedy ktoś przystawał, by z nią porozmawiać, używała argumentów całkiem odmiennych od tego, na czym bazował Mason: „Nie proszę was, byście lubili marihuanę ani nawet uznawali ją za coś dobrego. Ja wcale jej nie używam i wolałabym, żeby ludzie też tego nie robili. Nie chodzi tu o zachwalanie marihuany i namawianie, by ludzie po nią sięgali. Chodzi o politykę, która nie przynosi żadnych korzyści społeczeństwu i spowodowała więcej zła niż dobra”.

Opowiadała o swoim doświadczeniu na stanowisku prokuratora, o tym, jak prawo rujnuje ludziom życie, i o tym, że powinna była raczej zajmować się ściganiem prawdziwych przestępców. „Bez względu na to, z kim rozmawiałam o legalizacji, starałam się jak najszybciej dotrzeć do argumentu, że nie mówimy tutaj o lubieniu marihuany – tłumaczyła. – Że nie chcemy nikogo zachęcać, by po nią sięgał. Że nie chodzi tu o przyjemność, jaką czerpie się z palenia”.

Tylko około piętnastu procent mieszkańców Kolorado i Waszyngtonu lubi marihuanę na tyle, by ją palić. To oznacza, że pozostałe osiemdziesiąt pięć procent nie lubi jej lub nie chce jej palić. Tonia myślała, że nigdy nie uda się jej zmobilizować tych ludzi do podjęcia działań w obronie marihuany. Chciała im jednak pokazać, jak prohibicja dotyka wszystkich – niezależnie od tego, czy palą, czy też nie<sup>856</sup>. Uważa, że chwalcąc marihuanę, wzmacniałyby tylko negatywne stereotypy na jej temat.

„Widziałam, jak zmienia się nastawienie ludzi do mojej osoby, gdy wchodziłam do sali i okazywało się, że nie mam dreadów ani rastafariańskich ubrań – opowiada. – Mam naprawdę fantastycznych przyjaciół, ludzi sukcesu, bystrych i dowcipnych, którzy tracą szacunek otoczenia, gdy tylko przyznają, że palą trawkę. [...] Ja też wciąż muszę walczyć ze swoimi stereotypami na temat palaczy marihuany”.

Dlatego podczas kampanii prowadzonej w Waszyngtonie celowo nie porównywano marihuany z alkoholem, by dowieść, że ta pierwsza jest bezpieczniejsza. „To głupi argument, który nie przekonuje ludzi. [...] Instynktownie reagują negatywnie na marihuanę i dopiero jeśli pokona się tę niechęć, można ich namówić do głosowania za legalizacją” – twierdzi Tonia.

Jeśli próbujesz mówić ludziom, że marihuana nie jest zła, większość z nich – nawet ci, których można by przekonać do legalizacji – szybko wygłosi własne, negatywne opinie o tym środku. „Nie wiem, czy wychodząc z takiego założenia, można jeszcze kogoś namówić do wsparcia legalizacji – tłumaczy Tonia. – Sami zapędzamy się wtedy w kozi róg”.

Chodziło nie tylko o to, że Tonia i jej przyjaciółki wątpiły, czy argumenty Masona przekonają ludzi – wątpiły też w ich prawdziwość. Profesor Roger Roffman, ekspert w dziedzinie zaburzeń narkotykowych, był jedną z wiodących postaci kampanii, a zabiegał o legalizację marihuany już od 1967 roku, odkąd wrócił z Wietnamu. Kiedy jednak słyszał, jak ludzie mówią, że to „bezpieczny” narkotyk, czuł się w obowiązku wyjaśnić pewne rzeczy: „Być może w to właśnie chcielibyście wierzyć, lecz nauka tego nie potwierdza. Marihuana może doprowadzić do uzależnienia. Może być przyczyną wypadków samochodowych. Nastolatki używający marihuany regularnie i od wczesnych lat często się wykolejają. [...] Twierdzenie, że marihuana jest nieszkodliwa, to dezinformacja. Dezinformujemy w ten sposób ludzi, z którymi rozmawiamy”.

Aktywiści z Waszyngtonu twierdzili, że narkotyki należy zalegalizować nie dlatego, że są bezpieczne, lecz właśnie dlatego, że takie nie są. Powinniśmy to zrobić właśnie dlatego, by odebrać je gangsterom oraz kartelom i przenieść do licencjonowanych sklepów – a uzyskane w ten sposób pieniądze z podatków wydać na prewencję i leczenie. Nie przyszłoby im do głowy, by mówić rodzicom, że lepiej będzie, jeśli ich dzieci zastąpią alkohol marihuaną. Tłumaczyliby raczej, że „uliczni handlarze nie sprawdzają dowodu tożsamości”. Legalizacja ograniczyłaby

nastolatkom dostęp do narkotyków. Children Alliance [Sojusz Dziecięcy] – największa organizacja charytatywna zajmująca się dziećmi w stanie Waszyngton – poparła legalizację marihuany.

Ta różnica w podejściu do narkotyków zaowocowała nie tylko różnymi kampaniami, ale i różnymi modelami legalizacji.

Model waszyngtoński opierał się na przekonaniu, że marihuana przynosi szkody, którym należy przeciwdziałać. Tamtejsi aktywiści postanowili więc przeznaczyć zyski z opodatkowania marihuany na programy prewencji w szkołach i leczenie narkomanów. W Kolorado postawiono na inne rozwiązanie – pieniądze z podatków wydaje się na budowę nowych szkół. W stanie Waszyngton wprowadzono nowe prawo, które surowo karze kierowców prowadzących pod wpływem marihuany. W Kolorado sprzeciwiono się takiej propozycji. W Waszyngtonie nie można uprawiać marihuany w domu, w Kolorado jest to dozwolone.

Aktywiści w obu stanach twierdzili, że legalizacja poprawi stan zdrowia publicznego – lecz na całkiem różne sposoby. W Kolorado, jak mi się wydaje, twierdzono przede wszystkim, że ludzie będą zdrowsi, jeśli zaczną używać marihuany zamiast alkoholu. W Waszyngtonie utrzymywano, że ludzie będą zdrowsi, jeśli wykorzystają się pieniądze z podatków na częściową choćby likwidację szkód wywołanych używaniem marihuany. Była to dość subtelna, ale zasadnicza różnica.

Pewnego wieczora aktywiści w stanie Waszyngton otrzymali w końcu potwierdzenie, że referendum się odbędzie, urządzili więc wielkie przyjęcie w domu miejscowego pisarza, autora książek podróżniczych. Alison Holcomb, która wraz z Tonią przewodziła kampanii, była wyczerpana. Wyszła z domu, by pobyć przez chwilę w samotności i odpocząć. Słońce mieniło się odcieniami różu i fioletu, a Alison po raz pierwszy od kilku miesięcy mogła oderwać się od bieżących spraw i pomyśleć o tym, co właściwie robią.

„Wtedy właśnie uświadomiłam sobie w końcu – opowiadała mi potem – że mieszkańcy stanu Waszyngton będą mieli szansę zmienić świat. Pamiętam, że patrzyłam na chmury i myślałam: to samo niebo jest nad Meksykiem, to samo nad Europą i nad całym światem. Wszędzie jest tak wielu ludzi, którzy czekają na wyniki tego głosowania. Którzy chcą zobaczyć, czy nam się udało. Miałam tę chwilę refleksji [...], kiedy uświadomiłam sobie, jakie to ważne”.

Kiedy w obu tych stanach wojna z narkotykami zbliżała się do końca, wciąż słyszałem dziwne echa jej początków.

Harry Anslinger zdelegalizował marihuanę, kierowany rasistowskim strachem przed Latynosami: ostrzegał, że przyjeżdżają do Stanów Zjednoczonych i przywożą ze sobą swoje „szalone zioło”. Ten argument pozwolił mu zyskać poparcie opinii publicznej. Teraz, po wszystkich tych latach, Tonia i Alison tłumaczyły społeczeństwu, że Latynosi wciąż są głównym celem antynarkotykowych działań policji. Jednak tym razem – po wielu dziesięcioleciach – ludzie postrzegali to jako powód do zakończenia wojny, a nie wspierania jej. Amerykanie stali się życzliwsi.

Czułem jednak, że nawyki z początków wojny narkotykowej wracają co jakiś czas, niczym paskudna zgaga. Harry wykorzystał wtedy całą siłę prawa, by zastraszyć i uciszyć dysydentów takich jak Henry Smith Williams. Takie historie wciąż się zdarzają. Pewnego wieczora jeden z najbliższych sojuszników Masona – prawnik o latynoskich korzeniach Brian Vicente – pojechał do hrabstwa na wschodnich równinach Kolorado, by zaprezentować argumenty zwolenników legalizacji. Nagle do sali wpadł szeryf ze swoimi podwładnymi. Wrzeszczał: „Gdyby to ode mnie zależało, wyciągałbym palaczy marihuany z samochodów i do nich strzelał” – szeryf celował z palców.

Przerażony Brian pośpiesznie opuścił hrabstwo. Jednak nie tylko przedstawiciele prawa budzili strach zwolenników legalizacji. Później Brian pojechał do jednej z najpopularniejszych latynoskich stacji radiowych, by zachęcać słuchaczy do wspierania legalizacji. Wiedział, że w stanie Kolorado mieszka sporo ludzi przybyłych z Meksyku – niektórzy z nich uciekali tu przed okropieństwami wojny narkotykowej – więc chciał im wyjaśnić, że legalizacja pozbawiłaby kartele dużej części zysków i znacznie je osłabiła.

Prowadzący spojrzeli na niego ze zgrozą i powiedzieli, że nie mogą tego zaprezentować w eterze. „Nie chcemy mówić o tym na antenie – tłumaczyli – bo boimy się, że nas zabiją”.

Byli przekonani, że gdyby opowiedzieli się za legalizacją, „padliby ofiarą zemsty” meksykańskich karteli, które mają swoich przedstawicieli w Kolorado (zajmują się uprawą marihuany w parkach narodowych i przemycają narkotyki do Stanów Zjednoczonych).

Kiedy Brian mi o tym opowiadał, przypomniałem sobie, że na samym początku wojny narkotykowej gangsterzy wspierali prohibicję, a nawet



przekupywali agentów Anslingera, by wprowadzali ją szybciej. Teraz, pod koniec wojny, zastraszali ludzi, którzy chcieli zakończyć prohibicję. Zastanawiałem się, czy nie świadczy to jednoznacznie o tym, kto korzysta na wojnie narkotykowej.

Rozmawiając z ludźmi z Waszyngtonu i Kolorado, wciąż pytałem samego siebie: która z tych kampanii jest słuszna? Które podejście powinni wybrać ludzie w całym kraju, próbując skończyć tę wojnę?

Instynktownie zgadzałem się raczej z Tonią i Alison z Waszyngtonu. Gdybym był zwolennikiem prohibicji, mógłbym przedstawiać rzeczników legalizacji jako grupę gniewnych narkomanów, którzy domagają się prawa do palenia i twierdzą, że byłoby dobrze, by inni również tego spróbowali. Miałem jednak wrażenie, że postępuję zbyt pochopnie, odrzucając argumenty Masona. Dlaczego, pytałem samego siebie, ludzie chętniej przyjmują argumenty za legalizacją i uregulowaniem sprzedaży marihuany niż w latach trzydziestych czy osiemdziesiątych?

Powodów jest wiele – lecz najważniejszy to chyba fakt, że nie wierzymy już w wyolbrzymione mity na temat marihuany. Ludzie nie tylko zmienili postrzeganie prohibicji, ale i samego narkotyku. Kiedy przywołuje się dziś opowieści Anslingera o tym, jak to marihuana zmienia ludzi w szalonych morderców, nawet najwięksi konserwatyści parszczą śmiechem. To chyba właśnie ten czynnik sprawia, że ludzie opowiadają się za legalizacją.

Anslinger musiał rozpętać histerię dotyczącą marihuany, by jej zakazać – czy istotną częścią zniesienia zakazu nie jest zatem odczarowanie tej histerii?

Kiedy rozmawiałem o tym z Tonią i Alison, okazało się, że ich poglądy są bardziej skomplikowane, niż mi się początkowo wydawało. Chętnie przyznają, że w przedstawionym powyżej argumencie jest trochę prawdy. Po skończeniu szkoły Tonia uważała, że marihuana jest zła, bo zamienia każdego w bezmyślnego leniucha.

„Kiedy ludzie zaczęli sobie uświadamiać, że znają homoseksualistów tworzących cudowne, pełne miłości związki, gdy ucłowieczono homoseksualizm, zaczęto go powszechniej akceptować. Tak było też ze mną i narkotykami. Znam mnóstwo niezwykle inteligentnych, elokwentnych członków społeczeństwa, którzy palą marihuanę dla przyjemności [...]. Musiałam sobie po prostu uświadomić, że moje wyobrażenia na temat ludzi używających narkotyków były całkowicie

błędne. I w zetknięciu z faktami, uwolnić się od tych przekonań” – mówi Tonia.

Tonia i Alison przyznają więc – przynajmniej pośrednio – że potrzebujemy niektórych aspektów przekazu Masona. Uważają, że posuwa się on za daleko, ale informacja, że marihuana jest bezpieczniejsza, niż wmawiano nam przez wiele lat, to istotna część urabiania opinii społecznej. Zastanawiam się więc, czy nie potrzebujemy argumentu Masona jako długofalowego podtekstu kulturowego, a argumentów Toni i Alison jako konkretnego uzasadnienia legalizacji. Kiedy powiedziałem o tym Masonowi, stwierdził, że taki właśnie był plan od samego początku – przekazujesz wiadomość, że marihuana jest bezpieczniejsza. „A gdy ludzie są już przygotowani i bardziej uważni, dorzucasz tradycyjne argumenty”<sup>857</sup> – dodał.

A jednak inne elementy kampanii Masona wydają mi się niewłaściwe, zarówno ze względów politycznych, jak i praktycznych. Próbuję wyobrazić sobie, jak opowiadam sceptycznie nastawionym rodzicom, że lepiej, by ich dziecko paliło marihuanę, niż piło piwo. Trudno mi wymyślić argument, który równie skutecznie pchnąłby ich w ramiona zwolenników prohibicji. Co więcej, gdyby był to jedyny argument ludzi opowiadających się za legalizacją, miałbym ochotę zagłosować przeciwko niej. Wolałbym raczej, żeby moi bratankowie pili piwo, niż palili narkotyki, który może trwale obniżyć ich inteligencję<sup>858</sup>.

Wydarzyła się jednak rzecz zastanawiająca. Pomimo wszystkich różnic między kampaniami w obu przypadkach zwolennicy legalizacji zwyciężyli – i to ze sporym marginesem bezpieczeństwa. W Kolorado pięćdziesiąt pięć procent głosowało za legalizacją, a czterdzieści pięć przeciwko. W Waszyngtonie proporcje były bardzo podobne. Obie kampanie, które początkowo wyśmiewano jako nierealistyczne, zakończyły się sukcesem.

Kiedy ludzie w Kolorado zobaczyli, jak wygląda legalna sprzedaż narkotyków w sklepach, poparcie dla legalizacji jeszcze wzrosło. Po dwóch miesiącach od wprowadzenia w życie nowych przepisów różnica między zwolennikami i przeciwnikami legalizacji wzrosła z dziesięciu do dwudziestu dwóch procent – przeciwko było już tylko trzydzieści pięć procent społeczeństwa. Obawy przed legalizacją zaczęły zanikać, gdy tylko ludzie zobaczyli, jak to działa w praktyce<sup>859</sup>.

Wciąż otwarta pozostaje odpowiedź na pytanie o różnicę między tymi dwiema kampaniami, a właśnie ta kwestia – być może bardziej niż jakakolwiek inna – określi przyszłość wojny z narkotykami: czy za jakiś czas będziemy mogli odnieść tę odpowiedź do innych narkotyków? Mason ma prostą i jednoznaczną odpowiedź: „Czy będziemy świadkami szerokiej legalizacji innych narkotyków [sprzedawanych każdemu, kto okaże dokument potwierdzający jego wiek]? Nie. Zdecydowanie nie. Nie dojdzie do tego”.

Rozumiem, na czym opiera ten pogląd. Kto chciałby wyzwać swojego burmistrza na pojedynek alkohol kontra kokaina? Albo alkohol kontra metamfetamina?

„Każdy z narkotyków należy traktować w odniesieniu do jego szkodliwego działania – mówi Mason. – To są różne substancje, więc należy do nich podchodzić na różne sposoby”<sup>860</sup>.

Tak więc jego zdaniem marihuana powinna być legalna i dostępna dla dorosłych użytkowników, bo jest bezpieczniejsza niż alkohol, ale wiele innych narkotyków jest groźniejszych, więc nie można zastosować do nich tego samego podejścia. Mason nie jest wcale w tej kwestii konserwatystą, zdecydowanie popiera reformę polityki wobec innych narkotyków – chce, by zdekryminalizowano posiadanie wszystkich narkotyków na własny użytek i by w przyszłości wprowadzono odpowiednie regulacje prawne. „Ale jeśli chodzi o legalną produkcję i dystrybucję? Nie sądzę, by jakikolwiek inny narkotyk można było traktować jak marihuanę”<sup>861</sup>.

Tonia i Alison podchodzą do sprawy inaczej. Zabiegając o legalizację marihuany, nie twierdziły wcale, że jest bezpieczna, lecz że obecne prawo wyrządza więcej krzywd niż sam narkotyk – i uważają, że podobny argument można odnieść do wielu innych substancji. Wierzą, że kolejne narkotyki, jeden po drugim, zostaną objęte regulacją prawną tożsamą z tą, która dotyczy marihuany. Trzeba będzie na to poczekać do następnego pokolenia, jak mówią, ale wcześniej czy później do tego dojdzie.

Wszystkie strony debaty zgadzają się, że jeśli ta fala legalizacji marihuany odniesie sukces, otworzy możliwość dyskusji na temat legalizacji innych narkotyków. Mason uważa, że można będzie wprowadzić dekryminalizację, zaś Tonia myśli, że uda się sięgnąć jeszcze dalej, do pełnej legalizacji. Jeśli nic złego nie wydarzy się w stanach Waszyngton i Kolorado, będzie można przejść do szerszej debaty.

Zastanawiając się, jak osiągnąć następny etap legalizacji narkotyków, wracam wciąż myślami do jednego z najtrudniejszych pytań, na jakie natknąłem się, pisząc tę książkę. Mason twierdził, że marihuana jest bezpieczniejsza, niż się ogólnie sądzi, szczególnie w porównaniu z alkoholem. Czy więc inne narkotyki też są bezpieczniejsze, niż nam się wydaje? Czy rzeczywiście są bezpieczniejsze niż alkohol? Czy powinniśmy używać takiego argumentu?

Początkowo wydawało mi się, że to głupie pytanie, szczególnie w odniesieniu do historii mojej rodziny. Jednak profesor David Nutt, były główny doradca rządu brytyjskiego w sprawach narkotykowych, opublikował w „The Lancet” – wiodącym brytyjskim czasopiśmie naukowym – wyniki badań, w których opisał, jakie jest prawdopodobieństwo, że dana używka wyrządzi szkodę samemu użytkownikowi oraz ludziom w jego otoczeniu<sup>862</sup>. Przekonał się, że jedna substancja bije pod tym względem inne na głowę – współczynnik wynosił w jej przypadku 72. Następnym była heroina z wynikiem 55, tuż przed crackiem (54) i przed metamfetaminą (32). Najszkodliwszą używką okazał się alkohol.

Wyniki te tak bardzo nie pasowały do wszystkiego, czego uczono mnie do tej pory, że dopiero gdy omówiłem je dokładnie z profesorem Nuttem, a potem z profesorem Carlem Hartem i innymi, zrozumiałem w pełni ich znaczenie. Nutt podkreśla, że inne używki i narkotyki też mogą być bardzo szkodliwe, ale jak dowiedziono, szkodzą one niewielu ludziom, ci zaś z kolei mogą zrobić niewielką krzywdę innym. Jak tłumaczy Nutt, nie oznacza to, że te narkotyki są bezpieczne, a jedynie, że alkohol jest znacznie niebezpieczniejszy, niż nam się wydaje.

Czy można więc założyć, że argument Masona odnosi się jednak do wielu różnych narkotyków – że naprawdę są bezpieczniejsze niż alkohol? To skomplikowana kwestia i nie można jej sprowadzić do jednego prostego hasła. Spróbujcie powiedzieć: „Te narkotyki mogą być bardzo szkodliwe – ale nie są tak szkodliwe, jak od lat wmawiał wam rząd, ani tak niebezpieczne jak alkohol”. Nie jest to argument, którego mógłbym użyć podczas pięciominutowej debaty telewizyjnej. Rzecz wymaga dłuższej analizy i wyjaśnień. Łatwo go przeinaczyć i przedstawić jako karykaturalne stwierdzenie, że narkotyki są w istocie bezpieczne – a dowody wcale tego nie potwierdzają.

Jednak profesor Hart – neurofarmakolog z Columbia University – powiedział mi, że należy koniecznie odnieść argument Masona do innych narkotyków, co bardzo konkretnie uzasadnił: „[Obecnie] nie można szkalować marihuany tak, jak robił to Harry Anslinger, ponieważ mamy już ogromne doświadczenie z tym środkiem. Więc gdy powiesz ludziom, że jeśli palisz marihuanę, to wpadniesz w szal i pozabijasz swoich rodziców, nikt w to nie uwierzy. Jednak w czasach Harry’ego Anslingera ludzie wierzyli w takie opowieści. [Obecnie] jeśli powiesz ludziom, że po zażyciu metamfetaminy kogoś zabiją, też w to uwierzą. Albo jeśli powiesz im, że po wypaleniu cracku pójda kogoś zabić, również w to uwierzą – choć to po prostu niemożliwe”.

Profesor Hart uważa więc, że dopóki nie obalimy tych „mitów na temat narkotyków”, utkniemy na zawsze w wojnie rozpętanej przez Anslingera.

Nie wiedziałem do końca, co o tym sądzić. Z jednej strony uważałem, że profesor Hart ma rację: ludzie nigdy nie zdecydują się na prawne uregulowanie rynku narkotyków, jeśli będą wierzyć, że to demoniczne substancje, które przejmują kontrolę nad większością użytkowników i niszczą ich. Jeśli odkryją, że te substancje są w istocie mniej szkodliwe od alkoholu, zaś uzależnienie wywołują głównie trauma i samotność, a nie sam związek chemiczny, będą chętniej słuchali argumentów na rzecz legalizacji. Zaczną inaczej postrzegać narkotyki – a dzięki temu zmienią też myślenie o kryminalizacji posiadania i użytkowania tych środków.

Jednak inny głos w mojej głowie mówi, że wielu ludziom wyda się to szalone. Te narkotyki naprawdę są niebezpieczne. Nikt tego nie podważa. Większość zakazanych substancji wyrządza tak duże szkody, że o wiele bliżej im do alkoholu niż do marihuany. Dlaczego pełniejsze zrozumienie straszliwych skutków działania alkoholu miałoby zmienić podejście ludzi do nieco tylko mniej groźnych narkotyków, takich jak crack czy metamfetamina? W ten sposób nie wygra się debaty o legalizacji narkotyków, można co najwyżej jeszcze bardziej przekonać innych do wojny narkotykowej. Po co sięgać po trudniejsze argumenty, skoro nie ma takiej konieczności?

Te same różnice, które dzielą podejście Masona od podejścia Toni, pojawiają się w moim umyśle. Nie potrafię rozsądzić tego sporu, ale wiem, że wcześniej czy później do tego dojdzie. W ciągu kilku następnych dziesięcioleci na pewno pojawią się kampanie, które sprawdzą skuteczność obu tych przekazów. Niektórzy będą próbowali zmieniać nasze

postrzeganie narkotyków, a niektórzy tylko nasze podejście do prawa narkotykowego. Kto wygra? Wkrótce się przekonamy.

Gubernator John Hickenlooper nigdy nie podjął wyzwania Masona i nie stanął do pojedynku alkoholu z marihuaną. Jednak pół roku po legalizacji marihuany powiedział Agencji Reutera: „Wygląda na to, że ludzie, którzy obecnie palą [marihuanę], to głównie ci sami, którzy palili przedtem. Jeśli tak właśnie jest, to znaczy, że nie będziemy mieli więcej kierowców prowadzących pod wpływem narkotyków. Nie będziemy mieli takiego problemu. Ale będziemy mieli system, w którym rzeczywiście coś regulujemy i obarczamy podatkiem, a te pieniądze zostają w Kolorado. [...] Nie wspieramy przy okazji zepsutego systemu gangsterów”<sup>863</sup>.

Zaczął używać w odniesieniu do legalizacji frazy „zdrowy rozsądek”<sup>864</sup>, a później dodał: „Powiedzmy sobie wprost, wojna z narkotykami była katastrofą”<sup>865</sup>.

To oznacza chyba, że Mason w końcu doprowadził do pojedynku w samo południe – i nie ma wątpliwości co do tego, kto zwyciężył.

Kiedy mieszkańcy Kolorado się wypowiedzieli, zadaniem biurokratów z całego stanu było zorganizowanie czegoś, czego nie robiono od ponad siedemdziesięciu lat – legalnej sprzedaży marihuany. Jesienią 2013 roku siedziałem w kawiarni z Barbarą Brohl, szefową Wydziału Skarbowego w Kolorado. Chciałem się od niej dowiedzieć, jak poradziła sobie z tym nieoczekiwanym zadaniem. „To całkiem nowy świat” – przyznaje Barbara.

Nie chce mi powiedzieć, jak głosowała w referendum dotyczącym legalizacji, bo jej praca polega na bezstronnym wykonywaniu woli obywateli Kolorado, jaka by ona nie była. Obywatele kazali jej się tym zająć, więc się zajmuje. Wizja przedstawiona przez głosujących w referendum była bardzo prosta. Każdy obywatel, który ukończył dwadzieścia jeden lat, może w jednym ze stu trzydziestu sześciu koncesjonowanych sklepów kupić maksymalnie jedną uncję (28,35 g) marihuany dziennie i może wypalić tę substancję w domu. Można też hodować na własny użytek niewielką ilość marihuany w domu.

Przez ponad godzinę Barbara opowiadała mi o kwestiach, które musiał rozstrzygać jej departament, by uporać się z tym zadaniem. Oto niektóre z nich: kto powinien mieć prawo do legalnej hodowli marihuany? Kto powinien mieć prawo do legalnej sprzedaży? Ile powinna wynosić akcyza?

Ile powinien wynosić podatek obrotowy? Jeśli wysokość podatku będzie wyliczana na podstawie ciężaru marihuany, to czy hodowcy nie będą się starali wytwarzać silniejszej substancji, by zyskać na opłatach? Jeśli z kolei poziom podatku będzie zależny od poziomu THC – substancji chemicznej, która wprawia palaczy w dobry nastrój – to jak go zbadać? Jak zapobiec wywozowi marihuany poza granice stanu? Jakie produkty z jadalnej marihuany mogą trafić do sprzedaży? Prawo federalne wyraźnie ogranicza liczbę substancji chemicznych, które można legalnie wstrzykiwać do wołowiny, więc czy *beef jerky* (kawałki suszonej wołowiny) z marihuaną będzie naruszać to prawo?

Rozmawialiśmy o tym gąszczu biurokratycznych problemów, popijając kawę, by zachować trzeźwość umysłu. Typowe zdanie wypowiediane przez Barbarę brzmi następująco: „Musieliśmy określić, jak mają współpracować stanowi i lokalni regulatorzy rynku”. Albo: „Jeśli chodzi o kwestie medyczne, doprowadziliśmy do integracji pionowej, co oznaczało wspólną własność jednostki zajmującej się uprawą i punktu medycznego, gdzie dochodzi do sprzedaży marihuany, to zaś oznaczało, że musieliśmy wydać koncesje i zaakceptować obie instytucje przed zatwierdzeniem pojedynczych koncesji”.

Podczas gdy Barbara objaśniała mi logistyczne zawilości licencjonowania sprzedaży marihuany, mnie powoli ogarniało jakieś dziwne uczucie. Początkowo nie mogłem zrozumieć, co to takiego, aż w końcu mnie olśniło – byłem znudzony. Po raz pierwszy podczas całego procesu pisania tej książki czułem, jak zamykają mi się oczy. Nie była to wina Barbary, która jest cudowną kobietą, lecz nagłego spadku ciśnienia. Po wprowadzeniu legalizacji rozgorączkowana poezja wojny narkotykowej zamieniła się w zwykłą prozę pokoju. Narkotyki stały się tematem równie banalnym, jak sprzedaż ryb, opon czy żarówek.

Gdy Barbara o tym opowiada, wszystkie morderstwa – od Arnolda Rothsteina przez gang Chino po Zetas – ustępują miejsca kontraktom, a pistolety i karabiny paragrafom i punktom. Rozpacz odchodzi w przeszłość, zastąpiona przez regulatorów, podatki i biurokratów z plikiem notatek.

Uzmysławiam sobie, że tak właśnie wygląda koniec wojny narkotykowej. Nie ma tu ani sterty zwłok, ani szaleństwa wywołanego zgubnymi substancjami. Jest urzędniczka i matka z Kolorado, która do późnej nocy dyskutuje w szarej sali konferencyjnej o opłatach akcyzowych.



Brian Vicente, prawnik, który odegrał kluczową rolę w kampanii w Kolorado, powiedział dziennikarzowi: „Przez lata dyskusja ograniczała się do pytania: na jak długo powinniśmy zamykać w więzieniu ludzi, u których znaleziono marihuanę? Teraz zastanawiamy się, jakiej czcionki użyć na opakowaniu z marihuanowym ciastkiem”<sup>866</sup>.

W końcu jestem znudzony i uświadamiam sobie, że po moim policzku spływa łza ulgi.

## Epilog

### Jeśli jesteś sam

Brałem do ręki telefon i wybierałem ich numer – ale zaraz odkładałem go z powrotem, zanim zdążyli odebrać.

Pomiędzy licznymi podrózkami śladami wojny narkotykowej wracałem co jakiś czas do Londynu. Wiedziałem, że powinienem odwiedzić ludzi, których nałóg skłonił mnie do podjęcia tej wyprawy – moją krewną i mojego byłego chłopaka. Jednak coś mnie od tego powstrzymywało. Nie byłem gotowy – pomimo wszystkiego, co widziałem – by rozwiązać wewnętrzny konflikt między zwolennikiem prohibicji i legalizacji. Zajmowałem się innymi rzeczami.

Wciąż wracałem myślami do poznanych podczas podróży ludzi, którzy stracili w tej wojnie kogoś bliskiego – i przyszedł mi do głowy pewien obraz.

W roku 1914 rozpoczęły się dwie wojny obejmujące cały glob. I wojna światowa trwała cztery lata. Zapamiętano ją jako symbol bezsensu – miliony ludzi zabijających i umierających po to, by zająć kilka metrów błota więcej. Wojna z narkotykami, jak już pisałem, trwa od ponad stu lat i raczej szybko się nie skończy.

Próbuję sobie teraz wyobrazić jej ofiary jako poległych podczas tej słynniejszej wojny – zebrane na jednym olbrzymim cmentarzu<sup>867</sup>.

Kto tam spoczywa, pod lasem bezimiennych białych krzyży?

Billie Holiday i wszystkie piosenki, których nie zdążyła zaśpiewać.

Pacjenci zamkniętej kliniki Edwarda Williama, których, zdaniem Anslingera, należałoby utopić, bo „do niczego innego się nie nadają”.

Arnold Rothstein ze sztucznymi białymi zębami i obietnicą, że jeśli umrze, jego ludzie się zemszczą.

Matka Chino, Deborah Hardin.

Ed Toatley, tajny agent, któremu dealer strzelił w głowę i którego śmierć skłoniła Leigh Maddox do rozpoczęcia osobistej krucjaty przeciw tej wojnie.

Tiffany Smith, zastrzelona na ulicy dziewczynka, która nawet nie wiedziała, czym są narkotyki.

Marcia Powell, zamknięta w klatce i skazana na śmierć w palących promieniach słońca.

Wszyscy ludzie, nad których ciałami stoi Juan Manuel Olguín, anioł z Juárez.

Wszyscy ludzie, których Rosalio Reta torturował i zabijał dla Zetas.

Za jakiś czas zapewne sam Rosalio.

Marisela Escobedo, która szła przez pustynię i burze piaskowe, by znaleźć zabójcę swej córki, choć w końcu przekonała się jedynie, że w jej kraju nie obowiązuje już żadne prawo.

Przyjaciele Buda Osborna, którzy umierali z przedawkowania za śmietnikami w Downtown Eastside, nim zaczęła się tam jego rebelia.

Julia Scott, młoda matka z Liverpoolu, która powiedziała, że umrze, jeśli przestanie dostawać heroinę na receptę, i przewidziała w ten sposób własną śmierć.

Pacjenci João Goulão w Algarve, zmarli przed dekryminalizacją narkotyków w Portugalii.

Za każdą z tych osób stoją dziesiątki tysięcy im podobnych, których nigdy nie poznam i których nazwiska nigdy nie zostaną ujawnione.

W końcu się przemogłem i zadzwoniłem. Wiedziałem, że ludzie, których kocham, nie leżą jeszcze na tym cmentarzu – wiedziałbym o tym – ale nie wiedziałem, czy nadal ku niemu zmierzają.

Moja krewna siedziała na sofie i uśmiechała się. Od ponad roku niczego nie brała. Wyjaśniła mi, nieco chaotycznie, że pracuje w telefonie zaufania dla narkomanów, dziesięć godzin dziennie, każdego dnia. Widziałem, że czasami nadal sprawia wrażenie, jakby była nieobecna. Wciąż jednak żyła i miała się coraz lepiej.

Jakiś czas później spotkałem się pewnego popołudnia z moim byłym chłopakiem w kawiarni w British Library. Najwyraźniej nie brał: na jego twarzy pojawiły się rumieńce, była pełniejsza i wypoczęta. Tłumaczył, że codziennie chodzi na spotkania Anonimowych Narkomanów i że nie bierze już prawie od roku. Dawniej opowiadał o swoim nałogu tylko z pozycji obronnych – „Dobrze mi z tym, więc odwal się” – albo z pogardą i nienawiścią do samego siebie: „Jestem idiotą, zrujnowałem sobie życie”. Teraz mówił z większym spokojem i autorefleksją. Potrafił nawet

opowiedzieć trochę o tym, jak zażywał narkotyki, by poradzić sobie z nieznośnym bólem z dzieciństwa.

Zacząłem więc pisać szczęśliwe zakończenie tej historii. Kilka miesięcy później przysłał mi jednak esemesa, w którym tłumaczył, że wrócił do nałogu. Potrzebował narkotyków, które, jak to ujął, „pędzą z prędkością większą niż jego ból”. Mieszkał w melinie narkotykowej w dzielnicy East London.

Nasza kultura nauczyła nas, co powinniśmy robić w takich sytuacjach. Dowiadywałem się tego z niezliczonych filmów czy programów telewizyjnych, takich jak *Intervention*. Spotykasz się z narkomanem, zawstydzasz go, pokazując mu, że postępuje bardzo źle, a potem grozisz, że wyrzucisz go ze swego życia, jeśli nie poszuka pomocy i nie zerwie z nałogiem. To logika wojny narkotykowej przeniesiona na życie osobiste. Wypróbowałem już tę strategię kilkakrotnie. Nigdy się nie sprawdziła.

Teraz wiedziałem już, dlaczego tak było. Mój eks radził sobie ze swoim dzieciństwem, wyłączając się. Obsesyjnie wiązał się ze swoim narkotykiem, bo przez długi czas nie mógł stworzyć więzi z innym człowiekiem. Kiedy więc groziłem, że go zostawię – że zerwę jedną z tych nielicznych więzi, które udało mu się nawiązać – tak naprawdę pogłębiałem jego nałóg.

Teraz jednak wydawało się, że pragnienie osądzenia tego człowieka – i mojej krewnej, i siebie samego – niemal całkiem ustąpiło. Stare, krzykliwe głosy potępienia i nacisku zamieniły się w szept. Powiedziałem, że może do mnie dzwonić, kiedy tylko zechce. Obiecałem, że będę z nim chodził na spotkania Anonimowych Narkomanów. Zapewniłem, że jeśli znów najdzie go pokusa, by wrócić do nałogu, będę z nim siedział tak długo, aż się z tym upora. Nie groziłem, że zniszczę naszą więź – obiecywałem, że ją pogłębię.

Kiedy piszę te słowa, on leży nieprzytomny na moim gościnnym łóżku. Od kilku tygodni zażywa heroinę i crack co drugi dzień: boi się, że straci pracę, więc chce to przerwać. Wczoraj spytał, czy może zostać trochę dłużej, by przetrwać te pierwsze czterdzieści osiem godzin bez kolejnej dawki. „Potem – mówił – będzie już łatwiej”. Może będzie. Spojrzałem właśnie na niego, gdy leżał nieruchomo, znów chorobliwie blady. Kiedy głaskałem go po głowie, chyba po raz pierwszy coś sobie uświadomiłem. Przeciwnieństwem uzależnienia nie jest wstrzemięźliwość, lecz więź. To wszystko, co mogę dać. To jedyna pomoc, jakiej potrzebuje. Jeśli jesteś

sam, nie uciekniesz przed uzależnieniem. Jeśli jesteś kochany, masz szansę. Przez sto lat śpiewaliśmy pieśni wojenne o narkomanach. Przez cały ten czas powinniśmy im śpiewać piosenki miłosne.

Jedna rzecz ma potencjał – większy niż cokolwiek innego – by zdławić tę próbę uleczenia sytuacji. To wojna z narkotykami. Jeśli ludzie, których kocham, zostaną schwytani przez policję w czasie, gdy będą przeżywać nawrót choroby, a potem zostaną skazani i pozbawieni pracy, jeszcze trudniej będzie im odbudować więzi ze światem. To nie Arizona, Rosja czy Tajlandia – prawdopodobieństwo, że aresztowany zostanie biały Brytyjczyk z klasy średniej, jest niewielkie. Ale takie przypadki wciąż się zdarzają – co roku dwadzieścia cztery tysiące ludzi w Wielkiej Brytanii zostaje ostrzeżonych lub oskarżonych w związku z posiadaniem marihuany<sup>868</sup>, nie wspominając o innych narkotykach.

A jeśli rzeczywiście do tego dojdzie? Będą zagubieni, jak wiele osób spośród tych, których poznałem podczas podróży.

Próbuję nauczyć się odnosić tę lekcję do samego siebie. W przeszłości, gdy miałem ochotę połknąć tabletki i oddać się szaleństwu, robiło mi się wstyd i próbowałem zdławić to uczucie – co sprawiało tylko, że sięgałem po kolejną dawkę. Wciąż zdarzają się dni, gdy mam ochotę zniwelować moje uczucia celnym pociskiem z substancji chemicznych. W takich chwilach próbuję sobie przypomnieć, czego nauczyłem się od Bruce'a Alexandra i Buda Osborna. Nie potrzebujesz narkotyku – potrzebujesz więzi. Idę więc do ludzi, których kocham, i siedzę z nimi. Słucham ich. Próbuję – najlepiej, jak potrafię – być obecny w tej chwili, a nie w jakimś innym miejscu w przeszłości czy przyszłości. Przekonałem się, że – jak na razie – ten impuls mija.

Przestałem toczyć wojnę narkotykową we własnej głowie. Jestem świadomy – bardziej niż kiedykolwiek dotąd – że to przywilej, którym mogę się cieszyć, bo jestem biały, należę do klasy średniej i mieszkam w Europie Zachodniej, gdzie największy ogień wojny z narkotykami nie jest skierowany ku ludziom takim jak ja. Wciąż myślę o tych wszystkich, których spotkałem na swej drodze i którzy nie mieli takiego przywileju, czy to ze względu na kolor skóry, czy też na miejsce, w którym się urodzili. To niesprawiedliwe. Nie powinno tak być – i nie musi.

W latach trzydziestych Harry Anslinger wycofał swoje poparcie dla wojny alkoholowej. Pisał wtedy: „Prawo musi pasować do faktów. Prohibicja

nigdy nie przyniesie skutków, jeśli będzie wspierana tylko literą prawa, a Amerykanie uznają ją za okropną. Wstrzemięźliwość z wyboru jest znacznie lepsza niż królująca obecnie wstrzemięźliwość wymuszona przez władzę”<sup>869</sup>. Gdyby tę samą logikę zastosowano w odniesieniu do kilku innych substancji, cmentarz ofiar wojny narkotykowej wciąż pokryty byłby tylko zielenią.

Dzień po Bożym Narodzeniu 2013 roku syn chrzestny Billie Holiday Bevan Dufty – którego Billie karmiła piersią, mówiąc ze śmiechem: „Stara, to jest moje dziecko” – siedział w klinice w San Francisco. Odpowiadał za pomoc dla bezdomnych w mieście i przyszedł do kliniki, by pomóc heroiniście, który kończył terapię odwykową i odstawił właśnie metadon. Narkoman odwrócił się do Bevana i powiedział, że chce sobie zedrzyć skórę z ciała, bo nie może już dłużej wytrzymać bez swojego narkotyku.

Kiedy Bevan miał cztery lata, widział, jak policjanci nie chcą wpuścić jego rodziców do sali, w której na łożu śmierci leżała Billie Holiday. Wkrótce po tym, jak zabrali jej metadon, zmarła.

Bevan rozejrzał się po klinice, powiódł wzrokiem po otaczających go ludziach, którzy w większości znajdowali się teraz w podobnym stanie. „Minęło już sześćdziesiąt lat od rozpoczęcia tej wojny, a ja stoję tu i patrzę na ludzi, których życie jest w strzępach” – opowiadał. Powiódł wzrokiem od twarzy do twarzy i dodał: „Myślałem tylko o jednym – dokąd zaszliśmy przez te wszystkie lata?”.

Bywają dni, gdy walka o zakończenie wojny narkotykowej wydaje się skałą zbyt stromą, by można było na nią wejść. Jednak gdy jestem już bliski rozpacz, przypominam sobie kilka rzeczy. W przemówieniu wygłoszonym na inaugurację drugiej kadencji Barack Obama nazwał zamieszki przed Stonewall jednym z najwspanialszych momentów w historii Stanów Zjednoczonych. Kiedy o tym mówił, wyobraziłem sobie, że stoję tamtej czerwcowej nocy 1969 roku w tłumie *drag queens* i gejów przed pubem Stonewall Inn w Greenwich Village, bitych i obrzucanych przez policję granatami z gazem łzawiącym – podobnie jak traktowano ich wiele razy wcześniej i podobnie jak traktowali ich różni inni ludzie na przestrzeni ostatnich dwóch tysięcy lat.

Byli przedstawicielami jednej z najbardziej pogardzanych mniejszości na świecie. Nienawiść do tych ludzi zapisana była w każdym ważniejszym tekście religijnym i w prawach wszystkich narodów na Ziemi. Nawet

w liberalnym Nowym Jorku byli pariasami, a ludzie reagowali na nich odrazą. Tamte zamieszki, opór, który w końcu stawili policji, były krzykiem desperacji – wyciem w ciemności.

Wyobrażałem sobie, jak mówię do nich tamtego wieczora: „Słuchajcie, nie uwierzcie mi, ale za czterdzieści cztery lata czarny prezydent powie w swoim przemówieniu inauguracyjnym, że to, co tutaj robicie, jest jednym z najwspanialszych momentów w historii Ameryki. Te słowa wywołają tego dnia najgłośniejszą owację. Będzie tam milion ludzi, w większości heteroseksualnych, którzy zakrzykną na waszą cześć. Wygracie. Będzie się to działo powoli, krok po kroku, dzień po dniu, rok po roku, nastąpią też długie okresy, kiedy będzie wam się wydawać, że przegrywacie. Ale w końcu wygracie tę walkę. Dojdziecie do celu. Wygracie”.

Wtedy uznaliby to za bajkę, ale wielu ludzi, którzy brali udział w tamtych zamieszkach, doczekało tej chwili. Zmiany nastąpiły w okresie krótszym niż jedno ludzkie życie, a doszło do nich, bo ktoś zaczął o nie walczyć.

Gdyby stali osobno, każdy sam, zrozpaczony, nic by się nie zmieniło. Gdyby czekali, aż politycy w Waszyngtonie pójda po rozum do głowy, niczego by się nie doczekali. Oni jednak wystąpili razem – pomagali sobie nawzajem, co wtedy mogło oznaczać utratę wolności i reputacji – a potem wyszli na zewnątrz i przekonywali ludzi, ulica po ulicy, często witani nienawiścią i pogardą, aż w końcu odmienili kulturę i świat.

Mówiąc o zakończeniu wojny narkotykowej, przypominamy trochę aktywistów gejowskich z 1969 roku – koniec tej wojny jest tak odległy, że jeszcze go nie dostrzegamy. Widzimy jednak pierwsze kroki na drodze do tego celu. Są realne i zbliżają nas do szczęśliwego finału.

Kiedy więc czuję się przygnębiony, mówię sobie: „Wydaje ci się, że dziś jest trudno? O wiele trudniej było pierwszej generacji mężczyzn i kobiet, którzy przyznawali się do swojego homoseksualizmu. Za swoją odwagę mogli trafić do więzienia. Nie poddawali się, trwali do końca”.

A potem myślę o ludziach, których poznałem podczas tej wyprawy, o ludziach, którzy już rozpoczęli walkę z wojną narkotykową. Chino był skazanym dealerem narkotykowym, którego nikt nie chciał słuchać. Nie poddał się<sup>870</sup>: stanął do walki, zażądał, by zamknięto więzienie dla dzieci, do którego go kiedyś wtrącono – i wygrał. Bud Osborn był bezdomnym ćpunem, na którego nikt nie chciał nawet spojrzeć. Nie poddał się, on również stanął do walki, a dzięki tej decyzji ludzie z jego dzielnicy żyją



średnio dziesięć lat dłużej. Kiedy umarł, zamknięto ulice, by uczcić jego pamięć.

Nauczyłem się od Chino i Buda jednej rzeczy – niezależnie od tego, kim jesteś w życiu, jesteś też człowiekiem, który ma własny głos i który może przekonywać innych ludzi, a jeśli twoje argumenty są sugestywne i jeśli się nie poddasz, przeciągniesz wielu z nich na swoją stronę i razem wygracie. Nawet kiedy wydaje się, że przegrywasz, być może zaczynasz właśnie proces, który później zakończy się sukcesem. Edward Williams został pokonany – jego klinikę zamknięto, a on sam musiał zrezygnować z uczestnictwa w życiu publicznym. Jednak siedemdziesiąt lat później odszukałem jego historię, a to zainspirowało mnie do napisania tej książki. Billie Holiday została pokonana – uwięziono ją i doprowadzono do jej śmierci. Jednak siedemdziesiąt lat później ludzie na całym świecie codziennie słuchają jej piosenek i czerpią z nich siłę<sup>871</sup>. W ostatnich latach swego życia Billie Holiday była pewna, że zostanie zapomniana<sup>872</sup>. Jeśli jesteś odważny, jeśli się nie poddasz, twoje czyny wywołają konsekwencje, których być może nigdy nie zobaczysz – ale one nastąpią i odmienią życie innych ludzi.

Jednostka może rozpocząć walkę, a każdy kraj na świecie może przerwać ten łańcuch i zacząć proces legalizacji. Jeśli Urugwaj – małe państwo liczące trzy miliony mieszkańców i rządzone przez anarchystycznego dysydenta – ma dość odwagi, by to zrobić, to dlaczego nie może tego zrobić Wielka Brytania, Australia czy jakiegokolwiek inne państwo? Podejmą to wyzwanie – jeśli je do tego skłonimy.

Niedługo przed śmiercią Billie Holiday powiedziała: „Pewnego dnia Ameryka zmańdrzeje. [...] Być może nie stanie się to za mojego życia. Tak czy inaczej, to nie moje zmartwienie, bo mnie nie można już bardziej zranić”<sup>873</sup>.

Na krótko przed tym, jak została zamordowana, Marisela Escobedo apelowała, byśmy się wszyscy do niej przyłączyli. „Jeśli jesteś sam – mówiła – niczego nie osiągniesz. Jeśli będziemy razem, możemy wygrać”<sup>874</sup>.

Jeśli jesteś sam, możesz się łatwo uzależnić, możesz też łatwo paść ofiarą wojny z narkotykami. Jeśli jednak zrobisz pierwszy krok i znajdziesz ludzi, którzy się z tobą zgadzają – jeśli stworzysz z nimi więź – nie będziesz już bezbronny i zaczniesz wygrywać. Możesz teraz odłożyć książkę i nawiązać tę więź.

Zanim się rozstaniemy, chciałbym wam jeszcze przekazać dwie rzeczy, które powinniście wiedzieć o Harrym Anslingerze: że zaczął zażywać narkotyki i że został dealerem.

W latach pięćdziesiątych Harry dowiedział się, że pewien bardzo ważny członek Kongresu jest heroinistą. „Był szefem jednej z potężnych komisji Kongresu – pisał. – Jego decyzje i oświadczenia pomogły ukształtować i ukierunkować losy Stanów Zjednoczonych oraz wolnego świata”<sup>875</sup>. Harry podszedł do tego człowieka na korytarzu budynku rządowego w Waszyngtonie i surowym tonem nakazał mu zerwać z nałogiem. „Na pana miejscu nie próbowałbym nic z tym robić – odparł członek Kongresu. – Bo źle się to dla pana skończy”. Bez względu na poczynania Harry’ego tamten poszedłby do gangsterów po narkotyki. „A jeśli sprawa wyjdzie na jaw i rozpęta się wielki skandal, który skrzywdzi ten kraj, to nie ja będę winny. [...] Wybór należy do pana”<sup>876</sup>.

W całej Ameryce Anslinger zamykał legalne drogi dostępu do narkotyków i zmuszał narkomanów, by kupowali zanieczyszczone substancje u gangsterów. Zawsze jednak uważał, że traktuje w ten sposób „niestabilne, niepohamowane, histeryczne, zdegenerowane, ograniczone umysłowo i brutalne klasy”<sup>877</sup>.

Teraz Harry miał do czynienia z człowiekiem, którego szanował i który okazał się narkomanem. Zapewnił więc członka Kongresu, że w waszyngtońskiej aptece zawsze będzie czekać na niego bezpieczny, legalny zapas heroiny, by nie musiał kontaktować się z gangsterami. Biuro pobierało nawet rachunki za te zakupy, dopóki kongresman nie umarł. Dowiedział się o tym pewien dziennikarz, który chciał opisać tę historię w gazecie. Harry zagroził mu, że jeśli opublikuje choćby słowo, trafi na dwa lata do więzienia. Potem Anslinger wyciszył całą sprawę<sup>878</sup>.

Po latach, gdy wszyscy zamieszani w tę historię już nie żyli, Will Oursler – który wraz z Anslingerem pisał jego książki – wyznał w wywiadzie dla „Ladies’ Home Journal”, kto był tym kongresmenem: senator Joe McCarthy. Anslinger przyznał mu się do tego, a potem odwrócił wzrok<sup>879</sup>. McCarthy – czerwoniczy łowca komunistów – był ćpunem, a Anslinger jego dealerem. Nikt już nie uważa, że wojnę z narkotykami należy kierować przeciwko komuś bliskiemu. Nawet Harry Anslinger zamienił się w Henry’ego Smitha Williama, gdy sprawa dotyczyła człowieka, na którym mu zależało.

Wiele lat później, gdy był już na emeryturze, Harry zachorował na dusznicę i zaczął używać tego samego środka, z którym bezwzględnie walczył: codziennie przyjmował dawkę morfiny<sup>880</sup>. Zmarł z żyłami podziurawionymi wskutek wstrzykiwania substancji, której odmawiał światu.

Próbuję sobie teraz wyobrazić Harry'ego w momencie, gdy pierwsza dawka opioidu przenika do jego organizmu, przynosząc mu spokój i ukojenie. O czym wtedy myśli? Czy o Henrym Smicie Williamsie, o Billie Holiday, a może o tym, że kazał swoim agentom „najpierw strzelać”, jeśli zobaczą narkotyki? Czy myśli o krzyku, który jako mały chłopiec usłyszał przed wielu laty w domu farmera w Altoonie, i o wszystkich tych ludziach, których zmuszał do krzyku, próbując wyeliminować to doznanie z ludzkiego życia – czy może choć przez chwilę, z narkotykiem w ręce, słyszy, jak ów krzyk cichnie?

Jeśli chcielibyście wiedzieć, co możecie zrobić, by zakończyć wojnę z narkotykami, wejdźcie na stronę:

<http://www.chasingthescream.com/getinvolved>

Jeśli chcielibyście otrzymywać informacje o działaniach, jakie możecie podjąć, oraz o wydarzeniach dotyczących tego tematu, wpiszcie się na listę mailingową pod adresem:

<http://www.chasingthescream.com/maillinglist>

## Kilka uwag o technice narracyjnej

Jak być może zauważyliście, na początku każdego rozdziału wyjaśniam, skąd znam informacje, które zamierzam zaprezentować.

W przypadku rozdziałów historycznych zbierałem dane z różnych źródeł historycznych i wtórnych, wymienionych w uwagach do tekstu, oraz czerpałem z kilku rozmów z historykami oraz ludźmi, którzy byli świadkami opisywanych wydarzeń.

W rozdziałach opisujących ludzi współczesnych opierałem się głównie na rozmowach z bohaterami tych rozdziałów oraz z ludźmi, którzy ich znają. Jeśli chodzi o cytaty z tych rozmów, możecie ich posłuchać na stronie książki, pod adresem <http://www.chasingthescream.com>.

W wielu miejscach opisuję, co dana osoba myślała i czuła. Sporządziłem te opisy na podstawie tego, co powiedzieli mi sami bohaterowie, lub na podstawie dodatkowych materiałów, takich jak sprawozdania sądowe, wywiady udzielane innym pisarzom lub osobiste zapiski. Wszystkie te źródła również wymienione są w uwagach końcowych.

Po napisaniu książki czytałem lub pokazywałem odpowiednie rozdziały osobom, których dotyczyły, by mieć pewność, że wszystkie moje stwierdzenia zgodne są z ich intencjami. Wszystkie te rozmowy są nagrane. W wielu wypadkach moi rozmówcy przedstawiali dodatkowe wyjaśnienia i informacje, które również zawarłem w tekście.

Odbyłem taki proces z następującymi osobami: Chino Hardin, Leigh Maddox, Gabor Maté, Liz Evans, Bruce Alexander, Bud Osborn, John Marks, Ruth Dreifuss, João Goulão, Sergio Rodrigues, Danny Kushlick, Steve Rolles, Mason Tvert, Brian Vicente, Tonia Winchester i Alison Holcomb. Jedynymi osobami, które tu szeroko opisuję, a które nie zapoznały się w ten sposób z całym materiałem na ich temat, są Rosalio Reta, z powodów wymienionych w uwagach końcowych, oraz José Mujica, który musiał rządzić krajem i nie miał na to czasu.

Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, by skonfrontować podane mi opisy z oficjalnymi danymi oraz zeznaniami innych świadków, jeśli tylko było to możliwe. Nie płaciłem moim rozmówcom ani nie wynagradzałem ich w żaden inny sposób, nie licząc kilku lunchów.

Jak już wspominałem w tekście, tylko w dwóch miejscach zmieniłem dane bohaterów, by chronić ich tożsamość: chodzi o narkomankę z Vancouver, którą nazywam Hanną, oraz narkomana z kliniki w Szwajcarii, którego nazywam Jean. W pierwszym przypadku zrobiłem to, gdyż Liz Evans chciała uszanować prywatność swojej byłej klientki, która co prawda już nie żyje, ale mogłaby zostać rozpoznana przez swoją rodzinę. W drugim przypadku pozwoliłem sobie na zmianę, gdyż „Jean” przyznawał się do przestępstw, za które mógłby odpowiadać przed sądem. Nagranie rozmów z obiema tymi osobami zostało udostępnione wydawcy książki. Poza tym nie zmieniałem w tekście żadnych innych danych.

## Podziękowania

Książka ta powstała dzięki dobrej woli wielu osób. Dziękuję przede wszystkim tym, którzy zechcieli ze mną rozmawiać, szczególnie bohaterom tych opowieści, którzy często dzielili się ze mną bolesnymi wspomnieniami. Byli niezwykle otwarci, uważają bowiem, że ludzie powinni znać koszty tej wojny. Jestem im bardzo wdzięczny.

Sześć osób miało szczególny udział w powstaniu tej książki, gdyż omawiałem ją z nimi przez lata, a ich pytania i spostrzeżenia nadały jej ostateczny kształt. Ci ludzie to: Alex Higgins, Rob Blackhurst, Stephen Grosz, Matt Hill, Alex Ferreira oraz Alison MacDonald. Jestem im ogromnie wdzięczny.

Anton Mueller z Bloomsbury był wyjątkowo czujnym i bystrym redaktorem, dzięki któremu ta książka jest znacznie lepsza. Inni pracownicy Bloomsbury, którym jestem bardzo wdzięczny, to George Gibson, Bill Swainson i Imogen Corke.

Jestem ogromnie zobowiązany moim cudownym agentom – Peterowi Robinsonowi w Londynie i Richardowi Pine'owi w Nowym Jorku.

Danny Kushlick i Steve Rolles od dziesięciu lat są moimi londyńskimi przewodnikami po tym temacie. Regularnie przeprowadzają najlepsze badania dotyczące świata prohibicji narkotykowej. W Ciudad Juárez i w północnym Meksyku moim przewodnikiem, tłumaczem i przyjacielem był Julián Cardona, niezwykły dziennikarz i niezwykły człowiek. Jestem również bardzo wdzięczny Sandrze Rodriguez z „El Diario” w Juárez. Kiedy przebywałem w El Paso, nieocenioną pomocą służyli mi Sandra, Carlos i Alejandra Spectorowie, którzy dzięki wspianiałej, współtworzonej przez nich organizacji Mexicanos en Exilio skontaktowali mnie z ofiarami meksykańskiej wojny narkotykowej. Jestem również wdzięczny za tłumaczenie, którym wspierała mnie tam Josie Font.

W Phoenix nie poradziłbym sobie bez niezwykłej Peggy Plews, która codziennie prowadzi heroiczną walkę o prawa tamtejszych więźniów i ujawnia okropności, jakie ich dotyczą. Pomagają jej w tym Donna Leone Hamm, Stephen Lemons i Mike Mann. Wszyscy wciąż ujawniają niesprawiedliwości, jakie spotykają narkomanów w Arizonie. W Baltimore moim przewodnikiem był Donny Andrews, a gdy przebywałem w Las

Vegas, doktor Rob Hunter wyjaśnił mi, na czym polega uzależnienie od hazardu i pozwolił mi przyglądać się spotkaniu jego grupy Anonimowych Hazardzistów. W Nowym Jorku bardzo mi pomogli Rachel Schubert, Christopher Rogers, Antonia Cedrone, Carlos Saavedra i Gentian Mullaj. Wszyscy członkowie organizacji Drug Policy Alliance byli bardzo pomocni, szczególnie Tony Newman i Ethan Nadelmann.

Jestem wdzięczny wszystkim pracownikom Portland Hotel Society w Vancouver, szczególnie Liz Evans. Jasmine i Billie Tyler były dla mnie nieocenionymi przewodniczkami i cudownymi przyjaciółkami. Równie wspaniałym przewodnikiem był Alex Ferreira w Urugwaju. Pomagali mi również Hannah Hetzer, Geoffrey Ramsey i Will Carless. Dario Moreno przetłumaczył mój wywiad z prezydentem. Charlie Keeden przejrzał dla mnie archiwa George'a White'a w Stanford.

Dziękuję też wielu innym ludziom, którzy przeczytali tę książkę i zechcieli ją skomentować, dzięki czemu uczynili ją lepszą lub pomogli mi w jakiś inny sposób. Na wyróżnienie zasługują: Patrick Strudwick, Jessica Smerin, Josepha Jacobson, Adam Thirlwell, Russell Brand, Lizzie Davidson, Noam Chomsky, Sarah Punshon, Daniel Bye, Tom Angell, Evgeny Lebedev, Ammie al-Whatey, Rachel Seifert, Glenn Greenwald, Arianna Huffington, Eugene Jarecki, Sarah Morrison, Jeremy Heimans, Alnoor Lahda, Ali Weiner, Jack Bootle, Alex Romain, Ronan McCrea, Matthew Bloch, Greg Sanderson, Josh Cullimore, Anna Powell-Smith, David Pearson, Dorothy Byrne, Rupert Everett, Peter Marshall, Chris Wilkinson, Owen Jones, Damon Barrett, Matthew Todd, Stephen Fry, Matt Getz, Deborah Orr, Sally-Ann Larson, Zoe Ross, Joss Garman, Ben Stewart, Anna Moschovakis, Dennis Hardman, Simon Wills, moi rodzice – Violet i Eduard Hari, mój brat i siostra – Steven i Elisa, oraz moja szwagierka Nicola.

Harm Reduction International pokryło koszty mojej podróży na konwencję Światowej Federacji Przeciwko Narkotykom w Szwajcarii w zamian za krótką relację z tego wydarzenia – Mike'owi Trace'owi dziękuję za ułatwienie tej transakcji. „Le Monde Diplomatique” wysłało mnie do Urugwaju. Pisząc o prezydencie Mujicy, korzystałem po części z przygotowanych dla nich materiałów – Renaud Lambert i Serge Halimi, dziękuję wam za umożliwienie tej podróży. Dzięki airbnb i autobusom Greyhound mogłem sobie pozwolić na podróż do tak wielu różnych



miejsc. Amanda Fielding i The Beckley Foundation zechcieli podzielić się ze mną wynikami wielu spośród swoich najnowszych badań naukowych.

Dwoje najlepszych biografów Billie Holiday, Julia Blackburn i Donald Henderson Clarke, hojnie dzielili się ze mną swoimi spostrzeżeniami i lekcjami, a archiwum Julii było wręcz nieocenione. Syn chrzestny Billie Holiday, Bevan Dufty, był wyjątkowo miły, okazując mi pomoc i dzieląc się ze mną wspomnieniami swojej matki. Moje przyjaciółki filolożki klasyczne, Caroline Higgins i Natalie Haynes, zechciały przeczytać fragment dotyczący misterii eleuzyńskich i poprawiły kilka błędów.

Wielu naukowców i lekarzy specjalizujących się w tej dziedzinie poświęciło mi swój czas i wyjaśniło kilka kluczowych faktów. Jestem szczególnie wdzięczny osobom takim, jak: David Nutt, Sophie Macken, Carl Hart, Raquel Peyraube, Paul Enck, Sunil Aggarwal, Scott Kellogg, Daniele Piomelli, Lance Dodes, Ambros Uchtenhagen, Barbara Broers, Richard DeGrandpre, Dylan Evans, Howard Becker i Fabrizio Benedetti. Kilka osób fantastycznie opracowało tekst – Joe Daniels weryfikował dane, Emily DeHuff adiustowała, Laura Phillips czuwała nad produkcją, Alan J. Kaufman i Kirsty Howarth sprawdzali kwestie prawne, a Stuart Rodger transkrybował wiele rozmów.

Wszelkie błędy są wyłącznie moją winą. Jeśli jakieś znajdziecie, proszę, napiszcie o tym na adres [chasingthescream@gmail.com](mailto:chasingthescream@gmail.com), a ja opublikuję je na stronie i każę usunąć w następnych wydaniach. Pierwszego dnia każdego miesiąca, przez rok po wydaniu tej książki, będę również publikował i analizował pytania czytelników, przeanalizuję również wszystkie prośby o zmiany i korekty, tłumacząc, czy są moim zdaniem słuszne.

Na koniec zachowałem to, co najlepsze – jestem szczególnie zobowiązany Eltonowi Johnowi, Davidowi Furnishowi i Andrew Sullivanowi, dobrym duchom gejów na całym świecie; Jemimie Khan, Naomi Klein i Eve Ensler, dobrym wróżkom lewicowców na całym świecie, oraz Barbarze Bateman, mojej osobistej dobrej wróżce. Bez was bym tego nie dokonał.

## Bibliografia

- Acker Caroline Jean, *Creating the American Junkie. Addiction Research in the Classic Era of Narcotic Control*, Baltimore 2006
- Acker Caroline Jean, Sarah W. Tracy (eds.), *Altering American Consciousness*, Amherst 2004
- Albarelli H. P., *A Terrible Mistake. The Murder of Frank Olson and the CIA's Secret Cold War Experiments*, Waltham 2009
- Alexander Bruce K., *The Globalization of Addiction. A Study in Poverty of the Spirit*, Oxford 2008
- , *Peaceful Measures. Canada's Way Out of the "War on Drugs"*, Toronto 1990
- , *Rise and Fall of the Official View of Addiction*, [brucekalexander.com](http://brucekalexander.com), [goo.gl/HHHXKw](http://goo.gl/HHHXKw), dostęp: 28.03.2018
- Alexander Michael, *Jazz Age Jews*, Princeton 2001
- Alexander Michelle, *The New Jim Crow*, New York 2010
- Andreas Peter, Ethan Nadelmann, *Policing the Globe. Criminalization and Crime Control in International Relations*, Oxford 2006
- Anslinger Harry, *The Murderers. The Shocking Story of the Narcotics Gang*, New York 1962
- , *The Protectors. Our Battle Against the Crime Gangs*, New York 1966
- Anslinger Harry, William F. Tompkins, *The Traffic in Narcotics*, New York 1953
- Arpaio Joe, Len Sherman, *Joe's Law. America's Toughest Sheriff Takes On Illegal Immigration, Drugs, and Everything Else That Threatens America*, New York 2008
- Attwood Shawn, *Hard Time. Life with Sheriff Joe Arpaio in America's Toughest Jail*, New York 2011
- Balko Radley, *Overkill. The Rise of Paramilitary Police Raids in America*, Washington 2006
- , *Rise of the Warrior Cop*, New York 2013
- Barrett Damon (red.), *Dzieci wojny narkotykowej. O wpływie polityki antynarkotykowej na młodych*, przeł. Dominika Dymińska, Warszawa 2013
- Baum Dan, *Smoke and Mirrors*, Boston 1996
- Becker Howard S., *Outsiderzy. Studia z socjologii dewiacji*, przeł. Elżbieta Zakrzewska-Manterys, Warszawa 2009
- Beith Malcolm, *The Last Narco. Hunting El Chapo, the World's Most Wanted Drug Lord*, New York 2010
- Benavie Arthur, *Drugs. America's Holy War*, New York 2009
- Bennett William J., John J. Dilulio, John P. Walters, *Body Count. Moral Poverty... and How to Win America's War Against Crime and Drugs*, New York 1996
- Bergmann Luke, *Getting Ghost. Two Young Lives and the Struggle for the Soul of an American City*, New York 2008
- Bewley-Taylor David, *The United States and International Drug Control, 1909–1997*, New York 1999
- , *International Drug Control: Consensus Fractured*, Cambridge 2012
- Blackburn Julia, *Billie Holiday. Biografia*, przeł. Hanna Jankowska, Warszawa 2007
- Blackman Shane, *Chilling Out. The Cultural Politics of Substance Consumption, Youth and Drug Policy*, Maidenhead 2004
- Bonnie Richard J., Charles H. Whitebread, *The Marijuana Conviction. A History of Marijuana Prohibition in the United States*, New York 1999
- Bowden Charles, *Down by the River. Drugs, Money, Murder and Family*, New York 2004
- , *A Shadow in the City*, New York 2005
- , *Mordercze miasto. Meksykańskie lekcje umarłych*, przeł. Emilia Skowrońska, Zakrzewo 2010

- Bowden Mark, *Polowanie na Escobara. Historia najsłynniejszego barona narkotykowego*, przeł. Agnieszka Kalus, Poznań 2016
- Boyd Susan, Donald MacPherson, Bud Osborn (eds.), *Raise Shit! Social Action Saving Lives*, Halifax 2009
- Brand Russell, *My Booky Wook*, London 2007
- , *Booky Wook 2. This Time It's Personal*, London 2010
- Burroughs William, *Ćpun*, przeł. Agnieszka Kochan, Kraków 2014
- Butler Paul, *Let's Get Free. A Hip-Hop Theory of Justice*, New York 2009
- Callender Eugene S., *Nobody's a Nobody. The Story of a Harlem Ministry Hard at Work to Change America*, New York 2012
- Campbell Howard, *Drug War Zone. Frontline Dispatches from the Streets of El Paso and Juárez*, Austin 2009
- Campbell Larry, Neil Boyd, Lori Culbert, *A Thousand Dreams. Vancouver's Downtown Eastside and the Fight for Its Future*, Vancouver 2009
- Campbell Nancy, J. P. Olsen, Luke Walden, *The Narcotic Farm. The Rise and Fall of America's First Prison for Drug Addicts*, New York 2008
- Campos Isaac, *Home Grown. Marijuana and the Origins of Mexico's War on Drugs*, Chapel Hill 2012
- Candia César di i in., *Mujica en Búsqueda. Trece años en 21 reportajes*, Montevideo 2009
- Carpenter Ted Galen, *Bad Neighbor Policy. Washington's Futile War on Drugs in Latin America*, New York 2003
- Carroll Jim, *The Basketball Diaries*, New York 1995
- Chadwick Charlie, Howard Parker, *Wirral's Enduring Heroin Problem. The Prevalence, Incidence and the Characteristics of Drug Use in Wirral, 1984–87*, The Misuse of Drugs Research Project, Liverpool 1988
- Chilton John, *Billie's Blues*, New York 1975
- Clarke Donald, *Billie Holiday. Wishing on the Moon*, Cambridge 2000
- Clarke Donald Henderson, *In the Reign of Rothstein*, Ann Arbor 2006
- Clegg Bill, *Portrait of an Addict as a Young Man. A Memoir*, New York 2010
- Cordano Jose Alberto, *Mujica en Búsqueda*, Montevideo 2009
- Courtwright David, Don Des Jarlais, Herman Joseph, *Addicts Who Survived. An Oral History of Narcotic Use in America, 1923–1965*, Knoxville 1989
- Coupland Douglas, *City of Glass*, Vancouver 2009
- Csete Joanne, *From the Mountaintops*, London 2010
- Davenport-Hines Richard, *Odurzeni. Historia narkotyków 1500–2000*, przeł. Agnieszka Cioch, Warszawa 2006
- DeGrandpre Richard, *The Cult of Pharmacology. How America Became the World's Most Troubled Drug Culture*, Durham 2006
- Demers Charles, *Vancouver Special*, Vancouver 2009
- Dhywood Jeffrey, *World War D. The Case Against Prohibitionism. A Roadmap to Controlled Re-legalization*, Columbia Communications, Inc. 2011
- Domosławski Artur, *Polityka narkotykowa w Portugalii. Korzyści wynikające z dekryminalizacji używania narkotyków*, New York 2011
- Edwards Griffith (ed.), *Addiction. Evolution of a Specialist Field*, London 2002
- Elsner Alan, *The Gates of Injustice. The Crisis in America's Prisons*, New York 2004
- Elton Ben, *High Society*, London 2003
- Eppinga Jane, *Arizona Sheriffs. Badges and Bad Men*, Tucson 2006
- Epstein Edward Jay, *Agency of Fear. Opiates and Political Power in America*, New York 1990
- Erlen Jonathon, Joseph F. Spillane (eds.), *Federal Drug Control. The Evolution of Policy and Practice*, Binghamton 2004

Escohotado Antonio, *A Brief History of Drugs. From the Stone Age to the Stoned Age*, Rochester 1999

Evans Dylan, *Placebo. The Belief Effect*, London 2003

Feiling Tom, *The Candy Machine. How Cocaine Took Over the World*, New York 2009

Ferentzy Peter, *Dealing with Addiction. Why the Twentieth Century Was Wrong*, Raleigh 2010

Fernández Huidobro Eleuterio, *La Fuga de Punta Carretas*, Montevideo 2012

Fernández Huidobro Eleuterio, Mauricio Rosencoff, *Memorias del Calabozo*, Montevideo 1988

Ferreira Hugo Gil, Michael W. Marshall, *Portugal's Revolution. Ten Years On*, Cambridge 1986

Fine Doug, *Too High to Fail. Cannabis and the New Green Economic Revolution*, New York 2012

Fish Jefferson M. (ed.), *How to Legalize Drugs*, Northvale 1998

Fox Steve, Paul Armentano, Mason Tvert, *Marijuana Is Safer. So Why Are We Driving People to Drink?*, White River Junction 2009

Gallaher Carlyne, *On the Fault Line. Race, Class, and the American Patriot Movement*, Lanham 2003

García Alfredo, *Pepe Coloquios*, Montevideo 2009

García Márquez Gabriel, *Raport z pewnego porwania*, przeł. Dorota Walasek-Elbanowska, Warszawa 2006

Gerber Rudolph Joseph, *Legalizing Marijuana. Drug Policy Reform and Prohibition Politics*, Westport 2004

Gerhardt Sue, *Znaczenie miłości. Jak uczucia wpływają na rozwój mózgu*, przeł. Beata Radwan, Kraków 2016

Gibler John, *To Die in Mexico. Dispatches from Inside the Drug War*, San Francisco 2011

Glenny Misha, *McMafia. Zbrodnia nie zna granic*, przeł. Maria Jaszczurowska, Warszawa 2009

Goblet d'Alviella Eugène, *The Mysteries of Eleusis. The Secret Rites and Rituals of the Classical Greek Mystery Tradition*, Wellingborough 1981

González Rodríguez Sergio, *The Femicide Machine*, trans. Michael Parker-Stainback, Los Angeles 2012

Goode Erich, Nachman Ben-Yehuda, *Moral Panics. The Social Construction of Deviance*, New York 2009

Graham-Mulhall Sara, *Opium. The Demon Flower*, Montrose 1928

Gray James P., *Why Our Drug Laws Have Failed and What We Can Do About It. A Judicial Indictment of the War on Drugs*, Philadelphia 2001

Gray Mike, *Drug Crazy. How We Got into This Mess and How We Can Get Out*, New York 1998

Grayson George W., Samuel Logan, *The Executioner's Men. Los Zetas, Rogue Soldiers, Criminal Entrepreneurs, and the Shadow State They Created*, New Brunswick 2012

Greenfield Robert, *Timothy Leary. A Biography*, Orlando 2006

Greenwald Glenn, *With Liberty and Justice for Some*, New York 2011

Grillo Ioan, *El Narco. Narkotyczny zamach stanu w Meksyku*, przeł. Andrzej Górka, Warszawa 2012

Grim Ryan, *This Is Your Country on Drugs. The Secret History of Getting High in America*, Hoboken 2009

Harney Malachi, John Cross, *The Narcotic Officer's Notebook*, Springfield 1973

Hart Carl, *High Price. A Neuroscientist's Journey of Self-Discovery That Challenges Everything You Know About Drugs and Society*, New York 2013

Heather Nick (ed.), *The Essential Handbook of Treatment and Prevention of Alcohol Problems*, Hoboken 2004

Hentoff Nat, *At the Jazz Band Ball*, Berkeley 2010

—, *The Jazz Life*, New York 1961

Herivel Tara, Paul Wright (eds.), *Prison Profiteers. Who Makes Money from Mass Incarceration*, New York 2007

Herodot, *Dzieje*, przeł. Seweryn Hammer, Warszawa 2015

- Hickman Timothy A., *The Secret Leprosy of Modern Days. Narcotic Addiction and Cultural Crisis in the United States, 1870–1920*, Amherst 2007
- Hillman David C. A., *The Chemical Muse. Drug Use and the Roots of Western Civilization*, New York 2008
- Hochschild Adam, *To End All Wars. A Story of Loyalty and Rebellion, 1914–1918*, Boston 2011
- Holiday Billie, William Dufty, *Lady Day śpiewa bluesa*, przeł. Marcin Wróbel, Wołowiec 2017
- Huang Yunte, *Charlie Chan. The Untold Story of the Honorable Detective and His Rendezvous with American History*, New York 2010
- Huxley Aldous, *Drzwi percepcji. Niebo i piekło*, przeł. Marta Mikita, Warszawa 2012
- Inkster Nigel, Virginia Comolli, *Drugs, Insecurity and Failed States. The Problems of Prohibition*, London 2012
- Izokrates, *Panegiryk* [w:] Zygmunt Kubiak, *Literatura Greków i Rzymian*, Warszawa 1999
- Jack Malcolm, *Lisbon. City of the Sea. A History*, London 2007
- Jarvis Brian, *Cruel and Unusual. Punishment and U.S. Culture*, Sterling 2004
- Jay Mike, *Emperors of Dreams. Drugs in the Nineteenth Century*, Sawtry 2000
- , *High Society. Mind-Altering Drugs in History and Culture*, London 2010
- Jonnes Jill, *Hep-Cats, Narcs, and Pipe Dreams. A History of America's Romance With Illegal Drugs*, New York 1996
- Kaiser David, *How the Hippies Saved Physics. Science, Counterculture, and the Quantum Revival*, New York 2011
- Katcher Leo, *The Big Bankroll. The Life and Times of Arnold Rothstein*, Cambridge 1994
- Kayman Martin, *Revolution and Counter-Revolution in Portugal*, Wolfeboro 1987
- Kerényi Karl, *Eleusis. Archetypowy obraz matki i córki*, przeł. Ireneusz Kania, Kraków 2004
- Keys Daniel Patrick, John F. Galliher, *Confronting the Drug Control Establishment. Alfred Lindesmith as a Public Intellectual*, New York 2000
- King Alexander, *May This House Be Safe from Tigers*, London 1960
- King Rufus, *The Drug Hang-Up. America's Fifty-Year Folly*, New York 1972
- Kobler John, *Capone. The Life and World of Al Capone*, New York 1992
- Kohn Marek, *Dope Girls. The Birth of the British Drug Underground*, London 2003
- Kuntz Joëlle, *Switzerland. How an Alpine Pass Became a Country*, Carouge 2008
- Lasch Christopher, *Kultura narcyzmu. Amerykańskie życie w czasach malejących oczekiwań*, przeł. Grzegorz Ptaszek, Aleksander Skrzypek, Warszawa 2015
- Lee Martin A., Bruce Shlain, *Acid Dreams. The CIA, LSD, and the Sixties Rebellion*, New York 1985
- Levine Michael, *Deep Cover. The Inside Story of How DEA Infighting, Incompetence and Subterfuge Lost Us the Biggest Battle of the Drug War*, Lincoln 2000
- Liddy G. Gordon, *Will*, New York 1998
- Lindesmith Alfred, *The Addict and the Law*, <http://www.druglibrary.eu>, [goo.gl/jZc8to](http://goo.gl/jZc8to), dostęp: 28.03.2018
- Longmire Sylvia, *Cartel. The Coming Invasion of Mexico's Drug Wars*, New York 2011
- Lowes Peter D., *The Genesis of International Narcotics Control*, Genève 1966
- Lynch Mona Pauline, *Sunbelt Justice. Arizona and the Transformation of American Punishment*, Stanford 2010
- Lynch Timothy (ed.), *After Prohibition. An Adult Approach to Drug Policies in the 21st Century*, Washington 2000
- MacCoun Robert J., Peter Reuter (eds.), *Drug War Heresies. Learning from Other Vices, Times, and Places*, Cambridge 2006
- Mailer Phil, *Portugal. The Impossible Revolution?*, London 1977
- Malinowska-Sempruch Kasia, Sarah Gallagher (eds.), *War on Drugs, HIV/AIDS and Human Rights*, New York 2004
- Mallowan Max, *Mallowan's Memoirs. Agatha and the Archaeologist*, Charlottesville 1977

Marez Curtis, *Drug Wars. The Political Economy of Narcotics*, Minneapolis 2004

Margolick David, *Strange Fruit. Billie Holiday, Café Society, and an Early Cry for Civil Rights*, Edinburgh 2001

Marincolo Sebastián, *High. Insights on Marijuana*, Indianapolis 2010

Martinez Oscar J., *Border Boom Town. Ciudad Juárez Since 1848*, Austin 1978

Massing Michael, *The Fix*, Berkeley 2000

Maté Gabor, *In the Realm of Hungry Ghosts. Close Encounters with Addiction*, Berkeley 2010

—, *Scattered Minds. The Origins and Healing of Attention Deficit Disorder*, Toronto 1999

—, *When the Body Says No. Exploring the Stress-Disease Connection*, Hoboken 2011

McKenna Terence K., *Food of the Gods. A Radical History of Plants, Drugs and Human Evolution*, New York 1992

McKibben Bill, *Deep Economy. The Wealth of Communities and the Durable Future*, New York 2007

McWilliams John C., *The Protectors. Harry J. Anslinger and the Federal Bureau of Narcotics, 1930–62*, Newark 1991

Merryman John Henry (ed.), *Stanford Legal Essays*, Stanford 1975

Miller Richard Lawrence, *The Case for Legalizing Drugs*, New York 1991

—, *Drug Warriors and Their Prey. From Police Power to Police State*, Westport 1996

Miron Jeffrey A., *Drug War Crimes. The Consequences of Prohibition*, Chicago 2004

Moerman Daniel E., *Meaning, Medicine and the “Placebo Effect”*, Cambridge 2002

Molloy Molly, Charles Bowden (eds.), *El Sicario. Confessions of a Cartel Hit Man*, London 2012

Moskos Peter, *Cop in the Hood. My Year Policing Baltimore’s Eastern District*, Princeton 2008

Murphy Emily F., *The Black Candle*, Toronto 1922

Murtagh John Martin, Sara Harris, *Who Live in Shadow*, London 1960

Musto David F., *The American Disease. Origins of Narcotic Control*, Oxford 1987

— (ed.), *One Hundred Years of Heroin*, Westport 2002

Nawa Fariba, *Opium Nation. Child Brides, Drug Lords, and One Woman’s Journey Through Afghanistan*, New York 2011

Newark Tim, *Boardwalk Gangster. The Real Lucky Luciano*, New York 2010

Nicholson Stuart, *Billie Holiday*, London 1995

Nutt David, *Drugs Without the Hot Air. Minimising the Harms of Legal and Illegal Drugs*, Cambridge 2012

Okrent Daniel, *Last Call. The Rise and Fall of Prohibition*, New York 2012

O’Meally Robert, *Lady Day. The Many Faces of Billie Holiday*, New York 1993

O’Rourke Beto, Susie Byrd, *Dealing Death and Drugs. The Big Business of Dope in the U.S. and Mexico*, El Paso 2011

Osborn Bud, *Hundred Block Rock*, Vancouver 1999

—, *Signs of the Times*, London 2005

Parenti Christian, *Lockdown America. Police and Prisons in the Age of Crisis*, New York 1999

Pietrusza David, Rothstein. *The Life, Times, and Murder of the Criminal Genius Who Fixed the 1919 World Series*, New York 2003

Pinchbeck Daniel, *Breaking Open the Head. A Psychedelic Journey into the Heart of Contemporary Shamanism*, New York 2003

Pinker Steven, *Zmierzch przemocy. Lepsza strona naszej natury*, przeł. Tomasz Bieroń, Poznań 2015

Pisani Elizabeth, *The Wisdom of Whores. Bureaucrats, Brothels, and the Business of AIDS*, London 2009

Pritchett Wendell E., *Brownsville, Brooklyn. Blacks, Jews, and the Changing Face of the Ghetto*, Chicago 2002

Putnam Robert D., *Samotna gra w kręgle. Upadek i odrodzenie wspólnot lokalnych w Stanach Zjednoczonych*, przeł. Przemysław Sadura, Sebastian Szymański, Warszawa 2008

Quinones Sam, *True Tales from Another Mexico*, Albuquerque 2001

- Rainford John, *Consuming Pleasures. Australia and the International Drug Business*, North Fremantle 2009
- Rastello Luca, *Przemysł doskonały. Jak transportować tony kokainy i żyć szczęśliwie*, przeł. Mateusz Salwa, Wołowiec 2013
- Reding Nick, *Methland. The Death and Life of an American Small Town*, New York 2009
- Reed Jeremy, *Saint Billie*, London 2001
- Reinarman Craig, Levine Gene Harry (eds.), *Crack in America. Demon Drugs and Social Justice*, Berkeley 1997
- Rempel William C., *Uwikłany. Prawdziwa historia człowieka, który pogrążył największy narkotykowy kartel świata*, przeł. Mateusz Borowski, Kraków 2015
- Rolles Stephen, *After the War on Drugs. Blueprint for Regulation*, Bristol 2009
- Rothstein Carolyn Green, *Now I'll Tell*, New York 1934
- Ruck Carl A. P., *Sacred Mushrooms of the Goddess. Secrets of Eleusis*, Berkeley 2006
- Rudgley Richard, *Alchemia kultury. Od opium do kawy*, przeł. Ewa Klekot, Warszawa 2002
- Sasso Rolando W. (ed.), *Pepe en la Radio, Pensando el Pais*, Montevideo 2010
- Satel Sally, Scott O. Lilienfeld, *Brainwashed. The Seductive Appeal of Mindless Neuroscience*, New York 2013
- Schlesinger Arthur, *Robert Kennedy and His Times*, vol. 1, London 1978
- Schlosser Eric, *Reefer Madness. Sex, Drugs, and Cheap Labor in the American Black Market*, London 2003
- Self Will, *Junk Mail*, London 1995
- Shapiro Harry, *Shooting Stars. Drugs, Hollywood and the Movies*, London 2003
- , *Waiting for the Man. The Story of Drugs and Popular Music*, London 2003
- Shapiro Nat, Nat Hentoff, *Hear Me Talkin' to Ya: The Story of Jazz as Told by the Men Who Made It*, New York 1962
- Siegel Ronald K., *Intoxication. Life in Pursuit of Artificial Paradise*, New York 1989
- Simon David, Ed Burns, *The Corner. A Year in the Life of an Inner-City Neighborhood*, London 2009
- Slater Lauren, *Opening Skinner's Box. Great Psychological Experiments of the Twentieth Century*, New York 2004
- Slooman Larry, *Reefer Madness. A History of Marijuana in America*, New York 1998
- Sondern Frederic, *Brotherhood of Evil. The Mafia*, London 1961
- Stevens Alex, *Drugs, Crime and Public Health. The Political Economy of Drug Policy*, London 2011
- Strickland Joy, *Joy in the Morning. A Mother's Journey from Tragedy to Triumph*, Dallas 2010
- Sullum Jacob, *Saying Yes. In Defense of Drug Use*, New York 2003
- Szasz Thomas, *Ceremonial Chemistry. The Ritual Persecution of Drugs, Addicts, and Pushers*, London 1975
- , *Our Right to Drugs. The Case for Free Markets*, New York 1992
- Teachout Terry, *Pops. Życie Louisa Armstronga*, przeł. Piotr Grzegorzewski, Marcin Wróbel, Poznań 2011
- Thompson Hunter S., *Hell's Angels, Anioły piekieł*, przeł. Jarosław Pypno, Radosław Pisula, Warszawa 2016
- Thornton Mark, *The Economics of Prohibition*, Salt Lake City 1991
- Tong Benson, *The Chinese Americans*, Boulder 2003
- Tosches Nick, *King of the Jews. The Greatest Mob Story Never Told*, New York 2005
- Trebach Arnold S., *The Heroin Solution*, New Haven 1982
- Uchtenhagen Ambros i in., *Prescription of Narcotics for Heroin Addicts. Main Results of the Swiss National Cohort Study*, Basel 2000
- Vail Ken, *Lady Day's Diary. The Life of Billie Holiday, 1937–1959*, London 1996
- Valentine Douglas, *The Strength of the Pack. The Personalities, Politics and Espionage Intrigues That Shaped the DEA*, Walterville 2009



- , *The Strength of the Wolf. The Secret History of America's War on Drugs*, New York 2004
- Vulliamy Ed, *Ameksyka. Wojna wzdłuż granicy*, przeł. Janusz Ochab, Wołowiec 2012
- Wallace David, *Capital of the World. A Portrait of New York City in the Roaring Twenties*, Guilford 2011
- Walker Stanley, *The Night Club Era*, Baltimore 1999
- Walker William O., *Drug Control in the Americas*, Albuquerque 1981
- Walton Stuart, *Odlot. Kulturowa historia odurzenia*, przeł. Anna Kunicka, Warszawa 2017
- Warner Jessica, *Craze. Gin and Debauchery in an Age of Reason*, London 2003
- Wasson R. Gordon, Albert Hofmann, Carl A. P. Ruck, *The Road to Eleusis. Unveiling the Secret of the Mysteries*, New York 1978
- Watt Peter, Roberto Zepeda, *Drug War Mexico. Politics, Neoliberalism and Violence in the New Narcoeconomy*, London 2012
- Weston Paul (ed.), *Narcotics, USA*, New York 1952
- Whipple Sidney, *Noble Experiment. A Portrait of America Under Prohibition*, London 1934
- White John, *Billie Holiday. Her Life and Times*, New York 1987
- White William L., *Slaying the Dragon. The History of Addiction Treatment and Recovery in America*, Bloomington 1998
- Williams Edward Huntington, *Opiate Addiction. Its Handling and Treatment*, New York 1922
- Williams Henry Smith, *Adding Years to Your Life*, New York 1914
- , *Drug Addicts Are Human Beings*, Washington 1938
- , *Drugs Against Men*, New York 1981
- , *Luther Burbank*, New York 1915
- , *The Science of Happiness*, New York 1909
- , *The Survival of the Fittest*, New York 1932
- (ed.), *The Historians' History of the World*, vol. 3, Encyclopedia Britannica Company 1926
- Woods Sally C., *Heroin and Methadone Substitution Treatments*, Liverpool 2005
- Yardley Tom, *Why We Take Drugs. Seeking Excess and Communion in the Modern World*, London, New York 2012

## Przypisy końcowe

Wszystkie cytaty, które nie zostały uwzględnione w poniższym spisie, były wypowiedziami skierowanymi bezpośrednio do autora. Można je usłyszeć na stronie internetowej książki: <http://www.chasingthescream.com/audio>.

### **Skróty stosowane w przypisach**

GWA George White Archives (Archiwa George'a White'a)

HAA Harry Anslinger Archives (Archiwa Harry'ego Anslingera)

JBA Julia Blackburn Archives (Archiwa Julii Blackburn)

### **Wstęp**

- <sup>1</sup> Zostało to zweryfikowane przez wydawcę tej książki, który skontaktował się z moim byłym chłopakiem. Informacje o mojej krewniaczkę można znaleźć w jej opublikowanych pismach.
- <sup>2</sup> Ten opis mojego uzależnienia został potwierdzony przez wydawcę tej książki dzięki kontaktom z lekarzem, który leczył mnie przez cały ten okres i później.
- <sup>3</sup> Niedługo wcześniej byłem uwikłany w pewną kontrowersyjną dziennikarską sprawę. Chcę podkreślić, że ta kontrowersja – i rzeczy, które robiłem źle – nie miała nic wspólnego z zażywaniem narkotyków. Robiłem te rzeczy zarówno wcześniej, jak i wtedy, gdy zażywałem narkotyki. Nie ma więc żadnej zależności między tymi sprawami.
- <sup>4</sup> Był to jeden z kilku powodów, dla których wybrałem się tamtego lata do Nowego Jorku; tylko ten jeden ma znaczenie dla tej książki.
- <sup>5</sup> Te kraje to: Stany Zjednoczone, Kanada, Wielka Brytania, Meksyk, Portugalia, Szwajcaria, Szwecja, Urugwaj i Wietnam.

### **Część I Mount Rushmore**

#### **1. Czarna Ręka**

- <sup>6</sup> Przemówienie Przewodniczącego Komisji ds. Narkotyków podczas Krajowej Konferencji o Przestępczości (HAA, skrzynia 1, teczka 10).
- <sup>7</sup> Taką opinię o Anslingerze, jako o „przedsiębiorcy moralności”, który wszczyna wojnę z narkotykami, by utrzymać swój departament i jego pracowników, jako pierwszy wyraził socjolog Howard Becker (H. Becker, *Outsiderzy. Studia z socjologii dewiacji*, przeł. E. Zakrzewska-Manterys, Warszawa 2009). Rozmawiałem później z Beckerem. Dzięki lekturze archiwów Anslingera przekonałem się, że Becker miał rację, a jego analizy były bardzo wnikliwe.
- <sup>8</sup> H. Anslinger, *The Murderers. The Shocking Story of the Narcotics Gang*, New York 1962, s. 17–18; J. Jonnes, *Hep-Cats, Narcs, and Pipe-Dreams. A History of America's Romance With Illegal Drugs*, New York 1996, s. 91.
- <sup>9</sup> H. Anslinger, *The Murderers*, dz. cyt.
- <sup>10</sup> Tamże.
- <sup>11</sup> L. Sloman, *Reefer Madness. A History of Marijuana in America*, New York 1998, s. 258.
- <sup>12</sup> D. Pietrusza, *Rothstein. The Life, Times, and Murder of the Criminal Genius Who Fixed the 1919 World Series*, New York 2003, s. 17.

- <sup>13</sup> N. Tosches, *King of the Jews. The Greatest Mob Story Never Told*, New York 2005, s. 32; L. Katcher, *The Big Bankroll. The Life and Times of Arnold Rothstein*, Cambridge 1994, s. 18–19.
- <sup>14</sup> J. White, *Billie Holiday. Her Life and Times*, New York 1987, s. 18–19.
- <sup>15</sup> Rozmowa Billie Holiday z Michelle Wallace, 8 listopada 1956 (JBA, skrzynia 18, notatki Lindy Kuehl, t. VIII).
- <sup>16</sup> [bbc.co.uk](http://bbc.co.uk), [goo.gl/ABmhVX](http://goo.gl/ABmhVX), dostęp: 9.12.2012. Patrz również: M. Kohn, *Dope Girls. The Birth of the British Drug Underground*, London 2003, s. 33.
- <sup>17</sup> Niniejszy opis oparty jest na zdjęciach Billie Holiday, które pojawiły się w piątym odcinku serialu Kena Burnsa *Jazz*.
- <sup>18</sup> J. Blackburn, *Billie Holiday. Biografia*, przeł. H. Jankowska, Warszawa 2007, s. 112.
- <sup>19</sup> Historia tej piosenki została pięknie opisana w książce Davida Margolicka (D. Margolick, *Strange Fruit. Billie Holiday, Café Society, and an Early Cry for Civil Rights*, Edinburgh 2001).
- <sup>20</sup> J. White, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 24–25.
- <sup>21</sup> J. Chilton, *Billie's Blues*, New York 1975, s. 69.
- <sup>22</sup> B. Holiday, W. Dufty, *Lady Day śpiewa bluesa*, przeł. M. Wróbel, Wołowiec 2017, s. 86.
- <sup>23</sup> D. Margolick, *Strange Fruit*, dz. cyt., s. 19.
- <sup>24</sup> J. Blackburn, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 111.
- <sup>25</sup> H. Anslinger, *The Murderers*, dz. cyt., s. 16–24; D. Valentine, *The Strength of the Wolf. The Secret History of America's War on Drugs*, New York 2004, s. 21; J. Erlen, J. F. Spillane (eds.), *Federal Drug Control. The Evolution of Policy and Practice*, Binghamton 2004, s. 66.
- <sup>26</sup> H. Anslinger, *The Protectors. Our Battle Against the Crime Gangs*, New York 1966, s. 24.
- <sup>27</sup> Tenże, *The Murderers*, dz. cyt., s. 42.
- <sup>28</sup> A. Benavie, *Drugs. America's Holy War*, New York 2009, s. 25; R. King, *The Drug Hang-Up. America's Fifty-Year Folly*, New York 1972, s. 45; J. Erlen, J. F. Spillane, *Federal Drug Control...*, dz. cyt., s. 39.
- <sup>29</sup> R. Davenport-Hines, *Odurzeni. Historia narkotyków 1500–2000*, przeł. A. Cioch, Warszawa 2006, s. 275.
- <sup>30</sup> D. Valentine, *Strength of the Wolf*, dz. cyt., s. 298.
- <sup>31</sup> L. Sloman, *Reefer Madness*, dz. cyt., s. 196; D. Valentine, *Strength of the Wolf*, dz. cyt., s. 32.
- <sup>32</sup> R. King, *The Drug Hang-Up*, dz. cyt., s. 69–71; J. Erlen, J. F. Spillane, *Federal Drug Control*, dz. cyt., s. 61.
- <sup>33</sup> J. C. McWilliams, *The Protectors. Harry J. Anslinger and the Federal Bureau of Narcotics, 1930–62*, Newark 1991, s. 25.
- <sup>34</sup> Tamże.
- <sup>35</sup> Tamże, s. 26.
- <sup>36</sup> H. Anslinger, *The Murderers*, dz. cyt., s. 19.
- <sup>37</sup> Tamże, s. 18–20.
- <sup>38</sup> J. C. McWilliams, *The Protectors*, dz. cyt., s. 27.
- <sup>39</sup> Tamże.
- <sup>40</sup> H. Anslinger, *The Murderers*, dz. cyt., s. 19.
- <sup>41</sup> J. C. McWilliams, *The Protectors*, dz. cyt., s. 28; H. Anslinger, *The Murderers*, dz. cyt., s. 19.
- <sup>42</sup> J. C. McWilliams, *The Protectors*, dz. cyt., s. 28; H. Anslinger, *The Murderers*, dz. cyt., s. 17, 81; A. Schlesinger, *Robert Kennedy and His Times*, vol. 1, London 1978, s. 268.
- <sup>43</sup> H. Anslinger, *The Murderers*, dz. cyt., s. 82.

- <sup>44</sup> Tamże, s. 79.
- <sup>45</sup> Jego archiwa zawierają mnóstwo takich wycinków.
- <sup>46</sup> J. Erlen, J. F. Spillane, *Federal Drug Control*, dz. cyt., s. 64.
- <sup>47</sup> R. King, *The Drug Hang-Up*, dz. cyt., s. 70.
- <sup>48</sup> Tamże, s. 64; H. Anslinger, *The Murderers*, dz. cyt., s. 25.
- <sup>49</sup> H. Anslinger, *The Murderers*, dz. cyt., s. 20–24.
- <sup>50</sup> Tamże, s. 20–21.
- <sup>51</sup> Tamże, s. 22–23.
- <sup>52</sup> Tamże, s. 23–24.
- <sup>53</sup> HAA, skrzynia 1, teczka 1.
- <sup>54</sup> Tamże.
- <sup>55</sup> H. Anslinger, *The Murderers*, dz. cyt., s. 23.
- <sup>56</sup> *The Drug Revolution*, „Playboy” 1970, no. 2, s. 74. W tym wywiadzie, podobnie jak przez całą swą karierę, Anslinger łączy narkotyki z upadkiem cywilizacji.
- <sup>57</sup> R. King, *The Drug Hang-Up*, dz. cyt., s. 70; H. Anslinger, *The Murderers*, dz. cyt., s. 11.
- <sup>58</sup> H. Anslinger, *The Protectors*, dz. cyt., s. 10–15.
- <sup>59</sup> L. Sloman, *Reefer Madness*, dz. cyt., s. 36.
- <sup>60</sup> H. Anslinger, *The Protectors*, dz. cyt., s. 42.
- <sup>61</sup> J. C. McWilliams, *The Protectors*, dz. cyt., s. 33.
- <sup>62</sup> L. Sloman, *Reefer Madness*, dz. cyt., s. 20.
- <sup>63</sup> J. Erlen, J. F. Spillane, *Federal Drug Control*, dz. cyt., s. 68–69; J. C. McWilliams, *The Protectors*, dz. cyt., s. 14.
- <sup>64</sup> J. Erlen, J. F. Spillane, *Federal Drug Control*, dz. cyt., s. 76.
- <sup>65</sup> R. Bonnie, Ch. Whitebread, *The Marijuana Conviction. A History of Marijuana Prohibition in the United States*, New York 1999, s. 32–40.
- <sup>66</sup> J. C. McWilliams, *The Protectors*, dz. cyt., s. 53.
- <sup>67</sup> L. Sloman, *Reefer Madness*, dz. cyt., s. 39.
- <sup>68</sup> J. Erlen, J. F. Spillane, *Federal Drug Control*, dz. cyt., s. 75.
- <sup>69</sup> [redhousebooks.com](http://redhousebooks.com), [goo.gl/iHDVZL](http://goo.gl/iHDVZL), dostęp: 20.03.2013.
- <sup>70</sup> W. O. Walker, *Drug Control in the Americas*, Albuquerque 1981, s. 111.
- <sup>71</sup> R. Bonnie, Ch. Whitebread, *The Marijuana Conviction*, dz. cyt., s. 117.
- <sup>72</sup> J. C. McWilliams, *The Protectors*, dz. cyt., s. 61.
- <sup>73</sup> W. O. Walker, *Drug Control in the Americas*, dz. cyt., s. 113.
- <sup>74</sup> J. Erlen, J. F. Spillane, *Federal Drug Control*, dz. cyt., s. 73.
- <sup>75</sup> L. Sloman, *Reefer Madness*, dz. cyt., s. 63.
- <sup>76</sup> Tamże, s. 61.
- <sup>77</sup> [hightimes.com](http://hightimes.com), [goo.gl/QknnSt](http://goo.gl/QknnSt), dostęp: 1.04.2013.
- <sup>78</sup> Patrz: I. Campos, *Home Grown. Marijuana and the Origins of Mexico's War on Drugs*, Chapel Hill 2012.
- <sup>79</sup> E. Goode, N. Ben-Yehuda, *Moral Panics. The Social Construction of Deviance*, New York 2009, s. 196–202.
- <sup>80</sup> J. Kaplan, *Marijuana – The New Prohibition*, [drugtext.org](http://drugtext.org), [goo.gl/koF9ee](http://goo.gl/koF9ee), dostęp: 7.04.2013.

- <sup>81</sup> Tamże.
- <sup>82</sup> S. Fox, P. Armentano, M. Tvert, *Marijuana Is Safer. So Why Are We Driving People to Drink?*, White River Junction 2009, s. 51.
- <sup>83</sup> H. Anslinger, *The Murderers*, dz. cyt., s. 82, 86.
- <sup>84</sup> Tenże, *The Protectors*, dz. cyt., s. 203–204.
- <sup>85</sup> Tenże, *The Murderers*, dz. cyt., s. 83.
- <sup>86</sup> Tenże, *The Protectors*, dz. cyt., s. 214–215.
- <sup>87</sup> Tenże, *The Murderers*, dz. cyt., s. 87.
- <sup>88</sup> C. Gallaher, *On the Fault Line. Race, Class, and the American Patriot Movement*, Lanham 2003, s. 140.
- <sup>89</sup> D. Valentine, *Strength of the Wolf*, dz. cyt., s. 63.
- <sup>90</sup> L. Sloman, *Reefer Madness*, dz. cyt., s. 207.
- <sup>91</sup> D. Valentine, *Strength of the Wolf*, dz. cyt., s. 64.
- <sup>92</sup> D. P. Keys, J. F. Galliher, *Confronting the Drug Control Establishment. Alfred Lindesmith as a Public Intellectual*, New York 2000, s. 13, 137.
- <sup>93</sup> Patrz również: J. F. Galliher, D. P. Keys. M. Elsner, *Lindesmith v. Anslinger. An Early Government Victory in the Failed War on Drugs*, „Journal of Criminal Law and Criminology”, 88:2, Winter 1998, s. 661–682.
- <sup>94</sup> R. L. Miller, *The Case for Legalizing Drugs*, New York 1991, s. 77.
- <sup>95</sup> D. P. Keys, J. F. Galliher, *Confronting the Drug Control Establishment*, dz. cyt. s. 160; R. King, *The Drug Hang-Up*, dz. cyt., s. 62–63.
- <sup>96</sup> Rozmawiałem z takimi osobami jak Yolande Bavan, Annie Ross, Eugene Callendar, Bevan Dufty i Lorraine Feather.
- <sup>97</sup> HAA, skrzynia 9, teczka 54, *Muzycy*.
- <sup>98</sup> Tamże. Anslinger nie był wcale odosobniony w tych poglądach: patrz H. Shapiro, *Waiting for the Man. The Story of Drugs and Popular Music*, London 2003, s. 56–61.
- <sup>99</sup> Tamże, s. 72.
- <sup>100</sup> HAA, skrzynia 9, teczka 54, *Muzycy*. Wydaje się, że to wewnętrzny raport Biura, nie jest tak jednak oznaczony.
- <sup>101</sup> S. Marincolo, *High. Insights on Marijuana*, Indianapolis 2010, s. 106.
- <sup>102</sup> HAA, skrzynia 9, teczka 54, *Muzycy*.
- <sup>103</sup> Tamże.
- <sup>104</sup> Anslinger chwali się, że jego ludzie prześladowali Parkera (H. Anslinger, *The Protectors*, dz. cyt., s. 157–160).
- <sup>105</sup> O marihuanie i Louisie Armstrongu oraz o tym, jak wpłynęły na jego życie zarzuty ze strony Anslingera, pisze Terry Teachout (T. Teachout, *Pops. Życie Louisa Armstronga*, przeł. P. Grzegorzewski, M. Wróbel, Poznań 2011, s. 156–158). Patrz również: H. Shapiro *Waiting for the Man*, dz. cyt., s. 60.
- <sup>106</sup> H. Shapiro, *Waiting for the Man*, dz. cyt., s. 74, 89–90.
- <sup>107</sup> S. Blackman, *Chilling Out. The Cultural Politics of Substance Consumption, Youth and Drug Policy*, Maidenhead 2004, s. 83; L. Sloman, *Reefer Madness*, dz. cyt., s. 149. Shapiro, podobnie jak Sloman, nazywa to „pogromem”: H. Shapiro, *Waiting for the Man*, dz. cyt., s. 67.
- <sup>108</sup> [druglibrary.org](http://druglibrary.org), <https://goo.gl/naDmTk>, dostęp: 1.10.2012; R. Bonnie, Ch. Whitebread, *The Marijuana Conviction*, dz. cyt., s. 183.

- <sup>109</sup> „Najpierw strzelajcie” to używany w całym kraju slogan opisujący naloty na handlarzy marihuany. Patrz: „Pathfinder”, 23.01.1952, s. 24.
- <sup>110</sup> H. Shapiro, *Waiting for the Man*, dz. cyt., s. 73; R. Bonnie, Ch. Whitebread, *The Marijuana Conviction*, dz. cyt., s. 185.
- <sup>111</sup> J. Jonnes, *Hep-Cats, Narcs, and Pipe Dreams*, dz. cyt., s. 129.
- <sup>112</sup> R. Bonnie, Ch. Whitebread, *The Marijuana Conviction*, dz. cyt., s. 185; H. Shapiro, *Waiting for the Man*, dz. cyt., s. 71.
- <sup>113</sup> H. Anslinger, *The Protectors*, dz. cyt., s. 150–164.
- <sup>114</sup> B. Holiday, W. Dufty, *Lady Day śpiewa bluesa*, dz. cyt., s. 13.
- <sup>115</sup> Billie Holiday w rzeczywistości miała na imię Eleanora: aby nie wprowadzać niepotrzebnego zamieszania, w całym tekście nazywam ją imieniem Billie, które przybrała jako dziecko.
- W całym tym rozdziale traktowałem jako wiarygodne źródło książkę *Lady Day śpiewa bluesa*, którą Billie napisała wspólnie z Williamem Duftym. Istnieją spory dotyczące rzetelności tych wspomnień, lecz w 1995 roku biograf piosenkarki, Stuart Nicholson, przeanalizował je dokładnie i odkrył, że na przykład jeden z najczęściej kwestionowanych fragmentów, czyli opis gwałtu w dzieciństwie, całkowicie odpowiada prawdzie (patrz: S. Nicholson, *Billie Holiday*, London 1995, s. 6). Sama Billie stwierdziła kiedyś, że to Dufty w całości napisał jej wspomnienia – „Cholera, stary, ja nigdy nie czytałam tej książki” – lecz w rzeczywistości wydawca kazał jej podpisać każdą stronę rękopisu, by mieć pewność, że jego treść odpowiada prawdzie. Patrz: D. Margolick, *Strange Fruit*, dz. cyt., s. 33–34.
- <sup>116</sup> B. Holiday, W. Dufty, *Lady Day śpiewa bluesa*, dz. cyt., s. 14. W swojej biografii Billie Holiday pisze, że jej matka wyjechała do Nowego Jorku, by zostać służącą. O tym, że matka była prostytutką, Billie dowiedziała się dopiero jako trzynastolatka, gdy pojechała odwiedzić ją w Nowym Jorku. Kolejną nieścisłością jest przytoczony przez autora wiek rodziców Billie – w rzeczywistości to matka piosenkarki była o dwa lata starsza od jej ojca [przyp. red.].
- <sup>117</sup> R. O’Meally, *Lady Day. The Many Faces of Billie Holiday*, New York 1993, s. 67; J. White, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 51; B. Holiday, W. Dufty, *Lady Day śpiewa bluesa*, dz. cyt., s. 72; film dokumentalny *Billie Holiday. Sensational Lady* z serii BBC „Reputations”; H. Shapiro, *Waiting for the Man*, dz. cyt., s. 99.
- <sup>118</sup> B. Holiday, W. Dufty, *Lady Day śpiewa bluesa*, dz. cyt., s. 14.
- <sup>119</sup> J. White, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 14.
- <sup>120</sup> Tamże, s. 17; B. Holiday, W. Dufty, *Lady Day śpiewa bluesa*, dz. cyt., s. 16; R. O’Meally, *Lady Day*, dz. cyt., s. 171.
- <sup>121</sup> B. Holiday, W. Dufty, *Lady Day śpiewa bluesa*, dz. cyt., s. 21.
- <sup>122</sup> Tamże, s. 88.
- <sup>123</sup> K. Vail, *Lady Day’s Diary. The Life of Billie Holiday, 1937–1959*, London 1996, s. 4. W swojej autobiografii *Lady Day śpiewa bluesa* Billie pisze o nim „pan Dick” (pan Chuj).
- <sup>124</sup> B. Holiday, W. Dufty, *Lady Day śpiewa bluesa*, dz. cyt., s. 23.
- <sup>125</sup> D. Clarke, *Billie Holiday. Wishing on the Moon*, Cambridge 2000, s. 34. Nie wiadomo do końca, jak długo Mr. Dick siedział w więzieniu – Clarke mówi o trzech miesiącach, a Billie wspomina o pięciu latach. Patrz: B. Holiday, W. Dufty, *Lady Day śpiewa bluesa*, dz. cyt., s. 24.
- <sup>126</sup> Film dokumentalny *Billie Holiday. Sensational Lady* z serii BBC „Reputations”.
- <sup>127</sup> J. White, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 18. Inni ludzie potwierdzali potem w rozmowach, że była to bardzo brutalna instytucja. Patrz: R. O’Meally, *Lady Day*, dz. cyt., s. 79–81. Patrz również: JBA, skrzynia 18, notatki Lindy Kuehl, t. VIII, rozmowa z Peterem O’Brienem i Michelle Wallace.

- <sup>128</sup> B. Holiday, W. Dufty, *Lady Day śpiewa bluesa*, dz. cyt., s. 27. W swoich wspomnieniach Billie pisze, że matka po nią posłała, ale większość innych relacji potwierdza, że piosenkarka uciekła, by jej szukać.
- <sup>129</sup> JBA, skrzynia 18, notatki Lindy Kuehl, t. VIII.
- <sup>130</sup> Dokumenty Maely Dufty, udostępnione przez jej syna Bevana Dufty'ego – dokument zatytułowany *Wprowadzenie*.
- <sup>131</sup> „Ebony” 1949, no. 7, s. 32.
- <sup>132</sup> B. Holiday, W. Dufty, *Lady Day śpiewa bluesa*, dz. cyt., s. 32. Niektórzy uważają, że w rzeczywistości nakłoniono ją do prostytucji w Baltimore, gdy była jeszcze młodsza; patrz: R. O'Meally, *Lady Day*, dz. cyt., s. 84–87.
- <sup>133</sup> Film dokumentalny *Billie Holiday: Sensational Lady* z serii BBC „Reputations”.
- <sup>134</sup> J. Blackburn, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 43; D. Clarke, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 35; M. Gray, *Drug Crazy*, New York 1998, s. 107.
- <sup>135</sup> JBA, skrzynia 18, notatki Lindy Kuehl, t. VIII, rozmowa z Willardem. Nie podano jego nazwiska.
- <sup>136</sup> Opis pochodzi z filmu dokumentalnego BBC *The Long Night of Lady Day*, 1984.
- <sup>137</sup> J. Chilton, *Billie's Blues*, dz. cyt., s. 127.
- <sup>138</sup> Tamże, s. 22.
- <sup>139</sup> B. Holiday, W. Dufty, *Lady Day śpiewa bluesa*, dz. cyt., s. 112.
- <sup>140</sup> Rozmowa z Eugene'em Callenderem.
- <sup>141</sup> B. Holiday, W. Dufty, *Lady Day śpiewa bluesa*, dz. cyt., s. 40.
- <sup>142</sup> J. White, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 29.
- <sup>143</sup> D. Clarke, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 230.
- <sup>144</sup> Tamże. Patrz również: JBA, skrzynia 18, notatki Lindy Kuehl, t. VIII, rozmowa z Sylwią Simms.
- <sup>145</sup> S. Nicholson, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 198.
- <sup>146</sup> Film dokumentalny *Billie Holiday: Sensational Lady* z serii BBC „Reputations”.
- <sup>147</sup> J. Blackburn, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 209. Chciałem sprawdzić te informacje o Jimmym Fletcherze w oryginalnych źródłach. Jedynym źródłem pierwotnym dotyczącym Fletchera jest jego rozmowa z Lindą Kuehl. Skontaktowałem się z Tobym Byronem, który jest teraz właścicielem tego archiwum. Powiedział mi, że zapis rozmowy z Fletcherem zaginął. To oznacza, że od tej pory będziemy musieli polegać tylko na źródłach wtórnych. Zarówno Julia Blackburn, jak i Donald Clarke – którzy czytali oryginalny zapis rozmowy – opisują go w szczegółach i rozmawiali o nim ze mną przez telefon.
- <sup>148</sup> Rozmowa z Douglasem Valentinem.
- <sup>149</sup> J. Blackburn, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 207.
- <sup>150</sup> Rozmowa z Douglasem Valentinem.
- <sup>151</sup> D. Clarke, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 254.
- <sup>152</sup> J. Blackburn, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 207.
- <sup>153</sup> Film dokumentalny *Billie Holiday. Sensational Lady* z serii BBC „Reputations”.
- <sup>154</sup> J. Blackburn, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 94.
- <sup>155</sup> Tamże, s. 212.
- <sup>156</sup> Dokumenty Maely Dufty, dokument zatytułowany *Wprowadzenie*.
- <sup>157</sup> Rozmowa z Yolandą Bavan. Patrz również: JBA, skrzynia 18, notatki Lindy Kuehl, t. VIII, rozmowa z Peterem O'Brienem i Michelle Wallace.



- <sup>158</sup> W. Dufty, *The True Story of Billie Holiday*, artykuł 3, seria „New York Post”, JBA, skrzynia 18, t. VII.
- <sup>159</sup> B. Holiday, W. Dufty, *Lady Day śpiewa bluesa*, dz. cyt., s. 126.
- <sup>160</sup> J. Blackburn, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 213.
- <sup>161</sup> Tamże. Imię psa podano w: JBA, skrzynia 18, notatki Lindy Kuehl 1, rozmowa z Memry Midgett.
- <sup>162</sup> J. Blackburn, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 214.
- <sup>163</sup> Tamże, s. 11, 216.
- <sup>164</sup> JBA, skrzynia 18, notatki Lindy Kuehl, t. VII, rozmowa z Johnem Levym.
- <sup>165</sup> JBA, skrzynia 18, notatki Lindy Kuehl, t. VII, rozmowa z Louisem McKayem.
- <sup>166</sup> J. Blackburn, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 211.
- <sup>167</sup> Tamże, s. 11.
- <sup>168</sup> B. Holiday, W. Dufty, *Lady Day śpiewa bluesa*, dz. cyt., s. 135.
- <sup>169</sup> J. Chilton, *Billie’s Blues*, dz. cyt., s. 116.
- <sup>170</sup> B. Holiday, W. Dufty, *Lady Day śpiewa bluesa*, dz. cyt., s. 138.
- <sup>171</sup> [nybooks.com](http://nybooks.com), [goo.gl/DDApco](http://goo.gl/DDApco), dostęp: 12.03.2014.
- <sup>172</sup> K. Vail, *Lady Day’s Diary*, dz. cyt., s. 103.
- <sup>173</sup> Film dokumentalny *Billie Holiday. Sensational Lady* z serii BBC „Reputations”; J. White, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 93.
- <sup>174</sup> D. Clarke, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 252.
- <sup>175</sup> B. Holiday, W. Dufty, *Lady Day śpiewa bluesa*, dz. cyt., s. 133.
- <sup>176</sup> Dokumenty Mealy Dufty, *Wprowadzenie*.
- <sup>177</sup> J. White, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 94.
- <sup>178</sup> J. Blackburn, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 162.
- <sup>179</sup> Tamże, s. 255.
- <sup>180</sup> Tamże, s. 304; B. Holiday, W. Dufty, *Lady Day śpiewa bluesa*, dz. cyt., s. 175–176. Nie pozwolono jej adoptować dziecka, ponieważ była karana za posiadanie narkotyków. Patrz: H. Shapiro, *Waiting for the Man*, dz. cyt., s. 97.
- <sup>181</sup> JBA, skrzynia 18, notatki Lindy Kuehl 1, dział zatytułowany *Billie H. jedzie na Kubę*.
- <sup>182</sup> JBA, skrzynia 18, notatki Lindy Kuehl, artykuł *Jestem już zdrowa*, „Ebony” (brak daty)
- <sup>183</sup> JBA, skrzynia 18, notatki Lindy Kuehl, t. VIII, rozmowa z Peterem O’Brienem i Michelle Wallace.
- <sup>184</sup> R. Tucker, *News Behind the News* (HAA, skrzynia 5, teczka 9).
- <sup>185</sup> J. McWilliams, *The Protectors*, dz. cyt., s. 101. Być może to właśnie Judy Garland jest niewymienioną z nazwiska kobietą spośród „naszych najpiękniejszych gwiazd filmowych”, o której Anslinger pisze, że „od miesięcy prowadziła zacieklą bitwę [...], walcząc o ratunek” (*The Murderers*, dz. cyt., s. 184–186).
- <sup>186</sup> H. Anslinger, *The Murderers*, dz. cyt., s. 166.
- <sup>187</sup> Najlepszym opisem miejsca tych uprzedzeń w długiej historii rasizmu w Stanach Zjednoczonych jest ważna książka Michelle Alexander (M. Alexander, *The New Jim Crow*, New York 2010). Świetny opis tego zjawiska można również znaleźć w książce Timothy’ego A. Hickmana (T. A. Hickman, *The Secret Leprosy of Modern Days. Narcotic Addiction and Cultural Crisis in the United States, 1870–1920*, Amherst 2007, s. 60–92). Po raz pierwszy dowiedziałem się o kluczowej roli tego uprzedzenia względem Chińczyków na początku prohibicji narkotykowej dzięki Richardowi Lawrence’owi Millerowi, który mówi o niej w filmie dokumentalnym

Eugene'a Jareckiego *The House I Live In*. Nawiązuje również do tego w swoich książkach (R. L. Miller, *Drug Warriors and Their Prey. From Police Power to Police State*, Westport 1996, s. 26; R. L. Miller, *The Case for Legalizing Drugs*, dz. cyt., s. 88–91).

<sup>188</sup> H. Shapiro, *Waiting for the Man*, dz. cyt., s. 87.

<sup>189</sup> HAA, skrzynia 1, teczka 12, *Modern Medical Interviews*.

<sup>190</sup> HAA, skrzynia 1, teczka 10, *New York Forum. Saturday, April 28, Program Transcript*. Właściwie przed kryminalizacją do oficjalnych spisów narkomanów trafiali głównie ludzie biali. Dopiero po wprowadzeniu zakazu posiadania i używania narkotyków w spisach zaczęli dominować Afroamerykanie – co sugeruje, że te dane były raczej skutkiem rasistowskich uprzedzeń i działań policji, a nie rzeczywistej struktury osób uzależnionych w amerykańskim społeczeństwie. Patrz: R. King, *The Drug Hang-Up*, dz. cyt., s. 108–109.

<sup>191</sup> I. Grillo, *El Narco. Narkotykowy zamach stanu w Meksyku*, przeł. A. Górka, Warszawa 2012, s. 28.

<sup>192</sup> T. A. Hickman, *The Secret Leprosy*, dz. cyt., s. 77–78.

<sup>193</sup> Tamże. Patrz również: komentarze Hamiltona Wrighta na forum Kongresu (tamże, s. 116). Nawet twierdzenie, że Afroamerykanie sięgali po kokainę nieproporcjonalnie częściej albo że był to czynnik, który wpływał na zachowanie nie zrównoważonych Afroamerykanów, wydaje się mitem: w szczytowym okresie strachu przed „czarnuchem na kokainie” spośród 2100 Afroamerykanów odesłanych do szpitala psychiatrycznego w Georgii tylko dwaj byli kokainistami. Patrz: W. O. Walker, *Drug Control in the Americas*, dz. cyt., s. 14.

<sup>194</sup> R. King, *The Drug Hang-Up*, dz. cyt., s. 27–28; J. Erlen, J. F. Spillane, *Federal Drug Control*, dz. cyt., s. 12–13.

<sup>195</sup> B. Tong, *The Chinese Americans*, Boulder 2003, s. 2 (na stronach 21–22 można znaleźć dobry opis powodów, które skłoniły Chińczyków do migracji); D. F. Musto, *The American Disease. Origins of Narcotic Control*, Oxford 1987, s. 6; C. Reinerman, G. H. Levine (eds.), *Crack in America. Demon Drugs and Social Justice*, Berkeley 1997, s. 6; J. Gibler, *To Die in Mexico. Dispatches from Inside the Drug War*, San Francisco 2011, s. 44–45; M. Kohn, *Dope Girls*, dz. cyt., s. 2–3. Jedną z książek, które w największym stopniu pozwoliły mi zrozumieć to uprzedzenie wobec Chińczyków w Ameryce, jest świetna praca Yunte Huang (Y. Huang, *Charlie Chan. The Untold Story of the Honorable Detective and His Rendezvous with American History*, New York 2010).

<sup>196</sup> H. Anslinger, *The Murderers*, dz. cyt., s. 29–36.

<sup>197</sup> Tamże, s. 37. Ogólnie rzecz biorąc, Anslinger pisze dużo o rzeczach szmuglowanych przez kobiety w pochwach lub w „obfitych biustach” (patrz: H. Anslinger, *The Protectors*, dz. cyt., s. 4, 49). Wydaje się, że celowo nadaje tym opisom zabarwienie seksualne.

<sup>198</sup> B. K. Alexander, *Peaceful Measures. Canada's Way Out of the "War on Drugs"*, Toronto 1990, s. 32; E. F. Murphy, *The Black Candle*, Toronto 1922, s. 188–189.

<sup>199</sup> E. F. Murphy, *The Black Candle*, dz. cyt., s. 5.

<sup>200</sup> Y. Huang, *Charlie Chan*, dz. cyt., s. 124.

<sup>201</sup> J. M. Fish (ed.), *How to Legalize Drugs*, Northvale 1998, s. 244.

<sup>202</sup> H. Anslinger, *The Protectors*, dz. cyt., s. 79.

<sup>203</sup> H. P. Albarelli, *A Terrible Mistake. The Murder of Frank Olson and the CIA's Secret Cold War Experiments*, Waltham 2009, s. 392.

<sup>204</sup> D. Clarke, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 296; H. Anslinger, *The Protectors*, dz. cyt., s. 80. Niektóre szczegóły tego opisu zostały zakwestionowane w książce Albarelliego (H. P. Albarelli, *Terrible Mistake*, dz. cyt., s. 402–403). Autor twierdzi, że ofiara była Chińczykiem, a nie Japończykiem, i że została zastrzelona, a nie uduszona.

- <sup>205</sup> J. Blackburn, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 219.
- <sup>206</sup> Tamże, s. 220.
- <sup>207</sup> Rozmowa z Douglasem Valentinem.
- <sup>208</sup> H. P. Albarelli, *A Terrible Mistake*, dz. cyt., s. 394.
- <sup>209</sup> JBA, skrzynia 18, notatki Lindy Kuehl 1.
- <sup>210</sup> JBA, skrzynia 18, notatki Lindy Kuehl 1, sekcja George White.
- <sup>211</sup> GWA, skrzynia 1, teczka 12, Maely (Dufty) Lewis, *Killer Jazz*, s. 3, dzięki uprzejmości Bevana Dufty'ego. Patrz również: GWA, skrzynia 1, teczka 12; K. Vail, *Lady Day's Diary*, dz. cyt., s. 118; S. Nicholson, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 173.
- <sup>212</sup> Maely (Dufty) Lewis, *Killer Jazz*, dz. cyt., s. 3.
- <sup>213</sup> Rozmowa z Yolandą Bavan.
- <sup>214</sup> GWA, skrzynia 1, teczka 12.
- <sup>215</sup> B. Holiday, W. Dufty, *Lady Day śpiewa bluesa*, dz. cyt., s. 166–167.
- <sup>216</sup> K. Vail, *Lady Day's Diary*, dz. cyt., s. 119. Maely Dufty nie zgadzała się z tym – twierdziła, że Billie zażywała w tym czasie narkotyki, że ona sama znalazła u niej heroinę i że wtedy Billie poddała się terapii odwykowej. Patrz: Maely (Dufty) Lewis, *Killer Jazz*, dz. cyt., s. 4.
- <sup>217</sup> M. A. Lee, B. Shlain, *Acid Dreams. The CIA, LSD, and the Sixties Rebellion*, New York 1985, s. 32–33.
- <sup>218</sup> Często (choć nie zawsze) działało się to na życzenie CIA, stanowiło bowiem część programu MK-ULTRA, zmierzającego do odkrycia „narkotyku prawdy”, który można by wykorzystać przeciwko wrogom. To jedna z najdziwniejszych historii, o jakich słyszałem, i warta poznania. Gdyby rzecz nie została tak dobrze udokumentowana, pomyślałbym, że to kolejna paranoiczna bajka z czasów zimnej wojny. Zachowanie White'a budziło podejrzenia nawet w szeregach CIA. Postępował w ten sposób z kobietami przez długie lata. CIA sporządziło listę jego ofiar pod koniec lat siedemdziesiątych, gdy program MK-ULTRA stał się skandalem. Patrz: D. Valentine, *The Strength of the Pack. The Personalities, Politics and Espionage Intrigues That Shaped the DEA*, Walterville 2009, s. 16–18, 279–281, 289–290, 346–350, 412, 427. Patrz również: H. P. Albarelli, *Terrible Mistake*, dz. cyt., s. 216–222, 237–241, 279, 379–381, 435, 578–579.
- <sup>219</sup> H. P. Albarelli, *A Terrible Mistake*, dz. cyt., s. 279.
- <sup>220</sup> Tamże, s. 290.
- <sup>221</sup> J. C. McWilliams, *The Protectors*, dz. cyt., s. 168; M. A. Lee, B. Shlain, *Acid Dreams*, dz. cyt., s. 35.
- <sup>222</sup> S. Nicholson, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 174.
- <sup>223</sup> Maely (Dufty) Lewis, *Killer Jazz*, dz. cyt., s. 4.
- <sup>224</sup> S. Ramshaw, *He's My Man! Lyrics of Innocence and Betrayal in the People vs Billie Holiday*, „Canadian Journal of Women and the Law”, [papers.ssrn.com](http://papers.ssrn.com), [goo.gl/g8XAkf](http://goo.gl/g8XAkf), dostęp: 28.03.2018.
- <sup>225</sup> H. Anslinger, *The Protectors*, dz. cyt., s. 157.
- <sup>226</sup> D. Clarke, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 433; J. White, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 110–111; K. Vail, *Lady Day's Diary*, dz. cyt., s. 204; J. Chilton, *Billie's Blues*, dz. cyt., s. 193.
- <sup>227</sup> Maely (Dufty) Lewis, *Killer Jazz*, dz. cyt., *Wprowadzenie*; S. Nicholson, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 223.
- <sup>228</sup> Maely (Dufty) Lewis, *Killer Jazz*, dz. cyt., *Wprowadzenie*.
- <sup>229</sup> K. Vail, *Lady Day's Diary*, dz. cyt., s. 205.
- <sup>230</sup> J. White, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 109–110. Patrz również: JBA, skrzynia 18, notatki Lindy Kuehl, t. VIII, rozmowa z doktorem Kurtem Altmanem na potrzeby filmu dokumentalnego Areny.

Patrz również: W. Dufty, *The True Story of Billie Holiday*, artykuł nr 3, seria „New York Post”, JBA, skrzynia 18, teczka 7.

<sup>231</sup> Maely (Dufty) Lewis, *Killer Jazz*, dz. cyt., Wprowadzenie.

<sup>232</sup> J. Chilton, *Billie's Blues*, dz. cyt., s. 194.

<sup>233</sup> Maely (Dufty) Lewis, *Killer Jazz*, dz. cyt., Wprowadzenie.

<sup>234</sup> D. Clarke, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 440.

<sup>235</sup> J. Blackburn, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 296.

<sup>236</sup> R. Davenport-Hines, *Odurzeni*, dz. cyt., s. 275, 282.

<sup>237</sup> Rozmowa z Eugene'em Callenderem.

<sup>238</sup> J. Blackburn, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 296.

<sup>239</sup> Rozmowa z Annie Ross.

<sup>240</sup> Maely (Dufty) Lewis, *Killer Jazz*, dz. cyt., Wprowadzenie.

<sup>241</sup> D. Clarke, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 442. Niektórzy spośród wcześniejszych biografów Billie kwestionowali zarzuty, że w ostatnim okresie życia zażywała heroinę. Patrz: J. Chilton, *Billie's Blues*, dz. cyt., s. 193.

<sup>242</sup> Film dokumentalny BBC *The Long Night of Lady Day*.

<sup>243</sup> Film dokumentalny *Billie Holiday. Sensational Lady* z serii BBC „Reputations”.

<sup>244</sup> Rozmowa z Eugene'em Callenderem.

<sup>245</sup> J. Blackburn, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 298.

<sup>246</sup> D. Clarke, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 438.

<sup>247</sup> Tamże, s. 132.

<sup>248</sup> J. Blackburn, *Billie Holiday*, dz. cyt., s. 253; JBA, skrzynia 18, notatki Lindy Kuehl 1, rozmowa z Memry Midgett.

<sup>249</sup> Film dokumentalny *Billie Holiday. Sensational Lady* z serii BBC „Reputations”.

<sup>250</sup> JBA, skrzynia 18, artykuł Dufty'ego dla „New York Post”.

<sup>251</sup> Rozmowa z Eugene'em Callenderem.

<sup>252</sup> H. Anslinger, *The Protectors*, dz. cyt., s. 157.

<sup>253</sup> HAA, skrzynia 1, teczka 14, wiersz zatytułowany *L'Envoie*.

## 2. Słońce i mięczaki

<sup>254</sup> Henry Smith Williams zostaje wspomniany przelotnie u Slomana (L. Sloman, *Reefer Madness. A History of Marijuana in America*, New York 1998), wiemy więc, że Larry Sloman go czytał; powstało też kilka artykułów akademickich o braciach Smith Williams.

<sup>255</sup> Niniejszy opis Henry'ego Smitha Williamsa opiera się na obrazach udostępnionych w wyszukiwarce Google, np. [google.co.uk](http://google.co.uk), [goo.gl/Bf82EX](http://goo.gl/Bf82EX), dostęp: 25.10.2012.

<sup>256</sup> H. S. Williams, *Drugs Against Men*, New York 1981, s. ix.

<sup>257</sup> Tamże, s. 74.

<sup>258</sup> H. S. Williams, *The Survival of the Fittest*, New York 1932, s. 35; tenże, *Adding Years to Your Life*, New York 1914, s. 111–113.

<sup>259</sup> To centralne założenie całego wywodu Henry'ego Smitha Williamsa (H. S. Williams, *Drug Addicts Are Human Beings*, Washington 1938).

<sup>260</sup> E. H. Williams, *Opiate Addiction. Its Handling and Treatment*, New York 1922. Patrz również: [archive.org](http://archive.org), [goo.gl/RSbMtv](http://goo.gl/RSbMtv), dostęp: 23.05.2013.

<sup>261</sup> H. S. Williams, *Drug Addicts...*, dz. cyt., s. 149.

- <sup>262</sup> Patrz: tamże, rozdział 3 i 22.
- <sup>263</sup> [ncbi.nlm.nih.gov](http://ncbi.nlm.nih.gov), [goo.gl/VrWtrA](http://goo.gl/VrWtrA), dostęp: 4.05.2014.
- <sup>264</sup> H. S. Williams, *Drug Addicts...*, dz. cyt., s. iii.
- <sup>265</sup> W. L. White, *Slaying the Dragon. The History of Addiction Treatment and Recovery in America*, Bloomington 1998, s. 120.
- <sup>266</sup> D. F. Musto, *The American Disease. Origins of Narcotic Control*, Oxford 1987, s. 94.
- <sup>267</sup> [cracked.com](http://cracked.com), [goo.gl/cQbsC](http://goo.gl/cQbsC), dostęp: 4.05.2014.
- <sup>268</sup> R. J. MacCoun, P. Reuter (eds.), *Drug War Heresies. Learning from Other Vices, Times, and Places*, Cambridge 2006, s. 197.
- <sup>269</sup> H. S. Williams, *Drug Addicts...*, dz. cyt., s. 17, 49.
- <sup>270</sup> Tenże, *Drugs Against Men*, dz. cyt., s. xii.
- <sup>271</sup> Tenże, *Drug Addicts...*, dz. cyt., s. 15; R. L. Miller, *The Case for Legalizing Drugs*, New York 1991, s. 6.
- <sup>272</sup> R. DeGrandpre, *The Cult of Pharmacology. How America Became the World's Most Troubled Drug Culture*, Durham 2006, s. 104, 126.
- <sup>273</sup> R. King, *The Drug Hang-Up. America's Fifty-Year Folly*, New York 1972, s. 18–19.
- <sup>274</sup> H. S. Williams, *Drug Addicts...*, dz. cyt., s. 9.
- <sup>275</sup> Tamże, s. 11; R. King, *The Drug Hang-Up*, dz. cyt., s. 65.
- <sup>276</sup> H. S. Williams, *Drug Addicts...*, dz. cyt., s. 12.
- <sup>277</sup> Tamże, s. 18; T. A. Hickman, *The Secret Leprosy of Modern Days. Narcotic Addiction and Cultural Crisis in the United States, 1870–1920*, Amherst 2007, s. 121–124; R. King, *The Drug Hang-Up*, dz. cyt., s. 33–34, 40; R. L. Miller, *The Case for Legalizing Drugs*, dz. cyt., s. 93.
- <sup>278</sup> H. S. Williams, *Drug Addicts...*, dz. cyt., s. 24.
- <sup>279</sup> C. J. Acker, S. W. Tracy (eds.), *Altering American Consciousness*, Amherst 2004, s. 231.
- <sup>280</sup> H. Anslinger, *The Protectors. Our Battle Against the Crime Gangs*, New York 1966, s. 48–49.
- <sup>281</sup> J. Erlen, J. F. Spillane (eds.), *Federal Drug Control. The Evolution of Policy and Practice*, Binghamton 2004, s. 127.
- <sup>282</sup> C. J. Acker, S. W. Tracy (eds.), *Altering American Consciousness*, dz. cyt., s. 230; R. J. Bonnie, Ch. H. Whitebread, *The Marijuana Conviction. A History of Marijuana Prohibition in the United States*, New York 1999, s. 100–101.
- <sup>283</sup> H. S. Williams, *Drug Addicts...*, dz. cyt., s. 37.
- <sup>284</sup> D. F. Musto, *The American Disease*, dz. cyt., s. 178.
- <sup>285</sup> H. S. Williams, *Drug Addicts...*, dz. cyt., s. 70.
- <sup>286</sup> Tamże, s. 170; R. King, *The Drug Hang-Up*, dz. cyt., s. 44–46; J. M. Murtagh, S. Harris, *Who Live in Shadow*, London 1960, s. 114–116.
- <sup>287</sup> *The Tsar Nobody Knows*, „New York Post”, HAA, skrzynia 5, teczka 10.
- <sup>288</sup> H. S. Williams, *Drug Addicts...*, dz. cyt., s. 22.
- <sup>289</sup> Tamże, s. 91. Szerszy opis prześladowań można znaleźć w: R. King, *The Drug Hang-Up*, dz. cyt., s. 47–58.
- <sup>290</sup> HAA, skrzynia 1, teczka 9.
- <sup>291</sup> C. J. Acker, S. W. Tracy (eds.), *Altering American Consciousness*, dz. cyt., s. 238.
- <sup>292</sup> L. Sloman, *Reefer Madness*, dz. cyt., s. 199. Patrz również: R. King, *The Drug Hang-Up*, dz. cyt., s. 71.
- <sup>293</sup> H. S. Williams, *Luther Burbank*, New York 1915, s. 316.



- <sup>294</sup> HAA, skrzynia 8, teczka, notatka zatytułowana *Kalifornia*.
- <sup>295</sup> HAA, skrzynia 3, teczka 6, list Henry'ego Smitha Williamsa do Becka.
- <sup>296</sup> HAA, skrzynia 3, teczka 6, list Anslingera zatytułowany *Notatka służbowa do pana Gastona*.
- <sup>297</sup> C. J. Acker, S. W. Tracy (eds.), *Altering American Consciousness*, dz. cyt., s. 238.
- <sup>298</sup> R. King, *The Drug Hang-Up*, dz. cyt., s. 61.
- <sup>299</sup> C. J. Acker, S. W. Tracy (eds.), *Altering American Consciousness*, dz. cyt., s. 238.
- <sup>300</sup> W 1955 roku doktor Hubert Howe zeznawał przed podkomisją senacką, że on i jego koledzy po fachu chcieliby przepisywać opioidy, ale „lekarzy wystraszyło Biuro Federalne”. Patrz: R. King, *The Drug Hang-Up*, dz. cyt., s. 125–126, 139–140.
- <sup>301</sup> H. Anslinger, *The Murderers. The Shocking Story of the Narcotics Gang*, New York 1962, s. 219.
- <sup>302</sup> C. J. Acker, S. W. Tracy (eds.), *Altering American Consciousness*, dz. cyt., s. 242.
- <sup>303</sup> H. Anslinger, *The Murderers*, dz. cyt., s. 221–222.
- <sup>304</sup> R. Grim, *This Is Your Country on Drugs. The Secret History of Getting High in America*, Hoboken 2009, s. 44.
- <sup>305</sup> Artykuł Alfreda Lindesmitha zamieszczony w „The Washington Post” oraz na stronie <http://www.onlinepot.org>, [goo.gl/ETSfLg](http://goo.gl/ETSfLg), dostęp: 28.03.2018; H. Anslinger, *The Protectors*, dz. cyt., s. 53–54. Anslinger nie wymienia Hansona z nazwiska jako skorumpowanego agenta, lecz z kontekstu wynika jasno, że chodzi właśnie o niego. Wiemy o tym, bo „Dama w czerwieni”, o której pisze, była kluczową postacią w sprawie Hansona (patrz: „Liberty”, 26.02.1938, s. 43).
- <sup>306</sup> Archiwa Krajowe, San Francisco, sprawy sądowe stanu Nevada, pliki 9580 i 9581; H. S. Williams, *Drug Addicts...*, dz. cyt., s. 100–101.
- <sup>307</sup> Postępki Hansona można interpretować na trzy sposoby. Pierwsza interpretacja pochodzi od Henry'ego Smitha Williamsa: Hanson pracował dla nich od początku i zamykał kliniki, bo tego odeń chcieli. Druga mówi, że pracował dla nich od samego początku, ale jego korupcyjne zachowania ograniczały się do tego, co robią dziś niektórzy policjanci: przymykał oko na działania dealerów. Zgodnie z trzecią wersją zaczął brać od nich łapówki dopiero po tym, jak wyjechał z Kalifornii i został przeniesiony do Nevady. Opowiadam się za interpretacją Henry'ego: nawet współpracownicy Hansona z FBN zastanawiali się głośno, czy pracował dla mafii w czasie, gdy kierował biurem w Los Angeles. Patrz: „Official Detective Stories”, 01.08.1939, s. 43. Archiwa Krajowe, San Francisco, sprawy sądowe stanu Nevada, pliki 9580 i 9581; H. S. Williams, *Drug Addicts...*, dz. cyt., s. 100–101.
- <sup>308</sup> C. J. Acker, S. W. Tracy (eds.), *Altering American Consciousness*, dz. cyt., s. 255.
- <sup>309</sup> H. S. Williams, *Survival of the Fittest*, dz. cyt., s. 309–310. To nie jest łatwa przemiana. Czasami Williams wraca do swoich starych uprzedzeń, choć z mniejszą werwą niż wcześniej – stopniowo zmieni poglądy. Patrz: H. S. Williams, *Drugs Against Men*, dz. cyt. s. 9.
- <sup>310</sup> R. King, *The Drug Hang-Up*, dz. cyt., s. 61.
- <sup>311</sup> L. Sloman, *Reefer Madness*, dz. cyt., s. 83.
- <sup>312</sup> *The Tsar Nobody Knows*, „New York Post”, dz. cyt.

### 3. Na muszce pistoletu Harry'ego

- <sup>313</sup> Historyk David Bewley-Taylor przeanalizował dokładnie ten problem – tylko dzięki jego świetnej pracy zdołałem odtworzyć poczynania Anslingera na arenie międzynarodowej.
- <sup>314</sup> HAA, skrzynia 2, teczka 20.
- <sup>315</sup> J. C. McWilliams, *The Protectors. Harry J. Anslinger and the Federal Bureau of Narcotics, 1930–62*, Newark 1991, s. 150; J. Erlen, J. F. Spillane, *Federal Drug Control. The Evolution of Policy and Practice*, Binghamton 2004, s. 194.

- <sup>316</sup> R. Davenport-Hines, *Odurzeni. Historia narkotyków 1500–2000*, przeł. A. Cioch, Warszawa 2006, s. 275, 284.
- <sup>317</sup> „This Week”, 7.03.1948, s. 22. Patrz również: H. Anslinger, *The Murderers. The Shocking Story of the Narcotics Gang*, New York 1962, s. 207–211.
- <sup>318</sup> D. Valentine, *The Strength of the Wolf. The Secret History of America’s War on Drugs*, New York 2004, s. 68.
- <sup>319</sup> J. C. McWilliams, *The Protectors*, dz. cyt., s. 153; D. Valentine, *The Strength of the Wolf*, dz. cyt., s. 211.
- <sup>320</sup> Patrz: D. Bewley-Taylor, *The United States and International Drug Control 1909–1997*, New York 1999, rozdziały 2 i 4. Patrz również: R. King, *The Drug Hang-Up. America’s Fifty-Year Folly*, New York 1972, rozdział 2.
- <sup>321</sup> H. Anslinger, *The Protectors. Our Battle Against the Crime Gangs*, New York 1966, s. 19.
- <sup>322</sup> R. King, *The Drug Hang-Up*, dz. cyt., s. 225.
- <sup>323</sup> D. Bewley-Taylor, *The United States...*, dz. cyt., s. 105.
- <sup>324</sup> Tamże, s. 48.
- <sup>325</sup> HAA, skrzynia 5,teczka 8, artykuł zatytułowany *Gains in War on Dope Told by Anslinger*. Brak jakichkolwiek informacji, z jakiej gazety pochodzi.
- <sup>326</sup> J. Jonnes, *Hep-Cats, Narcs, and Pipe-Dreams. A History of America’s Romance With Illegal Drugs*, New York 1996, s. 104; J. Rainford, *Consuming Pleasures. Australia and the International Drug Business*, North Fremantle 2009, s. 150; J. Blackburn, *Billie Holiday. Biografia*, przeł. H. Jankowska, Warszawa 2007, s. 53.
- <sup>327</sup> J. Jonnes, *Hep-Cats, Narcs, and Pipe Dreams*, dz. cyt., s. 104.
- <sup>328</sup> J. C. McWilliams, *The Protectors*, dz. cyt., s. 184.

#### **4. Pocisk i narodziny nowego świata**

- <sup>329</sup> D. H. Clarke, *In the Reign of Rothstein*, Ann Arbor 2006, s. 19.
- <sup>330</sup> Tamże, s. 9.
- <sup>331</sup> L. Katcher, *The Big Bankroll. The Life and Times of Arnold Rothstein*, Cambridge 1994, s. 227; C. G. Rothstein, *Now I’ll Tell*, New York 1934, s. 31.
- <sup>332</sup> D. Pietrusza, *Rothstein. The Life, Times, and Murder of the Criminal Genius Who Fixed the 1919 World Series*, New York 2003, s. 10.
- <sup>333</sup> C. G. Rothstein, *Now I’ll Tell*, dz. cyt., s. 19.
- <sup>334</sup> D. Pietrusza, *Rothstein*, dz. cyt., s. 3.
- <sup>335</sup> Tamże.
- <sup>336</sup> *Rothstein. Puzzle in Life, Still Enigma in Death*, „Pittsburgh Press”, 13.11.1928, s. 1.
- <sup>337</sup> Musical *Faceci i laleczki (Guys and Dolls)* oparty był na opowiadaniach Damona Runyona, zainspirowanych postaciami Arnolda i Carolyn. Patrz: [newrepublic.com](http://newrepublic.com), [goo.gl/q1S4dT](http://goo.gl/q1S4dT), dostęp: 28.03.2018.
- <sup>338</sup> C. G. Rothstein, *Now I’ll Tell*, dz. cyt., s. 50.
- <sup>339</sup> Tamże, s. 19.
- <sup>340</sup> L. Katcher, *The Big Bankroll*, dz. cyt., s. 30.
- <sup>341</sup> N. Tosches, *King of the Jews. The Greatest Mob Story Never Told*, New York 2005, s. 34.
- <sup>342</sup> C. G. Rothstein, *Now I’ll Tell*, dz. cyt., s. 40; D. Pietrusza, *Rothstein*, dz. cyt., s. 2.
- <sup>343</sup> C. G. Rothstein, *Now I’ll Tell*, dz. cyt., s. 78.



- <sup>344</sup> Tamże, s. 42.
- <sup>345</sup> D. Pietrusza, *Rothstein*, dz. cyt., s. 43; C. G. Rothstein, *Now I'll Tell*, dz. cyt., s. 20.
- <sup>346</sup> C. G. Rothstein, *Now I'll Tell*, dz. cyt., s. 30.
- <sup>347</sup> Tamże, s. 142–143.
- <sup>348</sup> D. H. Clarke, *In the Reign of Rothstein*, dz. cyt., s. 305.
- <sup>349</sup> C. G. Rothstein, *Now I'll Tell*, dz. cyt., s. 97.
- <sup>350</sup> D. Pietrusza, *Rothstein*, dz. cyt., s. 198.
- <sup>351</sup> D. Okrent, *Last Call. The Rise and Fall of Prohibition*, New York 2012, s. 221.
- <sup>352</sup> J. Jonnes, *Hep-Cats, Narcs, and Pipe Dreams. A History of America's Romance With Illegal Drugs*, New York 1996, s. 77.
- <sup>353</sup> L. Katcher, *The Big Bankroll*, dz. cyt., s. 238.
- <sup>354</sup> D. Valentine, *The Strength of the Wolf. The Secret History of America's War on Drugs*, New York 2004, s. 7.
- <sup>355</sup> C. G. Rothstein, *Now I'll Tell*, dz. cyt., s. 172.
- <sup>356</sup> N. Tosches, *King of the Jews*, dz. cyt., s. 209.
- <sup>357</sup> D. H. Clarke, *In the Reign of Rothstein*, dz. cyt., s. 5.
- <sup>358</sup> E. Vulliamy, *Ameksyka. Wojna wzdłuż granicy*, przeł. J. Ochab, Wołowiec 2012, s. 4.
- <sup>359</sup> *Indict Arnold Rothstein. Charged With Shooting Two Detectives*, „New York Times”, 7.06.1919.
- <sup>360</sup> N. Tosches, *King of the Jews*, dz. cyt., s. 288. D. H. Clarke, *In the Reign of Rothstein*, dz. cyt., s. 6–7, 40–48.
- <sup>361</sup> D. H. Clarke, *In the Reign of Rothstein*, dz. cyt., s. 52.
- <sup>362</sup> C. G. Rothstein, *Now I'll Tell*, dz. cyt., s. 130.
- <sup>363</sup> D. Pietrusza, *Rothstein*, dz. cyt., s. 321.
- <sup>364</sup> Tamże, s. 323.
- <sup>365</sup> C. Reinerman, H. G. Levine (eds.), *Crack in America. Demon Drugs and Social Justice*, Berkeley 1997, s. 68. Steven Pinker nawiązuje do tego w swojej świetnej książce, w której pisze, że „gdy handel narkotykami rozrósł się” na Jamajce, w Meksyku i Kolumbii, „liczba zabójstw również gwałtownie wzrosła” (patrz: S. Pinker, *Zmierzch przemocy. Lepsza strona naszej natury*, przeł. T. Bieroń, Poznań 2015, s. 89); R. L. Miller, *The Case for Legalizing Drugs*, Santa Barbara 1991, s. 67–68.
- <sup>366</sup> D. H. Clarke, *In the Reign of Rothstein*, dz. cyt., s. 50.
- <sup>367</sup> C. G. Rothstein, *Now I'll Tell*, dz. cyt., s. 120.
- <sup>368</sup> Tamże, s. 34.
- <sup>369</sup> Tamże, s. 52.
- <sup>370</sup> Tamże, s. 34.
- <sup>371</sup> Tamże, s. 16.
- <sup>372</sup> Tamże, s. 31–33.
- <sup>373</sup> L. Katcher, *Big Bankroll*, dz. cyt., s. 214.
- <sup>374</sup> D. H. Clarke, *In the Reign of Rothstein*, dz. cyt., s. 32.
- <sup>375</sup> Tamże, s. 304.
- <sup>376</sup> C. G. Rothstein, *Now I'll Tell*, dz. cyt., s. 116.
- <sup>377</sup> Tamże, s. 238.
- <sup>378</sup> Tamże, s. 240.

- <sup>379</sup> Tamże, s. 241.
- <sup>380</sup> Tamże, s. 237.
- <sup>381</sup> L. Katcher, *Big Bankroll*, dz. cyt., s. 1.
- <sup>382</sup> S. D. Smith, *35 Years Ago. Arnold Rothstein Was Mysteriously Murdered*, „New York Times Magazine”, 27.10.1963.
- <sup>383</sup> C. G. Rothstein, *Now I'll Tell*, dz. cyt., s. 246.
- <sup>384</sup> J. Jonnes, *Hep-Cats, Narcs, and Pipe Dreams*, dz. cyt., s. 72.
- <sup>385</sup> S. Walker, *The Night Club Era*, Baltimore 1999, s. 11; D. Wallace, *Capital of the World. A Portrait of New York City in the Roaring Twenties*, Guilford 2011, s. 260.
- <sup>386</sup> D. H. Clarke, *In the Reign of Rothstein*, dz. cyt., s. 289.
- <sup>387</sup> *Rothstein Estate is Held Insolvent*, „New York Times”, 6.10.1935.
- <sup>388</sup> C. G. Rothstein, *Now I'll Tell*, dz. cyt., s. 252.
- <sup>389</sup> *Section of Polite Society is on Trial with McManus*, „Miami News”, 24.11.1929, s. 7.
- <sup>390</sup> N. Tosches, *King of the Jews*, dz. cyt., s. 317.
- <sup>391</sup> *McManus, Gambler, Dies in New Jersey*, „New York Times”, 30.08.1940, s. 38.
- <sup>392</sup> Ch. Bowden, *Mordercze miasto. Meksykańskie lekcje umarłych*, przeł. E. Skowrońska, Zakrzewo 2010, s. 18.
- <sup>393</sup> H. Anslinger, *The Murderers. The Shocking Story of the Narcotics Gang*, New York 1962, s. 17.
- <sup>394</sup> John Marks – bohater jednego z kolejnych rozdziałów – w artykule *The Paradox of Prohibition*, niedatowanym, lecz powstałym bez wątplenia w tym okresie (John Marks przesłał mi go mailem), używa obrazu „naturalnej selekcji gangsterów” i nazywa to „darwinowskim efektem prohibicji”. Sam używałem wcześniej podobnych porównań. Wydaje się, że to dość popularne odniesienie w literaturze dotyczącej reformy handlu narkotykami.

## Część II Duchy

### 5. Souls of Mischief

- <sup>395</sup> Tony Newman z Drug Policy Alliance.
- <sup>396</sup> Prawdziwe imię Chino brzmiało Pemanicka: przez jakiś był znany jak Pam, a potem jako Jason, aż w końcu w wieku piętnastu lat przybrał ostatecznie imię Chino. Aby nie wprowadzać niepotrzebnego zamieszania, w całej książce nazywam go Chino.
- <sup>397</sup> Użyłem już kiedyś tego określenia w felietonie dla „Independent”, opisując Bette Davis.
- <sup>398</sup> W. E. Pritchett, *Brownsville, Brooklyn. Blacks, Jews, and the Changing Face of the Ghetto*, Chicago 2002, s. 261.
- <sup>399</sup> C. G. Rothstein, *Now I'll Tell*, New York 1934, s. 96.
- <sup>400</sup> Po raz pierwszy dowiedziałem się o tym badaniu z *The Fix* Michaela Massinga (M. Massing, *The Fix*, Berkeley 2000, s. 39). Potem przeczytałem oryginalny opis i wyniki: P. Goldstein, H. Brownstein, *Drug-Related Homicide in New York: 1984 and 1988*, „Crime and Delinquency”, s. 38, 459–476.
- <sup>401</sup> C. Reinerman, H. G. Levine (eds.), *Crack in America. Demon Drugs and Social Justice*, Berkeley 1997, s. 118.
- <sup>402</sup> J. P. Gray, *Why Our Drug Laws Have Failed and What We Can Do About It. A Judicial Indictment of the War on Drugs*, Philadelphia 2001, s. 77.
- <sup>403</sup> E. Pisani, *The Wisdom of Whores. Bureaucrats, Brothels, and the Business of AIDS*, London 2009, s. 231.

- <sup>404</sup> Tamże, s. 232.
- <sup>405</sup> Rozmowy z Allanem Clearem i Judith Riverą.
- <sup>406</sup> Patrz: R. J. MacCoun, P. Reuter (eds.), *Drug War Heresies. Learning from Other Vices, Times, and Places*, Cambridge 2006, s. 26–27.
- <sup>407</sup> [villagevoice.com](http://villagevoice.com), [goo.gl/tnFWkf](http://goo.gl/tnFWkf), dostęp: 5.02.2013; [nytimes.com](http://nytimes.com), [goo.gl/XxSGEz](http://goo.gl/XxSGEz), dostęp: 5.02.2013; [nytimes.com](http://nytimes.com), [goo.gl/uzyU16](http://goo.gl/uzyU16), dostęp: 2.10.2014.
- <sup>408</sup> Czasami słuchając opowieści Chino, trudno mi było w nie uwierzyć. Czy to wszystko było prawdą? Spotkałem się więc z jego najlepszym przyjacielem z czasów, gdy był nastolatkiem, z jego znajomymi i kuzynką. Wszyscy opowiadali podobną historię jego życia. Kartoteka kryminalna Chino jest objęta tajemnicą, zgodnie z prawem stanu Nowy Jork (ponieważ Chino wszedł w konflikt z prawem, nim skończył osiemnaście lat). Kontaktując się drogą telefoniczną i mailową z przedstawicielami nowojorskiego systemu sądowego, zdołałem jednak potwierdzić 16 stycznia 2014 roku, że osoba o nazwisku i imieniu Chino oraz z taką samą datą urodzenia w istocie popełniła liczne przestępstwa w Brownsville na Brooklynie w okresie, o którym opowiadał mi Chino, choć pracownicy sądu nie mogli mi zdradzić, jakie to były przestępstwa. Znacznej części historii Chino nie mogłem potwierdzić w żaden sposób – jak już wspominałem, gangsterzy nie prowadzą dokumentacji. Jednak wszystko, co udało mi się zweryfikować, zgadzało się z relacją Chino.
- <sup>409</sup> M. Alexander, *The New Jim Crow*, New York 2010, s. 97.
- <sup>410</sup> Zdaje się, że jako pierwszy podsunął mi ten argument Glenn Greenwald. Wykorzystałem różne jego warianty w swoich artykułach. Zwolennicy reformy handlu narkotykami często używają tej analogii i chyba wielu z nas wymyśliło ją jednocześnie. Pierwszy znany mi przykład wykorzystania tego argumentu znajduje się u Jamesa Graya. Patrz: J. P. Gray, *Why Our Drug Laws Have Failed...*, dz. cyt., s. 68.
- <sup>411</sup> J. A. Miron, *Drug War Crimes. The Consequences of Prohibition*, Chicago 2004, s. 47.
- <sup>412</sup> Tamże, s. 48.
- <sup>413</sup> Tamże, s. 51. Korporacja RAND również przeprowadziła interesujące badanie na ten temat. Patrz: [rand.org](http://rand.org), [goo.gl/iDiTF](http://goo.gl/iDiTF), dostęp: 14.01.2014.

## 6. Trudno być Harrym

- <sup>414</sup> Byli to: Joe Arpaio w Arizonie, Leigh Maddox w Maryland, Stephen Dowling w Nowym Jorku, Fred Martens w New Jersey, Howard Woolridge w Waszyngtonie, João Figueira w Lizbonie, Joe Toft w Reno w stanie Nevada, Michael Levine w stanie Nowy Jork, Neil Franklin w Baltimore, Peter Moskos w Nowym Jorku, Olivier Gueniat w Neuchâtel w Szwajcarii, Terry Nelson w Fort Worth w stanie Teksas, Marisol Valles Garcia w Stanach Zjednoczonych (która poprosiła mnie, bym nie zdradzał nazwy miasta dla jej bezpieczeństwa, musiała bowiem uciekać przed meksykańskimi kartelami), Richard Newton w El Paso w stanie Teksas i Charlie Mandigo w stanie Waszyngton.
- <sup>415</sup> Opisując Eda Toatleya, posiłkowałem się również informacjami, które uzyskałem podczas rozmowy z jego współpracownikiem Neillem Franklinem.
- <sup>416</sup> T. Lynch (ed.), *After Prohibition. An Adult Approach to Drug Policies in the 21st Century*, Washington 2000, s. 94–97.
- <sup>417</sup> J. A. Miron, *Drug War Crimes. The Consequences of Prohibition*, Chicago 2004, s. 50.
- <sup>418</sup> Przedstawiciele Global Commission on Drug Policy (Światowa Komisja ds. Polityki Narkotykowej), którą kierują byli sekretarze stanu USA oraz przywódcy rządów innych państw, zbadali dowody i doszli do następującej konkluzji: „Praktycznie wszystkie badania dotyczące tego tematu wskazują, że zwiększony poziom działalności organów ścigania wiąże się ze

zwiększeniem przestępczości na rynku handlu narkotykami”. Patrz: *The War on Drugs and HIV/AIDS. How the Criminalization of Drug Use Fuels the Global Pandemic*, [rand.org](http://rand.org), [goo.gl/fByydo](http://goo.gl/fByydo), dostęp: 14.01.2014.

<sup>419</sup> H. Anslinger, *The Protectors. Our Battle Against the Crime Gangs*, New York 1966, s. 9; H. Anslinger, *The Murderers. The Shocking Story of the Narcotics Gang*, New York 1962, s. 15.

<sup>420</sup> D. Q. Wilbur, *Drug Dealer Gets Life for Killing State Trooper*, „Baltimore Sun”, 15.12.2001; „Telegraph” 1A.

<sup>421</sup> Leigh wypowiedziała te słowa podczas przemówienia w Cato Institute jesienią 2011 roku. Byłem wtedy wśród publiczności. Nagrania można odsłuchać na stronie [cato.org](http://cato.org), [goo.gl/rA5b1t](http://goo.gl/rA5b1t), dostęp: 28.03.2018.

<sup>422</sup> S. Manning, *Slain Trooper Remembered as Model Policeman*, „Associated Press”, 03.11.2000 (dostęp przez LexisNexis: 01.04.2013); D. Q. Wilbur, *Drug Dealer Gets Life...*, dz. cyt.

<sup>423</sup> R. J. MacCoun, P. Reuter (eds.), *Drug War Heresies. Learning from Other Vices, Times, and Places*, Cambridge 2006, s. 114.

<sup>424</sup> R. DeGrandpre, *The Cult of Pharmacology. How America Became the World's Most Troubled Drug Culture*, Durham 2006, s. 174.

<sup>425</sup> [christiansagainstoprohibition.org](http://christiansagainstoprohibition.org), [goo.gl/VRNF8w](http://goo.gl/VRNF8w), dostęp: 8.01.2014.

<sup>426</sup> M. Alexander, *The New Jim Crow*, New York 2010, s. 153.

<sup>427</sup> A. Benavie, *Drugs. America's Holy War*, New York 2009, s. 14.

<sup>428</sup> Przemówienie Leigh w Cato Institute, jesień 2011.

## 7. Grzyby

<sup>429</sup> [articles.baltimoresun.com](http://articles.baltimoresun.com), [goo.gl/r4BhUJ](http://goo.gl/r4BhUJ), dostęp: 2.10.2012.

<sup>430</sup> [articles.baltimoresun.com](http://articles.baltimoresun.com), [goo.gl/NqD6oS](http://goo.gl/NqD6oS), dostęp: 2.10.2012.

<sup>431</sup> [articles.baltimoresun.com](http://articles.baltimoresun.com), [goo.gl/GHBz9A](http://goo.gl/GHBz9A), dostęp: 2.10.2012.

## Część III Anioły

### 8. Stan wstydu

<sup>432</sup> Nosilem ze sobą włączony dyktafon niemal przez cały mój pobyt w Mieście Namiotów i przez cały czas, kiedy towarzyszyłem skutym łańcuchami więźniarkom, mam więc pełną dokumentację dźwiękową wszystkiego, o czym piszę w tym rozdziale.

<sup>433</sup> Tego akurat dnia do grupy skutych więźniarek dołączono również kobiety oskarżone o przemoc domową i niepłacenie alimentów.

<sup>434</sup> Postanowiłem nie ujawniać ich nazwisk, by nie czuły się jeszcze bardziej upokorzone.

<sup>435</sup> Po jakimś czasie zabrano ją na badania; inne kobiety powiedziały mi, że robią to tylko wtedy, gdy jest wśród nich dziennikarz. Arpaio twierdzi, że kobiety pracujące w obozie zgłaszają się tam na ochotnika (patrz: J. Arpaio, L. Sherman, *Joe's Law. America's Toughest Sheriff Takes On Illegal Immigration, Drugs, and Everything Else That Threatens America*, New York 2008, s. 126). Strażnik pilnujący skutych więźniarek mówi jednak: „Nie przychodzą tu z własnej woli. My je zamykamy”. Kobiety to potwierdzają. Więzione w Dziurze, mogą wyjść na zewnątrz, tylko dołączając do grupy zakutej w łańcuchy. Jedna z kobiet powiedziała mi, że sama wybrała taki los, bo wolała wychodzić na zewnątrz, niż siedzieć cały czas w więzieniu; większość jednak została do tego zmuszona.

<sup>436</sup> Ten rozdział w dużej mierze opiera się na rozmowach z Donna Leone Hamm, Stevem Lemmonsem i Peggy Plews.

- <sup>437</sup> [nytimes.com](http://nytimes.com), [goo.gl/mi9wGu](http://goo.gl/mi9wGu), dostęp: 10.11.2012.
- <sup>438</sup> HAA, skrzynia 1, teczka 10; J. Arpaio, L. Sherman, *Joe's Law*, dz. cyt., s. 94.
- <sup>439</sup> Tamże, s. 213.
- <sup>440</sup> [abcnews.go.com](http://abcnews.go.com), [goo.gl/4BukbC](http://goo.gl/4BukbC) i [theguardian.com](http://theguardian.com), [goo.gl/CAfMYr](http://goo.gl/CAfMYr), dostęp: 2.10.2014.
- <sup>441</sup> Mam tę karteczkę, znam również nazwisko i numer identyfikacyjny więźniarki, która mi ją dała. Dokumentalistka Rachel Siefert sfilmowała list w dniu, w którym go dostałem.
- <sup>442</sup> Takie sytuacje tak czy inaczej należą do wyjątków.
- <sup>443</sup> Dowiedziałem się o tym przypadku od Peggy Plews podczas rozmowy, którą z nią przeprowadziłem. Opisała tę historię najpierw pod adresem [arizonaprisonwatch.blogspot.co.uk](http://arizonaprisonwatch.blogspot.co.uk), [goo.gl/XMErQX](http://goo.gl/XMErQX), dostęp: 28.03.2018. Później udokumentowano ją w raporcie Amnesty International *Cruel Isolation. Amnesty International's Concerns About Conditions in Arizona Maximum Security Prisons*, 22n30.
- <sup>444</sup> [google.co.uk](http://google.co.uk), [goo.gl/EzdA9Q](http://goo.gl/EzdA9Q), dostęp: 10.10.2012.
- <sup>445</sup> R. J. MacCoun, P. Reuter (eds.), *Drug War Heresies. Learning from Other Vices, Times, and Places*, Cambridge 2006, s. 24.
- <sup>446</sup> G. Boyd, *The Drug War Is the New Jim Crow*, „NACLA Report on the Americas”, vol. XXXV, no. 1 ( July/August 2001), s. 18.
- <sup>447</sup> [nplusonemag.com](http://nplusonemag.com), [goo.gl/ZAMVU9](http://goo.gl/ZAMVU9), dostęp: 12.12.2012.
- <sup>448</sup> Dokumentacja sprawy CR9611017, *The State of Arizona vs. Marcia Joanne Powell*.
- <sup>449</sup> Patrz: śledztwo Departamentu Więziennictwa Stanu Arizona, streszczenie.
- <sup>450</sup> List Jamesa Hassa z Biura Obrońcy Publicznego w hrabstwie Maricopa do Departamentu Nadzoru Kuratorskiego z 11 lipca 2008, zawierający sugestie dotyczące sprawy i wyroku Marcii Powell. Patrz również: mail od Gary'ego Stricklanda do Karyn Klaussner z 29 maja 2009 roku, dowodzący, że w więzieniu wiedziano o opiece prawnej przydzielonej więźniarce, co potwierdzono w oficjalnym śledztwie; Ustalenia Sądu Najwyższego hrabstwa Maricopa z 7 lipca 2008 roku, określające Powell jako „osobę dorosłą pozbawioną zdolności prawnej”.
- <sup>451</sup> Raport Inspektora Generalnego Departamentu Więziennictwa Stanu Arizona w sprawie śmierci Marcii Powell.
- <sup>452</sup> Notka służbowa Administracyjnego Biura Śledczego Inspektora Generalnego Departamentu Więziennictwa Stanu Arizona z 6 września 2009, rozmowa ze strażnikiem więziennym Evanem Hazeltonem.
- <sup>453</sup> Zeznania strażniczki więziennej Electry Allen złożone przed Inspektorem Generalnym podczas oficjalnego śledztwa 2 września 2009. Patrz również: list od Donny Leone Hamm z Middle Ground Prison Reform do Richarda Romleya, pełniącego obowiązki Prokuratora hrabstwa Maricopa z 14 maja 2010. Także list tej samej autorki do Kathleen Ingley z Arizona Republic z 1 września 2009.
- <sup>454</sup> Departament Więziennictwa Stanu Arizona, notatka służbowa do dyrektora wydziału Johna Hallahana z 6 września 2009.
- <sup>455</sup> Notka służbowa Administracyjnego Biura Śledczego Inspektora Generalnego Departamentu Więziennictwa Stanu Arizona z 1 września 2009.
- <sup>456</sup> To cytaty z zeznań świadków, które towarzyszą publikacji oficjalnego śledztwa. Nazwiska więźniów, którzy byli świadkami w sprawie, są utajnione, ale opublikowano ich oficjalne pisemne zeznania. Świadkowie wielokrotnie podkreślają, że boją się zeznawać, ale uważają to za swój moralny obowiązek.
- <sup>457</sup> List od Inspektora Generalnego Departamentu Więziennictwa Stanu Arizona z 1 czerwca 2009 do Wardeny T. Schroedera. Patrz również: [blogs.phoenixnewtimes.com](http://blogs.phoenixnewtimes.com), [goo.gl/kDk7](http://goo.gl/kDk7), dostęp:

2.04.2013.

<sup>458</sup> [phoenixnewtimes.com](http://phoenixnewtimes.com), [goo.gl/BcnTiD](http://goo.gl/BcnTiD), dostęp: 2.04.2013.

<sup>459</sup> [blogs.phoenixnewtimes.com](http://blogs.phoenixnewtimes.com), [goo.gl/644Mx4](http://goo.gl/644Mx4), dostęp: 2.04.2013.

<sup>460</sup> [phoenixnewtimes.com](http://phoenixnewtimes.com), [goo.gl/BcnTiD](http://goo.gl/BcnTiD), dostęp: 2.04.2013.

<sup>461</sup> [blogs.phoenixnewtimes.com](http://blogs.phoenixnewtimes.com), [goo.gl/kDk7](http://goo.gl/kDk7), dostęp: 2.04.2013.

<sup>462</sup> [phoenixnewtimes.com](http://phoenixnewtimes.com), [goo.gl/kDk7](http://goo.gl/kDk7), dostęp: 2.04.2013; [dmcantor.com/blog](http://dmcantor.com/blog), [goo.gl/guPTNS](http://goo.gl/guPTNS) dostęp: 2.04.2013; [phoenixnewtimes.com](http://phoenixnewtimes.com), [goo.gl/WLBuri](http://goo.gl/WLBuri), dostęp: 2.04.2013.

<sup>463</sup> [democracynow.org](http://democracynow.org), [goo.gl/Y3jBSw](http://goo.gl/Y3jBSw), dostęp: 2.04.2013.

<sup>464</sup> *The State of Arizona vs. Marcia Joanne Powell*, sprawa nr CR9611017 – śledztwo przygotowawcze.

<sup>465</sup> Patrz: *Teenager Suspected in Missouri Triple Slaying*, „Associated Press”, 28.03.2004 (dostęp przez LexisNexis: 29 lutego 2013).

<sup>466</sup> *The State of Arizona vs. Marcia Joanne Powell*, sprawa nr CR9611017 – śledztwo przygotowawcze.

## 9. Bart Simpson i anioł z Juárez

<sup>467</sup> [bbc.co.uk](http://bbc.co.uk), [goo.gl/BwRQj2](http://goo.gl/BwRQj2), dostęp: 6.12.2013.

<sup>468</sup> Podczas tej części podróży towarzyszyła mi dokumentalistka filmowa Rachel Siefert.

<sup>469</sup> Powiedział mi, że ostatnio stał w ten sposób nad ciałem kilka miesięcy wcześniej.

<sup>470</sup> <http://www.cnn.com>, [goo.gl/znmoNv](http://goo.gl/znmoNv), dostęp: 6.12.2013.

<sup>471</sup> [ice.gov](http://ice.gov), [goo.gl/oXMJAf](http://goo.gl/oXMJAf), dostęp: 6.12.2013, za pośrednictwem raportu CNN wymienionego powyżej.

<sup>472</sup> S. Nicholson, *Billie Holiday*, London 1995, s. 208.

<sup>473</sup> Juan nie popiera legalizacji: uważa, że wojnę narkotykową można zakończyć dzięki chrystianizacji społeczeństwa i moralnym przestrogom. „W głębi serca jestem pewien, że niektórzy z morderców rozumieją mój przekaz” – mówi.

<sup>474</sup> Strażnicy raz po raz wchodzili do sali i wychodzili z niej – mniej więcej po dwóch godzinach jedna ze strażniczek usiadła i słuchała rozmowy niemal do końca.

<sup>475</sup> Pracując nad tą książką, zawsze gdy pisałem o żyjących osobach i opisywałem ich życie wewnętrzne, a opisy te stanowiły znaczącą część tekstu, wysyłałem przygotowany przeze mnie materiał do tych osób, by sprawdzić, czy wszystko dobrze zrozumiałem. Rosalio jest jednym z dwóch tylko wyjątków od tej reguły. (Drugim jest prezydent José Mujica, który musiał rządzić krajem, więc nie miał czasu czytać mojej pracy).

Relacjonując najważniejsze fakty ze swojego życia z Zetas, Rosalio przedstawiał konsekwentną i spójną opowieść – z kilkoma wyjątkami, o których tu piszę. Jednak, jak sami się przekonacie, gdy próbował wyjaśniać, dlaczego robił to, co robił, jego opowieść zmieniała się znacząco w czasie. Początkowo twierdził, że sam chciał zostać Zeta, później utrzymywał, że go do tego zmuszono.

Podczas naszej długiej rozmowy stało się oczywiste, że Rosalio chce, by każdy dziennikarz, który się z nim kontaktuje, przedstawiał jako prawdę tę drugą wersję – że został porwany i zmuszony do pracy płatnego zabójcy – a odrzucał wersję pierwszą jako fałszywą. Przekonałem się też, że Rosalio jest wściekły na wszystkich dziennikarzy, którzy o nim dotąd pisali, bo nie spełnili jego życzenia. Odnosząc się na przykład do dziennikarza Rusty’ego Fleminga, który przeprowadził z nim wywiad, a potem go opisał, Rosalio powiedział: „Większość tego, co tam napisał, to bzdury”. Kiedy spytałem, gdzie konkretnie mylił się



Fleming, gangster odparł, że czytał w celi jego artykuł i że „to wszystko nieprawda”. Potem jednak przyznał: „Napisał trochę prawdy, ale własnymi słowami. [...] Tak, to prawda”.

Wkrótce zrozumiałem, że Rosalio jest zły na dziennikarzy, bo nie chcą potwierdzić jego nowej wersji wydarzeń, a on z kolei chciałby, żeby przedstawiali tylko taki opis, nie wyrażając przy tym żadnych wątpliwości. Powiedział mi, że wszyscy dziennikarze wypaczyli jego wypowiedzi: „Zawsze odwracają kota ogonem, a ja zamiast na ofiarę wychodzę teraz na zbrodniarza. To nie fair. Tylko o to jedno cię proszę. Nie stawiaj mnie w takiej sytuacji. Nie wiesz, przez co przeszedłem”. Później dodał: „Nie powinien przedstawiać historii na swój sposób, to nie fair z jego strony. Nie można tak robić”. Mówił też, że dziennikarze „wykorzystują tę samą teorię, ale opowiadają ją własnymi słowami”. Prosił mnie: „Nie chcę, żebyś opowiadał to własnymi słowami, jak wszyscy inni”.

Pytałem, czy chce, by cały wywiad składał się tylko z jego słów, a on przytaknął. Nie zgodziłem się na ten warunek i powiedziałem mu wprost: „Nie mogę używać tylko twoich słów”.

Zrozumiałem więc, że procedura sprawdzania faktów, którą zwykle stosowałem – na przykład z Chino Hardinem i Leigh Maddox, gdy prosiłem ich, by przeczytali mój tekst i potwierdzili, zdanie po zdaniu, czy wszystko zgadza się z prawdą – w przypadku Rosalio nie będzie miała sensu. Gotów był zgodzić się tylko na takie przedstawienie sprawy, które w całości uwalniało go od winy, a nie uważałem, by było to właściwe i rozsądne. (W rzeczywistości jego opowieść zmieniała się i przekształcała podczas naszej rozmowy, co widać w tekście).

Na przykład twierdzeniom, że okrucieństwa, jakich się dopuszczał, wcale nie sprawiały mu przyjemności, wyraźnie zaprzeczają nagrania z przesłuchań prowadzonych przez policję, cytowane w tym rozdziale.

Stanałem więc przed dylematem: Czy ta opowieść jest dość wiarygodna, by umieścić ją w książce, a jeśli tak, to jak powinienem ją przedstawić? Nie ma wątpliwości, że Rosalio pracował dla Zetas – dlatego trafił do więzienia, a nagrania z podsłuchu stanowią jednoznaczny dowód. Poza tym, jak sami się przekonacie, gdy mowa o najważniejszych faktach i czynach, Rosalio jest konsekwentny. Zmienia się tylko opis jego motywów, głównie w przypadku opowieści o tym, jak stał się członkiem gangu. Skłonny jestem również wierzyć, że nie przeinacza faktów, bo ta część historii, którą prezentuje spójnie i jednoznacznie, przedstawia go w jak najgorszym świetle: prawda jest taka, że był seryjnym zabójcą, a on sam to potwierdza. Doszedłem do wniosku, że jeśli ktoś przez lata konsekwentnie relacjonuje opowieść, w której popełnia brutalne zbrodnie, a do tego istnieje mnóstwo dowodów potwierdzających tę historię, mam prawo ją przedstawić.

Jednakże ta rozmowa została opisana inaczej od pozostałych, co ma być wyrazem niejasności pewnych jej elementów. Po pierwsze: nie wysłałem tekstu do Rosalia. Jestem pewien, że zareagowałby tak samo, jak na tekst Rusty’ego Fleminga: powiedziałby, że to nieprawda, bo nie przedstawia go wyłącznie jako ofiary. Jednak – podobnie jak w przypadku Fleminga – nie byłby w stanie wskazać żadnych konkretnych błędów, powtórzyłem bowiem tylko to, co powiedział mi podczas nagranej czterogodzinnej rozmowy, i przedstawiłem dowody z innych wiarygodnych źródeł. Po drugie: tam, gdzie z biegiem czasu przedstawiał różne wydarzenia na różne sposoby, wyjaśniłem to w tekście, by czytelnik mógł sam wyciągnąć wnioski. Zamieściłem tu ten przypis, by jak najprzejrzystiej wyjaśnić, w jaki sposób dochodziłem do wniosków zamieszczonych w książce.

<sup>476</sup> Opis obozów treningowych Zetas, który pasuje do relacji Rosalia, można znaleźć w książce George’a W. Graysona i Samuela Logana (G. W. Grayson, S. Logan, *The Executioner’s Men. Los Zetas, Rogue Soldiers, Criminal Entrepreneurs, and the Shadow State They Created*, New Brunswick 2012, s. 46–48).



- <sup>477</sup> I. Grillo, *El Narco. Narkotykowy zamach stanu w Meksyku*, przeł. A. Górka, Warszawa 2012, s. 105.
- <sup>478</sup> G. W. Grayson, S. Logan, *The Executioner's Men*, dz. cyt., s. 181.
- <sup>479</sup> [aljazeera.com](http://aljazeera.com), [goo.gl/ba2sfi](http://goo.gl/ba2sfi), dostęp: 5.10.2012.
- <sup>480</sup> I. Grillo, *El Narco*, dz. cyt., s. 96.
- <sup>481</sup> S. González Rodríguez, *The Femicide Machine*, trans. M. Parker-Stainback, Los Angeles 2012, s. 62.
- <sup>482</sup> J. Gibler, *To Die in Mexico. Dispatches from Inside the Drug War*, San Francisco 2011, s. 59; G. W. Grayson, S. Logan, *The Executioner's Men*, dz. cyt., s. 46–47.
- <sup>483</sup> *Mexican Cartels Lure American Teens as Killers*, „New York Times”, 23.06.2009, [nytimes.com](http://nytimes.com), [goo.gl/DsbcPW](http://goo.gl/DsbcPW), dostęp: 5.10.2012.
- <sup>484</sup> [foxnews.com](http://foxnews.com), [goo.gl/9BrB56](http://goo.gl/9BrB56), dostęp: 5.10.2012.
- <sup>485</sup> [cnn.com](http://cnn.com), [goo.gl/GZwkYb](http://goo.gl/GZwkYb), dostęp: 5.10.2012.
- <sup>486</sup> *Mexican Cartels Lure American Teens as Killers*, dz. cyt.
- <sup>487</sup> G. W. Grayson, S. Logan, *The Executioner's Men*, dz. cyt., s. 179.
- <sup>488</sup> Tamże, s. 180–181.
- <sup>489</sup> *Mexican Cartels Lure American Teens as Killers*, dz. cyt. Patrz również: G. W. Grayson, S. Logan. *The Executioner's Men*, dz. cyt., s. 36.
- <sup>490</sup> H. Campbell, *Drug War Zone. Frontline Dispatches from the Streets of El Paso and Juárez*, Austin 2009, s. 29.
- <sup>491</sup> [cnn.com](http://cnn.com), [goo.gl/GZwkYb](http://goo.gl/GZwkYb), dostęp: 5.10.2012.
- <sup>492</sup> G. W. Grayson, S. Logan, *The Executioner's Men*, dz. cyt., s. 91–92.
- <sup>493</sup> I. Grillo, *El Narco*, dz. cyt., s. 254.
- <sup>494</sup> [foxnews.com](http://foxnews.com), [goo.gl/9BrB56](http://goo.gl/9BrB56), dostęp: 5.10.2012.
- <sup>495</sup> *Mexican Cartels Lure American Teens as Killers*, dz. cyt.
- <sup>496</sup> L. Dittrich, *Four Days on Mexico Border Control*, „Esquire”, 8.06.2009.
- <sup>497</sup> G. W. Grayson, S. Logan, *The Executioner's Men*, dz. cyt., s. 183.
- <sup>498</sup> Tamże, s. 36, 181.
- <sup>499</sup> [aljazeera.com](http://aljazeera.com), [goo.gl/g52nT](http://goo.gl/g52nT), dostęp: 5.10.2012.
- <sup>500</sup> Tamże.
- <sup>501</sup> [telegraph.co.uk](http://telegraph.co.uk), [goo.gl/WH7JVC](http://goo.gl/WH7JVC), dostęp: 8.10.2012; I. Grillo, *El Narco*, dz. cyt., s. 6.
- <sup>502</sup> C. G. Rothstein, *Now I'll Tell*, New York 1934, s. 119.
- <sup>503</sup> Potwierdza to większość relacji. Patrz: G. W. Grayson, S. Logan, *The Executioner's Men*, dz. cyt., s. 67–82, gdzie autor pisze, że Zetas sprawują „podwójną władzę” i tworzą „gabinet cieni”.
- <sup>504</sup> Ch. Bowden, *Mordercze miasto. Meksykańskie lekcje umarłych*, przeł. E. Skowrońska, Zakrzewo 2010, s. 45.
- <sup>505</sup> Najlepiej przedstawiono to w *Młodych strzelbach*.
- <sup>506</sup> Jak wspomniano wcześniej, to pojęcie ukute przez Charlesa Bowdena. Patrz: Ch. Bowden, *Mordercze miasto*, dz. cyt., s. 18.
- <sup>507</sup> [guardian.co.uk](http://guardian.co.uk), [goo.gl/51nKeS](http://goo.gl/51nKeS), dostęp: 6.10.2012.
- <sup>508</sup> [theguardian.com](http://theguardian.com), [goo.gl/8zEuZo](http://goo.gl/8zEuZo), dostęp: 20.11.2013.

## 10. Długi marsz Mariseli

- <sup>509</sup> Poznałem Juana Fraire Escobedo dzięki niezwyklej grupie Mexicanos en Exilo, która walczy o prawo do azylu w Stanach Zjednoczonych dla Meksykanów uciekających przed okrucieństwami wojny narkotykowej.
- <sup>510</sup> [mariselaescobedo.com/media.html](http://mariselaescobedo.com/media.html), dostęp: 24.04.2014.
- <sup>511</sup> Ch. Bowden, *Mordercze miasto. Meksykańskie lekcje umarłych*, przeł. E. Skowrońska, Zakrzewo 2010, s. 238.
- <sup>512</sup> [mariselaescobedo.com/vid\\_protests.html](http://mariselaescobedo.com/vid_protests.html), dostęp: 26.02.2013, na potrzeby książki na język angielski przełożył Francis Whatlington.
- <sup>513</sup> Ten opis oparty jest na moim osobistym doświadczeniu, wożono mnie bowiem tymi drogami, gdy udałem się do Creel, by porozmawiać z kobietą, której mąż i synowie zniknęli bez śladu. Później opowiedziałem ich historię w „Le Monde Diplomatique”.
- <sup>514</sup> K. Elingwood, *Mexico Under Siege*, „Los Angeles Times”, 18.12.2010.
- <sup>515</sup> To morderstwo zostało zarejestrowane przez kamery. Część nagrania można zobaczyć na [youtube.com](http://youtube.com), [goo.gl/cJiLFd](http://goo.gl/cJiLFd) lub [goo.gl/AvdetL](http://goo.gl/AvdetL), dostęp: 2.04.2013; a także w filmie dokumentalnym *9 Murders a Day*.
- <sup>516</sup> Można posłuchać Juana przedstawiającego opis jego doświadczeń na [texasobserver.org](http://texasobserver.org), [goo.gl/oZFTVf](http://goo.gl/oZFTVf), dostęp: 2.04.2013.
- <sup>517</sup> H. Anslinger, *The Protectors. Our Battle Against the Crime Gangs*, New York 1966, s. 10–11.
- <sup>518</sup> [hispanicnewsnetwork.blogspot.co.uk](http://hispanicnewsnetwork.blogspot.co.uk), [goo.gl/P5Pac3](http://goo.gl/P5Pac3), dostęp: 23.11.2013.
- <sup>519</sup> G. K. Pierce, *Sobering the Revolution. Mexico's Anti-Alcohol Campaign*, praca doktorska, University of Arizona 2008. Dostępne pod adresem: [books.google.co.uk](http://books.google.co.uk), [goo.gl/ukw6yv](http://goo.gl/ukw6yv).
- <sup>520</sup> D. Bewley-Taylor, *The United States and International Drug Control, 1909–1997*, New York 1999, s. 42.
- <sup>521</sup> Otwarcie potępił politykę Harry’ego. Patrz: W. O. Walker, *Drug Control in the Americas*, Albuquerque 1981, s. 125.
- <sup>522</sup> Tamże, s. 68.
- <sup>523</sup> I. Campos, *Home Grown. Marijuana and the Origins of Mexico's War on Drugs*, Chapel Hill 2012, s. 226.
- <sup>524</sup> W. O. Walker, *Drug Control in the Americas*, dz. cyt., s. 67.
- <sup>525</sup> Raport UNESCO *Globalisation, Drugs and Criminalisation. Final Research Report on Brazil, China, India and Mexico*, 2002, s. 60, dostępny na stronie [unesco.org](http://unesco.org), [goo.gl/LQjcrU](http://goo.gl/LQjcrU), dostęp: 21.10.2012.
- <sup>526</sup> W. O. Walker, *Drug Control in the Americas*, dz. cyt., s. 126.
- <sup>527</sup> Tamże, s. 67, 133.
- <sup>528</sup> Tamże, s. 127–132.
- <sup>529</sup> Tamże, s. 132.
- <sup>530</sup> [bbc.co.uk](http://bbc.co.uk), [goo.gl/GKbNfY](http://goo.gl/GKbNfY), dostęp: 21.10.2013.

## Część IV Świątynia

### 11. Zrozpaczona mangusta

- <sup>531</sup> [guardian.co.uk](http://guardian.co.uk), [goo.gl/h6dYgo](http://goo.gl/h6dYgo), dostęp: 1.07.2012.
- <sup>532</sup> *Warning Campaign Launched Against Club Drugs*, „Associated Press”, 03.12.1999 (dostęp przez LexisNexis: 1.07.2012).
- <sup>533</sup> R. K. Siegel, *Intoxication. Life in Pursuit of Artificial Paradise*, New York 1989, s. 14.

- <sup>534</sup> Tamże, s. 72.
- <sup>535</sup> Tamże, s. 11.
- <sup>536</sup> Tamże, s. 13.
- <sup>537</sup> Tamże, s. 105; Patrz również: rozmowa z Siegelem.
- <sup>538</sup> R. K. Siegel, *Intoxication*, dz. cyt., s. 198.
- <sup>539</sup> [unodc.org](http://unodc.org), [goo.gl/trGSpD](http://goo.gl/trGSpD), dostęp: 12.07.2012. Jestem wdzięczny Steve'owi Rollesowi z Transform i Carlowi Harlowi za zwrócenie uwagi na ten fakt. Ta sama kwestia omawiana jest również na [news.vice.com](http://news.vice.com), [goo.gl/4JwMW4](http://goo.gl/4JwMW4), dostęp: 24.09.2014. Podobne wyniki można znaleźć w: R. DeGrandpre, *The Cult of Pharmacology. How America Became the World's Most Troubled Drug Culture*, Durham 2006, s. 231.
- <sup>540</sup> Patrz: R. L. Miller, *Drug Warriors and Their Prey. From Police Power to Police State*, Westport 1996, s. 5.
- <sup>541</sup> J. Sullum, *Saying Yes. In Defense of Drug Use*, New York 2003, s. 10.
- <sup>542</sup> [transform-drugs.blogspot.co.uk](http://transform-drugs.blogspot.co.uk), [goo.gl/eyuRkx](http://goo.gl/eyuRkx), dostęp: 2.12.2013.
- <sup>543</sup> J. Sallum, *Saying Yes*, dz. cyt., s. 9.
- <sup>544</sup> R. K. Siegel, *Intoxication*, dz. cyt., s. 14. Patrz również: rozmowa z Siegelem.
- <sup>545</sup> S. Walton, *Odlot. Kulturowa historia odurzenia*, przeł. A. Kunicka, Warszawa 2017, s. 10.
- <sup>546</sup> M. Jay, *High Society. Mind-Altering Drugs in History and Culture*, London 2010, s. 14.
- <sup>547</sup> [telegraph.co.uk](http://telegraph.co.uk), [goo.gl/VNN9uP](http://goo.gl/VNN9uP), dostęp: 24.07.2014.
- <sup>548</sup> D. Okrent, *Last Call. The Rise and Fall of Prohibition*, New York 2012, s. 8.
- <sup>549</sup> S. Walton, *Odlot*, dz. cyt., s. 2; A. S. Trebach, *The Heroin Solution*, New Haven 1982, s. 11.
- <sup>550</sup> S. Walton, *Odlot*, dz. cyt., s. 208.
- <sup>551</sup> R. G. Wasson, A. Hofmann, C. A. P. Ruck, *The Road to Eleusis. Unveiling the Secret of the Mysteries*, New York 1978, s. 17.
- <sup>552</sup> S. Walton, *Odlot*, dz. cyt., s. 208.
- <sup>553</sup> Tamże, s. 38; R. G. Wasson, A. Hofmann, C. A. P. Ruck, *The Road to Eleusis*, dz. cyt., s. 51–53.
- <sup>554</sup> G. Wasson, A. Hofmann, C. A. P. Ruck, *The Road to Eleusis*, dz. cyt., s. 9. Patrz również: Herodot, *Dzieje*, przeł. S. Hammer, Warszawa 2015, 8.65 oraz Izokrates, *Panegiryk*, 4.157 [w:] Z. Kubiak, *Literatura Greków i Rzymian*, Warszawa 1999.
- <sup>555</sup> J. C. McWilliams, *The Protectors. Harry J. Anslinger and the Federal Bureau of Narcotics, 1930–62*, Newark 1991, s. 186.
- <sup>556</sup> R. G. Wasson, A. Hofmann, C. A. P. Ruck, *The Road to Eleusis*, dz. cyt.
- <sup>557</sup> Tamże, s. 55.
- <sup>558</sup> S. Walton, *Odlot*, dz. cyt., s. 38; R. G. Wasson, A. Hofmann, C. A. P. Ruck, *The Road to Eleusis*, dz. cyt., s. 76–85; K. Kerényi, *Eleusis. Archetypowy obraz matki i córki*, przeł. I. Kania, Kraków 2004, s. 177–180.
- <sup>559</sup> D. C. A. Hillman, *The Chemical Muse. Drug Use and the Roots of Western Civilisation*, New York 2008, s. 209. Patrz również: R. G. Wasson, A. Hofmann, C. A. P. Ruck, *The Road to Eleusis*, dz. cyt., s. 25–34, 47–48. Wśród filologów klasycznych nie ma całkowitej jednomyślności w kwestii tych wniosków. Niektórzy się z nimi zgadzają, a niektórzy nie. Nie są to jednak poglądy amatorów czy fanatyków, lecz wybitnych specjalistów z tej dziedziny. George Luck, profesor emeritus wydziału filologii klasycznej na John Hopkins University, sądzi, że „ustalono ponad wszelką wątpliwość, że napój podawany podczas misterii eleuzyńskich zawierał sporysz”, halucynogeny grzyb, i że to „w pełni wyjaśnia cudowne wizje innego świata, które czyniły to

doświadczenie religijne tak wyjątkowym”. Patrz: C. A. P. Ruck, *Sacred Mushrooms of the Goddess. Secrets of Eleusis*, Berkeley 2006, s. 161.

<sup>560</sup> D. C. A. Hillman, *The Chemical Muse*, dz. cyt., s. 209.

<sup>561</sup> S. Walton, *Odlot*, dz. cyt., s. 44.

<sup>562</sup> Patrz: D. C. A. Hillman, *The Chemical Muse*, dz. cyt., s. 3, 6.

<sup>563</sup> S. Walton, *Odlot*, dz. cyt., s. 27.

<sup>564</sup> Tamże, s. 38.

<sup>565</sup> Tamże, s. 11.

<sup>566</sup> Tamże, s. XVII.

<sup>567</sup> Tamże, s. XXV.

<sup>568</sup> Tamże, s. IX.

## 12. Miasto na końcu świata

<sup>569</sup> Niniejszy opis opiera się na wspomnieniach tego, co mówiła Gaborowi jego matka: zmarła, nim mogłem się z nią spotkać. Patrz: rozmowa z Gaborem Maté. Opowiadała o tych wydarzeniach Gaborowi, a jednocześnie prowadziła dziennik, który potem Gabor miał okazję czytać. Gabor opisuje również te wspomnienia: G. Maté, *Scattered Minds. The Origins and Healing of Attention Deficit Disorder*, Toronto 1999, s. 87–93.

<sup>570</sup> Tamże, s. 91.

<sup>571</sup> G. Maté, *In the Realm of Hungry Ghosts. Close Encounters with Addiction*, Berkeley 2010, s. 241.

<sup>572</sup> G. Maté, *Scattered Minds*, dz. cyt., s. 92.

<sup>573</sup> C. Reinerman, H. G. Levine (eds.), *Crack in America. Demon Drugs and Social Justice*, Berkeley 1997, s. 148.

<sup>574</sup> Zaliczali się do nich: Bud Osborn, Dean Wilson i Liz Evans.

<sup>575</sup> Ciekawy opis tego miejsca można znaleźć u Douglasa Couplanda: D. Coupland, *City of Glass*, Vancouver 2009, s. 87.

<sup>576</sup> Później zamieniono ten budynek na apartamentowiec.

<sup>577</sup> Co pokazano w filmie dokumentalnym *The Fix*.

<sup>578</sup> Ch. Demers, *Vancouver Special*, Vancouver 2009, s. 85.

<sup>579</sup> G. Maté, *In the Realm of Hungry Ghosts*, dz. cyt., s. 11.

<sup>580</sup> Tamże, s. 9.

<sup>581</sup> Tamże, s. 37.

<sup>582</sup> Tamże, s. 165.

<sup>583</sup> Tamże, s. 141.

<sup>584</sup> Tamże, s. 140.

<sup>585</sup> Tamże, s. 201–202.

<sup>586</sup> [providence.net](http://providence.net), [goo.gl/nn17Up](http://goo.gl/nn17Up), dostęp: 27.02.2013. Jak głosi artykuł: „W niemal siedemdziesięciu procentach przypadków choroby układu krążenia są powiązane z otyłością”.

<sup>587</sup> Najpierw dowiedziałem się o tych wynikach z książki Sulluma (J. Sullum, *Saying Yes. In Defense of Drug Use*, New York 2003, s. 15). Potem zapoznałem się z oryginalnymi badaniami. Patrz: „American Psychologist” 1990, No. 5, s. 612–630.

<sup>588</sup> J. Sullum, *Saying Yes*, dz. cyt., s. 15. Jeśli wydaje wam się to dziwne, sięgnijcie do wymownych wyników badań wskazujących, że traumy z dzieciństwa mogą zahamować fizyczny rozwój

dziecka – a wprowadzenie go do rodziny pełnej miłości może ten rozwój odblokować. Patrz: D. E. Moerman, *Meaning, Medicine and the “Placebo Effect”*, Cambridge 2002, s. 133.

<sup>589</sup> G. Maté, *In the Realm of Hungry Ghosts*, dz. cyt., s. 189.

<sup>590</sup> „Ebony” 1949, no. 7, s. 32.

<sup>591</sup> H. Anslinger, *The Murderers. The Shocking Story of the Narcotics Gang*, New York 1962, s. 174.

<sup>592</sup> JBA, skrzynia 18, notatki Lindy Kuehl, t. VIII, rozmowa z Memry Midgett.

<sup>593</sup> JBA, skrzynia 18, notatki Lindy Kuehl, t. VIII, rozmowa z Peterem O’Brienem i Michelle Wallace.

<sup>594</sup> Mówiła mi o tym Liz Evans.

<sup>595</sup> G. Maté, *In the Realm of Hungry Ghosts*, dz. cyt., s. 75.

<sup>596</sup> Tamże, s. 82–83.

<sup>597</sup> Tamże, s. 84.

<sup>598</sup> Tamże, s. 118.

<sup>599</sup> Tamże, s. 118.

<sup>600</sup> Tamże, s. 21.

<sup>601</sup> Tamże, s. 30.

### 13. Obojętność Batmana

<sup>602</sup> Zdaje się, że po raz pierwszy czytałem o tym w świetnej książce Lauren Slater (L. Slater, *Opening Skinner’s Box. Great Psychological Experiments of the Twentieth Century*, New York 2004).

<sup>603</sup> R. DeGrandpre, *The Cult of Pharmacology. How America Became the World’s Most Troubled Drug Culture*, Durham 2006, s. 124, 203; R. L. Miller, *Drug Warriors and Their Prey. From Police Power to Police State*, Westport 1996, s. 17.

<sup>604</sup> Istnieje podobny i znacznie powszechniejszy przykład tego zjawiska: dziewięćdziesiąt procent narkomanów, którzy poddają się odwykowi w klinikach – innymi słowy, są otoczeni opieką, aż ich organizmy pozbędą się narkotyku i ustaną wszystkie symptomy odstawienia – wraca do nałogu. Patrz: R. L. Miller, *The Case for Legalizing Drugs*, New York 1991, s. 30.

<sup>605</sup> R. L. Miller, *The Case for Legalizing Drugs*, dz. cyt., s. 5–6.

<sup>606</sup> Rozmowa odtworzona na podstawie wspomnień Bruce’a.

<sup>607</sup> Opisywane wcześniej objawy odstawienia u Billie Holiday były groźne dla jej życia nie dlatego, że są niebezpieczne same w sobie, lecz dlatego, że piosenkarka była bardzo osłabiona. Człowiek o osłabionym układzie obronnym może paść ofiarą zwykłej grypy.

<sup>608</sup> J. H. Merryman (ed.), *Stanford Legal Essays*, Stanford 1975, s. 284; [spectator.co.uk](http://spectator.co.uk), [goo.gl/3j5fhq](http://goo.gl/3j5fhq), dostęp: 3.03.2013; [ps.psychiatryonline.org](http://ps.psychiatryonline.org), [goo.gl/iKF5vy](http://goo.gl/iKF5vy), dostęp: 8.01.2014.

<sup>609</sup> R. DeGrandpre, *The Cult of Pharmacology*, dz. cyt., s. 29. Patrz również: *The Effect of Housing and Gender on Morphine Self-Administration in Rats*, „Psychopharmacology”, vol. 58, s. 175–179.

<sup>610</sup> [youtube.com](http://youtube.com), [goo.gl/vkEhDL](http://goo.gl/vkEhDL), dostęp: 1.11.2012.

<sup>611</sup> Ten opis opiera się w dużej mierze na dwóch oryginalnych omówieniach eksperymentu z Parkiem Szczurów, przeprowadzonego przez Alexandra i jego współpracowników: *The Effect of Housing and Gender on Morphine Self-Administration in Rats*, dz. cyt., s. 175–179 oraz *Effect of Early and Later Colony Housing on Oral Ingestion of Morphine by Rats*, „Pharmacology, Biochemistry and Behaviour”, vol. 15, s. 571–576.

<sup>612</sup> L. Slater, *Opening Skinner’s Box*, dz. cyt., s. 165.

- <sup>613</sup> Patrz: B. K. Alexander, *The View from Rat Park*, [brucekalexander.com](http://brucekalexander.com), [goo.gl/QRcg2A](http://goo.gl/QRcg2A), dostęp: 9.04.2018.
- <sup>614</sup> L. Slater, *Opening Skinner's Box*, dz. cyt., s. 168.
- <sup>615</sup> B. K. Alexander, *The Globalization of Addiction. A Study in Poverty of the Spirit*, Oxford 2008, s. 165. Choć w innych wywiadach i w swoich artykułach Bruce mówił o uzależnieniu szczurów, określając w ten skrótowy sposób zażywanie dużych ilości narkotyków przez te zwierzęta, w rozmowie ze mną podkreślał, że być może powinniśmy ostrożniej używać takich terminów: „Jak wyglądałoby to u szczura? Myślę, że to otwarte pytanie. Tak naprawdę nie wiemy, jak wyglądałoby uzależnienie w przypadku szczura. [...] Skąd moglibyśmy wiedzieć, czy szczur jest uzależniony?”. Ponieważ szczury nie mogą nam opowiedzieć o swoim stanie psychologicznym, nie wiemy nic o ich pragnieniach i problemach. Możemy mówić o kompulsywnym zażywaniu dużych ilości, bo to da się zmierzyć, lecz zdaniem Bruce'a pojęcie „uzależnienie” oznacza również stan umysłu, którego w przypadku szczurów nie da się zmierzyć. Ja również używam w tym rozdziale określenia „uzależnienie” w relacji do szczurów jako skrótu myślowego, który oznacza, że zwierzęta te zażywają duże ilości narkotyku, gdy są w trudnej sytuacji.
- <sup>616</sup> D. Baum, *Smoke and Mirrors*, Boston 1996, s. 49.
- <sup>617</sup> C. Reinerman, H. G. Levine (eds.), *Crack in America. Demon Drugs and Social Justice*, Berkeley 1997, s. 10; G. Maté, *In the Realm of Hungry Ghosts. Close Encounters with Addiction*, Berkeley 2010, s. 142.
- <sup>618</sup> O czym mowa w filmie dokumentalnym *The Most Secret Place on Earth. The CIA's Covert War on Laos*.
- <sup>619</sup> D. Baum, *Smoke and Mirrors*, dz. cyt., s. 50.
- <sup>620</sup> Tamże, s. 48. O narkomanii wśród amerykańskich żołnierzy walczących w Wietnamie pisze także Valentine: D. Valentine, *The Strength of the Pack. The Personalities, Politics and Espionage Intrigues That Shaped the DEA*, Walterville 2009, s. 117–132.
- <sup>621</sup> C. Reinerman, H. G. Levine (eds.), *Crack in America*, dz. cyt., s. 10; S. Satel, S. O. Lilienfeld, *Brainwashed. The Seductive Appeal of Mindless Neuroscience*, New York 2013, s. 49–50.
- <sup>622</sup> G. Maté, *In the Realm of Hungry Ghosts*, dz. cyt., s. 142; R. DeGrandpre, *The Cult of Pharmacology*, dz. cyt., s. 117.
- <sup>623</sup> G. Maté, *In the Realm of Hungry Ghosts*, dz. cyt., s. 146.
- <sup>624</sup> D. Baum, *Smoke and Mirrors*, dz. cyt., s. 62; R. L. Miller, *The Case for Legalizing Drugs*, dz. cyt., s. 54–55.
- <sup>625</sup> Patrz: B. K. Alexander, *The Rise and Fall of the Official View of Addiction*, [brucekalexander.com](http://brucekalexander.com), [goo.gl/HHHXKw](http://goo.gl/HHHXKw), dostęp: 12.03.2013.
- <sup>626</sup> Patrz: J. Warner, *Craze. Gin and Debauchery in an Age of Reason*, London 2003.
- <sup>627</sup> Patrz: N. Reding, *Methland. The Death and Life of an American Small Town*, New York 2009.
- <sup>628</sup> B. K. Alexander, *The View from Rat Park*, dz. cyt.
- <sup>629</sup> Patrz: P. Cohen, *Is the Addictio Doctor the Voodoo Priest of Western Man?*, [cedro-uva.org](http://cedro-uva.org), [goo.gl/6sY6rD](http://goo.gl/6sY6rD), dostęp: 5.02.2012; także opublikowane w „Addiction Research”, special issue, vol. 8, no. 6, s. 589–598.
- <sup>630</sup> Późniejsze dowody również to potwierdzają. Kiedy w XXI wieku w Europie brakowało heroiny, jej użytkownicy nie tylko nie zerwali z nałogiem, lecz zwrócili się ku jeszcze groźniejszym substancjom. Patrz: [reportingproject.net](http://reportingproject.net), [goo.gl/RFsmht](http://goo.gl/RFsmht), dostęp: 30.03.2013.
- <sup>631</sup> Sam DuPont nie używał w swoim przemówieniu metafor związanych z porywaniem czy chemicznym niewolnictwem, bo ich nie lubi, ale tego rodzaju argumenty pojawiały się podczas konferencji wielokrotnie.



- <sup>632</sup> [thersa.org](http://thersa.org), [goo.gl/QCG3dk](http://goo.gl/QCG3dk), dostęp: 15.12.2012.
- <sup>633</sup> M. E. Brashears, *Small Networks and High Isolation? A Reexamination of American Discussion Networks*, „Social Networks” 2011, no. 33, s. 331–341.
- <sup>634</sup> A. Benavie, *Drugs. America’s Holy War*, New York 2009, s. 12.
- <sup>635</sup> Tamże, s. 11.
- <sup>636</sup> R. DeGrandpre, *The Cult of Pharmacology*, dz. cyt., s. 85.

## Część V Pokój

### 14. Bunt narkomanów

- <sup>637</sup> Niniejszy opis początków VANDU bazuje na moich rozmowach z Budem i innymi, którzy tam przebywali w tym czasie i później – a więc z osobami takimi jak: Ann Livingstone, Dean Wilson, Donald MacPherson, Liz Evans, Philip Owen, Gabor Maté, Bruce Alexander, Clare Hacksell, Coco Cuthbertson, Laura Shaver – oraz na lekturach i filmach dokumentalnych wymienionych w przypisach.
- <sup>638</sup> <http://www.cosmik.com>, [goo.gl/9JCXNH](http://goo.gl/9JCXNH), dostęp: 1.04.2013.
- <sup>639</sup> J. Armstrong, *Poet Had a Choice of Gutters*, „Vancouver Sun”, 06.04.1996.
- <sup>640</sup> B. Osborn, *Hundred Block Rock*, Vancouver 1999, s. 13.
- <sup>641</sup> Tamże, s. 26.
- <sup>642</sup> Tamże, s. 33.
- <sup>643</sup> Tamże, s. 111.
- <sup>644</sup> A. Benavie, *Drugs. America’s Holy War*, New York 2009, s. 43.
- <sup>645</sup> E. Pisani, *The Wisdom of Whores. Bureaucrats, Brothels, and the Business of AIDS*, London 2009, s. 232.
- <sup>646</sup> G. Maté, *In the Realm of Hungry Ghosts. Close Encounters with Addiction*, Berkeley 2010, s. 101.
- <sup>647</sup> S. Boyd, D. MacPherson, B. Osborn (eds.), *Raise Shit! Social Action Saving Lives*, Halifax 2009, s. 92.
- <sup>648</sup> Tamże, s. 84.
- <sup>649</sup> [scribd.com](http://scribd.com), [goo.gl/iSsSGS](http://goo.gl/iSsSGS), dostęp: 25.10.2012.
- <sup>650</sup> S. Boyd, D. MacPherson, B. Osborn (eds.), *Raise Shit!*, dz. cyt., s. 189.
- <sup>651</sup> Tamże, s. 35.
- <sup>652</sup> Dobrze omówienie tego procesu można znaleźć w *The Establishment of North America’s First State Sanctioned Injection Facility. A Case Study in Cultural Change*, „International Journal of Drug Policy” 2006, vol. 17, s. 73–82, dostępne pod adresem [communityinsite.ca](http://communityinsite.ca), [goo.gl/36JV5n](http://goo.gl/36JV5n), dostęp: 1.04.2013.
- <sup>653</sup> [news.streetroots.org](http://news.streetroots.org), [goo.gl/keKzfJ](http://goo.gl/keKzfJ), dostęp: 1.04.2013.
- <sup>654</sup> Co pokazano w filmie dokumentalnym *The Fix*.
- <sup>655</sup> S. Boyd, D. MacPherson, B. Osborn (eds.), *Raise Shit!*, dz. cyt., s. 19.
- <sup>656</sup> G. Joyce, *Downtrodden March in Vancouver*, „Edmonton Journal”, 12.07.2000 (dostęp przez LexisNexis, 5.11.2012).
- <sup>657</sup> B. Osborn, *Signs of the Times*, London 2005, s. 26–30.
- <sup>658</sup> S. Boyd, D. MacPherson, B. Osborn (eds.), *Raise Shit!*, dz. cyt., s. 50.
- <sup>659</sup> Tamże, s. 59.



- <sup>660</sup> I. Mulgrew, *Health Board's Rabble-rousing Social Conscience*, „Vancouver Sun”, 24.07.1999 (dostęp przez LexisNexis, 5.11.2012).
- <sup>661</sup> B. Osborn, *Hundred Block Rock*, dz. cyt., s. 79.
- <sup>662</sup> S. Boyd, D. MacPherson, B. Osborn (eds.), *Raise Shit!*, dz. cyt., s. 89.
- <sup>663</sup> Dowiedziałem się o tej sytuacji, gdyż przedstawiono ją w świetnym filmie dokumentalnym *The Fix*.
- <sup>664</sup> Niniejszy cytat pochodzi z tego samego filmu dokumentalnego.
- <sup>665</sup> [theprovince.com](http://theprovince.com), [goo.gl/DVGzD4](http://goo.gl/DVGzD4), dostęp: 5.11.2012.
- <sup>666</sup> Tamże.
- <sup>667</sup> R. Matas, *BC Drug Deaths Hit a Low Not Seen in Years*, „The Globe and Mail”, 09.12.2008 (dostęp przez LexisNexis 2.11.2012).
- <sup>668</sup> [vancouver.sun.com](http://vancouver.sun.com), [goo.gl/kahxmo](http://goo.gl/kahxmo), dostęp: 14.05.2014.
- <sup>669</sup> Niestety, nie mogłem dotrzeć na tę uroczystość, lecz opisała mi ją Liz Evans, która w niej uczestniczyła.

## 15. Podcięte skrzydła i nowa nadzieja

- <sup>670</sup> Zbierając materiał do tej książki, wiele razy bywałem na krótko w Wielkiej Brytanii, lecz w tym momencie postanowiłem wrócić na dobre i skupić się na badaniu skutków wojny narkotykowej poza Ameryką Północną.
- <sup>671</sup> Rozmawiałem z Johnem Marksem, Rusellem Newcombe'em, Patem O'Harem, Cindy Fazey, Allanem Parrym i Andrew Bennettem.
- <sup>672</sup> [bbc.co.uk](http://bbc.co.uk), [goo.gl/Luqfg2](http://goo.gl/Luqfg2), dostęp: 24.04.2013.
- <sup>673</sup> Najlepszy opis brytyjskiej polityki wobec narkotyków można znaleźć w doskonałej książce Alexa Stevensa (A. Stevens, *Drugs, Crime and Public Health. The Political Economy of Drug Policy*, London 2011).
- <sup>674</sup> [guardian.co.uk](http://guardian.co.uk), [goo.gl/vS8edS](http://goo.gl/vS8edS), dostęp: 24.04.2013.
- <sup>675</sup> M. Kohn, *Dope Girls. The Birth of the British Drug Underground*, London 2003, s. 84–85.
- <sup>676</sup> Tamże, s. 129.
- <sup>677</sup> Tamże, s. 120.
- <sup>678</sup> Tamże, s. 158.
- <sup>679</sup> A. S. Trebach, *The Heroin Solution*, New Haven 1982, s. 90.
- <sup>680</sup> Tamże, s. 93.
- <sup>681</sup> R. King, *The Drug Hang-Up. America's Fifty-Year Folly*, New York 1972, s. 190–207; G. Bammer, *Drug Abuse. The Heroin Prescribing Debate; Integrating Science and Politics*, „Science” 1999, issue 5418, s. 1277–1278.
- <sup>682</sup> M. Gray, *Drug Crazy. How We Got into This Mess and How We Can Get Out*, New York 1998, s. 155.
- <sup>683</sup> B. Holiday, W. Dufty, *Lady Day śpiewa bluesa*, przeł. M. Wróbel, Wołowiec 2017, s. 189.
- <sup>684</sup> HAA, skrzynia 1, teczka 10, New York Forum: Saturday April 28th 1962, Program Transcript.
- <sup>685</sup> R. King, *The Drug Hang-Up*, dz. cyt., s. 212–214; A. Uchtenhagen, *Heroin Maintenance Treatment. From Idea to Research to Practice*, „Drug and Alcohol Review” 2013, no. 30 (March), s. 130–137.
- <sup>686</sup> E. Young, *The Needle and the Damage Done*, „Guardian”, 20.08.1994.
- <sup>687</sup> L. Myers, *Europe Finds U.S. Drug War Lacking in Results*, „Chicago Tribune”, 2.11.1995.

- <sup>688</sup> M. Gray, *Drug Crazy*, dz. cyt., s. 158; J. Marks, *To Prescribe or Not to Prescribe*, „Mersey Drugs Journal”, September/October 1987, s. 5.
- <sup>689</sup> Dowiedziałem się o tym z serii świetnych artykułów oraz filmu dokumentalnego *The Truth About Heroin* brytyjskiego dziennikarza Nicka Daviesa z roku 2001.
- <sup>690</sup> E. Bradley, *Success of Britain's Addict Treatment Program*, odcinek programu CBS News *60 Minutes*, 27.12.1992.
- <sup>691</sup> HAA, skrzynia 1, teczka 8.
- <sup>692</sup> W. Self, *Junk Mail*, London 1995, s. 92.
- <sup>693</sup> S. C. Woods, *Heroin and Methadone Substitution Treatments*, niepublikowana praca doktorska, Liverpool John Moores University, 2005.
- <sup>694</sup> E. Young, *The Needle and the Damage Done*, dz. cyt.
- <sup>695</sup> L. Myers, *Europe Finds U.S. Drug War Lacking in Results*, dz. cyt.
- <sup>696</sup> E. Pilkington, *The Smack Doctor*, „Guardian”, 26.10.1995.
- <sup>697</sup> Tamże.
- <sup>698</sup> W. Self, *Junk Mail*, dz. cyt., s. 91.
- <sup>699</sup> E. Bradley, *Success of Britain's Addict Treatment Program*, odcinek programu CBS News *60 Minutes*, 27.12.1992.
- <sup>700</sup> Tamże.
- <sup>701</sup> Patrz: W. Self, *Junk Mail*, dz. cyt., s. 94.
- <sup>702</sup> G. Bammer, G. Gerrard (eds.), *Heroin Treatment. New Alternatives*, Ian Wark Theatre, National Center for Epidemiology and Population Health, Canberra 1992.
- <sup>703</sup> R. Davenport-Hines, *Odurzeni. Historia narkotyków 1500–2000*, przeł. A. Cioch, Warszawa 2006, s. 275, 282.
- <sup>704</sup> Patrz: N. Heather (ed.), *The Essential Handbook of Treatment and Prevention of Alcohol Problems*, rozdział X: *Natural Recovery from Alcohol Problems*, Hoboken 2004. Patrz również: S. Satel, S. O. Lilienfeld, *Brainwashed. The Seductive Appeal of Mindless Neuroscience*, New York 2013, s. 54–56.
- <sup>705</sup> W. Self, *Junk Mail*, dz. cyt., s. 93.
- <sup>706</sup> R. L. Miller, *The Case for Legalizing Drugs*, New York 1991, s. 53.
- <sup>707</sup> E. Bradley, *Success of Britain's Addict Treatment Program*, odcinek programu CBS News *60 Minutes*, 27.12.1992.
- <sup>708</sup> „Bulletin on Narcotics”, January–April 1954, s. 6.
- <sup>709</sup> J. Marks, *Paradox of Prohibition*, „Lancet Editorial: Management of Drug Addicts”, 1987.
- <sup>710</sup> Tenże, *The North Wind and the Sun*, „Proceedings of the Royal College of Physicians of Edinburgh”, vol. 21, no. 3 (July 1991). Przepisywanie heroiny przynosi znacznie lepsze skutki niż przepisywanie metadonu. W jedynym losowym badaniu porównawczym dotyczącym tej kwestii 71 procent pacjentów otrzymujących metadon zrezygnowało z leczenia, podczas gdy w przypadku pacjentów otrzymujących heroinę ten odsetek wynosił tylko 26 procent. Poza tym pacjenci leczeni metadonem znacznie częściej dopuszczali się przestępstw i zażywali duże ilości narkotyku. Patrz: S. C. Woods, *Heroin and Methadone Substitution Treatments*, dz. cyt. oraz A. Uchtenhagen, *Heroin Maintenance Treatment*, dz. cyt.
- <sup>711</sup> Objasnia to zarówno w rozmowie ze mną (patrz: nagranie Russella Newcombe'a), jak i w świetnym filmie dokumentalnym Nicka Daviesa *The Truth About Heroin*.
- <sup>712</sup> J. Marks, *Paradox of Prohibition*, dz. cyt.

- <sup>713</sup> Tamże, s. 7. Zjawisko to zauważył już wcześniej inny lekarz. Pod koniec lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku w Stanach Zjednoczonych doktor Walter Treadway pisał: „Wiadomo, że uzależnione osoby, nabywszy zapas narkotyku, skłonne są pozbyć się jego części za odpowiednią cenę, zapewniając sobie w ten sposób środki na kolejny zakup. Wiadomo też, że ci uzależnieni handlarze, lub uzależnieni dealerzy, jak często się ich nazywa, mogą wytrwale dążyć do werbowania nowych nałogowców, często z tego samego powodu”. Patrz: R. King, *Drug Hang-Up*, dz. cyt., s. 178.
- <sup>714</sup> J. Marks, *The North Wind and the Sun*, dz. cyt.
- <sup>715</sup> P. O’Hare, *Merseyside, the First Harm Reduction Conferences and the Early History of Harm Reduction*, „International Journal of Drug Policy” 2007, vol. 18, s. 141–144.
- <sup>716</sup> [fair.org](http://fair.org), [goo.gl/yXzo4Q](http://goo.gl/yXzo4Q), dostęp: 26.04.2013.
- <sup>717</sup> Marks omawia to także na stronie [runcornandwidnesweeklynews.co.uk](http://runcornandwidnesweeklynews.co.uk), [goo.gl/th1f9](http://goo.gl/th1f9), dostęp: 28.11.2012.
- <sup>718</sup> S. C. Woods, *Heroin and Methadone Substitution Treatments*, dz. cyt., s. 45–46.
- <sup>719</sup> J. Marks, *Paradox of Prohibition*, dz. cyt.
- <sup>720</sup> P. Carty, *Drug Abuse. The End of the Line*, „Guardian”, 10.12.1997.
- <sup>721</sup> J. Marks, *Preventing Drug Misuse*, „Psychiatry Online”, vol. 1, issue 7, paper 2.
- <sup>722</sup> Skrócone opisy tych ulicznych scen można znaleźć w: A. Uchtenhagen, *Heroin-Assisted Treatment in Switzerland. A Case Study in Policy Change*, „Addiction”, doi: 10.1111/j.1360-0443.2009.02741.x.
- <sup>723</sup> J. Kuntz, *Switzerland. How an Alpine Pass Became a Country*, Carouge 2008, s. 7.
- <sup>724</sup> [guardian.co.uk](http://guardian.co.uk), [goo.gl/rfTU9m](http://goo.gl/rfTU9m), dostęp: 22.01.2012.
- <sup>725</sup> Patrz: B. Holiday, W. Dufty, *Lady Day śpiewa bluesa*, dz. cyt., s. 144–145.
- <sup>726</sup> J. Csete, *From the Mountaintops*, London 2010, s. 17; A. Uchtenhagen, *Heroin-Assisted Treatment in Switzerland*, dz. cyt.
- <sup>727</sup> Rozmowa z doktorem Ambrosem Uchtenhagenem. Opisuje swoją misję również w: A. Uchtenhagen, *Heroin-Assisted Treatment in Switzerland*, dz. cyt. Patrz również: P. O’Hare, *Merseyside*, dz. cyt., s. 141–144.
- <sup>728</sup> J. Csete, *From the Mountaintops*, dz. cyt., s. 18; A. Uchtenhagen, *Heroin-Assisted Treatment in Switzerland*, dz. cyt.; Tenże, *The Medical Prescription of Heroin to Heroin Addicts*, „Drug and Alcohol Review” 1997, vol. 16, s. 297–298.
- <sup>729</sup> Kiedy Rita Manghi i jej współpracownicy z kliniki w Genewie przedstawili mnie Jeanowi, ten zgodził się ze mną rozmawiać, pod warunkiem że nie ujawnię jego prawdziwego imienia i nazwiska ani nie umieszczę nagrania rozmowy w sieci. Zależało mu na tym, ponieważ, jak sam tłumaczył, nim zmieniło się prawo, popełnił kilka przestępstw – na przykład przemycał narkotyki – za które wciąż mógł być sądzony. Dlatego też w tym jedynym przypadku nie umieszczam w sieci nagrania naszej rozmowy, choć przekazałem to nagranie wydawnictwu Bloomsbury. Doktor Manghi potwierdziła na piśmie, że przedstawiła mnie kilkorgu pacjentom ze swojej kliniki, między innymi „Jeanowi”.
- <sup>730</sup> H. Anslinger, L. Kolb, *Narcotic Addiction*, „Spectrum”, 1.03.1957, s. 139.
- <sup>731</sup> *The Narcotics Officer’s Handbook*, s. 79–80. Patrz również: H. Anslinger, *The Murderers. The Shocking Story of the Narcotics Gang*, New York 1962, s. 219.
- <sup>732</sup> J. Csete, *From the Mountaintops*, dz. cyt., s. 19.
- <sup>733</sup> W ciągu trzech lat spośród 353 pacjentów odchodzących z programu podawania heroiny, analizowanego w *Prescription of Narcotics for Heroin Addicts: Main Results of the Swiss National Cohort Study*, 83 zdecydowało się na terapię opartą na abstynencji. Patrz: A.

Uchtenhagen i in., *Prescription of Narcotics for Heroin Addicts. Main Results of the Swiss National Cohort Study*, Basel 2000, s. 7.

<sup>734</sup> Dzielila nas niewielka bariera językowa, ale starałem się jak najlepiej zrozumieć tę metaforę.

<sup>735</sup> [time.com](http://time.com), [goo.gl/P6bDKM](http://goo.gl/P6bDKM), dostęp: 22.01.2013.

<sup>736</sup> D. Ribeaud, *Long-term Impacts of the Swiss Heroin Prescription Trials on Crime of Treated Heroin Users*, „Journal of Drug Issues” 2004, vol. 34, s. 163, 173, doi: 10.1177/002204260403400108, [jod.sagepub.com](http://jod.sagepub.com), [goo.gl/eXc5Zu](http://goo.gl/eXc5Zu), dostęp: 28.03.2018.

<sup>737</sup> Tamże, s. 188.

<sup>738</sup> [hivlawandpolicy.org](http://hivlawandpolicy.org), [goo.gl/U2UJxN](http://goo.gl/U2UJxN), dostęp: 22.01.2013.

<sup>739</sup> J. Rhem i in., *Mortality in Heroin-assisted Treatment in Switzerland 1994–2000*, „Drug and Alcohol Dependence” 2005, vol. 79, s. 137–143.

<sup>740</sup> A. Uchtenhagen i in., *Prescription of Narcotics...*, dz. cyt., s. 6.

<sup>741</sup> Tamże.

<sup>742</sup> D. Ribeaud, *Long-term Impacts...*, dz. cyt., s. 173.

<sup>743</sup> A. Uchtenhagen i in., *Prescription of Narcotics...*, dz. cyt., s. 89.

<sup>744</sup> Tamże, s. 94; S. C. Woods, *Heroin and Methadone Substitution Treatments*, dz. cyt., s. 33.

<sup>745</sup> J. Csete, *From the Mountaintops*, dz. cyt., s. 16.

<sup>746</sup> Tamże, s. 27–28; A. Uchtenhagen i in., *Prescription of Narcotics...*, dz. cyt., s. 96.

<sup>747</sup> Jednocześnie próbowała doprowadzić do legalizacji marihuany, lecz Szwajcarzy odrzucili ten projekt.

<sup>748</sup> Uświadomiłem to sobie dzięki błyskotliwemu tekstowi Joanne Csete.

<sup>749</sup> Tekst na podstawie wspomnień Ruth.

<sup>750</sup> P. Reuter, R. MacCoun, *Heroin Maintenance: Is a US Experiment Needed?* [w:] D. F. Musto (ed.), *One Hundred Years of Heroin*, Westport 2002.

<sup>751</sup> Prywatnie wyjawia, że generał był „naprawdę bardzo” zainteresowany programem podawania metadonu.

<sup>752</sup> [mapinc.org](http://mapinc.org), [goo.gl/SdQqmQ](http://goo.gl/SdQqmQ), dostęp: 20.02.2014.

<sup>753</sup> [nytimes.com](http://nytimes.com), [goo.gl/2UEpAg](http://goo.gl/2UEpAg), dostęp: 20.02.2014.

<sup>754</sup> Siłę działania opioidów porównuje się w standardowych podręcznikach medycznych przy pomocy tabeli „równoważnych dawek analgetycznych”. Patrz: [globalrph.com](http://globalrph.com), [goo.gl/j49azM](http://goo.gl/j49azM) lub <http://clinicalcalc.com/Opioids/>, [http://www.medscape.com/viewarticle/542574\\_3](http://www.medscape.com/viewarticle/542574_3), dostęp: 14.05.2014. Istnieje kilka źródeł, które pozwalają porównać różne opioidy i dowiedzieć się dzięki temu, w jakim stopniu są sobie równoważne. Wszystkie są zgodne co do tego, że diamorfina (heroina w postaci podawanej pacjentom w szpitalach) jest znacznie silniejsza od OxyContinu. Patrz również: raport szkockiej służby zdrowia – *The Management of Pain in Patients with Cancer*, 21.11.2009, opublikowany na stronie NHS: [http://www.palliativecareguidelines.scot.nhs.uk/documents/PAINCANCERREV\\_BPS\\_NOV09.pdf](http://www.palliativecareguidelines.scot.nhs.uk/documents/PAINCANCERREV_BPS_NOV09.pdf), dostęp: 20.06.2014.

<sup>755</sup> G. Maté, *In the Realm of Hungry Ghosts. Close Encounters with Addiction*, Berkeley 2010, s. 141.

<sup>756</sup> Najlepiej dokumentuje ten trend praca dwóch ekonomistów, laureatów Nagrody Nobla, Josepha Stiglitz i Paula Krugmana.

<sup>757</sup> Opis tego zjawiska bazuje zarówno na książce Graya (M. Gray, *Drug Crazy*, dz. cyt.), jak i na mojej rozmowie z autorem. Patrz również: [cato.org](http://cato.org), [goo.gl/5pGtjr](http://goo.gl/5pGtjr), dostęp: 20.11.2012.

<sup>758</sup> Tamże.

<sup>759</sup> M. Gray, *Drug Crazy*, dz. cyt., s. 68; [cato.org](http://cato.org), [goo.gl/5pGtjr](http://goo.gl/5pGtjr), dostęp: 20.11.2012.

- <sup>760</sup> M. Gray, *Drug Crazy*, dz. cyt., s. 68.
- <sup>761</sup> D. Musto, *The American Disease. Origins of Narcotic Control*, Oxford 1987, s. 94.
- <sup>762</sup> T. K. McKenna, *Food of the Gods. A Radical History of Plants, Drugs and Human Evolution*, New York 1992, s. 212.
- <sup>763</sup> S. Rolles, *After the War on Drugs. Blueprint for Regulation*, Bristol 2009, s. 125.

## 16. Duch 1974 roku

- <sup>764</sup> Dobry opis portugalskiej rewolucji można znaleźć w rozdziale 7 książki Malcolma Jacka (M. Jack, *Lisbon. City of the Sea. A History*, London 2007), z której korzystałem, pisząc ten rozdział.
- <sup>765</sup> P. Mailer, *Portugal. The Impossible Revolution?*, London 1977, s. 38–39.
- <sup>766</sup> H. G. Ferreira, M. W. Marshall, *Portugal's Revolution. Ten Years On*, Cambridge 1986, s. 5.
- <sup>767</sup> M. Kayman, *Revolution and Counter-Revolution in Portugal*, Wolfeboro 1987, s. 74.
- <sup>768</sup> A. Domosławski, *Polityka narkotykowa w Portugalii. Korzyści wynikające z dekryminalizacji używania narkotyków*, New York 2011, s. 13.
- <sup>769</sup> Tamże, s. 15; K. Russoniello, *The Devil (and Drugs) in the Details. Portugal's Focus on Public Health as a Model for Decriminalization of Drugs in Mexico*, „Yale Journal of Health Policy, Law and Ethics” 2012, vol. 12, s. 382.
- <sup>770</sup> M. Specter, *Getting a Fix*, „New Yorker”, 17.10.2011.
- <sup>771</sup> Tamże.
- <sup>772</sup> K. Russoniello, *The Devil (and Drugs) in the Details*, dz. cyt., s. 385.
- <sup>773</sup> João zdradził mi nazwisko tego polityka oraz jego brata, który później umarł z innych przyczyn, poprosił jednak, bym ich nie upubliczniał, szanując prywatność rodziny. Kilka innych osób również mówiło mi o tej historii: wygląda na to, że jest dobrze znana wśród Portugalczyków.
- <sup>774</sup> European Monitoring Center for Drugs and Drug Addiction report „Drug Policy profiles: Portugal”, 2012, s. 12.
- <sup>775</sup> O. Pohl, *Portugal Shifts Aim in Drug War*, „Christian Science Monitor”, 11.10.2001.
- <sup>776</sup> M. Specter, *Getting a Fix*, dz. cyt.
- <sup>777</sup> T. Herivel, P. Wright (eds.), *Prison Profiteers. Who Makes Money from Mass Incarceration*, New York 2007, s. 27–35.
- <sup>778</sup> Ten opis motywacji stojących za zmianami w portugalskim prawie czerpię również z: M. Van Het Loo i in., *Decriminalization of Drug Use in Portugal. The Development of a Policy*, „Annals of the American Academy of Political and Social Science” 2002, vol. 582, s. 49–63.
- <sup>779</sup> K. Russoniello, *The Devil (and Drugs) in the Details*, dz. cyt., s. 386–388.
- <sup>780</sup> Jeśli taka osoba zostanie uznana za wystarczająco zamożną, państwo zwróci się do niej z prośbą o zwrot dwudziestu procent kosztów.
- <sup>781</sup> João zgadza się z Bruce'em Alexandrem i Gaborem Maté, że nawet gdyby udało się jakoś zlikwidować istniejące obecnie narkotyki, uzależnieni zwróciliby się po prostu ku innym nalogom. „Jestem przekonany, że uzależniliby się od jakichś innych substancji, legalnych bądź nie” – mówi. „Tak naprawdę liczy się stosunek danego człowieka do substancji, a nie sama substancja”.
- <sup>782</sup> A. Domosławski, *Polityka narkotykowa w Portugalii*, dz. cyt., s. 18.
- <sup>783</sup> Ten opis pracy zespołów pracowników ulicznych opiera się również na informacjach członków zespołu, z którym spędziłem popołudnie w Lizbonie.
- <sup>784</sup> Sergio przypisuje to, że policja nie bije już narkomanów jak kiedyś, nie tyle dekryminalizacji, co faktowi, że kiedyś jeden z narkomanów zmarł w wyniku pobicia.



- <sup>785</sup> [pnas.org](http://pnas.org), [goo.gl/uz6Muv](http://goo.gl/uz6Muv) via [bbc.co.uk](http://bbc.co.uk), [goo.gl/Pn8GJ6](http://goo.gl/Pn8GJ6), dostęp: 21.11.2012.
- <sup>786</sup> Dzieci mówiły po angielsku – lekcję połączono z zajęciami angielskiego – choć niektóre z pewnymi problemami (a mimo to znacznie lepiej niż brytyjskie dzieci mówiące w językach obcych podczas wszystkich zajęć, które miałem okazję widzieć). Opisuję wszystko tak, jak to rozumiałem. Całość została nagrana.
- <sup>787</sup> [boston.com](http://boston.com), [goo.gl/9KyAhx](http://goo.gl/9KyAhx), dostęp: 9.01.2014. Patrz również: [npr.org](http://npr.org), [goo.gl/wJpob](http://goo.gl/wJpob), dostęp: 9.01.2014.
- <sup>788</sup> „European Monitoring Centre for Drugs and Drug Addiction (EMCDDA) Statistical Bulletin” 2010.
- <sup>789</sup> „British Journal of Criminology”, [scribd.com](http://scribd.com), [goo.gl/vi5aQN](http://goo.gl/vi5aQN), s. 1006.
- <sup>790</sup> Tamże, s. 1015; A. Domosławski, *Polityka narkotykowa w Portugalii*, dz. cyt., s. 36.
- <sup>791</sup> [latimes.com](http://latimes.com), [goo.gl/9ey3xx](http://goo.gl/9ey3xx), dostęp: 20.02.2014; [bostonglobe.com](http://bostonglobe.com), [goo.gl/UdH8vL](http://goo.gl/UdH8vL), dostęp: 23.02.2014.
- <sup>792</sup> European Monitoring Center for Drugs and Drug Addiction report „Drug Policy Profiles: Portugal”, 2012, s. 20.
- <sup>793</sup> A. Domosławski, *Polityka narkotykowa w Portugalii*, dz. cyt., s. 19.
- <sup>794</sup> [cato.org](http://cato.org), [goo.gl/4BZPsL](http://goo.gl/4BZPsL), dostęp: 4.05.2013.
- <sup>795</sup> [ibtimes.com](http://ibtimes.com), [goo.gl/eRtb2t](http://goo.gl/eRtb2t), dostęp: 7.12.2012.

## 17. Człowiek w studni

- <sup>796</sup> Rozmawiałem z następującymi osobami: prezydent Mujica, Lucía Topolansky (jego żona), Mauricio Rosencoff (również dysydent więziony w studni i jeden z najstarszych przyjaciół Mujicy), Miguel Angel Campodonico (biograf Mujicy), Rolando Sasso (redaktor przemówień Mujicy, również więzień polityczny w czasach dyktatury), poseł Julio Bango, poseł Sebastian Sabini, Julio Calzada (odpowiedzialny za politykę narkotykową), pisarz Eduardo Galeano (jego stary przyjaciel), szef jego sztabu Diego Carnepa, dr Raquel Parquet (ekspert w dziedzinie terapii narkotykowej, który doradza rządowi), Federico Grana, Geoffrey Ramsay, Guillermo Garat, Juan Tubino, Juan Vaz oraz jego przeciwnicy, posłowie Geraldo Amarilla i Veronica Alonzo.
- <sup>797</sup> C. di Candia i in., *Mujica en Busqueda. Trece años en 21 reportajes*, Montevideo 2009, s. 21.
- <sup>798</sup> Tamże. Ten opis dzieciństwa prezydenta bazuje również na rozmowach z Topolansky, Campodonico i Sasso.
- <sup>799</sup> [nationalinterest.org](http://nationalinterest.org), [goo.gl/QqfWfn](http://goo.gl/QqfWfn), dostęp: 8.10.2013.
- <sup>800</sup> Tamże.
- <sup>801</sup> [dailytimes.com](http://dailytimes.com), [goo.gl/i8Z6RT](http://goo.gl/i8Z6RT), dostęp: 23.12.2012; [inside.org](http://inside.org), [goo.gl/XcXZ5P](http://goo.gl/XcXZ5P), dostęp: 23.12.2012. Patrz również: M. E. L. Mallowan, *Mallowan's Memoirs. Agatha and the Archaeologist*, [thetimes.co.uk](http://thetimes.co.uk), [goo.gl/diAT3b](http://goo.gl/diAT3b), 223–24, dostęp: 23.12.2012.
- <sup>802</sup> Rozmowa z Sasso.
- <sup>803</sup> E. F. Huidobro, M. Rosencoff, *Memories del Calabozo*, Montevideo 1988, s. 371.
- <sup>804</sup> [upsidedownworld.org](http://upsidedownworld.org), [goo.gl/sxr6nt](http://goo.gl/sxr6nt), dostęp: 8.10.2013.
- <sup>805</sup> Rozmowa z Topolansky.
- <sup>806</sup> [bbc.co.uk](http://bbc.co.uk), [goo.gl/dcCcQE](http://goo.gl/dcCcQE), dostęp: 15.10.2012.
- <sup>807</sup> R. Greenfield, *Timothy Leary. A Biography*, Orlando 2006, s. 333.
- <sup>808</sup> Tamże, s. 273.
- <sup>809</sup> Tamże, s. 355.
- <sup>810</sup> Tamże, s. 168.

- <sup>811</sup> Tamże, s. 427. Wielu innych zagorzałych zwolenników LSD było przerażonych twierdzeniami Leary'ego, że należy podawać ten narkotyk młodocianym.
- <sup>812</sup> Tamże, s. 308.
- <sup>813</sup> Tamże, s. 380, 557.
- <sup>814</sup> Tamże, s. 108.
- <sup>815</sup> Tamże, s. 392.
- <sup>816</sup> Tamże, s. 397.
- <sup>817</sup> Tamże, s. 532.
- <sup>818</sup> T. Szasz, *Ceremonial Chemistry. The Ritual Persecution of Drugs, Addicts, and Pushers*, London 1975, s. 198.
- <sup>819</sup> Medical Research Council: [mrc.ac.uk](http://mrc.ac.uk), [goo.gl/UxXFqY](http://goo.gl/UxXFqY), dostęp: 10.02.2013.
- <sup>820</sup> J. A. Miron, *Drug War Crimes. The Consequences of Prohibition*, Chicago 2004, s. 47.
- <sup>821</sup> R. J. MacCoun, P. Reuter (eds.), *Drug War Heresies. Learning from Other Vices, Times, and Places*, Cambridge 2006, s. 240.
- <sup>822</sup> Tamże, s. 256. Podobne obserwacje odnoszą się do tych stanów USA, które w latach siedemdziesiątych zdekryminalizowały posiadanie marihuany. Patrz: M. O'Leary, *Data Shows Pot Use Probably Won't Grow*, „New Haven Register”, 12.06.2011.
- <sup>823</sup> R. J. MacCoun, P. Reuter (eds.), *Drug War Heresies*, dz. cyt., s. 257.
- <sup>824</sup> Tamże, s. 258.
- <sup>825</sup> [ca.reuters.com](http://ca.reuters.com), [goo.gl/i71vMg](http://goo.gl/i71vMg), dostęp: 1.12.2012.
- <sup>826</sup> [stash.norml.org](http://stash.norml.org), [goo.gl/SDjehL](http://goo.gl/SDjehL), dostęp: 3.03.2013.
- <sup>827</sup> [dmarkanderson.com](http://dmarkanderson.com), [goo.gl/pfmxHA](http://goo.gl/pfmxHA), dostęp: 27.11.2013. [guardian.co.uk](http://guardian.co.uk), [goo.gl/yvAi1Q](http://goo.gl/yvAi1Q), dostęp: 20.11.2012.
- <sup>828</sup> [articles.chicagotribune.com](http://articles.chicagotribune.com), [goo.gl/Tdypfr](http://goo.gl/Tdypfr), dostęp: 2.12.2013.
- <sup>829</sup> J. A. Miron, *Drug War Crimes*, dz. cyt., s. 26. Miron zauważa, że spożycie spadało, nim jeszcze wprowadzono ogólnokrajową prohibicję; być może jednak wynikało to z faktu, że większość stanów wcześniej wprowadzała prohibicję na swoim terenie.
- <sup>830</sup> R. J. MacCoun, P. Reuter (eds.), *Drug War Heresies*, dz. cyt., s. 28.
- <sup>831</sup> T. Feiling, *The Candy Machine. How Cocaine Took Over the World*, New York 2009, s. 270.
- <sup>832</sup> Poparcie Freda dla legalizacji nie było jednak pełne – podczas naszej rozmowy okazało się, że ma kilka zastrzeżeń.
- <sup>833</sup> [norml.org](http://norml.org), [goo.gl/YnBUa9](http://goo.gl/YnBUa9), dostęp: 2.12.2013. Patrz również: Addiction, doi:10.1111/j.1360-0443.2011.03572.x; R. J. MacCoun, *What Can We Learn from the Dutch Coffee Shop System?*, „Working Paper for Rand Corporation”, [rand.org](http://rand.org), [goo.gl/mznxaJ](http://goo.gl/mznxaJ), dostęp: 24.06.2017.
- <sup>834</sup> Patrz: [msnbc.msn.com](http://msnbc.msn.com), [goo.gl/VMk8eb](http://goo.gl/VMk8eb), dostęp: 1.05.2012.
- <sup>835</sup> Dobre odniesienia można znaleźć w opisie teorii Harta autorstwa Jacoba Sulluma: [forbes.com](http://forbes.com), [goo.gl/uzZujG](http://goo.gl/uzZujG), dostęp: 10.11.2013; J. Miron, *Drug War Crimes*, dz. cyt., s. 48. Patrz również: raport RAND (s. 40): [rand.org](http://rand.org), [goo.gl/hZrJPZ](http://goo.gl/hZrJPZ), dostęp: 14.01.2014.

## 18. W samo południe

- <sup>836</sup> O kampanii w Kolorado rozmawiałem z następującymi osobami: Mason Tvert, Steve Fox, Art Way, Joe Megyesy, Brian Vicente, Christian Sederberg, Tom Tancredo, Barbara Brohl i Betty Aldworth. O kampanii waszyngtońskiej rozmawiałem z Alison Holcomb, Tonią Winchester, Petem Holmesem, Rogerem Hofmannem, Maru Mora Villapando oraz Charliem Mandigo.



- <sup>837</sup> W zespole prowadzącym kampanię w Kolorado znajdowała się również kobieta – Betty Aldworth. Jej analiza przypominała jednak bardziej argumenty zespołu z Waszyngtonu. Z kolei w zespole waszyngtońskim pracowali mężczyźni, nie byli jednak najważniejszymi postaciami kampanii.
- <sup>838</sup> [archive.saferchoice.org](http://archive.saferchoice.org), [goo.gl/SFYpwj](http://goo.gl/SFYpwj), dostęp: 2.01.2014.
- <sup>839</sup> [cdnc.ucr.edu](http://cdnc.ucr.edu), [goo.gl/MPMYfc](http://goo.gl/MPMYfc), dostęp: 2.01.2014.
- <sup>840</sup> O ile ten pierwszy pojedynek nie wzbudził większego zainteresowania, o tyle poważniejszy spór między Masonem Tvertem i Johnem Hickenlooperem – który zaczął się właśnie tu – odegrał ogromną rolę w wojnie narkotykowej.
- <sup>841</sup> [theatlantic.com](http://theatlantic.com), [goo.gl/lc7nc](http://goo.gl/lc7nc), dostęp: 2.01.2014.
- <sup>842</sup> Jednocześnie rzucił takie samo wyzwanie Pete’owi Coorsowi – właścicielowi piwnego imperium Coors – który był prominentnym republikańskim politykiem w tym stanie.
- <sup>843</sup> [youtube.com](http://youtube.com), [goo.gl/MoJSy1](http://goo.gl/MoJSy1), dostęp: 2.01.2014.
- <sup>844</sup> Później Mason powiedział mi, że nie musiał zeznawać.
- <sup>845</sup> [thecollegianur.com](http://thecollegianur.com), [goo.gl/Dftaca](http://goo.gl/Dftaca), dostęp: 2.01.2014.
- <sup>846</sup> S. Fox, P. Armentano, M. Tvert, *Marijuana Is Safer. So Why Are We Driving People to Drink?*, White River Junction 2009, s. 139.
- <sup>847</sup> Na stronie internetowej „Safer Colorado” można znaleźć dane dotyczące tych twierdzeń. Patrz: [archive.saferchoice.org](http://archive.saferchoice.org), [goo.gl/ymLxBx](http://goo.gl/ymLxBx), dostęp: 6.01.2014. Patrz również: [jop.sagepub.com](http://jop.sagepub.com), [goo.gl/jLzqn6](http://goo.gl/jLzqn6), dostęp: 6.01.2014.
- <sup>848</sup> Rozmowa z Masonem Tvertem. Patrz również: S. Fox, P. Armentano, M. Tvert, *Marijuana is Safer*, dz. cyt., s. 18–19 i rozdział 3 tej książki, w którym Tvert przedstawia swoje argumenty na poparcie powyższych tez.
- <sup>849</sup> S. Fox, P. Armentano, M. Tvert, *Marijuana is Safer*, dz. cyt., s. 20.
- <sup>850</sup> [archive.saferchoice.org](http://archive.saferchoice.org), [goo.gl/Bcxnad](http://goo.gl/Bcxnad), dostęp: 2.01.2014.
- <sup>851</sup> [cannabisculture.com](http://cannabisculture.com), [goo.gl/kg9xde](http://goo.gl/kg9xde), dostęp: 2.01.2014.
- <sup>852</sup> [archive.saferchoice.org](http://archive.saferchoice.org), [goo.gl/DHXT68](http://goo.gl/DHXT68), dostęp: 2.01.2014. Patrz również: [ncbi.nlm.nih.gov](http://ncbi.nlm.nih.gov), [goo.gl/SFmmGA](http://goo.gl/SFmmGA), dostęp: 6.01.2014.
- <sup>853</sup> [archive.saferchoice.org](http://archive.saferchoice.org), [goo.gl/HuX78Q](http://goo.gl/HuX78Q), dostęp: 2.01.2014.
- <sup>854</sup> Rozmowa ze Stevem Foxem. Patrz również: S. Fox, P. Armentano, M. Tvert, *Marijuana Is Safer*, dz. cyt., s. 125.
- <sup>855</sup> Później Mason wyjaśnił mi drogą mailową, że był to tylko jeden etap ich działań. Przeczytawszy wcześniejszą wersję tego rozdziału, napisał do mnie: „Skupialiśmy się na przekazie »marihuana jest bezpieczniejsza niż alkohol« aż do kampanii 2012 roku, kiedy zaczęliśmy również stosować typowe argumenty antyprohibycyjne, nie porzucając jednak tez o bezpieczeństwie. Później, przez kilka ostatnich miesięcy, używaliśmy tylko tradycyjnych argumentów antyprohibycyjnych. To kluczowa część całej batalii. Chodziło o to, by ludzie zrozumieli, że marihuana jest bezpieczniejsza niż alkohol, a kiedy już się do tego przekonają i staną się bardziej otwarci, podać im tradycyjne argumenty. Tymczasem z pańskiego tekstu wynika, że całkowicie odrzucamy tradycyjną strategię”.
- <sup>856</sup> [youtube.com](http://youtube.com), [goo.gl/BcL7st](http://goo.gl/BcL7st), dostęp: 6.02.2014.
- <sup>857</sup> Mason poinformował mnie o tym mailowo 14 lutego 2014 roku, gdy sprawdzał tekst, który przesłałem mu do weryfikacji.
- <sup>858</sup> Mason twierdzi, że badania naukowe dowodzące tej tezy są fałszywe.
- <sup>859</sup> [huffingtonpost.com](http://huffingtonpost.com), [goo.gl/cDEVr5](http://goo.gl/cDEVr5), dostęp: 6.05.2014.

<sup>860</sup> Początkowo sądziłem, że zdaniem Masona wszystkie inne zakazane substancje są niebezpieczniejsze od alkoholu. Kiedy weryfikowałem tekst dotyczący jego kampanii, wyjaśnił mailowo, że wcale tak nie jest: „Jestem w stu procentach przekonany, że liczne nielegalne substancje – szczególnie psylocybina, MDMA, LSD – nie są nawet w drobnej części tak niebezpieczne jak alkohol”.

<sup>861</sup> Weryfikując niniejszy rozdział, pokazałem jego pierwszą wersję Masonowi, by uniknąć wszelkich przekłamań – podobnie postępowałem w przypadku wszystkich ważniejszych żyjących bohaterów tej książki (nie licząc wspomnianych wcześniej wyjątków). Przez dłuższy czas prowadziliśmy potem korespondencję mailową, która pozwoliła mi lepiej poznać zdanie Masona. Chciałbym przedstawić tu w zarysie tę konwersację, by w najlepszy możliwy sposób wyjaśnić, jak doszedłem do wniosków dotyczących poglądów Masona. Co równie istotne, przedstawiam tę wymianę także dlatego, że moim zdaniem mówi coś ważnego o debacie, która wywiązała się po zakończeniu wojny narkotykowej.

Podczas naszej pierwszej rozmowy Mason powiedział, że inne narkotyki „należy” traktować inaczej niż marihuanę, bo wywołują inne (w domyśle – groźniejsze) skutki. Spytałem go wtedy: „Czy uważasz, że modele regulacji prawnej, także ten, który dotyczy marihuany, będzie można zastosować do innych, obecnie zakazanych narkotyków?”. Mason odpowiedział: „Nie, nie sądzę, by tak się stało”. Kiedy stwierdziłem: „To istotny podział w samym ruchu reformy prawa narkotykowego, prawda?”, Mason odrzekł: „Cóż, to jedynie podział między rozsądnymi realistami a całą resztą”.

Dlatego też w pierwszej wersji tego rozdziału przedstawiłem Masona jako przeciwnika legalizacji używek innych niż marihuana lub alkohol, bo tak rozumiałem jego poglądy. Opisałem je jako odmienne od stanowiska Alison i Toni, gdyż mówiły one, że z czasem powinno też dojść do legalizacji innych substancji.

Zapoznawszy się z pierwszą wersją tekstu, Mason uznał, że błędem jest różnicowanie jego opinii i tych przedstawionych przez Tonie i Alison – które opowiadają się za szerszą legalizacją, obejmującą inne narkotyki – i powtórzył, że jest za dekryminalizacją prywatnego użytkownika narkotyków. Wkrótce zrozumiałem, że ta rozbieżność wynika po części z faktu, że inaczej rozumiemy poszczególne pojęcia używane w tej debacie. Mason pisał do mnie, że „słowa takie jak »legalizacja« (a nawet »dekryminalizacja«), są na tyle niejednoznaczne, że właściwie bezużyteczne”. Nie zgodziłem się z nim. Uważam, że określenia „zalegalizować” i „zdekryminalizować” mają różne i całkiem jasne znaczenia, próbowałem więc je objaśnić.

Używałem słowa „dekryminalizacja” w odniesieniu do dekryminalizacji używania narkotyków przez osoby prywatne – by nikt nie trafiał do więzienia tylko dlatego, że znaleziono przy nim na przykład torebeczkę z koką lub LSD na własny użytek. Z kolei „legalizacja” oznacza dla mnie, że sprzedaż narkotyków nie będą się już zajmować gangi, lecz sklepy i apteki.

Bazując więc na naszej pierwszej rozmowie i używając tych definicji, nie mogłem zrozumieć, jakim sposobem Masona nie jest przeciwny legalizacji narkotyków innych niż marihuana i alkohol. Dlatego wciąż zadawałem mu pytania dotyczące tej kwestii. W odpowiedzi Mason zaproponował, bym uściślił opis jego poglądów, stwierdzając jedynie, że jego zdaniem legalizacja innych narkotyków jest „mało prawdopodobna”. Poprosiłem, by jeszcze bardziej sprecyzował swoje stanowisko. Z naszej pierwszej rozmowy wnosiłem, że jego zdaniem większość innych narkotyków nie powinna być zalegalizowana, teraz zaś wydawało się, że jedynie nie wierzy, by do takiej legalizacji doszło.

Mason nadal utrzymywał, że określenie „legalizacja” nic nie znaczy i sugerował, że legalizacja danej substancji to co innego niż jej regulacja. Według mnie legalizacja i regulacja to synonimy oznaczające proces ustalania ram prawnych, w obrębie których substancja może być sprzedawana i konsumowana.

Mason jest jednak innego zdania. W końcu uzgodniliśmy, jakie słowa będą należycie opisywać jego stanowisko i właśnie tych słów używam w tym rozdziale, pisząc że zdaniem Masona inne narkotyki mogą i powinny być zalegalizowane, ale w sposób odmienny od marihuany.

Chciałem przedstawić tu wszystkie te informacje, by czytelnicy mogli sami wyciągnąć wnioski, ale też by pokazać, że nawet ktoś tak dobrze obyty z tym tematem nie zgadza się z niektórymi spośród terminów używanych tu przeze mnie do opisywania różnych rozwiązań. Dzięki tej korespondencji uświadomiłem sobie, że jednym z elementów kampanii zmierzającej do zakończenia tej wojny będzie konsensus w kwestii opisu alternatyw. Nawet ludzie, którzy zasadniczo zgadzają się ze sobą – tacy jak Mason i ja – mogą zajmować na pozór różne pozycje, bo nie uzgodnili, co oznaczają kluczowe pojęcia.

<sup>862</sup> [economist.com](http://economist.com), [goo.gl/gWgUxv](http://goo.gl/gWgUxv), dostęp: 6.01.2014; [thelancet.com](http://thelancet.com), [goo.gl/63kTcq](http://goo.gl/63kTcq), dostęp: 30.03.2014.

<sup>863</sup> [vox.com](http://vox.com), [goo.gl/KJRmS6](http://goo.gl/KJRmS6), dostęp: 3.07.2014.

<sup>864</sup> [huffingtonpost.com](http://huffingtonpost.com), [goo.gl/xoMAVr](http://goo.gl/xoMAVr), dostęp: 2.01.2014.

<sup>865</sup> [news.yahoo.com](http://news.yahoo.com), [goo.gl/jEFwwB](http://goo.gl/jEFwwB), dostęp: 4.07.2014.

<sup>866</sup> [online.wsj.com](http://online.wsj.com), [goo.gl/696RZP](http://goo.gl/696RZP), dostęp: 14.01.2014.

## Epilog. Jeśli jesteś sam

<sup>867</sup> Po raz pierwszy obraz cmentarza ofiar wojny z narkotykami przyszedł mi do głowy, gdy czytałem niezwykłą książkę Adama Hochschilda (A. Hochschild, *To End All Wars. A Story of Loyalty and Rebellion, 1914–1918*, Boston 2011) o sprzeczności wobec I wojny światowej, w której autor wyobraża sobie cmentarz wszystkich przeciwników wojny.

<sup>868</sup> [release.org.uk](http://release.org.uk), [goo.gl/vuiU3g](http://goo.gl/vuiU3g), dostęp: 14.01.2014

<sup>869</sup> L. Sloman, *Reefer Madness. A History of Marijuana in America*, New York 1998, s. 34.

<sup>870</sup> Te słowa – „Nie poddawaj się, powstań” – podsunęła mi australijska grupa „Get Up” (Powstań!), której współzałożycielem był mój przyjaciel Jeremy Heimans.

<sup>871</sup> Zdaje się, że to Julia Blackburn, biografka Billie Holiday, jako pierwsza mówiła mi o tym, że ludzie czerpią siłę z jej piosenek – spodobało mi się to określenie i pamiętam je do dziś.

<sup>872</sup> Rozmowa z Yolandą Bavan.

<sup>873</sup> JBA, skrzynia 18, teczka 7, *The Story of Billie*, artykuł V autorstwa Williama Dufty’ego.

<sup>874</sup> Rozmowa z Juanem Fraire Escobedo, który wspominał słowa swojej matki.

<sup>875</sup> H. Anslinger, *The Murderers. The Shocking Story of the Narcotics Gang*, New York 1962, s. 172–173.

<sup>876</sup> [druglibrary.org](http://druglibrary.org), [goo.gl/vY2Squ](http://goo.gl/vY2Squ), dostęp: 24.02.2013.

<sup>877</sup> L. Sloman, *Reefer Madness*, dz. cyt., s. 258.

<sup>878</sup> H. Anslinger, *The Murderers*, dz. cyt., s. 173.

<sup>879</sup> [druglibrary.org](http://druglibrary.org), [goo.gl/qkKXMN](http://goo.gl/qkKXMN), dostęp: 24.02.2013.

<sup>880</sup> J. C. McWilliams, *The Protectors. Harry J. Anslinger and the Federal Bureau of Narcotics, 1930–62*, Newark 1991, s. 187. Nawet John McWilliams, biograf Anslingera i człowiek bardzo mu przychylny, pisze o „okrutnej ironii losu dotyczącej człowieka, który poświęcił swe dorosłe życie ściganiu i kontroli takich narkotyków”.

## Przypisy

[1] Autorem napisanej w 1933 roku książki *The Idyll of Miss Sarah Brown* (której bohaterowie są w istocie wzorowani na Arnoldzie i Carolyn Rothsteinach) jest Damon Runyon. Stworzony na jej podstawie musical miał teatralną premierę na Broadwayu dopiero w 1950 roku. Pięć lat później powstał film *Faceci i laleczki* w reżyserii Josepha L. Mankiewicza. W rolach głównych wystąpili Marlon Brando, Jean Simmons, Frank Sinatra i Vivian Blaine. (Wszystkie przypisy dolne pochodzą od tłumacza).

[2] Słynny nowojorski klub nocny mieszczący się przy Pięćdziesiątej Czwartej Ulicy na Manhattanie. Bywały tu największe gwiazdy kina i muzyki, pisarze, artyści itd., a nieodłączną częścią zabawy w klubie stały się alkohol, narkotyki i przygodny seks.

[3] „Skid” to płoza, a „row” oznacza drogę lub ulicę – pierwotnie nazywano tak miejsca przeładunku towarów, potem określano w ten sposób dzielnicę biedoty.

[4] W rzeczywistości Galileusz zmarł śmiercią naturalną.

Polecamy także:

Sam Quinones, *Dreamland. Epidemia opiatów w USA*  
przeł. Maciej Kositorny  
premiera 22 sierpnia 2018



W 2008 roku w USA liczba zgonów w wyniku przedawkowania opiatów przewyższała liczbę ofiar wypadków samochodowych. Osób uzależnionych od leków z roku na rok jest coraz więcej, a rynek farmaceutyczny rośnie w siłę. Jak to możliwe, że legalnie dopuszczona do sprzedaży tabletki przeciwbólowa może doprowadzić do epidemii uzależnień?

Sam Quinones fascynująco rekonstruuje dzieje tej opiatowej katastrofy. Z jednej strony rzetelnie przedstawia kolejne etapy wprowadzania niebezpiecznych leków do regularnej sprzedaży i pokazuje przeraźliwie krótką drogę od ukojenia bólu do nałogu, z drugiej zaś wprowadza nas w świat meksykańskich sprzedawców „czarnej smoły”, którzy korzystając z plagi uzależnień od opiatów, zajęli się sprzedażą heroiny i dostarczają ją pod drzwi narkomanów niczym dostawcy pizzy.

Szefowie koncernów farmaceutycznych, dilerzy, policjanci, narkomani, rodzice tych, którzy przegrali z nałogiem. Bohaterów *Dreamland* jest wielu i to ich historie składają się na wstrząsającą opowieść o problemie, wobec którego Ameryka okazuje się bezradna.

WYDAWNICTWO CZARNE SP. Z O.O.

[czarne.com.pl](http://czarne.com.pl)

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice  
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75

[mateusz@czarne.com.pl](mailto:mateusz@czarne.com.pl), [tomasz@czarne.com.pl](mailto:tomasz@czarne.com.pl)  
[dominik@czarne.com.pl](mailto:dominik@czarne.com.pl), [ewa@czarne.com.pl](mailto:ewa@czarne.com.pl)  
[edyta@czarne.com.pl](mailto:edyta@czarne.com.pl)

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

[redakcja@czarne.com.pl](mailto:redakcja@czarne.com.pl)

Sekretarz redakcji: [malgorzata@czarne.com.pl](mailto:malgorzata@czarne.com.pl)

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa  
tel./fax +48 22 621 10 48

[agnieszka@czarne.com.pl](mailto:agnieszka@czarne.com.pl), [dorota@czarne.com.pl](mailto:dorota@czarne.com.pl)  
[zofia@czarne.com.pl](mailto:zofia@czarne.com.pl), [marcjanna@czarne.com.pl](mailto:marcjanna@czarne.com.pl)  
[magda.jobko@czarne.com.pl](mailto:magda.jobko@czarne.com.pl)

Dział marketingu: [lukasz.sobolewski@czarne.com.pl](mailto:lukasz.sobolewski@czarne.com.pl)

Dział sprzedaży: [piotr.baginski@czarne.com.pl](mailto:piotr.baginski@czarne.com.pl)  
[agnieszka.wilczak@czarne.com.pl](mailto:agnieszka.wilczak@czarne.com.pl), [honorata@czarne.com.pl](mailto:honorata@czarne.com.pl)

Audiobooki i e-booki: [anna@czarne.com.pl](mailto:anna@czarne.com.pl)

Skład: [d2d.pl](http://d2d.pl)

ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków  
tel. +48 12 432 08 52, [info@d2d.pl](mailto:info@d2d.pl)

Wołowiec 2018

Wydanie I